JERZY KRECZMAR I JULIUSZ SALONI

DROGI I ROZDROŻA

CZĘŚĆ III

WYPISY POLSKIE DLA KLASY TRZECIEJ GIMNAZJUM
(DAWNEJ CZWARTEJ)

TOM 1

NA PIERWSZE PÓŁROCZE

CENA ZŁ 210.--

INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA"
WARSZAWA
1947

JERZY KRECZMAR I JULIUSZ SALONI

DROGI I ROZDROŻA

CZĘŚĆ III

WYPISY POLSKIE DLA KLASY TRZECIEJ GIMNAZJUM
(DAWNEJ CZWARTEJ)

TOM 1

NA PIERWSZE PÓŁROCZE

INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA"
WARSZAWA
1947

891.85(075)

UTWORY OPATRZONE PRZY TYTULE GWIAZDKĄ STANOWIĄ LEKTURĘ UZUPEŁNIAJĄCĄ


P. 4097
3

Podręcznik zatwierdzony do użytku szkolnego przez Ministerstwo Oświaty pismem Nr VI - OC - 1613/47 z dnia 23 lipca 1947 r.


D68/2024
POMORSKA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA w Gdańsku
219632

Nakład 50 000 egz.
Papier ó3 rol. kl. VII. gr 70
Objętość druku 29 ark.
Wyszło z druku w grudniu 1947 r.
E-4016

Drukarnia Polska Spółdz. Wyd. „Zryw" z o. u., Bydgoszcz, Marsz. Focha 18

HENRYK SIENKIEWICZ

LEGENDA ŻEGLARSKA

Był okręt, który zwał się „Purpura", tak wielki i silny, że się nie bał wichrów ani bałwanów, choćby najstraszniejszych.

I płynął ciągle z rozpiętymi żaglami, wspinał się na spiętrzone wały, kruszył potężną piersią podwodne haki, na których rozbijały się inne statki — i płynął w dal, z żaglami w słońcu, tak szybko, że aż piana warczała mu po bokach, a za nim ciągnęła się szeroka i długa droga świetlista.

— To pyszny statek! — mówili żeglarze z innych okrętów. — Rzekłbyś: lewiatan fale porze!

A czasem pytali załogę „Purpury":

— Hej, ludzie, dokąd jedziecie?

— Dokąd wiatr żenie! — odpowiadali majtkowie.

— Ostrożnie! Tam wiry i skały!

W odpowiedzi na przestrogę, wiatr tylko odnosił słowa pieśni tak szumnej, jak burza sama:

„Wesoło płyńmy, wesoło!"

Szczęśliwe było życie załogi na tym statku. Majtkowie, zaufani w jego wielkość i dzielność, drwili z niebezpieczeństw. Sroga panowała karność na innych okrętach, ale na „Purpurze" każdy robił, co chciał.

Życie tam było ustawicznym świętem. Szczęśliwie przebyte burze i pokruszone skały zwiększyły jeszcze zaufanie. Nie ma (mówiono) takich raf ni takich burz, które by „Purpurę" rozbić mogły. Niech huragan przewraca morze — „Purpura" popłynie dalej.

I „Purpura" płynęła istotnie, dumna, wspaniała. Przechodziły lata całe — a ona nie tylko sama zdawała się być niezłomną, ale ratowała jeszcze inne statki i przygarniała rozbitków na swój pokład.

Ślepa wiara w jej siłę zwiększała się z dniem każdym w sercach załogi. Żeglarze zleniwieli w szczęściu i zapomnieli sztuki żeglarskiej. — „Purpura" sama popłynie — mówili. — Po co pracować, po co baczyć na statek, pilnować steru, masztów, żagli, lin? po co żyć w trudzie i pocie czoła, gdy statek, jak bóstwo — nieśmiertelny?

„Wesoło płyńmy, wesoło!"

I płynęli jeszcze długie lata. Aż wreszcie z upływem czasu załoga zniewieściała zupełnie, zaniedbała obowiązków i nikt nie wiedział, że statek począł się psować. Słona woda przeżerała belki, potężne wiązania rozluźniły się, fale poobdzierały burty, maszty popróchniały, a żagle zetliły się na powietrzu.

Wszelako głosy rozsądku poczęły się podnosić:

— Strzeżcie się! — mówili niektórzy majtkowie.

— Nic to! Płyniemy z falą! — odpowiadała większość marynarzy.

Tymczasem, pewnego razu, wybuchła taka burza, jakiej dotychczas nie bywało na morzu. Wichry zmieszały ocean z chmurami w jeden piekielny zamęt. Wstały słupy wodne i leciały z hukiem na „Purpurę" straszne, spienione, wrzące. Dopadłszy statku wbiły go aż na dno morza, potem rzuciły ku chmurom, potem zwaliły znów na dno. Pękły zwątlałe wiązania statku i nagle krzyk straszny rozległ się na pokładzie:

— „Purpura" tonie!

I „Purpura" tonęła naprawdę, a załoga, odwykła od trudów i żeglugi, nie wiedziała, jak ją ratować!

Lecz po pierwszej chwili przerażenia wściekłość zawrzała w sercach, bo kochali jednak swój statek ci marynarze.

Więc zerwali się wszyscy i poczęli bić z dział do wichrów i fal spienionych, a potem, chwyciwszy co kto miał pod ręką, poczęli chłostać morze, które chciało zatopić „Purpurę".

Wspaniała była walka tej rozpaczy ludzkiej z tym żywiołem. Lecz fale były silniejsze od żeglarzy. Działa zalane umilkły. Olbrzymie wiry porwały wielu walczących i uniosły w odmęt wodny. Załoga zmniejszała się z każdą chwilą — ale walczyła jeszcze. Zalani, na wpół oślepli, pokryci górą pian, żeglarze walczyli do upadłego.

Chwilami sił im brakło, ale po krótkim spoczynku znów zrywali się do walki.

Na koniec ręce im opadły. Poczuli, że śmierć nadchodzi.

I nastała chwila głuchej rozpaczy. I spoglądali na się ci żeglarze jak obłąkani.

Wtem te same głosy, które poprzednio ostrzegały już o niebezpieczeństwie, podniosły się znowu, silniejsze, tak silne, że ryk fal nie mógł ich zagłuszyć.

Głosy te mówiły:

— O, zaślepieni! Nie z dział wam bić do burzy, nie fale chłostać, ale statek naprawiać! Zstąpcie na dno. Tam pracujcie. „Purpura" jeszcze nie zginęła.

Na owe słowa drgnęli ci na wpół umarli i rzucili się wszyscy na spód i rozpoczęli pracę od spodu.

I pracowali od rana do nocy, w trudzie i pocie czoła, chcąc dawną bezczynność i zaślepienie wynagrodzić...

KRYTYKA POWSTAŃ

I

STANISŁAW TARNOWSKI

ROK 1863

Nie wypieramy się tego — że straszną marą jest dla nas rok 63; jest on nią dla każdego, dla kogo nie był igraszką. Nikt z nas nie słyszał, żebyśmy z niego drwili, nikt nie słyszał, żebyśmy inaczej jak ze czcią odzywali się o poświęceniach i ofiarach, o poległych i zesłanych w Sybir, wyzutych z mienia i na tułactwo skazanych. Ale czuć poświęcenie, litować się nieszczęśliwych, płakać poległych, to nie jedno, co bronić i wielbić fakt, który Królestwo pogrążył w przepaść, z której Bóg wie kiedy się dźwignie, a z Rusią i Litwą co zrobił? powiedzcie? Nie — rok sześćdziesiąty trzeci szanujemy tym uszanowaniem, które się należy nieszczęściu, ale, pomimo wszystkich czystych ofiar i poświęceń, nie liczymy go do pięknych kart naszej historii ani do wspomnień chwalebnych. Są klęski, są nieszczęścia, które się dźwiga z żałością, ale z dumą; rok sześćdziesiąty trzeci nie zostawił nam tej pociechy.

Jak wspomnieć, że kiedy skutkiem lekkomyślnie podniesionego powstania przyszłość Polski i jej odrodzenie cofały się gdzieś tak daleko, że ich dojrzeć nie można, jak wspomnieć, że kiedy krew się lała marnie od Warty do Niemna... że kiedy to się działo lub gotowało, my graliśmy komedię rządu bez kraju i państwa, żeśmy robili dyktatorów, którzy tyle ziemi mieli

pod swoją władzą, ile jej swymi stopami kryli... o, zaprawdę doznaje się najboleśniejszego z uczuć — w s t y d u! Dzieci nie inaczej bawiłyby się w rząd dla igraszki, a my bawiliśmy się w Rząd i wojnę kosztem Polski i jeżeli dziś możemy jeszcze oczy i czoło podnosić, jeżeli z żalem i wstydem, ale bez rozpaczy myślimy o tym, co o nas przyszłe pokolenia powiedzą, co im odpowiemy, gdy zapytają nas, cośmy z Polską zrobili, to zaiste winniśmy to tylko t y m, k t ó r z y w t e d y p o l e g l i. Ich śmierć, ich krew, ich poświęcenie ratuje nas od o s t a t n i e j h a ń b y i czyni zadość za nasze grzeszne n i e d o r z e c z n o ś c i.

(Sumienność dziennikarska)

II

STANISŁAW SZCZEPANOWSKI

BŁĄD

Mogliśmy zginąć przed stu laty! Przewrotność, ciemnota i rozpusta jak morze rozlały się po całym kraju — zaledwie tu i ówdzie wynosiły się jednostki, które w ogólnym rozprzężeniu i zepsuciu przechowały zarodki życia narodowego. Nierówna walka szlachetnej mniejszości przeciwko najeźdźcom była raczej instynktem bezwiednym aniżeli ruchem świadomym swego celu i obliczającym swe siły. Ale nigdy bardziej znikoma mniejszość większych cudów nie dokonała. Wszystko, co było tylko niejasnym instynktem, to w naszej literaturze przyszło do samowiedzy. Podczas kiedy dawniej najlepsze chęci, najszczytniejsze poświęcenia marnowały się z braku jasnego kierunku, teraz cel i środki jego osiągnięcia są jasno wytknięte. Każdy, kto ma oczy, może widzieć, każdy, kto ma uszy, może słyszeć.

Nawet okres od ostatniego powstania nie przeszedł bezużytecznie. Nasza literatura, najszczytniejsza z wszystkich, cierpiała na jeden fatalny błąd, który na razie udaremnił wszystkie jej dobre wpływy. Powoływała ona do podniesienia serc i ducha, do bohaterstwa, ale pole do okazania tego bohaterstwa widziała tylko w walce politycznej. Górnolotną swą pogardą dla życia codziennego i dla zwyczajnych stosunków społecznych odwracała ludzi od pracy około tych podstaw życia społecznego, bez których najszczytniejsze zamiary na nic się nie przydadzą. Tworzyła sprzysiężonych i powstańców, a nie obywateli. Tak jak klasztory częstokroć działały demoralizująco na społeczeństwo usuwając z szeregu czynnych obywateli i zamykając w murach klasztornych wszyst-

kich tych, którzy by mogli się stać wzorem szlachetnego postępowania w życiu codziennym i społecznym — tak nasze spiski i powstania tworzyły wzory podniosłości charakteru i bohaterstwa, ale ogałacały społeczeństwo pracujące i zarobkujące ze szlachetniejszych żywiołów i pozostawiały je na pastwę brudnych ambicyjek i przewrotnych dążności.

Usuńmy ten jeden błąd, a nasza literatura stanie się najszczytniejszą ewangelią przyszłych obowiązków ludzkości. Przenieśmy na pole usiłowań społecznych, na pole walki o byt choć część tego bohaterstwa, któreśmy okazali w walce o niepodległość, a staniemy się niezwyciężonymi. To jest bądźmy Polakami nie tylko w chwili, w której trąby wzywają do boju, ale przez całe życie, każdego dnia, w wykonaniu wszystkich obowiązków społecznych, w najpospolitszym czynie życia codziennego.

(Nędza Galicji w cyfrach)

BOLESŁAW PRUS

ZAGADKA DO NAGRODY

Pewien angielski podróżnik, uczony i wiarogodny, zelektryzował Europę wiadomością, że gdzieś w Himalajach rośnie (w jednym tylko egzemplarzu) drzewo wiekuistego żywota. Kto by zjadł, a raczej kto zjadł odrobinę tego drzewa, choćby wielkości prosa, ten nie tylko odzyskiwał młodość, ale mógł żyć jeszcze do setnego roku. Podróżnik na własne oczy widział fakira, który mając lat siedemdziesiąt, po zjedzeniu kawałka liścia z owej rośliny, cofnął się do dwudziestu lat, nie tracąc nabytej wiedzy i doświadczeń. Fakir ten, i bodaj czy nie on jeden, wiedział, gdzie znajduje się drzewo żywota, ale wskazać go nie chciał nikomu za żadną cenę.

Wiadomość dla całego rodu ludzkiego była tak doniosła, że w Paryżu natychmiast zebrał się kongres z największych uczonych, polityków i bogaczów wszystkich państw europejskich. Po krótkiej naradzie postanowiono wysłać do Indyj zbiorową delegację z rozległymi pełnomocnictwami.

Wysłańcy nie bez trudu znaleźli fakira, który pędził życie w jednym z lasów kaszmirskich, na gruzach prastarej świątyni. Przybywszy tam ujrzeli człowieka lat trzydziestu, który siedział na ziemi z podwiniętymi nogami, za całą odzież miał szmatę okręconą dokoła bioder i nie mył się od lat dwudziestu. Delegaci objaśnili mu cel przybycia dodając, że — jeżeli wskaże im cudowną roślinę, wynagrodzą go po królewsku; w razie przeciwnym zagrozili mu środkami przymusowymi.

Świątobliwy człowiek długą chwilę patrzył na nich szklanymi oczyma, wreszcie odrzekł powoli, głosem zmęczonym:

— Co wy mi dać możecie?... Złoto?... diamenty?... ile bym zechciał, tyle bym ich posiadał. A może chcecie skusić mnie delikatnymi potrawami i winem, które przynosi sny czarodziejskie?... Ależ ja ciągle przebywam w świecie czarów, a do zaspokojenia mych potrzeb wystarcza kilka fig dziennie i garsteczka wody źródlanej.

Pogróżek waszych nie boję się, ponieważ śmierć jest dla mnie tylko przejściem z jednej izby do drugiej i każdą mękę mógłbym wytrzymać, gdyż, kiedy zechcę, potrafię być nieczułym zarówno na rozkosz, jak i na cierpienie.

Delegaci spojrzeli po sobie strapieni.

— Aby jednak — mówił dalej fakir — przekonać was, że nie jestem niechętny, pokażę wam drzewo żywota, a nawet pozwolę wam je ściąć i pokruszyć na najdrobniejsze kawałki. Jeżeli uda się próba, będziecie mogli odmładzać się do końca wieków; jeżeli nie uda się — drzewo raz na zawsze zniknie ze świata. Musicie jednak spełnić mój warunek, ten mianowicie: ściąć drzewo żywota i przerobić je na okruchy będą mieli prawo tylko członkowie jednego narodu, tego, który ja sam wybiorę.

Delegaci zaczęli kręcić głowami i znowu naradzać się. Fakir jakiemuś niewymienionemu narodowi chciał nadać tak wielki, tak potężny przywilej, że wobec niego wszyscy schodzili na stanowisko podwładnych. Lecz, że wieczna młodość byłaby największym szczęściem rodzaju ludzkiego, więc po niedługich wahaniach delegaci przyjęli warunek.

Ażeby fakirowi ułatwić wybór, przedstawiciele wszystkich państw i ludów, biorących udział w delegacji, opisywali mu swoje zalety.

— Ja — mówił Anglik — posiadam najrozleglejsze kolonie, najwięcej okrętów, największe swobody i najdzielniejszy charakter.

— Ja — chwalił się Francuz — dałem światu wielkich bohaterów, najgenialniejsze pomysły, a dziś jestem najoszczędniejszym i najbogatszym narodem świata. Wszyscy u mnie pożyczają pieniędzy.

— Ja — prawił Niemiec — w niedługim czasie stworzyłem najpotężniejszy przemysł, pracę fizyczną wzmocniłem przez naukę, mam najsilniejszą armię i wojskowy porządek w państwie.

— Moja ojczyzna — zaśpiewał Włoch — jest jednym wielkim muzeum sztuki, a moi rodacy artystami z Bożej łaski...

— A ja — odezwał się Żyd — nie posiadam nic, a ile razy zbiorę majątek, zawsze napadają mnie bandyci, obdzierają i rzucają mnie

do wody. Ale ja mam taką własność, że gdy z jednego brzegu wpadnę do wody goły, to zaraz na drugim brzegu wypływam... w atłasowym żupanie, sobolowej czapce, z jednym woreczkiem pełnym złota, a drugim pełnym brylantów.

Fakir namyślał się przez pół godziny, wreszcie rzekł:

— Nie ma wśród was narodu, którego mi potrzeba.

Zgnębieni delegaci jeszcze raz zrobili sesję i postanowili sprowadzić przedstawicieli narodu Ypsylonów, których do tej pory nie uznawano i ze wszystkich europejskich zebrań wyłączano. Gdy pokazała się nowa deputacja, fakir klasnął w ręce i zawołał:

— Oto oni!... Na tych oczekiwała dusza moja!...

Ypsylonowie z początku nie chcieli jechać do Indyj, albowiem w tym czasie ojczyzna ich obchodziła uroczystość wyścigów konnych. Dopiero, gdy powiedziano im, że chodzi o szczęście całego świata, zgodzili się na wysłanie deputatów spośród klas najbogatszych, najświatlejszych i najlepiej urodzonych. Wzięli też z sobą nieco prostego ludu do posług.

Przepiękny był widok nadchodzących Ypsylonów; delegaci wszecheuropejscy nie mogli od nich oczu oderwać. Naprzód szła muzyka, wygrywająca jakiś taniec huczny i melancholijny. Za muzyką sunął wąż złożony z kilkuset kobiet i mężczyzn uszykowanych parami. Kobiety były w najmodniejszych strojach: szeroko u góry, wąsko u dołu; mężczyźni w butach kolorowych, niemniej kolorowych kapotach i z porozpruwanymi rękawami, wreszcie w czapkach formą i barwą przypominających konfederatki.

Obeszli fakira dookoła marszem wspaniałym, przy czym kilka razy zmieniali damy i dopiero, ukończywszy taniec, zapytali, o co chodzi. A gdy im powiedziano, że chodzi o ścięcie i pokruszenie drzewa żywota, kazali porobić siekiery z najpołyskliwszego metalu, pięknie rzeźbione i osadzone na misternych toporzyskach.

Właśnie mieli wziąć się do roboty, kiedy jeden z nich przypomniał, że za kilka dni wypada trzechtysięczna rocznica zwycięstwa, które odnieśli Ypsylonowie nad narodem już nie istniejącym. Jako wierni potomkowie swoich przodków, cały tydzień święcili rocznicę i czyniliby to jeszcze przez tydzień, gdyby jeden z astronomów nie odkrył, że z powodu jakiejś omyłki kalendarzowej, trzechtysiąclecie przypadnie dopiero za dwa lata.

Gdy ze strony ogółu Europejczyków zaproponowano im, ażeby przystąpili do podziału pracy, po kilkudniowych naradach podzielili się — na arystokratów i demokratów, chrześcijan i antychrześcijan, narodowców i kosmopolitów — i rozpoczęli długie spory,

które dopiero przerwał strajk ludu prostego. Polegał on na tym, że lud nie chciał przyjmować udziału w naradach, zanim będzie miał okazję usunąć się od rzeczywistej pracy.

Już wówczas doszłoby do wielkich zatargów między Ypsylonami, gdyby na szczęście nie zdarzył się wypadek, który kazał zapomnieć o partyjnych niechęciach. Oto jeden z bardziej postępowych inteligentów woził z sobą, na wszelki przypadek, skrzynię bomb dynamitowych. Pewnego dnia poruszył ją nieostrożnie, skrzynka wybuchła i pozabijała wielką liczbę mężczyzn i kobiet.

Wobec strasznego nieszczęścia umilkły niesnaski i wszystkie partie złączyły się dla oddania hołdu ofiarom nieostrożności. Grzebano zmarłych i opłakiwano ich cały tydzień, a mowy nad grobami i przy każdej zresztą sposobności były tak wzruszające, że nawet Anglicy i Niemcy mieli oczy zapuchnięte od łez. Jednych roztkliwiła straszna śmierć poległych, inni płakali z żalu, że przy ypsylonowskim systemie pracy ludzie nie skosztują ani odrobiny drzewa żywota!

Nareszcie jakiś poważny Amerykanin zaprosił na poufną naradę najmędrszych Ypsylonów i rzekł im:

— Drodzy, kochani panowie! Czy nie moglibyście, choć na kilka dni, zapomnieć o swoich interesach partyjnych i podzielić się ot — tak — po prostu — na trzy grupy: pierwszą, która by ścinała drzewo, drugą, która by dyrygowała tamtymi, i trzecią, która nie będzie robiła nic, ale też powstrzyma się od przeszkadzania innym. Myślę, że do takiej organizacji wystarczy kilkanaście osób, choć trochę pracowitych i jako tako rozsądnych. Przecież tu nie potrzeba rzeczy nadzwyczajnych; w ciągu jednego dnia zetniecie drzewo, a na drugi dzień możecie się wziąć do rozdawania okruchów, zabezpieczywszy, co jest rzeczą sprawiedliwą, najpierwej samym sobie wieczną młodość. Pamiętajcie, kochani Ypsylonowie, że mając taki cudny, taki boski materiał w ręku, możecie się stać nie tylko najszczęśliwszymi bogaczami tego świata, ale i władcami reszty ludów żyjących na kuli ziemskiej. Zastanówcie się, że takiej władzy, jak wasza, nie było jeszcze pod słońcem!...

Ypsylonowie nie tylko doskonale zrozumieli słuszność wywodów Amerykanina, ale jeszcze poparli je tak pięknymi mowami, że większość Europejczyków nie mogła powstrzymać się od łez, a jednego to nawet tknął paraliż ze wzruszenia. Ypsylonowie nie tylko głębiej rozwinęli ideę poczciwego Amerykanina, ale nadto — przysięgli sobie, że natychmiast przystąpią do urzeczywistnienia tak prostego i płodnego w skutki planu. Lecz tu właśnie zdarzyło się największe nieszczęście: wszyscy bowiem pragnęli albo dyrygować robotami, albo — nic nie robić, ale wziąć się do ścinania

albo drobienia drzewa żywota — nikt nie chciał. Jeden był za dobrze urodzony do wszelkiej pospolitej pracy, drugi zanadto inteligentny, trzeci miał za wiele pieniędzy, ażeby potrzebował hańbić się trudem ręcznym...

Przez dwa dni ciągnęły się straszne spory, kilka osób padło od noża albo od kuli rewolwerowej. Skończyło się na tym, że wszyscy, ale to wszyscy Ypsylonowie, choć cokolwiek zamożniejsi, jako tako dobrze urodzeni albo odrobinę oświeceńsi — opuścili świątynię, fakira i drzewo żywota, a zostało tylko kilkanaście osób z ludu prostego.

Gdy Europejczycy do nich zwrócili się z prośbą o ścięcie i rozdrobienie drzewa żywota, odpowiedzieli, że zrobią to jak najchętniej i natychmiast. Jakoż wzięli siekiery cudnie rzeźbione i osadzone na misternych toporzyskach i poszli do drzewa. Lecz ile razy kto uderzył w pień, błyszcząca siekiera rozsypywała się w proch, okazało się bowiem, że dla oszczędzenia trudu i kosztów, ypsylońscy fabrykanci siekier, zamiast ze stali, kazali odlać je z cyny...

I otóż zdarzyła się rzecz najgorsza, o jakiej można było marzyć. Po kilkudziesięciu i kilkuset uderzeniach, wszystkie siekiery pokruszyły się, ale od drzewa żywota nawet kawałek kory nie odprysnął. Boska roślina na każdy cios odpowiadała naprzód jękiem, później skargą, w końcu groźnym łoskotem i nareszcie... zniknęła... całkiem z powierzchni ziemi!...

Zrozpaczeni delegaci wszecheuropejscy z nienawiścią do Ypsylonów powracali do domu, a niektórzy zabijali się sami, mówiąc, że po utracie tak pięknych nadziei życie straciło dla nich urok.

Na gruzach kaszmirskiej świątyni pobożny fakir został sam, otoczony nieliczną garstką uczniów. Pewnego razu jeden z nich zapytał:

— Mistrzu, jeżeli wolno niepokoić uszy twoje głupimi pytaniami, racz nam objaśnić, dlaczego ścięcie drzewa żywota powierzyłeś Ypsylonom, którzy przecież zmarnowali okazję unieśmiertelnienia świata?

— Dla dwu powodów — odrzekł bogobojny. — Pierwszym jest ten, że Brahma nie chciał, aby drzewo żywota dostało się w ręce ludzkie, a do urzeczywistnienia tego celu najlepiej nadawali się Ypsylonowie, którzy nic nigdy nie zrobili porządnie.

— I naród ten już się nie zmieni?

— Tu jest drugi powód, dla którego wezwałem Ypsylonów. Klęska, jakiej sami doznali i jaką zadali światu, otworzy im oczy i — staną się rozważniejszymi, aniżeli są dzisiaj.

— Ale zmarnowali okazję do zrobienia się najpotężniejszym narodem... — wtrącił uczeń.

Święty człowiek znowu wpadł w zadumę i długi czas siedział nieruchomy, prawie nie oddychając. Gdy ocknął się, wszyscy uczniowie skupili się u jego stóp, wiedząc, że usłyszą jakąś mądrą przypowieść. W rzeczy samej fakir odezwał się:

— Synowie moi! Pewien kapłan tybetański, idąc w daleką pielgrzymkę, zobaczył przy rozstajnych drogach kapliczkę, a na jej ścianach takie przeczytał napisy: „Pobożny pielgrzymie, jeżeli pójdziesz dalej ścieżką po lewej ręce, znajdziesz bez trudu dziesięć wag czystego złota, ale jeżeli udasz się w podróż ścieżką na prawo, po wielu niepokojach i trudach, znajdziesz tylko jeden liść palmowy, zapisany sentencjami mądrymi..." A ponieważ był to pielgrzym wzniosłego ducha, więc poszedł na prawo, znalazł palmowy liść z przepisami i stał się chlubą swego królestwa.

Otóż, mówię wam, że Ypsylonowie — przypadkiem — naśladowali owego pielgrzyma; przez lekkomyślność opuścili drogę łatwego szczęścia i nie wiedząc weszli na ścieżkę bolesnych trudów, na której jednak znajdą to, czego ich duszom brakowało dotychczas...

. . . . . .

Taką historię opowiedział mi jeden z przyjaciół, który niegdyś podróżował po Indiach i nieco znał tamtejszą literaturę. Zakończył zaś w sposób bardzo oryginalny:

— Nasi rzemieślnicy i kupcy drugorzędni — mówił przyjaciel — odznaczają się niepunktualnością, nie znają oszczędności i nie lubią pracy. Dla wyleczenia narodu z tego rodzaju chorób byłoby bardzo pożądane, ażeby jak największa liczba młodzieży pracującej poznała życie ludów ucywilizowanych, choć trochę przyswoiła sobie ich zwyczaje i choć odrobinę nasiąknęła ich dojrzałymi poglądami.

Dla osiągnięcia podobnych wyników jest tylko jeden sposób: wysyłać na rok, czy na dwa, zdolniejszą młodzież rzemieślniczą — niedaleko, choćby do Czech, gdzie będą mogli przypatrzyć się społeczeństwu dla nich nowemu, którego pracowitość, ład i oświata obudzą w ich duszach drzemiące dziś zalety. Taki — powtarzam — zdolny i uczciwy rzemieślnik, nie tylko sam ulepszyłby się, ale powróciwszy do kraju, innych pozarażałby swoją lepszością. Cnoty bowiem są równie zaraźliwe, jak tyfus i szkarlatyna.

Wybierać kandydatów na wyjazd mogłoby Muzeum Przemysłu i Rolnictwa; o fundusz na stypendia odwołać by się trzeba do ofiarności publicznej. Jednym zaś ze sposobów zdobycia choć kilkunastu rubli na początek byłaby następująca odezwa:

„Czytelniku! Z powiastki niniejszej wiesz, jak zachowali się Ypsylonowie w kwestii tak ważnej dla siebie i dla świata, a teraz zgadnij, który naród europejski jest najpodobniejszy do Ypsylonów? Jeżeli zgadniesz, będziesz mógł w nagrodę złożyć rubla — może mniej, a może i więcej — na stypendia dla zdolnych rzemieślników, wyjeżdżających do Czech na praktykę. Przy tym nazwisko odgadującego zagadkę będzie z triumfem ogłoszone w *Kurierze*".

MARIA DĄBROWSKA

PRZEMIANY

Dawnymi czasy Niechcicowie żyli mniej więcej tak, jak żyją wszyscy po dworach na wsi. Utrzymywali zażyłe i urozmaicone stosunki z całą, nawet najdalszą rodziną, siedzącą przeważnie na takich samych jak oni folwarkach lub na związanych źródłami dochodów ze wsią pańskich posesjach śród ogrodów na skrajach miast. Czuli się organiczną częścią potężnego jakby plemienia, które wystarczało samo sobie, miało własną rodzinno-przyjacielską gwarę, zastanawiało się, w jaki sposób wychowywać swe dzieci, aby je raz na zawsze uchronić przed wpływami z zewnątrz, załatwiało wszystkie sprawy życiowe prawie że nie wychodząc poza granicę środowiska, a nawet zgoła poza granice narastającego ciągle od wszystkich stron rodu. Ale dziad Bogumiła Niechcica, Maciej, zaczął się niepostrzeżenie z tego świata wydzielać. W domu jego pojawiali się coraz częściej znajomi i przyjaciele spoza klanu, uczeni, profesorowie, artyści, pisarze dzienników, działacze i członkowie klubów politycznych, ludzie niepewnego pochodzenia albo którzy wyszli ze swej sfery. Mówiono, że Maciej Niechcic traci dla obcych rozum, serce, a przede wszystkim pieniądze. Uznano go za człowieka niespokojnego i zaczęto się go wystrzegać.

Za okoliczność łagodzącą jego dziwactwa starali się względniejsi spośród krewnych uważać domniemaną ambitną chęć naśladowania wielkich panów, magnatów i dostojników rządu, patronujących nauce, sztuce lub ruchom politycznym.

Wprędce jednak przekonano się, że tego rodzaju ambicje nie przyświecały Niechcicowi, gdyż nie widać było, aby znaczenie i świetność jego domu wzrastały pod jakimkolwiek względem. Maciej Niechcic zdawał się raczej wszystko czynić po temu, aby zbiednieć i zmarnieć. Między innymi, po wojnie 1830 r. zapragnął jeden ze swoich trzech dziedzicznych majątków zmienić na inny, z jakichś względów lepiej odpowiadający jego widokom. Przy prowadzeniu związanych z tym układów okazał więcej ufności do ludzi

niż przezorności w dopilnowaniu swych interesów, na skutek czego kupił majątek ze stanem hipoteki, który wnet stał się powodem utraty i świeżego nabytku, i jednego z pozostałych rodzinnych folwarków. Syn Macieja Niechcica, Michał, odziedziczył tedy po ojcu dobra Jarosty mocno już okrojone, wziął też po nim niespokojne usposobienie. Wyrywał się tak samo niesfornie z granic swojego świata, a życie samodzielne rozpoczął od gorszącego uczynku. Ożenił się z nowicjuszką panien dominikanek, Florentyną Klicką, bardzo ładną i bardzo ubogą panienką znakomitego nazwiska, która wstąpiła do klasztoru, żeby nie być na łasce bogatych krewnych. Powiadano, że Michał Niechcic potajemnie się z nią w tym klasztorze widywał i że ją właściwie stamtąd wykradł. A chociaż potem przeprowadzono wszystko według prawa i obyczaju, panna odbyła pokutę i uzyskała zwolnienie z nowicjatu, a oboje dostali rozgrzeszenie i ślub, to przecież dwory i dworki długo nie mogły darować Niechcicowi tego postępku. On jednak bardzo się tym nie przejmował, bo chociaż był dobrym dla każdego człowiekiem, to uczuć, na których mu zależało, poważania, przyjaźni, bliskości szukał, tak jak i ojciec, nie po sąsiednich dworach, ale po świecie, śród ludzi zajmujących się pracą umysłową albo sprawami publicznymi. Pani Florentyna zaś czuła się szczęśliwą w tych nowych dla siebie stosunkach, zarówno dlatego, że zaznawszy w młodości wielu upokorzeń od ludzi równego sobie stanu uważała towarzystwo innego pokroju za wielką łaskę losu, jak i dlatego, że czuć się szczęśliwą było zgodne z jej miłującym wszystko usposobieniem.

To byli rodzice Bogumiła Niechcica.

Bogumił-Adrian był ich najmłodszym synem, przyszedł na świat w wiele lat po ślubie. Starsze dzieci powymierały, co było, jak mówiono w okolicy, karą Bożą za odwrócenie się pani Florentyny z drogi świętego powołania.

Bogumił chował się zdrowo, a mając piętnaście lat wziął z ojcem udział w powstaniu 1863 roku.

Do powstania Michał Niechcic przystał też nie wtedy, kiedy to zostało postanowione przez ziemiaństwo, ale od razu na samym początku, razem z mieszczaństwem, inteligencją miejską, rzemieślnikami i różnego rodzaju młodzieżą. Jego udział w walkach był o tyle wybitny, że po klęsce Jarosty zostały skonfiskowane, a on sam zesłany na Syberię. Żona podążyła za nim. Syna, Bogusia, wzięli pod opiekę krewni, jedni z tych, którzy potomstwo Macieja Niechcica uważali za rodzinę wariatów. Obowiązki wychowawcze wobec powierzonego im młodzieńca pojmowali w taki sposób, że Bogumił po niejakim czasie uciekł od nich i to tak akuratnie, że ślad po nim zaginął. Przez ten czas pani Florentyna pochowała w dalekich taj-

gach męża, wróciła do Polski i, opłakawszy zaginionego syna, została gospodynią w pewnym znajomym dworze. Była z tego kawałka chleba zadowolona, gdyż odznaczała się w dalszym ciągu skromną pogodą ducha, która jej nie opuszczała w żadnych okolicznościach życia. Po niejakim czasie jej sterane wiekiem i przejściami zdrowie niezmiernie podupadło. Wtedy właściciele dóbr Krępa, u których pracowała, wyporządzili dla niej mieszkanie w oficynie i tam umieścili ją razem z bratem, również byłym powstańcem, Klemensem Klickim, który dotąd jako nie mający środków do życia, i przy tym słaby na umyśle, znajdował się był w przytułku.

Do tego to domku, gdzie rezydentka Florentyna Niechcicowa dozywała swych dni wespół z Klemensem Klickim — pewnego dnia zapukał wracający z wieloletniej tułaczki syn Bogumił.

Barbara-Joanna, późniejsza żona Bogumiła Niechcica, była z domu Ostrzeńska. Jej znowu dziad, Jan-Chryzostom Ostrzeński stracił majątek Lorenki śród mnóstwa niepomyślnych okoliczności natury gospodarczej, świadczących tyleż o ciężkim położeniu całego w ogóle kraju, co i o tym, że gromadzenie i utrzymywanie dóbr ziemskich nie leżało w charakterze owego Jana-Chryzostoma. Lecz jeśli posiadał on, podobnie jak Niechcicowie, zdolności do tracenia majętności doczesnych, to nie zdradzał natomiast żadnych upodobań do obejmowania w posiadanie lub tworzenia jakichkolwiek innych dóbr, bardziej niematerialnych. Nie wydzierał się też do nikąd ze swojej sfery, przeciwnie marnował ojcowiznę żyjąc z rodziną i sąsiadami w najlepszej komitywie. Był pełnym życia hulaką, którego wszyscy lubili, gdyż ze wszystkimi pił, polował, grał w karty i tańcował. Synom nie zostawił już własności, tylko drobne dzierżawy. Jeden z nich, Adam, był powabnej powierzchowności i miał usposobienie ojca. Podczas gdy jego bracia podochodzili napowrót do własnych mająteczków, on stracił na swej dzierżawie wszystko, a że nie cierpiał wsi, przeniósł się niebawem do miasta, gdzie został urzędnikiem skarbowym. Stosunki jednak towarzyskie utrzymywał wyłącznie z okoliczną ziemiańską szlachtą, gdyż tylko z nią potrafił dobrze się bawić. Miał szczęście do ludzi, mimo braku majątku był wszędzie dobrze widziany i wkrótce ożenił się z Jadwigą Jaraczewską, panną na dwu folwarkach. Do ożenku, prócz szczęścia, pomógł mu i przypadek. Ojciec mianowicie panny młodej wydał ją za niego z gniewu, że się ośmieliła zakochać w guwernerze z sąsiedztwa, człowieku niemieckiego i mieszczańskiego pochodzenia. Ojciec ów był mason, demokrata i dawny major napoleoński, przesiąknięty ideałami rewolucji francuskiej, co mu jednak nie przeszkadzało żywić ślepe przywiązanie do tradycji, do herbu i do rodu. Chciał on był wydać swoją córkę za mąż tak, żeby to było zgodne zarówno z wymaganiami rodu jak i z jej

uczuciami. Gdy jednak po odkryciu romansu z nauczycielem zaczęła mu się upierać, że jeśli nie pójdzie za niego, to wstąpi do klasztoru — w napadzie przekory, okrucieństwa i dumy postanowił ją wydać, bez uwagi na jej uczucia, za pierwszego, kto się trafi, byle to tylko był szlachcic. Trafił się właśnie Adam Ostrzeński, który nadto, dzięki urokowi osobistemu, zdobył sobie już dawniej życzliwość rodziców panny.

Panna wstąpiła z płaczem w nakazane jej związki małżeńskie i nie była z mężem szczęśliwa. Adam Ostrzeński w bardzo krótkim czasie stracił obydwa posagowe folwarki i zaczął żonę na długie miesiące porzucać dla innych kobiet — ona zaś nie mogła zapomnieć swego nauczyciela. Posiadali jednak oboje tyle wdzięków i czułości usposobienia, że nie mogli pozostać dla siebie obojętnymi. Po każdej stracie majątkowej, po każdym nieporozumieniu i rozejściu się uczuć, wracali do siebie na nowo śród wybuchów rozpaczliwej miłości i mieli ze sobą sześcioro dzieci, z których czworo się chowało.

Barbara była najmłodsza z tych dzieci, podobnie jak Bogumił był najmłodszym u swych rodziców. Nie pamiętała ona już domu swego zamożnym. Urodziła się w miasteczku, w którym Adam Ostrzeński, po wielu odmianach losu, objął stanowisko burmistrza. Miała pięć lat, kiedy straciła ojca. Adam Ostrzeński zginął od pioruna we własnym mieszkaniu, w chwili, gdy stanąwszy w czasie burzy przy oknie, usiłował lepiej je domknąć, żeby woda deszczowa nie ciekła na podłogę.

Owdowiawszy pani Jadwiga Ostrzeńska, za namową seniora rodu, bogatego radcy Joachima Ostrzeńskiego, poczuwającego się do opieki nad rodziną lekkomyślnego krewniaka — przeniosła się do miasta gubernialnego Kalińca. Otworzyła tam stancję dla uczniów kształcąc zarazem i wychowując z wielkim trudem własne swe dzieci. Po roku takiego życia wybuchło powstanie 1863 r.; wszyscy chłopcy ze stancji, nie wyłączając najstarszego Ostrzeńskiego, Daniela, poszli do lasu. Pani Jadwiga zbiedniała wtedy do reszty i musiała zmienić obszerne mieszkanie na pokoik z poddaszem oraz wyprzedać nieomal wszystkie meble. Ani na chwilę jednak nie podupadła na duchu i ani na chwilę nie dopuściła, by dzieci przestały się uczyć. Smutne doświadczenia młodych lat rozczarowały ją do honorów i korzyści płynących z majątku lub urodzenia. Wierzyła tylko w wykształcenie. Pragnęła, by jej synowie byli uczonymi, a przynajmniej, by zajęli stanowiska wymagające zajęć wyłącznie umysłowych; to samo chciała uprzystępnić i córkom. Gdy powstanie upadło, a Daniel, ranny w nogę, wrócił ostatecznie do domu, pani Jadwiga poruszyła wszystkie możliwe stosunki — aż do zna-

nego radcy Joachimowi kalinieckiego wicegubernatora włącznie — aby synowi umożliwić skończenie gimnazjum, a potem wstąpienie do Szkoły Głównej. Lękliwa i niepewna siebie z natury — stawała się zażartą i nieugiętą, gdy szło o pokonanie szykan albo trudności związanych z kształceniem dzieci. Pod tym względem była gotowa na największe ofiary i upokorzenia, aż do wstrętnego jej szukania protekcji u czynników rządowych. Tylko pomocy materialnej nigdy od nikogo nie przyjmowała — pod tym względem była niemile i opryskliwie dumna — z niechęcią godziła się jedynie na letnie wyjazdy do Piekar Wielkich, majątku radcy Joachima. Poza tym wierzyła, że w najgorszych warunkach da sobie radę i że z czasem dzieci jej dopomogą. Jeden syn miał być przyrodnikiem, drugi inżynierem. Byli oni już w wyższych zakładach naukowych. Daniel w Warszawie, a Julian w Petersburgu i zarabiali na swe życie lekcjami. Matce jednak wciąż jeszcze nic nie mogli przesyłać, może też nie poczuwali się do tego, zajęci sprawami wiedzy. Tak, że pani Jadwiga z dwiema córkami żyła w niewysłowionym ubóstwie. Przez pierwsze lata utrzymywano się prawie wyłącznie ze sprzedaży ostatków dawnej świetności, płóciennych obrusów, starych futer, webowej bielizny i pamiątkowych sreber. Gdy tego zabrakło, starsza córka Teresa, doszedłszy do wyższych klas gimnazjalnych zaczęła dawać lekcje, które nie zawsze starczały na obiad, ale nie pozwalały umrzeć z głodu.

Położenie rodziny znacznie się polepszyło, kiedy Daniel i Julian skończyli studia. Julian pozostał w Petersburgu i tylko listem zawiadomił, że ma już dobrą posadę, lecz Daniel zamieszkał z matką i siostrami i zaczął wykładać przyrodę w świeżo założonej prywatnej szkole realnej w Kalińcu. Zawód nauczyciela był jednym z tych niewielu zawodów, jakie się otwierały wówczas w Polsce przed ludźmi z wykształceniem. Także córka Teresa została niebawem nauczycielką w gimnazjum, do którego przedtem sama chodziła — a gdy najmłodsza, Basia, skończyła szkołę — i ona zaczęła udzielać świeżo nabytej wiedzy po różnych prywatnych domach.

(Noce i dnie)

ELIZA ORZESZKOWA

ZEFIREK

Żyrewiczowa wzięła z komody starą talię kart i usiadłszy na kanapce zaczęła je do pasjansa wybierać i układać. Brygida wyjęła też z kosza sztukę bielizny, która cerowania i naprawiania potrzebowała, ale wnet spuściła ją na kolana i znowu wpatrzyła się

POMORSKA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA w Gdańsku

w matkę. Wyraz twarzy pani Emmy nie miał w sobie nic groźnego. Łagodna jak zwykle, wieczoru tego zdawała się jeszcze być zadowoloną czymś i trochę rozmarzoną. Z pudełka stojącego na stole wyjęła różowy cukierek i podniósłszy go do ust pudełko ku córce posunęła.

— Widzisz, Bryniu — żartobliwe wyrzekła — mnie jeszcze kawalerowie cukierki przynoszą. To od Stasia...

Nie wiadomo, czy Brygida słowa te słyszała lub przynajmniej czy je zrozumiała. Z rumieńcem na twarzy wstała z krzesła i trochę ręką opierając się o stół stłumionym od wzruszenia głosem zaczęła:

— Moja mamo! Chcę mamy prosić o zgodzenie się i błogosławieństwo. Mam starającego się, którego szczerze pokochałam i który mnie kocha, i jeżeli mama pozwoli, natychmiast zawołam go i przyprowadzę tutaj...

Żyrewiczowa drgnęła i aż podskoczyła na kanapce. Z osłupiałymi oczami w córkę utkwionymi wołać zaczęła:

— Ty, ty, Bryniu, masz starającego! Co? kto? jak to? Ależ u nas nikt nie bywa! Ależ by to była prawdziwa łaska boska, gdybyś ty, ty, partię zrobić mogła! Któż to taki? mów prędzej!...

Brygida nie zaraz odpowiedziała. Mocowała się ze wzruszeniem swym dopóty, dopóki nie odzyskała całej siły i śmiałości. Po chwili głosem przytłumionym i łagodnym, ale zupełnie już pewnym rzekła:

— Moja mamo, nie jest to nikt taki, który by u mamy bywać mógł, bo mama niektórych tylko ludzi życzy sobie znać i przyjmować... Poznaliśmy się z sobą cztery miesiące temu, tu, na tym dziedzińcu... on pierwszy przemówił do mnie, potem rozmawialiśmy z sobą często i długo i pokochaliśmy się...

— Ależ któż to taki? Powiedzże na koniec, bo coś niedobrego przeczuwam.

— Jest to, moja mamo, Kazimierz Sośnina, majster murarski z Młynowa... ten sam, który tę kamienicę dla Rolickiego...

Nie dokończyła, bo pani Emma zerwała się z kanapki i obu rękami pochwyciła ją za ramię.

— Brysiu! Co tobie jest! — krzyczeć zaczęła — zwariowałaś, moje dziecko! Brysiu! Brysiu! Opamiętaj się! Przyjdź do przytomności, dziecko moje, bo po doktora polecę!...

W wyrazie twarzy i krzyku Żyrewiczowej było tyle szczerego przestrachu, tak nawet w przestrachu tym dźwięczało serce matki, bądź co bądź, przerażone myślą o nagłym zwariowaniu jej dziecka, że po ustach Brygidy przesunął się uśmiech, niewesoły wprawdzie, o, wcale niewesoły! Usuwając się o kroków parę zaczęła znowu:

— Moja mamo! Ja wcale nie zwariowałam i jakaż to wariacja?... Człowiek to młody, przystojny... takie ma poczciwe, roztropne, wesołe oczy...

— A niech go diabli wezmą z jego przystojnością i z jego oczami razem! — zapominając o wszelkiej wykwintności wyrażenia się krzyknęła pani Emma i bezwładnie na kanapkę opadła.

Nie dowierzając przecież jeszcze przytomności umysłu córki wlepiła w nią wytrzeszczone oczy.

— Czy ty naprawdę to wszystko mówisz?... naprawdę... naprawdę?

— Naprawdę, mamo. I dlaczegoż to ma być nieprawdą? Myśmy stosowni dla siebie. On niewysoko edukowany, to prawda... czytać, pisać, rachować umie, trzy klasy gimnazjalne skończył, a w rzemiośle swoim bardzo biegły... pierwszy z niego majster w powiecie. Wszak i ja nie uczona... po francusku, co nauczyłam się, to zapomniałam, a co się tyczy innych rzeczy, on więcej jeszcze umie ode mnie...

— Brygido! Brygido! Brygido!

Prócz tego trzy razy powtórzonego imienia córki Żyrewiczowa nic więcej wymówić nie była w stanie. Brygida, coraz śmielsza i zarazem coraz już posępniejsza, zaczęła znowu:

— I niebiedny on... O, daleko bogatszy ode mnie!... Bo ja z kapitaliku, który ojciec zostawił, nic, nic, grosza złamanego brać nie chcę... niech będzie dla mamy. Wie on dobrze o tym, bom mu mówiła, że weźmie mię w jednej sukni i to dziurawej... on zaś ma majątek.

Na dźwięk ostatniego wyrazu pani Emma ocknęła się nieco z osłupienia.

— Majątek! — powtórzyła głucho — mularz ma majątek! Chyba więc z obywatelskiej rodziny...

— Nie, mamo! Mieszczaninem jest i z mieszczańskiej rodziny... Z Młynowa, ale ma w Młynowie domek z dużym placem i ogrodem.

Tu rozległ się spazmatyczny śmiech pani Emmy.

— Majątek! Więc to majątek! Chałupa jakaś w nędznej mieścinie... z placem i ogrodem... o Boże, mój Boże! co to się dzieje? co jej jest? czy ja czasem gorączki nie dostałam i tak mi się tylko wydaje? Brygido! Brygido! Brygido!

— Mamo! On w jeden miesiąc więcej zarabia, niż my całego procentu od sumki naszej mamy... nie pije, nie traci... nie gbur na-

wet, choć prosty człowiek! Z człowiekiem takim życie szczęśliwe i... przyszłość pewna!...

— A niech go z jego zarabianiem i jego...

— Mamo, mamo, nie przeklinaj go! On na to nie zasłużył! Za cóż przeklinasz go, mamo? Czy za to, że on dla córki twojej ma szacunek i przywiązanie? Czy za to, że chce z córką twoją, mamo, podzielić się dobrem swoim, przez niego i przez ojca poczciwie zapracowanym? Czy za to, że nie ma takich białych rąk, jak ten panicz, który tu...

Powstrzymała się nagle. Popędliwa z natury i rozdrażniona wielu żywiołami składającymi się na jej istnienie, już, już wybuchnąć miała namiętnym gniewem bez powstrzymania się. Umiała panować nad sobą; pragnęła przekonać i ubłagać matkę.

— Mamo — zaczęła posępnym, lecz złagodzonym głosem — toż może jedyny los mój... jedyne szczęście, które mi się przytrafia! Mam lat dwadzieścia siedem... Chciałabym żyć, jak inne kobiety... przyjaciela mieć dozgonnego, dzieci...

— Brygido! Ty... panna o takich rzeczach!...

— A jakież to rzeczy, moja mamo? Ojciec mówił zawsze: „Chciałbym, żebyś była kiedyś dobrą żoną, matką i rządną gospodynią". Ja też niczego więcej nie chcę. Czymże mogę być innym? Nic nie umiem i do niczego pretensji mieć nie mogę. Pracować tylko mogę i chcę i... kochać swoich... moja mamo, czyż mama mi nie pozwoli spełnić woli ojca i być szczęśliwą? Com ja mamie winna? Grać się nie uczyłam! To prawda, ale czyż to wina moja? Pan Bóg mi zdolności do tego nie dał. I temu także ja nie winna, że silna wyrosłam, nie powiewna...

W piersi jej drgał zwykły jej krótki, ironiczny śmiech, znowu wrzała wewnątrz goryczą i gniewem. I znowu przemogła się.

— Ale za to — zdławionym trochę głosem mówić zaczęła — ale za to, od śmierci ojca, przez osiem lat, przez całe osiem lat służyłam mamie, jak mogłam, czym mogłam. Oszczędzałam grosz każdy, aby mamie więcej na przyjemności i wygody zostało. Sługi nie miałyśmy... robiłam sama wszystko, choć mama tylko... tylko... zawsze gniewała się na mnie za to! Nie wymawiam... o, ja nie wymawiam, to był mój obowiązek. Ojciec umierając powiedział mi: „Bądź dobrą dla matki!" O, ojciec, ojciec! Ojciec mój!... Ale za to... za to... że przecież spełniłam ten obowiązek, jak mogłam i potrafiłam... proszę mamy... niech mama pozwoli, żeby on tu zaraz przyszedł, i niech nas pobłogosławi.

Zadała sobie gwałt wielki i przyklęknąwszy przed matką w kolana ją pocałowała.

— I dla samej siebie... — mówiła — niech mama to zrobi i błogosławi nas!... Mama niemłodą już jest... kapitalik ma niewielki i sama jedna... My mamie pokoik w domku naszym urządzim, przystroim, on ma starą matkę, którą bardzo kocha... będziemy was obie doglądać jak oczy własne... spokojną starość...

Żyrewiczowa porwała się z kanapki i gestem tak popędliwym, jakiego nigdy od łagodności jej i delikatności spodziewać się nie było można, córkę od siebie odepchnęła.

— Precz! Precz! Precz! — wymachując ramionami i z twarzą w ogniu wołała — dziecko niegodne! niepoczciwa dziewczyno! Ty mię śmiesz od niemłodych wyzywać! W chałupie jakiejś spokojną starość z mularką jakąś razem obiecywać! Cóż ty sobie myślisz? kto ja jestem? Jestem córką poczmistrza, a matka moja z obywatelskiej rodziny, bo inaczej nie poszłabym za niego! W kogo ty wrodziłaś się? ani w ojca, ani w matkę, ani w babkę, ani w dziada..

— Owszem, owszem! — zawołała Brygida. — Mylisz się, mamo, wrodziłam się w ojca... w biednego ojca mego, który tak samo, jak ja, nie był ani szczupłym, ani powiewnym, i po francusku nie umiał, i grać nie umiał, i górnie mówić nie umiał, ale taki był pracowity, że przez dwadzieścia lat zarabiał, mamo, dla ciebie nie tylko na chleb, ale na torty, cukierki, asamble i stroje...

— Brygido! — krzyknęła Żyrewiczowa — ubliżasz matce!

Rozgorzałe oczy dziewczyny przygasły znowu, odetchnęła głęboko.

— Przepraszam — rzekła zniżając głos — uniosłam się... przepraszam... ale cóż ja zrobię? prosiłam przecież mamę, błagałam i perswadowałam...

— I bądź pewna — drżąc cała i na środku pokoju stając odpowiedziała pani Emma — że żadne twoje prośby, błagania i perswadowania nic tu nie pomogą. Zwariowałaś i koniec, a ja wariacji tej ani pobłażać, ani sama przez nią cierpieć nie mogę. Co by na to powiedział pan Stanisław? Co by powiedziała Łopotnicka? U Łopotnickiej noga by już moja chyba nie stanęła nigdy. Czy my na pustyni żyjemy, abyśmy sobie według woli za różnych mularzów i młynarzów wychodzić mogły? Żyjemy pomiędzy ludźmi, a kogo ludzie w pogardzie mają, tego i my... bo inaczej spadniemy same w pogardę ludzką... w błoto! Tak postępować każą nam nasza godność osobista, nasze wznioślejsze uczucia. Ale czyż ty masz w sobie choć trochę osobistej godności? Czyż ty rozumiesz, co to jest wzniosłość uczuć? Byłaś zawsze grubą naturą i sprawiałaś mi same zmartwienia. Rodziłam cię w większych bólach, jak obu twych braci; dzieckiem byłaś krzykliwym i spać mi nie dawałaś wrzeszcząc zawsze nie wiedzieć czego... potem żadna edukacja nie

przyjmowała się do ciebie, żadnego talentu nie miałaś... Bóg wie skąd i dlaczego rosłaś wielka i silna jak prosta dziewka, toteż i teraz...

Mówiła jeszcze długo, ciągle w tenże sam sposób, chodząc po pokoju, rozmachując ramionami, w rumieńcach cała, z iskrzącym się wzrokiem. Brygida milczała jak grób; na czole jej zarysowała się gruba zmarszczka, a czarne oczy jej wpatrzone w ziemię nabrały przepaścistej głębi i boleści.

Na koniec mówiąca kobieta zmęczyła się i stanęła.

— No — rzekła z rozkazującym gestem — siadaj, weź robotę, uspokój się sama i mnie daj odpocząć. A głupstwo to wybij sobie z głowy raz na zawsze...

Brygida podniosła głowę.

— Nie, mamo — odpowiedziała — nie siądę, nie wezmę roboty i nie wybiję sobie z głowy... ale pójdę zaraz do niego i powiem, żeby na zapowiedzi dawał. Jestem aż nadto pełnoletnią... Ksiądz metrykę wyda... Za dwa tygodnie weźmiemy ślub.

Mówiła to ponuro i stanowczo. Na twarzy pani Emmy odmalował się wyraz najwyższej trwogi. Tak, mogła to uczynić, była istotnie pełnoletnią, ksiądz istotnie mógł dać jej potrzebne dokumenty, mogli istotnie pobrać się bez jej pozwolenia! A więc dla przełamania przeklętego uporu dziewczyny tej pozostał już jej środek jedyny. Jeżeli chce uniknąć tego, co by ją w oczach ludzkich rzuciło w pogardę i błoto, jeżeli chce móc spojrzeć w oczy Stasiowi i Łopotnickiej, użyć powinna tego jeszcze jedynego środka.

Przed wyobraźnią jej mignęła aktorka jakaś, którą kiedyś widziała na scenie ongrodzkiego teatru w roli matki wyklinającej syna czy córkę. Nie pamiętała już słów przekleństwa, ale imponująca i patetyczna postać aktorki przed oczami jej stała wyraźnie.

Stanęła więc na środku pokoju, patetycznym gestem wyciągnęła ku Brygidzie oba ramiona i zawołała:

— A więc ja przeklnę cię, córko wyrodna! Przeklnę cię razem z Sośninami, które z nim mieć będziesz... O, słuchaj! Niech przekleństwo matki...

— Mamo! Mamo! Mamo! — przeraźliwie krzyknęła Brygida i rzucając się ku matce usiłowała pochwycić ręce jej i suknię, byle tylko do dalszego mówienia jej nie dopuścić. Blada była śmiertelnie i drżała od stóp do głowy.

— Mamo, nie przeklinaj! — wołała — mamo, na miłość boską, przestań!... Przekleństwo matki... O! ja boję się... za cóż on także ma być przeklętym! i dzieci!... mamo, zlituj się... niebłogosławieństwo boskie... straszno!

I całym swym silnym, kształtnym ciałem runęła u stóp matki. Lecz pani Emma, której oczy ochłodły już i błysnęły tryumfem, odskoczyła od niej.

— Tak — zawołała — przekleństwo matki to niebłogosławieństwo boskie... aż do czternastego pokolenia... czy słyszysz? aż do czternastego pokolenia! głód, mór, węże, szarańcza, ciemności i wszystkie plagi egipskie! Jeżeli nie przyrzeczesz, że wybijesz sobie z głowy to głupstwo, aż do czternastego pokolenia przeklnę twoje Sośniny! Cóż, czemuż nic nie mówisz i leżysz jak nieżywa twarzą do ziemi? Myślisz jeszcze sprzeciwiać się? no, to słuchaj! Niech przekleństwo matki...

— Mamo! Mamo!

Porwała się znowu z ziemi.

— Niebłogosławieństwo boskie! — krzyknęła — straszno!

— Niech przekleństwo matki...

— Czekaj, mamo, czekaj! nie mów dalej! nie gub duszy mojej i jego! o ja nieszczęśliwa! Idę, już idę! Zejdę ci z oczu, zrobię, jak chcesz! O! bodajbym była nazajutrz po urodzeniu się wskroś ziemi przepadła!...

Z ostatnimi słowami, łkając i szamocąc się, jak burzliwy wicher wypadła z mieszkania.

Wieczór był zimny, dziedziniec napełniony głębokim zmrokiem, Brygida biegła ku bramie, w pobliżu której w oczekującej postawie stał urodziwy mężczyzna w mieszczańskim ubraniu i z długim, buinym wąsem. Spostrzegłszy ją, szybko kilka kroków ku niej postąpił.

— A co? a co? — pytał ciekawie — uprosiłaś? zgodziła się? mogę tam iść?

Z właściwą sobie gwałtownością i z wybuchem płaczu porwała go za ręce.

— Nie zgodziła się... przekląć chce i mnie, i... ciebie! Już zaczęła przeklinać...

Ogarnął ją ramieniem, przycisnął do piersi i długo milczał. Potem smutnym bardzo głosem zaczął:

— Przekleństwo matki — niebłogosławieństwo boskie... nie można! Ja ciebie bez błogosławieństwa matki brać nie mogę. Jaką ona sobie jest, to jest... zawsze to matka i wreszcie...

Tu ramię jego opadło i podniósł głowę.

— Wreszcie... cóż u licha? a któż ja taki, złodziej, pijak, włóczęga, czy co? żeby aż przeklinać mię za to, żem dziewczynę ukochał i za żonkę ją biorę!...

Ona nie odpowiadała nic i cicha, zesztywniała, usunęła się o parę kroków.

— Próbowałażeś wszystkiego — zapytał po chwili — prosiłaś? perswadowałaś? mówiłaś, że mam dobry kawałek chleba dla ciebie i nawet dla niej? Niech u ludzi się pyta, niech mi termin zaznaczy, żeby poznać się ze mną. Na wszystko zgodzę się... tylko nie na przeklinanie!

Milczała.

— To już nam z sobą i pożegnać się wypadnie.

Załkała głośno, on znowu ją do piersi swej przycisnął.

— A no — mówił — może się jeszcze stara namyśli i udobrucha. Ot, widzisz, serce mnie kraje się i aż płakać chce się... Wiesz co? jak śniegi spadną i skończą się mularskie roboty, ja tu kiedy wolnym dniem wpadnę i dowiem się...

...A choćby tylko i zobaczyć ciebie, moja ty czarnooka!

— Przyjedziesz? czy przyjedziesz? — zapytała chciwie, a w głosie jej zadrżała nadzieja.

*

Śniegi spadły i biegnącej przez ulicę malutkiej osóbce nie gorąco być musiało w szczupłej watowanej algierce, którą miała na sobie, a jednak okrągła twarz jej wyglądała jak czerwone jabłuszko, a małe oczki błyszczały jak czarne paciorki. Migotały one na przemian trwogą i łzami; od chwili do chwili załamywała ręce i z cicha do siebie jęczała:

— O! Boże mój, Boże! czyż to prawda? czy to być może?

Wpadła w dziedziniec i jak strzała puściła się ku mieszkaniu Żyrewiczowej.

— Pani moja! — wołała już we drzwiach — nie wytrzymam... ledwie żyję... skończenie świata... Staś... Staś... ten Stasieczek...

Upadła na kanapę z załamanymi rękami i osłupiałym wzrokiem. Żyrewiczowa zerwała się od fortepianu, na którym z silnym akcentowaniem miejsc rzewnych i melodyjnych wygrywała jakiegoś walca.

— Staś! co się stało ze Stasiem? zachorował? umarł?

— Nie, nie, nie! Dwa tygodnie temu sprzedał Żyrewicze i wyjechał gdzieś daleko, aż na Białoruś czy co, do jakichś krewnych...

— Wyjechał?

— Wyjechał!

— Jak to, zupełnie? zupełnie?

— Zupełnie... zupełnie.

— Jak to, bez pożegnania?

— Otóż to, otóż to, otóż to i boleśnie! Bez pożegnania!

Żyrewiczowa skamieniała na chwilę, w oczach jej zakręciły się łzy.

— Nie wierzę — zawołała nagle — jak to? on by się miał nie pożegnać ze mną, ze mną... kiedy mówił mi tak niedawno jeszcze, że jestem jego *ange consolatrice*. Nie wierzę, kto ci to mówił?

— Na mieście! na mieście! na mieście! wszyscy znajomi jego i moi mówili... odnosiłam profitki i podstawki... mówili, że najpewniej.

Żyrewiczowa usiadła na kanapce i zadumała się długo, smutnie. Rozalia ocierała sobie łzy z oczu i twarzy. Po kilku minutach zaledwie wdowa z cicha przemówiła:

— A nasze kapitaliki?

— Ach! — porwała się Rozalia — zapomniałam! to prawda! cóż będzie z tymi kapitalikami i tymi procentami? O Boże! mama zmartwi się bardzo... co tu robić? u kogo teraz upominać się? Chodźmy do mamy...

— Poczekaj pani... a nie słyszałaś, jak to było? co? dlaczego? Skąd ten nagły wyjazd...

— At! — skinęła ręką Rozalia — albo to ludziom wierzyć można? Zwyczajnie, teraz już takie plotki... mówią, że Staś tymi pieniędzmi, które wziął od mamy, miał rzeczywiście dług jakiś spłacić, a potem las czy co tam takiego sprzedać i majątek oczyścić; ale nazajutrz potem, jak mu mama pożyczyła, pieniądze te przegrał...

— Co? jak to przegrał? w karty?

— W karty. Mówią, że w karty! I już długu opłacić nie mógł, i sprzedać czegoś tam nie mógł, i tylko majątek cały sprzedał.

— To plotki, fałsz, kalumnia! — wykrzyknęła wdowa. — On! ta wzniosła dusza... tak poziomo!... nie, to być nie może. W tym jest jakiś dramat, jakiś fatalizm, coś tragicznego, coś... coś... takiego...

— Chodźmy do mamy. Mama da sposób dowiedzenia się prawdy. Mama wszystko wie, co może być, a co nie może być. Chodźmy.

Poszły. I gdy z mnóstwem wykrzyków, omówień, twierdzeń, przeczeń, westchnień i łez opowiedziały pani prezydentowej wszystko, o czym wiedziały same, pani prezydentowa — zdrętwiała. Wyprostowana jak struna, roztworzyła usta, na szalu francuskim szeroko rozpostarła palce, i tylko powieki jej nad siwą, szklistą źrenicą mrugały prędko, prędko.

Rozalia z przestrachem rzuciła się do niej.

— Mamie niedobrze?

Obudziła się z chwilowego osłupienia i rozkazującym gestem córkę od siebie odsunęła.

— Niech Rózia poda mi salopę i ciepłą chusteczkę na głowę — rzekła zwykłym już sobie, pewnym i suchym głosem.

Z trudnością jednak wstawała z fotelu; Rozalia podawała jej salopę i chusteczkę.

— Gdzie mamcia pójdzie? dziś bardzo zimno...

Wskazała palcem dom, w którym mieszkał adwokat.

— Od niego dowiem się, co prawda, a co nieprawda. On wszystkich obywateli i interesa ich zna...

— Ja z mamcią pójdę.

— Nie trzeba... Mogą tam być mówione takie rzeczy, o których pannom słuchać nie wypada.

W salopie, która plecom jej nadawała pozór stary i przygarbiony, z nieodstępnym kijem swym w ręku, szła przez dziedziniec powolniejszym niż zwykle i daleko mniej zamaszystym krokiem. Dwie pozostałe kobiety w trwodze i milczeniu powrotu jej oczekiwały. Wróciła prędko, w kwadrans może po wyjściu i chciała sama rozpiąć i zdjąć salopę, ale — nie mogła. Ręce jej trzęsły się i głowa nawet, tak dumnie zazwyczaj na sztywnej szyi osadzona, trzęsła się także.

— A co, mamo? — rozbierając ją szepnęła Rozalia.

Ostro i krótko odpowiedziała:

— Prawda, wszystko prawda.

— Wyjechał więc? — zawołała Żyrewiczowa.

Nie było odpowiedzi.

— A nasze kapitaliki? — zapytała ciszej.

— Przepadły — głucho odpowiedziała stara, która już na swym fotelu usiadła i z głową o tylną poręcz opartą patrzała w sufit.

Wdowa zbladła bardzo. Przed oczami jej mignęło widmo nędzy.

— Jakże to — zaczęła drżącym głosem — pani prezydentowa miała obligi i kartki od Stasia.

Łopotnicka oderwała głowę od poręczy fotelu i spojrzała na nią przeszywającym wzrokiem.

— Obligi! — zawołała — a kto je pisał? Notariusz... Ickiewicz jakiś!... Jakiż walor mogą mieć dokumenta przez jakiegoś Ickiewicza pisane? Co tacy Ickiewicze i cały ten teraźniejszy motłoch zrobi, to... to... to... to... nigdy waloru żadnego mieć nie może. Otóż to... to... to... to... i bieda, że Ickiewicze nad nami zapanowali, a Żyrewiczowie Bucikowskiemu majątki swoje sprzedawać muszą. Sprzedał Żyrewicze Bucikowskiemu, a kto o tej sprzedaży nie

wiedział, ten i stracił, co na Żyrewiczach miał. Bucikowski, choć Żyrewicze wziął, nie wypłaci pewnie... ten... ten... ekonomczuk!

Oparła znowu głowę o poręcz i zaczęła patrzeć w sufit. Palce jej spazmatycznie mięły brzeg francuskiego szala, a wargi zwarły się tak silnie, że z profilu widać było tylko pod czołem wysokim i zmiętym w mnóstwo zmarszczek dwie ostre i zbliżające się ku sobie linie nosa i brody. Tak przesiedziała do późnego wieczora i do córki nie przemówiła ani słowa, wtedy nawet, gdy ta, z twarzą zbrzękniętą od płaczu, postawiła przed nią stoliczek ze szklanką herbaty i gorąco, długo całowała ją w obie ręce. Gdyby nie oczy rozwarte szeroko i szklisto patrzące w sufit, można by sądzić, że spała lub była zemdloną. Nad wieczorem zaczęła z cicha coś mruczeć do siebie. Rozalia bacznie wsłuchując się dosłyszała tylko słów kilka.

— Licho wie co! Syn obywatelski...

A potem:

— Dziecku nic nie zostawię... robótki... tylko... robótki.

Przed północą wstała z fotelu i powiedziała Rozalii, aby ją rozebrała. Daremnie jednak córka po kilka razy zapytywała ją, jak się czuje i czy czasem do apteki po co nie pójść. Nie odpowiedziała nic. W nocy Rozalii, która nie spała i co moment przychylała ucho w stronę łóżka matki, zdawało się, że słyszy stękanie stłumione w poduszkach. Nie śmiała jednak przemówić ani światła zapalić, a gdy z rana obudziła się z krótkiej, ciężkiej drzemki, krzyknęła aż ze zdziwienia i zadowolenia. Matka jej siedziała na brzegu łóżka, ubrana już zupełnie, w szalu, czepeczku wygarnirowanym, w okularach nawet, prosta jak zwykle i ze zwykłym, trochę tylko uroczystym wyrazem twarzy.

— Jak mamie jest? czy mama nie czuje się cierpiąca?

— Nic mi nie jest. Czuję się jak zwykle. Pobiegnij no, otwórz okiennice, a potem ogarnij się i idź do miasta. Kupisz mi i przyniesiesz liberkę listowego papieru, dziesięć kopert pocztowych, atramentu i piór... patrz tylko, żeby pióra były miękkie.

— Mamciu, na co mamci to wszystko?

Nie odpowiedziała.

Kiedy Rozalia wróciła z miasta z żądanymi sprawunkami, znalazła matkę siedzącą na fotelu, z książeczką do nabożeństwa na kolanach i modlącą się żarliwie. Na widok córki uderzyła się parę razy w piersi, przeżegnała się i złożyła książkę.

— Róziu! chodź tu do mnie!

Przesunęła parę razy dłoń po włosach Rozalii, które dnia tego wcale wypomadowanymi nie były i mówić zaczęła:

— Jesteśmy teraz bardzo biedne, ogołocone ze wszystkiego, ale broń cię Boże, ażebyś narzekać albo o nim źle mówić miała. Narzekać, jęczeć przed ludźmi i biedować nie wypada i byłoby dla nas z ubliżeniem, źle zaś o n i m mówić grzech. Jaki tam o n jest, to jest, zawsze to... to... nasz, jednego z nami rodu i pochodzenia. Niechaj ten motłoch przeklęty nie ma tej satysfakcji, abyśmy jedni na drugich skargi wywodzili i źle mówili. Cóż, Róziu, czy będziesz posłuszną woli mojej?

— Ja przecież zawsze, zawsze byłam mamie posłuszną, a o Stasiu nie mogłabym źle mówić, gdybym nawet chciała...

— To dobrze. Jesteś prawdziwym, dobrym moim dzieckiem. A teraz powiem ci... że da Pan Bóg, nie zginiemy! Wierzę w Opatrzność Boską i w dobre serce tych, z którymi całe życie moje przebyłam... z których koła wygnały mię okoliczności, ale którzy w biedzie ostatecznej nie opuszczą nas z pewnością. Dziś i jutro pisać będę listy i roześlę je... do marszałkowej Korzyckiej, do Odropolskiego, do Sanickich, tych, co z Sanowa nad Niemnem, i do innych jeszcze... do innych, z którymi wiążą mię dawne stosunki i to... to... to... wspomnienia. Stasia obwiniać nie będę, ale napiszę im, że chciałam jednego z nas podtrzymać, podeprzeć, z rąk motłochu uratować... Spełniłam święty obowiązek, niechże oni względem nas spełniają swój...

— Spełnią, z pewnością spełnią! — z entuzjazmem zawołała Rozalia i gorącymi pocałunkami okryła ręce i kolana matki. Więcej niż kiedykolwiek matka ta była „jedynym jej dobrem".

Dnia tego nad wieczorem Żyrewiczowa z cicha i nieśmiało weszła do mieszkania Łopotnickiej. Nie tylko była ona cichą i nieśmiałą, ale też bardzo zmienioną. Przez jedną dobę postarzała o lat kilkanaście. Oczy miała ogniście czerwone, a twarz zbladłą i zmiętą. W mieszkaniu panowała cisza głęboka. Rozalia kończyła śpiesznie jakąś robótkę. Łopotnicka siedząc przy stole pisała listy. Pisząc nie pochylała się nad stołem ani na jedną linię. Siedziała prosto i sztywnie, rękę dość prędko posuwała po papierze, a w wyrazie twarzy jej nie tylko upokorzenia ani rozrzewnienia nie było, ale owszem malowało się na niej zadowolenie z siebie i większa niż zwykle wyniosłość i duma.

Żyrewiczowa na ziemi i przy Rozalii przysiadła.

— Co to mama pisze? — szepnęła.

— Listy do obywateli, aby spełnili obowiązek swój względem nas, tak jak mama spełniła go względem Stasia. Spełnią pewnie i nie dadzą mamie nędzy przenosić.

— Najpewniej spełnią i nie dadzą nędzy przenosić! — odpowiedziała wdowa i żałośnie splatając ręce dodała: — Mój Boże! co to jest z obywatelskiej rodziny pochodzić!

Potem cichutko i pokornie zaczęła prosić Rozalii, aby dopomogła jej do sprzedania fortepianu.

— Ostatniego rubla Brynia na mieście dziś rozmieniła i nie wiem, doprawdy, co to z tego wszystkiego będzie? Tymczasem muszę, muszę sprzedać fortepian.

Mówiła, że nikt sobie wyobrazić nawet nie może, ile ją kosztuje rozstanie się z fortepianem, ale cóż począć? Nic kosztownego więcej nie posiada. Rozalia ma więcej od niej znajomości na mieście... niech postara się o kogoś, kto by chciał nabyć i zaraz zapłacić. Rozalia przyrzekła chętnie, a potem zauważyła, że pani radczyni bardzo źle wygląda i zapytała, czy nie czuje się chorą.

— Niedobrze mi, istotnie niedobrze — odpowiedziała drżąc z zimna i ogarniając się chustką, którą na sobie miała. — Jakże może być inaczej? Tyle na raz zmartwień i wzruszeń, a zdrowie miałam zawsze delikatne. Kto by to przypuścił, że Staś wyjedzie bez pożegnania się z nami?

Rozalia wzdychając odpowiedziała:

— Nie mógł widać inaczej... biedaczek! On zawsze taki grzeczny był, dobry, miły...

Kilka minut jeszcze szeptały o Stasiu, a Żyrewiczowa nie przestawała utrzymywać, że w postępku jego ukrywa się jakiś dramat, fatalizm, coś tragicznego, coś... takiego...

W parę dni potem Rozalia oznajmiła sąsiadce swej, że znalazła już na jej fortepian kupca, który zaraz, tegoż samego dnia zapłaci umówione pieniądze, ale też i sprzęt nabyty zaraz zabierze. Przed wieczorem Brygida poszła do sklepiku w celu uproszenia trochę chleba i krup na kredyt, a Żyrewiczowa siadła przy fortepianie.

— Ostatni raz! — szepnęła — ostatni raz!

Drżącą ręką wygrała pasaż jakiś, potem część jakiegoś walca, aż urwała nagle i z cichym wtórzeniem akordów głosem nabrzmiałym łzami śpiewać zaczęła:

O! powiedz mu, że niepojęta siła
Do jego życia wiąże moje dni!
O! powiedz mu...

Tu ozwały się w sionkach liczne, ciężkie kroki. Tragarze przychodzili po fortepian. Wstała, usunęła się na bok i chustką zasłaniając sobie usta patrzała w milczeniu na robotę tragarzy. Lecz gdy fortepian, dźwignięty z ziemi i na kilku silnych plecach oparty,

wysuwać się już począł z pokoju, rzuciła się ku niemu, zaczęła chwytać go z tyłu i z przodu z głośnym wołaniem:

— To przeszłość moja... to młodość moja... szczęśliwe czasy moje odchodzą ode mnie... odchodzą... odchodzą!

Potem w mieszkaniu zrobiła się cisza. Rozalia w milczeniu siedziała na kanapce, a Żyrewiczowa gorączkowym krokiem przebiegając pokój, gorączkowo też i długo mówiła. W mowie tej przebiegała całe swoje życie. Skarżyła się naprzód na to, że rodzice zbyt młodo za mąż ją wydali. Gdyby była starszą, zrobiłaby inny, stosowniejszy dla siebie wybór. Potem opowiadała o mężu, że był to dobry, bardzo dobry człowiek, ale nie rozumiał jej nigdy, nie mógł zadowolnić wznioślejszych jej uczuć, a na koniec zostawił ją z takim małym funduszem. Brygida wrodziła się w ojca; dobra to dziewczyna, ale jakaż z niej pociecha. Taką ma grubą, pospolitą naturę, że ani partii dobrej zrobić, ani przyjaciółką i powiernicą matki być nie może. Gdyby synowie jej hodowali się byli i żyli dotąd! ale cóż? albo to ona kiedy dobre i wierne sługi miała? Niańki były dobrze opłacane za to, żeby dzieci pilnowały, a jednak nie dopilnowały, a dwa nieszczęścia, jedno po drugim, jak gromy spadły na nią. I w sposób ten całe życie jej przeszło na samych tylko tęsknotach, zmartwieniach i wyrzekaniach się wszystkiego. W sercu swym nosi ona kilka mogił; są to mogiły rodziców, męża, synów, a teraz, teraz, gdy czuje, że skrzydła jej złamały się już zupełnie, gdy zmęczoną jest i taką zbolałą, utraciła majątek cały, fortepian swój i ostatnią zapewne na ziemi bratnią duszę.

Mówiła to wszystko szybko i żałośnie, ale bez łez. Owszem, oczy jej błyszczały sucho i gorączkowo, na policzkach miała niezdrowe rumieńce i z dreszczami otulała się w ciepłą chustkę. Kiedy w godzinę po wyniesieniu fortepianu Rozalia wychodziła, Żyrewiczowa żywo zwróciła się ku niej.

— Moja panno Rozalio — rzekła — jeżeli tam spotkasz mego Ignacego, to powiedz mu, żeby prędzej do domu szedł, bo chora jestem i potrzebuję opieki. A Konradka i Edzia każ wynieść do dalszych pokojów, bo płaczą bardzo, a mnie serce od ich płaczu rwie się.

Rozalia uczyniła gest taki, jakby przeżegnać się chciała, ale potem wstrząsnęła znacząco głową i wołając Brygidy wybiegła.

Brygida nastawiała w sionkach samowar.

— Bryniu — rzekła do niej — idź po doktora dla matki; chora jest w gorączce bredzi.

Chorowała długo i ciężko, nie umarła jednak. A gdy pierwszy raz po chorobie wstała z łóżka, w pokoju nie było już ani kanapki,

ani szafy na suknie, ani nic z tego, cokolwiek z posiadanej przez nią ruchomości spieniężonym być mogło. Pusty pokój z nagimi ścianami ponuro wyglądał przy białym świetle zimowego, śnieżystego dnia. Przy oknie z grubego płótna zszywając worki takie, w jakich mąkę wożą z młynów, siedziała Brygida. Na pięknej twarzy jej bezsenne noce, trudy, niedostatek i inna może jeszcze zgryzota wyryły się głębokimi śladami. Widząc, że matka wstała i dość pewnym już krokiem przeszła się po pokoju, ze spuszczonymi na robotę oczami rzekła:

— Mamo, trzeba mi w służbę iść. Zupełnie już nie mamy z czego żyć.

* * * * * * * * * * * * * * *

Poszła w służbę, za pokojową, do jakiegoś dostatniego domu, któremu zarekomendowała ją Rozalia, bo do żadnej innej służby uzdatnioną nie była. Kazimierz Sośnina nie przyjechał już więcej nigdy, a raczej bywał zapewne w Ongrodzie, ale z nią widzieć się nie starał. Nic dziwnego. Mularz nie rycerz ani wicehrabia. Czasu może zabrakło mu albo wśród ciężkiej pracy zapominał o „czarnookiej" tak często, że na koniec i całkiem o niej zapomniał; być może też, że „siwa gołąbka" raiła mu na żonę jaką nie-panienkę. I nie z takiego domu, gdzie córki wyklinają, a on wpływom jej ulegał...

Brygida prędko zmieniła miejsce i zmieniała je potem często. Uznawano ogólnie, że była uczciwą i pracowitą, ale ponura jak noc i popędliwa jak burza, nikogo do siebie nie przywiązywała i sama z nikim żadnym trwałym węzłem spoić się nie mogła. Od czasu pewnego szczególniej zaczęła ona spadać coraz niżej. Raz idąc przez ulicę z koszykiem w ręku, posłana zapewne po sprawunki, spotkała Rozalię. Zrazu zdawała się być zadowoloną z widoku dawnej znajomej swej. Przywitały się. Było to już w lat kilka po owej porze, gdy mieszkały na jednym dziedzińcu.

— Cóż tam z wami? — zapytała Brygida. — Matka twoja żyje?

Rozalia rozgadała się ze zwykłą sobie łatwością. Matka jej od paru już lat nie opuszczała łóżka. Artretyzm miała w rękach i nogach, wychudła strasznie i leży sobie biedactwo, niby figurka woskowa, tak żółta i nieruchoma. Ale nie skarży się nigdy na nic, nie narzeka, nie wybredza; czasem tylko stęknie z bólu, i to w nocy, kiedy myśli, że Rozalia śpi i nikt a nikt słyszeć tego nie może. Żyją ze sprzedaży robótek Rozalii i z tego, co im przysyłają obywatele okoliczni. Przysyłają! przysyłają! pani marszałkowa to beczkę kartofli, to trochę krup i bułkę chleba; Saniccy to kilka rubli, to kilka złotych, jak mogą, bo oni też w interesach nieszczególnych,

Odropolski trzy ruble na miesiąc regularnie, i inni, jeszcze inni. Pomimo to przymierają czasem głodem, a mieszkanie mają takie, że w zimie szron i lód na ścianach. Cóż robić jednak? Zrobiły to, co powinny były zrobić, i nie skarżą się na nikogo. Nikt im nic nie zawinił, a nawet, gdyby nie choroba matki, wcale by im źle nie było. Spokojne mają sumienie.

— A ty, Bryniu?

Brygida niechętnie ręką skinęła. Zwyczajem swoim do zwierzeń nie była skłonną. Rozalia w zamian mówiła za nią i za siebie.

— Aha! wiesz, ten twój konkurent dawniejszy ożenił się. Wypadkiem zaszłam raz do kościoła i trafiłam na jego ślub. Z szewcówną jakąś podobno, ale śliczną dziewczyną, brunetką tak, jak ty.

Po twarzy Brygidy przebiegło kilka szybkich drgnień. Silnym uściśnieniem ręki pożegnała towarzyszkę i prędko odeszła. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków weszła w dziedziniec jakiś, postawiła kosz na ziemi, i z czołem opartym o cegły ślepego jakiegoś muru, z twarzą w dłoniach, krótko i gwałtownie zapłakała. Wielki, czarny pies, który od paru już lat ślad w ślad zawsze za nią chodził, wspiął się na ramię jej i polizał jej rękę. Przestała płakać, pogładziła psa, porwała kosz i dalej pobiegła.

Od tego to dnia właśnie stawała się stopniowo apatyczną i leniwą. Opuszczała ją nawet zwykła jej pracowitość. Ogromne zawsze jej włosy z kruczych stały się popielate, zgasłe oczy obojętnie patrzyły na wszystko i wszystkich, a gdy ze zwiędłą twarzą wpółukrytą w starą zrudziałą chustkę przechodzi ulice miasta, za nią idzie zawsze pies jakiś, za którym ona ogląda się niekiedy tak troskliwie, jak gdyby przedstawiał on całe już jej dobro na świecie i całe kochanie. Często tygodniami i miesiącami zostaje bez służby. Wtedy mieszka z matką, żyjącą w małej izdebce znajdującej się w starych i opuszczonych murach klasztornych, a w której bezpłatnie mieszkać pozwala jej zwierzchność kościelna. W porach tych bezrobocia Brygida najmuje się dziennie do prania, maglowania, oprzątania mieszkań, które miejscowych sług nie posiadają, nawet do noszenia wody, a Żyrewiczowa...

Wszystkie mniej więcej dostatnie rodziny mieszkające w Ongrodzie znają kobiecinę szczupłą i mizerną, która do mieszkań ich wchodzi od czasu do czasu, w sukni podartej, lecz ozdobionej strzępkami różnych frędzli i wstążek, w kapeluszu starym również, lecz przystrojonym, zmokłym najczęściej, odwiecznym piórem i starannie na ufryzowane nioby włożonym. Posuwistym i dygającym krokiem zbliża się ona do gospodyni domu i jeżeli to jest pierwsza wizyta, podaje jej we czworo złożony arkusz papieru.

Na papierze tym znajduje się długie pisanie zaczynające się od słów: „Jaśnie wielmożni państwo dobrodziejstwo! Ze szlachetnej familii pochodząca, podupadła na zdrowiu i majątku wdowa po urzędniku ośmiela się wnieść błagające oczy ku wspaniałomyślnym obliczom tych, którzy..." itd.

Jeżeli przychodzi do domów, w których już jest znaną, nie podaje już papieru owego, ale staje o kilka kroków ode drzwi i błękitnymi zawsze jak turkusy oczami patrzy w twarze obecnych; spojrzeniem tym zdaje się prosić, aby obeszli się z nią dobrze i choć na chwilę przypuścili ją do towarzystwa swego. Przez współczucie, z nudy, dla przepędzenia czasu czynią to niektórzy. Proszą ją, aby weszła do bawialnego pokoju, gdzie siada ona, zaledwie połowę krzesła zająć śmiąc, lecz wnet korzystając ze sposobności powiedzenia czegoś o swoich dawnych czasach. Zapytana o przeszłość, zaczyna zwykle od „domu rodziców swoich".

— Kiedy byłam w domu rodziców moich — mówi — nazywano mię Sylfidą.

— Dlaczegóż to? — pytają obecni.

Z rumieńcem i uśmiechem spogląda na kibić swą i odpowiada:

— Taka byłam zawsze szczupła, wiotka... — Potem mówi jeszcze, że nieboszczyk mąż jej i cała jego rodzina nazywali ją Zefirkiem, a to dlatego, że nadzwyczaj lekko tańczyła i taki miała charakter, że nigdy żadnego stałego postanowienia zrobić nie mogła... Dziś to, jutro tamto jej się podoba, zwyczajnie, gdy człowiek w szczęściu i wygodach wszelkich zostaje...

Szczególniej pożądliwymi oczami patrzyła ona zwykle na wszelki fortepian. Wiedziano o tym, że kiedyś grać i śpiewać umiała i czasem dla rozrywki albo i dla zrobienia jej przyjemności proszono ją, aby siadła do fortepianu. Czyni to zawsze z uszczęśliwieniem widocznym: zdejmuje rękawiczki z podartymi palcami i błogo uśmiechając się uderza kilka cichych, smętnych, trochę fałszywych akordów. Dzieci domu chichoczą po kątach pokoju, dorośli uśmiechają się z litością lub ironicznie ruszają ramionami, ale ona, zachwycona fortepianem, talentem swym i zaszczytnym towarzystwem, w którym się znajduje, głosem czystym i dźwięcznym, ale nadzwyczaj słabym i co chwila konającym śpiewać zaczyna:

O, powiedz mu, że niepojęta siła...

Umie wiele innych jeszcze piosenek, a po tamtej najulubieńszą z nich jest dla niej:

O gwiazdeczko, coś błyszczała,
Gdym ujrzała świat!
Czemuż, czemuż, gwiazdko mała itd.

Najczęściej, w chwili właśnie gdy w największym zapale dośpiewywała drugą czy trzecią strofę swej piosenki, do pokoju wchodzi gość albo pan domu, który nie lubi jej, czy też po pracy zgłodniały dopomina się o obiad lub wieczerzę. Wtedy wkładają jej w rękę parę złotych i dają do zrozumienia, a w niektórych miejscach mówią nawet otwarcie, aby co prędzej szła sobie precz.

(Z różnych sfer)

MIKOŁAJ RODOĆ

BOŻE, JAK TY RZĄDZISZ ŚWIATEM

Boże! jak Ty rządzisz światem!
Nogami staje do góry!
Dzisiaj plebejuszów córy
Chcą się równać z patrycjatem!
Dziś mieszczka tak prosto chodzi,
Jakby pokrewna magnacka;
Jak ja! Jak ja, którą rodzi
Z Starogratów Odrapacka!

Na przykład ta pani Iwo?
Chwalą, że jest ugrzeczniona,
Jakiegoś tam radcy żona!
Naturalnie! Wielkie dziwo!
I z czegóż ma być nadęta?
Mimo to, młodzież wariacka
Wciąż jej prawi komplementa;
A nudzi się — Odrapacka.

U ciotki, na imieniny,
Był muzykalny poranek;
Siedziałam wpośród mieszczanek
Przez całe cztery godziny.
Krzywiłam ciągle ustami
I odjechałam znienacka.
Musiałam; z urzędniczkami
Nie rozmawia Odrapacka!

Ewelina Zadarnoska
Idzie za mąż, w Bialskie strony,
Pan Bogdan, jej narzeczony,
Do rzeczy, jest tam i wioska;

Wszyscy jej zazdroszczą losów.
Bogdan... to jakoś z kozacka?
To dobre dla Zadarnosów,
Nie zazdrości Odrapacka.

Od pozaprzeszłej niedzieli,
Chyba już nie pójdę zgoła
Nigdy w życiu do kościoła.
Wchodzę, idę wprost jak strzeli...
Ławka pełna w pierwszym rzędzie!
To obelga świętokradzka!
Wyszłam; nigdy nie usiędzie
Gdzieś tam w środku Odrapacka!

Pan brat, widząc herb z koroną
Na mej wizytowej karcie,
Śmiał się; ja po takim żarcie,
Padłam jak długa zemdloną!
Śmiać się z herbu „Oślagłowa"!
A to idea cudacka!
Podobnych zniewag nie chowa
Do kieszeni Odrapacka!

Najbardziej mi serce ściska
Obejście mojej Malwinki;
Robi tak potulne minki,
Jakby mieszczka bez nazwiska.
Co to będzie! Kiedyś! Potem!
Moje wnuki! Krew magnacka!
Gotowe zapomnieć o tym,
Że je rodzi Odrapacka.

(*Satyry obyczajowe*)

BOLESŁAW PRUS

STARA BAJKA

Kiedy śp. sędzia Furdasiński przeniósł się tam, gdzie wedle słów proboszcza miał pobierać wiekuiste czynsze z kapitału swoich cnót i zasług, na Furdasówce nie było ani grosza długu.

Nie podobało się to jednak synowi i dziedzicowi zmarłego, który zawsze mawiał, że w tych czasach tylko Żydzi i mechesy nie mają długów, i — hipoteka zaczęła się obciążać.

Zresztą młody pan Furdasiński był poczciwy chłopak. Wstawał o szóstej i, jako rolnik z krwi i kości, hasał konno po polach do ósmej. Nieraz w tych wycieczkach upatrzył sobie ładną dziewczynę, której w najbliższe święto kupował gorset i chustkę, a nawet czasem, po upływie roku, dawał jej krowę i paręset złotych gotówką.

O ósmej pił śniadanie, potem uczył swego szpaka gadać lub gwizdać, koło południa jadł drugie śniadanie, po śniadaniu trochę drzemał, o czwartej spożywał obiad, a po obiedzie albo znowu uczył szpaka i rozmawiał z ekonomem, albo jechał do sąsiadów na partyjkę. Regularny tryb życia łamał się parę razy na rok, mianowicie w czasie karnawału i w czasie wyścigów; wtedy bowiem pan Furdasiński zabierał karetę, cztery konie, furmana, lokaja i chłopca i jechał na cały miesiąc do Warszawy.

Niekiedy po upływie miesiąca dwór sam wracał na wieś. Był to znak, że pan Furdasiński udaje się za granicę.

Marszałek Mazajło-Skrobejko, najbliższy sąsiad, który miał trzy dorosłe córki, przez przyjaźń dla śp. sędziego często upominał dziedzica radząc mu, aby się jak najrychlej żenił.

— Myślę o tym — odparł pan Furdasiński. — Właśnie kupiłem meble.

Marszałek spojrzał spod oka na fotele obite amarantowym aksamitem i na fortepian Bechsteina okryty warstwą kurzu i rzekł:

— No tak, meble!... Ale niepotrzebnie karmisz tyle służby w domu.

— A cóż, mam ich wygnać? Przecież na nas, na obywatelstwie, ciąży obowiązek dostarczania ludziom pracy, ażeby nie kradli.

— Te wędrówki do Paryża także na nic — mówił marszałek.

— Co też marszałek baje! Cóż bym ja był za Polak, żebym choć raz na kilka lat nie zajrzał do Paryża?... Paryż to jak Warszawa i Kraków.

— Wiedeńska wystawa także zjadła sporo grosza...

— Obywatel u nas nie może być tylko rolnikiem — odpowiadał pan Furdasiński. — Musimy badać przemysł.

— No, ale Monaco...

— Wszystko na świecie trzeba poznać! — przerwał mu młody dziedzic i zbliżywszy się do okna, w którym wisiała klatka ze szpakiem, zagwizdał walca Straussa.

Pojętny ptak pochwycił natychmiast melodię, lecz urwawszy ją w połowie, odśpiewał kilka taktów: *Rachelo, kiedy pan...*, a zakończył: *Gdyby rannym słonkiem...*

Ponieważ młody dziedzic nie zmieniał trybu życia, więc majątek topniał z godną podziwu szybkością. Nawet marszałek stracił serce do syna swego przyjaciela i oświadczył publicznie, że nigdy nie miał zamiaru przyjąć go za swego zięcia, a jeżeli wstępował do Furdasówki, to tylko przez pamięć dla śp. sędziego. Przy tym robił coraz surowsze wymówki młodemu panu i co kilka dni powtarzał:

— Diabli wzięli Furdasówkę!...

Przyszła nareszcie chwila, że pan Furdasiński nie obsiał pól, nie zapłacił procentów wierzycielom ani rat w Towarzystwie Kredytowym. Cugowe konie schudły, służba rozbiegła się, sąsiedzi zerwali stosunki, a młody dziedzic — nie miał mięsa na obiad.

Otyły marszałek, usłyszawszy o tym, dostał małego ataku apopleksji. Tydzień leżał w łóżku, wreszcie pojechał do pana Furdasińskiego z ostatnią wizytą.

Właśnie dziedzic uczył swego szpaka arii: *La donna e mobile*, kiedy zasapany marszałek wbiegł do salonu i rzuciwszy się na kanapę zaczął:

— Cóż to, subhastują cię?...

— Podobno.

Marszałek wzruszył ramionami i podniósł oczy do nieba.

— A ileż ci zostanie z majątku, jeżeli wolno spytać?... — rzekł.

— Ze dwadzieścia tysięcy rubli...

— Te, te, te!... Towarzystwa masz dziesięć tysięcy. Długów hipotecznych...

— Parę tysięcy rubli.

— Parę?... — spytał oburzony marszałek. — Jest przeszło piętnaście tysięcy rubli zapisanych... A rewersa?

— No, tych śmieci będzie może na kilkaset rubli.

— Kilkaset? — krzyknął marszałek. — Wszyscy Żydzi lamentują, żeś bankrut i że im nie zapłacisz!... Posłuchaj — dodał usiłując zapanować nad sobą. — Przez pamięć dla śp. ojca obrachowałem twoje długi i wartość majątku nie wyłączając powozów i mebli. Otóż mówię ci — nie masz nic!... Grosza stąd nie wyniesiesz, jeszcze ci masa długów zostanie, bo za te grunta dadzą najwyżej po dwa tysiące rubli za włókę... Czeka cię nędza.

— Wszystko na świecie trzeba poznać! — odrzekł spokojnie pan Furdasiński.

Marszałek podniósł się z łoskotem.

— Władku! — rzekł — czy przez pamięć dla twego śp. ojca mogę co zrobić dla ciebie?

— Owszem — odpowiedział. — Może pan zechce przyjąć ode mnie na pamiątkę ten fortepian. Pyszny!... Koncertowy Bechstein; ani razu na nim nie grałem...

Twarz marszałka zrobiła się fioletową. Zacisnął pięści i wrzasnął:

— Smar... Smaku nie masz acan!

Wybiegł z pokoju, a za chwilę przyszedł furman po czapkę, której wzburzony pan zapomniał.

Od tej chwili aż do dnia licytacji pan Furdasiński był już sam jak palec. Nie tracąc jednak humoru chodził po pokoju i palił fajkę, a jego szpak gwizdał kawałki rozmaitych melodyj albo wołał:

— Diabli wzięli Furdasówkę!...

Pan Furdasiński oburzył się.

— Wołaj — rzekł do szpaka — ośle jakiś, to, czegom ja cię uczył: „Złodzieje! Żydy!..."

— Diabli wzięli Furdasówkę!... — odpowiedział szpak, pilnie przypatrując się swemu panu.

Był pewien, że mówi dobrze.

Licytacja majątku przyniosła cały szereg niespodzianek. Naprzód majątek poszedł nie po dwa tysiące, lecz po dwa tysiące pięćset rubli włóka, skutkiem czego, dołączywszy sprzedaż mebli, zbytecznej garderoby, pan Furdasiński nie tylko co do grosza spłacił najmniejsze nawet długi, ale jeszcze sam wziął do ręki około tysiąca rubli gotówką. Po wtóre majątek kupił chłop z tej samej wsi, Kuba Grzyb, i od razu na stół położył trzydzieści osiem tysięcy rubli.

Widząc, że chłop z siwymi włosami, nastroszonymi jak szopa, wydobywa z kobieli sturublowe bankocetle, pan Furdasiński odezwał się:

— I wy, Kubo, naprawdę kupujecie folwark?

Stary zdjął czapkę i pochylił mu się do nóg.

— Patrzyłby mi się — rzekł — folwark choćby za pięćdziesiąt tysięcy, bo mam kupę holoty, ale, za pozwoleniem jaśnie pana, wezmę i ten, bo zawdyk lepi, co by się swoje zostało przy swoich. Nowe pomiary to ta będą jeszcze nieprędko, więc trza kupić, kiej się nadarza okazja.

— I sami będziecie gospodarowali?... — spytał pan Furdasiński.

Stary znowu schylił mu się do kolan, aż siwymi lokami dotknął ziemi.

— A bo ja głupi, jaśnie panie — odparł — rwać się do tego, czemu jaśnie pan nie wydołał?... Ja tam już do wezwania boskiego zostanę chłopem, a na ten folwark sprowadzam se wokomona aż spod Kalisza, tego Bydłowskiego, co go jeszcze jaśnie wociec za czasu pańszczyzny miał pisarzem prewentowym.

— A cóż to, bliżej nie mieliście kogo?

— Dopraszam się łaski jaśnie pana, to było tak — mówił chłop. — Jak ino Żydy wzięły gadać, co Furdasówkę >licytują, to zaraz mój najstarszy zakładał se, żeby jaśnie pana uprosić za rządcego...

— No, ja nie — przerwał Furdasiński rumieniąc się.

— Właśnie też tak rzekła moja baba, że jaśnie panu nijako być u chłopa w obowiązku, a jeszcze ja se pomyślałem, że kiedy on, niebożę, na swoim nie mógł wydołać, to mu na cudzym będzie gorzej...

Pan Furdasiński zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Więc wtedy — mówił chłop — rzekłem: bast! I zaraz se pomyślałem o Bydłowskim.

— Żeście o nim nie zapomnieli? — wtrącił były dziedzic — boć on u nas nie mieszka już ze dwadzieście lat.

— O, ja jego dobrze pamiętam — rzekł chłop — bo on przecie nas bijał. I tak było, że raz jaśnie wociec kazał nam kilku wyasygnować po dziesięć witek za to, żeśmy trochę zaniedbali sianokos. I kiedy na mnie przyszła kolej, Bydłowski prawi: „Naści, chłopie, dziesięć letkich witek za pańskie siano, co zginęło. A tera, ino se wciąż ligaj, dołożę ci piętnaście mocnych za twoje zgnite siano. — Ha! — mówię — panie pisarzu, co prawda to prawda: zepsułem se siano przez jarmark!" A on jak mi nie sypnie!... Aż, z przeproszeniem jaśnie pana, w nosie mnie zakręciło... Zara se wtedy zmiarkowałem, że to człek sprawiedliwy — kończył chłop. — I rzekłem teraz do baby: „Bydłowski będzie u nas gospodarował, bo już wtedy on dbał o nasze, kiedyśmy jeszcze sami nie dbali..."

Wysłuchawszy z oznakami niecierpliwości rozwlekłej mowy chłopa pan Furdasiński cofnął się do dworu. Chodził po pokoju dumając i paląc fajkę, a szpak od czasu do czasu wrzeszczał:

— Diabli wzięli Furdasówkę!...

Pan Furdasiński z początku tylko chrząkał, a w końcu gniewnie zawołał:

— Dobrze zrobili, że wzięli! . . . .

Istotnie, czuł tu jakąś duszność, może dlatego, że właśnie zbliżała się pora letnich wycieczek, a może z innych powodów.

Nad wieczorem zobaczył przez okno nastroszoną siwiznę Grzyba.

Stary chłop cierpliwie stał przed gankiem, trzymając czapkę w ręku. Pan Furdasiński prędko wyszedł do niego.

— A czego tu chcecie, Kubo? — spytał.

Chłopu trzęsła się głowa. Nagle podbiegł do byłego dziedzica i objął go za nogi.

— Ostańcie z nami, jaśnie panie — mówił stary. — Chleba nam tu nie zabraknie, a pół dworu oddam wam do śmierci.

Pana Furdasińskiego tak zamdliło w sercu, jakby przed śniadaniem. Zaczął mrugać, ale cofnął się do ganku i odparł.

— Nie mogę... Nie wypada...

— Zaznacie wiele biedy na świecie — mówił stary.

— Wszystko trzeba poznać...

Stary podbiegł ku wrotom i machając czapką, wołał:

— Dzieci, żono, a chodźta, bo mnie nie słucha!...

Wtedy przed ganek wypadła gromada starszych i młodszych chłopów i kobiet wielkim głosem zaklinając jaśnie pana, ażeby został.

Rzewnie zapłakał pan Furdasiński, ale zarazem oświadczył, że jeszcze dziś chce jechać do kolei.

— Chowajcie mi tu szpaka — prosił — dopóki miejsca nie znajdę... Potem odeszlecie...

Grzyb poznał, że pan zaciął się.

— Ha! — rzekł — kiedy tak, to jedźcie, jaśnie panie. Ale jeżeli wam bieda dokuczy, jak Bóg w niebie, dajcie mi znać. Zawdyk my, choć chłopi, wam najbliżsi...

Gdy zeszły na niebie gwiazdy, najstarszy syn Grzyba zajechał przede dwór porządnym wasągiem.

Pan Furdasiński wyniósł nieduży tłumoczek i z zapalonym cygarem siadł na wóz. Szpak, zbudzony światłem, ocknął się i krzyknął:

— Diabli wzięli Furdasówkę!...

Małe, lecz silne koniki w parcianej uprzęży ruszyły z miejsca. Pana nie miał już kto żegnać, tylko głodne od paru dni psy podwórzowe, skamląc, podskakiwały do wozu; lecz od gościńca wróciły znowu do dworu pilnować reszty dobytku. Myślały, że i dzisiaj ich pan wyjechał tylko na partyjkę w sąsiedztwo...

Szlachcic siedział ostro na wozie, w sławuckiej burce, w granatowej czapce z daszkiem na bakier, czerstwy, wyprostowany. Czasami, gdy wyjrzał na drogę, która ciągle ginęła we mgle nocnej, chwytał go za gardło strach i żal. Ale wtedy mocno odchrząknął, głębiej zaciągnął się dymem cygara i mruczał:

— Wszystko na świecie trzeba poznać.

W Warszawie stanął w Europejskim Hotelu, sprawił nowy garnitur i starał się odświeżyć zeszłoroczne znajomości. Spostrzegłszy jednak po tygodniu, że wydał kilkaset rubli i stracił serca swoich,

wyniósł się do Hotelu Saskiego. Po paru tygodniach wyprowadził się na Dziekankę, a stamtąd aż na Nowolipki, widząc z przerażeniem, że pieniądze uciekają mu jak woda ze spaczonej konewki.

Dużo też myślał o przyszłości. Z początku miał zamiar ożenić się z córką jakiego milionera, kupić parę domów i — mieszkać za granicą. Potem zdecydował się przyjąć jakąś posadę, choćby dyrektora kolei albo cukrowni. Lecz w tydzień później już zdziwiłby się, gdyby kto chciał utrzymywać, że jemu Furdasińskiemu, żadną miarą nie wypada zostać plenipotentem lub rządcą jakiego majątku. Zaś w kilka dni zgodziłby się i na posadę kasjera lub sekretarza przy jakiejś miejskiej instytucji.

W końcu z resztek pieniędzy zostało mu niecałe trzysta rubli. Mieszkał już w brudnym zajeździe na Nowolipkach, jadał pięćdziesięciogroszowe obiady i odłożył dwa ostatnie sturublowe banknoty do oddzielnego przedziału w pugilaresie przysięgając, że tych nie wyda.

Jednocześnie dał do *Kuriera* ogłoszenie „o obywatelu ziemskim w sile wieku i kawalerze, który posiada kaucję i poszukuje odpowiedniego zajęcia" i — pilnie zaczął śledzić część dzienników zatytułowaną: *Posady i prace*.

Gdy oprócz dwu owych sturublówek na kaucję, miał niecałe dziesięć rubli majątku, wpadło mu w oczy ogłoszenie:

„Do biura informacji potrzebny inkasent z kaucją. Pierwszeństwo mają kawalerowie znający prowincję".

Pan Furdasiński zarumienił się z radości. Była to posada widocznie dla niego, gdyż jakkolwiek nie wiedział dobrze, co znaczy inkasent, lecz był kawalerem i znał prowincję... Ba! znał Paryż...

Ponieważ ogłoszenie to przeczytał będąc w cukierni, więc kazał zaraz podać, zamiast czystej herbaty, filiżankę kawy i kieliszek abricotiny; wypił to duszkiem i pobiegł pod wskazany adres. Idąc kupił jeszcze cygar po dwadzieścia kopiejek, ale tylko pięć sztuk dla oszczędności.

W kantorze znalazł parę czarno lakierowanych stołów, na których leżały stosy aktów, kasę ogniotrwałą i obok niej na ścianie kilka pęków kartek, zapisanych liczbami. Wszystkiego pilnował człowiek, który siedział na fotelu skórą obitym i czyścił sobie paznokcie.

Na widok pana Furdasińskiego człowiek z kantoru zerwał się na równe nogi. Był to jegomość dziwnie ruchliwy, z nadzwyczaj bystrymi oczyma, źle uczesany, niedbale ubrany, ale bardzo grzeczny.

— Czym szanownemu panu mogę służyć? — zapytał nisko kłaniając się i podsuwając panu Furdasińskiemu fotel, jedyny sprzęt, na którym można było usiąść.

Szlachcic zmieszał się i rzekł prawie pokornie, choć chciał nadrobić miną:

— Czytałem ogłoszenie o... tym inkasencie...

— Ach tak — przerwał gospodarz i prędko usiadłszy na fotelu zaczął znowu skrobać paznokcie.

Po chwili zaś, spod oka patrząc na suplikanta, zaczął pytać:

— Jakie pan ma kwalifikacje?

— Miałem wieś Furdasówkę...

— Fiu! — gwizdnął gospodarz. — Ale ja się pytam o kwalifikacje naukowe?

— Byłem w gimnazjum... Także za granicą... Umiem nieźle mówić po francusku — dodał nieco głośniej pan Furdasiński.

— Fiu!... A jaką kaucję pan ma?

— Dwieście rubli...

— Mało. U mnie, panie, robią się interesa na setki tysięcy rubli. Można mieć duże dochody, ale — potrzeba złożyć kaucję. Nieraz będziesz pan musiał podnieść z banku jakieś kilkanaście tysięcy... Muszę mieć pewność.

Pan Furdasiński, znękany przez widmo nadciągającej biedy, stał jak uczeń na egzaminie.

— Widzi pan — rzekł zawstydzony — chwilowo nie mogę...

— Aha!... No... — przerwał właściciel kantoru. — Pańskie szczęście, że mi się podobasz. Siadaj więc i napisz swoje *curriculum vitae*. wymieniając osoby, które pana znają. Ale poważne osoby!...

Wstał z fotelu i przysunął niedbale panu Furdasińskiemu papier i kałamarz, w którym atrament zgęstniał jak smoła, zapewne z ciągłego użycia.

— Ale. ale — dodał — ja teraz muszę odnieść pewną sumę do Banku Handlowego i na pół godziny zostawię kantor pod pańską opieką. Woźny ma dziś pogrzeb...

Otworzył z ogromnym trzaskiem kasę ogniotrwałą i począł z niej wydobywać koperty, napełnione różnokolorowymi wartościami, mrucząc:

— Bank Polski trzy tysiące... jutro o dziesiątej... Bank Dyskontowy dwa tysiące osiemset jutro... O! jest Bank Handlowy...

Nagle zwrócił się do pana Furdasińskiego.

— Nie możesz mi pan zmienić dwieście pięćdziesiąt guldenów na ruble?

— A ileż to trzeba? — odparł zapytany gryząc pióro.

— Dwieście rubli z czymś... Zresztą daj pan tymczasem dwieście.

Pan Furdasiński wydobył dwie ostatnie tęczówki, a właściciel kantoru, odwróciwszy się do kasy, liczył guldeny.

— Pięćdziesiąt... sto... sto pięćdziesiąt... Zmienisz pan to u wekslarza obok. Ale... A po ile pan weźmiesz za guldena? —

rzekł nagle, i lekko wysunąwszy z ręki panu Furdasińskiemu stu-rublówki, z szybkością magika schował je do swej koperty.

— Czy ja wiem, ile mi dadzą — odparł pan Furdasiński.

— Tym sposobem straciłbyś pan pół kopiejki na rublu, czyli rubla na dwustu — i po kilku podobnych operacjach stopniałaby kaucja. Bo ja za pańskie omyłki płacić nie myślę.

— No — dodał — ale na pierwszy raz mniejsza o to. Sam, jak będę wracał, wymienię panu u wekslarza guldeny. Teraz niech pan szybko pisze swoje *curriculum vitae*, a gdyby przyszedł jaki interesant, proszę powiedzieć, że wrócę z banku dopiero za pół godziny.

Zamknął kasę, ogromną kopertę wziął pod pachę i wybiegł.

Pan Furdasiński zaczął pisać:

„Urodziłem się w Furdasówce..."

Przekreślił i zaczął na nowo.

„Przyszedłszy na świat w majątku dziedzicznym Furdasówka..."

Więcej nie umiał dodać ani wyrazu. Wziął więc pióro w zęby i zamyślony oparł głowę na rękach.

W tej chwili gwałtownie otworzyły się drzwi.

— Ha! Mam cię, oszuście!...

Pan Furdasiński zerwał się na równe nogi i stanął oko w oko z jakimś zaperzonym człowiekiem, który trzymał potężny kij w garści, widocznie gotując się do zadania nim ciosu.

Obaj panowie patrzyli na siebie przez kilka sekund zdziwieni.

— Przepraszam! — bąknął gwałtowny przybysz. — Ale... gdzie jest ten oszust?...

— Jaki oszust?...

— Ten... dyrektor kantoru... Dyrektor!... Hultaj, który kradnie uczciwym ludziom kaucje i fałszuje weksle...

— On kradnie kaucje? — spytał przerażony Furdasiński.

— Czy może i pana naciągnął? — spytał na odwrót popędliwy nieznajomy.

— W tej chwili wziął ode mnie dwieście rubli...

— Cha! Cha!... — zaśmiał się przybysz. — To on już nie wróci. Ale ja znajdę go w knajpie...

I wybiegł wywijając kijem w sposób znaczący.

Pan Furdasiński stał odurzony. Był już nędzarzem, miał niecałe dziesięć rubli... Nim jednak zdążył zebrać myśli, wbrew przewidywaniom człowieka z dużym kijem, ukazał się — właściciel kantoru. Uśmiechnięty, nucił coś pod nosem.

— Cóż, *curriculum vitae* skończone? — zapytał pana Furdasińskiego. Musisz pan zaraz objąć swoje obowiązki i posiedzieć do trzeciej, gdyż wypadł mi nagły interes do hipoteki.

— A moje dwieście rubli? — rzekł ostro pan Furdasiński.

— Pójdą na kaucję — odparł najspokojniej dyrektor kantoru.

— Bóg zapłać! — odparł pan Furdasiński. — Był tu dopiero ktoś u pana, także po kaucję... Szuka pana po całym mieście i nazywa oszustem... Oddaj mi pan moje dwieście rubli, to ostatni grosz...

Dyrektor oburzył się.

— Słowo honoru daję, że to jakiś intrygant chce mi oficjalistę zbałamucić. Ale nie wierz pan tym plotkom!... Słowo honoru...

— Żądam moich dwustu rubli — mówił do głębi wstrząśnięty pan Furdasiński. — Jeżeli mi nie oddasz, zawołam policji...

Dyrektor od razu zmienił ton.

— Fiu! Kochanku — zawołał — toś i ty taki dobry, jak inni! Masz niby to poczciwą minę, a grozisz policją?... A gdzie dowód, żeś mi dał pieniądze?... Jeżeli ja jestem łotrem, który nie zasługuje na ufność, to trzeba mieć kwit...

— Ja nie mówię, że panu nie ufam... — przerwał pan Furdasiński łamiąc sobie palce w bezsilnym gniewie.

— A, jeżeli mi pan ufasz, więc oddam ci pieniądze za parę dni...

— Chcę zaraz!...

— Nie ma głupich.

— Zrobię panu awanturę... pójdę do prokuratora... — wołał pan Furdasiński, nie wiedząc już co mówi.

— Kochany panie — odparł dyrektor chłodno. — Mnie już robili awantury, nazywali oszustem, skarżyli... To dla mnie chleb codzienny. Ale, jeżeli ty chcesz awantury ze mną, więc dobrze. Nie oddam ci pieniędzy, dopóki nie pokażesz kwitu, żem je wziął, a jak będziesz robił wrzaski, każę się zaprowadzić do cyrkułu.

Panu Furdasińskiemu zaczęło mącić się w głowie. Dyrektor tymczasem usiadł na fotelu i, wydobywszy z kieszeni pilniczek, zaczął znowu skrobać paznokcie.

Wszelako osobliwy ten kantor był domem niespodzianek. W tej bowiem chwili weszła tu sędziwa kobieta, z włosami białymi jak mleko i niezwykle piękną twarzą. Gdyby nie zaczerwienione od płaczu powieki i usta drgające jakimś wielkim żalem, można by myśleć, że to nie osoba żyjąca, ale ubrany czarno posąg Nioby.

Staruszka ruchem pełnym godności skinęła głową panu Furdasińskiemu i szybko zbliżyła się do dyrektora, który zerwał się z fotelu i stał zmieszany.

Dama z trudnością hamując wybuch płaczu mówiła do dyrektora:

— Coś ty znowu zrobił, nieszczęsne dziecko?... Przed godziną wpadł do mnie jakiś awanturnik i lżył cię... tak strasznymi wyrazami, że... zemdlałam z bólu...

I, chwytając go za rękę, dodała błagalnym tonem:

— Czy to może być prawda, dziecko, co on mówił!?... Tu coś dzieje się, o czym ja muszę się dowiedzieć, chociaż... bodajbym pierwej była w grobie...

Płakała cicho, zasłaniając chustką usta. Dyrektor ze czcią posadził ją na fotelu i otarł pot, który mu wystąpił na czoło. Był prawie tak blady, jak staruszka. Zwrócił się na chwilę do pana Furdasińskiego i szepnął:

— Wyjdź pan stąd...

Pan Furdasiński nie ruszył się. Widmo nędzy zrobiło go brutalem.

Staruszka mówiła półgłosem:

— Tamten... awanturnik... twierdzi, żeś wziął od niego jakąś kaucję... Krzyczał, żeś ty... o mój Boże!...

— Kochana mamo — odparł dyrektor — czy mama nie rozumie, że to są figle moich współzawodników?... Podkopują mi kredyt i burzą domowy spokój...

— Pokazywał mi twój kwit — szepnęła matka.

— No, wielka rzecz! Więc oddam mu pieniądze za pół roku, bo taki jest termin na zwrot kaucji. Był to niesumienny oficjalista, którego musiałem oddalić.

— Oddajże mu dziś choć trochę.

Dyrektor zawahał się.

— Zresztą — rzekł niecierpliwie — dam mu jakieś *d conto* w tych dniach.

— To może i mnie odda pan dwieście rubli? — odezwał się pan Furdasiński.

Staruszka zatrzęsła się i, ze wstrętem odwracając głowę od nieznajomego człowieka, zapytała gwałtownie syna:

— Dziecko, co to jest?... Co on mówi?...

Ale cyniczny właściciel kantoru tym razem milczał. Głowa zwisła mu na piersi i opadły ręce.

Pan Furdasiński pochwycił:

— Ostatnie dwieście rubli wziął ode mnie syn pani i mówi, że ich nie odda, bo... nie mam jego kwitu!...

Staruszce łzy obeschły.

— Dziecko — zapytała — czy to prawda?

Dyrektor ukradkiem rzucił groźne spojrzenie na pana Furdasińskiego, ale milczał. Był bardzo zmieniony.

Staruszka wstała z fotelu i głosem spokojnym a stanowczym rzekła:

— Trzeba zaspokoić tego pana.

— Nie mam pieniędzy — szepnął syn.

— Więc daj mu rewers i płać ratami, ale spłać go... Spłać ich wszystkich, bo...

Nie dokończyła i nie spojrzawszy na syna wyszła z kantoru.

Była chwila ciszy. Przerwał ją dyrektor chwytając gniewnie za papier i pióro. Napisał kwit i podał go panu Furdasińskiemu.

— Masz pan — rzekł — kwit na twoje dwieście rubli. Nikt ci nie da dziś za to ani grosza, ale ja go spłacę, po pięć rubli tygodniowo, począwszy od listopada. Teraz sam nie mam nic...

— Ale — dodał topiąc w nim spojrzenie drapieżnego ptaka — domu pan nie nachodź... matki mi nie dręcz... Bo, przysięgam ci, będziesz tego żałował!...

Wskazał mu drzwi i mruknął:

— Pierwsza rata w listopadzie...

Pan Furdasiński wyszedł odurzony. Nie wiedząc dlaczego był pewny swoich dwustu rubli, ale — w ratach tygodniowych i dopiero w listopadzie. Teraz, przy końcu września, był nędzarzem.

Na myśl o tym ciarki go przeszły, nie tracąc jednak humoru rzekł do siebie na cały głos:

— Wszystko na świecie trzeba poznać!...

Aż obejrzały się dwie idące przed nim ładne panienki.

Jeszcze kilka dni mieszkał na Nalewkach. Rano i wieczorem pijał herbatę w swoim zajeździe, a na obiad kupował w mieście kilka bułek i serdelków. W tej epoce można go było spotkać w Saskim Ogrodzie, gdzie chodząc po głównych alejach, z kwiatkiem w dziurce od guzika, na pozór przypatrywał się swoim kolorowym kamaszom i nucił kilka wyrazów z arii „Łaski!" — ale duszę miał pełną rozpaczy.

Jednego dnia gospodarz zajazdu podał mu rachunek. Należało się siedem rubli. Pan Furdasiński z miną Rotszylda zapłacił pięć rubli, a na dwa kazał zaczekać, gdyż obecnie nie ma drobnych. Żyd zgodził się bez trudności, wiedząc, że ma w swej mocy tłumoczek i paszport lokatora.

Pan Furdasiński wyszedł na miasto. Maszerował krokiem austriackiego porucznika; ustępując damom wyginał się w sposób pełen wdzięku, obracał w ręku laseczkę jak Kupido. Ale w głowie nie mógł powiązać myśli. Chwilami zdawało mu się, że tam już nic nie ma, tylko rozlegają się echa huczącego miasta. Czasami rzucał się nagle w bok jakby chcąc gdzieś uciec, bo przywidziało mu się, że za nim chodzi wielki wstyd przebrany za zwykłego człowieka.

On, który przed trzema miesiącami spłacił wierzycielom trzydzieści osiem tysięcy rubli, dziś nie ma czym spłacić dwu rubli za hotel!... Z całej ojcowskiej fortuny został mu tłumoczek w zastawie u Żyda i — dwie dziesiątki gotówką.

Chcąc mieć jeszcze drobniejszą monetę, wszedł do sklepu i rzekł:

— Chciałbym kupić bułkę... dla pieska... Może mi pani wyda dwugroszówkami.

Sklepikarka, wydawszy mu pożądane dwugroszniaki, pomyślała, że elegant ten musi mieć dobre serce, bo gdy mówił o bułce, to się jakby zachłysnął, pewnie z wielkiej litości nad pieskiem.

Jedną noc przepędził spacerując po głównych ulicach miasta. W dzień drzemał parę godzin, rozpostarty jak książę, na ławce w Saskim Ogrodzie, zjadł swoją bułkę i, z miną bardzo wspaniałą, kazał sobie podać kufel wody ze studni, ale — nic nie zapłacił. Drugą noc przepędził również na spacerze, a o wschodzie słońca zasnął tak twardo na ławce w Alejach Jerozolimskich, że go ledwie obudził milicjant, śmiejąc się z tego: „co pan tak wiele wypił..."

Potem już stracił rachubę czasu, trapiła go bowiem senność i gorączka, przy której nawet zapomniał, że mu się jeść chce.

Chwilami, kiedy z zadartą głową, w pomiętym kapelusiku na bakier i z miną wielkiego zarozumialca, przechodził między tłumem ładnych kobiet i ludzi sytych, zajmujących legalne mieszkania, budziła się w nim świadomość losu. Wówczas zręcznie obracał między palcami laseczkę, ozdobioną biustem gołej panny, i mruczał:

— Wszystko na świecie trzeba poznać!...

Nareszcie pewnego wieczora, idąc Nowym Światem do placu Aleksandra, ażeby stamtąd wrócić Nowy Światem na Krakowskie Przedmieście, uczuł, że — trzeba umrzeć. Nie było to uczucie przykre, ale takie, jakiego człowiek doświadcza naówczas, kiedy nagle zechce mu się iść do teatru albo na spacer. W paroksyzmach gorączki zdawało mu się, że jest małym chłopcem i że, jako taki, tęskni już za swoją matką i ojcem.

Wymijając boczną ulicę usłyszał jakiś łoskot, dzwonienie i poświstywanie i — całkiem nieprzytomny — wyobrażał sobie, że to śmierć daje mu znać o sobie. Byłby nawet przysiągł, że jakieś głosy potężne i niecierpliwe wołają prędko:

— Tu jestem... Tu jestem... Tu jestem!...

Skręcił w lewo i biegł ulicą na dół, a nogi mu się plątały. Z granatowego nieba wychylały się do niego figlarne gwiazdy.

Nagle pociemniało mu w oczach, uderzył o coś głową i — już nic nie widział.

Był dzień, kiedy się ocknął. Leżał na tapczanie w obszernej izbie, po której chodzili ludzie o surowych twarzach z zawiniętymi rękawami, usmoleni jak kominiarze. Tapczan i ściany izby drżały, w powietrzu rozlegał się huk, dzwonienie, poświstywanie i hałaśliwe głosy, wołające:

— Tu jestem... Tu jestem...

Do pana Furdasińskiego zbliżył się mężczyzna nieusmolony i w surducie. Wziął go za puls, popatrzył bystro w oczy i kazał mu połknąć kieliszek lekarstwa, które wyglądało na bardzo mocną wódkę.

Chory oprzytomniał, wówczas surdutowy jegomość rzekł:

— Zdaje mi się, że pan Furdasiński?

— Tak.

— Pan byłeś w szkołach w Piotrkowie?

— Tak.

— No, to jesteśmy szkolni koledzy. Ale musiałeś pan przynajmniej tydzień nic nie jeść. Co to znaczy?

Chory przypomniał sobie wszystko. Usiadł na tapczanie i schwyciwszy jegomościa za rękę, szepnął:

— Jestem w bardzo złym położeniu... Szukam zajęcia...

— Znajdziemy. Jakiego pan chcesz?...

— Stróżem zostanę...

— No, nie. Zostaniesz pan, na początek magazynierem w tej fabryce. Tymczasem pójdziesz pan do szpitala.

W parę tygodni później pan Furdasiński zajmował już nową posadę. Obeznał się z obowiązkami bardzo prędko i — otrzymywał trzydzieści rubli pensji miesięcznej. Zaraz napisał po swego szpaka, którego mu odesłano, a przy okazji i fajkę na krótkim cybuszku, której zapomniał we dworze.

Pierwszego listopada stawił się w jego izdebce dyrektor kantoru informacyjnego. Doniósł mu, że już zupełnie zbankrutował i — wypłacił pierwszą ratę w kwocie pięciu rubli.

Odtąd odnosił mu należność co tydzień i wkrótce tak polubił pana Furdasińskiego, że mu raz powiedział:

— Wiesz pan co? Ciśnij pan do licha fabrykę i — uformujmy spółkę. Ja mam zdolności do interesów, a pan taką poczciwą minę, że się na nią każdy złapie...

A gdy pan Furdasiński milczał, eks-dyrektor, gwałtownie ściskając go za rękę, zawołał tonem głębokiej wiary:

— Pomyśl pan o tym... Przysięgam ci, że okpimy całą Europę!...

Ale pan Furdasiński nie zgodził się na zawiązanie spółki z niezwykłym przedsiębiorcą. Biega więc po fabryce od szóstej rano do dziesiątej wieczór, a gdy znajdzie kwadrans wolnego czasu, wymyka się do izdebki. Tam z wielkim zadowoleniem pali swoją fajkę na krótkim cybuszku i przypatruje się szpakowi, który, zagwizdawszy kilka wyjątków z oper, wrzeszczy:

— Diabli wzięli Furdasówkę!...

— Cha! Cha! — śmieje się jego pan — ale nas zostawili...

DZIEŃ WCZORAJSZY

Piotr teraźniejszość wyklina,
Wszyscy gniewają go ludzie:
Gniewa zalotna dziewczyna
I piesek, co szczeka w budzie.

Gorszą go nowe kierunki,
Potępia działalność cudzą,
Dzieci na łonie piastunki
Już jego odrazę budzą.

Wszędzie zepsucie go ściga,
Próżno sam stoi na straży,
Zwycięża w świecie intryga
Żydów i wolnych mularzy.

Zalewa ziemię wokoło
Rozpusty bezwstydny cynizm,
Jak hydra podnosi czoło
Socjalizm i jakobinizm.

Znikąd nie widać pociechy,
Więc przepowiada narodom,
Za wszystkie tych czasów grzechy
Los straszny biblijnych Sodom.

„Dawniej, to wspomnieć aż miło,
Nic nie kosztował nas najem,
Wszystko się samo robiło
I życie było, ach, rajem.

Podatków nie gniotło brzemię,
A pan spokojnie sprzedawał,
Jeśli nie całą swą ziemię,
Przynajmniej dobry jej kawał.

Moralność kwitła na dole...
I niższa narodu warstwa
Kornie znosiła niedolę
Szukając w modłach lekarstwa.

Nie było pokusy próżnej,
Każdy się godził z swym stanem,
Kto żebrak, ten żył z jałmużny,
A pan — ten zawsze był panem.

Nauki zgubnego jadu
Nikt w dusze ludzkie nie szczepił,
Zepsucia nie było śladu,
Najwyżej wioskę kto przepił".

Tak się wciąż skarży i zżyma,
I biada poczciwa dusza,
Aż przywdział ubiór pielgrzyma
I w drogę po nocy rusza.

Śród nocy ciemno troszeczkę,
Więc w błocie kosturem grzebie,
Zapalił łojową świeczkę
I pilnie patrzy przed siebie.

„Gdzie idziesz? — pytam — człowiecze,
Czy szukasz po nocy czego?"
A on mi z dumą odrzecze:
„Ja szukam dnia wczorajszego."

„Jak sądzę, daleko zajdziesz,
Pośpieszaj zatem, jegomość,
A jak wczorajszy dzień znajdziesz,
Przyślij mi pocztą wiadomość."

II

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

KOMUNA PARYSKA

Poemat

Elle ne se rend pas la Commune de Paris

Słuchając usta zatnij,
Czoła nie zniżaj.
Oto opowieść o dniach ostatnich
Komuny miasta Paryża.

I

Bębny, bębny nocą warczały,
nim świt zaświecił blady,
padły w mieście pierwsze wystrzały,
stanęły barykady.

Bramy zdobyto, wzięto forty,
śmierć bliska.
Z każdej ulicy, jak z aorty,
upływa krew paryska.

Ale Komuna się nie podda,
Komuna śmiercią gardzi!
Paryżu gniewny, okrzyk podaj:
„Do broni komunardzi!

Do broni, ludu roboczy!
Dzieci! Kobiety! Starcy!
Krew ulicami broczy,
krwi jeszcze dziś wystarczy!

Nim chmary żołdactwa runą,
nim przejdą po naszym ciele,
na barykady, Komuno,
do broni, obywatele!"

II

Czerwonych z przedmieść wyparto
I oto, świecąc stalą,
w ciasne ulice Montmartre'u
wkraczają pułki z Wersalu.
I tam, gdzie w marcu stracono
generałów Thomasa z Lecomtem,
oficer z szablą wzniesioną
nadbiegł wołając przed frontem:

„Żołnierze! Trzeba wytępić
to bydło! Nie bierzcie jeńców!"
Żołnierze posłuszni i tępi
stawiają pod mur po dziesięciu.

Trzaskają salwy za murem,
ziemia od krwi się lepi.
Twarze żołnierzy ponure,
na oczy zsunięte kepi.

III

Na cmentarzu Père Lachaise kwitną kasztany,
majem pachnie stratowana trawa,
w trawie leżą trupy rozstrzelanych
„w imię pracy, porządku i prawa".

Generale Gallifet, wydaj rozkazy,
niech żołnierzom od luf płoną ręce!
Po czterdziestu! Po dwustu od razu!
Pięć tysięcy! I dziesięć tysięcy!

Generale Gallifet, za egzekucje
wdzięczność Francji cię czeka i order!
Generale Gallifet, krew masz na bucie!
Generale Gallifet, cuchniesz mordem!

Na cmentarzu Père Lachaise wieczór już zapadł,
mur bieleje w pomroce wieczoru.
Nie, to nie jest woń traw — to krwi zapach!
To nie cmentarz — to twierdza upiorów!

Noc rozświetlona łuną,
złowroga, ciężka.
Chmurami ponad Komuną
zawisła klęska.
Zostało już niewiele
barykad i nadziei.
„Na śmierć, obywatele,
pójdziemy po kolei."

Dąbrowski legł od kuli,
padł Raoul Rigault pod ścianą,
na skrzyżowaniach ulic
po stu rozstrzeliwano.

Kanalia lud zwycięża,
kanalia krwią się karmi,
generałowie, księża,
bankierzy i żandarmi!

Po zemstę nad Paryżem
już idzie zgraja katów
z bagnetem, złotym krzyżem
przez pierś proletariatu.

Lecz Paryż umie zginąć,
Komuna się nie podda!
Wolności! tobie płynąć,
czerwona twoja woda...

V

Obywatelu Delescluze, schrońcie się na dół!
Barykada paść musi, tam pewna śmierć!
Stanął wsparty na lasce, ponad barykadą
starzec o siwych włosach,
z wstęgą czerwoną przez pierś.

Plac Château d'Eau zdobyty.

Na prawym brzegu
gromadzą się niedobitki, lewy padł.
„Obywatele, naprzód!"
Lecz nikt nie idzie w szeregu.
Starzec jest sam. Nad czołem
włos siwy rozwiewa wiatr.

Zwolna, wsparty na lasce, poszedł ku barykadzie,
na której stu komunardów pokonał wróg,
sam, jak kapitan okrętu na opuszczonym pokładzie,
delegowany Komuny padł na skrwawiony bruk.
Za rogiem zgiełk i wystrzały. Ciągnie wersalska banda.
Droga już wolna. Na placu tylko ten trup
bezwładny jak z drzewca zdarty i porzucony sztandar,
a pod nim sztandar bruku, wkoło Paryż — grób.

VI

Pożary, pożary, pożary
i w dymie pożarów wystrzały.
Konając nie podda się Paryż
skrwawiony, straszliwy, wspaniały!
A skoro musi umierać,
gdy nie ma ratunku znikąd,
za śmierć Delescluze'a, Milliere'a
postawi pod mur zakładników:
bankiera, arcybiskupa,
jezuitów, żandarmów, szpiegów...
Nierówny rachunek w trupach:
czterdziestu ośmiu w szeregu.

VII

Obrona słabnie,
nadchodzi śmierć:
żołdacki bagnet
w roboczą pierś.

Kamienie mokre
od ludzkiej krwi.
Dwudziesty okręg
najdłużej grzmi.

Ostatni wystrzał
nieprędko jeszcze!
Pociski świszczą
złowieszczym deszczem.

Nabij! Pal!
Bagnetem kłuj!
W trzasku salw
do końca stój!

VIII

Walcz, barykado!
Giń, barykado!
Noś się gniewna,
pieśni paryska!
Czerwonoskrzydłą
ptaków gromadą
ponad trupami
leć na pociskach!

Walcz, barykado!
Giń, nieugięta!
Będzie zwycięstwo,
będzie zapłata.
Ludu roboczy,
patrz i pamiętaj.
Proletariusze
Francji i świata!

Giń, barykado!
Sztandar wznieś wyżej!
Wolna do końca
padnij i skonaj,
groźna, ostatnia
w martwym Paryżu,
niezwyciężona,
niezwyciężona!

IX

Rozstrzelano trzydzieści tysięcy,
sto tysięcy zakuto w łańcuchy.
Krwi ani sił już nie ma więcej,
Paryż zmartwiały i głuchy.

Odezwa na rogu ulicy:
„Paryżanie, dzisiaj powraca
do wyzwolonej stolicy
prawo, porządek i praca"...

Bruk do barykad wyrwany
zęby kamienne szczerzy,
trzaskają salwy, brzęczą kajdany,
maszerują oddziały żołnierzy.

Burżuazjo, wracaj z Wersalu.
Podziękuj swojemu bogu!...
Jeszcze ostatnie pożary się palą,
na ulicach nie ma nikogo...

STANISŁAW BRZOZOWSKI

* KOMUNARDZI

Nie będę opowiadał o Komunie. Każdy z nas zna tę historię miasta, które widziało, jak opasuje je zdrada, jak nakrywa je chytrą siecią kłamstwo, jak wykopuje potwarz przepaść pomiędzy nim a resztą Francji.

Kto wie, czym jest historia nowoczesna, niech się zapatrzy w ten widok miasta bohaterów i myślicieli — oddanego na łup zniszczenia przez plugawego karła. Skrofuliczny, przeżarty przez cynizm starzec Thiers — morderca ludu — to symboliczna postać nowoczesnego mieszczaństwa. Przyjrzyjcie się temu człowiekowi. Handlował on już wszystkim: sławą wojenną i tchórzostwem giełdziarzy, wolną myślą i Chrystusem. Wypowiedział on tyle kłamstw, że już nie wie, gdy sam z sobą myśli, jakich używać wyrazów. Nie potrzebuje tego, jego myśl — to nieustanne zadowolenie z siebie, z chytrości własnej i sprytu. Człowiek ten nie miał nigdy przyjaciela, nigdy z niczym nie był zrośnięty, węszył za biletem bankowym i za korzystną różnicą w rachunku giełdowym; z czego ona wynika, wszystko jedno. Patriotyzm i rewolucja, kościół i niewiara, despotyzm i republika, wszystko dawało mu zysk. Nie był on w stanie uwierzyć, że istnieje coś bezinteresownego. Gdy Bismark obalił rząd koronowanego sutenera, alfonsa wszystkich idei — Thiers cały podzielony był między dwa uczucia: zazdrości dla szczęśliwego zwycięzcy i przebiegłej myśli, jakby wyszukać jakiś zysk dla siebie. W nim, w jego wytartej duszy kryło się to wszystko, co żyje z pracy cudzej, co żyje z ciemnoty i nędzy ludu. To wszystko drżało o swoją ojczyznę, o drogą Francję, która daje rentę. W poprzek ich drogi wyrosło olbrzymie widziadło miasta-bohatera, miasta, które walczyło do ostatka, miasta, które wrzało jak wulkan i tryskało ideami na świat cały.

Paryż, święte miasto ludzkości, nigdy nie był tak wielki, jak za czasów niezapomnianej komuny. Rozpaczliwa walka oczyściła atmosferę. Ludzie wśród niebezpieczeństw poczuli się braćmi: Paryż narodził się znów pod armatami i bombami jako stolica rozumu i ludzkości. Ludzie tu nauczyli się polegać na samych sobie, nauczyli poprzestawać na sobie, nauczyli się jednoczyć w wielkim, codziennym dziele, nauczyli się umierać bez trwogi. Dusza komuny rodziła się z bohaterskich wycieczek. Kiedy bomby Prusaków burzyły domy, kobiety paryskie wołały: do broni i na wały. Paryż robotniczy nie przestraszyłby się niczego, on zagrzebałby się w ruinach domów — stos trupów, które padły za wolność.

O tych ludziach mówiono, że nie kochali ojczyzny. O nich, którzy wołali do całej Francji: giń z nami!

Słyszałem Blanqui'ego, jak wołał: — Broń wszystkim Francuzom do rąk, będziemy bronić każdej piędzi ziemi. Broń narodowi, broń rękom spracowanym!

Ale broń — to władza.

Thiers chciał Paryżowi ukraść nawet jego własne armaty.

Widziałem, jak paryski lud robotniczy ściskał je, te swoje działa, jak żywe istoty, jak przyjaciół, kobiety rzucały im pod koła kwiaty w dniu, kiedy rodziła się święta komuna.

Katia stała na jednej z armat i wołała: — Kobiety Paryża, ani jednego pocałunku, ani jednego uścisku niewolnikom i tchórzom. Nie mogą być niewolnicy ojcami naszych dzieci, bo my nie chcemy rumienić się za nich. Wolnych ludzi rodzić chcemy, wolnych, nie żyjących ludzką krwią. Żony robotników, córki robotników, rodzić chcemy dzieci dla przyszłości, w której praca będzie swobodną!

Kobiety klaskały i wołały: — Niech żyje! — Niosły ją na ramionach — a ona wołała: — Do broni! Do broni!

I taką widziałem ją przez cały czas.

Gdzie chwiał się jakiś oddział sfederowanych — ona chwytała chorągiew i wołała: — Wstyd wam będzie, gdy zginę. — Za nią biegł olbrzymi zziajany Koruta wołając: — *Vive la Commune!* — jedyne chyba zdanie, jakie umiał po francusku.

Widziałem ją, jak stawała poza noszami, na których nieśli rannych i zabitych i wołała: — Zemsty, zemsty! Nie zapominajcie, ilu już zginęło. Matki, posyłajcie synów, siostry — braci, żony — mężów. My kobiety wywalczymy przyszłość, my rodzimy dzieci, my nie chcemy niewoli na ziemi!

— Paryż się nie podda — wołała, kiedy wersalczycy wchodzili. — Paryż się nie podda. My nie możemy, nie chcemy żyć w niewoli, umrzemy, zginiemy, by istnieć w pamięci, jako wielkie miasto przyszłości, stolica swobody!

I z pochodnią w ręku biegła podpalać gmachy, wołała o proch, dynamit, naftę. Zginąć, zginąć pod gruzami, a nie żyć w niewoli!

— Wołajcie o śmierć, śmierci wołajcie, córki Paryża!

Ulica za ulicą wpadały w ręce wersalczyków. Rozpacz wdzierała się w najmężniejsze dusze.

Katia przechodziła od barykady do barykady.

— Nie poddamy się, nie poddamy się, chcemy umrzeć wolni!

— *Elle ne se rend pas, la commune de Paris!*

I wołała:

— Czego się obawiacie? Śmierci? Przyjdzie i tak bezzębna starucha o lasce, przyjdzie, zasiądzie u poduszki waszej, konać będziecie dni i noce wśród mroku. Czy nie lepiej umrzeć z bronią w ręku? Czy nie lepiej umrzeć tak, jak jesteśmy teraz półbogami, wolnymi na zawsze, takimi zostać?

— Paryżanie, będę się broniła do końca, choćby sama. Kto ze mną?

I wzniosły się ku niej czarne od prochu ręce i wołały spieczone usta: — Na śmierć! Umrzemy wolni!

— Kobiety — wołała Katia — w ulice, w ulice, umierać przy braciach i mężach. Karabiny padają na bruk, dlaczego nie podnosicie karabinów? Kobiety będą walczyć, gdy zabraknie mężczyzn. Podła ta, co pragnie przeżyć Paryż!

— Paryż, wiecie, co jest Paryż? Miasto, które woła stuleciami: „Nic nad człowieka, wszystko dla człowieka". Paryż, słowo tak święte, jak najświętsze ze wszystkich słów — człowiek.

— My nie wołamy Bóg i Ojczyzna. Tak wołają ci, którzy żyją grabieżą i mordem. Bóg, to jest niewola dusz. Dusze muszą drżeć, aby ciała pracowały. Dusza Paryża nie drży.

— My nie zaznamy już niewoli, nie będą się gięły nasze karki: wyprostowani i dumni pójdziemy w śmierć.

Spotkała mnie w przedostatni dzień na rogu jakiejś uliczki.

— Michale! — zawołała, kiedym ją mijał nie widząc.

— Myślałam, żeś już padł — mówiła — i pragnęłam pomścić twoją śmierć; jeszcze żyjesz?

Prochem czuć było jej ręce, twarz, włosy. Zapach prochu, powietrze walki owiało mnie od jej pocałunku.

— Teraz żyję — mówiła z rozdętymi nozdrzami, wsparta na karabinie. — Teraz żyję — już ja nie niewolnica Moruszkina. Odkąd wiem, że umrę z bronią w ręku, zwycięska i nieulękniona, znów mogę myśleć o sobie bez wstrętu. Całuję ciebie swobodnymi ustami. Ustami, które śmierć zawrze na wieki. Dziękuję ci za życie walki. Dziękuję ci za dni w Paryżu, który płonie.

Kule świstały nad głowami, kiedy ona mówiła jeszcze:

— Kochałam ciebie bardzo, bardzo cię kochałam, Miszuk.

I poszliśmy na swe posterunki.

Każdy poszedł, gdzie był najpotrzebniejszy.

Przedniej barykady bronił Koruta: *Le prince Calmuc*, jak go nazywali Paryżanie. Gdy brakło naboi, wyrywał on głazy z bruku i ciskał.

Pomiędzy jedną salwą a drugą wołał: — *Wersalskaja swołocz* — i gdy odpierał atak krzyczał:

— Thiers *swinja!*

Barykada jego dwa razy była wzięta; dwa razy spędzał on z niej wersalczyków i gnał ich aż na ich pozycje.

Za trzecim razem ugodziła go kula w serce, padł, z ustami rozwartymi w krzyku: *Wersalskaja swołocz!*

Widziałem Aldy'ego, jak strzelał siedząc, nogę miał zmiażdżoną, u jego stóp leżał Romain z małą, czarną raną w skroni.

Widziałem, jak kula przeszyła serce Aldy'ego, gdy wołał: — Umierać, umierać z bronią, robotnicy!

I widziałem wreszcie ją na bruku z piersią przeszytą bagnetem; leżała z zastygłymi oczami. Armata najeżdżała na jej ciało; koło mnie stało ze dwudziestu robotników, krzyknąłem i rzuciłem się naprzód.

Armata była nasza; w kołach jej tkwiło ciało Kati, zdruzgotane w przeraźliwy sposób.

Było to ostatnie zwycięstwo.

Padłem ranny. Ocaliła mnie cudem prawie rodzina jakiegoś robotnika.

Dwoje starych ludzi strzegło mnie przez dwa miesiące w jakimś lochu.

Gdym wstał z łóżka i odjeżdżał, płakali: mieli pięciu synów przed komuną, zostały im tylko ich bohaterskie imiona.

Ostatni, dwunastoletni, był tym, który, zatrzymany przez wersalczyków, prosił o pozwolenie oddania matce zegarka i oddawszy wrócił, aby paść pod jakimś murem przeszyty przez kule.

(*Płomienie*)

III

BOLESŁAW PRUS

CO WYBRAĆ?

Wróciwszy do miasta Wokulski przede wszystkim kupił złoty medalion, umieścił w nim skrawek nowego metalu i zawiesił na szyi jak szkaplerz. Chciał przespacerować się, ale spostrzegł, że ruch uliczny męczy go; więc poszedł do siebie.

— Czemu ja się wracam? — szeptał. — Dlaczego nie idę do Geista do roboty?...

Usiadł na fotelu i utonął we wspomnieniach. Widział sklep Hopfera, stołowe pokoje i gości, którzy drwili z niego; widział swoją maszynę o wieczystym ruchu i model balonu, któremu usiłował nadać kierunek. Widział Kasię Hopfer, która mizerniała z miłości dla niego...

— Do roboty!... Dlaczego ja nie idę do roboty?...

Wzrok jego machinalnie padł na stół, gdzie leżał niedawno kupiony Mickiewicz.

— Ile ja to razy czytałem!... — westchnął biorąc książkę do ręki.

Książka otworzyła się sama i Wokulski przeczytał:

„Zrywam się, biegnę, składam na pamięć wyrazy, którymi mam złorzeczyć okrucieństwu twemu, składane, zapomniane już po milion razy... Ale gdy ciebie ujrzę, nie pojmuję, czemu znowu jestem spokojny, zimniejszy nad głazy, aby goreć na nowo, milczeć po dawnemu..."

— Teraz już wiem, przez kogo jestem tak zaczarowany...

Uczuł łzę pod powieką, lecz pohamował się i nie splamiła mu twarzy.

— Zmarnowaliście życie moje... Zatruliście dwa pokolenia!... — szepnął. — Oto skutki waszych sentymentalnych poglądów na miłość...

Złożył książkę i cisnął nią w kąt pokoju, aż rozleciały się kartki. Książka odbiła się od ściany, spadła na umywalnię i ze smutnym szelestem stoczyła się na podłogę.

— Dobrze ci tak! Tam twoje miejsce... — myślał Wokulski. — Bo któż to miłość przedstawiał mi jako świętą tajemnicę? Kto nauczył mnie gardzić codziennymi kobietami, a szukać niepochwytnego ideału?... Miłość jest radością świata, słońcem życia, wesołą melodią w pustyni, a ty co z niej zrobiłeś?.. Żałobny ołtarz, przed którym śpiewają egzekwie nad zdeptanym sercem ludzkim!

Wtem nasunęło mu się pytanie:

— Jeżeli poezja zatruła twoje życie, to któż zatruł ją samą? I dlaczego Mickiewicz, zamiast śmiać się i swawolić jak francuscy pieśniarze, umiał tylko tęsknić i rozpaczać?

— Bo on, tak jak i ja, kochał pannę wysokiego urodzenia, która mogła stać się nagrodą nie rozumu, nie pracy, nie poświęceń, nawet nie geniuszu, ale... pieniędzy i tytułu...

— Biedny męczenniku! — szepnął Wokulski. — Tyś oddał narodowi, coś miał najlepszego; lecz cóżeś winien, że, przelewając w niego własną duszę, razem z nią przelałeś cierpienia, jakimi nasycali ciebie? To oni są winni twoim, moim i naszym nieszczęściom...

Podniósł się z fotelu i ze czcią zebrał porozdzierane kartki.

— Nie dość, że byłeś umęczony przez nich, ale jeszcze miałbyś odpowiadać za ich występki?... To oni winni, oni, że twoje serce, zamiast śpiewać, jęczało jak dzwon rozbity.

Położył się na kanapie i znowu myślał.

— Szczególny kraj, w którym od tak dawna mieszkają obok siebie dwa całkiem różne narody: arystokracja i pospólstwo. Jeden mówi, że jest szlachetną rośliną, która ma prawo ssać glinę i mierzwę, a ten drugi albo przytakuje dzikim pretensjom, albo nie ma siły zaprotestować przeciw krzywdzie.

— A jak się to wszystko składało na uwiecznienie monopolu jednej klasy i zdławienie w zarodku każdej innej! Tak silnie wierzono w powagę rodu, że nawet synowie rzemieślników i handlarzy albo kupowali herby, albo podszywali się pod jakieś zubożałe rody szlachetne.

— Nikt nie miał odwagi nazwać się dzieckiem swoich zasług, a nawet ja, głupiec, wydałem kilkaset rubli na kupno szlacheckiego patentu.

— I ja miałbym tam wracać?... Po co?... Tu przynajmniej mam naród żyjący wszystkimi zdolnościami, jakimi obdarowano człowieka. Tu naczelnych miejsc nie obsiada pleśń podejrzanej starożytności, ale wysuwają się naprzód istotne siły: praca, rozum, wola, twórczość, wiedza, nawet piękność i zręczność, a nawet choćby szczere uczucie! Tam zaś praca staje się pręgierzem, a triumfuje rozpusta! Ten, kto dorabia się majątku, nosi tytuł skne-

ry. kutwy, dorobkiewicza; ten, kto go trwoni, nazywa się hojnym, bezinteresownym, wspaniałomyślnym... Tam prostota jest dziwactwem, oszczędność wstydem, uczoność równoznaczy z obłędem, artyzm symbolizuje się dziurawymi łokciami. Tam, chcąc zdobyć miano człowieka, trzeba posiadać albo tytuł z pieniędzmi, albo talent wciskania się do przedpokojów. I ja bym tam miał wracać?...

Począł chodzić po pokoju i liczyć:

— Geist jeden, ja drugi, Ochocki trzeci... Ze dwu jeszcze znajdziemy i za cztery albo pięć lat wyczerpalibyśmy owe osiem tysięcy doświadczeń, potrzebnych do znalezienia metalu lżejszego, niż powietrze. No, a wtedy co?... Co stanie się z dzisiejszym światem na widok pierwszej machiny latającej bez skrzydeł, bez skomplikowanych mechanizmów, a trwałej jak okręt pancerny?

Zdawało mu się, że szmer uliczny za jego oknami rozszerza się i potęguje ogarniając cały Paryż, Francję i Europę. I że wszystkie głosy ludzkie zlewają się w jeden ogromny okrzyk:

— Sława!... Sława!... Sława!...

— Oszalałem? — mruknął.

Szybko rozpiął kamizelkę i wydobył spod koszuli złoty medalion, otworzył go. Skrawek metalu, podobnego do mosiądzu i lekkiego jak puch, był na swoim miejscu. Geist nie łudził go; droga do olbrzymiego wynalazku była na oścież otwarta.

— Zostaję! — szepnął. — Bóg ani ludzie nie przebaczyliby mi zaniedbania podobnej sprawy.

Mrok zapadał. Wokulski zaświecił gazowe lampy nad stołem, wydobył papier i pióro i zaczął pisać:

„Mój Ignacy! Chcę pogadać z tobą o bardzo ważnych rzeczach, a ponieważ do Warszawy już nie wrócę, proszę cię więc, ażebyś jak najśpieszniej..."

Nagle rzucił pióro: jakaś trwoga opanowała go na widok napisanych przez siebie wyrazów: do Warszawy już nie wrócę...

— Dlaczego nie mam wrócić?... — szepnął.

— A po co?... Może po to, ażeby znowu spotkać pannę Izabelę, znowu stracić energię?...

— Raz nareszcie muszę zamknąć te głupie rachunki...

Chodził i myślał:

— Oto dwie drogi: jedna wiedzie do nieobliczonych reform ludzkości, druga do podobania się, a nawet, przypuśćmy, do zdobycia kobiety. Co wybrać?...

— Bo jużci jest faktem, że każdy nowy a ważny materiał, każda nowa siła, to nowe piętro cywilizacji. Brąz stworzył cywilizację klasyczną, żelazo — wieki średnie; proch zakończył wieki średnie, a węgiel kamienny rozpoczął wiek dziewiętnasty! Co się tu wahać: metale Geista dadzą początek takiej cywilizacji, o jakiej nie marzono i kto wie, czy wprost nie uszlachetnią gatunku ludzkiego...

— A z drugiej strony cóż mam? Kobietę, która przy takich, jak ja parweniuszach nie wahałaby się kąpać. Czym jestem w jej oczach obok tych wykwintnisiów, dla których pusta rozmowa, koncept, kompliment stanowią najwyższą treść życia. Co ta czereda, nie wyłączając jej samej, powiedziałaby na widok obdartego Geista i jego niezmiernych odkryć? Tak są ciemni, że nawet nie dziwiliby się temu.

— Przypuśćmy wreszcie, żebym się z nią ożenił, a wtedy co?... Natychmiast do salonu dorobkiewicza wleliby się wszyscy jawni i tajni wielbiciele, kuzyni rozmaitego stopnia, czy ja wiem wreszcie kto!... I znowu musiałbym zamykać oczy na ich spojrzenia, głuchnąć na ich komplimenta, dyskretnie usuwać się od ich poufnych rozmów — o czym?... O mojej hańbie czy głupocie?... Po roku tego życia spodliliby mnie tak, że może zniżyłbym się do zazdrości o podobne indywidua.

— Ach, czy nie wolałbym rzucić serce głodnemu psu, aniżeli oddać je kobiecie, która nawet nie domyśla się, jaka jest różnica między nimi a mną.

— Basta!...

Znowu usiadł przy stole i zaczął list do Geista. Nagle przerwał:

— Paradny jestem — rzekł głośno — chcę pisać zobowiązanie nie uregulowawszy moich interesów...

— Oto zmieniły się czasy! — myślał. — Dawniej taki Geist byłby symbolem szatana, z którym walczy o duszę ludzką anioł w postaci kobiety. A dzisiaj... kto jest szatanem, a kto aniołem?...

Wtem zapukano do drzwi. Wszedł garson i podał Wokulskiemu duży list.

— Z Warszawy — szepnął. — Od Rzeckiego?... Przesyła mi jakiś drugi list... Ach, od prezesowej!... Co, może donosi mi o ślubie panny Izabeli?...

Rozerwał kopertę, lecz przez chwilę wahał się z odczytaniem. Serce zaczęło mu bić spieszniej.

— Wszystko jedno! — mruknął i zaczął:

„Mój kochany panie Stanisławie! Dobrze widać bawisz się, podobno nawet w Paryżu, kiedy zapominasz o swoich przyjaciołach. A grób śp. biednego stryja twego wciąż czeka na obiecany kamień i ja także chciałabym poradzić się ciebie o budowę cukrowni, do której namawiają mnie na stare lata. Wstydź się, panie Stanisławie, a nade wszystko żałuj, że nie widzisz rumieńca na twarzy Beli, która w tej chwili jest u mnie i spiekła raczka, usłyszawszy, że piszę do ciebie. Kochane dziecko! Mieszka u ciotki w sąsiedztwie i często mnie odwiedza. Domyślam się, że zrobiłeś jej jakąś dużą przykrość; nie ociągaj się więc z przeprosinami i jak najrychlej przyjeżdżaj prosto do mnie. Bela zabawi tu jeszcze kilka dni i może uda mi się wyjednać ci przebaczenie..."

Wokulski zerwał się od stołu, otworzył okno i postawszy w nim chwilę przeczytał drugi raz list prezesowej; oczy zaiskrzyły mu się, na twarzy wystąpiły wypieki.

Zadzwonił raz, drugi, trzeci... Wreszcie sam wybiegł na korytarz wołając:

— Garson!... Hej, garson!...

— Do usług...

— Rachunek.

— Jaki?...

— Cały rachunek za ostatnie pięć dni... Cały, nie rozumiesz?...

— Czy zaraz? — zdziwił się garson.

— Natychmiast i... powóz na dworzec kolei północnej... Natychmiast!

(Lalka)

ADAM WIŚLICKI

GROCH NA ŚCIANĘ

Parę słów do całej plejady zapoznanych wieszczów naszych

Dawno już temu, kiedym jeszcze odbywał literacki termin, zdarzyło mi się po napisaniu sążnistego poematu zajść do jednej z redakcyj, używającej pełnego szacunku zarówno dla swej niczym niezachwianej powagi, jak i dla przestronności skrytek pugilaresu... nakładcy.

Oczekując przybycia redaktora rozpocząłem przegląd najprzeróżniejszych rysunków zdobiących ściany pokoju, a w ich szeregu zajęła przede wszystkim moją uwagę rycina wyobrażająca gremium redakcyjne. Na samym środku rysownik pomieścił na dzielnym Pegazie wieszczego poetę. Promienie biją mu z czoła otoczonego wieńcem lauru, zwitem papieru jak hetmańską wstrząsa buławą. Oto jest urzędowy wieszcz redakcyjny, chluba uznanego Parnasu, duch upojony ambrozją niebiańskich sfer poezji! On t w o r z y powinszowania na Nowy Rok, na dzień Józefów i Marcinów, on do rycin za opłatą sześciu groszy zgrabne dobiera rymy... Jego pozycja — to słodka perspektywa, uśmiechająca się tym, co nie pragną chodzić w surducie o dziurawych łokciach, co chcą jeść zawsze śniadanie, obiad i kolację... a posiadają dar składania wierszy. Młodzieży górnolotna, zapatruj się na te wzory!

Ta uwaga wstrząsnęła mię głęboko, widoki, że po najdłuższym oczekiwaniu zostanę urzędowym poetą którego z pism, tak mi się uśmiechnęły szyderczo, że mimo ukrytego w zanadrzu poematu, pierwiosnka moich nadziei, nie czekając więcej drapnąłem czym

prędzej od tego obrazu. W chwili tej pióro moje zostało strzaskane dla poezji, a plejada zapoznanych lirników zmniejszyła się o jednego kandydata.

Za to przeniewierstwo dwudziestu tysiącom spłodzonych przeze mnie rymów wielki Apollo skazał mnie na czytanie wszystkich wierszy, jakie pomieszczone są w szpaltach literackiej prasy warszawskiej. Mam nadzieję, że policzonym to mi zostanie w przyszłym życiu jako pokuta za grzechy, odbyta już na tym padole płaczu. Wiedzcie bowiem, że czytanie utworów wieszczów dzisiejszych nie jest rzeczą tak błahą, jeżeli mianowicie owładnie was owa żyłka dysekcyjna, jeśli się staniecie choć trochę krytykami, to jest nieprzyjaciółmi poetów, jak mówi melancholijny Nodier. Wtedy rozpoczynają się dla was tortury! Ach, ileż to razy odbywałem dantejską wędrówkę po kręgach rymów chcąc się spotkać z myślą, ileż razy rzewnymi spłakałem się łzami nad sonetem do białej róży, jakże naziąbłem śród ranków biegając za gwiazdami w sukience utkanej z zorzy... Często kaleczyłem sobie ręce o Ciernie — szukając Kwiatów, ciężko trwoniłem czas przysłuchując się fletniom wierzbowym i echom igrającego wiatru z dzwonkami w dąbrowie. A los szyderca rozwiewał mi w nicość Pyłki lub przesypywał same Plewy, gdym się dobadać chciał ziarna.

Ale szczytem mojej męczarni były wieszcze płody pseudonimów i kobiet. Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila — Florianie, Zbigniewie! Boskie Safony, Liliany, Wandy, Anicle i Adele!... Wy, co karmicie się lazurem i esencją liliową, czemuż musiałem z wami cierpieć?! Przebóg, wy bowiem jesteście uosobionymi ranami, kariatydami schylonymi pod brzemieniem nieszczęścia, źródłami sączącymi łzy milionów! Wasza wielka pierś rozdarta od ramienia po żebra, waszę oczy zapatrzone poza kręgi gwiazd... komety zniszczenia świecą wam nad głową, a buchacie ogniem piekielnych cierpień jak lawą wrzące piersi Wezuwiusza.

Pojmujesz, kochany czytelniku, ile to trzeba cierpieć, aby wcieliwszy się przeboleć te wszystkie rozpacze, męki, wybuchy tylu i takich piersi... a w końcu zapytawszy się zimno, czego ci panowie i te panie chcą, dlaczego oni cierpią, otrzymać na to odpowiedź jak w balladzie: ja nie wiem!

Zapasem tedy uwag i bolesnych wrażeń, uzbieranych w tej pokutniczej wędrówce, podzielimy się z wami, czytelnicy, aby smutna kara zesłana mi przez Apollina, iżem śmiał myślą bunt podnieść przeciwko utogowanym wieszczom, stała się płodnym ziarnem, z którego by ziele zastanowienia rozwinęło swe gałązki w gaju przez wybrańców muzy zamieszkanym.

A teraz idźmy śmiało, wołając słowami Kropiciela:

Kropić! Kropić! Kropić!...

I

ORLANDY CIERPIENIA

Powstając na cierpienia mniemanych poetów jako na proste odgrywanie komedii nie tylko przed ludźmi, ale nawet przed sobą, podziwiając ten obłęd, który ich utrzymuje w mniemaniu, iż ludzie drwią z ich łez, nie żywimy wcale zamiaru rozsiewania czysto realnych, a jak chcą poeci, zbrodniczo-materialnych przekonań; pragniemy tylko wykazać, w jak wielką popadają śmieszność ci marzyciele, którzy chcą koniecznie wmówić w nas, że cierpią, że są istotami nadziemskimi, pełnymi potęgi pieśni, uczucia, serca i uniesień, co w ich ustach jest czystą facecją. Czym jest pieśń bez myśli, uczucie bez jasnego widzenia rzeczy, serce bez stałego i niewzruszonego charakteru? A możnaż nazwać potęgą pieśni nabój wyszukanych wyrazów, jakimi częstokroć zapoznani geniusze bombardują do twierdzy zdrowego rozsądku, zbrojnej w baterie ulane z twardego i niczym nieprzebitego sensu? Czyż mamy nazwać uczuciem te okropne frazesa, w których zawsze ł z a jest subiektem, s e r c e obiektem, a predykatem k a p i e?... Zaprawdę, powiadamy wam, natchnieni wieszcze, iż nadto widoczne są sposoby tworzenia waszych fantasmagoryj, abyśmy jeszcze mogli stanąć wobec nich jako spektatorowie. Bo i cóż wy potraficie nadzwyczajnego? Potrzeba wam przekleństwa — bierzecie piorun, potrzeba nienawiści, używacie węży, krokodyli, lampartów, gotowi jesteście wszystkie *mammalia, amphibia, insecta*, a nawet cały układ Cuviera wezwać do unicestwienia indywiduum, które po takim zbatożeniu rymami wygląda jak oparzona kura.

Ale jaki powód tego unicestwienia, za co to przekleństwo, co was tak dręczy okrutnie, nad czym taką obfitość łez wylewacie, przyznamy się, że zwykle nie wiemy nic zgoła, a nie wiemy dlatego, iż niepodobieństwem jest wywnioskować cośkolwiek bądź z waszych wielce rozpaczliwych trenów. Zobaczymy to zaraz w ustępach jak dokumenta mówiących dość głośno, nawet za głośno, przeciwko wam. Oto wyjątek z pewnej poezji, pomieszczonej w jednym z pism między notatkami o tatuowaniu a wysadzaniem słoniów na ląd. Poeta śpiewając (wszyscy bowiem śpiewają) tak mówi:

Nadzieja powiała błyskiem,
A miłość, wiecznie dręcząca,
O zastygłe piersi trąca,
Precz! — tam skonały już dźwięki
I niemo, głucho i ciemno, (?)
A siła nieznanej ręki

Wstrzymała burzę nade mną. (!!)
Ja chcę spokoju, spoczynku,
Ja nie mam uczuć, krwi tętna...
Wszystko mi wzięła pamiętna
W zamierzchłych snów upominku.
Ja gardzę, ja klnę, odpycham,
Od złudnych marzeń daleki,
O, nie... ja płaczę i wzdycham,
Ja tęsknię i kocham na wieki.
Kocham? To słowo szalone!
Tęsknię? Ach, czyliżem dziecię?
Pamiętać, co już minione
I czego nie ma na świecie (??),
I tak się łudzić i szaleć,
I chwytać wichrów poświsty,
W mgły nocne pięściami walić (!!!) itd.

Wyobraźcie sobie tylko tego młodego wieszcza o zakrzepłych piersiach, któremu niemo, głucho i ciemno, co chce spokoju, a jednak musi kląć, odpychać, tratować, płakać gardzić i bić pięściami w mgłę (praca nie utrudzająca) i (pamiętać?) to wszystko, czego nie ma na świecie! — To mi rycerz cierpienia i dlaczego? Dla jakiejś tam pamiętnej, z którą w młodym a cienistym gaiku prowadził ongi rozhowory?!

Inny znowu wieszcz daje taką poezję, zatytułowaną „Łzy dziewicy".

Jakiż to słyszę uroczy szum?
Czy to wtór wichru do moich dum,
Co na dnie serca spowite leżą,
Nim rozbudzone w pierś mą uderzą,
Wypłyną z łona w potoku słów,
Zlecą ku niebu i wrócą znów
Do tego źródła drogich pamiątek,
Skąd snuję wrażeń mych cichy wątek?

Nie, to nie wiatru przeciągły jęk.
To niby pszczółek srebrzysty brzęk
Szemrzy u źródeł, grucha po górach,
Szumi w dąbrowie i tonie w chmurach,
I znów na ziemię aż spoza chmur
Nieziemskich tonów sprowadza chór,
By rzewne jęki z krainy zgonu
Przed Stwórcą wybrzmiał arfą Syjonu.

Takie siał dźwięki mój anioł-stróż,
Gdy śniłam szczęście na wiankach z róż.
Lecz czemuż teraz chwile boleści
Melodia nieba dźwiękiem swym pieści???
O, już odgadłam: to Ojciec mój
Zsyła mi z niebios pociechy zdrój!
Czuję, jak spływa z strumienia brzękiem...
Już się zaręczył z piersi mych jękiem!

Powiedzcie mi tylko na Boga, gdzie tu są łzy dziewicy i czemu ten wiersz jęczy całą piersią? Rymują wiersze, ale sensu nie ma!

Każdy przyzna, że wszelkie przyjemnostki, w które brniemy dla zadowolenia chwilowego, zaniedbując wyszukania w nich rzeczywistych stron pożytku, stają się tylko w mniejszym lub większym zakresie ruiną naszych prawdziwie posilnych konsekwencyj, jakie moglibyśmy osiągnąć studiowaniem tej drapieżnej rzeczywistości, kaleczącej nas tak często fizycznie i moralnie. Dla was, panowie natchnieni, taką przyjemnostką jest marzenie, ta smutna półsenność, która z was w początkach czyni indywiduum ni do tańca, ni do różańca, następnie miesza kombinacje rzeczywistych i prawidłowych postrzeżeń, aż w końcu przeradza się w monomanię i z istoty myślącej tworzy ogólne z d a j e m i s i ę. Może powiecie: ależ my tworzymy pieśni, układamy rytm, dobieramy końcówki; a ja powiadam wam, moi panowie, że każdy, jeżeli zechce, może pisać wierszem, gdyż słusznie ktoś rzekł: dziś wszyscy ponauczali się wybornie grać w bezika, bilard i pisać wiersze. Sposób na to dość prosty: wyucz się na pamięć jak najwięcej dobrych i niedobrych wierszydeł, następnie weź pióro i powiedz sobie, że masz na przykład pisać odę pełną ognia. Nie wiesz do czego? To fraszka! Wszak słyszałeś, iż poeci, na jakikolwiek przedmiot spojrzą, gotowi napisać odę. Ty, przypuśćmy, rzuciłeś okiem na śnieg, więc zapal się i pisz — przede wszystkim jednak poszukaj końcówki; znalazłszy ją, myśl przyjdzie sama z siebie, tylko przypadkuj oba rymy tak np.: śnieg, bieg, śniegiem, biegiem... No, i cóż, jeszcze nie masz myśli?... a gdyby tak było:

Dziwnym okoliczności zbiegiem
Upadł deszcz ze śniegiem!

W podobny sposób wyrobionymi darzycie nas, poeci, wierszami, a każdy z was jest niepojętym, każdy cierpi, nawet i wtenczas, gdy pisze tak wysoko komiczną tragedię, jak „Ludgarda", lub obmyśla upajanie się wiosną... jadąc sankami na pączki; następnie

przychodzi na drugi dzień o godzinie 7 rano do redaktora lub redaktorki i przerywa pierwszemu golenie się, a drugiej mycie, cytując w porę napisany ustęp:

Spójrz przez zamglone oczy
Na powab wiosny uroczy!...

kiedy na dworze dmie zawieja śniegu, że psa żal wygonić na ulicę.

A teraz słówko. Wiek dziewiętnasty nie jest wcale wiekiem cierpiących i zachwyconych trubadurów; jego poezję stanowi ciągły postęp, ciągła dążność do zajęcia takiego stanowiska wobec praw przyrody i ludzkości, aby w jak największym zakresie urzeczywistniał dla siebie wszystko, cokolwiek myśl jego podyktuje do wykonania. Inteligencję tego wieku składają jednostki prawie li tylko w specjalnym zawodzie; każdy odczuwa w sobie pewne powołanie, pewne odrębne zdolności, a chwała jego usposobieniu, jeżeli tę jedyną swoją zdolność przede wszystkim doprowadza do wysokiego stopnia doskonałości czerpiąc z ogólnej skarbnicy to, co posłużyć może do jego przedmiotu, bo taki dorzuci ziarno do powszechnego zasiewu, a ono tam wyda tysiące na pożytek ogółu.

Próżno, panowie uniwersaliści, chcielibyście utrzymywać, że człowiek pracujący specjalnie nad jednym przedmiotem wżywa się w niego i przeistacza w kółko zegarkowe zapominając rozwijania indywidualnej doskonałości; ale czyż to nie prawdziwsza zasługa jako pojedyncze kółko spełniać zadanie w ogólnej harmonii, niżeli zostać pędziwiatrem muskając wszystko po wierzchu, a nigdzie nie przyczyniając się do porządku tej cudownej organizacji, jaką jest społeczność? Spytacie, co za związek ma ten odskok od poetów i poezji do specjalistów i encyklopedystów, ale chciałem wykazać wartość poświęcenia się pojedynczemu przedmiotowi, aby tym sposobem nadmienić wam, panowie natchnieni, iż dla zostania dziś wieszczem trzeba mieć tę niepokonaną żądzę, która się wyrabia przez logiczny sąd o rzeczywistości, żądzę, powiadam, przeprowadzenia jednej myśli, jednej idei, która by jak iskra elektryczna przebiegała fale społeczeństwa i wstrzęsieniem tychże nowe perły wyrzuciła na jego pożytek.

A wy, poeci, cóż tej ludzkości dajecie: wiarę, siłę ideału? czyście służkami pańskimi, co torują nowe drogi? Nie, na takie rzeczy nie macie czasu — wy cierpicie!!!

II

POECI WZDYCHAJĄCY DO BIAŁEJ I CZERWONEJ RÓŻY

Udzielny Parnas zapoznanych wieszczów naszych tak jest urządzony: w środku wznosi się olbrzymia góra absurdów, poszarpana w ostre iglice i szczyty, na których jak Prometeusze wiszą zahaczeni za żebra lub na wskroś przebici poeci rozpaczający. Są to Orlandy cierpienia, z którymi poznaliśmy się w poprzedniej części — napełniający całą okolicę olbrzymim krzykiem rozdartych piersi. Potoki ich łez, nie wiedzieć czemu i za czym, walą z tej góry wzburzone na wertepach rymów i progach średniówki, którą omijają rade, aż, dostawszy się na mielizny równin, opłukują rozkoszne ogrody, pełne róż czerwonych i białych. Jest to przybytek tej wonnej falangi słodkich marzycieli, Filonów, nie pragnących nic więcej nad uśmiech koralowych ust, zadowalających się pocałunkiem purpurowego łona róży. Wieszcze należący do tego gatunku nie mają nigdy więcej nad lat osiemnaście. Noszą maleńkie blond lub szatyn wąsiki, włosy długie, spadające w nieładzie, mocno zaostrzone, wywinięte szeroko kołnierze, a przy niebieskich oczach i białości pieszczonej ręki dobrze odbijają różowe paznokcie... Wieszczki liczą stale szesnastą wiosnę, są chude szatynki o długiej, czasem ospowatej twarzy, zaostrzonym różowym nosku, jakby stworzonym do czułych roztkliwiań... Lubią suknie koloru kapucyńskiego, pierścionki emblematyczne i zielony groszek. Niektórzy twierdzą, że cała ta plejada na wskroś pachnie wonią róży... Osobiście sprawdzić tego nie mogłem, woń ta bowiem działa na moje nerwy jak szklanka ciepłej wody na pełny żołądek.

Tych to wieszczów płci obojga tak ostrzegała razu pewnego myśląca Reginka, poetka z *Tygodnika Mód*:

Nie rozkwitaj białą różą,
Bo się zwiedzą o tem,
Przyjdą chmury — a przed burzą
Któż cię schroni potem? (??!)

Czemuż, o gromadko różana, nie usłuchałaś tej wonnej rady?! Czyż dzisiaj wzrok Zoila zapuściłbym w purpurowe serce wierszów twoich, czyż dysekowałbym nożem zimnego rozsądku eteryczne westchnienia, spadające gradem wyrazów jak wieńce róż z marmurowego czoła dziewicy, czyż paliłbym szyderczym uśmiechem te łzy wonne, perlące się spod różanych powiek o brzasku różowym?! Zaiste, stało tak napisanym w księdze przeznaczeń, że olejek różany (bo wy, wieszcze, krwi nie macie!) pocieknie kaskadą koralową, a sto pieśni stu poetów drgnie pod zabójczym ciosem.

Powiedział Słowacki, iż dawniej ludzie opętani byli od czarta, a teraz wielu opętanych jest przez aniołów. Było to tak może w plejadzie Słowackiego — ale dziś poeci stali się opętanymi od białej ulubionej lub purpurowej róży. Ckliwi, jak Filon z *Balladyny* jęczą na swych wierzbowych piszczałkach lub snują zwrotki jak śnieżyste listki róży rozbiegłe na fali potoku, które figlarny wietrzyk to

W drżące kółka zgarnie,
To kółka znów rozwiewa,

według formuły jednego z koryfeuszów tej kwiecistej szkoły, formuły wybornie charakteryzującej całą tę poezję. Byłoby to cokolwiek śmieszne, a w gruncie bardzo nieszkodliwe zajęcie, podobne do puszczania baniek z mydła — gdyby tylko ilość tego wonniejącego produktu nie była tak olbrzymią, iż zdolna jest zaśmiecić całą arenę literacko-periodyczną i odurzyć najsilniejsze nawet nerwy czytelników. Konwencjonalizm tak tą poezją zawładnął, że naprzód możemy powiedzieć o każdym ideale poety, iż ma usta jak karmin, lice i łono jak róże rozchylone, włosy jak heban, zęby jak perły. Monotonia, z którą walczą o lepsze chyba rysopisy paszportowe, nie przepominające o znakach szczególnych.

Niestety, moi panowie! Wszystko się na świecie starzeje. Róża, którą opiewał słodki twórca Ramajany, kąpała się w jutrzence i była świeża — dziś w waszych rękach uschła i w najlepszym razie roztacza mdły zapach buduarowych pachnideł. Używacie tego narkotyku z flaszeczki do zbytku. Założyłbym się o wartość naszyjnika królowej, iż w każdym *Do* * * * musi być taki wiersz:

Lubię oddychać słodką wonią róż,
Co zdobią sploty twych ciemnych warkoczy,
Lubię tę rozkosz..., co leją twe oczy
Unosząc duszę w sferę rajskich zórz(?!)

Dałbym konia z rzędem, kto by mi pokazał opisanie natury bez podobnej zwrotki:

Radosną pieśnią ptasząt chóry
Do życia budzą ziemię,
Już powstał róży kwiat z purpury (?!)
I lilia już nie drzemie.

Uważcie tylko, jaka tu głęboka konsekwencja róży powstającej z purpury (sic), obok lilii, która sobie przerwała drzemkę...

Albo:

Twe skrzydło z tęcz i zórz,
Zasnute (?) kwiatu pączkami,
Młodości rajem wiejąc nad nami
Rozsiewa wiązki róż.

W klejnotów ognie, w brylantów błyski
Nadzieją tli,
Śród mar, jak w puchach złotej kołyski,
Otula młodość w złote uściski
I szczęścia łzą się szkli.

Jest to urywek z hymnu jednej poetki, p. Adeli, do snu o szczęściu. Pominąwszy, iż u tych wieszczyń wszystko jest senne, zwróćcie tylko uwagę na logiczność. Skrzydło snu rozsiewa wiązki róż, tli nadzieją, a nawet szczęścia łzą szkli. Nie jestże to cudownym?! Prawdziwie jak w poezji! Ale następna zwrotka tego różowego poemaciku jeszcze lepsza:

O, śnie! ty skrzydłem wioń!
Raz jeszcze spłyń mi z jutrzenką,
Kryształną uśpić piosenką
Schyloną smutkiem skroń...

Niech duch uniosą szelesty senne (sic!)
Wiośnianych tchnień,
Z tumanów rozwij kwiaty jesienne
I łzy tęsknoty, żalem promienne,
W uśmiechy szczęścia zmień! —

Czyżby nam kto nie raczył wytłumaczyć, co to są senne szelesty, i jak wiośnianymi tchnieniami z tumanów rozwija się kwiaty jesienne? Oto do jakich aberacyj umysłowych prowadzi mania kucia wierszy gładkich, w których są wonie, promienie, róże, lilie i cały ogród botaniczny — ale nie ma zdrowej myśli i określonego sensu.

Wracajmy jednak do róż:

Zapytaj gwiazdki, ona powtórzy
Tęskne ust moich zwierzenia;
Spytaj się, luba, woniącej róży,
Ona wyliczy westchnienia!

woła poeta Bilon do swej ukochanej, a w innej poezji tak ją sobie wyobraża:

Zza róż i lilij — róża urocza
Jak anioł w barwie i woni,
Kwieciem ozdabia włosy warkocza
I kwiaty nosi w swej dłoni.

Prawda, że to jest poezja *ad hoc*. Te kochanki różane nie mają ani odrobiny prawdy i w tym względzie podzieliłbym zdanie Grabca z *Balladyny*, który na widok Goplany powiada, iż mu się zrobiło mgło, jakby pocałował pachnącą różę...

Lecz:

Gdy inni wielbią bóstwa salonu
Rozkosznie-świetne jak córy Wschodu,
Trwożnie-powabne jak berło tronu,
Świeże jak róże z marzeń ogrodu,
Piękne jak gwiazdy, nim wejdą zorze,
A tak wspaniałe jak zdradne morze...

to pan poeta Antoni Sosnowski woli dziewice n a s z e, które —

... głos tak słodki, jak lutni tony,
Oko jak perła w morza głębinie,
Usta z korali, anielskie lice
Wzięły w podziale...

Prawdziwie jest to rozkosznie-świetną, powabno-śmiałą rzeczą w roku Pańskim nie dalej jak 1866 pisać, a co gorzej drukować podobne elukubracje w piśmie bardzo poczytnym. W sztambuchu u jakiej Amelki, Florki lub Róży to by uszło... Nie myślcie jednak, aby żądło refleksji nie ucięło czasami różanego poety. Słuchajcie, a raczej p o w i e d z c i e:

Czemu listek kwiatu młody,
Lubo wonią tchnący w wiośnie,
Czemu zroszone rankiem róż jagody
Nęcą motyli miłośnie?
Powiedzcie mi!

Powiedzcie, czy to nie całunków dźwiękiem
Odrzuci przejrzyste rzeki łoże,
Co głosi słowik harmonijnym jękiem
We mgle o późnym wieczorze,
Powiedzcie mi!

Powiedzcie, czemu me serce tak bije,
Czemu tak cudne sny marzy... (jakie?)
Czemu to bladość smętna twarz mi kryje,
To płomieniem krew się żarzy,
Powiedzcie mi!

Pod tym kapitalnym wierszem stoi podpis A—a B—a. Dołożyłbym do tego C—a, i zrobiłoby się wszystko c a c a — jedyna pochwała podobnej poezji.

Wieszczowie! Nie chcę już rozdrapywać w waszych wieszczych sercach świeżej rany, zadanej w poprzednim artykule. Wzburzenie na Parnasie przedstawiło taki popłoch nieładu, iż nie pragnę was nabawiać podobnego kłopotu — ale przez litość, jeśli już nie możecie przenieść, aby nie pisać wierszy do róży, słowików, brzeziny, wikliny, fal promieniujących, promieni, jeżeli już nie możecie wstrzymać się od wywnętrzenia, to przynajmniej niech utwory wasze pozostaną w posiadaniu tych lubych róż białych i purpurowych, świeżych i uschłych, wywołujących te elukubracje. Piszcie w ukryciu, czyli, jak mówicie... niech róża zostanie w pączku.

Ażeby wam bowiem istotne zdanie o waszych poezjach ludzi, cokolwiek chłodniej myślących, wyrazić, opowiem pewne bardzo starożytne zdanie. Poeta Abdulkardi, bardzo szanowany u Turków, znajdując się w bliskości Babilonu, chciał miasto to obrać za stałą siedzibę. Babilończycy jednak, mniej ceniący poezję, nie mieli ochoty przyjąć nieproszonego gościa, spotkali go więc w bramie miasta z naczyniem pełnym wody, dając tym znać, że w wielkim Semiramidy grodzie nic się już nie pomieści. Abdulkardi — dowcipny jak każdy poeta, *nota bene* wschodni, podjął listek róży i spokojnie go położył na powierzchni płynu bez rozlania. Powiadają, że Babilończycy byli nader zdziwieni tym porównaniem i poprosili grzecznie poetę do miasta. My zaś pozwolimy sobie mniemać, iż uczynili to przekonawszy się, iż wieszcz różany nic im nie zaszkodzi — gdyż znaczy tyle, co zero...

Poeci nasi, nie bądźcie wieszczami różanymi!

ADAM ASNYK

* PUBLICZNOŚĆ DO POETÓW

Wiecznie śpiewacie na tę samą nutę!
Śpiewacie rozpacz dziką i bezbrzeżną,
Serca przedwczesną goryczą zatrute
I melancholią mglistą a lubieżną,
Senne miłoście szpilkami przekłute,
Rany zadane jedną rączką śnieżną,
I omijacie skrzętnie każdą radość
Strojąc się w duchów księżycową bladość.

Po tysiąc razy te same westchnienia
Ślecie do oczu niebieskich lub czarnych,
Do drobnej nóżki, krągłego ramienia
I różnych kształtów mniej lub więcej zdarnych,
I umieracie jak Tantal z pragnienia,
Pełni poświęceń i bohaterstw marnych,
A choć się który czasem w rymie potknie,
To jednak lubej ręką swą nie dotknie.

Zawsze, ach, ona z tą twarzyczką cudną
Serca wam bierze na straszne tortury;
Spojrzy się — przeżyć jej spojrzenie trudno!
Odwróci oczy — świat kryje się w chmury,
Wszystko stracone, ona jest obłudną,
Dokoła ciemność i smutek ponury!
I nie zostaje nic — o, srogi losie —
Jak zginąć w mękach na sonetów stosie!

Wiecznie te same klęski bezprzykładne,
I te piękności boskie, nadzwyczajne;
Te bujne włosy, te ruchy układne,
Różane usta słodkie, życiodajne,
Te oczy pełne miłości a zdradne,
Które wyczerpał brylantowy Heine,
Te brwi, te rzęsy, te perłowe ząbki,
Te kwiaty w włosach i szat białe rąbki!

I pełno wszędzie słów pieszczonych szmeru,
Co płyną jako śpiewne wodospady,
I pełno woni zbyt słodkiej eteru,
Pełno lamentów zniszczenia, zagłady,
Zmarnowanego życia i papieru,
I potępieńców pośmiertnej biesiady —
Co wszystko snuje się z jednego wątka,
Z kapryśnej pozy ładnego dziewczątka.

Dosyć już mamy tych rozkoszy dreszczów
I tych uśmiechów niby ironicznych,
Bladych księżyców, mgły i krwawych deszczów,
Niezrozumiałych potęg demonicznych;
Dosyć już mamy tych łabędzich wieszczów,
Którzy konają w bólach ustawicznych,
I tych ubóstwień, rozanieleń, szatańst w
I tym podobnych rymowych szarlatańst w!

Co nam do tego, że wam bohaterki
Przysięgną miłość, a potem was zdradzą?
Zapewne są to dość znaczne usterki,
Lecz wartoż za to świat malować sadzą
I wulkaniczne puszczać fajerwerki,
Co się nikomu na nic nie przydadzą?
Wam się to piękne zdaje w waszym rymie,
A my się za to musim krztusić w dymie.

Miłość jest piękną bez wątpienia rzeczą
I ma w poezji stare jak świat prawa;
Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą,
Żeby tryskała życiem jej postawa;
Śmieszną się staje, gdy ją okaleczą
I kiedy wyjdzie wybladła i krwawa,
Co by, ach, na to Afrodyte rzekła,
Gdyby widziała was i wasze piekła!

Nie zrozumiałaby zapewne wcale,
Że przemawiacie miłości językiem,
Widząc was w jakimś Orestowym szale,
Z spojrzeniem błędnym, pochmurnym i dzikim,
Na samobójców chwiejących się skale,
Urągających niebu wykrzyknikiem...
Pewnie by pierś swą zasłoniła twardą
I porzuciła was z gniewem i wzgardą.

W wzgardzie dziś ona — ta naga, ta grecka —
Złej już opinii na świecie używa:
Sentymentalność górą dziś zdradziecka,
Co się w mgłach kąpie i we mgłach rozpływa.
I cała młodzież porządna, kupiecka
Przed jej posągiem oczy swe zakrywa
I marzy, wsparta na łokciu w sklepiku,
O idealnym bardzo kaftaniku.

Wiemy, że trzeba kształty posągowe
Wypełnić wyższym tchnieniem ideału,
Na nagi marmur rzucić światło nowe,
Moc czarodziejską dać pięknemu ciału;
Wierzymy także w zachwyty duchowe,
Ale nie chcemy wiecznego rozdziału
Pomiędzy duchem nieschwyconym w locie
A biednym ciałem, co się tarza w błocie.

Chcemy tej zgody, harmonii i ciszy,
Która piękności pierwszym jest warunkiem,
Chcemy tych dźwięków, które każdy słyszy
Na swoich ustach drżących pocałunkiem,
Ale nie wrzasku szalonych derwiszy,
Co upojeni narkotycznym trunkiem,
Kręcą się w kółko bez tchu i pamięci
I myślą, że to świat się cały kręci.

Chcemy tych natchnień, co by w życia zdroju
Ukazywały nową piękną stronę,
Które by naprzód biegły w każdym boju
Pokrzepiać serca słabe lub zmęczone,
Co by rzeźwiły w klasycznym spokoju
Dumne postacie, wawrzynem wieńczone,
I podnosiły wszystkie ludzkie cele,
Zdrowe pragnienia budząc w zdrowym ciele.

Lecz wy, księżyca kochankowie smutni,
Nie macie na to w piersiach dosyć siły!
Każdy z was wsparty na złocistej lutni,
Wpół pochylony do ciemnej mogiły,
Słucha z przestrachem dzikiej wichrów kłótni
Nucąc o widmach, co mu się przyśniły;
A że ma głosik łagodny i cienki,
Lubią go słuchać młodziutkie panienki.

Przez to zyskuje do wielkości prawo
I na miłostkach jako wieszcz wyrasta,
Spogląda łzawo i śmieje się krwawo,
Bo już go chytra zdradziła niewiasta,
Pogardza światem, nauką, zabawą,
Tylko się gorzko uśmiecha i basta;
I poemata pisze ironiczne,
Bardzo piekielne, choć niegramatyczne.

Ironia wprawdzie ma swój wdzięk oddzielny
I może zasiąść na Parnasu szczycie;
Dużo jest prawdy w śmiałości bezczelnej,
Dużo piękności w jej bolesnym zgrzycie,
Gdy się na przedmiot targa nieśmiertelny
Widząc, że wcielić nie zdoła go w życie
Lub gdy odkrywa serc ludzkich sprzeczności
I śmiechem godzi dwie ostateczności.

Ale ironia, o panowie mili,
To nie gra w piłkę przyjemna i łatwa,
Którą by mogła zawsze, w każdej chwili,
Bawić się z szkoły wychodząca dziatwa;
Ten jeszcze Heinem nie jest, kto się sili
Śmiać się i płakać i w rytmie pogmatwa
Dużo utartych wyrażeń cynizmu,
Z romantycznego wziętych katechizmu.

Dlatego radzim wam, wieszczowie nasi,
Niech wasze muzy w locie swym odpoczną;
Niech się z was żaden nie dręczy, nie kwasi
Ani też skacze w otchłań zwątpień mroczną
Dla tej niewdzięcznej Maryni lub Kasi,
Niechaj nie pędzi w przestrzeń nadobłoczną
Roztrącać gwiazdy, bo nam tchu nie staje
Zdążać za wami w tak dalekie kraje.

Chciejcie być skromni, zrozumiali, prości,
Panujcie myślą nad słuchaczów gminem
I budźcie w sercach pragnienie piękności;
Niechaj pieśń wasza będzie dobrym winem,
Co by nas mogło zagrzewać w starości;
Lecz nie szukajcie kłótni z Apollinem,
I gdy was rada nie powstrzyma nasza,
Wspomnijcie sobie na losy Marsjasza!

ELIZA ORZESZKOWA

NA PRZEŁOMIE

Wybrałeś się oto, czytelniku, w podróż. Na bryczce czy, przypuśćmy, w powozie lub omnibusie siedzi obok ciebie sąsiad twój, który także wybrał się w podróż.

Wjechaliśmy w okolicę po raz pierwszy przez ciebie przebywaną. Rozglądasz się wokoło i spostrzegasz na kawałku ziemi, który się oczom twoim przedstawia, jakiś ruch niezwykły. Jakieś mrowisko ludności krząta się żwawo około jakiegoś mocno ją obchodzącego dzieła. Pełen serdecznego współczucia dla tych pracujących współbraci, już, już zawołać masz wesołym głosem staroświeckie pozdrowienie: „Dopomóż Boże!", gdy wtem słyszysz wychodzące z piersi twego sąsiada głębokie westchnienie.

— Co to jest? — zapytujesz z niepokojem.

— Czyliż nie widzisz? — przemawia towarzysz o smutnym obliczu. — Patrz, tam w górze!

— Kominy fabryczne!

Prawda! Środkiem równiny rozciąga się wielka budowa, a wkoło niej to właśnie panuje ów zawrotny wir pracy. Nad dachem budowy wznoszą się istotnie kominy, z nich bucha dym.

— Tak — powiadasz — fabryka jakaś, kominy fabryczne... I cóż stąd?

Towarzysz mój ożywia się nagle.

— Co stąd? — woła. — Nie wiesz? A więc słuchaj! Kamienne mury fabryki stanęły tam, kędy dawniej leżały szyby wód drzemiących, panoramę wzgórz zakryły rzędy mizernych domków, będących zapewne mieszkaniami tego mrowiska krzątającej się ludności. Turkot maszyn zmącił świętą ciszę dziewiczej przyrody, spłoszone nim ptaki innymi przelatują szlakami, a czarne dymy, niby triumfalna chorągiew XIX wieku, urągają słońcu i niebiosom. Gdy patrzę na to wszystko, zdaje mi się, jakoby poezja bezpowrotnie uciekła z tej ziemi, a na jej miejscu rozsiadł się potwór twardej, brudnej prozy. O! Ten wiek XIX, ten wiek postępu!

Ostatnie wyrazy sąsiad twój wymówił z gorzkim, szyderczym śmiechem, po czym umilkł i zadumał się smutnie.

— To prawda — rzeczesz — przyroda cudowne miewa uroki. Ale z drugiej strony cóż czynić mają ludzie, rozmnażający się coraz bardziej na powierzchni kuli ziemskiej i zmuszeni dziewiczość tej powierzchni przemieniać w jej uprawę, aby nie umrzeć z głodu, nie krzepnąć od chłodu, a w dodatku jeszcze przez zdobywanie dobrobytu wznosić się moralnie i umysłowo?

— Co mają czynić? Oto powiem ci! Mają być cnotliwymi i kochać piękno...

Walny argument ten zmusza cię do milczenia.

Powóz wasz zresztą zajeżdża przed dworzec kolei żelaznej, bo dalszą drogę odbywać macie za pomocą lokomotywy.

Dzwonią raz, drugi, trzeci. Biegniesz, sadowisz się w pierwszym lepszym wagonie. Lokomotywa rusza naprzód, zrazu powoli, potem prędzej, coraz prędzej. Za nią leci długi rząd wagonów, za oknami których w oczach ci migocą pola, łąki, lasy, wody, wioski, dwory i puste rozłogi, i ludne miasta. Zda się, że świat cały leci wraz z tobą drażniąc cię i rozciekawiając coraz nowym obrazem. Rad temu, że cię siły przyrody, ręką ludzką kierowane, tak szybko w przestrzeń unoszą, już, już wypowiedzieć masz gorące swe zadowolenie, gdy w uchu twym rozlega się szept posępny:

— Żelazny wiek! Szalony, bezrozumny wiek! — szepcze twój sąsiad. — Wszyscy śpieszą, pędzą, lecą, sami nie wiedząc po co, sami nie widząc dokąd...

— Przepraszam cię, mój drogi — przerywasz z lekką niecierpliwością — ja przynajmniej wiem dobrze, dokąd śpieszę. Pewny nawet jestem, że każda z osób z nami jadących wie dobrze, po co jedzie.

— To nie podróże — przerywa ci sąsiad — ale ślizganie się po powierzchni ziemi. Dawniej człowiek szedł pieszo albo jechał na koniu — no, przypuśćmy, na bryczce, ale zawsze powoli z uwagą i rozwagą. Miał dokoła siebie odkrytą przestrzeń, której każdemu punktowi przyglądał się dokładnie, mógł do woli zmieniać kierunki swej podróży. Teraz cóż? Jesteście towarem wiezionym. Siadając do jednej ze skrzyń tych zrzekacie się własnej woli, możecie przebyć świat cały i nic z niego nie zobaczyć. Panem waszym jest komin żelazny, a przewodnikiem osmolony maszynista.

— Nie widzę — odpowiadasz — jaką by przeszkodę koleje żelazne stawiły pieszemu lub konnemu podróżowaniu. W żadnym wieku ludzie nie wdrapywali się na tyle gór, nie zbadali tylu nieznanych przedtem krain, nie zapuścili się tak głęboko w łono ziemi i topiele mórz, jak w naszym. Koleje żelazne zresztą, jeżeli stanowią głębszy rozdział pomiędzy człowiekiem a przyrodą, zbliżają za to ludzi do ludzi...

— Eh! — woła twój sąsiad. — W naszym wieku ludzie są tacy, że lepiej ich nie znać.

I ciągnąc dalej rozpaczliwe swe wnioski, wyciąga nieznacznie palec ku jednemu z towarzyszów podróży.

— Popatrz tylko na człowieka tego! — szepce mi do ucha.

Patrzysz i widzisz szpakowatego jakiegoś poczciwca z bardzo sprytnymi oczami, z tuszą w istocie nadmierną nieco, z powierzchownością, słowem, zdradzającą stałe używanie dobrobytu.

— Tłusty bankier! — wymawia sąsiad i spluwa przez okno wagonu.

— Słusznym jest przecie i potrzebnym, aby pomiędzy wszelkimi innymi stanami ludzkości znajdowali się i bankierowie.

— Pijawki wysysające krew ludzkości!

Nie miałeś jeszcze czasu odpowiedzieć, gdy pociąg zatrzymał się i do wagonu wszedł nowy podróżnik. Tym razem był to człowiek wysoki, chudy, ze zwiędłą przedwcześnie twarzą i w mocno nadwątlonym ubraniu.

— Spójrz — szepce ci sąsiad do ucha — spójrz na tę ofiarę.

Patrzysz na mizernego biedaka i odpowiadasz:

— To prawda, że jest on niezawodnie ofiarą, ale czyją?

— Czyją? Jest ofiarą XIX wieku!

— Jakim sposobem?

— Takim, że musi to być duch jakiś wyższy, który nie mógł pogodzić się z otaczającą go prozą, z maluczkimi zachodami ziem-

skimi. Marzył, tęsknił, cierpiał, aż wiek suchego rozumu i roboczej pracy porwał go w swe szpony i rzucił w ubóstwo, kto wie, może w nędzę!

— A! — rzeczesz. — Trudna rada! W każdym pono wieku próżniacy, umiejący tylko wzdychać i marzyć, popadali w ubóstwo.

— Nie próżniacy to są, ale męczennicy, nieszczęsne ofiary utylitaryzmu, pozytywizmu, realizmu, materializmu...

W tej samej chwili jedna z towarzyszek podróży zadaje ci potoczne jakieś pytanie. Ubiór jej prosty jest, choć gustowny, sposób mówienia uprzejmy i naturalny. Z rozmowy dowiadujesz się, że towarzyszka twoja jest kobietą, która pracą własną zdobywa byt dla siebie i starych swych rodziców, że ma młodsze siostry, które sama wychowuje i kształci. Po dość długiej rozmowie młoda kobieta, otworzywszy książkę, wyjętą z podróżnego woreczka, zagłębiła się w czytaniu.

Z tryumfującą miną zwracasz się do sąsiada.

— Cóż? — zapytujesz — ta kobieta przynajmniej nie ściągnie na siebie twych złorzeczeń!

— Emancypantka! Gęś, strojąca się w pióra papuzie! Uczona kobieta XIX wieku!

— Jak widzę, nie podobna ci dogodzić!

— Kobieta powinna być dobrą żoną, matką, gospodynią i basta!

Basta i my powiemy! Aby wyliczyć pretensje, jakie duchy owe, najfałszywiej w świecie poetycznymi zwane, roszczą do XIX wieku, trzeba by odbyć podróż dokoła kuli ziemskiej i zapisać tyle papieru, ile go wyrabiają corocznie wszystkie papiernie europejskie. Począwszy od kominów fabrycznych i gospodarstwa leśnego, do tłustych bankierów, nieuznanych duchów wyższych, kobiet uczonych, od pierwszego lepszego żebraka, wyciągającego rękę śród publicznej drogi do pierwszej lepszej karety, przebiegającej ulicę miasta, od występku i zbrodni, wypływających z ułomnej natury ludzkiej, do cnoty i zasługi, których pojąć nie są w stanie, wszystko przedstawia dla nich przedmiot wstrętu i obrzydzenia, we wszystkim spostrzegają oni niezdrowy owoc zepsutego na wskroś XIX wieku.

KAROL ŚWIDZIŃSKI

NAPRZÓD PRACĄ

Młodzi moja! do was dążę,
Wiary pełen — a i troski —
Bom ja nie Niezłomny książę,
Nie Wallenrod, nie Beniowski!

W księżycową noc na fali
Ja wam grobów nie otworzę,
Choć trumienne ojców łoże
Może moja myśl przepali!

Ja wam duszy nie upoję
Marzeń cudem, pieśni cudem,
Ale by was zbratać z trudem,
Wolą, cnotą was uzbroję.

Młodzi moja! Młodzi dzielna!
Ty szlachetna i naczelna,
Bo na twoich barkach leży
Skarb przyszłości, dług szermierzy.

Nie daj się upoić pieśni!
Bo choć z pieśni często chwała,
Nieraz pieśnią człowiek prześni
Chwilę, w której drugi działa.

Nie eolskich tobie tonów,
Nie błyskawic, nie szwadronów
I nie orlich tobie lotów,
I nie szabel, i nie grotów,
Ale pracy tobie trzeba!
Duszy chleba, myśli chleba!
Więc nad księgą zwieszaj głowy,
Bo tam napój silny, zdrowy,.
Stamtąd przyjdzie ci znajomość
I ta pewność, ta świadomość,
Jak wygrzebać skarby z ziemi
I jak ziemię podnieść niemi.

O, ma braci! wdzięczna, młoda!
Czasu szkoda, trudu szkoda
Na marzenia biegać szlaki
I na cudze liczyć ptaki!
I odgrywać butnych rolę
Przez ciemnotę i swawolę!

Cóżeś szablą wyrąbała?
Kilka szczerbów w dziejów pleśni!
Cóżeś lutnią wypłakała?
Milion tonów — co świat prześni!

Oj, nie szablą i nie tonem
Tobie walczyć, hufcu młody!
Ale z czołem pochylonem
Nad mądrości ślęczyć kartą,
Sercem przeczuć prąd właściwy
I z prastarej ojców niwy
To ukochać, czym żyć warto!

Bo nie żadnym błyskiem stali,
Nie natchnionych tonów mocą,
Ludy czoła swe ozłocą:
Tylko pracą i mądrością,
Tylko trudem i miłością
Przyszłość serca im zapali!

Młoda braci! dłoń twa twarda,
Serce zdrowe, dusza harda!
Więc przed ołtarz siadaj trudu
I niech pot ci z czoła ciecze —
Bo gdy minął czas na miecze,
Zawsze czas na pracę ludu!

Stal to przemoc! Pieśń to baśnie!
Lecz by stanąć twardo, jaśnie,
Innych potęg dzisiaj trzeba:
Duszy chleba, myśli chleba!

Po staremu i bez trwogi
Szły pradziady — wierząc w hasło!
Ale kasty hasło — zgasło:
Więc nam dzisiaj inne drogi.

Im nieszczęsnym się zdawało,
Że krew przelać, ot i dosyć!
I że można cud wyprosić
Zwrotką pieśni... Oj, za mało!

Nie z tej cegły gmach powstaje,
Gmach, którego nic nie złamie,
Tylko myśli — pracy ramię
Takie gmachy ludom daje!

A więc, moja braci młoda!
Nie do szabli, nie do pieśni.
Czasu szkoda, trudu szkoda!
Szabla pryśnie, pieśń się prześni!

Ty na inne licz zdobycze,
Na zdobycze, które trwają,
Które chleb rodzinie dają,
Choć nie głośne, nie zwodnicze.

W tym przybytku pracy, woli,
Bracie! mało jest wesela,
Tam skroń pali, serce boli
I co stworzy, w życie wciela.

Duszy twojej nie pokala
Żądza pusta ni myśl pusta,
Nie uśmiechną ci się z dala
Koralowe dziewcząt usta...

Hej, do cyrkla, hej, do kielni,
I do wagi, i do pługa!
A choć praca ciężka, długa,
Ale wyjdziem my z niej dzielni.

Barki nasze się rozrosną,
Serca nasze spotężnieją
I zdobędziem myśl miłosną
I grunt, co go nie zachwieją
Ani burze, ani siła,
Bo go praca postawiła!

BOLESŁAW PRUS

WSPOMNIENIA MŁODOŚCI

Głowacki uczęszczał do szkół od r. 1856 do r. 1866, co już wskazuje, że należał do tej interesującej grupy młodzieńców, która w poziomym języku profesorów nazywała się: próżniakami i urwisami.

Takim było prawie całe ówczesne pokolenie. Uczyli się lekcyj niezbyt chętnie, dokazywali okropnie, chociaż bardzo rzadko złośliwie. Palant, wagusy, łyżwy, kąpiele, bitwy, wrzaski, strzelanie, fechtunek na kije — więcej zajmowały tych chłopców, aniżeli szkoła. Równie często siedzieli w kozie albo klęczeli na środku klasy, jak zajmowali się książką.

Najulubieńszą rozrywką, przynajmniej lubelskich szkół w owej epoce, były bitwy glinianymi bryłami, staczane w sekrecie za lubartowską rogatką. Co się zaś tam działo, objaśni fakt, że we

wrześniu r. 1860 przy zdobywaniu spadzistych pagórków kilkudziesięciu chłopców było pokrwawionych i posiniaczonych, a jeden, Ch., we dwa tygodnie umarł nie powiedziawszy słówka ani rodzicom, ani nauczycielom.

Chłopcy ówcześni były to lwie szczenięta, dzieci rasy wojennej i barbarzyńskiej, w których szkoła za pomocą żelaznej karności przerabiała potężny zapas sił muskularnych na pracę umysłową — cywilizowała ich.

W klasie VI i VII była to już młodzież ucywilizowana. Mimo to spora ich liczba biegała na kilkomilowe spacery, chodziła po dachach, wdrapywała się na drzewa i wieże, włóczyła się nocami po cmentarzach jak wariaci. Miłe te chłopaczki tylko w czasie pauzy znajdowali się na środku klasy, przy tablicy; lecz podczas lekcji cała gromada tak dokładnie kryła się gdzieś w ostatnich ławkach, że trzeba ich było szukać jak szpilki w stogu.

Dodajmy jednak, że nadmiar sił, na który chorowała ówczesna młodzież, manifestował się także prędkim uczeniem się lekcyj, łatwym przygotowywaniem się do egzaminów i pracą wybiegającą poza ramy szkolnego programu. Najweselszy i najdowcipnieszy z tej gromady, Michał S., który, kiedy nie miał co jeść, czytywał *„Klub Pickwicka"*, był wybornym karykaturzystą i miał genialne pomysły mechaniczne: zbudował np. mikroskop, w którym soczewkę przedmiotową zastępowała kropla wody.

D., w każdym calu sportsmen, układał pyszne epigramy, zapalał się do wszystkich nauk. B., udający na lekcjach wizytatora, studiował ekonomię polityczną i dyplomację. O., aspirant do sztuki brzuchomówstwa, pisał kompletnie dobre wiersze, z zamiłowaniem uczył się fizyki i robił poważne doświadczenia z magnetyzmem zwierzęcym.

Trudno opowiedzieć, ile energii, inteligencji, zapału i najszlachetniejszych uczuć płonęło w tej dzielnej młodzieży. A ile tam było wiedzy i pracy! Czytano nie romanse, jak w niższych klasach, ale: ekonomię, statystykę, psychologię, historię filozofii Szweglera, mechanikę, rachunek różniczkowy, filozofię historii Vico, dzieła Śniadeckich; znano też Renana i nawet coś słyszano o Darwinie. Rozprawiano o Bogu, duszy, czasie i przestrzeni, o nadużyciach szlachty, nędzy chłopów, położeniu Żydów itp. Na tym polegała „wolnomyślność" ówczesnej młodzieży.

Godne uwagi były potężnie rozwinięte wśród tych chłopców instynkty społeczne, trzy wyższe klasy żyły z sobą za pan brat, urządzano spacery, zbiorowe powtarzanie lekcyj, wydawano nawet jakiś świstek pt. „Głos z kąta". Naturalnie, że chciano „bryłę świata nowymi pchnąć tory", że każdy myślał o jakimś stanowisku w przyszłości, lecz przy tym chodziło mu nie tyle o karierę osobistą, ile o oddanie największych usług społeczeństwu.

Wśród tej młodzieży kipiącej życiem Głowacki był nie gorszy i nie lepszy od innych, tylko trochę starszy i doświadczeńszy. A ponieważ każdy z nich miał jakąś oryginalną cechę umysłową, więc i on ją miał.

Był to fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych. Więc wykładał na prawo i lewo, że wszystko jest głupstwem i kłamstwem, czego nie można wyliczyć i zważyć, a przynajmniej zaobserwować.

Ulubionym jego marzeniem było sprowadzić wszystkie nauki do metod i form matematycznych, a cały język — do formuł algebraicznych; dziwactwo, o którym jednak myśleli bardzo przytomni ludzie. Z upodobaniem uczył się on statystyki — bo w niej były cyfry, czytał ekonomię Milla — wykładaną jak geometria i ekonomię Roschera — gdzie znowu były cyfry. Z wielkim zapałem studiował logikę, która tłumaczyła metody dedukcyjne i indukcyjne, a dzięki logice — psychologię.

(Słówko o krytyce pozytywnej)

ADAM ASNYK

DO MŁODYCH

Szukajcie prawdy jasnego płomienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg.
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia
Coraz się dusza ludzka rozprzestrzenia
I większym staje się Bóg!

Choć otrząśniecie kwiaty barwnych mitów,
Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojeń zedrzecie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie zbraknie zachwytów,
Lecz dalej sięgnie ich wzrok.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach;
Nieście więc wiedzy pochodnie na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealnych snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi,
I wasze gwiazdy, o, zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!

BOLESŁAW PRUS

W PRACOWNI UCZONEGO

Dom, przed którym zatrzymali się, leżał w pustej okolicy niedaleko Sekwany. Wśród zimowej nocy wyglądał jak zrujnowana fabryka, mająca zamiast okien wąskie otwory. Ściany były okopcone, w niektórych miejscach spękane; tynk wszędzie opadał.

Starzec otworzył czerniejącą w murze furtkę, która, gdy weszli, gwałtownie zamknęła się, i minąwszy mały dziedziniec wprowadził Juliana do budynku jeszcze posępniejszego, niż frontowy. Otworzył drzwi do sieni oświetlonej gazowym płomykiem, skąd wraz ze swym gościem weszli do pokoju na prawo, gdzie również palił się gaz.

Pokój ten robił wrażenie więziennej celi. Posiadał jedno półokrągłe okienko na wysokości ludzkiego wzrostu, kanapę obitą skórą, parę ciężkich krzeseł, biblioteczkę z potłuczonymi szybami, dwa stoły, pełne papierów i notat, wreszcie żelazną szafę. Ściany były nagie, brudne od kurzu, który osiadał na nich grubą warstwą; po kątach zwieszała się ciemnymi fałdami pajęczyna.

— Potrafisz tu mieszkać przez piętnaście albo i dwadzieścia lat? — zapytał nagle starzec.

Julian wstrząsnął się.

— Ani myślę o tym — odparł chłodno.

— A jednak będziesz mieszkał.

Juliana zdziwiły te słowa. Postąpił krok naprzód i ostro patrząc w szkaradną twarz starca rzekł:

— Czy nie masz pan zamiaru uwięzić mnie w tej ruderze?...

— Nie ja, nie ja — odpowiedział starzec obojętnie — ty sam się uwięzisz. Chyba, że świeże powietrze wywiało ci z głowy pragnienia, jakimi przed godziną dręczyłeś się, co prawda przy koniaku — dodał mrucząc.

Julian poczuł, że się rumieni ze wstydu.

Tymczasem starzec otworzył żelazną szafę i wydobywszy stamtąd parę kul wielkości jabłka pokazał je gościowi.

— Znasz ten metal?

— To stal szmelcowana.

— Weź to do rąk.

Julian wziął obie kule i zastanowił się.

— One są puste?...

— Nie — odparł starzec.

— Tak lekkich metalów nauka nie zna.

— Ja je znam, to na dziś wystarczy. A kiedyś ty sam będziesz robił lżejsze.

— Ja?... Ja będą robił metal lżejszy od wody?... — pytał coraz więcej zdumiony Julian.

— Zrobisz metal równy wytrzymałością miedzi, a lżejszy od powietrza — odpowiedział starzec. — Mnie już na to życia nie wystarczy.

Julian spoglądał kolejno to na starca, to na kule, które trzymał w rękach. Bez tak przekonywających dowodów myślałby, że rozmawia z oszustem albo z wariatem.

— Nie traćmy czasu — przerwał starzec zabierając kule, które schował do szafy. — Domyślasz się zapewne — mówił do Juliana — że jestem chemikiem. Nazywam się Geist. Kiedyś byłem nawet dosyć znanym. Otóż udało mi się odkryć aliaż, którego głównym składnikiem jest wodór.

— Aliaż z wodoru?... — powtórzył Julian.

— Po czterdziestu zaś latach pracy mogę robić stopy o najrozmaitszym ciężarze gatunkowym. Nadto mam niezawodną pewność, że na tej drodze znajdzie się aliaż znacznie lżejszy od powietrza.

— Ależ to przewrót w dziejach świata! — zawołał rozgorączkowany Julian. — Z podobnego metalu można budować powietrzne okręty... Okręty powietrzne!... — powtórzył. — Zupełna zmiana stosunków między ludźmi...

Starzec wzruszył ramionami.

— Jakie będą zastosowania nowego metalu — mówił spokojnie — to już mnie nie obchodzi. Mam z górą sześćdziesiąt lat, a w dodatku zdarzyło mi się w życiu parę eksplozji, które, jak widzisz, ciężko mnie pokaleczyły. Ażeby doprowadzić rzecz do końca, bez jarmarcznego hałasu, nie ogłaszam moich odkryć, lecz szukam następcy. Chcesz nim być?

Julian wzruszony wyciągnął do niego rękę.

— Nie zachwycaj się — mówił starzec — gdyż czeka cię niewesoła przyszłość. Do wyczerpania mojej metody trzeba wykonać około ośmiu tysięcy doświadczeń, subtelnych i niebezpiecznych, co przy wprawie, do jakiej dojdziesz pod moim okiem, zabierze ci około dwudziestu lat.

— Jestem gotów...

— Och! — przerwał mu starzec — nie wierzę ani w twoją gotowość, ani nawet w ambicję, choć posiadasz ją w wysokim stopniu. Ale jest coś silniejszego od młodzieńczych zapałów, mianowicie — potęga badań. Gdy raz pochwyci cię w swoje tryby, już się nie wydrzesz.

— Zgoda — odparł Julian. — Przyjdę tu za kilka dni i możesz pan mną rozporządzać.

— Za kilka dni?... — powtórzył starzec.

— Muszę załatwić moje interesy, pożegnać, choć listownie, rodzinę...

— Jesteś, widzę, i sentymentalny?

— Nie mogę być innym. Któż mi zaręczy, że w pańskim laboratorium, zamiast sławy, nie znajdę śmierci?

— Nie ma śmierci — odrzekł starzec. — Jest tylko natura, a w niej różne formy bytu, z których jedne mogą, inne nie mogą pracować w laboratoriach. Reszta jest złudzeniem; sam się o tym przekonasz.

— Ale swoją drogą... — wtrącił Julian.

— Tak, swoją drogą czas ucieka, więc idźmy do laboratorium.

Julian nie opierał się. Wyszli z pokoju i minąwszy sień znaleźli się w izbie podobnej do obszernego warsztatu. Pod jedną ścianą stał piec z cegły ogniotrwałej, pod drugą, na długiej półce, szereg elementów stosu elektrycznego; w głębi, naprzeciw drzwi, poznał Julian aparat do skraplania kwasu węglanego.

Wreszcie na środku izby znajdował się potężny cylinder, rodzaj wysokiej kadzi mającej około czterech łokci średnicy. Do cylindra z boku przytwierdzony był przyrząd wyglądający na śrubę mikrometryczną, a nieco wyżej manometr.

— Ten cylinder — mówił starzec — jest stalowy i ma ściany, czterdzieści cali grube; w nim wodór poddaje się bardzo wysokim ciśnieniom.

Na tym manometrze każdy stopień odpowiada stu atmosferom; ta zaś śruba, przy pomocy noniusza i lupy, daje się posunąć o tysiączne części milimetra i większych kroków robić nią stanowczo nie można. Otóż zajmij się przyrządem. Uważaj na manometr, aby wskazówka nie drgała zbyt gwałtownie i nie zbliżyła się do czerwonej kreski, a nadto co parę minut posuwaj śrubę...

— O tysiączną część milimetra?... — spytał Julian.

— Tak. Jeżeli posuniesz ją dalej, może nastąpić wybuch.

Otworzył kran i w cylindrze coś zaszumiało, jakby wlewano merkuriusz. Julian poczuł, że robi mu się zimno. Nie okazując jednak wzruszenia zapytał:

— Czy w tym domu jest kto oprócz nas?...

— Jest człowiek, który kiedyś był na galerach. Mimo to przyjąłem go i mam prawo nie troszczyć się o jego życie — odpowiedział

starzec. — Służy mi nieźle jako stróż i kucharz; ale przy moich pracach używać go nie mogę, ponieważ jest letkiewicz.

— A teraz idę przespać się — rzekł starzec. — Ty zostań i czuwaj, jeżeli ci sława miła. — No, i bezpieczeństwo tego miasta — mruknął do siebie.

Julian stał odurzony. Chwilami zdawało mu się, że ktoś, chcąc ośmieszyć jego ambicję, wciągnął go do komedii, której przypatrują się znajomi i koledzy ukryci za ścianą izby. Ale deszcz, bijący w małe okienka pracowni, ostrzegł go, że budynek nie jest miejscem, gdzieby można urządzać przedstawienia amatorskie i że jedynym jego widzem jest chyba ów służący galernik, który jutro zda swemu panu raport o zachowywaniu się nowego laboranta.

Wreszcie trudno było wątpić, że w tej sali wykonują się poważne próby. Może nawet doprowadza się wodór do stanu ciekłego!... Ten olbrzymi cylinder, z czterdziestocalową ścianą musi mieć wewnątrz dużo miejsca, gdzie coś jest i coś się robi. Ale co?...

Przy świetle kilku płomyków gazowych Julian rozejrzał się po laboratorium i do pewnego stopnia zrozumiał urządzenie. Spostrzegł naprzód, że druty stosu elektrycznego przenikają do wnętrza cylindra. Widocznie ma tam miejsce rozkład wody. Wodór zbiera się w wielkiej ilości i może nawet skrapla się pod własnym, niezmiernym ciśnieniem. Ale skąd dopływa woda i gdzie podziewa się tlen?...

Dalej spostrzegł, że aparat, skraplający kwas węglowy, za pomocą bardzo grubej rury łączy się także z cylindrem. Widocznie kwas węglowy dopływa tu w celu wytworzenia niskich temperatur. Ale gdzie odpływa?

Dotknął ręką ściany cylindra i przekonał się, że istotnie jest bardzo chłodna.

Z kolei zwrócił uwagę na śrubę mikrometryczną. Przeznaczenia jej łatwo się domyślił. Prawdopodobnie reguluje ona dopływ wodoru i kwasu węglowego, może odpływ zużytych gazów, a najpewniej robi jedno i drugie. Ale jakim sposobem?

Co krok spotykał rzeczy niejasne. Jedno tylko zdawało się nie ulegać wątpliwości, że wewnątrz cylindra zachodzą jakieś reakcje chemiczne i że ma miejsce ogromne ciśnienie gazów, przy którym byłyby zabawką dynamitowe miny. Stary chemik na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych uwięził siły mogące stworzyć wulkan i — jego postawił na straży... Co by się stało z nim, z budynkiem, a nawet z częścią Paryża, gdyby nastąpił wybuch?...

W tej chwili spojrzał na manometr i zobaczył, że wskazówka opadła o jeden cały stopień. Pot wystąpił mu na czoło. Co robić?... Czy zwiększać ciśnienie, jak kazał starzec, czy pozwolić na stopniowe wyczerpanie sił? A jeżeli wtedy właśnie nastąpi eksplozja?...

— To wielki zbrodniarz! — szepnął Julian.

— A tyś jego niewolnik... — odpowiedział mu głos w duszy.

Istotnie był niewolnikiem, przynajmniej na noc dzisiejszą; musiał robić, co mu kazano, pod grozą śmierci dla siebie i tysiąca ludzi niewinnych. Więc ze spokojem, jaki daje wielka obawa, ujął wskazówkę śruby i przy pomocy lupy i noniusza posunął ją o dwadzieścia jeden minut w łuku. Manometr zwolna wrócił do właściwego położenia, a Julian uczuł, że miejsce trwogi zajęła mu w sercu duma.

— To jednak nie jest trudne ani niebezpieczne!... — pomyślał usiłując zapanować nad mimowolnym drżeniem rąk.

Załaskotało go w piersiach i zaczął się śmiać jak nerwowa kobieta, która zląkłszy się czegoś podobnego do myszy poznaje własną aksamitkę. I nagle po zgnębieniu, jakiego od godziny doświadczał, opanowało go natchnienie. Marzył, że ponura izba zamienia się w szereg oświetlonych pokojów, gdzie miasto Paryż wydaje dla niego ucztę. On widzi wykwintne tłumy, słyszy szelest strojnych sukien kobiecych i szmer rozmów, gdzie każdy powtarza jego imię.

Wtem wszystko umilkło, głowy pochylają się, muzyka gra. To wszedł on, wczoraj nieznany cudzoziemiec, dziś — przedmiot ogólnej czci i podziwu... Sława! Sława! Sława!...

Na płonące od iluminacyj ulice Paryża wylegla milionowa ludność; z oczyma utkwionymi w górę śledzi ona obroty kilku oświetlonych statków powietrznych. — Czy to balony?... Nie, to są metalowe pancerniki, unoszące wojsko i artylerię... — Kto je zbudował?... — Ten a ten... — Twarde nazwisko, ale po nim przejdziemy na drugą stronę Renu... — Nad Ren!... Nad Ren!... — wołają krocie. — Sława!... Sława!...

A tam, przez pola okryte śniegiem, na wszystkie strony, zadyszane lokomotywy niosą wieść o nadzwyczajnym wynalazku. — Wielka godzina — mówią — wybiła dla świata, państwo atmosfery zdobyte. Francja dostała w rękę oręż, którego już nikt nie złamie. Biada tym, co ośmielą się nie wysłuchać jej żądań... Sława! Sława! Sława!...

— Teraz zdawało mu się, że w okrzykach mnogiego ludu rozlega się jakiś dźwięk. Wytężył ucho — jeszcze słychać wyrazy: „Sława! Sława", choć odległe i jakby zduszone; lecz powódź świateł w salonach i na ulicach, strojne towarzystwo i bezładne ciżby już znikły. Zobaczył znowu posępne laboratorium, a na drugim końcu izby usłyszał warczenie jakby gotującej się wody. Aparat ze skroplonym kwasem węglowym ostrzegał go o niebezpieczeństwie.

Machinalnie rzucił okiem na manometr. Wskazówka opadła o trzy stopnie.

Ujął śrubę mikrometryczną i posunął ją, jak pierwej, o dwadzieścia jeden minut. Chwilę zaczekał. Spojrzał. Manometr nie zmienił położenia.

— Ładna zabawa! — szepnął Julian. — Teraz nie wiem, co robić, bo Geist nie zostawił żadnych instrukcji.

Aparat z kwasem węglowym wciąż warczał.

— Nic nie pomoże — pomyślał Julian — trzeba posuwać śrubę dopóty, dopóki nie wyrówna się ciśnienie.

I posunął śrubę znowu o krok, po kilku minutach znowu o krok i jeszcze o krok. Warczenie aparatu, zamiast osłabnąć, wzmogło się i zwolna posuwało wzdłuż rury komunikacyjnej. Żółte płomyki gazu skręcały się i wydłużały, a czarny cylinder stalowy drżał jak wstrząsany gorączką. W całej izbie działo się coś niezwykłego; chwilami rozlegało się dźwięczenie szyb i rozrzuconych po podłodze blach rozmaitego metalu.

Julian uczuł, że traci władzę porządnego myślenia, nawet wiedzę, gdzie jest i czym jest. Oparł lewą rękę o stalowy cylinder i utkwił wzrok we wskazówce manometru, która wahała się w dziwny sposób. To wznosiła się do góry o trzy kreski, to opadała na dół o dwie, zwolna zbliżając się do granicy wybuchu. Jednocześnie, w nim czy poza nim, jakiś głos szeptał: — Śmierć... życie... śmierć... życie...

Do czerwonej linii brakowało już tylko pięciu kresek. — Za kilka minut zginę... — pomyślał Julian. I nagle ogarnął go ów niezmierny spokój, w jaki uzbraja się ludzka dusza wobec nadchodzącej śmierci. Już się jej nie lękał ani niecierpliwił, że przychodzi tak zwolna, że pełza i cofa się jak wąż, zamiast go od razu uderzyć. Stał bez ruchu, ciężko dysząc, z okiem przykutym do wskazówki; zdawało się nawet, że jej torturujące skoki naprzód i w tył, zamiast drażnić, robią mu jakąś okrutną przyjemność jak nóż zagłębiający się w ranę pozbawioną czucia.

Nagle wskazówka poruszywszy się o jedną kreskę — tuż obok linii wybuchu — stanęła i zwolna poczęła opadać ku normalnemu ciśnieniu. Cylinder drżał coraz mniej, płomienie gazowe uspokoiły się, aparat z kwasem węglowym umilkł. W izbie cisza... Julian wytężył ucho. Cisza!.. A jednak słychać jakiś stłumiony dźwięk bam!... bam!... Tak serce w nim uderzało.

— No!... — szepnął Julian.

Wtem uczuł ból w ręce, którą opierał się o cylinder. Oderwał ją — spojrzał. Na dłoni i końcach palców powyskakiwały bąble jak od oparzenia. Cylinder był tak zimny, że mu odmroził rękę.

— Udało mi się!... — szepnął znowu. Przeszedł parę kroków tam i na powrót, spróbował uśmiechnąć się, lecz wtem oburącz zatkał sobie usta. Fala gorącej krwi uderzyła mu do głowy i poczuł, że musi użyć wszystkich sił, aby powstrzymać się od wykrzyku: „Ratujcie!..."

Teraz dopiero, gdy minęło niebezpieczeństwo, opuściła go energia, a za serce pochwycił strach paniczny. Chciał kogoś wołać i gdzieś biec. Zapomniał o otwartych drzwiach i zdawało mu się, że uciec stąd można tylko przez okienko, wybite w górze ściany i zakratowane.

Sława i rozgłos nic go już nie obchodziły, obietnice chemika obmierzły mu; pragnął tylko jednego: żyć!... Żyć nieznanym, żyć w nędzy, żyć bodaj w hańbie, byle żyć i byle gdzieś daleko od piekielnej pracowni.

Szczęściem silny mózg wytrzymał atak szaleństwa. Julian zobaczył teraz, że drzwi izby są otwarte, a przez brudne okienka zagląda zimowy świt. Powoli uspokoił się, ochłonął, dotknął nawet pulsu i porachował sto dwadzieścia uderzeń na minutę.

Więc to ma być wstępem do wielkiego wynalazku i do sławy? — myślał, chwilami drżąc z zimna. — I to człowiek, któremu natura dała tak nędzne siły, ma narażać się na podobne cierpienia? Nie raz w ciągu życia, nie przez jedną noc, ale przez piętnaście i dwadzieścia lat stać na szafocie, mierzyć sekundami zbliżanie się śmierci, walczyć z rozpaczą bez nadziei zwycięstwa i po co?... Po to, ażeby jeden z tysiąca męczenników dostał laury geniuszu...

Ach, podła ziemio, podła nauko, podła chwało!... Gdzież ludzkość ma skarby do zapłacenia podobnej tortury?...

W miarę jak puls wracał do zwyczajnego tętna, w Julianie słabnęło uniesienie rozpaczy, a ogarniała go apatia. Czuł w pracowni przejmujące zimno, ale nie miał siły wyjść bodaj do sieni; bolała go odmrożona ręka, ale nawet obejrzeć jej nie miał ciekawości.

Usiadł na krześle naprzeciw złowrogiego cylindra i osłupiałymi oczyma patrzył na wskazówkę manometru, która opadła na zero.

Julian nie pytał nawet, co to znaczy. Czuł, że już nie myśli, że jego głęboko wstrząśnięty mózg odpoczywa i było mu dobrze.

Z odrętwienia zbudziło go skrzypnięcie drzwi. Wszedł stary chemik i przelotnie spojrzawszy na Juliana zbliżył się do manometru. Chwilę patrzył, przetarł szkło i znowu patrzył. Julianowi zdawało się, że na wstrętnej twarzy starca poczerwieniały blizny i że następnie pobladły mu usta. Obejrzał w milczeniu cylinder, starczym krokiem pobiegł do aparatu z kwasem węglanym, znowu wrócił do cylindra, przypatrzył się śrubie mikrometrycznej i wtedy dopiero zaczął mówić jakby do siebie:

— Bardzo dobrze!... Zdaje mi się, żem powiedział: bardzo dobrze? I dobrzem powiedział. Nigdy nie myślałem, że moje retorty są aż tak wytrzymałe... Bardzo dobrze.

— Lada głupiec potrafi zaryzykować — mruczał starzec — ale ten, kto ryzykuje szczęśliwie, nazywa się wielkim... Wielkim geniuszem... albo głupcem...

— Hej! — zwrócił się do Juliana. — Manometr opadał i podnosił się przynajmniej o stopień?... Co?...

— O trzy stopnie — odparł Julian.

— O trzysta atmosfer?... Bardzo dobrze!... Zrobiłeś piękne odkrycie, przez które na każdej dobie zyskujemy po dwadzieścia jeden godzin; na przyszłość jednak radzę ci być mniej samodzielnym, a więcej uważnym. W taki sposób z manometrami postępują nie uczeni, ale oficerowie turkosów, którym płacą za to, ażeby sami ginęli i zabijali innych... Zresztą wszystko dobrze.

Podniesiony głos starego chemika stopniowo łagodniał. — No, no — mówił — reakcja skończyła się w sześć godzin, a miała trwać czterdzieści osiem!... Wyborne odkrycie. Swoją drogą manometr może wahać się co najmniej o jedną kreskę, czyli o dwadzieścia atmosfer...

Ujął się ręką za suchą brodę, znowu obszedł cylinder i prawił:

— Zresztą rób, jak chcesz. Ludzie kiedyś obawiali się zapałek, a my dziś trzystu atmosfer. Tamto przesąd i to przesąd... Trzysta atmosfer różnicy w ciśnieniu... Niech go nie znam!... Śmiały człowiek.

Zbliżył się do siedzącego Juliana i uderzywszy go w ramię, rzekł:

— Winszuję!... Skróciłeś nam czas doświadczeń osiem razy. Jak na pierwszą próbę — to dobrze. Masz szczęśliwą rękę i nie zdziwiłbym się, gdybyś w jednym doświadczeniu znalazł to, nad czym ja na przykład musiałbym dwadzieścia lat pracować. Cóż?...

— Chcę spać — odparł Julian stłumionym głosem. — Tylko spać...

— Wygląda, jakby wczoraj został mężatką — mruknął stary chemik. Wziął Juliana pod rękę i przez sień zaprowadził do pokoju, do którego w nocy weszli najpierwej.

Julian upadł na skórzaną kanapę i głęboko zasnął.

(Sława)

MARIA KONOPNICKA

DO MŁODEJ BRACI

Czuwaj, strażnico! W ludzkości pochodzie
Duchy młodzieńcze niech idą na przodzie!
Niech tory biją przed braćmi ciemnymi.
Niech będą świtem i jutrznią tej ziemi,
I wyciągniętą po światło prawicą...

Czuwaj, strażnico!

W wieków i ludów, i pojęć rozterce
Ty stój, gdzie bije puls ziemi i serce!
Tchnieniem zapału rozgrzewaj ty słońce,
Nad małodusznych głowami stygnące,
I bądź wiosennej burzy błyskawicą...

Czuwaj, strażnico!

Czystą ci trzeba w przyszłości wejść progi
I strząsnąć pyły nędz ziemskich wśród drogi,
I z ramion zrzucić żądz niskich kajdany,
Żaden duch wielki nie był pokalany,
Kochanek prawdy musi być dziewicą...

Czuwaj, strażnico!

Wrzącego ducha, co światła jest głodny,
Kwiat jednodniowy zaiste nie godny!
Skarbów zapału nie rzucaj ty w błoto,
Umiej samotny żyć z swoją tęsknotą.
Usta swe czystą napawaj krynicą...

Czuwaj, strażnico!

Dziś samym walczyć nie można zapałem!
Myśl — przekuj w słowo, a słowo — zrób ciałem!
Siej za swym pługiem nie mary, lecz czyny,
Przyszłości jasne ukochaj dziedziny
I bądź ciśniętą nocy rękawicą...

Czuwaj, strażnico!

Jeśli ty, orle, połamawszy loty,
Pomiędzy płazy upadniesz tu nisko,
Jeśli ty ducha zaprzesz się tęsknoty,
Miłości bratniej zagasisz ognisko,
Jeżeli na tej wpół uśpionej ziemi
Zastygniesz między duchami martwemi,
Jeżeli rzucisz ty berło zapału,
Jeśli się zrzekniesz praw do ideału —
Świat się zatrzyma w wielkim swoim ruchu
I znikczemnieje, zesłabnie na duchu,
I długiej nocy cienie go pochwycą...

Czuwaj, strażnico!

Idź, idź, idź naprzód! Ta przyszłość słoneczna,
Na którą ludy pracują — istnieje!
W mrokach my jeszcze, lecz w górze już dnieje!
Przed tobą droga twarda — a konieczna...
Ty pierwsza musisz wedrzeć się na szczyty,
Pierwsza zwiastować poranne błękity,
Wznieść sztandar pracy, wytrwania wśród znoju
I być hejnałem świtu i pokoju,
W słońce zwróconą ludzkości źrenicą —

Czuwaj, strażnico!

ELIZA ORZESZKOWA

OBRAZEK Z LAT GŁODOWYCH

Posłuchajcie, piękni panowie i panie, opowiem wam króciuchną powiastkę.

Z błyszczących wyżyn waszych czy spojrzeliście kiedykolwiek w dół, nisko, w głąb owych warstw społeczności, które ciemne, nędzne, z piękna obdarte, pracują ciężko? Czyście widzieli, jakie cierpienia nuntują na tych dnach głębokich, jakie męki rozdzierają lono mętnej dla was fali żywych ludzi?...

Wyście myśleli zawsze, o piękni i piękne, że w tej grubej i szorstkiej warstwie sam kał tylko i bezrozum; po cóż więc w nią zaglądać? Tak, zapewne; jeżeli nie chcecie zasępić rozpogodzonego zabawą lica, nie zbliżajcie się do ludu, pójdźcie raczej bawić się i pląsać przy blasku świateł jarzących, wśród woni salonów. Ale jeżeli między wami są serca miłujące nie lśniący pozór, lecz grunt człowieczy, jeżeli są umysły ciekawe zbadania bied społeczności, niech zajrzą w istnienie milionów, w istnienie mozolne, bezbarwne, rzadko pojęte dobrze przez szczęśliwych, często spotwarzane, oplwane. Tam serca znajdą dramat żywy i cel ukochania, a umysły naukę i zachętę do dążenia ku postępowi, ku postępowi takiemu, który zbliży szczęście nie jednostkom, nie kastom, lecz wielkiemu ogółowi.

Moja opowieść króciuchna będzie. Przedstawi ona jeden z milion razy powtarzających się na ziemi dramatów, które, odegrane w biednej i ciemnej warstwie ludzkości, giną bez śladu. Do mnie doszła wieść o nim i z podziwem zadumałam się nad tym, iż podobne dramaty dotąd na Bożym świecie istnieją.

Opowieści więc o cierpieniu biednych i ciemnych posłuchajcie, piękni i oświeceni panowie i panie.

*

Dziwnie smutne były lata 1854, 5 i 6. Głód, straszny głód, piekielnymi mękami rozdzierał pierś ludu, tysiące tych, których pracy kraj chleb powszedni i niepowszednie zbytki zawdzięczał, konały śmiercią głodową.

Jeden okrzyk bolesny, ciężki, rozpaczny zajęczał z piersi ludu: chleba, chleba! odbił się o niebo i rozległ po ziemi. Niebo silniejsze skwary latem i rzęsistsze deszcze wiosną zesłało, zboże tonęło w dolinach, usychało po wzgórzach; szczęśliwsi bracia bawili się wesoło, a lud, wydobywający siły ostatnie, wołał: chleba, chleba!

W którym z pomienionych wyżej trzech lat, nie wiem, w jakiej okolicy, nie powiem, stał biały i piękny pański dwór. Dom dużymi i czystymi oknami jasno jakoś na świat spoglądał, po ganku pięły się powoje, a wokoło rosła gładka murawa, stokrocią usiana i konwalią. Za bramą były pola szerokie i łąki barwne jak kobierzec. Przez łąki biegła rzeczka wąska, ale głęboka i szybka; za rzeczką, szara i pokorna, do obrosłego jałowcem wzgórza tuliła się wioska. Kilka krzyżów wysokich strzelało ponad niskie chaty i niedaleki gaj brzozowy, białą korą błyskając, szumiał z cicha, jakby smętną piosenką swego szumu kołysać chciał do snu blade dzieci wioskowe.

We dworze mieszkał pan młody i bogaty; niedawno się ożenił, gdzieś w wielkim mieście podobno. Dobry był, bo nie krzywdził ludzi, nie bił i nie łajał, ale się tam z nimi nie wdawał w rozmowy i stosunki; bo i na cóż mu to było potrzebne, kiedy miał ekonomów? Zresztą o czymże by mówił z ciemnym ludem? Czytał tylko ciągle książki, a któż odgadnie, co w nich dobrego wyczytał, jeśli się z nich bratniej miłości wyuczyć nie mógł. Goście przyjeżdżali często, pan wesół przed dom wychodził, panów całował, paniom się kłaniał, do salonów pięknych zapraszał i nieraz długo w noc z szerokich okien białego domu wychodziły odgłosy żywych rozmów, wesołych śmiechów i pięknej muzyki. Pani miała liczko białe jak listek lilii, usteczka purpurowe i duże, czarne oczy, miała rączkę drobniuchną i postawę królowej. Dobra też była, bo nie łajała i nie krzywdziła nikogo; ale chłopów znieść nie mogła. Przykrym był jej zapach siermięg i dźwięk grubej mowy ludowej. Ona w rodzicielskim domu chłopów nigdy nie widziała i słyszała zawsze od ojca, że oni są próżniacy i złodzieje, a od matki, że z niższymi wchodzić w stosunki nie należy. Zresztą, po co jej było znać chłopów? Czy mało miała znajomych pięknych pań i panów? Grała tylko ciągle, a któż odgadnie, jakie dźwięki wlewała muzyka w jej serce, jeśli nie wlała w nie dźwięków bratniej miłości!...

W wiosce mieszkało trzydzieści rodzin chłopskich, a nad nimi panował... straszny, bezlitosny głód.

Jedna z chatek, składających wioskę stała nieco opodal od towarzyszek swoich, otoczona drzewkami, czysta jakoś i miła, choć niska i szara. Była to chata Symona Harwara, bogatego dawniej gospodarza. I w istocie bogaty był niegdyś Symon, bo miał dwa konie, parę wołów i zboża mu zwykle na rok wystarczało cały, a czegóż więcej dla chłopa potrzeba? Ale gdy przyszły nieurodzajne lata, pokazało się, że bogactwo Harwara nie było niewyczerpane. Sprzedało się konika jednego i drugiego, wół jeden padł i zboża na chleb nie stało. Pracował Harwar i wódki nie pił, ale nie pomogła ni praca, ni trzeźwość; głód dokuczał. Jesienią piekli w Harwarowej chacie chleb z jęczmienia, zimą z plewy, a na wiosnę i plewy zbrakło... zaczęli jeść trawę. Płakał Harwar i ocierał łzy rękawem podartej siermięgi. Poszedł do dworu prosić o chleb; we dworze dali mu garniec żyta na tydzień; albo to nie dość dla chłopa? Dla Harwara było to mało, bo miał żonę i dzieci. W poniedziałek i we wtorek jedli w chacie zacierkę z pańskiego żyta, a potem znowu gotowali i jedli trawę. Harwar płakał, bo miał żonę i dzieci.

A dzieci Harwar miał czworo. Najmłodsze spało albo krzyczało w kolysce, uplecionej z łozy i na grubych sznurach wiszącej w kącie chaty; drugie pełzało po ziemi, siedząc najczęściej z kotem pod ławą; trzecie, podrostek, nosiło w dzień młodsze dzieci, a wieczorem drzemało skurczone na przypiecku; czwarte i najstarsze — córka, miała lat piętnaście. Hanka, córka Harwara, była najładniejszą w wiosce dziewczyną. Słuszna i cienka, jak gdyby rosnąc zapatrzyła się na brzózkę w gaju, oczy miała błękitne jak niezabudka, tak jakoś słodko patrzyła nimi, że chcąc nie chcąc trzeba było kochać dziewczynę; włosy jasnymi warkoczami oplatały jej opalone, ale gładkie i pogodne czoło albo rozpuszczone i gęste spadały do pasa spod białej chusteczki.

Kiedy Harwar był jeszcze bogaty, a w chacie nie trawę, ale chleb jedli, Hanka, bywało, jak się ustroi w kraśny gorsecik, nawiąże paciorków na szyję, a w jasne włosy wplecie pąsową tasiemkę, to chłopcy z całej wioski ledwie oczu nie wypatrzą, choć jeszcze była za młoda, żeby swatów na zapoiny do niej posyłać.

A między tymi chłopcami najrzewniej i najogniściej patrzał na Hankę osiemnastoletni Wasylek Chmara. Dziarski już był z niego, trzeźwy i pracowity parobczak. Z oczu patrzała mu poczciwość i roztropność, twarz zalewał rumieniec zdrowia i siły. Hanka dawno znała Wasylka. Gdy byli dziećmi, trzody pasali razem; później, kiedy zaczęła matce pomagać w gospodarstwie i biegała po wodę do studni, zawsze tam znalazł się Wasylek, wiaderko od niej odebrał, wody zaczerpnął i niósł do chaty, a ona szła obok niego i rozmawiali, i śmiali się tak wesoło a głośno, że aż sąsiadki wyglądały zza płotów.

To znowu, kiedy pracowali razem we dworze, Wasylek zawsze pomagał Hance i, wracając od roboty, prosił ją, żeby mu za to zaśpiewała piosenkę. Hanka śpiewała, a chłopak patrzał na nią ognistymi oczyma. I dziewczynie dobrze było z wesołym i roztropnym Wasylkiem. Z nim, bywało, weselej idzie na pańszczyznę i matce jego niżej niż innym kobietom się pokłoni, i kiedy go długo nie widzi, to patrzy na drogę od wioski, aż błękitne oczy łzami zajdą, a w serduszku tak jakoś smutno, że i Boży świat niemiły. Siła potężna, która pono i w salonach, i w wioskach jednako miłością się nazywa, przyciągała wzajem ku sobie dwoje czystych i pełnych młodości dzieci przyrody i ludu.

Raz, a było to wtedy, kiedy był jeszcze chleb w chacie Harwara, a Hanka miała lat czternaście, zabłąkała się Harwarowi owieczka i z chaty posłano Hankę, aby ją odszukała. Dziewczyna długo chodziła po polu i słonko zachodzić już miało, gdy spotkała Wasylka. Poszli razem szukać daleko ode wsi, znaleźli owieczkę i, pędząc ją przed sobą, zwolna powracali do domu. Wieczór był ciepły i pogodny, jeden z ostatnich letnich wieczorów; brzozowy gaik szumiał, gdzieś daleko chłopcy na surmach grali i tak jakoś pięknie było a smutno razem na Bożym świecie!... Rzewność ogarnęła Hankę i Wasylka... Szli milcząc.

— Hanko — rzekł wreszcie Wasylek podnosząc głowę i patrząc na dziewczynę — czy nikt do ciebie swatów nie przysyłał?

— A któż by? — odszepnęła zarumieniona Hanka — nikt nie przysyłał.

— A żeby przysłał kto swatów? — spytał Wasyl patrząc to na ziemię, to na nią.

— No, to i cóż — odpowiedziała — prosiłabym matuli, żeby nie przyjęła.

— Dlaczego byś prosiła matuli, żeby nie przyjęła?

Dziewczyna nie odpowiedziała i tylko patrzyła w ziemię.

— A żebym ja do ciebie swatów przysłał? — zapytał znowu Wasylek.

— Co też mówicie, Wasylku! — szepnęła spłoniona cała dziewczyna.

— A żebym przysłał — nalegał chłopiec — no cóż, powiedzcie, czy byście prosili matuli, żeby nie przyjęła?

— Prosiłabym, żeby przyjęła — rzekła Hanka i zakryła twarz ręką.

Byli wtedy u skraju brzozowego gaiku; wiatr łagodnie szumiał, surmy tęskno grały, niebo było pogodne. Wasylek, szczęśliwy i rozkochany, objął spłonioną i pierwszy raz a gorąco ją pocałował.

Hanka i Wasylek kochali się bardzo. Wiedzieli o tym ich rodzice i radzi spoglądali na miłość dzieci, ale nie mieli za co

sprawić wesela; odłożyli więc ślub ich do lepszych czasów. A młodzi nie skarżyli się na zwłokę, bo dobrze im było pracować razem i kochać się, i marzyć...

Marzyć!... dziwny wyraz, gdy mowa o chłopach! Alboż chłopi marzą? O! tak, póki młodzi i nie zmęczeni życiem ciężkiego mozołu i póki nie zagłuszą w sobie człowieczeństwa piciem wódki, płynącej potokami z gorzelni pańskich, i chłopi marzą.

Hanka więc i Wasylek marzyli o przyszłości. Nieraz w dnie świąteczne, siedząc na progu chaty, rozmawiali ze sobą, jak się wkrótce pobiorą, jak będą mieli swoją własną chatkę, czystą i białą. Ojciec da Hance krówkę, matka pełną skrzynię kraśnych spódniczek i koszul białych, czerwonym szytych; Hanka w swojej chatce skrzętnie zagospodaruje, Wasylek pilnie pracować będzie, aby jej trudu ulżyć, i nigdy, nigdy przez życie wódki nie skosztuje; na ścianach zawieszą złocone obrazki świętych; przed chatą zasieją grządki nagietek i krasnych maków — a kochać się będą bardzo i bardzo, zawsze i gorąco; bo jakże by się kochać nie mieli, kiedy im z sobą tak dobrze!

Marzyli młodzi, czas upływał, dzień schodził i nieraz księżyc opromienił ich jasnowłose głowy, a oni jeszcze siedzieli na progu chaty, trzymali się za ręce, patrzyli sobie w oczy i gwarzyli z cicha, serdecznie i po prostu.

Niekiedy, idąc koło pańskiego dworu, Wasylek pokazywał Hance biały i jasny dom pana mówiąc:

— Jak tam ślicznie być musi, Hanko!

A ona odpowiadała:

— Gdybym była wielką panią, to bym wyszła za ciebie, i mieszkalibyśmy w takim pięknym domu.

— Dobrze nam będzie i w naszej chatce, byle byśmy się pobrali — mówił chłopak, i bez zazdrości patrzyli oboje na bogaty dwór pański.

Przyszła zima, głód ciężki zajrzał do wsi; w chatach Wasylka i Hanki i jęczmiennego zabrakło już chleba.

Szybko pobladły twarze młodych ludzi, oczy chłopca zapadły i gasł powoli żywy błękit oczu dziewczyny, bo głód to straszny niszczyciel: wygryza piersi, czerni twarz i gasi blask oka. Nie skarżyli się jednak, pracowali, jak mogli, tylko Wasylek rzadko już śmiał się, a Hanka śpiewać przestała, ale kochali się zawsze, coraz bardziej.

Nadeszła wiosna, chleba i z plewy zabrakło. Brali od pana po garncu żyta na tydzień, ale trudno było przeżyć garncem żyta siedem dni długich, bo w chacie Hanki żyły trzy osoby dorosłe i troje dzieci, a u Wasylka pięć osób dorosłych i dwoje dzieci.

Twarz chłopca stawała się coraz bledsza, coraz głębiej zapadały mu oczy i oczy Hanki gasły co dzień bardziej; wysoka i giętka jej postać schylała się ku ziemi, usta okrążył wyraz bólu. Ale chłopak był silny, wytrwały, a choć blady i z zapadłymi policzkami, pracował ciągle, na pańszczyźnie i w domu i gdy był przy kochance, tłumił gryzący ból głodu i uśmiechał się do dziewczyny. Hanka słabła widocznie. Nieraz chwiała się idąc przez wioskę, w oczach robiło się jej ciemno i piersi ściskał ból jakby żelazną obręczą.

Otóż to chłopskie nadzieje i marzenia! Dwoje ludzi kochają się, pragną, oczekują szczęścia — aż głód przychodzi, dusi i zabija.

W tym czasie pan i pani bardzo byli zajęci! W kwietniu miano obchodzić rocznicę ich ślubu wielkim festynem. W domu gotowano już salony, śliczną suknię z dalekich krajów przysłano dla pani. W ogrodzie dworskim rozkwitły narcyzy wonne i fiołki uścielały trawniki. Pan, oczekując festynu, czytał, pani grała, a ani książki, ani dźwięk muzyki nie mówiły im o sąsiedniej biedzie i o cierpieniach Wasylka i Hanki, o ich więdnących twarzach i konających nadziejach.

Oto dwa światy!

Kwiecień ciepły zielenił ziemię, skowronek śpiewał i pierwiosnki dawno już kwitły; ale w owym roku nieszczęścia i nędzy nikt po wsiach nie słuchał szczebiotu wiosennego ptaka, żadna dziewczyna kwiatkiem włosów nie stroiła.

W jednym z kwietniowych wieczorów Hanka siedziała na progu chaty. Promień zachodzącego słońca ozłacał jej włosy; głowę wsparła na wychudłej ręce, a zbladłą i wynędzniałą twarz jej zalewał wyraz smutku i gryzącego cierpienia. Rodzice byli na pańszczyźnie; dziecko jedno siedziało z kotem pod ławą, drugie jęczało kurcząc się na przypiecku; najmłodsze, opuchłe i chore, spało w kołysce snem bliskim śmierci. Długo Hanka siedziała milcząca i zamyślona. Słonko już było bardzo nisko, gdy zza płotu wyszedł Wasylek, zbliżył się zwolna i milcząc obok niej usiadł. Dziewczyna spojrzała na kochanka łzą zaszłym wzrokiem, on oparł brodę na ręku i tak siedzieli przez chwilę, milcząc i patrząc na siebie.

— Wasylku — odezwała się nagle Hanka, jakby sobie co przypomniała — jadłeś ty dziś zacierkę?

Chłopiec machnął ręką.

— Gdzie nam do zacierki! — odpowiedział ochrypłym głosem — lebiodę jemy i pokrzywę, bo ekonom garncy nie daje od czasu, jak się na mnie rozgniewał.

Hanka żywo powstała i wbiegła do chaty. Było to we wtorek, w chacie zgotowano zacierkę z pańskiego żyta; Hanka jej nie jadła, ona nic przez dzień cały nie jadła, a część swoją zostawiła dla Wa-

sylka, bo wiedziała, że on garnca nie bierze i głodny do niej przyjdzie. Po chwili wyszła z chaty i podała kochankowi łyżkę drewnianą i garnuszek pełen jadła.

Chłopiec pochwycił go gwałtownie i zaczął pożerać grubą potrawę. Gdy jadł, oczy mu błyskały, rumieniec zalewał wychudłe policzki; zapomniał o całym świecie, o Hance nawet, jadł tylko i jadł ciągle, dopóki nie wypróżnił garnuszka. I nic dziwnego, że pożerał zacierkę z pańskiego żyta, bo od dwóch tygodni jadał tylko gotowaną trawę. Hanka patrzała na niego z pomieszanym uczuciem cierpienia i radości; głód gryzł jej własne piersi, ale jadłem swoim karmiła kochanka.

Wziąwszy z rąk Wasylka próżny garnuszek wniosła go do chaty, potem wróciła, usiadła obok chłopca na progu, zarzuciła mu ręce na szyję i głowę przytuliła do jego piersi. On jedną ręką objął ją i przycisnął do siebie, drugą gładził jej jasne, rozplecione włosy.

— Sokole ty mój jasny, Wasylku! — szepnęła dziewczyna.

— Gołąbko moja, duszko! — odszepnął chłopiec.

I umilkli, i milcząc siedzieli; kochać mieli jeszcze siłę, ale głód ściskał im gardła i mówić przeszkadzał.

Słońce zaszło, ludzie, wracający z pańszczyzny, ukazali się na przeciwnym końcu wsi. Hanka powstała, wstał i Wasylek. Długo jeszcze trzymał ją w objęciu; patrzyli na siebie ciągle w milczeniu, w końcu pocałowali się długo... gorąco i chłopiec ze schyloną głową poszedł przez wioskę, a Hanka, popatrzywszy za nim, weszła do chaty i, bez sił prawie, upadła na ławę.

W owej chwili, po szerokiej i czystej drodze dworskiego dziedzińca, między zieloną murawą i krzewami kwitnących narcyzów, przechadzali się pan i pani.

Pani, wsparta na ręku męża, mówiła o niedalekim festynie i o swojej sukni prześlicznej, o upragnionej podróży i przyszłych zabawach zimowych. Pan trzymał w dłoni drobną rączkę żony, słuchał jej wesołego szczebiotu, potem opowiadał o wszystkim, co czytał w książkach i co kiedyś widział w podróżach po świecie. Słońce zaszło, a gdy służba oznajmiła podaną herbatę, pan i pani weszli do domu, pili i jedli u otwartego okna, ciągle śmiejąc się i rozmawiając. Potem długo w noc słychać była dźwięk fortepianu — to pani grała, a pan siedział przy niej, słuchał melodyj i całował niekiedy białą rękę i purpurowe usta żony.

Oto dwie miłości, dwie pary, dwa światy!...

Nazajutrz, po owym kwietniowym wieczorze, rodzice Hanki raniutko wyszli na pańszczyznę. Dziewczyna, chwiejąc się, wstała, rozłożyła ogień i poszła zbierać lebiodę.

Wróciła z pękiem ziela, postawiła garnuszek wody przed ogniem, wsypała w wodę przyniesioną trawę i zaczęła gotować. Pod ławą kot miauczał i dziecko piszczało; na przypiecku skurczona i zmartwiała siedziała ośmioletnia dziewczynka; w kołysce ciągle spało opuchłe dziecko.

Południe się zbliżało. Hanka wyszła przed chatę, spojrzała na słońce i, zapytawszy się przechodzącego sąsiada, w której stronie pracują jej rodzice, weszła do izby. Nakarmiła lebiodą dzieci, sama jadła, głód odgoniła na chwilę, ale gotowana trawa sił jej nie dawała. Potem nalała dwa garnuszki rzadkiego ziela, zawiązała chusteczkę na głowę i wyszła. Szła przez wieś chwiejąc się. Przed chatą Wasylka stanęła, powitała matkę kochanka zbierającą trzaski na podwórku i poszła dalej. Wasylka nie zobaczyła, bo i on był na pańszczyźnie. Dzień jasny, gorący prawie, potokiem promieni słonecznych zalewał ziemię, powietrze woniało, ptaki szczebiotały i bociany klekotały na dachach. Dziewczyna minęła wioskę i, niosąc garnuszek, szła przez pole, potem przez łąkę, a ciągle chwiejąc się. Nareszcie przyszła nad rzeczkę. Z drugiej strony wody pracowali ludzie około pańskiego pola, między nimi Hanka zobaczyła swoich rodziców. Przez rzeczkę położono kładkę dość szeroką, aby przejść można było, ale chwiejną i uginającą się za każdym krokiem. Hanka stanęła na kładce i zachwiała się, cofnęła się szybko i usiadła na trawie, bo nogi pod nią drżały. Harwar zobaczył córkę i począł ją wołać.

— Chodźcie tu sami wziąć jedzenie, bo nie przejdę po kładce, w wodę wpadnę! — zawołało słabym głosem dziewczę.

Harwar chciał iść do córki, ale ekonom krzyknął na chłopa:

— Co tam z dziewką rozprawiasz? Do roboty!

A do Hanki zawołał:

— Nieś mi tu zaraz sama! Dam ja tobie! Przejść przez kładkę nie mogę! Wielka pani, patrzcie ją!...

I zagroził nahajką.

Hanka wstała z ciężkością, wzięła dzbaneczki i weszła na kładkę. Tą razą nie zachwiała się za pierwszym krokiem, ale przy trzecim w głowie jej zaczęło się kręcić. Postąpiła dalej... nogi pod nią zadrżały i w oczach zrobiło się jej ciemno. Krzyknęła i postąpiła krok jeszcze. Ekonom wołał z drugiej strony rzeczki:

— A prędzej, no! Patrzcie, jaka panienka! Idzie jak nie na swoich nogach!

On nie pomyślał o tym, że głód odjął siłę nóg biednej dziewczynie.

Na głos ekonoma Hanka silniej zadrżała, spojrzała w dół, upuściła dzbaneczki, chciała iść dalej; zachwiała się, krzyknęła raz jeszcze i... wpadła w rzekę.

Za wodą rozległy się dwa rozpaczliwe krzyki: ojca i matki. Wasylka tam nie było, on pracował w innej stronie pańskiego pola.

Tego dnia wieczorem, w Harwarowej chacie płonął żywy ogień. Czerwony płomień oświecał drgającym blaskiem szarą, smutną izdebkę; naprzeciw ognia, na ławie, leżała nieżywa, znaleziona w wodzie Hanka. Długie jej włosy spadały rozpuszczone, ręce miała złożone na piersi, grubą koszulę zawiązywała czerwona wstążka, którą kiedyś od kochanka dostała. Przy niej, skurczona na ziemi siedziała matka. Brakło jej siły, aby, według wiejskiego zwyczaju, zawodzić głośne żale, lecz cicho płakała ocierając łzy fartuchem. Z drugiej strony chaty siedział na ławie Harwar, ręce złożył na kolanach, głowę schylił na piersi, twarde, splątane włosy twarz mu zarzuciły. Nie miał ani słowa skargi na ustach, ani łzy w przybitym do ziemi oku; ale wszystko, co bezsilna rozpacz ma w sobie najposępniejszego, zlało się w ponurą i milczącą postać chłopa.

Wasylka nie było. Kiedy rozeszła się wieść o utonięciu Hanki, przybiegł do wioski blady i z obłąkanymi oczyma Wasylko, a spojrzawszy na trupa dziewczyny pochwycił się za głowę i uciekł. Daremnie go szukano; dzień cały zszedł, a Wasylka nigdzie nie było.

Posępna cisza panowała w chacie, przerywana tylko niekiedy trzaskaniem ognia, łkaniem kobiety albo ciężkim westchnieniem Harwara. W kącie izby, w kołysce, konało opuchłe od głodu dziecię.

Tego wieczora we dworze pańskim wiele było gości. Pan dowiedział się od ekonoma o utonięciu Hanki i o smutnym wypadku opowiadał towarzystwu, zebranemu około zastawionego i oświetlonego stołu.

— Szkoda dziewczyny, jeżeli była ładna — rzekł dowcipniś jakiś, z urzędu bawiący obecnych.

— Ładna była — odpowiedział pan — podobno zaręczona.

— Treść do romansu — westchnęła sentymentalna dama pragnąca we wszystkim na ziemi treść do romansu dopatrzeć.

— Romans u chłopów! — zawołał z oburzeniem otyły, z sumiastymi wąsami weteran-obywatel. — Co też pani mówi! Alboż oni kochają?

— Zawsze szkoda dziewczyny, jeżeli była ładna — powtórzył dowcipniś.

— *Messieurs, parlons d'autre chose!* — z grymasem na pięknej twarzy ozwała się pani. — Utonięcie dziewczyny to smutny dla rozmowy przedmiot, *cela fait mal aux nerfs.*

— *Parlons d'autre chose, ma déesse!* — zawołał pan i rozmowa potoczyła się wesoła a rozmaita.

O Hance biednej, która z siną twarzą i rozpuszczonymi włosami martwa leżała w Harwarowej chacie, o jej rodzicach i o jej kochanku w salonach pańskich nie myślano.

W kilka dni później chłopi, wracający z miasteczka, przywieźli do wioski, w której umarła Hanka, znalezionego na szerokiej drodze pod krzyżem, opuchłego i umarłego z głodu człowieka. Był to trup Wasylka.

Otóż to chłopskie miłości, nadzieje i marzenia! Dwoje ludzi w wiosce kochało się i roiło przyszłość szczęśliwą — aż przyszedł głód i za cały ślad po dwóch istnieniach, pełnych zdrowia, sił i nadziei, na wiejskim cmentarzu zostały dwie mogiły.

W miesiąc potem opustoszała Harwarowa chata. Dwoje dzieci zmarło, starszą dziewczynkę na pastuszkę wzięto do dworu, a Harwar z żoną, wynędzniali i osiwiali, wyszli żebrać po szerokich drogach. Kiedy, wychodząc z wioski, mijali cmentarz, nad dwoma świeżymi grobami sosny szumiały strząsając krople spadłego deszczu. Harwar i jego żona spojrzeli na cmentarz i bezwiednie się przeżegnali, ale nie zaszli na groby córki i kochanka i łzy nie mieli w zapadłych i opuchłych oczach. Głód wyziębił im uczucie w piersi i łzy w oczach wysuszył.

Poszli i zginęli bez śladu.

Wkrótce i pański dwór opustoszał. Pan z panią w daleką wyjechali podróż.

Przeszła jesień i zima. Z wiosną nową pan i pani wrócili do swego jasnego, wielkiego domu. Przez zimę bawili się wesoło w wielkim mieście, a wróciwszy znowu czytali, grali, bawili gości i przechadzali się po wonnym ogrodzie, jak dawniej.

Śliczne liczko Hanki i poczciwe serce jej kochanka toczyły pod ziemią robaki.

*

Skończyłam moją powiastkę, piękni panowie i panie! Przebaczcie, jeślim znudziła prostym opowiadaniem. Ale widzicie, słowo nie zawsze zdoła wypowiedzieć gorące poczucia i piórem trudno wyprowadzić na jaw myśl żywą. A jednak serce boli przy wspomnieniu o mękach goszczących niekiedy między biednymi braćmi i obok owych ciemnych obrazów nędzy i niedoli przed wyobraźnią stają rozświetlone weselem postacie szczęśliwych. Więc gdy się myśl moja napełniła obrazami takimi, zapragnęłam powiedzieć wam poczciwe, choć ubogie słowo i niegdyś słyszaną krótką historię Hanki i Wasylka opowiedziałam.

POJEDYNEK

Wtorkowe recepcje pani Bujnickiej dość były liczne, chociaż nie uprzyjemniał ich ani „znakomity" Zubicki, ani „cudowny" magnetyzer, hrabia Władzio. Jedyną ich ozdobą była Fania i elegancki świat, który tam bywał. Jak się rzeczy na takich zebraniach odbywają, łatwo się domyśleć. Punkt dziewiąta wieczór pani Bujnicka, już strojna, siada na kanapie w oświetlonym, ale jeszcze pustym salonie, siada, a siada dlatego, żeby pierwszy frak, który wejdzie, zastał ją już siedzącą i myślał, że ona zawsze tak siedzi na kanapie zachowując tę pozycję, daleko uroczystszą, niż każda inna. Tymczasem w również oświeconym przedpokoju słychać gniewliwy szept przeznaczonego do zdejmowania paletotów lokaja Feliksa. Stary Feliks gniewa się na syna swego małego Feliksa, przeznaczonego do zdejmowania kaloszy, a gniewa się o to, że mały Feliks te kalosze regularnie co wtorek gdzieś zapodziewa lub gubi, skutkiem czego on, jego rodzony ojciec, nazywa go bezbożnikiem i przepowiada mu, że wyjdzie na wisielca. Wreszcie daje się słyszeć uderzenie dzwonka, otwierają się sprężyście drzwi salonu i pokazuje się w nich mniej lub więcej głupia fizjonomia pierwszego gościa. Przybyły podnosi głowę, rozwesela oblicze, jakby go Bóg wie jakie szczęście spotkało i trzymając obiema białymi rękawiczkami kapelusz tuż przy piersiach, posuwa się podrygując na każdej nodze w kierunku kanapy, na której siedzi pani Bujnicka. Następują powitania, wzajemne zapewnienia i ożywiona francuska rozmowa. Potem już uderzenia dzwonka powtarzają się co chwila i wkrótce salon napełnia się gwarem, paryskim akcentem, białymi krawatami, wyziewami perfum, gorącem, tiurniurami i trenami dam, folblutami rozmaitych ras i wszystkim, co razem wzięte stanowi szyk, komfort *etc.*

Ponieważ na wieczorach tygodniowych bywają ci tylko, których gospodarz lub gospodyni domu się spodziewa, łatwo zatem wystawić sobie zdziwienie pani Bujnickiej, gdy nagle w otwartych drzwiach, obok chudego i długiego Misia, pojawił się Złotopolski. Pani Bujnicka zdawała się nie dowierzać własnym oczom, a jednak nie było najmniejszej wątpliwości. Tak jest! Był to Złotopolski we własnej osobie, razem ze swoimi jasnymi faworytami *à l'anglaise*, ze swoją zawsze równie piękną, niby wyrzeźbioną twarzą, której mleczna, prawie dziewicza barwa dziwnie odbijała od patrzących dumnie ciemnych oczu i męskich wąsów: on! on! elegancki jak zwykle, ufraczony, ukrawacony, urękawiczniony, uczesany jak zwykle bez zarzutu — zatrzymał się na chwilę we

drzwiach, i, podniósłszy głowę, obrzucił oczyma cały salon, potem zbliżył się do gospodyni.

Pani Bujnicka uśmiechnęła się z przymusem; mniej wprawna w obroty światowe Fania zmieszała się nawet, tym bardziej, że Iwaszkiewicza przy niej nie było; na twarzach obcych pojawiło się oczekiwanie.

Ale Złotopolski nie miał wcale miny zrozpaczonego kochanka, przeciwnie, na twarzy jego, obok spokojnej pewności siebie, malowała się nawet wesołość. Z całą swobodą i lekkością powitał panią Bujnicką, uścisnął rękę Fani i, skłoniwszy głowę obecnym, począł rozmawiać z gospodynią.

— Nie spodziewaliśmy się powrotu pana — zaczęła uprzejmie pani Bujnicka. — Pan na długo do Warszawy?

— *Vous savez, madame,* że stałe moje siedlisko jest w Warszawie.

— Tym lepiej dla naszych towarzystw; powrót pana jest niezmiernie miłą dla nas niespodzianką.

— Ach, prawda, że to jakoś żyjemy w czasie, w którym panują niespodzianki, ale co do mnie, nie miałem i nie mam zamiaru opuszczać miasta. Wyjechałem tylko na pewien czas dla uregulowania interesów Złotopola, a po ich uregulowaniu natychmiast tu wróciłem.

— Czy przynajmniej pomyślnie panu poszło? W naszych ciężkich czasach nie masz nic kłopotliwszego, jak gospodarstwo.

— Nikt tego lepiej nie wie, jak ja, który przez trzy tygodnie przeszło musiałem siedzieć na wsi. Ale przynajmniej muszę oddać sobie sprawiedliwość, że interesa uregulowałem tak, jakem się sam nawet nie spodziewał.

— Tak pomyślnie?

— Tak pomyślnie.

— Faniu, uważasz, co pan Złotopolski powiada? Jakże się szczerze cieszymy! Szkoda, że pan wcześniej nie przyszedł, byłybyśmy z Fanią posłuchały szczegółów.

— Ja sam wyznaję, że przyszedłem cokolwiek późno — rzekł z naciskiem Złotopolski — ale mam nadzieję, że nie za późno.

Chwila milczenia.

— W każdym razie witamy pana jako miłego gościa — rzekła pani Bujnicka.

— Który przyrzeka, że swoje opóźnienie będzie się starał wszelkimi siłami naprawić — odrzekł schylając głowę Jaś.

— Czasem to bywa nie podobna — wtrąciła chłodno Fania.

Złotopolski uśmiechnął się.

— Pamiętam — rzekł — że dziada mego, kasztelana, nazywano w salonach za czasów Księstwa Warszawskiego: *„Monsieur le Malgrétout"*. Przypominam pani, że jestem jego wnukiem.

— Czyż i panu dają tę nazwę?

— Spodziewam się, że zasłużę na nią.

— Więc dopiero w przyszłości?

— Tak, pani! W mojej dewizie przede wszystkim o przyszłość chodzi.

— Przyszłość nie zależy od pana.

— Śmiem sądzić inaczej.

— Nie radzę panu szczerze. Skądże to zaufanie?

Złotopolski zniżył cokolwiek głos.

— Nie wiem, może wytrwałość pana Iwaszkiewicza nauczyła mnie wierzyć, że i najniepodobniejsze rzeczy stać się mogą.

Fania zarumieniła się mocno.

— Umie sobie radzić ten pan Iwaszkiewicz — ciągnął dalej Złotopolski — ale dziś takie czasy, że wszyscy muszą sobie sami radzić. Ja na przykład, nie tylko że zostałem przy tym, co stanowi istotnie Złotopole, ale i mimo woli wyszedłem na kapitalistę.

— A to jakim sposobem? — spytała z żywym interesem pani Bujnicka.

— W ten prosty sposób... A, otóż i pan Iwaszkiewicz. *Bonjour monsieur* Iwaszkiewicz!

Rzeczywiście Iwaszkiewicz zbliżył się do pani Bujnickiej i, powitawszy ją, siadł przy Fani.

Na widok Złotopolskiego brwi jego zsunęły się na chwilę, ale wkrótce twarz wypogodziła się na nowo. Owszem, tyle w niej było niezwykłego ożywienia i szczęścia, że to zwróciło uwagę Fani.

— Musiało pana coś pomyślnego spotkać? — spytała patrząc mu w oczy.

— Tak, pani. Zdołałem urzeczywistnić dziś jeden z dawno upragnionych celów — i przychodzę właśnie podzielić się z panią radością.

— Słucham! Słucham!

— Dziś oddaliłem ostatniego robotnika zagranicznego z mojej fabryki. Nie mamy już ani jednego cudzoziemca — wszyscy krajowcy.

. . . . . .

— Więc jakim sposobem pan zostałeś kapitalistą? — zapytała równocześnie pani Bujnicka Złotopolskiego.

— Sprzedałem część ziemi własnej zagranicznym kolonistom i, spłaciwszy wszystkie długi, zostałem przy wcale sporej gotówce.

. . . . . .

— Czy pan zyskuje na oddaleniu obcych? — spytała Fania Iwaszkiewicza.

— Ja? — nie! Z początku tracę.

— Więc któż na tym zyskuje?

— Ogół.

. . . . . .

— Więc pan istotnie zyskał na kolonizacji? — spytała pani Bujnicka.

— Ja zyskałem bardzo wiele.

— Czyżby kto stracił?

— Ogół — powtórzył pochylając się ku Fani Iwaszkiewicz, zanim Złotopolski zdołał powtórzyć, że jego zdaniem stracili koloniści.

Nastąpiła chwila milczenia. Po białym, spokojnym czole Fani przelatywały różne myśli niby chmurki mieszające jego spokój. Oto rozbierała pobudki postępków dwóch młodzieńców i usiłowała je ocenić. Istotnie, jeżeli ogół zyskiwał przez to, co uczynił Iwaszkiewicz, to tracił przez postępek Złotopolskiego. Współzawodnicy stawali przed nią w dwóch odmiennych rolach. Ale nie od razu zrozumiała, dlaczego jedna z tych ról jest dodatnią, druga ujemną. Dobro ogólne! Pojęcie to legło przed jej myślą jakby jaka nieokreślona otchłań. Czuła jednak, że potrzeba ją sercem i rozumem napełnić od wierzchu do dna. A zadanie takie nie było łatwe do spełnienia, bo edukacja, jaką odebrała w latach dziecinnych, nie mogła tu być pomocą. Kto by tam w wychowaniu panien zwracał na takie rzeczy uwagę? Przecież można być panią i dobrze wychowaną, i „dobrze ułożoną" nie wiedząc, co jest dobro ogółu. Ale Fania chciała teraz wiedzieć i gwoli tej chęci udała się do Iwaszkiewicza. I dobrze się udała. Iwaszkiewicz był to człowiek z sercem. Wicher postępu rzucał na ono serce, niby na rolę, różne ziarna, ale przyjmowały się tylko zdrowe. Gdy wicher wionął kosmopolityzmem, serce to stawało wówczas na kotwicy przeszłości, która to kotwica — symbol nadziei — była zarazem i wiarą w przyszłość. Fania dobrze wybrała. Była też podwójnie wdzięczna Iwaszkiewiczowi, bo tłumacząc jej, co jest dobro ogółu, tłumaczył zarazem, w czym jest jego własna wyższość nad współzawodnikiem. Tak jest! Czymże był przy nim ów piękny i modny panicz? Czyny ich były wprost odwrotne. Fania spojrzała na Złotopolskiego i uśmiech, nieledwie pogardy okolił jej usteczka.

— Czy pan słyszał naszą rozmowę? — spytała go.

— Jaką rozmowę?

— Podczas gdy pan rozmawiał z mamą o Złotopolu, ja mówiłam z panem Iwaszkiewiczem.

— Nie słyszałem nic.

— A to szkoda! Odmiennymi szliście panowie drogami.

— Tym lepiej dla nas, bo gdyby drogi nasze się zeszły...

— Wówczas?

— Wówczas musiałby jeden drugiemu ustąpić — zabrzmiał poważny głos inżyniera.

— Na honor! Tak by musiało być — odparł z dumą Złotopolski.

Dwaj młodzi ludzie spojrzeli sobie w oczy. We wzroku Iwaszkiewicza błysnął posępny płomień nieugiętej woli, ale i oczy Złotopolskiego błyszczały jak stal polerowana, z prawdziwie stalowym chłodem i uporem.

Godzina była późna; lampy w salonie pani Bujnickiej paliły się mdłym światłem w zgęszczonym od wyziewów ludzkich powietrzu. Goście rozeszli się już wszyscy; ucichł gwar; samotność i pustka wyglądały teraz z każdego kąta sali. Na twarzach pani Bujnickiej i Fani przebiegała bladość i znużenie, a przy tym znać było na nich i pewien niepokój. Obie panie zdawały sobie sprawę z ubiegłego wieczora i obie czuły jednocześnie, że w atmosferze domowej zawisło coś nowego, co, jak burza, zapowiadało się milczeniem. Obie też nie dzieliły się wrażeniami i zamiast słów słychać było tylko szelest ich jedwabnych sukien. Czasem spojrzenia matki i córki zbiegały się i rozbiegały jeszcze prędzej. Na koniec Fania pierwsza przerwała milczenie.

— Dobranoc, mateczko! — rzekła.

Pani Bujnicka uścisnęła córkę z niezwykłą tkliwością i gorąco ucałowała jej białe czoło, potem odeszła parę kroków, potem zatrzymała się znowu przy drzwiach, zdawało się, że chce coś mówić — zawahała się — odeszła.

Fania udała się do swego pokoju. Zapewne miała o czym myśleć. Oparłszy głowę na ręku nie odpowiada ani słowem przywykłej gwarzyć panience służebnej, która, układając pod czepeczek nocny złotawe jej warkocze, starała się zawiązać z nią pogawędkę. I niewesołe były myśli Fani.

Ostatnia rozmowa Iwaszkiewicza ze Złotopolskim przejęła Fanny śmiertelnym niepokojem; przypominała sobie dumne spojrzenia i niemal groźne słowa obydwóch... Przerażał, a zarazem i oburzał ją upór Złotopolskiego. Jak to? Więc dla niego — w jego planach — jej wola, jej osobisty wybór nic nie znaczył? Widocznie traktował ją jak rzecz, nie jak wolną niewiastę, bo kiedy chłodnymi

słowy starała mu się okazać niechęć, odpowiedział jej jednym wyrazem: *malgré tout*. Dumny panicz, liczył na nazwisko, na majątek i sądził, że nie masz kobiety, której by, z wolą lub bez woli, nie można kupić za taką cenę. Postępowanie jego było po prostu zuchwalstwem, ale widocznie dumny panicz nie obawiał się następstw; nie obawiał się ani Fanny, ani jej narzeczonego. Tkwiła w tym odwaga, ale tkwił i wysoki egoizm. Zuchwalec! Śmiał jej powiedzieć *malgré tout*, a wszakże ten pan Iwaszkiewicz, który bez drgnienia powieki umiał patrzeć w oczy osławionego z pojedynków człowieka, tak dziecięco prawie był nieśmiałym wobec niej. Ale szlachetna ta nieśmiałość szła z niezmarnowanej duszy, a dowodziła świeżości uczuć i prawdziwego szacunku, i prawdziwego uczucia. Między Iwaszkiewiczem i Złotopolskim Fanny nie mogła się wahać w wyborze. Zresztą już była wybrała — i nie o to chodziło w tej chwili. Niepokój jej i trwoga powstawały stąd, że nie wiedziała, do czego między takimi dwoma ludźmi dojdzie i na czym się skończy.

A tymczasem panienka służebna skończyła ją rozbierać i odeszła. Fania zdmuchnęła świecę. W pokoiku dziewiczym zapanował mrok, tylko promień księżyca wkradał się białym pasmem za kotarę, tylko srebrna lampa, zwieszona przed posążkiem Madonny, świeciła w cieniu niby robaczek świętojański. Nastała cichość — siostra nocy, kochanka nocy — mówią poeci.

Nagle w przyległym pokoju dały się słyszeć czyjeś kroki, drzwi się otworzyły i pani Bujnicka w białym negliżu, ogarniając dłonią płomyk świecy, weszła do sypialni córki.

Fani serce zabiło niespokojnie, podniosła się na łóżku.

— Mama nie śpi jeszcze? — spytała.

— Nie, moje dziecko.

Pani Bujnicka siadła przy łóżku córki.

— Moje kochane, moje drogie dziecko! — przemówiła drżącym głosem.

W oczach Fani zakręciły się łzy; pochyliła się ku wyciągniętym dłoniom matki i, ucałowawszy je serdecznie, ukryła w nich twarz.

— Nie martw się, Faniu! Ty płakałaś? Jeszcze nie stało się nic złego.

— O! stało się i wiele złego, mamo, i to ja sama temu winnam. Postępowałam jak zepsute dziecko, a długo nie było w postępowaniu moim ani prawdy, ani szczerości.

— Nie uczyniłaś nic godnego nagany.

— Drżę na myśl, co teraz będzie.

— Wszystko się dobrze skończy. Nie obawiaj się.

— Mamo! Ma...o!

— Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza.

Fania oderwała nagle twarz od dłoni matki.

— O czym mama mówi?

— Ludzie rozchodzą się nawet od ołtarza. Przyjęłaś go, ale zaręczyn jeszcze nie było. Wszystko można zerwać. Któż mógł się spodziewać, że Złotopolski tak dobrze stanie?

— Matko! — przerwała Fanny płonąc jak róża.

— Czego chcesz, dziecko?

— Stoimy na biegunach i nie rozumiemy się zupełnie. Lepiej od razu postawić rzecz jasno: czy mam zostać żoną Iwaszkiewicza, czy nie?

Pani Bujnicka nie była przygotowaną na tak nagły zwrot ze strony Fani. Ona rachowała na swoją dyplomację, a tu trzeba było wprost powiedzieć: tak lub nie. A przy tym pani Bujnicka nie cierpiała, gdy kto mówił wprost. Omawiania miały dla niej tyleż prawie wagi, co treść sama; nawet gdy myślała nad czym, gdy była tylko ze sobą, wszystkie jej myśli przybierały zawsze wyszukaną, dyplomatyczną formę. Dlatego też pytanie Fani przejęło ją zdziwieniem, ale i oburzyło zarazem.

— Zmiłuj się, Fanieczku, jak można tak nazywać rzeczy po imieniu? Już jeśli dobrze ułożona panienka chce spytać o taką rzecz, to daje do zrozumienia, ale tak... wstydź się, Faniu!

— Ja jednak wprost pytam, jaka jest mamy wola? Potem ja powiem, jak mi się zdaje.

— Nie poznaję ciebie.

— To być bardzo może. Ja sama nie poznaję siebie od niejakiego czasu, ale mi z tym lepiej. Iwaszkiewicz otworzył mi oczy na wiele rzeczy, dlatego okazuję mu to, co czuję prawdziwie.

— Moje dziecko, nie drażnij mnie...

— Ja nie chcę mamy drażnić, ale...

— Panienka dobrze ułożona...

— Powinna miłować prawdę, a potem być dobrą żoną i matką.

— I matką? *Mais c'est affreux!* Kto cię takich rzeczy nauczył?

— Iwaszkiewicz! To takie proste rzeczy, a jednak nie wiedziałam o nich. A mam lat dwadzieścia dwa.

Teraz pani Bujnicka rozgniewała się na dobre.

— A czy ten mądry Iwaszkiewicz nie nauczył ciebie, że panienka dobrze wychowana wprzód nim zostanie dobrą żoną i mat... (nie chcę tego wymówić...), powinna być dobrą córką?

Fania spuściła głowę. Teraz pani Bujnicka miała swoją rację.

— Przecież tu nie o mnie chodzi — ciągnęła pani Bujnicka. — Ja będę miała jutro migrenę, ale niech się dzieje wola boża — gotowam cierpieć! Mnie chodzi o twoje szczęście! Ja będę miała migrenę i nie może być inaczej. Po tym, co tu słyszałam, nie pozostaje mi nic, jak tylko... przyłożyć wizykatorię za uszami. Ale

Faniu! Faniu! zastanów się. Iwaszkiewicz to burżuazja! Będziesz należała do burżuazji. Nie przeżyłabym, gdyby cię zaliczano do burżuazji. Nie masz nic bardziej *mauvais genre*, jak burżuazja. Och, burżuazja! Burżuazja!

— Moja matko, jakże ja mogę wiarę łamać?

— Nie było zaręczyn: deklaracja nie obowiązuje.

— Och! obowiązuje deklaracja i... Nie mogę! Nie mogę, mateczko! Ja... mamo!... Ja nie tylko deklaracją związana jestem z Iwaszkiewiczem.

Pani Bujnicka zerwała się gwałtownie.

— Co ty mówisz, dziewczyno? — zawołała z przestrachem.

Fania podniosła się na łóżku. Oczy jej zaszły łzami, a jednocześnie purpurowy rumieniec malował zwolna jej twarz. Tak zarumieniona, ze złożonymi rękami, ze łzami w oczach, okryta potokiem rozplecionych warkoczy, sypiących się po giezłeczku nocnym, z bijącym jak u przelęknionego ptaka sercem, podobną była do posągu skruchy lub pokory.

— Mamo! — ozwała się błagalnie.

— Mów, nieszczęśliwa!

— Mamo, to było w karecie...

— Co było w karecie?

— Wracaliśmy od państwa L..., z tego wieczoru, na którym hrabia Władysław... na którym suczka... narobiła wrzasku...

— Co dalej? co dalej?

— Mama z panią Szemiot siedziała w tyle, a ja z nim na przodzie i... wtedy ja... tak! Wtedy... ja... sama nie wiem, jak się to stało.

—Zabijasz mnie, gnębisz, dręczysz, pastwisz się nade mną.

— I ja... oparłam głowę na jego ramieniu — kończyła jednym tchem Fania.

— I co więcej? — pytała gorączkowo matka.

— I nic więcej.

— Nic?

— Nic więcej, ale i to, co było, było bardzo niedobrze. Ja sama się oskarżam, ale...

— To było do najwyższego stopnia *mauvais genre*.

— Nie uważa na *genre*, kto kocha.

— Przestań! Słyszałaś, żeby panienka dobrze wychowana postępowała w ten sposób?

— Nie, mamo! Nie słyszałam. Sama się obawiam, ale też i tłumaczę się przed własnym sumieniem przywiązaniem, jakie czuję dla Iwaszkiewicza. Gdybym po tym, co zaszło, jeszcze złamała słowo — to byłoby szkaradne!

— Przecie tego nikt nie widział?

— Bóg widział. Ja za nic w świecie nie złamię słowa danego Iwaszkiewiczowi.

— Słuchajże, uparta dziewczyno: ja nie będę ciebie przymuszała, byś szła za Złotopolskiego, ale zapowiadam ci, że póki on nie ustąpi — za nic w świecie nie pozwolę na Iwaszkiewicza.

Fania podniosła w górę zalzawione oczy.

— On jeśli ma jeszcze choć trochę honoru i uczciwości — to ustąpi.

. . . . . .

U Złotopolskiego gwarno bywało od czasu, jak rozkolonizował Złotopole. Wszyscy znajomi okazywali mu tyle sympatii, jak nigdy. Raz wraz zdarzało się, że przychodził do niego ktoś ze znajomych i mówił:

— Jasiu, pozwolisz, że ci złożę jeden dowód przyjaźni i zaufania?

— Jaki?

— Pożycz mi tyle a tyle.

— *Tiens!* to ma być dowód przyjaźni?

— Tak jest, bo dlaczegoż nie udaję się z tym do kogo innego. Rozumiesz, że pieniędzy nie pożycza się od ludzi, z którymi nie jest się w bliskich stosunkach... no, chyba na procent, a przecież między nami mowy być nie może.

I Złotopolski dawał.

Miał on naturę szlachcica polskiego, ową naturę, która to wyraźnie występowała w księciu „Panie Kochanku", gdy np. chodził między szlachtą i dawał jednemu czapkę: „weź"! — drugiemu pas: „trzymaj!" — trzeciemu szablę: „masz!" i tak aż do szarawarów.

Złotopolski nie umiał także odmawiać. Zresztą, jak tu się oprzeć dowodom przyjaźni?

Prócz tego wydawał śniadania, na których można się było najeść i napić *honeste* — ano, nie brakło mu gości.

W parę dni po wieczorze u pani Bujnickiej i po rozmowie jej z córką Złotopolski siedział u siebie w towarzystwie księcia Antosia i Maszki. Rozmawiali o narzeczonej księcia.

— Co.ty z nią będziesz robił? Cha! Cha! Z Berlińskich księżna M...ska, to dobrze brzmi! — rzekł Maszko.

— Co będę robił? Jeśli się ożenię, ona będzie siedziała na wsi, a ja w Paryżu.

— Albo papa, mama i dziadek Berlińscy ci pozwolą?

— Ja drwię z papy, z mamy i z dziadka — Berlińskich.

— Musi być teraz w dobrym humorze twój teść? — spytał Złotopolski.

— O, i w jakim! Robią teraz wyprawę, kupują powozy i malują na nich herby.

— Swoje czy twoje?

— Jużci moje, a tak wielkie jak talerze, jak ten talerz — rzekł książę Antoś ukazując na jeden z zastawy do śniadania.

— A twoja narzeczona?

— Kocha się we mnie.

— A ty?

— A ja piję za twoje zdrowie, Jasiu! — rzekł książę Antoś nalewając sobie szklankę wina. — Jak mi honor miły, wszystkie kobiety są jednakowe.

— Ee!

— Jak mi honor miły! Taka dobra Berlińska, jak i twoja Fania, a może nawet i lepsza, bo...

Ręka Złotopolskiego spoczęła na ramieniu księcia Antosia.

— W twoim własnym interesie nie radzę ci robić takich porównań. Ty sobie możesz brać Żydówkę czy czarta... wszystko mi jedno, ale ci wara mówić źle o Bujnickiej.

Książę Antoś spojrzał w oczy Jasia, ale nie znalazł w nich żartu. Złotopolski nie udawał, owszem, usta jego drżały nerwowo, a ręka tak silnie ściskała ramię Antosia, że ten ugiął się mimowolnie.

— Ależ co tobie jest? Ależ bo ty wszystko serio bierzesz. Ja nie miałem zamiaru...

W tej chwili dzwonek się odezwał — wszedł Miś Rossowski.

Miś Rossowski, zimny i sztywny jak zawsze, powitał obecnych i nie rzekłszy do nikogo słowa rzucił się na fotel, a następnie, wyciągnąwszy nogi, począł rozczesywać palcami faworyty i poprawiać na sobie ubranie, które wyglądało jakoś dziwnie pogniecione i pomięte.

Wkrótce jednak spostrzegł, że stało się coś niezwykłego.

Jaś chodził wzburzony po pokoju, książę Antoś i Maszko mieli dość wystraszone miny, a przy tym milczeli wszyscy.

— Co tu u was zaszło? — spytał Miś.

Książę Antoś opowiedział, co zaszło.

— Niech Antoś poda rękę Złotopolskiemu i przeprosi go... Wybacz, Antosiu, ale co innego jest Fanny, a co innego twoja narzeczona.

Antoś i Jaś podali sobie ręce.

Tymczasem Miś, nałożywszy szkła na oczy, przypatrywał się uważnie Złotopolskiemu.

— A teraz, wiesz, Jasiu, co ci powiem? — rzekł.

— A słucham.

— Że jeśli nie jesteś jeszcze zakochany w Bujnickiej, to przynajmniej wkrótce będziesz.

Złotopolski milczał.

— Zgadłem czy nie zgadłem? — cedził kołysząc się Miś.

— Powiem ci otwarcie. Ja sam nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Od powrotu ze wsi nie pojmuję Bujnickiej zupełnie. Sądziłem, że będę miał przeciw sobie tylko Iwaszkiewicza, tymczasem mam i ją, najbardziej stanowczo. To mnie drażni; nie spodziewałem się oporu — to mi psuje humor.

— Już to ty nigdy nie będziesz prawdziwym Anglikiem. Nadto jesteś sangwiniczny.

— Mniejsza o to. Wracam do rzeczy. Nie taję przed wami, że Bujnicka zaczyna mi się podobać. Może właśnie ten opór jej drażni mnie i przyciąga zarazem. Przy tym jak sobie chcecie — ale w kobiecie rozkochanej jest jakiś czar niepojęty. Oto dlaczego tak nam się podobają narzeczone i młode mężatki. A Fanny jest rozkochana w Iwaszkiewiczu.

— Czy masz na to dowody?

— Jak najpewniejsze, bo z jej własnych ust.

— Z jej własnych ust?

— Tak. Sama mi to powiedziała, nie dawniej, jak wczoraj u L...skich. Podczas gdy ten głupiec Zubicki czytał tam jakieś baliwerny, zbliżyłem się ku niej i po kilku słowach dałem do zrozumienia, że nie myślę się zrzekać praw, których, prawdę rzec, nigdy nie miałem. Jakoż odpowiedziała mi, że ich nigdy nie miałem, a przy tym otwarcie wyznała, że matka już chciała zrywać z Iwaszkiewiczem, że jest za mną — ale że ona, Fania, nigdy nie odda mi ręki, bo Iwaszkiewicza kocha. Gdy to mówiła, miała łzy w oczach i w głosie. I ja byłem wzburzony. Nie sądziłem, żeby była tak uczciwa, a nigdy nie widziałem jej równie piękną. Nie zląkłbym się stu Iwaszkiewiczów, ale nie mogę znieść łez kobiecych. Powróciłem do domu zły i z klinem w głowie, bo zapomniałem wam powiedzieć, że wczoraj powtórzyła mi już drugi raz słowa, które, niech zginę, jeśli rozumiem.

— Cóż to takiego?

— Że szliśmy z Iwaszkiewiczem (którego oby czart porwał) dwiema odmiennymi drogami.

— No więc?

— I że gdyby nawet nie kochała jego, to, mając wybór między nami, oddałaby mu rękę już za to, że szedł drogą wprost przeciwną mojej.

— Cóż to za zagadka?

— Równie ją rozumiem, jak każdy z was.

— A wiesz, Jasiu, co ja ci powiem? — przerwał książę Antoś.

— Mów.

— Że i ja tego nic a nic nie rozumiem.

— Nie odzywaj się, Antosiu, zanim się nie namyślisz — rzekł Rossowski.

— I na próżno łamię sobie głowę, co ona przez to rozumiała — ciągnął dalej Złotopolski.

Miś rozczesał faworyty.

— Mój kochany — rzekł — nie ty jeden na próżno łamiesz sobie głowę. Ja także myślę nad jedną kwestią, z której żadną miarą nie mogę sobie zdać sprawy.

— Czy nie miłosna także kwestia? — spytał Maszko.

— Nie! Spojrzyjcie na moje ubranie.

— A toż co? pogniecione, pomięte, guzików brak?

— Otóż ma ono związek z moją kwestią.

Myślę, co za przyjemność może znajdować szlachta polska w takim ściskaniu się, od którego boki bolą, i całowaniu, które sprowadza puchnięcie policzków.

— Godne Misia! Godne Misia! — zawołał Maszko. — Czyś tego doświadczył?

— Spójrz na moje ubranie. Idę sobie tu do was, raptem spostrzegam na ulicy brata mojego stryjecznego, który jest wzorem gospodarzy i który raz na pięć lat bywa w Warszawie. *Imaginez-vous*, rozszerza nogi, rozkłada ręce, otwiera paszczę i czeka na mnie w ten sposób. Wpadam w tę otchłań: czuję, jak zaczynają mi trzeszczeć żebra, jak gniecie mi się kołnierzyk, jak rozwiązuje mi się krawat. Zjada mnie, otacza, pożera, wchłania; na policzkach literalnie czuję suche bańki i to ma znaczyć: Jak się masz?

Książę Antoś i Maszko zanosili się od śmiechu.

— Gniewałeś się?

— Gniewałem się, alem tego po sobie nie pokazał — rzekł z powagą Rossowski.

— Co ona przez to mogła rozumieć? — mówił do siebie Złotopolski, który, zajęty swymi myślami, nie słyszał opowiadania Misia.

— Co ona przez to mogła rozumieć? Przecie u licha nie popełniłem nigdy nic nieuczciwego.

— No! już mniejsza, co ona tam rozumie — rzekł Maszko — ale co ty zamierzasz czynić?

— Ot właśnie, że i ja dobrze nie wiem. Im więcej mi się ona podoba, tym mniej mam ochoty zrzekać się jej, a z drugiej strony, iść wbrew sercu i woli takiej kobiety?...

— Matka ją zmusi — zauważył książę Antoś.

— Ja nie chcę, by ją ktokolwiek zmuszał!

— A jednak, powinieneś się z nią żenić — rzekł Maszko. — Ludzie jak my nie powinni ustępować takim Iwaszkiewiczom.

— Dać lekcję i ustąpić — mruczał Jaś. — Tak, to jedyny punkt wyjścia!... Jedyny punkt wyjścia!

— Co? jaki?

— Taki! — rzekł wskazując na pistolety zawieszone nad łóżkiem.

Miś rozczesał faworyty.

— Służę ci za świadka — rzekł.

— Stchórzy Iwaszkiewicz! — krzyknął Maszko.

Złotopolski popatrzył na niego uważnie. Maszko się zmieszał.

— Daruj mi, Maszko, ale sądzę, że ty byś prędzej stchórzył — Iwaszkiewicz nie stchórzy.

— Służę ci za świadka — powtórzył Miś.

— Dobrze, ale pierwej muszę sam się z Iwaszkiewiczem rozmówić. Skończy się na tym, że ustąpię. Z Fanią, a zwłaszcza z jej łzami nie potrafię wojować.

— To do czegoż pojedynek?

— Powiedziano by, że ja, Jan Złotopolski, zląkłem się Iwaszkiewicza. Nie, pojedynek musi mieć miejsce. Ustąpię, ale dam mu lekcję. Nie myślę go zabijać — ale albo on mnie, albo ja jemu dam lekcję.

— Z jakiej przyczyny chcesz iść do niego?

— Dla rozwiązania zagadki i znalezienia powodu do pojedynku.

— Mogłeś się Fanny o to spytać.

— Nie chciała mi powiedzieć, by, jak sama mówiła, nie drażnić mnie. Ona trochę przewiduje pojedynek i boi się go dla... Iwaszkiewicza.

— Kiedy do niego pójdziesz?

— Dziś. Gdzie on mieszka?

— Nie wiem, ale zastaniesz go do wieczora w fabryce.

— Pójdę do fabryki.

*

Jakoż o piątej wieczorem udał się Jaś do fabryki, ale nie zastał w niej Iwaszkiewicza. Natomiast młody jakiś inżynierek o rudych włosach, czarnych oczach i kobiecej prawdziwie twarzy, z wszelką grzecznością wskazał mu pokój dyrektora. Jaś postanowił oczekiwać na Iwaszkiewicza, który miał nadejść za godzinkę, a tymczasem z nudów rozpatrywał się po dyrektorskiej izbie lub wyglądał oknem na dziedziniec fabryczny. I jedno, i drugie zajmowało go niepomału. Pokój, w którym siedział, na pierwszy rzut oka zdradzał pracownię inżyniera. Ogromne brystole z pozaczynanymi rysunkami, wzory rozmaitych machin, których by Jaś nawet nazwać nie umiał, mapy, termometry, narzędzia fizyczne, tabele i księgi rachunkowe napełniały wszelkie kąty tej izby. Przy wchodowej ścianie była szafa napełniona książkami, na której stał ogromny globus i miniaturowa, lubo bardzo dokładna lokomotywa. Po innych wisiały portrety znakomitych inżynierów zagranicznych; na wielkich półkach, umieszczonych tuż obok biura, widać było próbki

rozlicznych rud żelaznych. Z tym wszystkim komnata była dość posępna; czarne drewniane krzesła, czarny stół i szafy stanowiły całe jej umeblowanie. Ale też znać było, że nie przesiadywał w niej wykwintniś, tylko surowy mąż pracy. Praca twarda i wytrwała, poparta całą potęgą myśli ludzkiej, widniała tu z każdego szczegółu. Izba malowała mieszkańca. Złotopolski rozglądał się po niej z mimowolnym szacunkiem, połączonym ze zdziwieniem. On, jako prawdziwy *gentleman*, nie robił całe życie nic a nic, on trefny wykwintniś, którego zajęcia dzienne zależały od tego, jakie ubranie brał rano, może pierwszy raz w życiu spotykał się tu z pracą twarz w twarz. Mimo woli porównał się teraz z Iwaszkiewiczem — i mimo woli uczuł, jak wiele był niższym od niego. Serce ścisnęło mu się smutkiem: zrozumiał, że Fanny miała słuszność.

Głuche poczucie tego odbiło się i na jego twarzy, ale posępną zadumę przerwał młody, rudawy inżynier, który, zbliżywszy się, rzekł uprzejmie:

— Dyrektor przyjdzie o szóstej, mamy więc jeszcze pół godziny czasu; może tymczasem zechcę pan obejrzeć fabrykę?

— Najchętniej. Dokąd pójdziemy?

— Pokażę panu machiny, warsztaty, kuźnię, ślusarnię, odlewnię i co pan sam zechce.

Wyszli z izb inżynierskich. Młody i żywy jak iskra towarzysz Jasia nie żałował objaśnień. Wszedłszy do ogromnego, hałaśliwego budynku, gdzie mieściła się machina parowa, posłuchał trochę i rzekł:

— Tak, panie, idzie u nas robota, idzie!

— Ależ tu można ogłuchnąć — zauważył Jaś.

— Fraszka, trochę przyzwyczajenia!

A rzeczywiście trzeba było i trochę przyzwyczajenia. Fabryka była w pełnym biegu. Ogromne koła zębate i niezębate poruszały się z piekielnym rozmachem i piekielną szybkością, olbrzymie tłoki podnosiły się i spadały ruchem mającym coś potwornego, warczenie kół, łoskot, zgrzyt, przeraźliwy świst i bolesne wycie piłowanego żelaza, huk młotów ściskały duszę jakimś nieokreślonym a lękliwym poczuciem owej niepojętej siły, która nadawała ruch wszystkiemu. Każda cegiełka budynku trzęsła się jak w febrze; słowa ginęły dla ucha; samo powietrze zdawało się drżeć przelękłe.

— A co, panie? — krzyknął inżynier do ucha Złotopolskiemu.

— Potęga! Potęga!

— A tak ciągle jest od czasu, jak mamy dyrektorem Iwaszkiewicza.

— Czy tak?

— To panie jego ręka porusza wszystko.

— Ano, zdolny musi być człowiek?

— Ho, ho! A przy tym praca! Praca! Dawniej tu inaczej bywało. Fabryka poczynała już bankrutować. Chodź pan dalej.

To mówiąc młody inżynier przeskoczył z belki na belkę. Złotopolski podążył za nim.

— Ostrożnie, bo pana pasy złapią! Tędy!

Tymczasem pociemniało na dworze, w budynku zabłysły kinkiety, a przy ich blasku, przy łamaniu się światła z cieniem sala przybrała fantastyczne pozory jakiegoś przedsionka piekieł.

— Koła zębate o podwójnym działaniu wynalazku dyrektora! — zakrzyczał głosem Cycerona inżynier.

Złotopolski spojrzał na ukazywany mu okrągławy potwór kręcący się ze wściekłością w ciemnym kącie.

— Klapy bezpieczeństwa systemu amerykańskiego, zastosowane pierwszy raz w kraju przez dyrektora!

Jaś zagryzł wargi. Czymże on był przy owym Iwaszkiewiczu?

— Dmuchawki, zabezpieczające robotników od opiłków, zastosowane przez dyrektora!

— Mało musicie mieć robotników, kiedy ich tak zabezpieczacie?

— Mamy dość, ale robotnik to człowiek jak my i bliźni nam. W innych fabrykach, gdy robotnik umiera, dzieci pozostają bez chleba, u nas inaczej.

— Jakże jest u was?

— Dyrektor los wdów i sierot zabezpieczył ze składek ogólnych.

Jasiowi smutek ścisnął serce: czymże on był przy owym Iwaszkiewiczu?

Ale zarazem budziło się w nim dziwne uczucie szacunku dla współzawodnika. Uczucie to sformułował Jaś w ten sposób:

— Chciałbym posiadać przyjaźń takiego człowieka.

— Przejdźmy do szlifierni, jeżeli pan chcesz? — pytał inżynier.

— Nie, panie! Wyjdźmy już, bo ochrypnę i ogłuchnę zarazem.

— Piękny widok jest w kuźni.

— Nie, mam już dosyć.

Wyszli na dziedziniec fabryczny; na dworze już mrok zapadał, ale było jeszcze dość widno.

— Oto właśnie — rzekł inżynier — przechodzimy koło kuźni; rozdymają teraz ogniska; — za chwilę znów zadzwonią młoty.

— Wasz dyrektor musi być czł...

Złotopolski urwał nagle.

W powietrzu zabrzmiała pieśń, przy której wstrząsły się szyby budynku; zagłuchły wszystkie inne odgłosy — pieśń prawdziwie żelazna; rzekłbyś, nie ludzkie dźwięczały nią płuca — pieśń na nutę stu młotów bijących w takt jej słowom.

— Co to jest? — spytał Złotopolski.

Oczy młodego inżyniera zabłysły; rumieniec niekłamanego zapału wystąpił mu na lica.

— To kowale nasi śpiewają przy młotach. Posłuchaj pan.
Przystanęli obaj: słowa pieśni dochodziły wyraźnie:

Gdy warczy miech, gdy płonie żar,
Wśród razów ech, wśród iskier chmar,
Próżnować grzech, czas — boży dar.

Hej, w obroty ciężkie młoty!
Chrzęst cęg, młotów jęk,
Czerwone skry i krwawy pot
Milsze, niż słów pieszczonych dźwięk,
Niż krwawe łzy w komnacie złotej,
Bo w pracy — zdrój szczęścia i cnót.

Ku niebu skroń — ku ziemi dłoń!
Tam Boga chwal — tu hartuj stal!
Tam dojść się ucz — tu kuj i tłucz!
Aby twa praca wydała plon,
Byś miał gotowy, gdy przyjdzie skon,
Żelazny do nieba klucz.

Każde słowo potężnej pieśni brzmiało w powietrzu z taką siłą, że Złotopolski z młodym inżynierem nie stracili ani jednego dźwięku.

— A co, panie?

Złotopolski milczał.

— W innej fabryce nie usłyszysz pan takiej pieśni.

— Dlaczego?

— Czyś pan nie słyszał, po jakiemu śpiewają? W innych fabrykach pracują cudzoziemcy.

Złotopolski zmarszczył brwi i szybko zbliżył się do inżyniera.

— Jak to pan rozumiesz?

— Dyrektor oddalił cudzoziemców, a postarał się o naszych ludzi — odparł inżynier.

Obie ręce Złotopolskiego spoczęły na ramionach towarzysza.

— Dlaczego on to uczynił? Dlaczego to uczynił? — pytał gorączkowo.

— Dla dobra ogółu. Ale co panu jest?

— Nic, nic!

Złotopolski zamilkł nagle i sposępniał jak noc. Zagadka, której nie chciała mu rozwiązać Fanny, leżała teraz jasno przed jego oczyma.

Ale jasność owa daleką była od radości; czymże on był przy Iwaszkiewiczu?

Nagle w bramie fabrycznej odezwał się dzwonek.

— Dyrektor! — zawołał rudy inżynier. — Teraz ustępuję panom.

Jakoż po chwili w ciemnym mroku bramy fabrycznej zarysowała się wysoka, spokojna postać Iwaszkiewicza.

Złotopolski szybko zbliżył się ku niemu.

— Panie! — rzekł smutnym, poważnym głosem — nie znałem pana, ale przed chwilą poznałem i... teraz rozumiem Fanny... i ustępuję!...

Zanim Iwaszkiewicz zdołał ochłonąć ze zdziwienia, Złotopolskiego już nie było.

(Dwie drogi)

PIOTR CHMIELOWSKI

* POZYTYWIŚCI

W Królestwie nastąpił wielki przewrót w stosunkach ekonomicznych i społecznych. Reforma, która w innych krajach Europy dokonała się od dawna, a nawet w innych częściach byłej Rzeczypospolitej również od lat dwudziestu uskutecznioną została, dla Królestwa w tej dopiero urzeczywistniła się chwili. W teorii, będąca życzeniem ludzi postępowych już od wieku niemal, wielokrotnie roztrząsana i rozwijana, dopiero wtedy znalazła swój wyraz praktyczny. Jak ostatnia prawie weszła Polska w koło narodów europejskich za pośrednictwem religii, tak na ostatku w przeważnej swej części pozbyła się resztek średniowiecznego ustroju społecznego. Chłop został nie tylko człowiekiem wolnym, nie tylko właścicielem, ale i obywatelem kraju.

Reforma ta, która pod względem społecznym ostatecznie upodobniła nasze stosunki ze stosunkami europejskimi, która otworzyła dalekie widnokręgi dla całych milionów i na nowej podstawie gmach przyszłości narodowej osadziła, wywołała bezpośrednio przewrót ekonomiczny, najprędzej uczuć się dający. Stare, pańszczyźniane gospodarstwo na znacznej przestrzeni kraju, tj. tam, gdzie jeszcze istniało, musiało ustąpić miejsca parobczanemu, co zmuszało dawnych właścicieli, w wygodnym zazwyczaj *farniente* pogrążonych, do przyłożenia pracy osobistej, do oszczędności i oględności pewnej pod groźbą wywłaszczenia. Ta groźba, połączona w okolicach kresowych z innego rodzaju wywłaszczeniem, wysunęła oczywiście i tu na plan pierwszy kwestię utrzymania bytu materialnego i szukania środków, ku temu celowi skutecznie prowadzących.

Umiejętna uprawa roli stać się naturalnie musiała dla ziemian warunkiem niezbędnym do wybrnięcia z niezbyt świetnych interesów finansowych, w jakich pozostawali dawniej, ufni w pracę przymusową tych, co teraz młodszymi ich braćmi prawnie zostali. Atoli, obok racjonalniejszego chodzenia koło roli, trzeba

było uznać znaczenie i potęgę przemysłu i kapitału; nie można było gardzić jednym, a lekceważyć drugiego; należało się pozbywać coraz prędzej przesądów szlacheckich o swojej wyższości i swoim dostojeństwie; lecz jąć się pracy oburącz, a z łokciem i wagą pogodzić się, uszanować w nich przedstawicielstwo podobnejże pracy, która miała odtąd zastąpić w zupełności pergaminowy czy papierowy przywilej.

Przemysł, który szybszy i bogatszy swój rozwój w kraju datuje od roku 1850, tj. od czasu zniesienia granicy celnej między Cesarstwem a Królestwem, znalazłszy otwarty rynek na Wschód wzmagał się z każdym rokiem, zwłaszcza gdy komunikacja kolejowa większą siecią dróg ziemię naszą pokrywać zaczęła. Do jedynej, dawniej istniejącej kolei, przybywa w Królestwie w tym przeciągu czasu pięć innych; sprawiają one, że Warszawa staje się nader ważnym punktem, stanowiącym najdogodniejszy łącznik handlu zachodniego ze wschodnim. Wprawdzie przemysł nasz w znacznej części znajduje się w ręku Niemców, którzy niejednokrotnie wcale po polsku nie umieją; wpływ jego przecież na kraj nie umniejsza się przez to i jeżeli jeszcze niezbyt liczne wywołuje spółzawodnictwo ze strony krajowców, to obudza przynajmniej świadomość jego potrzeby.

Równocześnie, z coraz bujniejszym rozrostem przemysłu i handlu, doniosłość kapitału i jego znaczenie w życiu ekonomicznym, społecznym i umysłowym zwiększyć się musiały, jakkolwiek nie przybrały oczywiście tak kolosalnych, a niekiedy tak potwornych rozmiarów, jak się to dzieje na dalszym Zachodzie. Charakterystycznym znaczeniem z tego względu jest fakt powyżej zaznaczony, że liczba prenumerujących *Rocznik Gospodarstwa Krajowego* nadmiernie i niesłychanie się zmniejszyła i że w roku następnym powstał *Ekonomista*. Dopóki właściciel ziemski mógł nie troszczyć się o robotników, dopóki praca rolna w ścisłym znaczeniu była dla niego rzeczą nieznaną, dopóty nie żałował trochy grosza na pismo, nie czytane najczęściej, ale prenumerowane. Gdy się rzeczy zmieniły, na razie zniechęcił się do tego zbytkownego sprzętu i zajął się całkiem pracą istotną, a nie rozumowaniem o niej; kwestia paląca dla niego była na samym gruncie, a nie w jego rocznikach. Finansiści natomiast poczuwszy swoją wagę wśród nowokształtujących się warunków życia, nie zaniechali stworzyć swego organu, który by prawdy ekonomiczne byłej szlachcie opowiadał. Ale i tu chwilowy był jedynie apetyt na prawdy ekonomiczne i na ich rozpowszechnianie; teoria nie umiała sobie pozyskać gorliwych zwolenników, gdyż praktyka zbyt gwałtownie i ponętnie pociągała ku sobie. *Ekonomista* wiódł żywot bardzo nędzny przez długi przeciąg czasu, dopóki na wyżynach teorii pozostawał; dopiero gdy zeszedł na grunt praktyczny, gdy się zaczął dotykać

wprost interesów handlowych i przemysłowych (1878), znalazł wreszcie poparcie; ale i wtedy jeszcze istnienie jego zapewnionym nie było; w r. 1884 przestał wychodzić.

Takie położenie rzeczy, zmuszające do ścisłego rachowania się z praktycznymi wymaganiami życia, nie mogło pozostawać bez wpływu na uczucia i przekonania ogółu, na program jego postępowania, na jego poglądy co do przeszłości i teraźniejszości. Życie gorączkowe, marnujące się z jednej strony w lekkomyślnych albo i bezmyślnych nawet hulankach, a z drugiej w bezowocnych wysiłkach, nie mogło już być nadal ideałem ludzi, którzy byt swój zagrożonym widzieli. Hasło tedy pracy organicznej, drobnej, powolnej, ale wytrwałej i ciągłej, jako punkt wyjścia i jako środek pożytecznego zużytkowania sił wytwórczych, zastąpiło dawniejsze godło wulkanicznych wybuchów lub też praktykę życiowej apatii. Ani wymuskany, wypolerowany salonowiec, ani wiecznie wzdychający i niezadowolony wieszcz, ani galwanizujący się nieustannie wielkimi i świętymi intencjami, ale zaślepiony w postępowaniu młodzieniec; lecz człowiek pracowity, dzielący swój czas na długą, bardzo długą pracę i skromny odpoczynek, stał się przedmiotem, jeżeli nie uwielbień i pochwał, to przynajmniej życzeń i pragnień. Do tej pracy powołani zostali nie tylko mężczyźni, ale i kobiety, których położenie materialne zmuszało do zaprzestania roli lalek salonowych lub istot „zapoznanych", a wzięcia się natomiast do roboty, dla wywalczenia sobie samoistnego utrzymania.

A gdy sobie przypomniano bezpośrednią przyczynę tych smutnych stosunków materialnych; gdy coraz bliżej nadchodziła przykra rocznica stuletnia, zwrócono się ku przeszłości już nie z tym bałwochwalczym uwielbieniem — które nie umie rozpoznać tego, co prawdziwie wielkie i piękne, od tego, co jedynie przesąd lub miłość własna za takie poczytywać lubi — ale z poszukiwaniem powodów nieszczęść naszych i upadku politycznego, ażeby w ich rozważaniu doszukać się istotnego źródła klęsk i niepowodzeń, których by na przyszłość unikać należało. Uporczywe zrzucanie z siebie wszelkiej winy, praktykowane prawie ciągle za czasów dawniejszych, nie mogło teraz znaleźć posłuchu i uważanym być zaczęło za jeden ze środków odurzających, którymi ukołysane umysły nie miały dosyć energii, by śmiało, po męsku zajrzeć w oczy złemu i stanowczym postanowieniem zerwać się do pracy nad sobą, do wykorzenienia spomiędzy społeczeństwa tych chwastów, co rozwój roślin pożytecznych przytłumiały.

Te dążności, wywołane praktyką życiową, mające zatem twardy grunt pod nogami, nabrały nowego znaczenia i zabarwiły się inaczej, gdy na nie padło światło nauki współczesnej. Otwarcie Szkoły Głównej w Warszawie miało pod tym względem nadzwyczaj po-

tężną doniosłość, zarówno przez bezpośrednie działanie kilku dzielnych i znakomitych profesorów, jak niemniej przez oddziaływanie pośrednie, właściwe każdej instytucji naukowej. W kraju, który przez lat blisko 30 pozbawiony był wyższego zakładu naukowego, musiał oczywiście panować pewien mrok w zakresie umiejętności; zdobycze nauki zachodniej nie dostawały się do niego wcale albo nadzwyczaj późno i to w formie jak najbardziej popularnej, a niekiedy tendencyjnie skrzywionej. Założenie Akademii medyko-chirurgicznej w 1857 r. rozwijało umysły w jednym przynajmniej kierunku praktycznym i dla zdrowotności ogólnej tak nieodbicie potrzebnym; założenie Szkoły Przygotowawczej (r. 1861) rozszerzyło ten zakres wprowadzając wyższe pojęcie nauk humanistycznych i budząc zapał w licznych szeregach młodzieży, która naprawdę tłumnie zapełniła audytoria, spragniona wiedzy, co dawniej tak trudno zdobywaną być musiała. Szkoła Główna (r. 1862) odziedziczyła już i to zainteresowanie się nauką i ten zapał młodzieży: a rozszerzający się zakres wykładów z każdym rokiem wytwarzał tę atmosferę naukową w społeczeństwie, co sama nie stanowi wprawdzie nauki, ale ją ułatwia, zachęca i pobudza do niej. Boć oczywiście każdy wyższy zakład naukowy, gromadząc w swych murach grono młodzieży, staje się zarazem rozsadnikiem wiedzy na daleko szersze koła, gdyż każdy ma rodzinę i znajomych, z którymi dzieli swe wiadomości, zwłaszcza że te, wśród ówczesnego położenia, miały cały urok rzeczy nowych. Z tego zbiornika rozchodziły się ożywcze prądy na inteligentną część społeczeństwa i wyrywały ją choć trochę z koła powszednich, małoznaczących pojęć i poglądów. Z małego miasta Warszawa stała się znowu, jak po r. 1817, kiedy pierwszy uniwersytet posiadła, miastem wielkim, zainteresowanym nauką, a to usposobienie stolicy udzielało się i prowincji.

Pierwsze, co prawda, pokolenie, wychowane przez Szkołę Główną, poszło już dawno utorowanymi gościńcami; oddało się uprawie poezji drukując różne zbiorki wierszy, mniej lub więcej udatnych, pod mniej lub więcej romantycznymi tytułami. W wierszach tych zarówno strona myślowa, jak i forma były po prostu spadkiem odziedziczonym po bezpośrednio poprzedzającym okresie rozwoju: nie świtała tu jeszcze żadna nowa dążność, nie znać tu jeszcze wpływu umiejętności. Ale druga już z kolei generacja wychowańców poczuła na sobie wybitny wpływ ducha nowego, który bił z nowej instytucji. Powoli, bardzo powoli dowiadywała się ona o świetnych zdobyczach nauki nowożytnej lub o potężnych prądach nurtujących w umysłowości europejskiej. Nie wprost wielką rzeką komunikacyjną, ale pobocznymi strumykami dopływały do niej wiadomości o tym, co ówcześnie cały Zachód w pewien stan gorączkowy wprawiało.

Ze wstępnej prelekcji Henryka Struvego dowiedziała się młodzież, że poza granicami kraju, od lat już kilkunastu, huczała burza materializmu, którą wzniecili Moleschott, Vogt i Büchner, a o której w kraju do owej pory zaledwie tu i ówdzie i to głucho przebąkiwano. W odczycie J. K. Plebańskiego o Juliuszu Cezarze posłyszała o nowym kierunku historiozoficznym, inaugurowanym przez Tomasza Buckle'a, którego dzieło: *Historia cywilizacji w Anglii* wychodziło wówczas we Lwowie w przekładzie polskim (1862—1868). Ci dwaj profesorowie nie tylko nie byli propagatorami nowych kierunków, owszem zwalczali właśnie rozgłaszane przez siebie teorie, ale dając znać o ich istnieniu, już przez to samo zachęcali młodzież, spragnioną nowości, do nabywania dzieł interesujących, a w razie niemożności kupienia — do przepisywania ich; wiemy o jednym, co całego Buckle'a sobie przepisał...

Inaczej rzecz się miała z teorią Darwina i pozytywizmem Comte'a. Charakterystycznym znamieniem ukształcenia w tej części kraju jest to, że pierwszą drukowaną wiadomość o Darwinie znalazła młodzież warszawska w polemicznej broszurze księdza Wartenberga, poznańczyka, wymierzonej (w r. 1866) przeciwko tej teorii. Wprzód zatem ostrzeżona była o jej niebezpieczeństwie i szkodliwości, zanim z ust Antoniego Wrześniowskiego, a potem Edwarda Strasburgera w Szkole Głównej, posłyszała jej zasady... Przypomina się tu analogiczny szczegół co do Galicji, gdzie polemika Józefa Szujskiego przeciw materializmowi (1866) pobudziła młodzież do pilniejszego nim zajmowania się.

Z teoriami Comte'a spotykamy się wprawdzie już w r. 1844 w dziele Adriana Krzyżanowskiego pn. *Dawna Polska;* ale wiadomość ta przebrzmiała tak dalece, że nawet wydawca drugiej edycji tego dzieła w lat kilka o tym fakcie nic a nic już nie wiedział. Potem w jednym z listów Kraszewskiego do *Gazety Warszawskiej* (r. 1851) można było wyczytać ogólnikową wzmiankę o mętnym pozytywizmie jako o jednym z przejawów fałszywego zwrotu religijnego. Następnie, w r. 1865, Józefa Śmigielska streściła parę artykułów francuskich, przeciwnych pozytywizmowi i pomieściła krótką notatkę swoją w *Kółku Domowym,* ale i ta praca nie zwróciła na siebie uwagi. Kraszewski w powieści *Żyd* (1866) znowu wzmiankował kilkakrotnie ze wstrętem o pozytywizmie, ale zrobił to tak pobieżnie i powierzchownie, że żadnego o tym kierunku myślenia nie można było sobie wytworzyć pojęcia. W czasopiśmie *Przyszłość* Józef Tokarzewicz wygłaszał zasady pozytywizmu, dawał obszerniejsze wyjątki z dzieł Comte'a, Milla, Littrego; pismo to wszakże bardzo mało było rozpowszechnione. Podobnież wzmianki o pozytywizmie, jakie w *Dzienniku Literackim* z r. 1866 napotykamy, albo nie dochodziły do Warszawy, albo też nie budziły pilniejszej uwagi. Dopiero obszerna rozprawa

ks. Franciszka Krupińskiego pt. *Szkoła pozytywna* pomieszczona w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1868 zaznajomiła myślących czytelników z nowym rodzajem filozofii, która chociaż we Francji od dawna już znana, w tym jednakże czasie na nowo stała się przedmiotem rozbiorów z powodu dzieł o niej napisanych przez Littrego i Stuarta Milla.

Równocześnie niemal zawitały do nas estetyczne poglądy Hipolita Taine'a, którego dziełko pt. *Filozofia sztuk pięknych* przetłumaczono na język polski (r. 1868) i tym sposobem wskazano drogę do innych jego utworów.

Z półsłówek wreszcie, z gazeciarskich nowinek dowiadywano się o Erneście Renanie jako autorze *Początków chrześcijaństwa*. Jakaś pani, pociągnięta zapewne powabami stylu, wyraziła nawet chęć tłumaczenia *Życia Jezusa* (r. 1863), ale dzienniki zakrzyczały ją natychmiast i projekt nie przyszedł do skutku, co więcej — nawet sprawozdań szczegółowych o kolejno po sobie następujących tomach *Początków chrześcijaństwa* u nas bardzo długo nie podawano, chyba tylko we wzmiankach polemicznych czegoś doczytać się o tym było można. Jeżeli jednak w druku nic się w tej kwestii nie pojawiło, to w rozmowach natomiast tym szersze zajmowała ona miejsce. W ogóle zauważyć można, że jeśli myśl jakaś, idea, doznaje prześladowania, jeśli bywa tłumiona, to tym zawzięciej czepia się niektórych umysłów i sprawia w nich skutki, których by można było uniknąć, gdyby ją rozbierano jawnie, gdyby wolno było o niej się wygadać.

Te były główne czynniki budzące myśl krytyczną młodzieży, która z konieczności musiała zadać sobie pytanie: w jakim też stosunku znajduje się oświata naszego kraju do oświaty Zachodu? Naturalnie, dokładnego o tym pojęcia młodzież mieć nie mogła; ale wiedziała tyle, że za granicą od dawna znane są i rozpowszechniane takie prawdy lub teorie, o jakich przewodnicy dotychczasowi umysłowości naszej nie wiedzieli lub wiedzieli bardzo mało; że za granicą rozbierają się zagadnienia niezmiernej doniosłości religijnej, filozoficznej, społecznej, ekonomicznej, gdy tymczasem u nas kwilono na przebrzmiałą nutę; że za granicą poddawano wszystkie myśli i wszystkie stosunki ludzkie ścisłej analizie, surowej krytyce, gdy u nas ciągle jeszcze powoływano się na tradycyjne powagi; że, słowem, za granicą nauka, umiejętność, trzymała berło w państwie umysłowym, gdy u nas hołdowano płaczliwemu rozmarzeniu lub namiętnym a ślepym wybuchom. Takie ryczałtowe zestawienie stosunków własnych z zagranicznymi nie mogło w śmielszych i energiczniejszych umysłach nie sprawić bolesnego wrażenia, nie mogło oczywiście zakryć tej prawdy, że od roku 1831 pozostaliśmy w tyle za Europą zachodnią i to pod każdym względem, zarówno rolniczym, jak przemysłowym, za-

równo naukowym, jak literackim. Najwięcej atoli raził uczącą się młodzież zastój w umiejętności, zastój pojęć w społeczeństwie. Jak w ciele ludzkim osłabienie krążenia krwi powoduje ciężkie niemoce, tak w narodzie zatamowane krążenie pojęć niezdolnym go czyni do życia umysłowego. Z wielkim zapałem do nauki, z sercem gorącym a rozsądkiem krytycznym, z niemałą dozą zarozumiałości i zuchwalstwa młodzieńczego, dla którego trudności nie istnieją, bo czuje w sobie siłę tysiąckrotną, wystąpili co dzielniejsi do walki z istniejącym stanem rzeczy w literaturze, chcąc go zmieniać, przerabiać, reformować; ufni, że zwycięstwo na ich przechyli się stronę, gdyż walczyli w imię „nauki", tej władczyni umysłowej czasów naszych.

I tak — z wpływów ekonomiczno-społecznych i naukowych wytworzyło się położenie, które porównywano do świetnego obudzenia się ducha poezji romantycznej w trzecim dziesiątku naszego stulecia, które jednak o wiele słuszniej zestawić można z prądem reformatorskim w wieku XVIII.

Jak naówczas, tak i teraz wystąpiono w imię światła przeciw obskurantyzmowi, w imię tolerancji przekonań przeciw ślepemu dogmatyzmowi, w imię postępu przeciw zastojowi. Jak wówczas, tak i teraz poglądy nowe, reformatorskie pojawiały się stopniowo, występowały nader umiarkowanie względem istniejących i wiekami utrwalonych nie tyle przekonań, ile nałogów myślowych, radykalne doktryny albo nie miały zwolenników wcale, albo tak nielicznych, a raczej odosobnionych, że oni bardzo mały wpływ na społeczeństwo wywierać mogli. Jak wówczas, tak i teraz to, co było u nas najdrażliwszym zawsze — kwestia religijna — została z dyskusji niemal usunięta, a krytyka jawna, otwarta, tyczyła się nie dogmatów, ale obrządków zewnętrznych i duchowieństwa. Jak wówczas, tak i teraz względy na okoliczności zewnętrzne, z bytem kraju związane, hamowały zbyt zapalczywe i za daleko sięgające zapędy, poskramiały zbyt ostre wycieczki przeciw niektórym przynajmniej stronom życia społecznego.

Nic atoli w dziejach się nie powtarza. Jeżeli zatem w ruchu współczesnym upatrujemy podobieństwa do prądu reformatorskiego w „wieku oświeconym", to nie możemy zamknąć oczu na bardzo ważne różnice zarówno pod względem idei, jak osób, co je głosiły. W „wieku oświecenia" głównymi rozpowszechnicielami nowych myśli byli księża — rzecz to całkiem naturalna, wyjaśniająca się ówczesnym stanem Rzeczypospolitej, gdzie duchowni tylko reprezentowali oświatę *en masse*. Obecnie nastąpiły już zupełne wyzwoliny umysłowe spod przewagi duchowieństwa; idee nowe rozpowszechniają ludzie świeccy, a jeżeli wpośród zwolenników i propagatorów nowego życia duchowego znajdują się księża, to

stanowią nader nieliczne wyjątki. Ale co ważniejsze od kwestii osób, to sama treść poglądów, o które walka się toczy. Prawda, że tak samo, jak w wieku XVIII, wystąpiono pod sztandarem wiedzy; ale wiedza dzisiejsza a wiedza zeszłowieczna to dwa stany rzeczy, nie całkiem różne wprawdzie, lecz wielce od siebie odległe. Suchy racjonalizm „wieku oświecenia" w krytyce swojej kierował się przede wszystkim zdrowym jedynie rozsądkiem, a zdrowy rozsądek umie być bardzo jasnym, wielce nieraz dowcipnym przewodnikiem po krainie przeszłości i życia obecnego, lecz nie potrafi zbadać głębokich tajników zarówno religii, jak sztuki, zarówno natury, jak społeczeństwa; nie rozumie i nie oceni należycie ani mitów, które będzie chciał tłumaczyć alegorycznie albo śmiać się z nich zechce, ani średnich wieków, które ryczałtem potępi: nie wzniesie się do tej przedmiotowości, jaka potrzebna jest przy ocenie dziejów, ale wszystko osądzi według jednego szablonu; nie zdobędzie się na wszechstronność, koniecznie potrzebną przy rozpatrywaniu różnych usposobień ludzkich, ale je wszystkie do jednego mianownika sprowadzi; nie przejmie się głęboką poezją uczuć serdecznych a rzewnych albo wizyj mglistych i fantastycznych, bo śmiech, tak licujący z jego naturą, niedaleko zapuścić mu się dozwoli w krainy duszy ludzkiej... Nie na próżno też po tym wieku racjonalizmu nastąpiło świetne oddziaływanie promieni uczucia i blasków wyobraźni w poezji romantycznej; nie na próżno rozgrzały się serca i zapaliły fantazje. Wiedza dzisiejsza daleko szersze obejmuje widnokręgi, gdyż oko jej z jednej potężnej strony rozjaśniło się potężnym wiekowym rozwojem ducha, a z drugiej zaostrzyło się za pośrednictwem wielkiego czynnika, jakim jest doświadczenie, eksperyment...

A jak już sam nastrój ogólny jest inny, tak też i treść idei nowych przedstawia się odmiennie. Nie idzie tu teraz o reformy polityczne, gdyż te nie od nas zależą, nie idzie o reformy szkolne, gdyż te również spod dyskusji praktycznej się wymykają; nie idzie nawet o reformy literackie, gdyż styl i język nie uległy skażeniu, co więcej — nawet w kwestii wychowania ludu, który przyszedł do samoistności w obywatelstwie, sporu zasadniczego bynajmniej nie ma: rzecz cała obraca się w sferach inteligentnych, a kwestia sporna dotyczy środków, jakich używać potrzeba, ażeby w walce o byt nie zginąć, lecz owszem przekazać potomkom dziedzictwo ze znacznym dorobkiem. Jeżeli mówię o środkach, to mam na uwadze głównie środki umysłowe: cały zakres duchowych czynników, które życie narodu podtrzymują. Walka w tym względzie toczy się już nie przeciw przesądom i zabobonom, z których otrząsnęliśmy się w wieku XVIII, ale przeciw fałszywemu albo rutynicznemu pojmowaniu dróg życia umysłowego i społecznego.

(Zarys Najnowszej Literatury Polskiej 1864—1894)

* NAPAD NA PARNAS

(w skróceniu)

Dobrze było w swoim czasie
Apollina służbie godnej
Mieć kąt własny na Parnasie
Ciepły, cichy i wygodny.

Dobrze było w laurów cieniu
Pod opieką muz dziewięciu,
W poetycznym zachwyceniu
Żyć po własnym wniebowzięciu.

Wierne sługi łaska Feba
Przyodziała w blask sowicie.
Wszystko było, co potrzeba
Na Parnasu górnym szczycie.

Można było pełną dłonią
Z kastalskiego czerpać zdroju
I oddychać kwiatów wonią
W błogiej ciszy i spokoju.

Do przejażdżki służył stary,
Lotny rumak, co miał skrzydła,
A śmiertelni nieśli dary
I pochwalny dym kadzidła.

Niezła była to dzierżawa!
Gdy kto innych nie miał włości:
W gruncie rzeczy dym i sława
Także godne są zazdrości.

Więc i wielcy, więc i mali,
Brnąc przez wszystkie życia burze,
Jak umieli, tak się pchali
Na Parnasu święte wzgórze.

Ten przy lirze, ten przy gęśli,
Ów z piszczałką nawet lichą,
Wszyscy z góry światem trzęśli,
A śmiertelni byli cicho.

Chociaż który śpiewał cienko,
Chociaż czasem rozdarł uszy...
Lud się pieścił wciąż piosenką,
Bo melodię miał w swej duszy.

Aż tu naraz zgiełk i wrzawa:
Bartki, Wojtki, nawet Kasie,
Zaprzeczają wieszczom prawa
Do pobytu na Parnasie.

Gmin się burzy, rwie się czeladź
I przekupki, i studenci,
Wszyscy krzyczą: — Siec i strzelać!
Niechaj giną wniebowzięci!

Wydostali gdzieś z przedpiekla
Pozytywnych dział baterię;
W pękające bomby Haeckla
Uzbroili artylerię.

Przypasali miecz Darwina
Mściwi, groźni i zajadli
I do gaju Apollina
Na drzemiących wieszczów wpadli.

Łatwo rzeszę zgnieść bezbronną,
Łatwo krwawe sprawić rzezie,
Gdy najeźdźcy walczą konno
Na pochodzeń hipotezie.

Induktywną swą metodą,
Ewolucji chytrą sztuką
Jednych rąbią, drugich bodą,
W prawo, w lewo, tną i tłuką.

Nikt nie ujdzie ich pogoni,
Próżno śpiewny chór się cofa:
Już nikogo nie zasłoni
Słodko brzmiącej pieśni strofa.

Wykarmione wieszczym duchem
Ody, hymny lub peany
Jęczą teraz pod obuchem
Mechanicznej sił przemiany.

Tren miłosny lub ballada
W swym rynsztunku idealnym
Wszystko pierzcha, wszystko pada
Przed doborem naturalnym.

Ta broń straszna w ręce tłumu
Rozstrzygnięcie daje łatwe:
W imię świętych praw rozumu
Apollina biją dziatwę.

Trubadury i minstrele,
Poetyczne bardów pułki,
Otrzymawszy sińców wiele
Przez Parnasu mkną zaułki.

I nie jedna nawet muza,
Zaskoczona przez studenta,
Oberwała nagle guza,
Który długo popamięta.

Aż nareszcie śpiewne bractwo
Woła: — Ratuj, Apollinie!
Ukarz jawne świętokradztwo,
Bo sług twoich ród zaginie.

Barbarzyńcy ci zuchwali
Już niczego się nie zlękną.
Gdy nie wstrzymasz, pójdą dalej
Nieśmiertelne burzyć piękno.

Widzisz, panie, straszny zamęt,
Broń więc wiernych od bezprawia.
Na te skargi, na ten lament
Melodyjny bóg się zjawia.

W złotym blasku uśmiechnięty
Na burzliwą patrzy młodzież,
Co napadłszy wzgórek święty
Potargała wieszczom odzież.

Z olimpijskim bóstw spokojem
Przed zwycięzców zastęp schodzi
I ucisza tchnieniem swojem
Przemawiając tak do młodzi:

— Skąd te gniewy? skąd te krzyki?
Skąd ten rozbój mojej służby?
Skąd ten cały zamach dziki
Na śpiewaków, sny i wróżby?

Skądże przyszło wam do głowy
Napaść cichy muz przybytek
I doktryny sztandar nowy
Na tak śmieszny wziąć użytek?

Czyż sądzicie, że dorywczo
Zaczerpnąwszy mądrość szkolną
Już wam pieśni moc ożywczą
Sponiewierać teraz wolno?

Ja poważam taką wiedzę
I oddaję cześć Minerwie,
Co mieszkając tuż o miedzę
Nigdy badań swych nie przerwie.

Chcę, by Parnas żył z nią w zgodzie
Korzystając z jej wyroku
I w kwitnącym muz ogrodzie
Wieczne prawdy miał na oku.

Chcę, by kroczył w równej mierze
I otrząsał lutnie z pleśni
Wszystkie życia prądy świeże
Odtwarzając w swojej pieśni.

Jednak moje wdzięczne państwo
Cel i zakres ma odrębny
I nie może pójść w poddaństwo
Guwernantki tej bezzębnej...

Wyście przyszli jak szkodnicy
Biorąc sobie za rzemiosło
Deptać wszystko bez różnicy,
Co w ogrodzie mym wyrosło.

Muszę skarać taki zamach...
I tej hordzie, która wrzeszczy
W mej świątyni stojąc bramach,
Nowy rodzaj stworzę wieszczy.

To wyrzekłszy bożek wkrótce
W napastników wybrał gronie,
Krzykliwego wziął dowódcę
Wieńcząc laurem jego skronie.

Złotą lirę dał mu w ręce,
Tajemnicze wyrzekł słowo
I rozkazał, by w piosence
Streścił światu mądrość nową.

Wnet Parnasu cały wzgórek
Stanął w niemym osłupieniu
Słysząc romans dwóch komórek
W pacierzowym tkwiących rdzeniu.

Pieśń na nowe pchnięta tory,
Materialną wziąwszy suknię,
Do mózgowej sięga kory,
Po nerwowym pędzi włóknie.

Serc pragnienia i zachwyty,
I myśl każdą, i uczynek
Wyprowadza z walki skrytej
Wirujących wciąż drobinek.

W nieprzerwanym kreśli wątku
Organizmów epopeję
Odtwarzając od początku
Protoplazmy pierwsze dzieje.

I w powszechnej bytu walce
Przez rodzajów zmiany skacze...
Aż w rozpaczy łamiąc palce
Upadają w proch słuchacze.

I błagają: — Wielki Febie,
Dość tej kary, dość tej męki,
My o litość prosim ciebie,
Ucisz dzikie lutni dźwięki!

Lecz Apollo nie ubłagan
Zapał wieszcza wciąż podsyca;
I pieśń huczy jak huragan
Albo wyje jak wilczyca.

Śpiewa dalej mistrz uparty
Rozdzierając wszystkim uszy;
A tłum, widząc, że nie żarty,
Pragnie strasznej ujść katuszy.

Napastników roty bitne
Na złamanie lecą karku,
Swe sztandary gubiąc szczytne
Uciekają z muz folwarku.

Wszyscy chcą się w ziemię zapaść,
By ujść mściwej Feba dłoni:
Taki koniec wzięła napaść,
Ledwie przetrwa pamięć o niej.

Znowu Parnas lśni pogodą,
Znowu spokój w nim głęboki,
Tylko wieszcze dotąd wodą
Okładają sobie boki.

STEFAN ŻEROMSKI

NIEDOBITEK

Ostatni bodaj wyszedłem z sali balowej. Piłem cokolwiek za wiele wina w przeróżnych białych mazurach, dużo tańczyłem i zbyt długo patrzyłem w oczy panny Jadwigi — toteż pusty i zimny korytarz, na którym w stosie futer usiłowałem odnaleźć moją znaną w świecie literackim algierkę, zwęził mi się w oczach i rozszerzał znowu, chwilami nawet zapadał po prostu w ziemię wraz z futrami, wieszadłami i chłopcem kredensowym, pomagającym mi zachować bez szwanku godność literacką *usque ad finem*...

— Zaprowadź mnie, uważasz, kawalerze, do jakiegokolwiek pokoju, potrzebuję bowiem...

— Ale... pokoju? Pokoje wszystkie pozajmowane. Pani powiedziała, że pan będzie spał u Rzepy, w gorzelni.

— U Rzepy? — zawołałem z nagłym entuzjazmem — w gorzelni? Co za Rzepa w gorzelni? Kpisz, czy o drogę pytasz!...

— Ni! Pani pada... u Rzepy, u pana kasjera, u Rzepkowskiego... ja i mówię.

— *Eh bien*... do Rzepy... kasjera, pana Rzepkowskiego.. gorzelni...

Ubrałem się, włożyłem należycie kalosze i ruszyłem poprzedzany przez chłopca.

Ciemno było jeszcze na dworze i zaczynał szarzeć zaledwie przedświt zimowy. Deszcz ze śniegiem bił mię w twarz, błoto bryzgało spod bezwładnie opadających w nie kaloszy aż na kołnierz znanej w świecie literackim algierki; niebo — ku któremu wznosiłem kilkakrotnie oczy z najzupełniej bezwiednym westchnieniem — wydało się pustą, pozbawioną nawet formy sklepienia głębią, w której otchłani przelewały się, wznosiły, opadały i sunęły zwolna ciężkie kłęby burej pary. Jak wieko trumny wisiało nad ziemią, oparte o kraniec pola, na którym czarne grzbiety zagonów dobywały się spod śniegu. Brzozy i akacje, otaczające podwórze, odarte z liści i jakby napuchnięte od deszczu, szamotały się w wichrze bijąc się wzajem wierzchołkami; suche ich konary sterczały nieruchomo w powodzi dużych, czarnych kropel deszczowych. Tuż za dziedzińcem dworskim ciągnął się w stronę gorzelni szereg wybojów i oceaników błota, pełniący nawet w tej postaci obowiązki drogi. Co prawda, podróżowały tamtędy tylko kartofle do gorzelni. Wlokło się właśnie kilka fornalek ze skrzyniami kartoflanymi. Mizerne szkapy brnęły po brzuchy zanurzone w kałużach, wielkie bryły błota przylegały do kół i bryzgały padając na buty i sukmany fornali, konwojujących transport z wyrazem idealnego stoicyzmu na obliczach, niegolonych prawdopodobnie od dwu tygodni.

— Ondzie gorzelnia — oświecał mię mój przewodnik wskazując wielki piętrowy budynek.

Przebyłem suchą względnie nogą oceaniki błota i znalazłem się pod gorzelnią. Stało tam kilka furmanek. Jakaś olbrzymia dziewka z głową owiązaną kilkoma chustami, w wielkich butach niebywałego kształtu, jakby pochodzących z epoki mieszkań nawodnych, z wiadrami pełnymi wody w ręku — o mały włos nie obaliła mię na ziemię... Ukłonił mi się przyjacielsko jakiś Żydek.

— O, tu, na piętro — wskazał drogę lokajczyk.

Weszliśmy po drabinie z desek, nadgniłej, okrytej grubą warstwą błota, na pierwsze piętro, minęli jakąś sionkę, schodki, znowu sionkę. Znalazłem się wreszcie przed małymi drzwiczkami...

Chłopak zastukał.

— Kto i czego? — zapytano z wewnątrz.

— Ze dwora... — zapiszczał chłopiec uśmiechając się tajemniczo.

— Właź!...

Chłopak otwarł drzwi i kiwnął zachęcająco na mnie. Stanąłem w progu jakiejś ciemnej nory, podobnej do framugi. Izbę tę oświetlało zakurzone okno, przepuszczające nieco światła, przy którym stał plecami do drzwi odwrócony, niski i zgarbiony człowieczek i przeważał na szalkach aptekarskich jakiś biały proszek.

— Czego? pytam! — mruknął gniewnie nie odwracając się.

— Pani powiedziała, że się tu prześpi ten pan...

Stary spojrzał na mnie przez ramię i, nie odwróciwszy się, ważył swe medykamenty w dalszym ciągu. Nastała chwila milczenia, tajemnicą brzemienna...

— Sto diabłów zjadłeś z przesypianiem się twoim!... Gdzie? jak? — zawołał niespodziewanie...

— We dworze miejsca nie ma... pani mówi...

— Przepraszam uprzejmie pana dobrodzieja — zaintonowałem — że ośmielam się... Jestem...

— Romanse romansami... ale gdzież tu spać, mój mości? gdzie? zastanów się!

Nad kwestią tą zastanawiałem się od chwili wkroczenia do izdebki. Było tam, co prawda, łóżko żelazne, wtłoczone przemocą między ściany, ale zapadło się pośrodku tak fatalnie, że śpiący na nim musiałby przybrać kształt litery greckiej ipsylon. — Na łóżku leżał siennik okryty tym gatunkiem kołdry, jakiego w Warszawie dla okręcania nóg używają podczas słot panowie dorożkarze. W tym miejscu siennika, gdzie cywilizacja przyuczyła nas kłaść i widzieć poduszkę — leżał jakiś, raz na zawsze w starą poszewkę związany węzeł.

Pod oknem stał ogromny, połowę izby zajmujący stół, a zapełniony po krawędzie flaszkami, słoiczkami, butlami i buteleczkami. Zapach jodoformu dominował nad resztą zapachów aptecznych ulegając chyba tylko zapachowi gotujących się w kadziach kartofli, który całą gorzelnię wypełnia.

— To od pani gorzelanej pożyczyć siennika i kołderki? — zapytał chłopiec.

Stary nie odpowiedział — sapał tylko, zatopiony w swych słoikach.

Położenie moje było nad wyraz kłopotliwe, lecz i kłopotliwość położenia zwyciężyła senność. Zdałem się na los.

Chłopak w przeciągu kilku minut przyniósł od „pani gorzelanej" siennik, wonne prześcieradełko, kołderkę atłasową, dwie wielkie poduszki i usłał mi przewyborne łoże pod piecem, pękniętym od drzwiczek do wierzchniego gzymsu i zakopconego jak stara latarnia. Za chwilę leżałem już otulając się kołderką pani gorzelanej i byłbym usnął w tej chwili, gdyby nie stukanie we drzwi...

— Kto i czego? — mruknął ponuro aptekarz.

— To ja, wielmożny dochtorze...

— Sam pójdę, bestio, sam będę, powiadam... nie leź!...

Doktor... myślałem. Przyglądałem mu się sennymi oczyma. Mały był, zgarbiony, z głową między ramionami schowaną. Długie, siwe włosy spadały mu na ramiona; odczesywał je na bok z czoła młodzieńczego niemal i dziwnie pięknego. Żółtawe, długie wąsy spadały mu po bokach ust o boleśnie zagiętych ku dołowi kątach. Trudno było określić, w jakim był wieku: twarz miał człowieka

w sile wieku, a białe jak mleko włosy; w czerwonych, wygasłych oczach wyraz wiecznej posępności i przedwczesną zgrzybiałość w ruchach.

Ubrany był w „kacabaję" brunatną, z grubego chłopskiego sukna, sięgającą kolan, w szerokie, z jakiegoś niezdartego materiału spodnie, okrywające jak spódnica buty na wysokich obcasach, których tajemnicę wyrabiania posiadają niektórzy już tylko majstrowie kunsztu szewskiego. Z bocznej kieszeni kacabai zwieszał się łańcuszek srebrny od zegarka.

Odwrócił się nagle i popatrzył na mnie przeszywającym, szyderczym wzrokiem.

— Nóżki pewnie spuchły po walczykach i mazurkach... aa?

— Nie, panie dobrodzieju...

— Cha, cha!... Wesoło na świecie: tańczy się, winko spija... A dlaczegóżby nie?... Kiwną paluszkiem, już się jest... Skąd?... z Warszawki pewno?

— Ehe!

— Posażek pewno frapuje... — szepnął ciszej.

— Co pan dobrodziej mówi?

— Żegnam! — krzyknął kłaniając mi się uroczyście.

— Żegnam.

Trzasnął drzwiami tak, że dźwiękły wszystkie czerwonawozielone szyby w oknie.

Słońce wschodziło i wdzierało się do mego schronienia szarymi promieniami, jakby się przedostawało przez fale wody. Ściany pokoiku oklejone były przed laty jakimś starożytnym obiciem w wielkie kwiaty niebieskie — obecnie wisiały tu i ówdzie strzępy papieru, okryte grubą warstwą kurzu i służące za place igrzysk dla całych kohort prusaków. Nad łóżkiem doktora czy aptekarza, kasjera czy... Rzepy zawieszone były na gwoździach dwa stare surduty, z zatłuszczonymi kołnierzami, zwrócone ku widzowi podszewkami, podartymi w sposób niewysłowienie fantastyczny. U wezgłowia stał maleńki stoliczek i leżała na nim jakaś książka. Sięgnąłem po nią: — był to stary, podarty i popodklejany, zabrudzony i pomięty, jak to mówią „wyjęty psu z gardła" — tom... poezji Adama Mickiewicza.

Usnąłem za chwilę na sposób bohaterski pomimo duszących zapachów, turkotu i skrzypienia kieratu, i biegania po schodach jakichś tytanicznych nóg.

Jak długo spałem — nie wiem. Obudziło mię głośne trzaśnięcie drzwiami.

W stancyjce było znowu ciemno, zupełnie ciemno. Znać przespałem dzień cały do wieczora. Aptekarz tupał nogami zapalając małą lampkę i mrucząc złowrogo. Wkrótce potem ukląkł obok swego

łóżka i zaczął odmawiać pacierz wpatrując się nabożnie w swe surduty. Wymawiał wyraz za wyrazem głośno i dobitnie. Skończywszy bił się w piersi pięścią i przejmująco smutnym, cichym już głosem szeptał:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw...

Zmrużyłem oczy udając, że śpię, pragnąłem bowiem uniknąć rozmowy z dziwakiem. On tymczasem wstał i zaczął spacerować na dwułokciowej przestrzeni niezajętej podłogi.

— Można nie udawać, że się śpi; widzę przecież dobrze, iż się nie śpi! Można się było wyspać przez cały dzień! Noc, godzina dziesiąta... Panna Jadwiga zapytywała podczas obiadu o stan zdrowia...

— Panna Jadwiga?

— To, to! Ta sama, co ma trzydzieści tysięcy posagu — zapiszczał falsetem.

Pospacerował znowu, stanął nade mną, przekrzywił na bok głowę, skrzyżował na piersiach ręce i zapytał:

— Racz mi pan oznajmić, kto... właściwie kogo mam szczęście gościć?

— Ja... to jest... jestem... nowelistą...

— Nie słyszałem. Cóż to za fach? Inżynier jaki nowomodny?

— Nie, literat.

— Li-te-rat! — przesylabizował i usiadł ze zdziwienia na łóżku. — Jeszcze też tu w Rymkach literatów nie widzieli. W imię Ojca... Panie łaskawy, bo to tam pewno pan z gazetami się zna... musi pan wiedzieć, na jaki numer padła w ostatnim ciągnieniu główna wygrana na warszawskiej loterii?

— Nie wiem; ja...

— Bo to, uważasz, mój królu, ja od lat dziesięciu trzymam na wszystkich loteriach, jakie tylko istnieją!

— I wygrał pan dobrodziej?

— Ani stawki, ani szeląga! nigdy! Wygram za to jednorazowo dwakroć... he... he...

— Pan dobrodziej dawno już mieszka w Rymkach?

— Dziesięć lat. Ale zważ pan, co za fatalność. Przypatrz się, ile tu losów przegranych... To mówiąc wysunął szufladę stolika i z nagłym ożywieniem pokazywać mi począł różnej wielkości i barwy paczki losów loteryjnych, powiązanych szpagatem:

— Oto nasza, warszawska, to brunszwicka, to saska, węgierska... i nic, utnij łeb, nic!

— Pan dobrodziej pragnie zdobyć znaczny kapitał, ażeby...

— Ażeby sobie kupić fraczek, wąskie niezapominajki i wyskakiwać po salonach — zaskrzeczał ze złością. — Wam jedno teraz w głowach wszystkim: znaczny kapitał... Używać, zajadać

się i zapijać... wasze hasło! Ludzie znikli jak kamfora, spodlało wszystko. Warto było dla takiej hołoty... niech was!... Widzę przecież, patrzę, obserwuję, macam: a nuż się okaże człowiek. Nic... jeden w drugiego! Taka młodzież, szlachta i nie szlachta... dżentelmeni w modnych frakach...

— Ale o co właściwie panu idzie?

— Pan nawet nie wiesz, o co idzie, ładny panie! O nic nie idzie ani wam, ani mnie... o nic nie idzie!... Psiakrew!

Spojrzał na mnie piorunującym wzrokiem, rozebrał się szybko, rzucił na swe łoże i obrócił w moją stronę tą częścią ciała, której nazwa żadną miarą zamieszczona być nie może w opowiadaniu przeznaczonym do druku. Postanowiłem obrazić się na tego impertynenta; on sapał i ja sapałem także. Słabo tlejąca lampka, pozostawiona na stole, kopciła niemiłosiernie, w gorzelni ruch ustał, ucichło wszystko.

Aptekarz wkrótce zaczął chrapać: ja już zasnąć nie mogłem.

Około północy posłyszałem w sionce stąpanie i pokaszliwanie. Ktoś obmacywał rękami drzwi szukając klamki; znalazł ją i stanął w progu.

Był to wyrostek wiejski, lat osiemnastu, w kożuchu baranim. Rozglądał się przez chwilę po pokoju zdjąwszy czapkę i odgarnąwszy pięścią włosy z czoła; potem uderzył czapką w ziemię oddając ukłon nie wiadomo komu i rzekł:

— Pochwalony Jezus.. Dochtór w domu?

Rzepa przebudził się natychmiast.

— No? — zapytał siadając na swym łóżku.

— Ja z Mysłowa, wielmożny...

— A co tam?

— Od Jacka Zielińskiego.

— Nie lepiej mu?

— Nie.

— Kolka go sparła?

— Sparła.

— Nie gada?

— Charcą i pokój...

— To nie masz doktora w mieście? to ja się wam będę wiecznie wysługiwał! Konie masz?

— Nie ma u naju koni, wielmożny panie.

— Idź mi, kpie, na dół, do stajni, powiedz Walkowi, niech mi zaprzęże siwą do saneczek. Po lodach się prześliźnie?

— Hajno...

Chłopak znikł w mgnieniu oka. Rzepa ubrał się pospiesznie, czapkę nasunął i, spreparowawszy jakieś proszki, wyszedł.

Wrócił dopiero nad ranem, gdy w gorzelni ruch już i wrzawa rozpoczęły się na nowo.

Wszedł do pokoju obsypany śniegiem, przemokły...

— Chłop tęgi jak tur... wyobraź pan sobie... rozumny, zdawało się... Przy mnie skończył — mówił ze smutkiem. — Przyjeżdżam... zapalenie płuc w najwyższym stopniu. Bab z osiem dokoła niego... radzą. W izbie mieszkają dwie rodziny, dzieci z dziesięcioro, zaduch, brud... Komornik, uważa pan... nędza. Wpadł w wodę przy łowieniu ryb na Wigilię i przemoknięty do suchej nitki pracował do wieczora. Badam ja go, a sięgam jednocześnie pod poduszkę: jest butla siwuchy, najpewniejsze lekarstwo! No i jakże? Co pan poczniesz? Ciemnota, Boże mój, ciemnota...

Zaczął chodzić po pokoju wyciągając sobie palce ze stawów. Stanął nagle:

— Pana dziwi zapewne taki doktor mieszkający w gorzelni i sprzedający gorzałkę z „podwału"?

— Bynajmniej mię nie dziwi żaden doktor sprzedający.

— Szarlatanem nie jestem. Byłem, panie łaskawy, na trzecim kursie w naszej jeszcze akademii medycznej, kończyłem prawie... Naraz... tu... jedno z drugim... masz spacerek. Piętnaście lat!... Czasu kawał... Uczyłem się w dalszym ciągu przy pewnym lekarzu w Irkucku, do chemii się szczególnie przykładając i... praktykowałem na rozmaitej biedocie... Długa nauka... smutna nauka... och...

Usiadłem na moim sienniku, stary przysiadł na swym złamanym łóżku i kręcąc w palcach grube papierosy opowiadać zaczął długie, straszne, bolesne, przejmujące dreszczem dzieje lat piętnastu...

Skończył aż wtedy, gdy nas poproszono na herbatę do dworu.

. . . . . .

Panna Jadwiga ulegała wpływowi Rzepkowskiego aż nadto widocznie, była do pewnego stopnia jego uczennicą, myślała według jego niejako wskazówek, miała jego zasady. A jednak, mimo to wszystko, w cztery miesiące później, dnia 14 maja — została moją żoną. Przypominam sobie doktora, przybranego we frak i białą krawatkę i wpatrującego się czerwonymi oczkami zza czyichś ramion w welon ślubny Jadwigi podczas uroczystości zaślubin...

Po upływie tygodnia — odjeżdżamy z Rymek w długą, szczęśliwą, radosną podróż. Dokoła powozu tłoczyło się kilkanaście osób z zapłakanymi oczyma. Rzepkowski z głową odkrytą, w marynareczce żaglowej, trzymał w ręku jakąś butelkę zmuszając nas, siedzących już w powozie, do wypicia po raz ostatni jakiegoś toastu. Krzyczał, machał rękami, dawał jakieś przestrogi, perorował, wytargał najniesłuszniej chłopca kredensowego za uszy i co chwila odwracał się w stronę ogrodu targając raz po raz wąsy.

— Niech pani nie zapomni Rzepy, panno Jadwigo, panno Jadwiniu! Niech pani nie wierzy w te tam pozytywizmy, eh, Jadwiniu!

Powóz ruszył i wstrzymał się znowu. Ojciec lub matka pragnęli mówić coś jeszcze, patrzeć na nią... Ruszyliśmy wreszcie pozostawiając płacz ogólny...

Rzepkowski szedł obok powozu, patrzał srogo na mnie, gadał do siebie, do nas — nagle machnął ręką i ruszył w stronę gorzelni wielkimi krokami, z odkrytą i zwieszoną głową.

. . . . . .

Dnia 24 grudnia następnego roku wysiadłem o godzinie pierwszej w południe na stacji S., nająłem dorożkę jednokonną i ruszyłem do Rymek. Wielki koń, zaprzężony w hołoblę, rwał z kopyta, małe kute saneczki mknęły po zjeżdżonej szosie, dzwonek jęczał żałośnie wśród wichru, zdzierającego z zagonów pył śniegowy. Otuliłem się pledem...

Oto nasuwa się las, obsypany szronem od stóp do głów, owinięty w mgłę ciemnopopielaty i dziwnie fantastyczny.

Wjeżdżamy pędem w ciemną jak korytarz jego aleję, dzwonek skarży się głośniej...

Cicho w lesie. Brzozy, ustrojone w szron, podobne są do drzewek, jakie na szybach okien wyciska mróz, a świerki, nie wiedzieć czemu, przypominają dawno widziane, piękne głowy kobiece z włosami osypanymi pudrem... Wśród nich przesuwa się i jej twarz... niezapomniana!...

Jadę oto sam jeden. Jadwiga została na zawsze na pięknym cmentarzu w Meranie!

Jak się to stało?... kiedy?... — Zachorowała niespodziewanie, kazano tam jechać...

I poczyna mi serce szarpać żal straszliwy, nieodegnany, natrętny, nieuleczalny jak rana. Jadę, wskutek dziwnego kaprysu, jaki mną od chwili jej śmierci rządzi, aby zdać gorzką sprawę rodzicom, a raczej dlatego tylko, aby sobie dokuczyć lepiej wspomnieniem szczęścia.

Pełną go czarę wypiłem w ramionach tej istoty pięknej, dobrej i cnotliwej, którą kochałem niewysłowienie żyjącą i czczę umarłą niepocieszonym żalem.

Oto te same biedne, samotne, stare topole przydrożne, oto dalekie fale lasu, wsie...

Zmrok zapadał pogrążając wszystko, co wzrokiem objąć było można, w wielki żywioł błękitu. Minęliśmy wieś z chatami po strzechy zasypanymi śniegiem i rzucającymi na drogę snopy światła. Na zamarzniętych szybach rysowały się cienie głów i główek dziecięcych. Wigilia!

Późno w nocy zajechałem do Rymek. We dworze było już ciemno, z czego rad byłem, pragnąłem bowiem odwlec przynajmniej o godzin kilkanaście spotkanie z rodzicami nieboszczki.

Postanowiłem przepędzić noc u Rzepkowskiego. Wdarłem się więc po znajomych, choć zawsze niebezpiecznych schodkach na piętro.

W pokoju Rzepy słychać było jakieś głosy podniesione. Otwarłem drzwi: doktor siedział na łóżku rozebrany, a nad nim pochylała się stara baba ogromnego wzrostu, w której poznałem dwórkę Pyrciakową.

— Pijże, panie... pókim dobra! — woła.

— Ej! idź ty, harpio, ej, idź!

— Doktor niby, a jak samemu przyszło leki pić, to jak ten głupi bęben.

— Na nic mi się żaden digitalis nie zda, zrozumże, wielka niedźwiedzico! Wiem, co robię...

— Ijj, będę ta figle-migle stroiła!...

Porwała doktora za ręce, obaliła na łóżko i przemocą wlała mu w usta lekarstwo. Stary przełknął i, leżąc bez ruchu, z roziskrzonymi oczyma, mruczał:

— Czekajże, czekaj, panienko, ja ci sprawię!...

Zbliżyłem się do niego. Spojrzał przerażonym wzrokiem i wraz szarpać zaczął palcami kołdrę. Zaczerwienił się aż do brwi...

— Czemu mi drzwi nie zamykasz?... obcy mi tu ludzie wchodzą, źli ludzie!... Obcego piasku trzeba jej było nasypać na oczy? swego brakło?... Wstyd, hańba. Takie serce w obcej ziemi zakopać... wstyd! Posażek w garść, a balast można zostawić na drodze...

— Nie dokuczaj mi, panie Rzepkowski, nie krzywdź...

Zaczął mrugać powiekami i wpatrywać się we mnie. Łzy mu kapały na wąsy.

— Widzisz... na rękach wypiastowałem... Rozumiała mię jedna jedyna. Zostałem jak pies! Zdaje mi się, że mię otaczają cudzoziemcy, których mowy nie rozumiem... Ona jedna...

— Co panu jest?

— Na serce ja od dawna chorowałem... wada serca. Teraz już nogi spuchły: lada dzień puchlina dojdzie i kopernę. Lepiej!...

Zasypiał rozmawiając; budził się znowu i wodził drzemiącymi oczyma dokoła.

Miewał zresztą halucynacje. Co chwila zdawało mu się, że stuka i wchodzi do pokoju jakiś Boruch Eizenberg — kolektor.

— Wygrana... całe dwakroć! Dwadzieścia pięć tysięcy... na to! Dwadzieścia tysięcy... na to! Dziesięć... na to... na książki dla chamów.

Otwierał na chwilę oczy szeroko i przypatrywał mi się:

— Mąż Jadwini... aha!... Proszę mi do trumny włożyć tę książkę... sosnowa trumna z czterech desek, chłopska... W kacabai mię chować. Nic nie zrobiłem, przegrałem wszystko, podle umieram... w hańbie!...

I znowu opadała mu głowa na piersi.

Siedziałem przy nim spełniając tę posługę w imię mojej Jadwigi.

Około północy podniósł się znowu, przyciągnął mię do siebie i, całując w czoło, szeptał:

— Tę twoją żonę, Jadwinię... to ja, nie gniewaj się, przebacz, kochałem, stary dureń, jak żak!... Ukochana była przez bogów... dlatego przedwcześnie zgasła. Och, Boże!

Słabo trzymająca się głowa jego opadła na poduszkę, otwierał usta jak ryba łykając powietrze.

W kilka dni później szedłem za trumną starego doktora. Szła obok mnie gromadka chłopków w ogromnych, niewymownie cuchnących kożuchach.

Dnia tego miałem nieznośną migrenę...

(Rozdziobią nas kruki, wrony)

ADAM ASNYK

DAREMNE ŻALE

Daremne żale — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie zwróci do istnienia.

Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu —
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe...
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą —
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

WŚRÓD STAŃCZYKÓW

Pierwsze lata życia spędziłem w Warszawie. Nie umiem powiedzieć, w jakim wieku dziecko przyswajało tam sobie pojęcia polityczne; ale zdaje się, że takie chwytane z powietrza słowa, jak Moskale, żandarm, cytadela, Apuchtin, niosły z sobą najwcześniejsze obrazy, spowijające beztroskie dziecięctwo atmosferą nieuchwytnej grozy.

Byłem brzdącem, kiedy rodzice przenieśli się do Krakowa. Inny klimat. Żadnego widomego ucisku. Mickiewicz w szkole, Kościuszko w teatrze, Polska na codzień i od święta. Wszystkie tamte, warszawskie pojęcia stały się nagle nieaktualne.

Miejsce ich zajmowały znowuż inne, co prawda bardziej skomplikowane. Na przykład słyszało się o kimś, że jest „szwarcgelb". Nie było mi tak łatwo zrozumieć związek między tym wyrażeniem a kolorami, na jakie była pomalowana budka austriackiego szyldwacha. Jako ilustrację cytowano przemówienie zwierzchnika, w którym ów życzył nowym podwładnym, aby pracowali na pożytek „cesarzowi, Bogu i ojczyźnie" — z „cesarzem" stale na pierwszym miejscu.

Z tym cesarzem też było coś niejasne. Kiedy przyjechał do Krakowa, Kraków witał go tak, jakby to właśnie sam Sobieski przybył z Wiednia. Ale w szkole, kiedy po jakimś uroczystym nabożeństwie msza kończyła się hymnem: „Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj", szanujący się uczeń, krzywiąc się ironicznie, nie brał udziału w śpiewie albo umyślnie fałszował. A kiedy przyszła z kolei zwrotka: „Przy cesarzu mile włada cesarzowa pełna łask", wszyscy chichotali po trosze.

Były inne nabożeństwa — w rocznice patriotyczne — na które uczniowie wymykali się ze szkoły. „Belfry" patrzały na to przez palce, raczej z sympatią. Po jednym z takich nabożeństw któryś ze starszych uczniów rzekł: „A teraz jazda, zrobimy kocią muzykę Popielowi. Hańba stańczykom!"

Słowa te były dla mnie niby równanie o trzech niewiadomych. Niewyrobiony politycznie, nie wiedziałem w dwunastym roku życia, co jest „kocia muzyka", co Popiel i co stańczyk. Co jest kocia muzyka, dowiedziałem się niebawem i dość mi się to spodobało. Jedno *x* było tedy zastąpione cyfrą. Ale inne? Zacząłem się pytać, co to są stańczycy? Wirtuozi kociej muzyki nie bardzo umieli mnie objaśnić. — Na przykład kto? — pytałem.

Wymieniono mi kilku poważnych panów, przeważnie profesorów uniwersytetu, wśród nich paru przyjaciół mego ojca. Prowadziłem indagację dalej, domyślając się jakiejś przenośni. „Co to Stańczyk? — pytałem matki. — Błazen króla Zygmunta". Nie o wiele mnie to posunęło. Co ma jedno do drugiego? Kraków wydał mi się miastem o wiele bardziej skomplikowanym od Warszawy.

Niewiadoma „Popiel" dała mi się bliżej poznać z pism humorystycznych. Paweł Popiel, arcystańczyk, figurował w każdym prawie numerze satyrycznego *Diabła*. Czasem jako strażak z sikawką, czasem w kontuszu i w pierogu austriackim. Opowiadano o nim, że będąc raz w kościele, póki śpiewano *Z dymem pożarów*, wtórował z przejęciem, ale kiedy zaczęto śpiewać *Boże coś Polskę*, wyszedł wzburzony mrucząc coś gniewnie pod swoim potężnym nosem. „Czemu?" — pytałem. „No cóż, stańczyk!" Zrozumiałem później, że pieśń *Boże coś Polskę* związana z pamięcią i kultem roku 1863, działała na tego stańczyka na kształt czerwonej płachty.

Tak więc przez cały czas mojej młodości słowo „stańczyk" bzykało mi ustawicznie koło uszu, powtarzało się w rozmowach i żartach. A cóż dopiero, kiedy przyszły wybory do Sejmu lub Rady Państwa, gdy rogi ulic pokrywały się kilka razy dziennie coraz to nowymi afiszami. Cóż za uciecha dla dzieciaków te afiszowe polemiki! Z jednej strony padały słowa: „tromtadracja, warchoły" — z drugiej: „serwilizm, trójlojaliści". To stańczycy walczyli o mandaty z demokratami. Z reguły stańczycy zwyciężali. „Było do przewidzenia, mają pieniądze, mają za sobą rząd, nieboszczyków, no i bezecny system kurialny" — mówili z goryczą najbardziej uświadomieni politycy w mojej klasie, która na ogół była nastrojona demokratycznie.

I nic dziwnego, że słowo „stańczycy" powtarzało się tak często. Cała epoka galicyjskiego życia mieściła się między *Stańczykiem* Matejki a Stańczykiem z *Wesela* Wyspiańskiego.

Stronnictwo polityczne, potocznie zwane stańczykami, urodziło się z kombinacji dwóch klęsk: powstania styczniowego w r. 1863 i klęski Austrii, przetrzepanej przez Prusy pod Sadową w r. 1866. Klęska powstania przekreślała na długo wszelkie marzenia niepodległościowe, kazała szukać form współżycia z zaborcami. Klęska Austrii znowuż kazała owej składanej monarchii szukać zbliżenia do poszczególnych krajów w drodze szerokiej autonomii, swobód języka i administracji. W tej sytuacji najwpływowsze sfery znalazły dla siebie rolę kojarzącą ich naturalne skłonności z nakazami trzeźwej polityki: skupić się koło tronu w uznaniu „łask monarchy" i w najlojalniejszym oparciu o tron utrwalić się w kraju jako klasa przodująca. Toteż z końcem roku 1866 powołany do życia Sejm Galicyjski skierował do cesarza Fran-

ciszka Józefa słynny adres, zakończony słowami, które później nieraz miały być szyderczo cytowane: „Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy".

Nie wszyscy godzili się na tę, dość jednostronnie pojętą, polską „r...ję stanu". Żywioły gorętsze i demokratyczne burzyły się przeciw temu niepowołanemu — ich zdaniem — przedstawicielstwu. Rozkołysana niedawnymi wypadkami młodzież łaknęła jeszcze patriotycznego wyżywania się; że jednak widoków na żaden „ruch" nie było, tęsknoty te wyradzały się coraz bardziej w jałowy gest, w krzykactwo. Tym tłumaczą się epitety, jakimi się wzajem częstowano z obu stron: „tromtadraci" — „serwiliści".

Aby pognębić „warchołów", czołowi przedstawiciele nowej ideologii wydali w r. 1869 satyryczną broszurę pt. *Teka Stańczyka*, od którego to tytułu przylgnęła nazwa do całego stronnictwa. A ów Stańczyk w tytule wziął się znowuż z obrazu Matejki (1862), gdzie błazen-patriota, jedyny jasnowidzący, zadumał się w swojej czapce z dzwonkami nad przyszłością kraju. Tak więc autorem Stańczyka-symbolu jest Matejko, którego malarstwo tak potężnie oddziałało na myśl i na literaturę polską. Ale czy ów Stańczyk na obrazie Matejki to myślał, co *Teka* pisała, to inna sprawa.

Autorami *Teki Stańczyka* byli przyszli luminarze partii: Szujski, Tarnowski, Stanisław Koźmian, wówczas ludzie młodzi, zaledwie trzydziestoletni. Pamflet był jadowity, bolesny, bo dotykał niezabliźnionych jeszcze ran narodu. Ale gdy chodziło o rok 1863, żadne słowo potępienia nie zdawało się autorom dość ostre.

Stańczycy — wedle własnego określenia — chcieli być „sikawką pożarną" (stąd ów Popiel z sikawką w *Diable*): chcieli gasić w narodzie „nadmiar uczucia i siły"!

W *Tece Stańczyka* rysował się zarazem antagonizm między Krakowem a Lwowem. Twierdzą stańczyków był Kraków, bardziej zahukany, bardziej pozostający pod ciśnieniem sfer „miarodajnych", jak wówczas się mówiło; we Lwowie natomiast, mieście młodym i ruchliwym, skupiła się ideologia demokratyczna, niepodległościowa (bodaj w gębie) tworząc wówczas pyskatą i zadzierzystą prasę, która ostro dobierała się do stańczyków. Czamara przeciw kontuszowi. W *Tece Stańczyka* Lwów nazywa się „Tygrysów", Kraków — „Gawronów", z czego można by wnosić, że stańczycy — może wbrew swoim intencjom — lepiej potraktowali swoich przeciwników niż swoich wasalów.

W walce owej stańczycy zwyciężyli na całej linii. Po ich stronie był sukces. Koncesje, użyczone krajowi przez Austrię, były — w porównaniu z dawniejszym stanem rzeczy — olbrzymie, a stańczycy umieli je pochwycić prawie niepodzielnie w ręce. Mieli ten rozum,

aby wyjść po trosze z ciasnego kręgu szlachetczyzny i wciągać do swego obozu czołową inteligencję, zwłaszcza z kół profesorskich. W rezultacie, na kilka dziesiątków lat, administracja, mandaty poselskie, teki ministerialne, katedry uniwersyteckie, Akademia Umiejętności, Rada Szkolna, wszystkie prawie instytucje, przedstawiające jakąś siłę, wszystko bez mała znalazło się w ich rękach.

Czy owo hasło: „przy Tobie stoimy i stać chcemy" było mądrą i zbawienną dla kraju taktyką, oto pytanie — dziś dość jałowe, ale wówczas często roztrząsane. Podnoszono nieraz, iż Czesi i Węgrzy mniej wobec Austrii potulni, bardziej stający okoniem, osiągali niegorsze od nas, raczej lepsze rezultaty. Ale to były całe organizmy narodowe. Galicja była okaleczoną cząstką Polski, o bardzo mieszanej ludności. Po stu latach gospodarki austriackiej była mizerna i słaba. Szlachta była w niej jedyną warstwą przedstawiającą jakąś zwartość i siłę. Szlachta ta stała zbyt skwapliwie może przy cesarzu, ale czy ówczesne mieszczaństwo byłoby bardziej rogate? Niech mi będzie wolno w formie ilustracji przytoczyć anegdotę z czasów znacznie późniejszych, ale przez to tym wymowniejszą. W roku 1910 czy 1911 cesarz zapragnął powiększyć swoją flotę wojenną. Ponieważ przewidywano opozycję, przeto, wypróbowanym sposobem, Najjaśniejszy Pan zapraszał do siebie kolejno co wpływowszych posłów, aby z nimi osobiście porozmawiać. Mało który z Polaków umiał się oprzeć takiej rozmowie; zwykle wychodził oczarowany, miękki jak masło. Tak stanął przed cesarzem pewien demokratyczny i mieszczański poseł galicyjski, który po paru łaskawych słowach monarchy zdołał tylko wyjąkać ze wzruszeniem, że Galicja przyjęła wiadomość o zwiększeniu floty z najwyższym entuzjazmem. Było to w epoce „Szopki krakowskiej", wzięliśmy tedy na ząb niefortunnego „admirała" wkładając mu w usta, na nutę *Santa Lucia* piosenkę, której jedna strofa brzmiała: „Wierni poddani — aż drżą z ochoty — Galicja wiecznie wzdycha do floty; — a że do floty — trzeba bałwanów — więc płyń drednaucie — do Izby Panów" etc. Piosenka dostała się do Wiednia między posłów; nawet ci, którzy nie rozumieli po polsku, przechodząc koło swego parlamentarnego kolegi, nucili *Santa Lucia* ku rozpaczy biednego wybrańca ludu.

Jeżeli wspominam „Szopkę krakowską" z Jamy Michalikowej, nie odbiegam tak daleko od tematu stańczyków, jakby się zdawało. Wręcz przeciwnie. Można stwierdzić, że protoplastami „Szopki krakowskiej", zmienionej w narzędzie satyry, byli poniekąd autorzy *Teki Stańczyka*, którzy w zapale polemicznym nie gardzili żadną bronią. W r. 1873 pojawiła się bezimienna *Wędrówka po Galilei*, pamflet w formie rewii, przeplatanej piosenkami. Autorowie — a byli nimi ni mniej, ni więcej tylko Szujski i Tarnowski — pod-

kasali togi profesorskie i rżnęli kuplety na nutę *Pięknej Heleny* i innych. Oto np. kuplecik, włożony w usta „Lwowa", na nutę *Pięknej Galatei*:

Ach, dla Wiednia papuńci
I Galicji mamuńci
Miłość serce me rozpiera, żem tak dzielny chwat;
Bo też Wiedeń papuńcia
I Galicja mamuńcia
Chowali mnie na sztucera prawie od stu lat.
Od Grodeckich bram,
Po Łyczaków sam,
Baję, piję, krzyczę — baję, łaję, ćwiczę,
Bom też w Galilei najgorętszy duch!
Taki, jak ja, zuch
Baje, łaje, ćwiczy, żyje, bije, krzyczy.
Wszędzie wznieca ruch.
Nawet w sejmie panem ja,
Pan marszałek respekt ma,
A gdy czasem *Czas* mnie kpa,
Wnet mu Jańcio po łbie da.
Wy, wy, z waszym Krakowem
Padnijcie przed Lwowem,
Bo sam Wiedeń Lemberg zna;
Bo kto raz się do mnie uda,
Widzi same cuda, cuda, cuda!
Ach, dla Wiednia papuńci
I Galicji mamuńci
Miłość serce me rozpiera, żem tak dzielny chwat;
Bo też Wiedeń papuńcia
I Galicja mamuńcia
Chowali mnie na sztucera prawie od stu lat.

W owej „komedii, nieprzyjętej na deski" mówi się wiele o opinii kraju; w końcu zjawia się na scenie ta Opinia we własnej osobie: okazuje się, że jest dzieckiem z angielską chorobą i wodą w głowie, niezdolnym ani chodzić, ani myśleć...

Takie były boje pierwszych stańczyków. Ale bronią ich był nie tylko pamflet, nie tylko publicystyka. Terenem ich ofensywy była i — historia. A tutaj działalność ich była najwartościowsza i najtrwalsza. Z nich wyłoniła się słynna „historyczna szkoła krakowska", reakcja przeciw taniemu poetyzowaniu przeszłości, przeciw tendencyjnemu przekształcaniu dziejów, przeciw schlebianiu wadom narodowym. Narodowi trzeba mówić całą prawdę, choćby ta prawda miała być najbardziej gorzka; przyczyn upadku Polski trzeba szu-

kać przede wszystkim we własnych błędach i błędy te poznać: — oto teza, której najdobitniejszy wyraz dał Michał Bobrzyński w swoich *Dziejach Polski*. Owa „szkoła krakowska", która podniosła niewątpliwie poziom polskiej wiedzy historycznej, ostrą swoją rewizją uświęconych poglądów również działała drażniąco na wielu i wyzywała polemiki. W satyrycznym wierszyku pod adresem „historycznej nowej szkoły" Asnyk przycinał jej, że nie spocznie w swoim trudzie, „aż dowiedzie, że król Herod — dobroczyńcą był dla sierot".

Stańczycy trwali długo i mieli czas się przeżyć. Lali wodę ze swoich sikawek, kiedy dawno już nie było ognia. Zbyt wszechwładne i wyłączne ich panowanie wytworzyło — w Krakowie zwłaszcza — swoistą atmosferę. Atmosfera ta — zanim odwietrzyły ją nowe prądy — była dla wielu gorętszych serc i niecierpliwszych duchów nie do zniesienia: miarę tego dają słowa kreślone przez młodego Stefana Żeromskiego z Krakowa w liście do narzeczonej. Mimo że ostre — może krzyczące — zacytuję je tu dla scharakteryzowania nastrojów chwili; można to uczynić bez skrupułów, ile że sami stańczycy też nie przebierali w słowach wobec swoich przeciwników. Żeromski tedy pisze:

„Gdybyś tu była i gdybyś widziała tę głupotę, to nadużycie słowa, to niewyczerpane źródło humoru, to po prostu sam humor, potrzebujący opisu. Dokoła nędza, głód, ciemnota — i ci... w swoich kontuszach i... kitach".

To są wrażenia Żeromskiego — właśnie z pogrzebu Pawła Popiela w r. 1891. Żeromski byłby może pobłażliwszy, gdyby pamiętał, że ten Popiel bił się za młodu za ojczyznę w r. 1831. Ale skromny krzyż virtuti militari przykryty był na piersi Jego Ekscelencji Tajnego Radcy tyloma austriackimi gwiazdami!

Stare pokolenie stańczyków odchodziło lub kostniało w dawnych pojęciach i w niezrozumieniu idącej epoki. Kadry ich zasilali młodsi, skupieni koło dziennika *Czas*. Ale ci nie zawsze mogli mieć tę samą wiarę w hasła, zrodzone z innych warunków, z innych potrzeb społeczeństwa. Męczyli się nieraz, szarpali się wewnętrznie. Jednego z takich najlepszych młodostańczyków pokazał z autentycznego wzoru Wyspiański w osobie Dziennikarza w *Weselu* (1901). I wprowadził na scenę samego Stańczyka, tego właśnie matejkowskiego Stańczyka, zjawiającego się na porachunek ze stronnictwem, które go wzięło za patrona. „Masz tu kaduceus polski, mąć nim wodę, mąć" — rzuca Stańczyk z ironią Dziennikarzowi. A Dziennikarz, łamiąc z bólu ręce, woła: „Może by Nieszczęście nareszcie — dobyło nam z piersi krzyku — krzyku, co by był nasz — z tego pokolenia...".

Wyspiański nie poprzestaje na tym. Cały ówczesny Kraków wiedział, kogo wyobraża w *Wyzwoleniu* figura Prezesa, który „myśl swoją więzi długo — nim ją uczyni swą sługą — i wypowie z wiarą najgłębszą — im płytszą będzie i tępszą..." i który kończy swoje namaszczone przemówienie słowami: „A teraz pogodni zasiądźmy do wspólnego stołu i pamiętajmy jedno: nie wymawiać nigdy słowa Polska".

I jeszcze mocniej w scenie Masek z aktu drugiego. Podejmując tak często przez Stańczyka użyte i nadużyte w walce słowo: „warchoły" Wyspiański odwraca jego ostrze, zaczynając rozmowę Konrada z pierwszą z Masek od słów: „Warchoły to wy! — Wy, co liżecie obcych tronów podnoże, czołgacie się u obcych rządów i całujecie najeźdźcom łapy uznając w nich prawowitych wam królów...".

Tak brzmiał gniewny głos poety: bo już odwracała się karta dziejów, której szelest on pierwszy usłyszał. Już przeczuł Konrada, do którego historia miała zawołać: „Więzy rwij!" I mądrość stańczyków, od których — od Szujskiego zwłaszcza — Wyspiański wprzód wiele się uczył, stała się już dla niego bez wartości.

Takie są echa walk, które się toczyły. Dziś są już one — szczęśliwie — niepowrotną przeszłością. Ci, co tworzyli i co pisali historię, sami z kolei należą do historii.

IV

KAROL DICKENS
tłum. * * *

DUCH MARLEYA

Zaczęło się od tego, że Marley umarł. To nie ulega żadnej wątpliwości. Protokół pogrzebu podpisali: ksiądz, urzędnik, grabarz i właściciel zakładu pogrzebowego. Scrooge także go podpisał, a nazwisko Scrooge'a miało poważny walor na giełdzie zawsze, cokolwiek by podpisał.

Stary Marley był więc martwy jak ćwiek we drzwiach.

Tu mała uwaga.

Nie chcę wcale przez to powiedzieć, że wiem z własnego doświadczenia, jakoby na świecie nie istniało nic bardziej martwego nad ćwiek we drzwiach. Jeśli chodzi o mój osobisty pogląd, sądziłbym raczej, że ćwiek w trumnie jest najbardziej martwym artykułem w handlu żelaznym. Lecz mądrość naszych przodków kryje się w tym porównaniu i moje niepoświęcone ręce nie będą zmieniały tradycji narodowej, bo kraj mógłby przez to ucierpieć. Niech mi więc wolno powtórzyć z naciskiem, że Marley był martwy jak ćwiek we drzwiach.

Czy Scrooge wiedział o jego śmierci? Oczywiście, że wiedział. Jakżeby mogło być inaczej? Scrooge i on byli wspólnikami, nie wiem, przez ile lat, w każdym razie bardzo długo. Scrooge był przy tym jedynym egzekutorem testamentu, jedynym spadkobiercą, jedynym administratorem, jedynym przyjacielem Marleya i jedynym człowiekiem, który szedł za jego trumną. Ale nawet i Scrooge nie był znów tak bardzo dotknięty tym wypadkiem, bo okazał się doskonałym bysnesmenem w dniu pogrzebu i uczcił go korzystnym interesem.

Wzmianka o pogrzebie Marleya przypomina mi, o czym mam mówić.

Otóż nie ulega wątpliwości, że Marley nie żył. Musimy to wyraźnie zaznaczyć, bo inaczej nie byłoby nic zdumiewającego w wypadkach, które chcę opowiedzieć. Każdy bowiem to przyzna, że gdybyśmy nie byli najmocniej przekonani, iż ojciec Hamleta umarł, zanim przedstawienie tragedii się zaczyna, to jego błądzenie nocą, podczas wschodniego wiatru i to po swoich własnych wałach fortecznych, aby wstrząsnąć umysłem swego syna, umysłem i bez tego słabym, nie miałoby w sobie nic więcej osobliwego, jak spacer pierwszego lepszego, podstarzałego jegomościa o zmierzchu wieczornym, na przykład po cmentarzu św. Pawła.

Scrooge nie kazał bynajmniej zamalować nazwiska starego Marleya na szyldzie swego domu handlowego. Dlatego po wielu latach można było widzieć nad drzwiami wchodowymi tego domu szyld: „Scrooge i Marley". Firma ta znana była powszechnie. Czasami nowicjusze w interesach handlowych nazywali Scrooge'a Scrooge, czasami Marley, on zaś odpowiadał na obydwa nazwiska. Dla niego było to zupełnie wszystko jedno.

Trzeba przyznać, że Scrooge umiał silnie zacisnąć rękę, gdy przyszło do interesu. Chwytała ona, ściskała, dusiła, ze skóry obdzierała swoją ofiarę i nie wypuszczała jej, aż po doszczętnym wyzyskaniu. Słowem, był to chciwy i stary grzesznik. Twardy i ostry jak krzemień, z którego żadna stal nie mogła wydobyć szlachetnego ognia; zamknięty w sobie, milczący i samotny jak ostryga. Zimno wewnętrzne mroziło jego starcze rysy, szczypało spiczasty nos, marszczyło policzki, czyniło jego chód sztywnym, zaczerwieniało mu oczy, zabarwiało usta na niebiesko i brzmiało gniewnie w jego ostrym głosie. Mroźny szron pokrywał jego głowę, brwi i chudą brodę. Nosił ustawicznie ze sobą lodowatą temperaturę, zamrażał nią swe biuro podczas upału i nie podwyższał jej ani o jeden stopień nawet podczas Wigilii Bożego Narodzenia.

Zewnętrzne ciepło lub zimno nie miało wcale wpływu na Scrooge'a. Żadne ciepło nie mogło go ogrzać, żaden mróz bardziej oziębić. Nie było wiatru dotkliwiej, niż on gryzącego, nie było śniegu padającego z większą wytrwałością ani też siekącego deszczu, mniej dostępnego błaganiom i prośbom. Niepogoda nie wiedziała, z której strony zaatakować go, największy deszcz, śnieg, grad albo zawierucha miały nad nim wyższość pod jednym tylko względem: często okazywały się szczodrymi, spadały na świat i ludzi hojnie. Scrooge zaś nie rozumiał wcale, co to szczodrość lub hojność.

Nikt nigdy nie zatrzymał go na ulicy z przyjaznym uśmiechem, aby powiedzieć: „Mój kochany Scrooge, jak się pan ma? Kiedy też raczy mnie pan odwiedzić?" Żebracy nie prosili go o jałmużnę,

dzieci nie pytały o godzinę, żadna kobieta ani też żaden mężczyzna nigdy nie pytał Scrooge'a o drogę. Nawet psy ślepców, zdawało się, znały go i, gdy widziały go nadchodzącego, wciągały swych właścicieli do sieni kamienic lub na podwórze, a potem machały ogonami, jakby chciały powiedzieć:

— Brak oka jest lepszy od złego oka, mój niewidomy panie!

Ale co to obchodziło Scrooge'a? On tego właśnie pragnął. Iść samotnie przez życie, odpychać od siebie wszelką ludzką sympatię, to, zdawało się, obrał sobie Scrooge za cel i tej drogi się trzymał niewzruszenie. Odstręczanie od siebie i przerażanie spotykanych ludzi lodowatym chłodem było dla niego tym, czym jest słodka legumina dla małych łakomców.

Pewnego razu — było to właśnie w Wigilię Bożego Narodzenia — stary Scrooge siedział w swym kantorze przy pracy. Dzień był przejmująco mroźny, wietrzny i mglisty. Ludzie, chodząc po ulicach, chuchali w dłonie, bili rękoma o piersi i silnie uderzali stopami o bruk, ażeby się rozgrzać. Zegary miejskie wybiły dopiero trzecią, a już było zupełnie ciemno.

Przez cały dzień niewiele widziało się słońca — świece migotały w oknach sąsiednich biur, podobne do rudawych pręg na gęstym, brunatnym powietrzu. Mgła wdzierała się do mieszkań przez każdą szparę i dziurkę od klucza, a tak była gęsta, że domów po przeciwnej stronie wąskiej ulicy trudno było dojrzeć. Patrząc na owe opary mgły, które spuszczały się coraz niżej, osnuwając wszystko posępnym, mroźnym, do kości przejmującym mrokiem, można było sądzić, że natura, rozsiadłszy się gdzieś w pobliżu, odbywała jakieś złowrogie praktyki.

Drzwi pokoju były otwarte umyślnie, aby Scrooge mógł mieć na oku swego pomocnika, który siedział w ponurej, małej izdebce, podobnej do ciemnej studni i kopiował listy. Na kominku, w pobliżu Scrooge'a, tlił bardzo skromny ogień, ale w izdebce pomocnika żarzył się omdlewająco jeden tylko węgielek. Zziębnięty pracownik nie mógł jednak podsycić ognia, ponieważ Scrooge trzymał skrzynię z węglami w swoim pokoju, a ile razy pomocnik wszedł z łopatką, pryncypał zawsze groził mu, że będą musieli się rozstać, wskutek czego biedny pomocnik obwinął szyję białym szalikiem i usiłował ogrzać się przy świecy; ponieważ jednak nie posiadał dość bujnej wyobraźni, usiłowania te były bezskuteczne.

— Wesołych świąt, wuju! Niech cię Bóg ma w swojej opiece — zawołał młody, sympatyczny głos.

Był to głos siostrzeńca, który wszedł tak nagle i cichutko, że Scrooge wtedy dopiero zauważył jego obecność, kiedy siostrzeniec do niego przemówił; inaczej nie byłby go z pewnością wpuścił.

— Cóż znowu za głupstwa?! — mruknął Scrooge.

Siostrzeniec Scrooge'a tak się rozgrzał szybkim chodem wśród mgły i mrozu, że cały był rozpromieniony; piękna jego twarz jaśniała, oczy błyszczały, a płuca wyrzucały chmury pary.

— Święta nazywasz głupstwem, wuju! — zawołał siostrzeniec. — Jestem pewny, że nie myślisz tego!

— Przeciwnie, myślę tak — odrzekł Scrooge. — I mam zupełną słuszność. Wesołych świąt! Jakiż ty masz powód, by być wesołym? Jakiż ty możesz mieć powód do wesołości? Ty, biedak?

— Doskonale! — roześmiał się siostrzeniec zacierając ręce. — A jakiż ty masz powód, by być ponurym, wuju? Jakąż ty możesz mieć rację do smutku? Ty, bogacz?

Scrooge, nie mając pod ręką żadnej odpowiedzi, powtórzył znowu:

— Głupstwo!

— Nie bądź taki kwaśny, wuju — rzekł siostrzeniec.

— Czy mogę być inny — gderał cierpko wuj — kiedy zmuszony jestem żyć w świecie głupców? Wesołych świąt!... Do diabła z wesołymi świętami! Znać ich nie chcę! Czymże są święta Bożego Narodzenia dla ciebie na przykład, jeśli nie terminem płacenia rachunków, a zwykle jesteś wtedy bez grosza? Z każdym Bożym Narodzeniem jesteś o rok starszy, lecz ani o włos bogatszy. W ten dzień przeprowadzasz bilans twoich ksiąg handlowych i przekonywasz się, że po dwunastu miesiącach galerniczej pracy nie masz ani odrobiny zysku... Gdybym był prawodawcą — mówił dalej Scrooge z zawziętością — wówczas każdy idiota, włóczący się z życzeniem „wesołych świąt", byłby gotowany z jego własnym puddingiem świątecznym i pogrzebany z gałązką ostrokrzewu, zatkniętą w serce... To byłoby prawo rozsądne i słuszne!

— Wuju! — mitygował go łagodnie siostrzeniec.

— Siostrzeńcze! — przerwał mu wuj surowo — święć dzień Bożego Narodzenia na swój sposób, a mnie pozwól obchodzić go po mojemu.

— Obchodzić — powtórzył siostrzeniec. — Ależ ty go wcale nie obchodzisz, wuju...

— Dajże mi już pokój, do licha! — sarknął Scrooge. — Zobaczymy, co ci dobrego przyniosą tegoroczne święta. One ci zawsze przynoszą wiele dobrego!

— Przyznaję, że wiele jest rzeczy, z których mogłem osiągnąć korzyści, a z których jednak nie skorzystałem — odparł siostrzeniec. — Między innymi, święta Bożego Narodzenia! Mimo to zawsze myślę o nich nie tylko jako o świętej i czcigodnej pamiątce dla całego chrześcijańskiego świata, ale także jako o chwilach bardzo upragnionych. Są to bowiem chwile dobre, pokrzepiające, miłościwe, radosne. Zawsze oczekuję ich z serdeczną tęsknotą, a witam i obchodzę ze wzruszeniem i radością. Są to bowiem, według mego

przekonania, jedyne dni w długim kalendarzu rocznym, w których wszyscy, kobiety i mężczyźni, jakby na podstawie wspólnej ugody, otwierają swe zaryglowane serca i myślą o bliźnich na niższych szczeblach drabiny społecznej, widząc w nich braci i towarzyszy podróży na drodze do grobu, a nie inną rasę stworzeń, dążących w przeciwną stronę, stworzeń niższych i słusznie upośledzonych. I dlatego, wuju, choć święta te nigdy nie wzbogaciły mej kieszeni ani o ziarnko srebra lub złota, wierzę, że przyniosły mi niejedno dobro i że przyniosą mi jeszcze wiele radości. Dlatego też zawsze powtarzam: niech będą błogosławione!

Pomocnik Scrooge'a, ślęczący nad robotą w sąsiedniej izdebce, przyklasnął tym dowodzeniom, spostrzegłszy atoli niewłaściwość swego entuzjazmu zaczął udawać, że poprawia ogień swego kominka. Czynił zaś to tak niezręcznie, że zgasił ostatnią iskierkę.

— A to co znów za moda odrywać się od pracy i wtrącać się tam, gdzie nie potrzeba? — zgromił go ostro Scrooge. — Odezwij się pan choć słówkiem jeszcze, a upamiętnię ci dzień Bożego Narodzenia dymisją... Jesteś nie lada mówcą — dodał zwracając się do siostrzeńca. — Dziwi mnie, dlaczego dotychczas nie zasiadasz w parlamencie.

— Nie gniewaj się, wuju! Przyjdź do nas jutro na obiad.

Scrooge odpowiedział z ironią, że przyjdzie. Przyjdzie z pewnością — zaraz się zacznie wybierać. Nic nie ma lepszego do roboty. Siostrzeniec zrozumiał, że to była stanowcza odmowa. Zapytał więc łagodnie:

— Dlaczego odmawiasz, wuju? Dlaczego?

— A dlaczego ożeniłeś się?

— Ponieważ zakochałem się.

— Ponieważ zakochałeś się! — powtórzył Scrooge przedrzeźniając go w ten sposób, jak gdyby miłość i małżeństwo były po Bożym Narodzeniu największym na świecie głupstwem.

— Żegnaj mi, drogi siostrzeńcze!

— Lecz ty, wuju, nigdy nie odwiedziłeś mnie nawet wówczas, zanim się to stało. Dlaczego więc przedstawiasz to obecnie jako powód odmowy?

— Żegnaj! — powtórzył Scrooge.

— Niczego od ciebie nie potrzebuję i o nic cię nie proszę, dlaczego więc nie możemy być przyjaciółmi?

— Żegnaj! — mruknął Scrooge.

— Przykro mi bardzo, żeś taki twardy. Nigdy nie mieliśmy żadnej sprzeczki, do której ja dałbym powód. Trudno! Uczyniłem propozycję jedynie ze względu na Boże Narodzenie, a chociaż mi się nie udało, zachowam pogodne i radosne usposobienie. Zatem wesołych świąt, wuju!

— Żegnaj! — znów powtórzył Scrooge.

— I pomyślności z Nowym Rokiem!

— Żegnaj i odczep się ode mnie! — mruknął już groźnie Scrooge.

Siostrzeniec opuścił wuja spokojnie, bez wymówek. Przy drzwiach zatrzymał się, aby złożyć życzenia pomocnikowi, który choć zmarznięty do kości, okazał się cieplejszym od swego pryncypała, gdyż odpowiedział na życzenia uprzejmie i serdecznie.

— Macie drugiego idiotę! — mruknął Scrooge, który słyszał wymianę życzeń. — Mój pomocnik, posiadający rodzinę i piętnaście szylingów tygodniowo na jej utrzymanie, mówi o „wesołych świętach!" Chyba wstąpić do szpitala wariatów!

Pomocnik, odprowadziwszy do drzwi siostrzeńca Scrooge'a, wpuścił jakichś dwóch jegomościów. Byli to poważni obywatele, o przyjemnej powierzchowności; zdjąwszy kapelusze stanęli przy biurku Scrooge'a. Trzymając w rękach portfele i papiery skłonili mu się uprzejmie...

Firma Scrooge i Marley, jeżeli się nie mylę? — zapytał jeden z nich zaglądając do swej listy. — Czy mam przyjemność mówić z panem Scrooge, czy z panem Marleyem?

— Mister Marley umarł już siedem lat temu — odparł Scrooge. — Właśnie dziś w nocy upłynie siedem lat od czasu, jak Marley umarł.

— Nie wątpimy, że jego następca godnie reprezentuje jego szczodrość — powiedział ten sam gość przedstawiając swoje pełnomocnictwo do zbierania ofiar dla biednych.

Zaiste nie mylił się, gdyż Scrooge i Marley były to dwie bliźniacze dusze. Słysząc niemiły wyraz „szczodrość" Scrooge zmarszczył brwi, potrząsnął głową i zwrócił dokumenty jałmużnikowi.

— Z okazji tak wielkiej uroczystości, mister Scrooge — mówił ów jegomość, nie zważając na to i ujmując pióro — ludzie zamożniejsi nie uchylają się od wsparcia nędzarzy i wydziedziczonych, którzy teraz właśnie, podczas silnych mrozów, narażeni są na wielkie cierpienia. Jest to zresztą prostym obowiązkiem zamożnych przychodzić z pomocą bliźnim, pozbawionym najpierwszych potrzeb...

— Alboż nie ma więzień? — przerwał mu Scrooge.

— Niestety, mamy ich jeszcze bardzo wiele! — odparł jałmużnik odkładając na bok pióro.

— Przytułki, domy pracy i domy poprawy, czy te instytucje przestały istnieć? — zapytał znów Scrooge.

— I one, oczywiście, istnieją, chociaż należy pragnąć, by się stały niepotrzebne.

— A zatem wszystkie te instytucje istnieją i są czynne? — badał gościa w dalszym ciągu Scrooge.

— Są bardzo czynne, bez chwili wypoczynku — brzmiała odpowiedź.

— Chwała Bogu! Pańskie żądanie i to, co pan powiedział na wstępie, przyprawiło mnie o obawę, że coś wstrzymało ich użyteczną działalność. Bardzo mnie cieszy, że tak nie jest. Zachwycony jestem moją omyłką.

— Ponieważ wiadomo powszechnie, że wspomniane instytucje, pomimo usilnych zabiegów, nie są w stanie po chrześcijańsku zaspokoić potrzeb ani duchowych, ani cielesnych wielkich mas nędzarzy, przychodzimy im z pomocą zbierając ofiary, by dostarczyć choć najbiedniejszym jadła, napoju i środków do ogrzania zlodowaciałych ich mieszkań. Wybieramy ten czas, ponieważ w te wielkie święta bieda najwięcej daje się we znaki, a dostatek najwięcej się raduje i używa. Na jaką sumę mam pana zapisać?

— Proszę mnie wcale nie zapisywać — odpowiedział Scrooge.

— Rozumiem. Życzy pan sobie być bezimiennym ofiarodawcą?

— Życzę sobie, aby mnie zostawiono w spokoju — rzekł Scrooge. — Skoro pytacie panowie o moje życzenia, oto odpowiedź. Nie cieszę się ani nie używam sam podczas świąt Bożego Narodzenia i nie stać mnie na to, abym przyczyniał się do wesołości i używania próżniaków. Wspieram instytucje, o których wspomniałem, kosztują mnie one dość; tam niech więc udadzą się ci, którym nie jest dobrze we własnych domach.

— Wielu nie może się tam dostać, a wielu wolałoby raczej umrzeć, niż tam się znaleźć — zauważył jałmużnik.

— Skoro wielu wolałoby raczej umrzeć — odparł Scrooge — niechże to uczynią i w ten sposób zmniejszą nadmiar ludności. Zresztą, proszę wybaczyć, ja się na tych sprawach nie znam i w ogóle mało mnie one obchodzą.

— Może się pan z nimi zapoznać bardzo łatwo: trzeba tylko trochę serca i dobrej woli.

— Ani myślę, to nie mój interes. Wystarcza, jeżeli człowiek zna i rozumie swój własny interes i nie miesza się do cudzego. Mój pochłania mnie całkowicie. Zatem — mam honor pożegnać szanownych panów.

Jałmużnicy, widząc, że nic tu nie wskórają, wzruszyli tylko ramionami i wyszli, Scrooge zaś zabrał się do pracy w znacznie lepszym niż zazwyczaj usposobieniu.

Tymczasem mgła i ciemność tak zgęstniały, że na ulicach zjawili się gońcy i biegali z pozapalanymi latarniami ofiarując się iść przed końmi ciągnącymi powozy i prowadzić je po właściwej drodze. Starożytna wieża kościoła, z której gotyckiego okna ciekawie spoglądał wciąż na Scrooge'a stary, rozbity dzwon, znikła, a ów dzwon wybijał wśród mgły godziny oraz kwadranse z tak silnymi wibracjami, jak gdyby zęby szczękały mu z zimna.

Mróz bowiem z każdą niemal chwilą wzmagał się.

Na rogu głównej ulicy robotnicy, naprawiający rury gazowe, rozpalili wielkie ognisko, około którego zebrała się gromadka obdartych mężczyzn i dzieci; grzali oni swe skostniałe ręce i mrużyli oczy rozkoszując się przyjemnym ciepłem. Ponieważ kranu wodociągowego nie zamknięto, przeto wypływająca z niego woda krzepła niebawem, tworząc ponure kręgi lodu. Na wystawach sklepów gałązki i jagody ostrokrzewu pękały w cieple lamp, które oświecały blade twarze przechodniów. Składy drobiu i wiktuałów pourządzały tak imponujące widowiska, że zdawało się, iż pozioma myśl kupna, sprzedaży i targu nie może mieć z nimi nic wspólnego.

Lord Major we wspaniałym pałacu swoim wydawał rozkazy pięćdziesięciu kucharzom i piwnicznym, aby przystroili stół świąteczny, jak na dom takiego dygnitarza przystało; nawet ów nędzny krawiec, którego przed tygodniem ten dygnitarz skazał na pięć szylingów kary za pijaństwo i awanturowanie się na ulicy, przygotowywał na swym poddaszu jutrzejszy pudding, a jego wychudła żona wyszła z niemniej wychudłym dzieckiem po sprawunki do miasta.

Mgła i mrok coraz bardziej się zwiększały. Zimno przejmowało do kości. Gdyby dobry święty Dunstan dotknął takim zimnem nosa złego ducha, zamiast używać swej zwykłej broni, szatan z pewnością narobiłby wrzasku na cały świat.

Pewien młodociany właściciel małego, chudego nosa, nagryzanego i chrupanego przez głodne zimno jak psy chrupią kości, pochylił się przy dziurce od klucza do drzwi wchodowych kantoru Scrooge'a, aby szanownego przedstawiciela firmy uraczyć pieśnią świąteczną, lecz zaledwie zdążył wyśpiewać pierwsze wyrazy:

Boże, błogosław cię, dobry panie!

Niech ci nic nie zamąci radości...!

Scrooge pochwycił linię z taką energią i tak groźnym ruchem, że śpiewak uciekł przerażony, przenosząc nad ową dziurkę od klucza więcej przyjazną mgłę, a nawet więcej przyjazny mróz.

Wreszcie nadeszła godzina zamknięcia kantoru.

Scrooge z niechęcią opuścił swój stołek i w milczeniu dał znak pomocnikowi, który natychmiast zgasił świecę i włożył kapelusz na głowę.

— Myślę, że chce pan mieć wolne przez cały jutrzejszy dzień? — zapytał Scrooge.

— Jeżeli uważa pan to za właściwe — szepnął nieśmiało pomocnik.

— Ja wcale nie uważam tego za właściwe. Tak... nie widzę w tym nic właściwego. Jestem pewny, że gdybym wytrącił panu z pensji należność za ten dzień, uczułby się pan pokrzywdzony.

Pomocnik uśmiechnął się łagodnie.

— A jednak — ciągnął Scrooge — pan nawet nie pomyśli o tym, że ja mogę się czuć pokrzywdzony płacąc panu całkowite wynagrodzenie za dzień świąteczny.

Pomocnik zauważył lękliwie, że święto Bożego Narodzenia przypada raz do roku.

— Liche to usprawiedliwienie okradania kieszeni swego pracodawcy każdego 25 grudnia — zrzędził Scrooge zapinając płaszcz aż pod brodę. — Mniejsza z tym. Ważniejsze jest to, by pan, zmarnowawszy na próżniactwie cały dzień jutrzejszy, wcześniej przyszedł do zajęcia dnia następnego.

Pomocnik przyrzekł zastosować się do tego żądania, po czym Scrooge wyszedł wciąż mrucząc gderliwie.

Kantor został zamknięty w mgnieniu oka i pomocnik otuliwszy szyję białym szalikiem, którego końce zwieszały mu się poniżej pasa (biedak nie miał paltota), wesoło wybiegł na ulicę. Chcąc uczcić wieczór wigilijny przejechał się ze dwadzieścia razy po lodzie na Cornhill, jako ostatni w szeregu przy Camden Town, tak szybko, jak mógł, aby się jeszcze zabawić z dziećmi w ciuciubabkę.

Scrooge spożył bardzo skromny obiad w posępnej garkuchni, do której stale uczęszczał, a przeczytawszy wszystkie znajdujące się tam dzienniki i urozmaiciwszy sobie resztę wieczoru przejrzeniem swych notatek handlowych udał się do domu.

Zajmował lokal, w którym ongi mieszkał jego zmarły wspólnik. Składał się on z szeregu ponurych i pustych pokojów, a mieścił się w starym, ciemnym budynku, wnoszącym się przy końcu głuchego jakiegoś zaułka. Wielki ten dom tak nie harmonizował z wąską i krótką uliczką, że można było przypuszczać, iż znalazł się tu przypadkowo, bawiąc się bowiem w czasie swej młodości z innymi domami w „chowanego" zapomniał drogi powrotnej i pozostał tu już na zawsze.

Dziś jest on stary i ponury. Oprócz Scrooge'a nikt w nim nie mieszkał. Reszta pokojów była wynajęta na biura i kantory. Dziedziniec domu był tak ciemny, że nawet Scrooge, który znał każdy kamień, zmuszony był przechodzić go po omacku. Mgła i szron osnuły czarną bramę tak szczelnie, iż zdawało się, jakby duch smutku siedział na jej progu w ciężkiej zadumie.

Nie ulega wątpliwości, że nie było nic szczególnego w kołatce, wiszącej przy furtce tej bramy, chyba to, że była bardzo wielka. Pewne jest również, że Scrooge widywał ją każdego dnia rano i wieczorem, podczas swego długoletniego pobytu w tym domu. Pewne jest wreszcie, iż tak mało posiadał w sobie tego, co się nazywa fantazją, jak może żaden człowiek w Londynie, nie wyłącza-

jąc nawet — a to jest śmiałe słowo — członków parlamentu i rady miejskiej. Należy jeszcze mieć na względzie, że Scrooge nie pomyślał o Marleyu ani przez chwilę od czasu, kiedy wspomniał o jego śmierci tegoż właśnie popołudnia. A teraz niechże mi ktokolwiek raczy wyjaśnić, jeżeli zdoła, jak się to stało, że Scrooge, wsunąwszy klucz w zamek u drzwi, zobaczył, zamiast kołatki, twarz Marleya...

Tak, twarz zmarłego Marleya.

Nie była otoczona, jak inne przedmioty na ulicy, nieprzeniknioną ciemnością, przeciwnie, otaczało ją słabe światło, które jakby z niej promieniowało. Nie miała ani groźnego, ani przerażającego wyrazu, a spoglądała na Scrooge'a tak, jak zwykle Marley spoglądał na niego za życia podniósłszy okulary na czoło. Włosy były dziwnie zmierzwione jakby gwałtownym wichrem lub silnym strumieniem pary, a oczy, choć szeroko rozwarte, były tępe, martwe, co, w połączeniu z szarą barwą skóry, czyniło tę twarz odrażającą. Zdawało się jednak, że przerażenie, jakie budził ten widok, pochodziło nie z samej twarzy ani też z jej wyrazu, lecz wywołał je inny, jakiś, niezwykły powód.

Gdy Scrooge zaczął uważniej przypatrywać się zjawisku, znikło ono i pozostała dobrze mu znana kołatka.

Mijalibyśmy się z prawdą utrzymując, że Scrooge nie był tym zjawiskiem wstrząśnięty i że nie doznawał uczucia przerażenia, które mu było obce od dzieciństwa. Lecz rychło się opanował, odzyskał zimną krew, ujął za klucz, który przed chwilą opuścił, obrócił go śmiało, otworzył drzwi, wszedł do sieni i zapalił świecę.

Zatrzymał się chwilę w niepewności, zanim zamknął drzwi i najpierw obejrzał się uważnie poza siebie, jak gdyby obawiał się ujrzeć tył głowy Marleya, wystającej z drzwi do sieni. Lecz na tylnej stronie drzwi nie było nic, prócz śrub i gwoździ trzymających kołatkę; mruknął więc coś niezrozumiale i zatrzasnął drzwi.

Trzask rozległ się po domu jak grzmot. Każdy pokój na piętrze i każda beczka w piwnicy zdawały się odpowiadać mu osobnym echem. Scrooge nie był człowiekiem, którego by podobne odgłosy zatrwożyć mogły. Zaryglował więc drzwi i minął spokojnie sień; szedł powoli na górę po schodach rozjaśniając mrok świecą.

Może który z czytelników wyobrazi sobie, że były to wspaniałe schody z dawnych czasów, gdzie łatwo by się zmieściła kareta, zaprzężona w szóstkę koni. Otóż mogę wam zaręczyć, że schody prowadzące do mieszkania Scrooge'a były jeszcze szersze. Zmieściłby się w nich nawet karawan, ustawiony w poprzek, orczykiem do ściany, a tylnymi kołami do poręczy. I nie tylko zmieściłby się, ale zostałoby jeszcze sporo miejsca. To właśnie mogło być powodem,

że Scrooge'owi zdawało się istotnie, iż widzi przed sobą karawan, posuwający się w górę. Pół tuzina ulicznych lamp gazowych nie oświetliłoby dostatecznie tych schodów, można więc przypuszczać, że przy jednej mdłej świeczce, którą Scrooge przyświecał sobie, było dość ciemno i ponuro.

Ale Scrooge szedł na górę nic sobie z tego nie robiąc. Ciemność jest tania, a taniość była słabą stroną Scrooge'a. Znalazłszy się w mieszkaniu, zanim zamknął i zaryglował ciężkie drzwi, przeszedł się po pokojach dla stwierdzenia czy wszystko jest w porządku. Być może, iż tajemnicze przeistoczenie się kołatki skłoniło go do tej ostrożności.

Bawialnia, jadalnia, sypialnia, zachowanko — wszystkie te pomieszczenia znalazł w zupełnym porządku. Nikogo pod stołem, nikogo pod sofą; mały ogień na kominku, na stole talerz i łyżka, mały rondelek z kleikiem (Scrooge dostawał z przeziębienia katarru) na maszynce kuchennej. Nikogo pod łóżkiem, nikogo w komórce, nikogo w szlafroku wiszącym na ścianie w podejrzany sposób. W zachowanku nic osobliwego. Stare obuwie, dwa kosze na ryby, dwie zdarte szczotki, umywalnia na trzech nogach i pogrzebacz.

Zupełnie uspokojony Scrooge zamknął drzwi na dwa spusty, co nie było jego zwyczajem, i tak ubezpieczywszy się od wszelkich możliwych niespodzianek zdjął chustkę z szyi, włożył szlafrok, pantofle i szlafmycę, po czym usiadł przed kominkiem zabierając się do spożycia kleiku.

Szczerze mówiąc, ogień na kominku był istotnie bardzo marny, zgoła nie wystarczający na tak mroźną porę. Scrooge musiał przysunąć się bardzo blisko i czekać długo, zanim uczuł nieco ciepła z tak skromnej garstki paliwa.

Kominek był stary, zbudowany dawno temu przez jakiegoś holenderskiego kupca i wyłożony dziwacznymi flamandzkimi kaflami, przedstawiającymi różne sceny z Pisma św. Był tam Kain i Abel, córki Faraona, królowa Saba, posłańcy anielscy, zstępujący z nieba po schodach z obłoków, podobnych do pierzyn; był Abraham, Baltazar i apostołowie wybierający się na morze w łodziach kształtu sosjerek, były wreszcie setki innych postaci mogących zająć uwagę Scrooge'a. A jednak twarz Marleya, zmarłego siedem lat temu, zjawiła się przed jego oczyma zasłaniając sobą wszystko. Gdyby wszystkie owe kafle kominka były zupełnie czyste i gdyby posiadały własność pokrywania swej gładkiej powierzchni obrazami bezładnych myśli Scrooge'a, wówczas na każdym z nich zjawiłaby się podobizna twarzy zmarłego Marleya.

— Głupstwo — mruknął Scrooge i machnąwszy ręką zaczął się przechadzać po pokoju.

Po pewnym czasie usiadł znowu.

Oparłszy głowę o poręcz krzesła, spojrzał przypadkiem na dzwonek od dawna nieużywany, łączący pokój, w którym Scrooge teraz siedział, z pokojem na najwyższym piętrze domu, również od dawna opuszczonym. Spojrzawszy — osłupiał, spostrzegł bowiem, że dzwonek zaczyna się poruszać. Z początku poruszał się tak wolno, że zaledwie go było słychać; wkrótce jednak zabrzmiał głośno, a na jego hasło odpowiedziały wszystkie dzwonki w całym domu.

Trwało to wszystko pół minuty, może minutę, ale krótka ta chwila wydała się Scrooge'owi nieskończenie długa. Naraz dzwonki ucichły jednocześnie, jak jednocześnie zabrzmiały. Potem, wśród grobowej ciszy, odezwało się gdzieś w piwnicy przytłumione brzęczenie i łoskot, jak gdyby ktoś wlókł ciężkie łańcuchy po beczkach z winem. Wtedy Scrooge przypomniał sobie, że duchy w nawiedzanych przez nie domach zjawiają się zwykle wlokąc za sobą łańcuchy.

Nagle drzwi piwnicy otworzyły się z donośnym hukiem, a wtedy Scrooge usłyszał głośniejsze jeszcze szczękanie; wyszło ono z piwnicy, zaczęło powoli wstępować po schodach, a wreszcie zatrzymało się przy drzwiach jego pokoju.

— Ależ to głupstwo! — mruczał Scrooge. — Nie wierzę, nie mogę wierzyć, żeby to była rzeczywistość!

W tej chwili pobladł z przerażenia, gdy to coś szczękającego, nie otwierając drzwi, weszło do pokoju i posuwało się zwolna ku niemu. Zamierający płomień na kominku wyciągnął się, zajaśniał, podskoczył, jakby wołając:

— Poznaję go, to duch Marleya!

Po czym znowu przygasł.

Tak, to był on. Ta sama twarz, zupełnie ta sama. I ubrany był zupełnie tak, jak się zwykle ubierał Marley. Ten sam harcap, ta sama kamizelka, te same spodnie i buty; chwasty przy butach dziwnie były najeżone, jak również harcap, poły surduta i włosy na głowie...

Widmo wlokło za sobą długi łańcuch, który obejmował je w pasie i obwijał jeszcze kilkakrotnie; był on utworzony (Scrooge dobrze mu się przypatrzył) z metalowych kas, z kluczy i zamków, ksiąg kupieckich, aktów i mocnych stalowych schowek. Cała postać widma była tak przeźroczysta, że Scrooge widział poprzez nią dwa guziki na tyle surduta.

Scrooge często słyszał, jak mówiono, że Marley nie miał serca ani wnętrzności, ale nigdy dotąd temu nie wierzył.

I teraz jeszcze nie wierzył, chociaż przeglądał na wskroś zjawisko, chociaż widział je tuż przed sobą, chociaż czuł lodowaty chłód jego martwych oczu, chociaż zainteresował go gatunek płót-

na chustki, która obwiązywała twarz widma, czego Marley za życia nie zwykł był czynić. Wciąż jeszcze nie wierzył w to, co widział, i usiłował przeczyć swoim zmysłom.

— Co to znaczy? — zapytał wreszcie zwykłym swoim zimnym, mrukliwym tonem. — Czego chcesz ode mnie?

— Wiele. Bardzo wiele! — odparło widmo.

Głos był Marleya; to nie ulegało wątpliwości.

— Kim jesteś?

— Zapytaj raczej: kim byłem? — zabrzmiała głucha, przytłumiona odpowiedź.

— Kimże więc byłeś? — zapytał Scrooge podnosząc głos. — Jak na ducha, jesteś bardzo drobiazgowy.

— Za życia byłem twoim wspólnikiem, Jakubem Marley.

— Czy możesz... czy chcesz usiąść? — zapytał znów Scrooge spoglądając na widmo z powątpiewaniem i nie wierząc własnym uszom.

— Mogę.

— Uczyń to więc.

Scrooge zapytał o to umyślnie, gdyż nie był pewny czy istota tak przejrzysta może usiąść na krześle; czuł, że w przeciwnym razie widmo byłoby obowiązane do niezbyt przyjemnych dla siebie wyjaśnień. Lecz duch usiadł po przeciwnej stronie kominka tak spokojnie i z taką swobodą, jak gdyby było to dla niego czymś najzwyklejszym.

— Widocznie nie wierzysz we mnie? — zagadnął duch po chwili.

— Nie wierzę — odpowiedział Scrooge.

— Jakiego pragniesz dowodu mego istnienia oprócz dowodu twoich zmysłów?

— Nie wiem.

— Dlaczego nie ufasz swoim zmysłom?

— Ponieważ często błahostka wyprowadza je z równowagi. Lekka niedyspozycja żołądkowa czyni z nich oszustów. W rezultacie, możesz być kawałkiem niestrawionej wołowiny, odrobiną musztardy, okruszyną sera, odrobiną niedogotowanego ziemniaka... Pomimo wszystko wydajesz mi się więcej istotą cielesną niż duchem.

Scrooge nigdy nie miał skłonności do żartów, a w tej chwili jeszcze więcej niż kiedykolwiek był daleki od żartobliwego usposobienia. Jeżeli usiłował być dowcipny i żartobliwy, to dlatego, by rozerwać samego siebie, zmienić kierunek swych myśli i opanować coraz silniej przemujący go strach, gdyż głos widziadła wstrząsał nim do szpiku kości.

Scrooge czuł, że siedzieć tak i patrzeć w martwe, szklane oczy widma nie może. Doznawał bowiem piekielnych mąk. I rzeczywiście, było istotnie coś piekielnego w atmosferze otaczającej wid-

mo. Scrooge nie czuł jej wprawdzie sam, ale o jej istnieniu wątpić nie mógł, gdyż, chociaż duch siedział całkiem nieruchomo, jego włosy, poły surduta i chwasty przy butach wciąż się poruszały, jakby pod wpływem gorącego prądu wydobywającego się z rozpalonego pieca.

— Widzisz tę wykałaczkę? — zapytał Scrooge, wciąż usiłując otrząsnąć się z gnębiącego go coraz silniej przerażenia oraz odwrócić od siebie choćby na chwilę lodowaty wzrok widma.

— Widzę — odparł duch.

— Ale nie patrzysz na nią — podchwycił Scrooge.

— Mimo to widzę ją — rzekł duch.

— Och! — roześmiał się z przymusem Scrooge — wystarczy mi połknąć ją, aby przez resztę mych dni, do końca życia, być prześladowanym, przez legion złych duchów mojej własnej fabrykacji... Głupstwo, powtarzam! Wierutne, kapitalne głupstwo.

Zaledwie Scrooge wymówił te słowa, duch zajęczał tak przejmująco i zatrząsł łańcuchami w tak ponury i przerażający sposób, że Scrooge przycisnął się do krzesła, aby nie spaść na ziemię ze strachu. Przerażenie jego doszło do najwyższego stopnia, gdy widmo zdjęło bandaż z głowy, jakby mu było za ciepło w pokoju i gdy dolna szczęka opadła mu aż na piersi.

Scrooge upadł wtedy na kolana i zasłonił twarz dłońmi.

— Litości! — zawołał. — Straszne zjawisko, dlaczego mnie tak dręczysz?

— Człowieku o niskim umyśle, zaprzątniętym jedynie znikomymi sprawami ziemskimi, wierzysz we mnie teraz czy nie?

— Wierzę! — westchnął Scrooge. — Muszę wierzyć. Powiedz mi jednak, dlaczego duchy włóczą się po świecie? Dlaczego przychodzą mnie męczyć?

— Obowiązkiem każdego człowieka — odparło widmo — jest, by dusza jego zjednoczyła się z duszą jego bliźnich i pozostawała w braterskiej z nimi łączności przez cały czas ziemskiej wędrówki. Ten, który obowiązku tego zaniedbał za życia, musi go wypełnić po śmierci. Duch jego po śmierci musi odbywać wędrówkę po świecie — och, biada mi! — i patrzeć biernie na to wszystko, czego nie może już używać, a czego mógł użyć za życia ku swej radości i szczęściu!

To rzekłszy, widmo znów wydało jęk i znów wstrząsnęło łańcuchami załamując bezcielesne ręce.

— Jesteś w okowach, jak widzę — rzekł Scrooge ze drżeniem. — Powiedz mi, dlaczego.

— Noszę łańcuch, który sobie ukułem za życia — odparł duch. — Sam przygotowałem każde jego ogniwo, każdy łokieć tych

kajdan. Włożyłem go na siebie dobrowolnie, dobrowolnie nosiłem, a teraz dźwigać go muszę przez wieczność. Czy nie znasz materiału, z którego utworzone są te okowy?

Scrooge drżał coraz bardziej.

— A może chciałbyś poznać — ciągnął duch — wagę i długość łańcucha, który sam dźwigasz? Co? Siedem lat temu był tak ciężki i długi jak mój. Od tego czasu jednak pracowałeś usilnie, by go doprowadzić do kolosalnych rozmiarów. O tak, twój łańcuch, to ogrom!

Scrooge obejrzał skwapliwie swoją osobę, obawiając się czy nie ujrzy dokoła niej pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu metrów żelaznego powroza; lecz jakoś nic podobnego nie spostrzegł.

— Jakubie Marley — odezwał się błagalnie — stary Jakubie Marley, mój dobry przyjacielu; powiedz mi wszystko, co wiesz! Pociesz mnie, Jakubie, choć słówkiem!

— Nie mogę — odrzekł duch. — Pociecha przychodzi z innych sfer, Ebenezerze Scrooge, zsyłana przez innych posłańców i innego rodzaju ludziom. Nie mogę ci też powiedzieć wszystkiego, co bym pragnął. Wolno mi wyjawić ci niewiele więcej. Przy tym nie rozporządzam czasem. Nie wolno mi nigdy odpocząć, nie mogę pozostawać w jednym miejscu, nie mogę zatrzymywać się nigdzie. Dusza moja za życia nigdy nie wyszła poza ściany naszego kantoru — uważaj, co mówię! — nigdy nie wyjrzała poza ciasny zakres naszych marnych interesów. Wiesz o tym dobrze. Dlatego skazany zostałem po śmierci na nieskończoną, niewymownie dręczącą wędrówkę...

Scrooge, wpadając w zamyślenie, miał zawsze zwyczaj wkładać ręce w kieszeń u spodni. I teraz, rozmyślając nad słowami ducha, uczynił to samo, nie odważając się jednak podnieść oczu i nie wstając z klęczek.

— Musiałeś się teraz bardzo spóźnić, Jakubie — zauważył tonem zatroskanego ważnym szczegółem finansisty, lecz z pokorą i szacunkiem.

— O tak! — potwierdził duch.

— Nieżywy od siedmiu lat — szepnął Scrooge — i przez cały ten czas w podróży!

— Przez cały ten czas — znów potakiwał duch. — Bez wytchnienia, bez odpoczynku, a przy tym ustawiczne wyrzuty sumienia, niewypowiedziane, straszne tortury!

— Jak prędko podróżujesz? — badał Scrooge.

— Na skrzydłach wiatru.

— Musiałeś zatem przebyć przez siedem lat olbrzymią przestrzeń — rzekł Scrooge.

Usłyszawszy to, duch jęknął po raz trzeci i zabrzęczał swym łańcuchem w głuchej ciszy nocy tak straszliwie, że stróż nocny miałby słuszny powód aresztować go za zakłócenie spokoju publicznego.

— O ja nieszczęśliwy, podwójnie ujarzmiony niewolnik! — wyrzekało widmo. — Nie wiedziałem, iż wieki nieustannej pracy, dokonywane przez nieśmiertelne istoty dla tej ziemi, muszą zlać się z wiecznością, nim zamierzone dobro zostanie osiągnięte... Nie wiedziałem, że każdy człowiek powinien ofiarować część swej pracy dla wielkiego dzieła ludzkości, współdziałać w doskonaleniu jej. Nie wiedziałem, że żaden żal, nawet najgłębszy, nie może być zadośćuczynieniem za źle spędzone życie, nie może okupić jednego nawet ominięcia sposobności do spełnienia dobrego uczynku. A ja właśnie tym grzeszyłem! Ja właśnie byłem taki za życia!

— Przecież ty, Jakubie, byłeś zawsze pilnym i dobrym pracownikiem — bąknął Scrooge stosując te słowa do siebie: — zawsze sumiennie chodziłeś koło interesu.

— Interes! — przerwał duch załamując znów ręce. — I to właśnie było moim błędem, moim grzechem! Ludzkość powinna była być moim interesem; dobroczynność, litość, wyrozumiałość i łagodność powinny były być moim interesem. To przede wszystkim powinienem był mieć na względzie. Sprawy osobiste, sprawy mego handlu, wszelkiego rodzaju spekulacje — to wszystko należało uważać za rzecz drugorzędnego znaczenia, za znikomą kroplę w olbrzymim oceanie obowiązku wobec ludzkości.

Przy tych słowach, jak gdyby chcąc dosadniej wyrazić bezowocność swojej spóźnionej skruchy i swoich wyrzekań, podniósł rękę z łańcuchem, jak mógł najwyżej i z zamachem opuścił ją po chwili.

— W tej porze roku — podjął znowu — cierpię najbardziej. Dlaczego za życia szedłem przez tłumy swych bliźnich z oczyma zwróconymi w dół, wciąż zajęty własnymi tylko marnymi sprawami, nie podnosząc nigdy wzroku ku niebiosom, gdzie błyszczy teraz ta błogosławiona gwiazda betlejemska, która wiodła Mędrców ze Wschodu do ubogiej stajenki? Czyż nie było dosyć ubogich domostw, do których byłaby mnie zawiodła?!

Scrooge był przerażony słysząc Marleya przemawiającego w ten sposób.

— Słuchaj mnie! — zawołał duch. — Czas mój prawie już upłynął!

— Owszem, słucham cię z uwagą — rzekł Scrooge. — Ale, Jakubie, nie bądź zbyt srogi dla mnie... Nie bądź też, Jakubie, tak kwiecisty w mowie; powiedz krótko i węzłowato, o co chodzi?

— W jaki sposób staję przed tobą w postaci widocznej, którą możesz rozpoznać, tego nie wolno mi powiedzieć. Wiedz, że niewidzialny zbliżałem się do ciebie często, bardzo często...

Wcale niemiła ta wiadomość sprowadziła na czoło Scrooge'a pot kroplisty.

— Zapewniam cię, że nie jest to lekka część mej kary — ciągnął duch. — Przyszedłem, aby cię ostrzec i zawiadomić, że możesz jeszcze uniknąć mego losu. Sposobność ku temu nastręczę ci, Ebenezerze.

— Byłeś zawsze moim dobrym przyjacielem — rzekł Scrooge. — Dziękuję ci, Jakubie!

— Odwiedzą cię — mówił dalej Marley — „trzy duchy".

Twarz Scrooge'a stała się z przerażenia równie blada jak bezcielesne oblicze widma.

— Czy to ma być sposobność i nadzieja, o których wspomniałeś, Jakubie? — zapytał drżącym głosem.

— Tak. Bez tych odwiedzin — kończył duch — nie możesz uniknąć mego losu. Bądź gotów na przyjęcie pierwszych odwiedzin jutro, gdy zegar uderzy pierwszą po północy.

— Czy nie mogliby przyjść wszyscy ci goście razem, tak żebym się z nimi mógł prędzej załatwić? — szepnął Scrooge.

— Drugi zjawi się następnej nocy, o tej samej godzinie.

— W takim razie, drogi Jakubie, może lepiej dać temu pokój — rzekł Scrooge. — Zdaje mi się... to jest... wolę skwitować ze wszystkiego.

— Trzeci znów następnej nocy, gdy zegar wybije dwunastą. Nie spodziewaj się widzieć mnie więcej. Radzę ci, byś dla swego własnego dobra zapamiętał to wszystko, coś dzisiaj ode mnie usłyszał.

Wypowiedziawszy te słowa widmo wzięło swoją chustkę ze stołu i obwiązało nią, jak poprzednio, twarz. Scrooge domyślił się tego po klapnięciu, jakie wydały zęby, skoro bandaż zbliżył do siebie obie szczęki. Gdy ośmielił się znowu podnieść oczy, ujrzał gościa zza grobu w pozycji stojącej z nawiniętym na rękach łańcuchem.

Po chwili widmo zaczęło cofać się tyłem, a za każdym jego krokiem okno otwierało się powoli, tak że było już szeroko otwarte, gdy duch znalazł się przy nim.

Wtedy duch dał znak Scrooge'owi, aby się zbliżył, co też on uczynił. Kiedy się znaleźli o dwa kroki od siebie, duch Marleya podniósł rękę nie pozwalając Scrooge'owi zbliżyć się więcej. Scrooge nagle zatrzymał się.

Uczynił to nie tyle z uległości, ile ze zdumienia i strachu, ponieważ w chwili, gdy duch podniósł rękę, usłyszał jakieś nieokreślone głosy w powietrzu; jakby jęki rozpaczliwe, jakby skargi niewypowiedzianie bolesne, jakby lamenty żalu i skruchy... Duch

słuchał czas pewien, potem przyłączył się do żałobnego chóru i wypłynąwszy przez okno znikł wśród ciemności bezgwiezdnej mroźnej nocy.

Scrooge zaciekawiony i przerażony, wyjrzał przez okno.

Powietrze było zapełnione milionami widm, błądzących we wszystkich kierunkach z gorączkowym pośpiechem i jęczących żałośnie. Wszystkie dźwigały te same łańcuchy, jak duch Marleya; niektóre (mogły to być występne rządy) były skute razem: ani jedno nie było bez oków. Wielu Scrooge znał dobrze za ich życia. Poznał między innymi dokładnie pewnego starego ducha w białej kamizelce, z olbrzymią żelazną szarfą przytwierdzoną do kostek, który skarżył się z rozpaczą, iż nie może pomóc biednej siedzącej na progu domu. Widoczne było, że wszystkie te widma cierpiały straszną karę, ponieważ za życia uchylały się od obowiązku pracy dla dobra ludzkości. Teraz po śmierci, mimo najgorętszych pragnień, nie mogły naprawić złego.

Czy te istoty rozpłynęły się we mgle, czy też mgła zasłoniła je, Scrooge nie mógł zdać sobie z tego sprawy. Wiedział tylko, że znikły, że głosy ich przestały rozbrzmiewać i że noc stała się taka sama, jak wtedy, gdy wracał do domu.

Scrooge zamknął okno i starannie zbadał drzwi, przez które wszedł duch Marleya. Były zamknięte na dwa spusty, jak je zamknął własnymi rękami. Chciał już powiedzieć zwykle swoje: — Głupstwo! — ale zatrzymał się przy pierwszej sylabie. Naraz poczuł się bardzo znużony. Może to był skutek doznanych wrażeń, może skutek całodziennej pracy, może skutek wizji spoza grobu i męczącej rozmowy z duchem, może skutek późnej godziny — dość, że rzucił się na łóżko w ubraniu i zasnął natychmiast.

(Opowieść wigilijna)

ALFONS DAUDET

tłum. Henryk Sienkiewicz

ŚMIERĆ DELFINA

Mały Delfin jest chory, mały Delfin umiera. We wszystkich kościołach królestwa Najświętszy Sakrament dzień i noc stoi wystawiony i wielkie świece płoną za wyzdrowienie królewskiego dziecka. Ulice obok starej rezydencji smutne są i milczące, dzwony nie dzwonią, powozy idą noga za nogą. Przed dziedzińcem pałacowym ciekawi mieszczanie patrzą przez kraty na szwajcarów w złocistych kamizelach, którzy rozmawiają w dziedzińcu, a twarze mają poważne.

Cały zamek w ruchu. Szambelanowie, majordomowie biegają w górę i na dół po marmurowych schodach. Galerie pełne są panów i dworzan w jedwabnej odzieży; ci chodzą od gromadki do gromadki, by jaką uchwycić nowinę. Na terasach zapłakane damy honorowe ocierają sobie oczy haftowanymi chustkami.

W oranżerii zebrali się doktorzy w togach. Widać przez szyby, jak poruszają się ich długie, czarne rękawy, a głowy w perukach kiwają się poważnie. Guwerner i koniuszy małego Delfina przechadzają się przed bramą czekając, co powie konsylium. Pan koniuszy klnie jak poganin, guwerner recytuje wiersze Horacjusza. Tymczasem ze stajni dochodzi rżenie żałosne: to bułanek Delfina, o którym zapomnieli dziś masztalarze i który się odzywa przed swoim pustym żłobem.

A król? Gdzie jest król jegomość? Król zamknął się w swoim pokoju na krańcu zamku. Monarchowie nie lubią, by ich widziano płaczących. Co do królowej, rzecz inna. Siedzi ona u wezgłowia małego Delfina z piękną twarzą zalaną łzami i szlocha jak prosta mieszczanka.

Na swym posłaniu z koronek mały Delfin, bielszy od poduszek, na których się wspiera, spoczywa z zamkniętymi oczyma. Myślałby kto, że śpi, lecz nie. Mały Delfin nie śpi. Zwraca on się ku matce i widząc, że płacze, tak do niej mówi: — Czego płacze wasza wysokość? Czy myślisz, matko, że ja tak sobie umrę, jak inni? — Królowa chce odpowiedzieć. Łzy przeszkadzają jej mówić.

— Niech nie płacze wasza wysokość, nie płacz, mamo. Pamiętaj, że jestem Delfinem, a Delfin nie może tak umrzeć. — Królowa szlocha jeszcze głośniej — i mały Delfin przestraszać się zaczyna. — Hola! — mówi — nie chcę, by śmierć przyszła mnie zabrać i będę się umiał jej bronić. Niech tu zaraz przyjdzie czterdziestu drabantów, niech trzymają straż około naszego łóżka. Niech sto armat — lonty zapalone! — czuwa pod naszymi oknami. I biada śmierci, jeśli się ośmieli zbliżyć do nas!

By się nie sprzeciwiać królewskiemu dziecku, królowa znać daje: natychmiast słychać hurkot stu wielkich armat w dziedzińcu i czterdziestu drabantów, z rohatynami w ręku, zaciągają wartę w pokoju. Stare to wiarusy z siwymi wąsami. Mały Delfin klaszcze w ręce, mały Delfin ich zna i umie nazwać po imieniu. Poznaje jednego i woła: Loren! Loren! Wiarus się zbliża do łóżka: — Mój stary Loren, jak ja cię kocham! Pokaż no swoje szablisko! Jeśli śmierć zechce mnie zabrać, ty śmierć zabijesz, nieprawda? — Według rozkazu, wasza wysokość — odpowiada Loren i dwie ciężkie łzy spływają mu po zwiędłej twarzy. W tej chwili ojciec-jałmużnik zbliża się do małego Delfina i cichym głosem mówi mu coś długo i pokazuje krucyfiks. Mały Delfin słucha

z twarzą zdziwioną i nagle przerywa: — Rozumiem dobrze — powiada — co mówisz, ojcze, ale czyby mój mały przyjaciel Beppo nie mógł umrzeć za mnie, gdyby mu dać dużo pieniędzy? — Jałmużnik znowu zaczyna mówić cichym głosem, a mały Delfin dziwi się coraz bardziej.

A gdy jałmużnik skończył, mały Delfin tak mówi z ciężkim westchnieniem: — Oj, smutne to, ojcze, co mówisz, i to mnie tylko pociesza, że tam wysoko, w raju, między gwiazdami, zawsze będę Delfinem. Wiem, że Bozia mój kuzyn i że mnie przyjmie według godności mojej. — A potem mały Delfin zwraca się do matki i rzecze: — Niech tu przyniosą moje najpiękniejsze odzienie, mój płaszcz z gronostajów i aksamitne trzewiki. Chcę ładnie wyglądać między aniołkami i wejść do raju w ubiorze Delfina.

Po raz trzeci jałmużnik schyla się nad małym Delfinem i coś długo mu prawi cichym głosem. Aż w środku dziecko królewskie przerywa mu nagle z gniewem: — Więc być Delfinem — woła — to nic nie znaczy? — I nie chcąc już więcej słyszeć o niczym, mały Delfin odwraca się do ściany i płacze gorzko.

EMIL ZOLA
tłum. * * *

MIETTA

Drogi, oświetlone blaskiem księżyca, można było daleko wzrokiem śledzić.

Pomimo ostrego zimna w otwartym polu banda powstańcza szła żwawo i raźnie, gorącym uczuciem zagrzana. Przejmowało ono także Miettę i Sylweriusza, dwoje dzieci chciwych miłości i swobody, które ze szlachetnym namaszczeniem stawały w poprzek haniebnym zabiegom Macquartów i Rougonów. Gadaninę żółtego salonu i diatryby wuja Antoniego przeplatał chwilami donośny głos ludu i niecną farsę zamieniał w wielki dramat historyczny.

Powstańcy wyszedłszy z Plassans, kierowali się do miasta Orchéres, gdzie mieli przybyć około godziny 10 z rana. Droga prowadziła brzegiem w górę rzeki, pod pasmem gór piętrzących się nad nią. Po lewej stronie roztaczała się obszerna równina, której jednostajną zieloność przerywały szare plamy rozrzuconych osad wiejskich. Po prawej zamykał widnokrąg łańcuch Garrigues z nagimi szczytami i zwałami rudawych skał. Główny gościniec wiódł pomiędzy ogromnymi złomami kamieni, gdzie prawie co krok napotykało się wejścia do niezliczonych dolin. Okolica dzika, wspaniała, groźna, szczególnie w nocy. Przy bladym świetle księżyca

powstańcy mogli sądzić, że błądzą wśród zwalisk zniszczonego miasta mając po obu stronach niby szczątki świątyń, kolumn, kapiteli lub ścian przebitych tajemniczymi portykami. U samej góry skały Garrigues drzemały w niewyraźnym świetle zasłaniając połowę nieba; u dołu, przy równinie, nieokreślone przestwory nurzały się w lekkich warstwach mgły białawej.

Owej nocy Wiorna szemrała głucho; tylko odgłos dzwonów alarmowych, dochodzących z wiosek okolicznych, które ruszały do powstania, przerywał szmer płynącej wody. Zapalono ognie na całej linii. Przy ich blasku i przy ciągłym biciu dzwonów powstańcy postępowali w milczeniu jak za orszakiem pogrzebowym.

Poruszeni wypadkami paryskimi szli pewni, że cały kraj w powstaniu połączy się z nimi; długi szereg migocących ogni, widniejący na płaskiej równinie, budził w nich przekonanie, że wkrótce ujrzą nieskończone kolumny wojowników śpieszących wraz z nimi na obronę rzeczypospolitej. W swojej naiwności łudzili się łatwo, nie wątpili o bliskim i niezawodnym zwycięstwie. Gdyby im kto powiedział, że oni sami jedni tylko mają odwagę wystąpić do boju, że reszta przerażonej ludności daje spętać się dobrowolnie, byliby go z pewnością pojmali i rozstrzelali jako zdrajcę.

Kilka wiosek i małych miasteczek, leżących na stoku Garrigues, przyjęło ich z zapałem. Kobiety wybiegały, by im życzyć prędkiego powodzenia; mężczyźni na wpół ubrani łączyli się z nimi porywając z sobą pierwszy lepszy przedmiot podobny do broni. Owacje, życzenia i pożegnania przeciągały się długo.

Nad ranem księżyc zaszedł; powstańcy idąc w ciemnościach nocy nie rozróżniali już okolicznego krajobrazu; słyszeli tylko bez przerwy jęk dzwonów, dochodzący z miejsc odległych, który rozpaczliwym wzywaniem popędzał ich naprzód.

Mietta i Sylweriusz porwani prądem szli wraz z innymi. Już z rana biedna dziewczyna czuła się całkiem znużona. Idąc krokiem drobnym, przyśpieszonym nie mogła nadążyć zuchom, którym towarzyszyła. Lecz chciała być dzielna, więc nie narzekała, że jej sił brakuje. Sylweriusz z początku prowadził ją pod rękę, potem widząc, że chorągiew z rąk się jej wymyka, podtrzymywał drzewce sparte na jej ramieniu. Mietta szła bohatersko i uśmiechała się do swego chłopca, ile razy z troskliwością spojrzał na nią. Lecz gdy po zachodzie księżyca zapadła ciemna noc, Sylweriusz odczuł, że siły ją opuszczają, gdyż coraz mocniej zwieszała się na jego ramieniu. Wziął więc od niej chorągiew i objął ją wpół, by nie upadła. Ale żadnej skargi z ust jej nie usłyszał.

— Bardzo jesteś zmęczona, moje biedactwo — rzekł do niej.

— Troszeczkę — szepnęła przytłumionym głosem.

— Jeżeli chcesz, możemy odpocząć.

Chwiała się coraz bardziej, więc oddał sztandar jednemu z powstańców i wymknął się z szeregów niosąc prawie na rękach biedne dziecko. Uspokajał ją, że zna bliższą drogę, że odpoczną tylko z godzinkę i jeszcze nadążą do Orchéres równo ze wszystkimi.

Była wówczas godzina 6. Lekka mgła podnosiła się z rzeki. Noc wydawała się przez to jeszcze ciemniejsza. Prawie po omacku weszli na spadziste góry Garrigues i usiedli na skale. Otchłań ciemności otaczała ich dokoła, wydawali się na urwisku jak zagubieni wśród pustego przestworu, w którym słychać było jedynie, po uciszeniu się kroków odchodzącego zastępu, dwa dzwoniące dzwony. Jeden brzęczał donośnie u ich stóp, zapewne w jakiejś wiosce nadbrzeżnej, drugi odpowiadał mu z góry, głuchy, jękliwy... Istna rozmowa duchów zapowiadających straszny koniec świata.

Mietta i Sylweriusz, rozgrzani szybkim chodem, nie czuli zimna. Siedzieli w milczeniu, słuchając z niewypowiedzianym smutkiem dzwonów przerywających nocną ciszę. Nie widzieli się nawet. Mietta zaczęła bać się; poszukawszy ręki towarzysza trzymała ją kurczowo. Po gorączkowym entuzjazmie, który władał nimi przez tyle godzin, teraz nagle zastygli przytuleni do siebie, zastanowili się i zdumieli. Zdawało im się, że budzą się z jakiegoś burzliwego marzenia sennego albo że gwałtowna fala wyrzuciła ich na brzeg i ustąpiła daleko. Potężna reakcja pogrążyła ich w bezmyślne osłupienie; zapomnieli już prawie o swym zapale, o bandzie ludzi, z którymi się połączyli i nadal połączyć mieli. Poddali się całkowicie smutnemu, aczkolwiek uroczemu wrażeniu, że siedzą obok siebie, że są i zostaną sami, ręka w rękę, w ciemnościach przerażających.

— Nie gniewasz się na mnie? — zapytała Mietta. — Z tobą szłabym noc całą; ale oni biegli tak prędko, że nie mogłam już odetchnąć.

— Za cóż miałbym się gniewać na ciebie?

— Nie wiem... Może już mnie nie kochasz? Wierz mi, że starałam się stawiać wielkie kroki, żeby wam nadążyć, ale nie mogłam... Będziesz teraz myślał, że jestem dzieckiem!

Sylweriusz uśmiechnął się. Ona odgadła, chociaż spostrzec tego nie mogła. Powiedziała głosem stanowczym.

— Nie chcę, żebyś się zawsze ze mną obchodził jak z siostrą. Chcę być twoją żoną.

. . . . . .

— Kochana Mietto, odpędź smutne myśli. Pobierzemy się niedługo; a gdy będziesz moją żoną, nikt się nie ośmieli nic złego na ciebie powiedzieć; bądź spokojna. A jeśli wolisz, to nie wracajmy do Plassans. Jeżeli zwyciężymy, zabiorę ciotkę Didę; będzie musiała przenieść się tam, gdzie my się udamy.

— A jeżeli nas pobiją? — zapytała łagodnie.

— Będzie, co Bóg da. Jeżeli zginę, ty mnie zastąpisz przy ciotce Didzie, pocieszysz ją, nieprawdaż?

— Ach lepiej umrzeć tutaj, zaraz! — zawołała Mietta.

Umrzeć... umrzeć?!... Zdawało się, że żałobne tony dzwonów powtarzają wyraz złowrogi. Czy to przeczucie? Kochankowie zadrżeli — jakaś myśl o śmierci, wrażenie snu wiecznego, wstrząsnęło ich serca.

Uspokoiwszy się pomału Mietta wsparła ociężałą głowę na piersiach Sylweriusza. On ją otulił czerwonym płaszczem i przycisnął do siebie. Słysząc po chwili oddech jednostajny poznał, że zasnęła. Obiecał sobie, że pozwoli jej spać całą godzinę. Na wschodniej stronie nieba świeciła już jaśniejsza pręga, zapowiadająca zbliżający się brzask dzienny.

. . . . . .

Mietta spała spokojnie z opartą głową o pierś Sylweriusza, on marzył o ubiegłych latach ich miłości. Z brzaskiem dziennym obudziła się; choć słońce było jeszcze za górami, jasność krystaliczna i zimna jak woda źródlana wyłaniała się z bladego horyzontu. Na roztaczającej się przed nimi dolinie Wiorna podobna do wstęgi białej toczyła swe fale po ziemi czerwonawej, to znowu żółtawej. Krajobraz był bez granic, wyglądał jak szare morze drzew oliwnych i winogradu; przestrzeń wydawała się większa skutkiem czystości powietrza. Wiatr chwilami powiewający mroził twarz dwojga dzieciaków. Powstali więc żwawo, orzeźwieni świeżym rankiem. Rozpierzchły się ich obawy i smutki; teraz patrzyli zachwyconym okiem na niezmierny obszar doliny.

— Ach! jak dobrze spałam! — zawołała Mietta. — Śniło mi się, żeś mię całował... Czyś mię pocałował, powiedz?

— Bardzo być może — odpowiedział śmiejąc się. — Nie było mi ciepło w noc tak mroźną.

— Mnie tylko w nogi zimno.

— To pobiegnijmy... Musimy zrobić dwie mile, rozgrzejesz się.

Szli wesoło, ale trochę zmieszani nie wiedząc dlaczego? Dzień błyszczał coraz jaśniej. Sylweriusz, który z polecenia majstra bywał nieraz w Orchères, umiał wybierać najlepsze i najbliższe ścieżki. Szli w ten sposób dwie mile przez wąwozy, doły, wzdłuż rowów i płotów. Mietta sądziła, że Sylweriusz zabłądził. Tymczasem niespodzianie wyszli naprzeciw Orchères. Z dala już dawały się słyszeć radosne okrzyki, którymi mieszkańcy witali legię powstańczą. Mietta i Sylweriusz przybyli z ostatnimi maruderami.

Nie widzieli nigdy podobnego zapału. Okna przystrojono w dywany i flagi jak w dzień procesji. Witano przybyłych jak oswobodzicieli. Mężczyźni całowali się z nimi, kobiety przynosiły im jedzenie. Starcy stali przed drzwiami i płakali. Radość i uniesienie czysto południowe wylewało się hałaśliwie, tańcem, śpiewem, pantominą. Sylweriusz i Mietta porwani w wir tłumu weselili się wraz z innymi. Myśl o śmierci daleko już była od nich. On chciał walczyć, zwyciężać, a potem żyć szczęśliwie z Miettą na łonie wielkiego spokoju rzeczypospolitej powszechnej.

Braterskie przyjęcie ze strony ludności Orchères, było ostatnią radością powstańców. Spędzili dzień cały w ufności i nadziei. Jeńcy, to jest komendant Sicardot, Garçonnet, Peirotte i inni, zamknięci razem w jednej sali w ratuszu, z której okna wychodziły na plac, przyglądali się dość pomieszani objawom zapału.

— A hultaje! — mruczał komendant oparty na oknie jakby w loży teatru — i pomyśleć, że tu nie ma ani jednej baterii, co by zmiotła tę tłuszczę!...

Gdy spostrzegł Miettę, dodał zwracając się do Garçonneta:

— Widzisz pan tę wysoką dziewczynę? To wstyd prawdziwy! Prowadzą z sobą swoje dziewczęta. Doczekamy się pięknych rzeczy, jeżeli tak dalej pójdzie...

Pan Garçonnet potrząsał głową mówiąc „o rozpasanych namiętnościach", „o najgorszych dniach w historii krajowej". Peirette blady jak ściana nie mówił ani słowa, raz tylko zrobił uwagę komendantowi, żeby zachował się ciszej:

— Przez pana wszyscy zginiemy...

Powstańcy obchodzili się z tymi panami z jak największą grzecznością; podano im nawet wyborny obiad. Lecz dla takiego tchórza jak poborca podobne grzeczności były zatrważające: powstańcy żywili ich dlatego tak dobrze, żeby byli smaczniejsi, gdy ich zjadać będą.

Wieczorem Sylweriusz spotkał się ze swoim krewnym doktorem Paskalem. Uczony mąż szedł z bandą na piechotę i gawędził z robotnikami, którzy go uwielbiali. Naprzód usiłował powstrzymać ich od walki, potem powiedział jakby przekonany:

— Może macie słuszność, moi kochani, albo ja wiem? Bijcie się, kiedy chcecie, a ja z wami będę, żeby wam naprawiać ręce i nogi.

Z rana zbierał sobie jak najspokojniej po drodze kamyki i rośliny żałując, że nie zabrał swego młotka ani puszki botanicznej. Teraz zaś, wieczorem, kieszenie jego pękały od kamieni, z podróżnej torby zwieszały się korzenie roślin.

— A! To ty, mój chłopcze! — zawołał zobaczywszy Sylweriusza — sądziłem, że jestem tylko sam jeden z rodziny.

Sylweriusz bardzo był rad ze spotkania, doktor bowiem jedyny z Rougonów podawał mu rękę na ulicy i okazywał mu szczerą

życzliwość. Widząc go teraz w towarzystwie republikanów, ucieszony, że się do nich przyłączył, młodzieniec z gorączkową wojowniczością zaczął rozprawiać o świętej sprawie, o walce, o zwycięstwie. Doktor słuchał go z uśmiechem, ciekawie mu się przypatrując.

— Ach, jak ty się unosisz! Prawdziwy wnuk swojej babki.

Do siebie zaś mówił po cichu jakby robiąc notatki:

— Histeria albo zapał, szał haniebny albo szał wzniosły. Zawsze te diabelskie nerwy.

Potem dodał głośno:

— Rodzina jest w komplecie. Będzie miała bohatera.

Sylweriusz nie słyszał, bo mówił ciągle o przedmiocie, który go wyłącznie zajmował. Mietta stanęła o kilka kroków, nie chcąc się już oddalać od swego przyjaciela. Doktor spojrzał na nią i zadziwiony przerwał kuzynowi:

— Cóż to za dziewczynkę masz z sobą?

— To jest moja żona — odpowiedział Sylweriusz z powagą.

Doktor zrobił wielkie oczy. Nie zrozumiał. Lecz że był zawsze bardzo nieśmiały względem kobiet, odchodząc zdjął kapelusz i nisko się Mietcie ukłonił.

W nocy nadeszły wieści niepokojące. Jakiś powiew nieszczęścia zmroził powstańców. Ufność i zapał jakby przepadły w ciemnościach. Z rana fizjonomie były posępne, spojrzenia smutne, milczenie pełne zniechęcenia. Dowódcy ukrywali przez czas jakiś złe wiadomości, ale one rozeszły się nie wiadomo jakim sposobem. Strach paniczny opanował tłum; mówiono, że opór Paryża został złamany, że prowincje zdały się na łaskę i niełaskę, że znaczne oddziały wojska wyszły z Marsylii, pod dowództwem pułkownika Massona i prefekta departamentu de Bleriota, zdążając marszem przyspieszonym na poskromienie powstańców. Wieści te były przebudzeniem ze złudnych marzeń i przejściem do srogiej rzeczywistości. Więc tylko garstka miała odwagę wypełnić swój obowiązek! Cała zaś Francja korzyła się nikczemnie przed uzurpatorem! Dzisiaj więc, o tej godzinie oni są ludźmi zgubionymi, buntownikami, których wojsko przepędzać będzie jak drapieżne zwierzęta?

Tymczasem oni marzyli o wielkiej wojnie, o powstaniu całego narodu w obronie praw! Wobec tak groźnych wiadomości ta garstka ludzi opłakiwała upadek swojej wiary, rozwianie swoich snów. Niektórzy z nich złorzecząc Francji całej, rzucając broń siadali przy drodze z postanowieniem oczekiwania śmierci od kul żołnierskich, by pokazać światu, jak giną republikanie!

Chociaż biedni powstańcy mogli oczekiwać już tylko śmierci lub wygnania, to jednak tylko mała ich liczba opuściła szeregi. Łączyła ich solidarność godna naśladowania. Gniew natomiast cały zwrócił

się przeciw dowódcom. Dopuszczono się poważnych błędów; i oto teraz mała grupa bez karności i porządku, pod rozkazami ludzi chwiejnych, pod osłoną zaledwie kilku pikiet, była wystawiona na pastwę pierwszego lepszego oddziału wojska, który mógł nadejść lada chwila.

Powstańcy pozostali jeszcze dwa dni w Orchères, przez wtorek i środę, tracąc darmo czas, pogarszając tym swe położenie.

Dowódca wahał się, przygnębiony straszną odpowiedzialnością, jaka na nim ciążyła. We czwartek stanowczo osądził, że pozycja w Orchères była nie do utrzymania. O godz. pierwszej wydał więc rozkaz do wymarszu i poprowadził małą armię na wzgórza Sainte-Roure. Sainte-Roure było w istocie stanowiskiem nie do zdobycia, gdyby ktoś umiał go bronić. Domy piętrzyły się na stoku góry; za miastem ogromne skały zakrywały horyzont; innego przystępu tam nie było, jak przez równinę Nores, nad którą górowała esplanada, czyli plac na wyżynie wysadzonej wiązami. Na tej esplanadzie rozłożyli się powstańcy. Jeńców pomieszczono w oberży „La Mule Blanche" przy placu. Noc przeszła niespokojnie, mówiono o zdradzie. Z brzaskiem dnia dowódca, który zaniedbał wszelkich ostrożności, zrobił przegląd. Oddziały stojące szeregiem zwróciły się plecami do równiny i w chwili, kiedy improwizowany generał przejeżdżał konno przed frontem, szyldwach postawiony gdzieś w polu oliwnym przybiegł zadyszany i zawołał:

— Żołnierze! Żołnierze!

Powstało niesłychane zamieszanie, powstańcy zapominając o karności przybiegli na sam brzeg esplanady, by zobaczyć żołnierzy. Szeregi całkiem rozpierzchły się, gdy tymczasem wojsko stanęło w nieprzerwanej linii za drzewami oliwnymi; bagnety błyszczały.

Kontyngens z Palud i Saint-Martin de Vaulx uformował się wreszcie; pewien drwal, olbrzym, głową przewyższający wszystkich, krzyczał:

— Do nas, Chavanoz, Graille, Poujols, Saint-Eutrope! Do nas, Fulettes i Plassans!

Wezwani przeszli przez plac, by się połączyć z oddziałem. Dowódca przy szabli z kontyngensem z Faverolles, Vernoux, Corbière, Marsanne, Pruinas, oddalił się, by zajść z boku nieprzyjacielowi. Inne oddziały zwróciwszy się na lewo rozproszyły się po łące Nores jako tyralierzy.

Ludzie pochodzący z miasteczek i wsi nazwanych przez drwala zbierali się i formowali pod wiązami; z pozoru przedstawiali organizację wojskową, ale w gruncie rzeczy stanowili bierną masę, która mogła tylko umrzeć.

Plassanscyvcy znajdowali się pośrodku heroicznego batalionu; czerwony płaszcz Mietty z daleka odznaczał się pomiędzy szarymi ubiorami powstańców.

Przez chwilę panowała zupełna cisza. W oberży „La Mule Blanche" pokazał się Peirotte; chciał coś mówić i dawał znaki.

— Odejdź od okna! Zamknij je! — krzyczeli powstańcy. — Inaczej zginiesz!

Okiennice pozamykano natychmiast; zaraz dał się słyszeć miarowy krok zbliżających się żołnierzy. Szli pod górę ku esplanadzie, bagnety coraz bliżej się jeżyły. Sylweriusz stał w pierwszym szeregu i ściskał karabin pragnąc jak najprędzej dać ognia.

Bagnety zbliżały się zwolna, ale bez ustanku. Gdy głowy żołnierzy dosięgały już brzegu esplanady, Sylweriusz spojrzał na Miettę. Stała nieporuszona przy swojej czerwonej chorągwi. Wspinała się na palcach, by lepiej widzieć wojsko; oczekiwanie nerwowe, niespokojne rozszerzyło jej nozdrza, przez otwarte nieco usta błyskały białe zęby.

Sylweriusz uśmiechnął się do niej. Jeszcze nie zdołał głowy odwrócić, kiedy huknęły wystrzały, ale poszły za wysoko; kule pościnały masę gałązek i liści z wiązów. W pobliżu Sylweriusza rozległ się głuchy łoskot ciała ciężko padającego; to był trafiony ów drwal, który nad wszystkimi górował; na środku czoła miał czarną dziurkę. Wtedy Sylweriusz dał ognia ze swojej broni, przed siebie, nie patrząc gdzie, nie celując bynajmniej. Nabijał potem raz po razu i strzelał jak szalony, jak zwierzę, co nie myśli o niczym, tylko spieszy się, by zabijać. Nie widział już nawet żołnierzy; dym snuł się pod wiązami jak strzępy szarego muślinu. Z gwaru i huku dolatywały do uszu jego ciężkie westchnienia lub przytłumione rzężenie. Widział, jak się usuwano to tu, to tam dla zrobienia miejsca nieszczęsnym padającym. Ogień trwał już z dziesięć minut.

Nagle pomiędzy dwoma wystrzałami ktoś nagląco krzyknął: „Uciekaj, kto w Boga wierzy!" Inne znów głosy jęczały: „Och, nikczemni! Och, podli!" Podawano sobie z ust do ust wieści, że dowódca uciekł, że kawaleria rąbie tyralierów rozproszonych na łące Nores. Wystrzały nie ustawały. Jedni wołali: „Trzeba umrzeć tutaj!" Drudzy krzyczeli: „Uciekajmy! Uciekajmy!" Zaczął się popłoch. Uciekano rzucając broń, przeskakując przez poległych. Reszta zsuwała się w szeregi coraz mniej liczne. Na koniec na placu pozostało już tylko dziesięciu walczących. Z tych jeszcze dwóch uciekło, a z ośmiu padło trzech od jednego wystrzału.

Sylweriusz i Mietta pozostali nic nie rozumiejąc. Im bardziej kolumna się zmniejszała, ona podnosiła chorągiew coraz wyżej, trzymała ją przed sobą jak olbrzymią gromnicę. Kule przedziurawiły sztandar jak rzeszoto. On zaś strzelał, póki ładunków starczyło, potem patrzył oszołomiony nic nie widząc, nagle poczuł, że go coś po twarzy musnęło, jakby jaki wielki ptak skrzydłem. Podniósł

oczy i zobaczył chorągiew wypadającą z rąk Mietty, która z przechyloną głową, z rękami przyciśniętymi do piersi, z wyrazem okropnego cierpienia na twarzy osuwała się zwolna na ziemię.

— Podnieś się! — krzyknął wyciągając do niej rękę. — Chodź tutaj!

Ale ona nie wyjęknęła ani słowa, tylko leżała nieruchoma z otwartymi oczami.

Przyskoczył, padł na kolana:

— Jesteś raniona, mów? Gdzie jesteś raniona?

Nic nie odpowiedziała, dusiła się. Spojrzała na niego, dreszcze nią wstrząsnęły. Odchylił jej ręce.

— To tam, prawda?

Rozdarł stanik, obnażył jej piersi. Z lewej strony spostrzegł mały otworek różowy; tylko jedna kropla krwi wystąpiła na ranę.

Oczy młodzieńca napełniły się łzami; mówił łagodnie do niej:

— To mała rzecz, przyprowadzę Paskala, on cię wyleczy. Gdybyś tylko mogła wstać... Czy nie możesz wstać?

Ogień już ustał; żołnierze zwrócili się na lewo, szarżując na kontyngens prowadzony przez dowódcę. Na pustej esplanadzie znajdował się tylko Sylweriusz klęczący przy swojej ukochanej. Z rozpaczliwym uporem wziął ją w objęcia usiłując postawić na nogach, lecz ona doznała tak silnego bólu, że ją na powrót położył. Zaklinał, by przemówiła.

— Powiedz choć jedno słowo... proszę cię. Dlaczego nie chcesz mówić?

Nie mogła. Pokazywała ruchem rąk łagodnym i powolnym, że to nie jej wina; usta zaciskały się już pod dotknięciem śmierci. Miała włosy rozwiane, głowę otoczoną fałdami chorągwi, bladość grobową na licach; oczy jej tylko świeciły — wielkie, czarne oczy. Sylweriusz łkał głośno. Spojrzenie tych oczu rozdzierało mu serce. Czytał w nich wielki żal za uchodzącym życiem. Zdawało mu się, iż chce powiedzieć, że umiera sama jedna przed ślubem, nim została jego żoną; że to on chciał tego, że powinien był kochać ją, jak wszyscy chłopcy kochają swoje dziewczęta, ale teraz już za późno, już wszystko przepadło. Wyrzucał sobie, że może nie zrozumiał jej życzeń, całował jej pierś, którą obnażył, jej pierś czystą i piękną.

Pocałunek kochanka była to ostatnia radość Mietty. Śmierć rozwiązywała sielankę życia.

Ale on wołał.

— Nie, tobie nic nie będzie... zobaczysz. Nie mów, jeżeli ci trudno... Poczekaj, podniosę ci głowę, ogrzeję twe ręce, są zimne jak lód..

Strzelanina rozpoczęła się na nowo w plantacji drzew oliwnych. Tętent kawalerii dochodził od strony łąki Nores, wraz z krzykiem ludzi, których zabijano. Lecz Sylweriusz nic już nie słyszał i nie widział. Paskal biegnący na łąkę zobaczył go na ziemi, sądził więc, że jest ranny i przybliżył się. Młodzieniec, gdy poznał kuzyna, przyczepił się do niego pokazując Miettę.

— Zobacz, proszę cię, ona jest ranna, tam pod piersią... Ach! co to za szczęście, żeś przyszedł, ty ją uratujesz.

W tej chwili konwulsyjne drżenie wstrząsło konającą, usta jej otworzyły się cokolwiek i lekko odetchnęła. Oczy całkiem otwarte zatrzymały się na Sylweriuszu.

Paskal stał przez chwilę pochylony nad nią, potem podniósłszy się, rzekł z cicha:

— Umarła.

— Umarła! — Młodzieniec się zachwiał.

— Umarła? Och, nie! Ona nie umarła, to nieprawda... czy nie widzisz, że patrzy na mnie?

Schwycił doktora za suknie zaklinając, by nie odchodził, tylko ją ratował. Doktor usuwał się pomału, mówiąc głosem współczucia:

— Nic nie poradzę, mój drogi... puść mnie, biedny chłopcze, bo inni na mnie czekają. Ona nie żyje naprawdę...

Puścił go więc i znowu padł na ziemię. Umarła, umarła!... tętniało mu ciągle w uszach jak odgłos dzwonu żałobnego. Rzucił się na nią, ściskał, całował i płakał, a ona leżała zimna, nieruchoma. Przestraszył się, siadł na ziemi powtarzając z ogłupiałą miną:

— Umarła, a patrzy na mnie, nie zamyka oczu, widzi mię ciągle.

Tymczasem kawalerzyści nacierali na uciekających i rąbali ich niemiłosiernie. Tętent koni, głosy umierających przyciszały się stopniowo i oddalały się. Sylweriusz nie wiedział, że bój trwał jeszcze. Nie uważał, że doktor powracał przez esplanadę i napotkawszy karabin Macquarta podniósł go. Znał tę broń, gdyż nieraz widział ją nad kominkiem ciotki Didy; przyszło mu na myśl, żeby ją uratować od grabieży zwycięzców. Zaledwo zdążył wejść do oberży „La Mule Blanche", gdzie złożono znaczną ilość rannych, kiedy reszta powstańców pędzonych przez żołnierzy wpadła na esplanadę. Dowódca uciekł i to były już ostatnie oddziały, na które szarżowano. Nastąpiła rzeź prawdziwa. Pułkownik Masson i prefekt de Bleriot, zdjęci litością, nakazali żołnierzom cofnąć się, lecz ci, rozjuszeni, strzelali w tłum i na wylot przekłuwali nieszczęsnych bagnetami. Gdy nieprzyjaciół zabrakło, ostrzeliwali oberżę, chociaż krzyczano ze środka, że tam są jeńcy; strzały padały nieprzerwanie.

Komendant Sicardot wyszedł na próg domu, mówił i ruszał rękami. Przy nim stanął poborca Peirotte blady i wystraszony. Po nowych wystrzałach poborca padł na ziemię jak bezwładna bryła.

Sylweriusz wpatrywał się ciągle w oczy Mietty, nie słyszał nic dokoła siebie. Utarczka wreszcie się skończyła. Zabicie poborcy nie nasyciło żołnierzy; uwijali się jeszcze po wszystkich stronach esplanady, by nie przepuścić żadnemu z powstańców. Żandarm jakiś zobaczywszy Sylweriusza pod drzewami przybiegł; a przekonawszy się, że ma przed sobą prawie dziecko, zawołał:

— Co tam robisz, smarkaczu?

Sylweriusz nic nie odpowiedział. Żołnierz schylił się do niego i krzyknął:

— Ach, ten zbój, ręce ma poczerniałe od prochu; wstawaj łotrze! Zdasz teraz rachunek!

Gdy chłopiec nie ruszał się, tamten spostrzegł, że ciało leżące przy nim na czerwonej chorągwi było ciałem kobiety.

— Piękna dziewczyna, to szkoda! — mruczał. — Czy to twoja kochanka, co? Wstawaj... Przecież teraz, kiedy nie żyje, nie zostaniesz z nią tutaj!

Szarpnął Sylweriusza, postawił na nogi i pociągnął za rękę, jak się ciągnie psa za jedną łapę. Dał się ciągnąć, posłuszny jak dziecko, nie przemówił ani słowa. Oglądał się tylko poza siebie i patrzył na Miettę. Do rozpaczy go doprowadzało, że musi odejść, gdy ona sama jedna pozostaje pod drzewami. Z daleka ujrzał ją po raz ostatni. Leżała skromnie, otulona w czerwoną chorągiew, z głową zwróconą na bok, wielkimi oczyma patrząca w pustą przestrzeń.

(Rodzina Rougon-Marquart)

GUY de MAUPASSANT

tłum. * * *

* PRZYJACIELE

Paryż był oblężony, zgłodniały, doprowadzony do ostateczności. Rzadko wróble siadały na dachach, rynsztoki wyludniły się. Jedzono, co tylko jeść było można.

Pan Morrissot, zegarmistrz z profesji, z którego okoliczności zrobiły chwilowego żołnierza, chodził smutnie po bulwarach trzymając ręce w kieszeniach, gdy nagle ujrzał przed sobą szeregowca jak i on, w którym od razu poznał przyjaciela znad rzeki, pana Sauvage.

Przed wojną każdej niedzieli, skoro świt, Morissot wychodził z miasta trzymając w ręku długą trzcinę, a na plecach niosąc pudełko blaszane. Do Argenteuil udawał się koleją, skąd pieszo szedł aż do wyspy Marante. Przybywszy tu, siadał nad wodą i łowił ryby do późnego wieczora.

Każdej niedzieli spotykał tam pulchnego i wesołego człowieka pana Sauvage, kramarza z ulicy Notre-Dame-de-Lorette, zapalonego miłośnika połowu na wędkę. Całe dnie spędzali siedząc nad wodą z nogami spuszczonymi w koryto rzeki i to zbliżyło ich do siebie.

Niekiedy milczeli uparcie, czasem rozmawiali z wielkim ożywieniem, a zawsze rozumieli się doskonale mając podobne gusta i jednakowe cele.

Gdy wiosna zazieleniła okolicę, a ciepłe promienie słońca łagodnie ogrzewały plecy zapalonych rybaków, Morrisot mówił do przyjaciela:

— Co za rozkosz!

Na to odpowiadał mu Sauvage:

— Nie znam większej przyjemności.

W jesieni, gdy zachodzące słońce krwawo oświetlało rzekę zabarwiając pąsowym odcieniem cały horyzont, okolicę i dwóch nad rzeką siedzących przyjaciół, pana Sauvage patrząc na towarzysza wzdychał:

— Co za widok!

Pan Morissot nie odrywając oczu od pływaka odpowiadał:

— O ileż to piękniejsze od bulwarów, hę?

Spotkawszy się dziś, uścisnęli sobie silnie dłonie, wzruszeni, a pan Sauvage westchnął głęboko i rzekł:

— Co za czasy!

— Tak — odparł Morissot — a dziś pierwszy piękny dzień w tym roku!

Niebo było jasne, pogoda słoneczna.

Szli obok siebie zadumani, smutni.

— Pamiętasz nasze połowy, co to za miłe wspomnienie? — zapytał Morissot.

— Kiedyż powtórzą się dla nas te czasy — westchnął drugi.

Weszli do kawiarni, wypili absyntu i znów powrócili na chodnik. Nagle Morissot przystanął.

— Jeszcze szklaneczkę — rzekł.

— Do usług — odparł Sauvage i weszli do winiarni.

Po chwili znów ukazali się na ulicy. W głowie im się kręciło; głodne żołądki nie znoszą alkoholu. Wietrzyk muskał ich zaczerwienione twarze.

Sauvage odzyskiwał dobry humor.

— A gdyby tak pójść — tam.

— Gdzie?

— Na połów.

— Ale dokąd?

— Na naszą wyspę. Znam pułkownika Dumoulin, on nas chętnie przepuści.

Morissot zadrżał.

— Jak najchętniej, idę.

Rozłączyli się, każdy pośpieszył do domu po wędkę.

W godzinę potem szli obok siebie gościńcem aż do willi zamieszkiwanej przez pułkownika, który wysłuchawszy ich prośby uśmiechnął się i dał im hasło umówione na dzień bieżący.

Minęli pierwsze pikiety i za chwilę stanęli na brzegach Sekwany. Była jedenasta godzina.

Roztaczająca się naprzeciwko wieś Argenteuil miała pozór obumarłej. Rozległa dolina ziała pustką, pan Sauvage wskazał palcem na wzgórze i rzekł cicho:

— Tam są Prusacy.

Niepokój ogarnął przyjaciół.

— Prusacy!

Nie widzieli ich nigdy, ale od dwóch miesięcy czuli wroga tuż, pod murami Paryża, pustoszącego Francję, siejącego mord i pożogę, wszechwładnego, niezwyciężonego. Przesądna trwoga powiększyła jeszcze nienawiść, którą pałali względem tego narodu nieznanego a zwycięskiego.

— A gdybyśmy ich spotkali? — zapytał Morissot.

— Poczęstowalibyśmy ich rybami! — odparł tamten.

Wahali się jednak, czy iść dalej.

W końcu Sauvage zdecydował się iść dalej, rzucając przyjacielowi te słowa:

— Idźmy, tylko cicho i ostrożnie.

Pochyleni we dwoje przebyli winnicę pełzając popod krzakami z wytężonym wzrokiem i słuchem.

Niewielka płaszczyzna pozostawała do przebycia. Zaczęli biec szybko, po czym zatrzymawszy się usiedli między krzakami.

Morissot przyłożył ucho do ziemi. Cisza panowała dokoła. Byli zupełnie sami.

Uspokojeni zaczęli łowić.

Na wprost nich wyspa Marante smutny przedstawiała widok. Domek restauratora, zamknięty, stał samotnie wśród krzaków.

Pan Sauvage pierwszy ułowił kiełbika. Morissot chwytał drugiego i tak co chwila podnosili wędki ze zdobyczą. Prawdziwie był to „cudny połów".

Zdobycz wrzucali do siatkowego woreczka, który zwisał w wodzie, umocowany do nadbrzeżnej gałęzi. Radość wstąpiła do serc obu przyjaciół, którzy zakosztowali znów rozkoszy z utęsknieniem oczekiwanej.

Słońce ogrzewało im plecy, przestali mówić, myśleć, zapomnieli o świecie całym; łowili...

Nagle przeciągły odgłos rozległ się w przestrzeni, ziemia zadrżała. Huk armat wstrząsnął powietrzem.

Morissot odwrócił głowę i spojrzał w stronę, gdzie na widnokręgu czerniały kontury fortu Mont-Valérien z białym unoszącym się ponad nim obłokiem.

Dał się słyszeć drugi odgłos, potem trzeci, białe obłoki dymu unosiły się ku niebu.

— Rozpoczynają na nowo — rzekł Sauvage.

Morissot patrząc na zatapiający się pływak swej wędki oburzał się na tych szaleńców, którzy sieją śmierć i zakłócają spokój ludziom:

— Trzeba być bardzo głupim, żeby się tak zabijać!

— Gorzej, niż zwierzęta — przytaknął Sauvage.

— I pomyśleć, że tak zawsze było i będzie.

— Przecież Rzeczpospolita nie byłaby wypowiedziała wojny — zaprzeczył Sauvage.

Na to Morissot odrzekł:

— Gdy się ma króla, wojnę toczy się zwykle z sąsiadem; w Rzeczypospolitej zdarzają się najczęściej wojny domowe.

Zaczęli mówić o polityce wygłaszając zdania pełne rozsądku jak ludzie prości, lecz logiczni.

A Mont-Valérien rozrzucał dalej pociski niszcząc domy, pozbawiając życia wiele istot, niwecząc najpiękniejsze marzenia o szczęściu, łamiąc serca kobiet: matek, żon i kochanek, tu we Francji i tam, w innych krajach, siejąc ból i niepowetowane straty.

— Oto życie — ozwał się Sauvage.

— Powiedz raczej: oto śmierć.

Nagle drgnęli usłyszawszy krok w pobliżu. Tuż za ich plecami stanęło czterech ludzi uzbrojonych, w lokajskich liberiach i płaskich czapkach. Cztery lufy karabinów zwrócili ku nim. Wędki wypadły z rąk rybaków i popłynęły z wodą.

W minutę potem obaj skrępowani leżeli na dnie łodzi zmierzającej ku wyspie.

Spoza domku, który przed chwilą wydał im się opustoszały, wyszło dwudziestu pruskich żołnierzy.

Siedzący przed domem olbrzym brodaty, z fajką porcelanową w ustach zapytał więźniów po francusku:

— Jakże się panom udał połów?

Żołnierz złożył u nóg oficera worek siatkowy napełniony rybami.

— Ho, ho, wcale nieźle poszło — rzekł tenże — ale obecnie nie o to idzie. Posłuchajcie mnie, panowie. Dla mnie jesteście szpiegami, wysłanymi dla śledzenia nas. Udało mi się was schwytać,

tym lepiej: za chwilę będziecie rozstrzelani. To trudno, wojna nie żarty. Ale prawdopodobnie posiadacie hasło, za pomocą którego wyszliście z miasta. Proszę o to hasło, a będziecie wolni.

Przyjaciele nie poruszyli się. Blade ich twarze drżały.

Oficer ciągnął dalej.

— Nikt się nigdy o tym nie dowie, powrócicie spokojnie do domu unosząc z sobą tajemnicę. Odmowa wasza to natychmiastowa śmierć! Wybierajcie!

Nikt nie przerwał milczenia.

Niemiec spokojnie wskazał ręką w stronę rzeki:

— Za pięć minut w razie oporu będziecie tam, na dnie wody... Musicie mieć krewnych...

Huk armat rozlegał się w powietrzu.

Obaj rybacy stali obok siebie w milczeniu.

Oficer dał rozkaz. Odsunął się z krzesłem, by nie być w bliskości więźniów, naprzeciwko których dwunastu żołnierzy stanęło z karabinami w ręku.

— Daję panom minutę czasu do namysłu — rzekł oficer. — Ani sekundy dłużej.

Powstawszy nagle, odciągnął na bok Morissota i szepnął mu do ucha.

— Prędzej, wydaj pan hasło, towarzysz pański nie dowie się o tym nigdy. Udam, żem się w ostatniej chwili wzruszył.

Zagadnięty milczał uparcie.

Wtedy Niemiec powtórzył swój manewr z Sauvage'em. Lecz i ten nic nie odpowiedział.

Po chwili znaleźli się znów obok siebie.

Oficer objął komendę. Żołnierze podnieśli broń.

Spojrzenie Morissota padło na siatkę napełnioną kiełbikami. Promień słońca przeglądał się w rybiej łusce. Mimo wysiłków łzy napełniły oczy rybaka.

— Żegnaj, panie Sauvage — wyszeptał.

A ten, do którego zwrócone były te wyrazy, odparł:

— Żegnaj, panie Morissot.

Uścisnęli sobie dłonie trzęsąc się jak w febrze.

Oficer krzyknął właśnie:

— *Feuer!*

Dwanaście wystrzałów zlało się w jeden odgłos.

Sauvage padł na twarz. Morissot, nieco wyższy, zachwiał się, odwrócił i legł na trupie przyjaciela z twarzą zwróconą ku niebu. Strumień krwi broczył z piersi jego szeroką strugą.

Oficer wydał nowy rozkaz.

Żołnierze rozbiegli się, aby po chwili powrócić niosąc sznury i kamienie, które przywiązali do nóg zabitych. Po czym ponieśli ich na brzeg rzeki.

Fort Mont-Valérien nie przestał huczeć wyrzucając kłęby dymu.

Dwóch żołnierzy uniosło ciało Morissota, dwóch innych toż samo uczyniło z Sauvage'em. Zakołysano trupy w powietrzu i rzucono je w rzekę.

Woda plusnęła, zakłębiła się, pomarszczyła i wnet uspokojona płynęła dalej drobnymi falami.

Krew tylko zabarwiła je z lekka.

Oficer z niezmąconym spokojem rzekł:

— Teraz zaczną ucztę ryby.

Potem wrócili ku domowi.

Nagle spostrzegł worek z kiełbikami. Podniósł go, przyjrzał się z bliska i zawołał uśmiechając się:

— Wilhelmie!

Żołnierz w białym fartuchu nadbiegł natychmiast.

— Usmaż mi te rybki, póki jeszcze żywe. Będą wyborne!

Usiadł i spokojnie pykał dalej fajkę.

(Nowele)

GUSTAW FLAUBERT

tłum. * * *

OPERACJA

Aptekarz Homais wyczytał ostatnimi czasy pochwałę nowej metody leczenia zboczeń stopowych, a ponieważ był stronnikiem postępu, powziął myśl patriotyczną, że Yonville, aby nie zostać w tyle, powinno było mieć u siebie operacje strefopodyczne.

— Albowiem — mówił do Emmy — cóż się ryzykuje? Zważ, pani, tylko (tu wyliczał na palcach wszystkie korzyści przedsięwzięcia); powodzenie prawie niezawodne, ulga fizyczna i moralna dla chorego, sława nabyta prędko dla operatora. Dlaczego by mąż pani, na przykład, nie podjął się zoperowania tego biednego Hipolita spod „Złotego Lwa". Zważ, pani, że nie omieszkałby opowiadać o swym uleczeniu wszystkim podróżnym, a zresztą (tu Homais głos zniżał i oglądał się naokolo), któż by mi zabronił posłać do dziennika mały artykulik o tym? Mój Boże! dziennik przechodzi z ręki do ręki... artykuł nadesłany się czyta... mówią o nim... kula śniegowa rośnie! I kto wie? kto wie?

W samej rzeczy mogło się powieść Bovary'emu: nic nie wskazywało Emmie, żeby jej mąż nie był zręcznym chirurgiem; a co za radość dla niej, gdyby go skłoniła do kroku, od którego zależeć mogła jego sława i majątek? Pragnęła usilnie oprzeć się na czymś trwalszym od miłości.

Karol, naglony przez nią i przez aptekarza, dał się na koniec przekonać. Sprowadził sobie z Rouen książkę doktora Duvala i co wieczór zatapiał się w niej oparłszy łokcie na stole i ująwszy głowę w dłonie.

Podczas gdy pan Bovary studiował *equiny, varusy i valgusy*, to jest *strephocadopię, strephendopodię i strephexopodię* — czyli, mówiąc innymi słowy, rozmaite zboczenia stopy, na dół, na zewnątrz lub na wewnątrz — oraz *strephopodię i strephanopodię* — inaczej sprostowanie stopy na dół i sprostowanie do góry — pan Homais używał wszelkich środków wymowy dla skłonienia posługacza Hipolita, żeby się poddał operacji.

— Zaledwie może tylko lekki ból uczujesz — dowodził mu — będzie to proste ukłucie jak przy puszczeniu krwi, mniej bolesne niż przy wyrzynaniu niektórych nagniotków.

Hipolit otwierał szeroko swoje głupowate oczy.

— Zresztą — dodawał aptekarz — mnie to nie obchodzi, mówię to przez ludzkość dla ciebie. Chciałbym cię widzieć, mój chłopcze, uwolnionym od twego szkaradnego kalectwa, które bądź co bądź musi ci bardzo przeszkadzać przy spełnianiu twych obowiązków.

I Homais przedstawiał mu, o ile czułby się potem żwawszym i bardziej rześkim, dawał mu nawet do zrozumienia, że miałby więcej „szansy" podobania się kobietom, a chłopak uśmiechał się dobrodusznie. Wreszcie Homais uderzył w jego próżność.

— Nie jesteś mężczyzną, u kaduka! Cóż by to było, gdybyś musiał w wojsku walczyć pod sztandarami?... O, Hipolicie, Hipolicie!

I Homais oddalał się oświadczając, że nie pojmował tego uporu, tego zaślepienia, żeby odrzucać dobrodziejstwa nauki.

Nieszczęśliwy ustąpił wreszcie, gdyż formalne sprzysiężenie utworzono przeciwko niemu. Binet, który się nigdy nie mieszał do cudzych spraw, pani Lefrançois, Artemiza, sąsiedzi, sam nawet mer, pan Tuvache, wszyscy go namawiali, przekonywali. Jednak ostatecznie to zdecydowało, że nic nie zapłaci! Bovary zobowiązał się nawet dostarczyć przyrząd potrzebny do operacji, Emma zdecydowała się na tę hojność, poddała tę myśl mężowi; a Karol przystał na to, stwierdzając w duchu, iż żona jego jest aniołem.

Za radą aptekarza kazał sporządzić u stolarza, któremu dopomógł ślusarz, rodzaj pudełka, ważącego około ośmiu funtów, gdzie oprócz drzewa było jeszcze dużo żelaza, blachy, skóry, śrubek i zawiasów.

Jednakże, aby wiedzieć, które ścięgno przeciąć Hipolitowi, potrzeba było najpierw rozpoznać, jakiego rodzaju było zboczenie jego nogi.

Miał stopę tworzącą prawie linię prostą z piszczelem, a pomimo tego wykręconą ku wewnątrz, co tworzyło przez pół *equin*, przez pół *varus*. Ale z tym equinem, szerokim jak końskie kopyto, o twardych ścięgnach, chropowatej skórze, grubych palcach, których czarne paznokcie podobne były do gwoździ podkowy, *strephopoid* biegał jak jeleń od rana do późnej nocy. Widziano go ustawicznie na rynku, jak podskakując koło wozów wysuwał naprzód swoją niekształtną podporę. Zdawało się nawet, jakoby tę nogę silniejszą miał od zdrowej. Przez używanie nabyła tyle energii i wytrzymałości, że jeżeli miał jaką ciężką pracę, wolał się na niej opierać.

Otóż, jeśli to był *equin*, trzeba było najpierw przeciąć ścięgno Achillesa, a potem dopiero przystąpić do tylnego piszczelowego mięśnia, żeby się pozbyć *varusa;* lekarzowi nie wolno było za jednym razem odważyć się na dwie operacje; już nawet drżał z obawy, aby nie urazić jakiej ważnej części stopy.

Ani Ambroży Paré zastosowując po raz pierwszy od czasów Celsjusza, po piętnastu wiekach przerwy, natychmiastowe podwiązanie arterii; ani Dupuytren przystępujący do otworzenia wrzodu przez gruby podkład encefalów; ani Gensoul, kiedy po raz pierwszy odejmował górną szczękę — nie doznawali takiego bicia serca, nie drżała im tak ręka, nie mieli umysłu tak wytężonego, jak pan Bovary, kiedy przystąpił do Hipolita ze swym tenotomem w palcach. Na stole przy łóżku widziano, jak w szpitalach, stos szarpi, woskowe nici i mnóstwo bandaży — wszystkie bandaże, jakie się tylko znalazły w domu aptekarza. To pan Homais od samego rana poczynił te wszystkie przygotowania tak dla olśnienia tłumu, jak dla własnego złudzenia. Karol ukłuł skórę; usłyszano suche chrupnięcie. Ścięgno zostało przecięte, operacja była skończona. Hipolit nie mógł wyjść z podziwienia; chwycił ręce Bovary'ego i okrył je pocałunkami.

— Uspokój się — mówił aptekarz — później będziesz miał czas okazać wdzięczność twojemu dobroczyńcy!

I poszedł opowiadać o skutkach operacji kilku ciekawym, którzy stali na ulicy wyobrażając sobie, że ujrzą zaraz Hipolita chodzącego prosto. Karol zaś zamknąwszy nogę swego pacjenta w mechaniczny przyrząd powrócił do siebie, gdzie Emma oczekiwała go z niepokojem. Rzuciła mu się na szyję, usiedli do stołu. Karol jadł z apetytem, zażądał nawet przy wetach filiżanki kawy, na który to zbytek pozwalał sobie tylko przy gościach i w niedzielę.

Wieczór zeszedł im przyjemnie na rozmowie i wspólnych marzeniach. Mówili o przyszłym powodzeniu, o ulepszeniach, jakie zaprowadzą w domu; Karol widział już, jak wzrastało jego znaczenie, dobrobyt się podnosił, żona kochała go ciągle. Emma ze swej

strony czuła się szczęśliwa, że mogła wreszcie doznać trochę czułości dla tego biedaka, który ją uwielbiał. Przypomniała sobie na chwilę Rudolfa; lecz spojrzała na Karola; zauważyła nawet z podziwieniem, że miał wcale niebrzydkie zęby.

Byli już w łóżku, kiedy pan Homais, pomimo oporu służącej, wpadł nagle do ich pokoju trzymając w ręku kartkę świeżo zapisanego papieru. Była to reklama, którą przeznaczał do gazety *Fanal de Rouen*. Przyniósł ją, by pierwsi przeczytali.

— Przeczytaj pan sam — rzekł Bovary.

Pan Homais czytał, co następuje:

„Pomimo przesądów, które jak siecią pokrywają jeszcze znaczną część powierzchni Europy, światło jednak już przenikać zaczyna do naszych wiosek. We wtorek małe nasze miasteczko Yonville było widownią chirurgicznej operacji, będącej zarazem czynem wysokiej filantropii. Pan Bovary, jeden z najznakomitszych naszych lekarzy...

— O, to zanadto, zanadto! — mówił Karol, którego dławiło wzruszenie.

— Ależ bynajmniej! Jak to!... „dokonał operacji na skrzywionej od urodzenia stopie"... nie użyłem tu wyrażenia naukowego, ponieważ, wiadomo panu, w dzienniku... nie każdy by może zrozumiał; potrzeba, aby ogół publiczności...

— Rozumiem — rzekł Bovary. — Czytaj pan dalej.

„...Pan Bovary, jeden z naszych najznakomitszych lekarzy, uskutecznił operację na skrzywionej od urodzenia stopie Hipolita Tautain, posługacza stajennego od lat dwudziestu pięciu w zajeździe pod „Złotem Lwem", trzymanym przez panią Lefrançois, wdowę, na placu Broni. Nowość tej próby i ogólne współczucie dla operowanego sprowadziły taki napływ ludności, że tłoczono się u wejścia do zajazdu. Operacja powiodła się nadspodziewanie, zaledwie kilka kropel krwi wystąpiło na wierzch, jak gdyby dla zaświadczenia, że oporne ścięgno musiało wreszcie ulec pod naciskiem sztuki. Pacjent — rzecz szczególna — (a patrzyliśmy na to własnymi oczami) wcale nie uskarżał się na ból. Stan jego nie pozostawia nic do życzenia. Wszystko każe przypuszczać, że wyzdrowienie postępować będzie szybko. I kto wie nawet, czy na pierwszej wiejskiej uroczystości nie zobaczymy poczciwego naszego Hipolita, biorącego udział w skocznych tańcach pośród grona wesołych towarzyszy i dającego przez swe raźne hołubce świadectwo zupełnego swego uleczenia. Cześć więc szlachetnym ludziom nauki! Cześć tym niestrudzonym umysłom, które bezsenne noce poświęcają na prace, mającą na celu przyniesienie ulgi swoim bliźnim! Cześć, po trzykroć cześć!! Nie jestże to właściwa pora powiedzieć, że ślepi widzieć będą, głusi słyszeć, a chromi chodzić! Tylko, że to, co niegdyś przyrzekał fa-

natyzm swoim wybranym — to dziś nauka otwiera dla wszystkich! Nie omieszkamy czytelników naszych powiadomić o kolejnym przebiegu tej zajmującej kuracji".

Niemniej przeto w pięć dni później pani Lefrançois przybiegła przerażona wołając:

— Ratunku! Ratunku! On umiera! Głowę tracę!

Karol pośpieszył pod „Złotego Lwa", a pan Homais, spostrzegłszy go biegnącego przez rynek bez kapelusza, podążył za nim. Przybył sam zadyszany, czerwony, niespokojny, zapytując każdego, kogo spotkał na schodach:

— Co się stało naszemu zajmującemu *strephopodowi?*

Zajmujący *strephopod* wił się w srogich boleściach, tak że przyrząd mechaniczny, w którym ściśnięta była jego noga, uderzał w ścianę, jak gdyby miał ją rozwalić.

Z wielką ostrożnością, aby nie zepsuć położenia chorego członka, odjęto pudełko i ujrzano straszny widok. Kształty stopy znikały pod taką puchliną, że skóra zdawała się bliska pęknięcia, nadto występowały na niej sine plamy, spowodowane przez sławny przyrząd. Hipolit poprzednio już narzekał na ból dotkliwy, lecz na to nie zważano, w końcu jednak trzeba było uznać, że niezupełnie się mylił, zostawiono go więc przez kilka godzin w spokoju. Zaledwie jednak spuchlizna trochę się zmniejszyła, dwaj uczeni uznali za stosowne włożyć na powrót nogę w przyrząd zaciskając go jeszcze mocniej, dla przyśpieszenia skutku. Gdy po upływie trzech dni Hipolit nie mógł już wytrzymać, zdjęli znowu mechanizm dziwiąc się bardzo skutkom, jakie im się przedstawiły. Sina spuchlizna pokrywała całą nogę, a z licznych pryszczy sączył się czarniawy płyn. Rzeczy przybierały postać niepokojącą. Hipolit zaczynał się nudzić i pani Lefrançois umieściła go w małej salce przy kuchni, żeby przynajmniej miał trochę urozmaicenia.

Lecz poborca, który tam jadał obiad, wyrzekał gorzko na takie sąsiedztwo. Przeniesiono więc Hipolita do sali bilardowej.

Leżał tu, jęcząc pod grubymi kołdrami, blady, z zarośniętą brodą, zapadłymi oczami i od czasu do czasu przewracał głowę na brudnej poduszce, którą obsiadały muchy. Pani Bovary przychodziła go odwiedzać. Przynosiła mu starą bieliznę na opatrunki, pocieszała go i zachęcała do cierpliwości. Zresztą nie zbywało mu na towarzystwie, szczególnie w dnie targowe, kiedy wieśniacy wokoło niego grali w bilard, fechtowali się, palili fajki, pili, śpiewali, hałasowali.

— Jak się masz? — mówili uderzając go po ramieniu. — A, nie tęgo, jak się zdaje! Ale sameś sobie winien.

I opowiadali mu historie o ludziach uleczonych zgoła innymi lekarstwami; potem dodawali na pociechę:

— Bo też znanadto się pieścisz! Spróbuj wstać! Dogadzasz sobie jak król! Ale wiesz co, stary figlarzu? Ty wcale nie pachniesz.

W samej rzeczy gangrena posuwała się coraz wyżej. Bovary sam był już chory. Przychodził co godzina, co kwadrans. Hipolit patrzył na niego wystraszonymi oczyma, łkając zapytywał:

— Kiedy ja wyzdrowieję?... O, ratuj mnie pan! O, ja nieszczęśliwy! O, ja nieszczęśliwy!

Lekarz odchodził zalecając mu zawsze dietę.

— Nie słuchaj go, mój chłopcze — mówiła pani Lefrançois — dosyć cię już męczył. Dieta osłabi cię jeszcze. Masz, posil się.

I przynosiła mu talerz dobrego bulionu, kawałek pieczonej baraniny, chleba ze słoniną, a czasem kieliszeczek wódki, którego jednak nie miał odwagi podnieść do ust.

Ksiądz Bournisien, dowiedziawszy się, że było grzej przyszedł go odwiedzić. Zaczął od ubolewania nad jego cierpieniem dodając jednak, że należało się z tego cieszyć, ponieważ taka była wola Pana i korzystać ze sposobności pojednania się z Bogiem.

— Albowiem — mówił duchowny z wyrazem ojcowskiego napomnienia — zaniedbywałeś trochę twoich obowiązków, mój chłopcze; od ilu to już lat nie przystępowałeś do Stołu Pańskiego? Pojmuję, że zajęcia twoje, światowy zamęt mogły odwracać cię od starań o zbawienie duszy. Teraz za to masz czas pomyśleć o tym. Nie rozpaczaj jednak, znałem wielkich przestępców, którzy mając stanąć przed sądem boskim (nie jesteś jeszcze w tej ostateczności, wiem o tym) udali się do Jego miłosierdzia i w najlepszym usposobieniu życia dokonali. Miejmy nadzieję, że podobnie jak oni, zbudujesz nas dobrym przykładem! A tymczasem, cóż by ci szkodziło odmówić co rano i co wieczór jedno „Zdrowaś Maria, łaskiś pełna" i jedno „Ojcze nasz, któryś jest w Niebie"? Uczyń to dla mnie, dla zrobienia mi przyjemności. Co to kosztuje? Czy mi to przyrzekasz?

Biedak przyrzekł. Proboszcz powracał następnych dni, rozmawiał z oberżystką i opowiadał nawet anegdoty, przeplatane żarcikami i dwuznacznikami, których Hipolit nie rozumiał. Potem, jak tylko okoliczność na to pozwalała, zwracał się na tor materii religijnych przybierając stosowną powagę.

Gorliwość jego zdawała się odnosić pomyślny skutek, gdyż niebawem „strephopod" oświadczył chęć odbycia pielgrzymki do Najświętszej Panny Łaskawej, jeżeli wyzdrowieje. Na co ksiądz Bournisien odpowiedział, że nie ma nic przeciwko temu — dwie ostrożności lepsze zawsze, niż jedna. Nie miał nic do stracenia.

Aptekarz oburzał się na to, co nazywał machinacjami klerykalnymi; utrzymywał, że one opóźniały wyzdrowienie Hipolita i powtarzał pani Lefrançois:

— Dajcie mu pokój! Dajcie mu pokój! Nabawiacie go gorączki waszym mistycyzmem!

Lecz kobieta już nie chciała słuchać. On „to wszystko narobił". Na złość jemu nawet zawiesiła nad łóżkiem chorego kropielnicę z wodą święconą i gałązkę bukszpanu.

Jednak religia nie więcej zdawała się pomagać biedakowi od chirurgii, i nieubłagane gnicie posuwało się od kończyn ku żołądkowi. Na próżno urozmaicano mikstury i odmieniano kataplazmy, muskuły obnażały się coraz bardziej, aż na koniec pan Bovary na zapytanie zrozpaczonej pani Lefrançois, czyby nie należało sprowadzić z Neufchatelu pana Caniveta, słynącego na cały departament, odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy.

Pan Canivet, doktor medycyny i chirurgii, człowiek lat około pięćdziesięciu, pewny siebie i swego stanowiska, nie myślał ukrywać pogardliwego oburzenia, gdy zobaczył tę nogę, zgangrenowaną aż do kolana, a oświadczywszy bez ogródek, że trzeba ją amputować, poszedł prosto do apteki wymyślać na osłów, którzy mogli doprowadzić nieszczęśliwego człowieka do takiego stanu. Trzymając pana Homais za guzik surduta wykrzykiwał na cały głos:

— Wszystko to są paryskie wynalazki! Oto pomysły stołecznych panów doktorów! To na kształt chloroformu, prostowania zezowatych oczu i kruszenia kamienia w pęcherzu... same cudactwa, których rząd powinien by zakazać! Ale zachciewa się uchodzić za mądrego i pakuje się leki nie troszcząc się o ich skutki. My, prostacy, nie porywamy się na takie rzeczy, nie jesteśmy mędrkami, szarlatanami; jesteśmy sobie po prostu praktykami, lekarzami i nie przyszłoby nam do głowy operować zdrowiuteńkiego człowieka! Prostować skrzywione stopy! Czy to możliwe? tak samo, jak gdyby kto chciał wyprostować garbatego!

Homais słuchając tej mowy cierpiał męki, a swoje cierpienie pokrywał dworackim uśmiechem, zmuszony oszczędzać pana Caniveta, którego recepty przychodziły czasem aż do Yonville; toteż nie stanął w obronie pana Bovary'ego, nie pozwolił sobie zrobić żadnej uwagi, i odstępując od swych zasad poświęcił własną godność ważniejszym sprawom handlowym i finansowym.

Amputacja nogi przez doktora Caniveta była ważnym wypadkiem dla całej miejscowości! Wszyscy mieszkańcy Yonville wstali dnia tego wcześniej niż zwykle, mieścina chociaż pełna ludzi wyglądała ponuro, jak gdyby chodziło o stracenia zbrodniarza. W winiarni rozprawiano o chorobie Hipolita; w żadnym sklepie nie sprzedawano, a pani Tuvache, żona mera, nie ruszyła się od okna, ciekawa zobaczyć operatora.

Przyjechał w kabriolecie, którym sam powoził. Ale ponieważ koło z prawej strony przez długie używanie ugięło się pod cięża-

rem dobrej tuszy doktora, powozik pochylał się trochę na bok i można było widzieć na drugiej poduszce siedzenia spore pudełko pokryte czerwonym juchtem, którego trzy mosiężne klamry błyszczały.

Wpadłszy jak huragan pod bramę „Złotego Lwa" doktor donośnym głosem rozkazał wyprząc swego konia, potem poszedł do stajni zobaczyć, czy dobrze jadł obrok, bo pan Canivet, przyjeżdżając do chorych, zajmował się najpierw swoją klaczą i swoim kabrioletem. Mówiono nawet z tego powodu: „A! Pan Canivet! To znany oryginał". I ceniono go więcej jeszcze za tę niezachwianą pewność siebie. Świat cały mógł wyginąć do ostatniego człowieka, a on i wtedy nie zaniechałby najdrobniejszego ze swych przyzwyczajeń.

Ukazał się Homais.

— Liczę na pańską pomoc — rzekł mu doktor. — Czy wszystko gotowe? Chodźmy!

Lecz aptekarz rumieniąc się wyznał, że zbytnia czułość nie pozwala mu być świadkiem podobnej operacji.

— Kiedy się jest prostym widzem — rzekł — wyobraźnia, wiadomo panu, silnie działa. Prócz tego mam system nerwowy tak...

— Ba! — przerwał Canivet — pan mi się wydaje przeciwnie, skłonnym do apopleksji. Zresztą, nie dziwi mnie to. Wy, panowie aptekarze, ciągle siedzicie w waszej łacińskiej kuchni, co w końcu musi wpłynąć na wasz temperament. Patrz pan oto na mnie: co dzień wstaję o czwartej rano, myję się zimną wodą — mnie nigdy nie zimno — nie noszę żadnej flaneli, nie dostaję nigdy kataru, zawiasy dobrze się trzymają! Jadam raz tak, raz owak, filozoficznie, jak się trafi. Dlatego nie jestem taki wydelikacony jak pan i zupełnie mi wszystko jedno co krajać, czy podobnego sobie chrześcijanina, czy pierwsze lepsze kurczę. Powie pan: przyzwyczajenie... wszystko przyzwyczajenie!

Bez żadnego względu na Hipolita, który pocił się ze strachu pod kołdrą, dwaj panowie zagaili rozmowę, w której aptekarz porównywał zimną krew chirurga z walecznością generała na polu bitwy; to zestawienie pochlebiło Canivetowi, który się rozwodził o wymaganiach swojej sztuki. Uważał ją za kapłaństwo, chociaż ją hańbili konowały. W końcu powracając do chorego obejrzał bandaże, przyniesione przez pana Homais, te same, które figurowały przy pierwszej operacji, i zażądał kogoś do trzymania skazanego na odcięcie członka. Posłano po zakrystiana Lestiboudois. Pan Canivet zawinąwszy rękawy przeszedł do sali bilardowej, a aptekarz pozostał z oberżystką i Artemizą, które drżały słuchając pod drzwiami, bledsze od swych fartuchów.

Bovary przez ten czas nie śmiał ruszyć się z domu. Siedział w salce przy wystygłym kominku z głową spuszczoną na piersi, zło-

żonymi rękoma, oczyma błędnie wlepionymi w jedno miejsce. — Co za nieszczęście — myślał w duchu — jaki straszny zawód! A przecież nie zaniedbał żadnej ostrożności! Jakaś fatalność się przyplątała. Jakkolwiek bądź, jeżeliby Hipolit umarł, on byłby jego zabójcą. Nadto, cóż powie, gdy go inni pacjenci będą zapytywać? A może się w czymkolwiek pomylił? Szukał, lecz nie mógł znaleźć. Jednakże najsławniejsi chirurdzy mylili się czasem. Ale temu nikt nie uwierzy, przeciwnie, wszyscy wyśmiewać go będą, szkalować! To się rozniesie aż po Forges! Kto wie nawet, czy koledzy nie będą pisać przeciwko niemu? Wywiązałaby się z tego polemika, trzeba by odpowiadać w dziennikach! Sam nawet Hipolit mógłby mu wytoczyć proces. Widział się już zhańbionym, zgubionym! A wyobraźnia jego, pełna najrozmaitszych przypuszczeń, kołowała pośród nich jak próżna beczka, miotana morskimi falami.

Emma siedząc naprzeciwko męża i patrząc na niego nie podzielała jego upokorzenia, bo doznawała innego: że mogła sobie wyobrazić, iż taki człowiek wart był cokolwiek, jak gdyby już wielokrotnie nie przekonała się o jego mierności.

Karol zaczął się przechadzać wzdłuż i wszerz pokoju. Buty jego skrzypiały po podłodze.

— Usiądźże — powiedziała — drażnisz mnie!

Usiadł.

Jak mogła (ona, tak inteligentna) zaufać mu raz jeszcze? Jakież żałosne zaślepienie skłoniło ją do zaprzepaszczenia całego swego życia w nieustannych poświęceniach? Przypomniała sobie wszystkie swoje ambitne dążenia, wszystkie doznane niedostatki, prozę małżeństwa, domowego gospodarstwa, marzenia strącone w błoto jak jaskółki z przestrzelonymi skrzydełkami, wszystko, czego sobie odmówiła, wszystko, co mogła była mieć, a czego się pozbawiła; i dlaczego? dla kogo?

(Pani Bovary)

IWAN TURGIENIEW

tłum. Klemens Junosza

BURMISTRZ

O piętnaście wiorst od mego majątku mieszka pewien młody ziemianin, dymisjonowany oficer gwardii, Arkadiusz Pawłowicz Pienoczkin.

Zwierzyny w jego majątku jest bardzo wiele, dom zbudowany podług planów architekta francuskiego, służba ubrana po angielsku, obiady daje doskonałe, gości przyjmuje nader uprzejmie — i pomimo tego, jeżdżę do niego niechętnie.

Jest to człowiek rozsądny i stateczny, otrzymał wykształcenie, służył w wojsku, bywał w wyższych towarzystwach, a obecnie z powodzeniem zajmuje się gospodarstwem.

Arkadiusz Pawłowicz, mówiąc własnymi jego słowami, jest surowy, lecz sprawiedliwy, troszczy się o szczęście swych poddanych i wymierza im kary, również dla ich szczęścia. — Trzeba z nimi postępować jak z dziećmi — powiada — ciemnota, *mon cher, il faut prendre cela en considération* — sam, w wypadkach tak zwanej smutnej konieczności, unika wszelkich ruchów gwałtownych i nie lubi podnosić głosu.

Jest on niewielkiego wzrostu, kształtnie zbudowany, wcale niebrzydki, ręce i paznokcie utrzymuje bardzo starannie, rumiane jego usta i policzki kwitną zdrowiem.

Ubiera się z gustem, sprowadza książki francuskie, ryciny i gazety, lecz nie jest wielkim amatorem czytania. *Żyda, wiecznego tułacza* ledwie przemęczył. W karty gra doskonale. W ogóle Arkadiusz Pawłowicz ma reputację bardzo wykształconego szlachcica i najpoważniejszego kandydata do żeniaczki w całej naszej gubernii. Trzyma się zawsze dobrze, jest ostrożny jak kot, od urodzenia nie był wmieszany w żadną historię, chociaż w razie potrzeby lubi dać się poznać i zaimponować komu nieśmiałemu.

Złym towarzystwem literalnie pogardza, boi się skompromitowania; za to w wesołych chwilach ogłasza się za zwolennika Epikura, chociaż w ogóle o filozofii wyraża się pogardliwie, nazywając ją „mglistym pokarmem dusz niemieckich", a niekiedy po prostu brednią, nonsensem.

Muzykę lubi, przy kartach nuci przez zęby, lecz z uczuciem; pamięta różne wyjątki *z Łucji z Lamermooru i z Lunatyczki*, lecz śpiewa ją bardzo wysoko. Na zimę jeździ zwykle do Petersburga. Porządek w domu u niego jest nadzwyczajny; nawet stangreci poddali się jego wpływowi i codziennie nie tylko wycierają chomąta i czyszczą liberię, ale myją nawet swoje własne twarze.

Jego ludzie dworscy patrzą, co prawda, spode łba, ale u nas w Rosji trudno odróżnić człowieka ponurego od zaspanego.

Arkadiusz Pawłowicz mówi zawsze głosem miękkim i przyjemnym, z przerwami, jakby z przyjemnością przepuszczając każdy wyraz przez swe prześliczne, wyperfumowane wąsy; używa także wiele wyrażeń francuskich, jak to: „*mais c'est impayable*" — „*mais comment donc*" *etc.*

Z tym wszystkim, ja przynajmniej odwiedzam go, bo prawda, niechętnie i gdyby nie cietrzewie i kuropatwy, dawno bym przerwał tę znajomość.

Pomimo mojej niesympatii dla Arkadiusza Pawłowicza, przepędziłem jednak u niego noc. Nazajutrz rano, bardzo wcześnie

kazałem zaprząc do swej bryczki, lecz uprzejmy gospodarz nie chciał mnie puścić bez śniadania na sposób angielski i wprowadził mnie do swego gabinetu.

Razem z herbatą podano nam kotlety, jajka na miękko, masło, miód, ser itd.

Dwaj kamerdynerzy w czystych, białych rękawiczkach szybko i w milczeniu uprzedzali nasze życzenia.

Siedzieliśmy na perskiej sofie; Arkadiusz Pawłowicz miał na sobie szerokie szarawary jedwabne, czarną kurtkę aksamitną i żółte chińskie pantofle bez napiętków. Pił herbatę, śmiał się, przypatrywał się swoim paznokciom, palił, podkładał sobie poduszki pod bok i w ogóle czuł się w jak najlepszym usposobieniu.

Podjadłszy dobrze i z przyjemnością widoczną, nalał sobie czerwonego wina, podniósł kieliszek do ust i nagle zmarszczył się:

— Dlaczego wino nie ogrzane? — zapytał dość ostrym głosem kamerdynera.

Kamerdyner zmieszał się, stanął jak wryty i zbladł.

— Wszak pytam cie, kochanie, dlaczego wino nie ogrzane? — ciągnął spokojnie Arkadiusz Pawłowicz nie spuszczając z niego wzroku.

Nieszczęsny kamerdyner kręcił serwetą i nie odpowiadał.

Pardon, mon cher — rzekł uprzejmy gospodarz do mnie i znów zwrócił się do kamerdynera.

— No, idź — dodał po krótkim milczeniu i zadzwonił.

Wszedł człowiek gruby, czarnowłosy, z niskim czołem i podpuchłymi oczami.

— Zrobić tam porządek z Fedorem — rzekł Arkadiusz Pawłowicz półgłosem, spokojnie.

— Słucham — odpowiedział gruby i wyszedł.

— *Voilà, mon cher, les désagréments de la campagne* — zauważył wesoło Arkadiusz Pawłowicz. — Dokądże to? Zostań pan jeszcze, posiedź trochę.

— Nie — odpowiedziałem — już czas.

— Na polowanie. Och, ci myśliwi! Dokądże pan teraz jedziesz?

— Czterdzieści wiorst stąd, do Riabowa.

— Do Riabowa? W takim razie i ja pojadę z panem. Jest to tylko pięć wiorst od mojej Szypiłówki, a w Szypiłówce nie byłem już dość dawno, nie miałem czasu. Wybornie się składa: pan zapoluje, a wieczorem do mnie. Zjemy razem kolację, weźmiemy z sobą kucharza i przenocujesz pan u mnie. Prześlicznie, prześlicznie — dodał nie czekając na moją odpowiedź. — *C'est arrangé*. Hej! jest tam kto?... Kazać zaprząc do powozu, prędzej! Jedziemy! Jedziemy!

Zaczął śpiewać jakiś romans francuski.

— Pan zapewne nie wiesz — ciągnął — że tam u mnie chłopi płacą czynsz. Konstytucja. Cóż robić? Jednak czynsz płacą akuratnie, co prawda; dawno wziąłbym ich na pańszczyznę, ale mało ziemi i tak dziwię się, jak oni mogą wystarczyć, zresztą *c'est leur affaire*. Mam tak doskonałego burmistrza, *une forte tête*, mąż stanu, zobaczysz pan...

Cóż było robić. Zamiast o dziewiątej, wyjechaliśmy o drugiej; każdy myśliwy zrozumie moją niecierpliwość. Arkadiusz Pawłowicz zabrał z sobą taką masę bielizny, produktów, ubrań, perfum, poduszek i różnych neseserów, że dla niejednego oszczędnego Niemca wystarczyłoby to na cały rok. Przy każdym zjeżdżaniu z góry miał krótką, lecz energiczną przemowę do stangreta, z czego wywnioskować mogłem, że jest porządny tchórz. Zresztą podróż odbyła się bardzo pomyślnie, tylko na jednym, niedawno zreperowanym mostku, zawalił się wóz z kucharzem i tylnym kołem przygniótł mu brzuch.

Arkadiusz Pawłowicz, widząc tę katastrofę, przestraszył się nie żartem, i natychmiast kazał zapytać, czy kucharz ma całe ręce?

Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą natychmiast się uspokoił.

Jechaliśmy dość długo. Siedziałem w jednym powozie z Arkadiuszem Pawłowiczem; pod koniec podróży czułem się śmiertelnie znudzony, tym bardziej, że w przeciągu kilku godzin jazdy mój towarzysz wypowiedział już wszystko, co miał do powiedzenia i zaczął być liberalnym. Na koniec przyjechaliśmy, ale nie do Riabowa, lecz wprost do Szypiłówki. Tego dnia już polować nie mogłem i z bólem serca poddałem się losowi.

Kucharz przyjechał o kilka minut wcześniej od nas i widocznie już zdążył uprzedzić, kogo należało, dlatego, że przy samym wjeździe powitał nas starosta (syn burmistrza), wielki i ryży chłop, sążniowego wzrostu, konno i bez czapki, w nowej kapocie rozpiętej.

— Gdzież jest Sofron? — zapytał go Arkadiusz Pawłowicz.

Starosta najpierw zręcznie zeskoczył z konia, skłonił się do pasa i rzekł:

— Witajcie, ojcze Arkadiuszu Pawłowiczu.

Potem podniósł głowę i oznajmił, że Sofron pojechał do Perowa, lecz że już po niego posłano.

— No, jedź za nami — rzekł Arkadiusz Pawłowicz.

Starosta odprowadził konia na bok, wsiadł na niego i puścił się kłusem za powozem trzymając czapkę w ręku.

Jechaliśmy przez wieś; z przeciwnej strony, na próżnych wozach, jechało kilku chłopów; wracali oni z gumna, śpiewali pieśni podskakując całym ciałem i machając nogami w powietrzu.

Ujrzawszy nasz powóz i starostę nagle zamilkli, zdjęli swoje zimowe czapki (rzecz działa się latem) i patrzyli, jakby oczekując rozkazu. Arkadiusz Pawłowicz łaskawie się im ukłonił. Jakieś trwoż-

liwe zaniepokojenie widać było w całej wsi. Baby w kraciastych chustkach rzucały drewnami na niedomyślne czy też zbyt gorliwe psy, kulawy starowina, z brodą zaczynającą się pod samymi oczami, odciągnął niedopojonego konia od studni, uderzył go, nie wiadomo za co, w bok i dopiero się ukłonił. Dzieci w długich koszulinach biegły z krzykiem do chat, kładły się brzuchami na wysokim progu, zwieszały głowy, zarzucały nogi do góry i takim sposobem bardzo zgrabnie wpadały do ciemnych sieni, skąd się już nie pokazywały. Nawet kury biegły szybko na podwórze; jeden śmiały kogut z czarną piersią, wyglądającą jak atłasowa kamizelka, i czerwonym ogonem, zakręconym aż do samego grzebienia, został na drodze i chciał zapiać, lecz nagle zawstydził się i także uciekł.

Chata burmistrza stała opodal od innych, wśród zagonów gęstych, zielonych konopi. Zatrzymaliśmy się przed wrotami. Pan Pienoczkin wstał, malowniczo zrzucił z siebie płaszcz i wyszedł z powozu; żona burmistrza powitała nas niskimi ukłonami i podeszła do pańskiej rączki.

Arkadiusz Pawłowicz dał jej nacałować się do syta i wyszedł na ganek. W sieni, w ciemnym kącie stała starościcha i pokłoniła się również, lecz całować pana po rękach nie śmiała. W tak zwanej chłodnej izbie, z sieni na prawo, uwijały się dwie baby: wynosiły one stamtąd rozmaite rupiecie, puste dzbany, zdrewniałe kożuchy, garnki, kołyskę z dzieckiem i kupę gałganów; wymiatały śmiecie miotełkami łaziennymi.

Arkadiusz Pawłowicz kazał im wyjść i zasiadł na ławce pod obrazami. Stangreci wnosili kufry, szkatułki a różne pakunki, starając się wszelkimi sposobami zmniejszyć stukanie swoich ciężkich butów. Tymczasem Arkadiusz Pawłowicz wypytywał starostę o urodzaje, zasiewy i inne przedmioty gospodarskie. Starosta odpowiadał zadowalniająco, ale jakoś niezręcznie, jakby zmarzłymi palcami kaftan zapinał. Stał on przy drzwiach i ciągle się oglądał dając przejście zręcznemu kamerdynerowi.

Spoza szerokich pleców starosty udało mi się zobaczyć, jak żona burmistrza w sieni tłukła jakąś babę starając się, aby to było po cichu. Nagle zaturkotał wóz, zatrzymał się przed gankiem — i wszedł burmistrz.

Ten, według Arkadiusza Pawłowicza, mąż stanu był niewielkiego wzrostu, barczysty, szpakowaty i tęgi, z czerwonym nosem, maleńkimi niebieskimi oczami i brodą w kształcie wąchlarza. Zauważymy tutaj, że od czasu jak Rosja stoi, nie było jeszcze w niej okazu człowieka wzbogaconego bez szerokiej brody.

Niektóry przez całe swoje życie nosił bródkę rzadką, spiczastą jak klin — nagle, wzbogaciwszy się, obłożył się naokoło jak zorzą; — skąd się te włosy biorą?

Burmistrz widocznie podchmielił sobie w Perowie, twarz miał jakby spuchniętą i czuć było wódkę od niego.

— Ach, panie! ojcze nasz, łaskawco ty nasz! — zawołał jakby śpiewając i z takim zachwytem na twarzy, że zdawało się, iż natychmiast łzami się zaleje — raczyłeś to nareszcie do nas przybyć! Rączkę — dodał, zawczasu wyciągając usta.

Arkadiusz Pawłowicz zaspokoił to żądanie.

— No, cóż, bracie Sofronie, jak u ciebie idzie? — zapytał głosem łaskawym.

— Ach, panie, ojcze nasz! — wykrzyknął Sofron — i jakżeby mogło iść źle? Przecież pan, ojciec nasz, łaskawca nasz, raczyłeś zaszczycić swoim przyjazdem naszą wioszczynę, uszczęśliwiłeś nas aż do grobu! Dzięki Bogu, Arkadiuszu Pawłowiczu, dzięki Bogu, wszystko idzie pomyślnie, z łaski pańskiej.

Tu Sofron przerwał, popatrzył na pana i jakby znów porwany uczuciem (przy czym i wódka swoje robiła) jeszcze raz poprosił o rękę i zaczął znów:

— Ach, panie nasz! ojcze, łaskawco! dalibóg zgłupiałem zupełnie z radości. Patrzę i nie wierzę.

Arkadiusz Pawłowicz spojrzał na mnie, uśmiechnął się i zapytał:

— *N'est ce pas, que c'est touchant?*

— Tak, ojcze Arkadiuszu Pawłowiczu, i jakże to będzie? straciłem zupełnie głowę, nie raczyliście zupełnie zawiadomić o przyjeździe. Gdzie przepędzicie noc? Przecież tu nieczystość, śmiecie...

— To nic — z uśmiechem odpowiedział Arkadiusz Pawłowicz — to dobrze.

— Jak dla kogo dobrze; dla chłopa dobrze, ale wszak to nasz pan, ojciec, łaskawca. Wybaczcie mi głupiemu, żem rozum stracił. Dalibóg, zupełnie jestem jak odurzony.

Tymczasem podano kolację. Arkadiusz Pawłowicz zaczął jeść. Syna swego burmistrz wypędził z izby, żeby nie było zaduchu.

— No, cóż? rozmierzyliście się? — zapytał pan Pienoczkin, który widocznie chciał naśladować chłopski sposób mówienia i mrugał na mnie.

— Rozmierzyli, ojcze, wszystko z pańskiej łaski. Onegdaj podpisali papier. Chłynowscy z początku nie chcieli, żądali, Bóg wie czego żądali, ale to naród głupi. A my, ojczulku, z łaski twojej, wdzięczność pokazaliśmy; Mikołaja Mikołajewicza, pośrednika zadowolniliśmy. Wszystkośmy zrobili według pańskiego rozkazania, jak pan rozkazać raczył, takeśmy robili, i z wiadomością Jegora Dmitriewicza robiliśmy.

— Jegor mi o tym mówił — rzekł poważnie Arkadiusz Pawłowicz.

— A jakże, ojczulku, Jegor Dmitrycz...

— No, a teraz jesteście kontenci?

Sofron tylko na to czekał.

— Ach, ojcze nasz, łaskawco nasz! — zaśpiewał znów — wszakże my za pana modlimy się dzień i noc... Ziemi tylko trochę za mało.

Pienoczkin przerwał mu:

— No, dobrze, dobrze. Sofronie, ja wiem, żeś ty gorliwy sługa. A jakże z omłotem?

Sofron drgnął.

— No, panie nasz, ojcze... omłot, to nie bardzo dobry... ale... pozwólcie, ojczulku, Arkadiuszu Pawłowiczu, powiedzieć wam o bardzo ważnej sprawie (mówiąc to, przybliżył się do pana Pienoczkina, nachylił się i przymrużył jedno oko): martwe ciało znalazło się na naszym gruncie.

— Jak?

— Sam rozumem swoim pojąć nie mogę, ojczulku i łaskawco nasz; to szczęście, że się znalazło w bliskości cudzej miedzy, chociaż, nie chcę grzechu taić, na naszym gruncie. Ja je też zaraz na cudzy klin ściągnąć kazałem, póki było można; przystawiłem wartę, a swoim zapowiedziałem: macie milczeć. Policji zaś na wszelki przypadek objaśniłem: oto, jakie porządki, mówię, no... i herbata, i wdzięczność... I jak pan myśli, wszystko spadło na kark sąsiada, a wiadomo, że martwe ciało dwieście rubli, jak bułka za grosz.

Pan Pienoczkin śmiał się i cieszył ze zręczności swego burmistrza i kilkakrotnie odezwał się do mnie wskazując go ruchem głowy: „*Quel gaillard*".

Tymczasem na dworze ściemniało zupełnie. Arkadiusz Pawłowicz kazał sprzątać ze stołu i przynieść siano. Kamerdyner wydobył prześcieradła i poduszki. Sofron odszedł do siebie; przed zaśnięciem Arkadiusz Pawłowicz mówił o wielkich zaletach ruskiego chłopa i dodał, że od czasu, gdy Sofron zarządza majątkiem, włościanie szypiłowscy nigdy nie zalegają w opłacie czynszu i nie są winni ani grosza.

Nazajutrz wstaliśmy dosyć wcześnie, ja chciałem jechać do Riabowa, lecz Arkadiusz Pawłowicz pragnął mi pokazać swój majątek i uprosił, żebym został. I ja też chciałem przekonać się o zaletach wielkiego męża stanu, Sofrona. Przyszedł i burmistrz. Miał na sobie kapotę granatową, podpasaną czerwonym pasem. Mówił daleko mniej niż wczoraj, patrzył bystro i uważnie panu w oczy, odpowiadał składnie i dobrze. Razem z nim udaliśmy się na gumno. Syn Sofrona, sążnisty starosta, sądząc z powierzchowności człowiek bardzo głupi, poszedł również z nami i jeszcze przyłączył się do nas Fedosiewicz, dymisjonowany żołnierz, z ogromnymi, siwymi wąsami i szczególniejszym wyrazem twarzy; wyglądał on tak, jakby dawno zdziwił się czymś nadzwyczajnie i dotychczas nie mógł przyjść do siebie. Obejrzeliśmy gumno, stodoły, owczarnie, szopy, wiatrak, obory, ogrody warzywne, zagony konopi; rzeczywiście wszystko było w nadzwyczajnym porządku, jedynie tylko zmęczone i smutne twarze chłopów budziły jakieś wątpliwości. Oprócz

pożytecznego, Sofron myślał także i o pięknym. Wszystkie rowy obsadził wierzbiną, na gumnie porobił dróżki i wysypał piaskiem, na wiatraku zrobił chorągiewkę, wyobrażającą niedźwiedzia z otwartą paszczą i czerwonym językiem, do murowanej obory przylepił coś podobnego do frontonu greckiego i pod frontonem zrobił napis: „Zbódowna wefsi szypiłufce f tysiąc ośimset cztyrdziestym roku ta obora".

Arkadiusz Pawłowicz rozczulił się, a potem zaczął mi wykładać po francusku wszelkie korzyści oczynszowania, przy czym jednak dodał — że pańszczyzna dla obywateli jest daleko korzystniejsza.

Zaczął dawać burmistrzowi rady, jak sadzić kartofle, jak przygotować paszę dla bydła itd. Burmistrz słuchał pańskiej mowy z uwagą, niekiedy wtrącał swoje zdanie, lecz nie tytułował Arkadiusza Pawłowicza ani ojcem, ani łaskawcą i ciągle mówił, że ziemi mają za mało i że warto byłoby dokupić.

— No, więc kupcie — rzekł Arkadiusz Pawłowicz — kupcie na moje imię, nie mam nic przeciwko temu.

Na to już Sofron nic nie odrzekł, tylko brodę gładził.

— Jednak teraz by warto pojechać do lasu — zauważył pan Pienoczkin.

Wnet przyprowadzono konie wierzchowe i pojechaliśmy. W lesie zastaliśmy wielką gęstwinę i zapuszczenie, za co Arkadiusz Pawłowicz pochwalił Sofrona i poklepał go po ramieniu. Pan Pienoczkin, co do gospodarstwa leśnego, trzymał się ruskich pojęć i opowiedział mi zaraz nader zabawne, według niego, zdarzenie: jak jeden obywatel, żartowniś, przekonał leśniczego, wydarłszy mu na dowód pół brody, że od podrąbania las gęściej rośnie... Zresztą pod innymi względami Arkadiusz Pawłowicz i Sofron nie brzydzili się nowatorstwem. Gdyśmy wrócili do wsi, burmistrz pokazywał nam wialnię, niedawno z Moskwy sprowadzoną. Wialnia działała bardzo dobrze, lecz gdyby Sofron był wiedział, jaka nieprzyjemność czekała i jego, i jego pana, to z pewnością nie prowadziłby do wialni, lecz zostałby w domu, wraz z nami.

Oto, co się stało. Wychodząc z szopy ujrzeliśmy następujący widok: o kilka kroków ode drzwi, w pobliżu brudnej kałuży, w której wesoło chlapały się trzy kaczki, stali dwaj chłopi: jeden starzec sześćdziesięcioletni, drugi dwudziestoletni młodzieniec; obydwaj w domowych łatanych koszulach, boso i podpasani postronkami. Fedosiewicz kręcił się koło nich i zapewne namawiał, żeby się oddalili, i być może, że byłby ich namówił, gdybyśmy byli dłużej w stodole, lecz zobaczywszy nas wyciągnął się jak struna i jakby skamieniał. Tuż blisko stał starosta z otwartymi ustami. Arkadiusz Pawłowicz zmarszczył brwi, zagryzł usta, zbliżył się do chłopów, ci, milcząc, schylili się do jego kolan.

— Co wam trzeba? O co prosicie? — zapytał głosem surowym i trochę przez nos.

Chłopi spojrzeli jeden na drugiego i nie rzekli ani słowa, tylko przymrużyli oczy, jakby od słońca, i zaczęli prędzej oddychać.

— No, cóż wy — rzekł znów pan Pienoczkin — języków nie macie? — No, mówcie, co wam potrzeba? — dodał kiwnąwszy głową na starego — nie bójcie się, głupcy!

Starzec wyciągnął swoją ciemną, opaloną, zmarszczoną szyję i ochrypłym głosem rzekł: — Ratuj nas, panie — i znów uderzył w ziemię czołem. Młody chłop również nisko się ukłonił. Arkadiusz Pawłowicz z godnością na nich popatrzył i podniósł głowę.

— No, cóż takiego? Na kogóż się skarżycie?

— Zmiłuj się, panie, daj odetchnąć, zamęczeni jesteśmy zupełnie — (stary mówił z trudnością).

— Kto cię zamęczył?

— A Sofron, nasz ojcze i łaskawco.

Arkadiusz Pawłowicz milczał przez chwilę.

— Jak cię zowią? — zapytał.

— Antip.

— A to kto?

— To mój synek.

— No, więc czymże on cię zamęczył? — rzekł patrząc z góry na starca.

— Ojcze, zgubił nas zupełnie! Dwóch synów, choć kolej na nich nie była, oddał do wojska, a teraz i trzeciego zabiera. Wczoraj ostatnią krówkę z podwórza wyprowadził i kobietę moją pobił, oto łaskawca — powiedział i wskazał na Sofrona.

Pan Pienoczkin spochmurniał.

— Co to ma znaczyć — spytał burmistrza półgłosem i z widocznym niezadowoleniem.

— Człowiek pijany — odpowiedział burmistrz — próżniak, z zaległości nie wychodzi już piąty rok.

— Sofron Jakowlicz za mnie zaległość wniósł, już piąty rok temu jak wniósł — i od tej pory wpędził mnie w kabałę.

— A dlaczego była zaległość? — groźnie zapytał pan Pienoczkin. — Dlatego, że pić lubisz? po szynkach się włóczysz? Znam ja was, pilibyście tylko i na piecach leżeli, a porządny chłop musi za was odpowiadać.

— I grubijanin także — wtrącił burmistrz.

— No, to ma się rozumieć, zawsze tak bywa, ja już to nieraz zauważyłem; cały rok hula, nie szanuje nikogo, a potem do nóg upada.

— Ojcze Arkadiuszu Pawłowiczu — z rozpaczą rzekł chłop — zmiłuj się, broń mię; jakiż ja grubijanin? Jak przed Bogiem mówię, już siły nie starczy, nie lubi mnie Sofron Jakowlicz; za co

niech go Bóg sądzi, gubi mnie i niszczy, i teraz oto ostatniego syna, i tego... (po żółtych i zmarszczonych policzkach starca popłynęły łzy) zmiłuj się, panie, ratuj!

— I nie nas tylko — zaczął młody chłop.

Arkadiusz Pawłowicz nagle wybuchnął:

— A kto ciebie pyta? Nie pytają cię, to milcz. Co to jest? Milczeć, mówię ci, milczeć! Ależ to bunt! Nie, bracie, nie radzę ci się buntować, nie radzę. (Arkadiusz Pawłowicz zrobił krok naprzód, lecz zapewne przypomniał sobie o mojej obecności). — *Je vous demande pardon, mon cher* — rzekł z wymuszonym uśmiechem zniżywszy znacznie głos — *C'est le mauvais côté de la médaille*. No, dobrze, dobrze — rzekł nie patrząc na chłopów — ja każę... możecie odejść (chłopi nie ruszyli się); no, przecież powiedziałem wam, że dobrze, idźcież sobie, a ja każę to rozpatrzeć.

Arkadiusz Pawłowicz odwrócił się od nich.

— Wieczne niezadowolenia — rzekł przez zęby i szybkimi kroki poszedł do domu.

Sofron udał się za nim, starosta wystraszył kaczki z kałuży; chłopi stali jeszcze przez czas jakiś na tym samym miejscu, popatrzyli jeden na drugiego i nie oglądając się powlekli się w swoją stronę.

W dwie godziny później byłem w Riabowie i razem z Anpadistem, znajomym chłopem, wybierałem się na polowanie. Do samego mego odjazdu Pienoczkin krzywił się na Sofrona.

Zacząłem z Anpadistem rozmowę o włościanach szypiłowskich, o panu Pienoczkinie, zapytałem, czy nie zna tamtejszego burmistrza.

— Sofrona? jeszcze by też!

— A cóż to za człowiek?

— Pies, nie człowiek. Takiego psa do samego Kurska nie znajdzie.

— A cóż?

— Przecież Szypiłówka to tylko niby należy do Pienoczkina, właściwie Sofron ją posiada.

— Czy być może?

— Rządzi jak swoją własnością. Chłopi prawie wszyscy mu są dłużni; pracują na niego jak parobcy; posyła ich z dostawami, wszędzie.

— Ziemi, zdaje się, że mają niewiele...

— Niewiele? On u jednych Chłynowskich osiemdziesiąt dziesięcin dzierżawi, u naszych sto dwadzieścia, a przecież nie z samego tylko gospodarstwa ma dochody; on i końmi handluje, olejem, i konopiami, i Bóg wie czym; mądry on, bardzo mądry i bogaty, bestia; ale zwierzę nie człowiek, powiedziałem — pies.

— Dlaczegoż się na niego nie skarżą?

— A cóż to obchodzi właściciela? Zaległości nie ma, to dosyć. A zresztą — dodał po krótkim milczeniu — niech no by się kto spróbował poskarżyć, miałby od niego!

Przypomniałem sobie Antypa i opowiedziałem, com widział.

— No — rzekł Anpadist — teraz już on go całkiem zagryzie, a starosta go zamęczy. Biedaczysko, i za co cierpi? Na zebraniu poróżnił się z nim, z burmistrzem, wielka rzecz, a teraz on go, burmistrz, zaczął dziobać i zadziobie. Wie on, na kogo napadać, bogatszych gospodarzy nie rusza, łysy diabeł, a tu sobie pozwala; on to synów Antypa, chociaż kolei nie było, do wojska oddał, gałgan nielitościwy, pies, przebacz, Panie, grzechy moje.

Poszliśmy na polowanie.

(Z zapisek myśliwego)

V

ADAM ASNYK

* JULIUSZOWI MIEN

Omdlały rącze fantazji loty,
Już na szczęśliwe wyspy nie płynie,
Aby odnowić ludziom wiek złoty
W czarów krainie.

Dzisiaj myśl ludzka schodzi pod ziemię,
Z trudem kamienne żłobi koryto,
By wydrzeć mocy, która tam drzemie,
Zdobycz ukrytą.

Przygasło dumnych pragnień zarzewie,
Sny bohaterstwa, marzenia chwały,
Wielkie natchnienia w życiu i śpiewie
Zwolna przebrzmiały.

Dziś ludzkość trwożnie patrzy przed siebie
Szukając nowej gwiazdy przewodniej,
I o codziennym rozmyśla chlebie
Dla tych, co głodni!

Żal nam stubarwnej tęczy, co blednie,
Cudownych marzeń, co blask swój tracą,
Lecz ludzie muszą prawdy powszednie
Zdobywać pracą.

Żal nam poezji w pieśni i czynach,
I bohaterów żal nam pochodu,
Lecz ludzkość musi myśleć o synach
Ginących z głodu.

KTO WINIEN?

Z plecami zgarbionymi pod grubą, poplamioną, połataną salopką, z głową w płóciennej szmacie, spod której dobywały się roztargane pasma włosów, wyciągała ku pagórkowi śmieci, opasanemu drewnianą, dość wysoką ramą, ręce małe i które niegdyś kształtnymi być musiały, lecz teraz miały barwę zeschłego i przepalonego drewna, trzymały długi kij, z głęboko zakrzywionym krukiem, lecz były bezczynne. Drewniana rama, opasująca śmiecie, utrudniała jej bliski do nich przystęp. Więc też oczy jej spod powiek obrzmiałych przesuwały się po ohydnym pagórku z błyskami niepokoju i pożądliwości, a zmięte wargi wypuszczały z siebie swe niecierpliwe teraz, niespokojne, syczące: „Czyk — czyk! Czup — czyk — czyk!"

Piesek zaś, który przed chwilą przeskoczył już był parę umieszczonych jedna nad drugą desek, stał się prawie niewidzialny; bo elastyczne nagromadzenie prochów, zdziebeł, przedmiotów imienia nie mających, uginając się pod jego sprężystymi skokami, tak go niekiedy zasypywało i okrywało, że na powierzchnię wydobywały się zaledwie końce kudłatych uszu lub wierzchołek grzbietu, porosłego kępami żółtej, splątanej sierści. Szukał, węszył, rozkopywał, zwijał się, zapadał w głąb, wydobywał się na powierzchnię, pobudzany i zagrzewany przez nieustannie mruczące i syczące w pobliżu: „Czup — czyk! szukaj! szu-szu-szu-kaj, czup — czyk! szu-kaj!" aż podskoczył i wyciągniętej ku niemu ręce małej, ciemnej, drżącej podał u długiego pyszczka zawieszoną szmatę, po której poznać można było, że miała pierwotnie kolor czerwony. Ręka chciwie pochwyciła przedmiot i schowała go do płóciennej torby, a szare, zwinne zwierzątko było już znowu na środku pagórka, węsząc biegało po nim, rozgrzebywało je szybkimi ruchami przednich kończyn, zatapiało się w nich znowu, wydobywając się na powierzchnię w radosnych podskokach, przynosiło znowu ręce wyciągniętej ku niemu przedmiot jakiś, z trochą jeszcze metalicznego blasku, który ręka ta chciwiej niż poprzedzający pochwyciła i wrzuciła do płóciennej torby. Zaledwie zaś ta niegdyś obficie wyzłacana, a teraz zestarzała i na śmietnisko wyrzucona okładka książki zniknęła w torbie, piesek był już znowu na pagórku, rozgrzebywał go, biegał po nim, węszył, pracował...

Był to więc nie tylko ulubieniec i towarzysz, lecz również pomocnik. Pracowity pomocnik i wesoły. Skoki jego były sprężyste i lekkie, ze zmyślnego pyszczka wyrywały się kiedy niekiedy radosne poszczekiwania. A ona, kruk umieszczony u kończyny długiego kija z trudnością zatapiając tu i ówdzie w śmieciach, do których

dość przybliżyć się nie mogła, zgarbiona coraz więcej z coraz więcej iskrzącymi się pod obrzmiałą powieką oczyma, ciągle, bez ustanku, to mrukliwie i automatycznie, to z ponurą prośbą czy pieszczotą powtarzała swoje.

— Czup — czyk... szukaj... szu-szu-szu-szu-kaj Czyk-czyk-czyk-czyk!

Szukał też, szukał, znajdował, przynosił...

Dziedziniec pusty był; nie było na nim w tej chwili nikogo z ludzi. Na umieszczone w kącie dziedzińca i drewnianą ramą opasane śmietnisko, na dwoje istot pracujących nad tym, aby wydobyć coś z tego, co było niczym, aby otrzymać możność życia z tego, co było prochem i rozkładem, patrzały tylko duże, jasne, z wewnątrz firankami i kwiatami ubrane okna pięknej willi, żółtoczerwone drzewa otaczające dziedziniec ogrodu i jeszcze — szeroko otwarte oczy stojącej w pobliżu kobiety wysmukłej, zgrabnej, w miękkich fałdach czarnego okrycia. Oczy te pod czarnym skrzydłem kapelusza płonęły złotawą, gorącą źrenicą, pełną zdumienia i z wyrazem bólu przesuwały się od nisko zgarbionej postaci łachmaniarki do jej pracowitego pomocnika, aż wargi cienkie, od wzruszenia drżące, wymówiły:

— Julko!

Ale cichego wykrzyku nie usłyszała czy słyszeć nie chciała ta, której ręka wyciągała się po przedmiot, w tej chwili właśnie z radosnymi podskokami przez pieska przynoszony. Przedmiot ten jednak nie tak łatwo i prędko, jak poprzedzające, dawał się wyjąć z wysoko podniesionego i przekornie wstrząsającego się pyszczka. Była to duża kość, na której znajdowały się czarne i żółte resztki włókien mięsnych i tłuszczu. Piesek uczuwał snadź jakieś prawa do czynienia sobie uczty z tej odrobiny pożywienia albo przynajmniej wielkie jej pożądanie, bo nie oddawał kości ręce, która po nią sięgała i nawet w gardle jego ozwało się gniewne warczenie. Wtedy ręka, podobna do suchego opalonego drewna, tak mocno uderzyła najeżony od podniesionej sierści grzbiet pomocnika swego, że z piskiem bólu przypadł do ziemi, łupu jednak z pyszczka nie wypuszczając i na pochyloną nad nim twarz małą, ciemną, rozgniewaną, rzucając spojrzenie błyskające to trwogą, to złością.

— Oddaj! Czup-czyk... czyk... czyk... oddaj... od... daj! — syczały i warczały zgniecione, od gniewu wzbierające, drgające wargi kobiety.

Gardło psa odpowiedziało coraz głośniejszym, gniewniejszym warczeniem.

Ta walka człowieka ze zwierzęciem, człowieka rozjątrzonego ze zwierzęciem przywiązanym, ta walka o trochę żywności, kładącej na białą kość plamy czarne i żółte, była czymś tak dziwnym, dzikim, dziejącym się poza granicą zwykłego, ludzkiego świata, że z ust kobiety w czarnym ubraniu wyrwała dwukrotny wykrzyk:

— Julko! Julko!

Przestrach bez pamięci i współczucie bez granic uczyniły wykrzyk głośnym i nie mogła nie usłyszeć go ta, do której był zwrócony. Usłyszała najpewniej, ale zdawać się mogło, że nie tylko odpowiedzieć nie chciała, lecz że wzmógł on gniewne jej rozjątrzenie. Nie rękę już, lecz tym razem kij swój opuściła na grzbiet zwierzęcia, które u brzegu śmietnika zwinęło się z bólu, wydało parę pisków przeraźliwych i kość wypuściło z pyszczka. Lecz w tejże chwili i z nią również stało się coś niespodziewanego. Na odgłos przeraźliwego pisku, na widok bolesnego zwinięcia się pomocnika swego twarz jej skurczyła się od żałości i ciężka postać przypadła ku brzegowi śmietniska, z rękoma wyciągniętymi, którymi zaczęła śmiesznie, namiętnie gładzić grzbiet, pierś, głowę pieska. Z ust jej wychodziły szybkie, urywane, pełne żalu słowa:

— Czup-czyk... czyk-czyk! piesek! biedny! dobry! Czupczyk! Czyk-czyk pie... sek! pieseeeek! dobry! biedny! — Litowała się nad nim, przepraszała go; wykrzywionymi palcami wygrzebała kość zza drewnianej ramy, za którą była zapadła i, przybliżając ją do pyszczka psa, zaczęła prosić:

— Weź! weź! Czup-czyk! weź! jedz! piesku! jedz! Czup-czyk! czy-czyk!

W mruczeniu jej były teraz tony błagalne, niemal pokorne. Zdawało się, że tuż, tuż rozpłacze się z żalu i skruchy. Ale on dał się przebłagać łatwo i prędko; skoczył od razu na wszystkie cztery łapki, z radosnym tym razem zwinięciem się, polizał głaszczącą go rękę, po czym, wyciągnąwszy się rozkosznie na brzegu śmietniska, wziął w posiadanie przedmiot chwilowej walki i z zarzuconymi na grzbiet uszami zapalczywie ogryzać go począł. Ona zaś wyprostowała się i twarz, która od długiego pochylenia ku ziemi aż po białka oczu krwią nabiegła, podartym rękawem salopki ocierając, prawie wesoło mruczała:

— Czup-czyk-czyk! Czup-czyk! czyk-czyk...

W mruczenie to wmieszał się głos przyciszony tym razem, który znów wymówił:

— Julko!

Była potem chwila ciszy, w którą drzewa ogrodu otaczające dziedziniec, przedwieczornym wiatrem poruszane, wlewały trochę łagodnego szumu, słychać też było zgrzytliwe kruszenie się kości w głodnych zębach pieska.

Oczy łachmaniarki, dziwnie pod zmarszczonym czołem i obrzmiałymi powiekami błękitne i błyszczące, zatapiały się w twarzy kobiety wysmukłej i czarno ubranej, która o kilka kroków od niej stała, tak jak i ona, u opasującej śmietnisko ramy drewnianej. W oczach tych nic nie było prócz gniewnego zniecierpliwienia, połączonego z trochą urągliwej ciekawości. Głos chrypliwy, pełen urągliwego przedrzeźniania, mówić począł.

— No i cóż? Julka i Julka! Czegoś stanęła nade mną jak diabeł nad potępioną duszą i piszczysz: Julka! Julka! Myślisz, że nie mam uszu i nie słyszę?... Słyszałam, i kiedy nie odzywałam się do ciebie, to widać, że nie chciałam... A ty znowu... No, Julka jestem, to i cóż? A ty jesteś dawniejsza panna Julia, czy tam panna Julcia... panienka, królewna... a teraz taka sama pani... królowa!... Myślisz, że nie poznałam ciebie? Oho! Od razu, tak jeszcze na ulicy poznałam i zawierciło mi w sercu. Ot, jaka ona teraz, a jaka ja!... Kiedy przeszłaś mimo i dalej sobie poszłaś, pożałowałam tylko, że nie plunęłam na twoją bieluśką twarzyczkę i na tę twoją sukienkę błyszczącymi pacioreczkami wyszywaną... A ty wróciłaś się, stanęłaś tu nade mną i zaczęłaś swoje: Julka! Julka! Czego przyczepiłaś się? Po co diabli cię tu przynieśli? Czego chcesz?

Kobieta, na której okryciu pobłyskiwało trochę czarnych dżetów, z oczyma od łez błyszczącymi, z cicha mówić zaczęła.

— Dlaczego gniewasz się? wszak nie uczyniłam i nie chce uczynić ci nic złego. Kiedy zobaczyłam cię i poznałam, kim jesteś, ogarnął mię taki żal, że straciwszy cię z oczu, szukałam. Wszakże byłyśmy razem młode... szczęśliwe...

Wzruszoną, łagodną tę mowę przerwał śmiech, podobny do wielu szybko po sobie następujących gwizdnięć.

— Pfi! pfi! pfi! pfi! — śmiała się gruba szara postać w łachmanach i, wyprostowana teraz, drąg swój z krukiem prostopadle przed sobą, w obu silnie zaciśniętych rękach trzymając, przedrzeźniała:

— Byłyśmy razem młode... szczęśliwe... pfi! pfi! pfi! A teraz ty nieszczęśliwa?... co? Może jeść czego nie masz? Może w jakiejś norze zimnej i mokrej mieszkasz? Może sukieneczek błyszczącymi pacioreczkami naszywanych nie nosisz? Nie bój się! Masz ty wszystko, czego do szczęścia potrzeba... Oho! takie, jak ty nie giną!

Od gniewnego uniesienia, z jakim mówiła, trochę śliny wystąpiło na jej zmięte, zżółkłe wargi, a inne usta od wzruszenia drżące, spod skrzydła czarnego kapelusza, w odpowiedź jej szeptały:

— Nie jestem szczęśliwa... o! gdybyś wiedziała...

Ale ona oczyma, podobnymi do turkusów w słońcu roziskrzonych, patrzała na czarne skrzydło kapelusza piórem strusim przystrojone i na twarz w cieniu jego białą...

— Razem byłyśmy młode!... A prawda! Może rok starszą jestem od ciebie, może dwa... a patrzcie tylko, moi ludzie, jak to wygląda, jakie to jeszcze ładne, młode... Śliczności! Śliczności! Troszkę tylko zmarszczek nazbierało się koło oczków i twarzyczka trochę schudła... ale za to bieluśka jaka... i delikatna... i figurka jak u panienki... Śliczności! Śliczności!... Łatka spłynęły po tym jak woda po kamieniu... I alboż nie kamień? alboż to zatroskało się kiedy o cokolwiek? alboż co przecierpiało? albo stękało w wilgotnym kącie z głodu i chłodu? Alboż przepłakiwało noce z opuszczenia i sieroctwa? Alboż przewracało się z choroby po szpitalnych łóżkach? Wiadomo! Z rodu niiawek! Krwią ludzką opita, to i ślicznie wygląda sobie! Pfi! Pfi! Pfi!

Kij z krukiem trząsł się w jej skurczonych rękach i połatana salopka trzęsła się u jej piersi, wstrząsanej gwiżdżącym śmiechem. Ramieniem grubym od watowanego rękawa uczyniła gest wzgardliwy i jakby nagle o czymś sobie przypominając odwróciła się do pieska, wciąż jeszcze kość gryzącego:

— Czup-czyk... czyk... czyk... jedz, piesku..: jedz..: jedz... biedny... Czup... czyk... czyk..: czyk...

Pochylona nisko, znowu głaskała pieska po grzbiecie i głowie, na które też z oczu padały duże ciężkie krople...

— Pfi! pfi! pfi! — zaśmiała się raz jeszcze, a na kudłaty grzbiet pieska padały od jej pochylonej nad nim twarzy duże, ciężkie krople.

Kobieta w okryciu błyszczącym trochą dżetowych paciorek szybko przybliżyła się i tuż przy niej stanęła. Dojrzała jej łzy i przyjrzała się dwom bliznom czerwonym, sinawym, które na policzku i szyi jakieś dawno zagojone rany zostawiły po sobie na zawsze. Coś jakby piętna, niegdyś przez okrutne prawo na twarzach winowajców wypalane; jakby pamiątka długich nocy przewracania się na łóżku szpitalnym.

Żalem bezmiernym, litością bez granic nabrzmiały głos mówić zaczął:

— Julko! posłuchaj mię, posłuchaj! Lubiłyśmy się w młodości, nieprawdaż? Czy nie pamiętasz matki mojej, tak dobrej, miłosiernej dla biednych, i ojca mego, który cię wziął do swego domu, dlatego, że byłaś przez swego ojca bitą i krzywdzoną? Czy nie pamiętasz tego cichego, pięknego domu, w którym wzrastałyśmy tak blisko siebie, tak często bawiąc się i ucząc się razem? Dlaczegoż, za cóż teraz gniewasz się na mnie i mówisz do mnie tak, jakbym ci jakąś straszną krzywdę wyrządziła? Mnie ciebie taki żal... taki żal... tak ogromnie chciałabym zrobić cokolwiek... cokolwiek... aby tobie... aby tobie...

Urwała zmieszana, zlękniona, bo w powietrzu zagwizdał znowu śmiech nieprzebłagany.

— Pfi! Pfi! Pfi! Powiedziała, co wiedziała! Powiedziała, co wiedziała, a nic nie wiedziała! Głupia, choć edukowana! Pfi! Pfi! Pfi!

Wyprostowała się znowu, w obie ręce chwytając kij swój, który zarysował pomiędzy nimi linię prostopadłą, wysoką, z ostrym krukiem u góry.

— Lubiłyśmy się!... Lubiłyśmy się!... Dom piękny!... Matka miłosierna!... Stare bajki! Bzdurstwa! Oszukaństwa! A skąd wiadomo, że ja ciebie lubiłam wtedy, kiedy ty w salonie na fortepianie grałaś, a ja w garderobie suknie dla ciebie prasowałam? Kiedy ty ze ślicznym paniczem, co o twoją rączkę starał się, po ogrodzie spacerowałaś, a ja w kącie tego samego ogrodu trawy dzikie jak rosą łzami swymi polewałam o tym ekonomskim synie myśląc, za którego twoja miłosierna matka wyjść mi radziła. Tobie śpiewające klawisze fortepianu, a mnie śmierdzące żelazko do prasowania! Tobie panicz piękny, delikatny, edukowany, a mnie ekonomczyk z grubą mordą czerwoną i brudnymi pazurami! Przed tobą świat cały otworem, ze wszystkimi wojażami, balami, elegancjami, a przede mną czarny zagon, na którym będę pokrzywy spomiędzy marchwi wyciągać, i taki sam twardy, jak ten zagon, kułak mężowski! A ty i twoja miłosierna matka myślała, że ja tej różnicy pomiędzy dolą twoją i moją nie widzę, że ja tej krzywdy swojej nie czuję, że ja słońca jasnego i ciemnej nocy nie pytam się, dlaczego to tak? za co? jakim prawem? Nie byłam brzydsza od ciebie, ej, czy tylko nie ładniejsza! Czym ja byłam od ciebie gorsza? Jeszcze nic złego w duszy swojej tamtego czasu nie miałam. Takie same, jak ty niewiniątko! Lubiłyśmy się! Pfi! pfi! pfi! Czasem to i lubiłam ciebie, prawda! Kiedy, bywało, obejmiesz mnie jak równą, i razem do ogrodu pobiegniemy albo kiedy mnie w ładnym pokoju przy sobie posadzisz, to tak ciebie lubiłam, że zdaje się, życie oddałabym za ciebie. Ale przychodziły i takie godziny, że nie miałaś gorszej nieprzyjaciółki ode mnie, że gdybym mogła, to bym cię, zdaje się, własnymi rękoma na dwoje rozdarła... ot, co! Lubiłyśmy się! Pfi! pfi! pfi! Śmiej się ty z takiego lubienia! Dopóki głupia byłam, lubiłam! Ciebie lubiłam, wszystkich lubiłam. Ale jak zaczęłam nabierać rozumu, jak mi krzywda zaczęła po grzbiecie sześciu końmi jeździć... krzywda... krzywda... Czy wiesz, co to krzywda? Ty nie znasz żadnej krzywdy... ty sama, sama krzywdzicielka! No, to i ciesz się, ale do mnie nie przychodź! Czego do mnie podeszłaś?... Czy ja ciebie wołałam? Ja nad swoim śmietniskiem... To moje; to mój dom; moje królestwo! Ty do tego nie masz prawa. A może wy już śmietniska chcecie biednym ludziom odebrać? I odbieracie! Deskami ogradzają... Moda teraz taka nastała, aby śmietniska deskami ogradzać... Byle najbiedniejszemu człowiekowi ostatni kęs chleba z gęby wydrzeć... Ale niedoczekanie wasze! Nie ja wygrzebię, to pies wygrzebie... lepszy od was... Czup-czyk-czyk-czyk...

Zdyszana, trzęsąca się, z białkami oczu krwią zaszłymi, odwróciła się, pochyliła nad pieskiem i ruchem porywczym kość z przednich kończyn mu wyrwawszy wrzuciła ją do torby. Po czym kij swój w całej długości wyciągając, z zapalczywością poczęła krukiem w śmietnisko uderzać wymrukując szybko, namiętnie, sycząco swoje:

— Czyk—czyk... szukaj... szu... szu..: szu—szu szu... kaj! Czyk —czyk!

Skoczył i ucztą posilony, syczącym wzywaniem zagrzewany, szukać począł, ale ona, po kilkakrotnym zapalczywym uderzeniu krukiem o pagórek śmiecia, z taką samą zapalczywością z jaką uderzała, obróciła się do kobiety, w skamieniałej nieruchomości o parę kroków od niej stojącej. Przelewał się w niej, gotował się, warczał kipiątek palący, gorzki — i wylewać go z siebie musiała!

— Dom piękny!... Miłosierdzie! Litość nad nieszczęśliwym dzieckiem! Dobrodziejstwa! Pfi! pfi! pfi! Stare bajki, oszukaństwa! Ojca pijaka miałam i bił mnie — to i co? Macocha jeść mi nie dawała — to i co? Trzeba było zostawić mnie u nich, nie ruszać, może by zabili. niechajby zabili, a jeżeli nie zabili, to mnie i ekonomczyk ten albo kto gorszy jeszcze i wyrywanie pokrzywy z zagonów byłoby szczęściem, bo innego bym nie znała, nie widziała. Ale zlitowali się, wzięli i — co dali? Piękny dom pokazali, na śliczności różne patrzeć kazali, do kremów i kurczątek pieczonych przyzwyczaili — na ładną i delikatną dziewczynkę wychowali — a potem za ekonomczyka wychodź... my swoją córkę za panicza pięknego jak anioł wydamy, a dla ciebie ekonomczyk w sam raz... albo w służbę idź, bo my musimy do miasta na mieszkanie wyjechać... Otóż nie wyszłam za ekonomczyka i w służbę nie poszłam... Mnie także panicza chciało się i balów, i elegancji... A jakże? Albo to nie miałam takiego samego prawa, nie napatrzyłam się, nie przywykłam... w pięknym domu? I ot... pokrzywy z zagonów nie wyciągałam, ale za to stare łachmany i ogryzione przez psów kości ze śmietnisk wyciągam! Takie wasze miłosierdzie... takie łaski... stare bajki... oszukaństwo! Ot, co! I ty nie przychodź tu oczy mi dobrodziejstwami swego tateczka wypiekać, bogaczów, wypijaczów krwi ludzkiej... niech ich...

— Nie kończ, nie kończ! — krzyknęła kobieta w czarnym ubraniu i cała drżąca, łzami zalana, w obie szczupłe swe ręce, ładnymi rękawiczkami okryte, chwyciła trzęsącą się od uniesienia, twardą, ciemną rękę, z której przed chwilą ze stukiem na bruk dziedzińca wypadł kij z krukiem.

Nie wiadomo, czy słyszała wszystko, co ta rozjątrzona, ta zrozpaczona, ta straszna do niej mówiła, bo gdy mówiła, ona wpatrywała się w blizny na jej szyi i policzku tak wytężonym wzrokiem, jakby nic oprócz nich widzieć nie mogła, jakby słyszeć nie mogła

nic, prócz tej jakiejś historii okrutnej, o której opowiadały blizny te i dokoła nich zmarszczki rojami ponurymi obsiadające skórę wyschłą, zżółkłą, w każdej tkance swej przepojoną bólem, śmiercią.

— Nie kończ! O, nie kończ! Bo jeśli przeklniesz ojca mego, nie będę mogła dłużej mówić z tobą ani cię wydźwignąć z tej otchłani... O Boże! jakaż otchłań nędz i złości! Jakim sposobem mogłaś stać się tak nieszczęśliwą i napoić serce takim strasznym, takim nieprzebłaganym gniewem?... Jak się to stało... Jak do tego przyszłaś? co... kto... jakie zdarzenia...

Nie pozwoliła jej dokończyć, ale wyprostowana tak, że wydawała się wyższą niż przedtem i mniej grubą ze swoim wyprostowanym i wysokim kijem w obu rękach, głosem mniej niż przedtem porywczym, lecz surowym i ponurym, mówić zaczęła:

— A tobie co do tego? A na co tobie ta wiadomość? Czy do tego czasu dowiadywałaś się kiedy?... Przez tyle lat czy przychodziło ci do głowy dowiadywać się? Ani dbałaś, ani myślałaś, ani wspomniałaś, opływając we wszystko, na balach tańcując, karmelki gryząc... A teraz... pfi! pfi! pfi! przypomniała sobie babka dziewiczy wieczór! Zachciało się dowiedzieć... jakim sposobem? co? kto? I taka edukowana, rozumna, a sama domyślić się nie może! No, to już powiem! Pfi! pfi! pfi! Chcesz wiedzieć kto... co... no, to powiem... patrzaj...

Jeden koniec kija swego od ziemi oderwała, a drugim, w kruk zaopatrzonym, poczęła wodzić w powietrzu, wskazując wielkie, jasne, w kwiaty i firanki zdobne okna willi wznoszącej się nad dziedzińcem. Wskazywała je od pierwszego do ostatniego i potem znowu od ostatniego do pierwszego, mówiąc:

— Oto kto! Oto co! Te białe pałace... te kwiateczki, te firaneczki... te ludzie za tymi oknami, za wszystkimi takimi oknami... Wszystkie ludzie, co za takimi oknami razem z tym pierwszym paniczem, którego mnie zachciało się i który mnie zechciał... razem z tymi, co potem... razem z tobą... z twoją miłosierną matką i ze wszystkimi wami, co wszystkie smaczne pierogi z tego świata wyjadacie i wszystkie słodkie kremy z niego zlizujecie, dla biednych ludzi kości ogryzione przez te śliczne okna wyrzucając... Ot, co! Chciałaś wiedzieć kto i co? No to wiesz teraz i daj mnie pokój, odczep się... idź i króluj, jak do tego czasu królowałaś i o mnie nie dowiaduj się, jak do tego czasu nie dowiadywałaś się... Ot, co!

Odwróciła się ku śmietnisku i poczęła przywoływać pieska.

— Czup-czyk! Czup-czyk! pódź, piesku, pódźmy stąd! pódźmy, gdzie indziej... a ona niech sobie tu choć do końca świata stoi! Co jej do nas? co nam do niej! Pódźmy, Czup-czyk-czyk-czyk-czyk!

Torbę na plecy zarzuciła, kij ujęła w ten sposób, że ostry koniec wysoko nad głową jej się wznosił i z plecami mniej niż przedtem zgarbionymi, krokiem też szybszym, bo wzburzonym, szła ku prowadzącej na ulicę, sklepionej bramie willi. Za nią, w podskokach elastycznych, pobiegł żółty piesek, trzęsący u podniesionego pyszczka szmatą brudnym haftem okrytą.

Kobieta w okryciu czarnymi dżetami błyszczącym jak martwa stała u drewnianego opasania śmietniska i, z twarzą pod czarnym skrzydłem kapelusza bardzo pobladłą, wciąż, nieustannie myślała.

— Prawda! Prawda! Nie dowiadywałam się... nie myślałam... nie pamiętałam... kiedy cierpiała... kiedy ginęła... nie dowiadywałam się... nie myślałam...

Jak czarownice, jak zaklęte, jak przeklęte, słowa te nieustannie, ciągle przesuwały się po jej głowie, tłumiąc wszelką myśl inną i podnosząc w piersi falę uczucia podobnego do skruchy, falę zgryzoty, podobną do wyrzutu sumienia, która też po upływie paru minut rzuciła ją w pogoń za nędzarką, opuszczającą dziedziniec willi. Szybko przeszła ten dziedziniec i nędzarkę pod sklepieniem bramy dogoniła.

— Julko! nie mogę w taki sposób rozstać się z tobą... nie mogę opuścić cię, znowu stracić cię z oczu! Prawda, masz słuszność, winną jestem... nie dowiadywałam się o los twój, zapomniałam o tobie, ale nie tańcując na balach, nie karmelki gryząc, lecz cierpiąc, długo i bardzo cierpiąc, gorycze pijąc... dlatego może teraz taki żal nad tobą czuję, że wiem, co to cierpienie...

Słuchaj mnie, Julko...

Nic nie mogłoby dorównać szyderskiemu niedowierzaniu, z którym tamta wlepiła w nią spod powiek obrzmiałych swoje roziskrzone, turkusowe oczy i zagwizdała:

— Pfi! pfi! pfi! A cóż to takiego gorzkiego do buzi ci wpadło? Romansik jakiś... za który od mężulka dostało się...

— Nie kończ! Nie sycz tak! Nie bądź tak niesprawiedliwą... powiem ci... Mylisz się myśląc, że byłam szczęśliwą z człowiekiem, którego mi kiedyś tak zazdrościłaś...

— Nie? Nie? Pfi! pfi! pfi! A co? Czy nie zgadłam? Sprzykrzył się i innej śliczności ci się zachciało... jeszcze śliczniejszej... jednego było mało... nieszczęście! wielkie nieszczęście!

I nic dorównać by nie mogło wyrazowi triumfu zjadliwego, którym zadrgały wszystkie zmarszczki jej skurczonej, zmalałej twarzy i wszystkie iskry jej rozpłomienionych oczu. Ale i u tamtej, dotąd tak cierpliwej, żałość i litość poczęły zapalać się iskrą gniewu.

— Niesprawiedliwą jesteś, życie napełniło cię złością... Ale było to życie nieszczęśliwe, opuścić cię nie mogę, zrozumieć się mu-

nny... Powiem ci więc jeszcze, aby zazdrość twą zmniejszyć, twarde serce złagodzić... syna mam w więzieniu... najdroższego, najlepszego syna...

— Pfi! pfi! pfi! Synek dostał się do więzienia! Moje uszanowanie! Winszuję. A za co? W kosteczki kogo ograł? Cudzą żonkę od męża wykradł? Banczek jaki okradł, aby szampanka z koleżkami chłeptać?...

Spod skrzydła czarnego kapelusza błysnęła w gorącej źrenicy iskra dumy i głos dławiony wzruszeniem nad siły wymówił:

— Za ojczyznę!

Odpowiedzią był długi, długi śmiech, złożony z gwizdnięć długich i ostrych. Kilka kropel śliny bryznęło z ust gwiżdżących na czarne okrycie tamtej.

— Ojczyzna! Kiek-sa? Nie widziałam! Nie słyszałam! Nie przy mnie pisane! Pańskie wymysły! Nie rozumiem!

Głos od wzruszenia drżący, od krwawej obrazy zdyszany, odpowiedział:

— Wiesz, może to zrozumiesz: córka moja... chora niebezpiecznie!

— No to doktorów dla niej najmiesz, do gorących krajów ją powieziesz... gołąbkami karmić i winkiem słodkim poić będziesz i — wyzdrowieje! Nic wam, panom i królom, złego nie stanie się, nic was nie ugryzie, od wszystkiego potraficie wykpić się swoim edukowanym rozumkiem i — pieniędzmi!

Wtedy kobieta smukła i biała, w okryciu, na którym, wśród połyskujących paciorek, świeciło mętnie parę kropel śliny, zawołała:

— Zła jesteś! Zła jesteś — zła jak piekło!

I, szybko odwróciwszy się, szła ku wyjściu, prowadzącemu z bramy na ulicę. Ale uczyniwszy kilka kroków stanęła, obu rękoma powiodła po rozognionych policzkach, po bolącym czole i — wróciła.

— Słuchaj, Julko! Niesprawiedliwa jesteś, zła jesteś, ale na dnie takiej otchłani! I winną czuję się przeciw tobie, że zaniedbałam, nie pamiętałam... Więc słuchaj! Chodź ze mną! Umieszczę cię w domu swoim, podzielę się z tobą chlebem i sukniami, wynajdę ci zajęcie jakieś lepsze, milsze. Czupczyka twego lubić i pieścić będę... Chodź ze mną...

Nie gwizdanie już tym razem, lecz coś na kształt przyciszonego wycia, które miało być śmiechem, mowę jej przerwało.

— Chu! Chu! Chu! Chu! Chu-chu-chu! Patrzcie ją, do domu mnie zaprasza! Jaka miłosierna! Aniołek! Uch, jaką ja mam ochotę łachman ten z błyszczącymi pacioreczkami z pleców ci zedrzeć! A czy oddasz ty mnie ten dom swój? A czy będę ja panią i królową tego domu twego? Przecież, po sprawiedliwości, to tak samo mój jest ten dom, jak i twój. Dlaczego on jest twój, a nie mój? Do

domu swego mnie zaprasza z łaski, z miłosierdzia! Uch, jaką ja mam ochotę... Niedoczekanie twoje, abyś ty mnie i mego psa z miłosierdzia swego karmić miała! On lepszy od ciebie! On mój przyjaciel! On mój sługa! A ja sługą twoją nie będę... z głodu zdechnę, a na twój chleb nie pójdę, bo to nie twój chleb jest, ale mój, mój, co ty mi go skradłaś... Uch, jaką ja mam ochotę... ty mnie skradłaś i dom, i chleb, ty pani, ślicznotko, ty, biała twarzyczko...

Tu, z jakiejś izby suterenowej, od dymu cygarowego ciemnej, od wrzawy głosów namiętnych huczącej, przywiało do niej wyraz dziwny w jej ustach, lecz po wielokroć słyszany, więc zapamiętany, ulubiony. Wznosząc kij swój, który przedtem zwisał jej był na ramieniu, krzyknęła:

— Ty... burżujko!

I, puszczając wodze ochocie, która się w niej od minut kilku podnosiła falą coraz to zapędliwszą, z szybkością błyskawiczną ostrym krukiem kija swego zaczepiła u szyi stojącej przed nią kobiety o spięcie okrycia, które osunęło się na ziemię. Jednocześnie z okryciem z szyi zerwany upadł na bruk sklepionej bramy mały złoty zegarek.

— Co to? Złotko sypie się z szyjki! Pfi! Pfi! Pfi! Złotko! Caceńko! Ot, co ja z twoim caceczkiem zrobię! Ot, co ja z tym caceczkiem, co przy serduszku twoim ciukało, zrobię! Chu-chu-chu-chu! Ja bym i z samym serduszkiem to samo zrobiła... to samo zrobiła... to samo zrobiła...

Cóż zrobiła? Połowę ciała naprzód podała, z oczyma roziskrzonymi i śliną na wargach, z rozmiotanymi połami salopki, prędko, silnie, zacięcie przebierała stopami ciężkimi, grubymi, w brudnych szmatach i resztkach zdartego obuwia, drepcąc nimi po małym, złotym zegarku, który z cichym chrzęstem rozłamywać się począł na cząstki, rozpraszać na okruchy...

MARIA KONOPNICKA

WOLNY NAJMITA

Wąską ścieżyną, co wije się wstęgą
Między półkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści
Jak w zestawieniu takim urągliwym!
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywym!

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwie wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki spod lasu wschód wita...
Stanął i otarł łzę połą swej świty
Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy...

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie cięży na świecie —
Kosa ta chyba, co zwisła z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie,
I ból istnienia...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje...

Wolny! — Wszak może iść albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy,
Może oszaleć i płakać, i śpiewać —
Bóg mu przebaczy...

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię jak czynią szaleni...
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki
I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosy
Obsadzi urząd... podatki! podatki!
Ty, idź do kosy!

Idź, idź! Opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź do kosy!

Czegóż on stoi? Wszak wolny jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera!
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera...

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
— Wolny najmita!

HENRYK SIENKIEWICZ

JAMIOŁ

W miasteczku Łupiskórkach po pogrzebie Kalikstowej były nieszpory, a po nieszporach zostało jeszcze kilkanaście bab w kościele, by odśpiewać resztę pieśni. Była godzina czwarta po południu, ale że w zimie o czwartej zmrok zapada, w kościele więc było ciemno. Szczególnie wielki ołtarz tonął już w głębokim cieniu. Dwie jeszcze tylko świece paliły się koło cyborium, ale migotliwe płomyki ich zaledwie trochę rozświecały złocenia drzwiczek i nogi zawieszonego wyżej na krzyżu Chrystusa, przebite ogromnym gwoździem. Główka tego gwoździa wyglądała jak wielki punkt, błyszczący w ołtarzu. Z innych świec dopiero co pogaszonych snuły się pasemka dymu napełniając miejsce za stallami czysto kościelnym zapachem wosku.

Dziad i mały chłopak kręcili się przed stopniami ołtarza. Jeden zamiatał, drugi ściągał ze stopni dywan. W chwilach, w których baby przestawały śpiewać, słychać było gniewliwy głos dziada, wymyślającego na chłopaka albo stukanie do zasnutych śniegiem okien wróbli, którym było na dworze zimno i głodno.

Baby siedziały w ławkach, bliżej drzwi wchodowych. Byłoby tam jeszcze ciemniej, gdyby nie kilka łojówek, z pomocą których właścicielki książek ułatwiały sobie czytanie. Jedna z tych łojówek oświecała dosyć wyraźnie przytwierdzoną do następnej ławki cho-

rągiew wyobrażającą grzeszników wśród płomieni i wśród szatanów. Na innych chorągwiach nie można było rozeznać malowideł.

Kobiety nie śpiewały, ale raczej mruczały sennymi i zmęczonymi głosami pieśń, w której ustawicznie powtarzały się słowa:

A kiedy przyjdzie skonania godzina,
Uproś nam, uproś u Twojego Syna...

Ten kościół pogrążony w cieniu, chorągwie sterczące przy ławkach, stare, o pożółkłych twarzach kobiety, migotliwe, jakby pogłębione pomroką, światełka, wszystko to było nad wszelki wyraz posępne, a nawet po prostu straszne. Ponure słowa pieśni o skonaniu znajdowały w tym tło właściwe.

Czasem też przestawano śpiewać; jedna z bab stawała na ławce i poczynała mówić drżącym głosem: „Zdrowaś Maria łaskiś pełna" — i inne podchwytywały: „Pan z Tobą etc." — ale że to dzień był pogrzebu Kalikstowej, każde więc „Zdrowaś Maria" kończyło się słowami: „Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci".

Córka Kalikstowej, Marysia, siedziała w ławce obok jednej starej kobiety. Na grób świeży jej matki padał tam teraz właśnie śnieg miękki i cichy, ale dziewczyna nie miała, jak dziesięć lat, więc zdawała się nie rozumieć ani swej straty, ani litości, jaką mogła obudzać. Twarzyczka jej o dużych, niebieskich oczach miała w sobie dziecinny spokój, a nawet obojętną jakąś pogodę. Malowało się na niej trochę ciekawości — i nic więcej. Otworzywszy usta patrzyła z wielką uwagą na chorągiew, na której było malowane piekło z grzesznikami, potem patrzyła w głąb kościoła, potem jeszcze na okno, w które stukały wróble.

Oczy jej pozostały bezmyślne. Tymczasem baby poczynały mruczeć sennie po raz dziesiąty:

A kiedy przyjdzie skonania godzina...

Dziewczyna kręciła kosmyki swoich jasnych włosów, zaplecione z tyłu w dwa warkoczyki nie większe od mysich ogonków; widocznie się jej nudziło. Następnie jednak uwagę jej zajął dziad.

Dziad wyszedł na środek kościoła i jął pociągać za węzłowaty sznur, zwieszający się z sufitu. Dzwonił za duszę Kalikstowej, ale czynił to zupełnie mechanicznie, gdyż widocznie myślał przy tym o czym innym.

Dzwonienie owo było także znakiem, że nieszpory skończone. Baby, powtórzywszy ostatni raz prośbę o lekkie skonanie, wyszły na rynek; jedna z nich prowadziła Marysię.

— Kulikowa! — spytała druga — a co będzieta robić z dziewczyną?

— A co mam robić? Jedzie do Leszczyniec Wojtek Marguła, co go przysłali na pocztę, to ją odwiezie. A bo co?

— A cóże ona będzie robić w Leszczyńcach?

— Moiście wy! To, co i tu. Skąd jest, niech tam jedzie. A choć i we dworze, to sierotę przygarną i w kredensie się pozwolą przespać.

Tak rozmawiając szły przez rynek do szynku. Mroczyło się coraz bardziej. Czas był zimowy, cichy, niebo zawieszone chmurami, a powietrze przesiąknięte wilgocią i mokrym śniegiem. Z dachów kapała woda, na rynku zaś leżało błoto, urobione ze śniegu i słomy. Miasteczko o domach nędznych i poodrapywanych wyglądało tak posępnie, jak i kościół. Niektóre okna połyskiwały światłem; ruch już ustawał, w szynku tylko grała oberka katarynka.

Grała na wabia, bo w środku nie było nikogo. Baby weszły, napiły się wódki, przy czym Kulikowa dała i Maryśce pół kieliszka mówiąc:

— Napij się, boś sierota. Nie zaznasz dobroci.

Słowo sierota przywiodło babom na myśl śmierć Kalikstowej. Kapuścińska mówiła:

— Do was, Kulikowa! Napijta się! O, moi drodzy! Jak ją ten paralus trzasnął, tak ci ani zipnęła. Nim dobrodziej przyszedł spowiadać, już była zimna.

Kulikowa na to:

— Mówiłam ja z dawna, że ona cienko przędzie. Zeszłej niedzieli przyszła, a ja powiadam: „Ej, Kalikstowo, Kalikstowo, oddajcie lepiej Marysię do dworu". A ona powiada: „Jedną córuchnę mam i nie dam". Ale markotno jej było i zaczęła szlochać, a potem do kancelarii poszła, do wójta, żeby papiery mieć co do „kolumnii" na porządek. Zapłaciła cztery złote i groszy sześć. Ale powiada: „Dla dziecka nie żałuję". Moiście wy! A oczy to miała wytrzyscone i po śmierci jeszcze lepiej wytrzyscała. Co jej chcieli zamknąć, to nie mogli. Mówili, że i po śmierci na dziecko patrzyła.

— Napijwa się na ten żal półkwaterek!

Katarynka wciąż grała oberka. Baby poczęły się trochę rozmarzać. Kulikowa powtarzała żałosnym głosem: „Chudziątko! chudziątko!", a Kapuścińskiej przyszła z kolei na myśl śmierć nieboszczyka jej męża.

— Jak umiroł — mówiła — to ci tak wzdychoł, tak wzdychoł, tak wzdychoł — i rozciągając coraz bardziej głos weszła mimo woli w śpiew, ze śpiewu w takt katarynki, a w końcu porwała się za boki i zupełnie już na nutę oberka poczęła śpiewać:

Wzdychoł, wzdychoł, wzdychoł,
Oj, ta dana — wzdychoł!

Nagle rozpłakała się rzewnie, dała kataryniarzowi sześć groszy i napiła się jeszcze wódki. Kulikową również porwało rozczulenie, ale skierowała je ku Marysi.

— Pamiętaj, sierotko — rzekła — co ci mówił dobrodziej, kiej ci mateńkę śniegiem przysypywali, że jamioł (anioł) je nad tobą.

Tu zatrzymała się nagle, spojrzała naokoło jakby zdziwiona, a potem dodała z nadzwyczajną energią:

— Kiej mówię, że jamioł, to jamioł!

Nikt nie przeczył. Marysia, mrugając swoimi biednymi, głupimi oczkami, wpatrywała się uważnie w babinę. Kulikowa mówiła dalej:

— Tyś jest sierotka, to złemu od ciebie zasię. Nad sierotami je anioł. On je dobry. Na, masz dziesięć groszy. Choćbyś i piechotą do Leszczyniec poszła, to trafisz, bo on cię zaprowadzi.

Kapuścińska zaczęła śpiewać:

W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,
Pod jego pióry — uleżysz bezpiecznie.

— Cichojcie! — zawołała Kulikowa. A potem znów do dziewczyny:

— Ty, głupia, wiesz kto jest nad tobą?

— Jamioł — odrzekło cienkim głosem dziecko.

— Sieroteńkoże ty, jagódko ty, robaczku ty Boży! Jamioł ze skrzydłami — mówiła w zupełnym już rozczuleniu Kulikowa i porwawszy dziewczynę poczęła ją przyciskać do swej poczciwej, choć pijackiej piersi.

Dziewczynka rozpłakała się teraz. Może w tej ciemnej główce i w sercu, które nie umiało nic jeszcze rozeznać, budziło się jakieś rozeznanie w tej chwili.

Szynkarz spał już w najlepsze za szynkwasem, na knotach łojówek narosły grzyby; kataryniarz przestał grać, bo go bawiło to, co widział.

Nastała cisza, którą przerwało nagłe chlupotanie końskich nóg w błocie przed drzwiami i jakiś głos, który zawołał na konie:

— Prrr!

Do szynku wszedł Wojtek Marguła z zapaloną latarką w ręku, postawił latarkę, począł „zabijać" w ręce, by je rozgrzać, i wreszcie rzekł na szynkarza:

— Dajta no półkwaterek!

— Marguła, kasztanie — zawołała Kulikowa — weźmiesz dziewczynę do Leszczyniec.

— Juści wezmę, bo mi i kozeli — odparł Marguła.

Potem, przypatrzywszy się obydwom kobietom, dodał:

— Aleśta się porżnęły, jak...

— A żeby cię zara sparło! — odrzekła Kulikowa. — Kiedy ci mówię: ostrożnie z dzieckiem, to ostrożnie. Ona je sierota. Ty wiesz, głąbie, kto nad nią je?

Wojtek nie uznał za stosowne odpowiadać na pytanie i postanowił widocznie podnieść inny przedmiot, podniósł bowiem przede wszystkim półkwaterek i zaczął:

— Wściorności wam...

Ale nie skończył, bo wypił wódkę, skrzywił się, splunął i stawiając z niezadowoleniem miarkę rzekł:

— Dyć to sama woda. Daita no drugiej z tej innej flaszki.

Szynkarz nalał mu z innej. Wojtek skrzywił się jeszcze mocniej.

— E! Araku to nie mata?

Margule groziło widocznie takież samo niebezpieczeństwo, jak i babom, ale że w tym samym właśnie czasie we dworze w Łupiskórkach właściciel przygotowywał do jednego z pism obszerny, wyczerpujący artykuł: *O prawie propinacji dla dworów, jako o podstawie ustroju społecznego,* a zatem Wojtek przyczyniał się tylko niechcący do wzmocnienia fundamentów społecznych, a to tym bardziej, iż propinacja, chociaż w miasteczku, była istotnie dworską.

Przyczyniwszy się tak z pięć razy z rzędu, zapomniał wprawdzie latarki, w której świeczka zgasła, ale wziął na wpół śpiącą dziewczynę za rękę i rzekł:

— Chodźże, zmoro!

Kobiety posnęły również w kącie, nikt więc nie pożegnał Marysi. Po prostu: matka jej została na cmentarzu w Łupiskórkach, a ona jechała do Leszczyniec.

Wyszli, siedli, Margula krzyknął na konie: „wiśta" — i pojechali. Sanie sunęły dosyć ciężko po miasteczkowym błocie, ale potem zaraz wydobyli się na pola białe i rozległe. Jechać było daleko, śnieg nie szumiał prawie pod płozami; czasem tylko koń parsknął; czasem z daleka, z daleka doszło szczekanie psów.

Jechali, jechali. Wojtek poganiał konie i śpiewał pod nosem: „Pamiętas, psia jucho, coś mi obiecował". Ale wkrótce umilkł i zaczął „żydy" wozić. Kiwnął na prawo, lewo. Śniło mu się, że go w Leszczyńcach tłuką po karku za to, że zgubił kobiałkę z listami, więc od czasu do czasu budził się przez pół i powtarzał: „wciornościl" Marysia nie spała, bo jej było zimno. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na białe pola, które jej co chwila zasłaniały ciemne plecy Marguły. Myślała też przy tym, że „matula pomerli", a tak myśląc wyobrażała sobie doskonale bladą twarz matuli o wytrzeszczonych oczach — i odczuwała półświadomie, że ta twarz była kochana bardzo, że jej nie ma i nie będzie w Leszczyńcach już nigdy. Przecież widziała na własne oczy, jak ją zasypali w Łupiskórkach. Przypomniawszy to sobie byłaby się rozpłakała z żalu, ale że zziębły jej nogi i kolana, więc rozpłakała się z zimna.

Mrozu wprawdzie nie było, ale powietrze stało się przenikliwe jak zwykle w odwilży. Wojtek bo miał przynajmniej w żołądku spory zapas poczerpniętego w łupiskórskim szynku ciepła. Właściciel Łupiskór słusznie przecie zauważył, że „wódka w zimie rozgrzewa, a ponieważ jest ona jedyną pociechą naszego ludu, odejmując przeto większym posiadaczom możność wyłącznego pocieszenia ludu odejmuje się im i wpływ na lud". Wojtek w tej chwili tak był pocieszony, że go nic zasmucić nie mogło.

Nie zasmuciło go nawet i to, że konie, doszedłszy do lasu, najprzód zwolniły zupełnie kroku, choć droga była w lesie lepsza, a następnie ruszywszy w bok, przewróciły sanie w rów przydrożny. Rozbudził się wprawdzie, ale nie zrozumiał dobrze, co się stało.

Marysia poczęła go trącać.

— Wojtek!

— Czego skrzeczysz?

— Przewróciliśwa.

A Wojtek spytał: „śklonkę?" i usnął na dobre.

Dziewczyna siadła przy saniach, skuliła się, jak mogła i siedziała. Ale twarz zmarzła jej wkrótce zupełnie, więc poczęła trącać śpiącego:

— Wojtek!

Nie odpowiadał.

— Wojtek, chcę do chałupy.

A po chwili znowu:

— Wojtek, bo pójdę piechotą...

Na koniec poszła. Zdawało się jej, że do Leszczyniec jest bardzo blisko. Zresztą znała drogę, bo co niedziela chodziła z nią matka do kościoła. Ale teraz musiała iść sama. W lesie śnieg mimo odwilży leżał wysoki, ale za to noc była bardzo jasna. Blask od śniegu łączył się z blaskiem światła chmur, więc drogę było widać jak w dzień. Marysia, zapuszczając wzrok w ciemny las, mogła bardzo daleko dojrzeć pnie, rysujące się wyraźnie, czarno i spokojnie na białym pokładzie. Widziała również dokładnie rzuty śniegowe, do pni przez całą długość przywarłe. Jakiś ogromny spokój był w lesie, który dziecku dodawał otuchy. Na gałęziach leżała złódź obfita, a z niej spływały krople wody rozbijając się ze słabym szmerem o gałęzie i gałązki. Ale to był jedyny szmer. Zresztą naokół cicho, cicho, biało, milcząco, głucho!

Wiatr nie wiał. Uśnieżone kiści nie poruszały się najmniejszym ruchem. Spało wszystko zimowym snem. Mogło się zdawać, że śniegowy obrus na ziemi i cały las milczący a przytrząśnięty i blade chmury na niebie — to wszystko jakaś białą jedność — martwa. Tak bywa w czasie odwilży. Jedyną żywą istotą, poruszającą się jak mały czarny punkcik wśród tych milczących wielkości, była Marysia. Dobry, poczciwy las! Te krople, które opuszcza topniejąca złódź, to może były łzy nad sierotą. Drzewa takie wielkie, a takie litosne nad maleństwem. Oto samo jedno, takie słabe, biedne, wśród śniegu, nocy i lasu, brnie sobie z ufnością jakby nigdy nic! Noc jasna zdaje się troskać o nią. Jest w tym jakaś wielka słodycz, gdy coś, co jest małym i bezsilnym, oddaje się i powierza tak ogromnej sile. W ten sposób wszystko może istnieć na woli Bożej. Dziewczyna szła już dość długo i zmęczyła się wreszcie. Przeszkadzały jej ciężkie, za wielkie buty, w których jej małe nóżki zesuwały się

ustawicznie. Ciężko było wyciągnąć takie ogromne buciska ze śniegu. Przy tym i rękoma nie mogła swobodnie poruszać, bo w jednej, wyciągniętej sztywnie, trzymała z całej siły ową dziesiątkę, którą dostała od Kulikowej. Bała się jej upuścić w śnieg. Zaczynała chwilami płakać głośno, a potem urywała nagle, jakby się chcąc przekonać, czy kto płaczu nie słyszy. Owszem, las słyszał. Topniejąca złódź szemrała jednostajnie, a jakoś żałośnie. Prócz tego, może jeszcze ktoś słyszał. Dziecko idzie coraz wolniej. Czyżby miała zbłądzić Gdzie tam! droga jakby biała, szeroka, zwężająca się w dali wstęga leży wyraźnie między dwiema ścianami ciemniejszych drzew. Dziewczynkę począł ogarniać sen niepokonany.

Zeszła i siadła pod drzewem. Powieki opadły jej na oczy. Przez chwilę myślała, że po białości śniegowej matula idzie ku niej od strony cmentarza. Nikt nie szedł. Dziecko było jednak pewne, że ktoś przyjść musi. Kto? — Anioł. Przecie stara Kulikowa mówiła, że „jamioł" jest nad nią. — Marysia znała go. W chałupie u matuli był jeden malowany z „leliją" w ręku i ze skrzydłami. Przyjdzie niezawodnie. Złódź jakoś zaczyna szemrać mocniej. To może jego skrzydła strącają więcej kropel. — Cicho! istotnie ktoś idzie; śnieg, choć miękki, szeleści wyraźnie, kroki zbliżają się i zbliżają się, ciche, ale szybkie. Dziecko podnosi z ufnością senne powieki.

Co to?

Szara jakaś, trójkątna głowa o sterczących uszach przypatruje się dziecku pilnie... straszna, ohydna.

•

MARIA KONOPNICKA

Z SZOPKĄ

Przed dworskim gankiem stanęło ich czworo
Główki na mrozie odkrywszy z pokorą,
Zwyczajnie, dzieci, z maleńka już karne,
Wiedzą, że dwór jest rzecz pańska, wielmożna,
Nie to, co chaty ich nędzne i czarne,
Gdzie ledwo śnieżnej zamieci ujść można!
Nie wiem, czy które z tych biednych usłyszy
Kiedy w swym życiu, co godnym jest cześci;
Nie wiem, czy przyjdzie kto, by w chaty ciszy
Zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści:
Czy im kto powie, jak kochać potrzeba
Zagon ojczysty, co daje kęs chleba,
Jak cudze prawa szanować, jak żywem
Poczuć się w wielkim łańcuchu ogniwem,
Lecz wiem, że z dawna uczono batogiem

Odkrywać głowę przed pańskim tym progiem.
Stanęły zbite w gromadkę, nad niemi
Jaskrawa gwiazda na żerdzi wybłyska
Ścieląc snop światła krwawego po ziemi...
Kometa drżąca, dziwna, bez nazwiska,
Co raz do roku zjawia się i świeci
Ponad głowami bosych, chłopskich dzieci...
Drżące od zimna podniosły się głosy
I uderzyły po śnieżnej przestrzeni,
A noc słuchała smętna, a niebiosy
Pełne się zdały iskier i płomieni,
I ech żałosnych zmieszanych w rozdźwięki
I w jakieś ciche westchnienia, i w jęki.
Najmłodszy, dziecko drobne, co z drugimi
Stał wpośród jasnej okien dworskich łuny,
Odziany w łachman, z stopami bosymi,
Umilknął nagle jak rwące się struny...
I ponad gwiazdą, klejoną z tektury,
Wielkie i smutne oczy wzniósł do góry
I myślał sobie: Czemu to, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I nie ma cieplej sukmanki na grzbiecie?
I tatuś taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora?...
Czemu to ludzie w przednówek tak bladną
I, jakby cienie, po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą?
Choć rad by wiedzieć, co jest tam daleko
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką!...
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolędą i z szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: „Bracia, Chrystus się narodził!"
Czemu?
O, dziecię! mgła nocy zasłania
Dzień, co odpowie na twoje pytania...
Och, oby tylko nie wszedł on sądem
Klęsk ostatecznych nad morzem i lądem!
Och, oby tylko wiekowi przyszłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: „Czemu?!"

(Poezje)

KOLONIA POD LASEM

Wszystkie inne kolonie sąsiednie miały odmienne położenie i lepsze warunki; dzięki temu sąsiedzi Mroza: Szymczak, Gajda i Musiał do dziś dnia bytują, cieszą się powodzeniem, a dziedzictwo ich przejdzie kiedyś w spadku na potomstwo. Tymczasem chata Mroza upadła; widzieć jeszcze można zgniłe słupy oraz przyciesi niedokończonej stodoły. Zabobonni ludzie, przechodząc tędy, żegnają się znakiem Krzyża świętego i szybko mijają ruinę. Grunt rozkupili po kawałku sąsiedzi, chałupa zaś, postawiona w tak prędkim czasie przez Mroza, rozwalona na poły, świeci dzisiaj pustkami.

Człowiek tak się rozmnożył na ziemi, że musi mieszkać wszędzie, gdzie jest jeszcze przestrzeń niezajęta, jakkolwiek nie ma warunków odpowiednich dla jego pobytu. W takim razie ludzki mieszkaniec ziemi musi się kierować znaczną wiedzą o naturze tych warunków i pomagać sobie ciężką pracą. Trzeba obliczać siły własne, trzeba wiedzieć, co się czemu przeciwstawia. Mniej liczne stworzenia ziemskie nie są na to narażone, mogą one sobie wybierać siedziby już z natury rzeczy wygodne i odpowiednie. Człowiek musi sam ową wygodę i odpowiedniość wytwarzać. Mróz znajdował się właśnie w takim położeniu. Jego ludzcy oraz zwierzęcy sąsiedzi mieli tutaj swój powiat, zanim on przybył. Na wzgórzu wznosiły się trzy piękne chłopskie kolonie, dobrze zagospodarowane, z młodymi sadami i z ogrodami; boki zaś tego wzgórza, pracowicie uprawione, przypominały bogate winnice. Trzy chałupy, postawione na jednym pagórku, przy jednej drodze i pod jednym lasem, stanowią już pewną osadę społeczną i stowarzyszenie. Pomiędzy ludźmi bowiem w takim stanie rzeczy musi się nieuchronnie wytworzyć wzajemność usług, pomocy i obrony. Gromada imponuje każdemu, chętnie z nią się zawiera przymierze i nie tak łatwo wypowiada się jej wojnę. Czyny niemoralne, jeżeli się ich dopuszcza gromada, mają większe pozory legalności, niż kiedy je popełnia odosobniona jednostka.

Była organizacja w koloniach na wzgórzu i to organizacja w celach zarówno moralnych, jak niemoralnych. Wspólnie prowadzono tutaj walkę o byt ze wszystkim, co się nie znajdowało na wzgórzu, zwanym Wroniec. Jeżeli dziki skopały kartofle lub zboże jednemu koloniście, wszyscy brali się za ręce przeciw dzikom, dopóki nie odparto napaści tych zwierząt. Każdy coś wymyślił i dziki nie ważyły się wkraczać na wronieckie pole. Jeżeli znowu wykryto kradzież drzewa w lesie, wtedy wszyscy trzej koloniści z żonami i dziećmi byli solidarni, wszyscy stawali za jednego,

a przeprowadzone śledztwo bywało zwykle czczą formalnością jedynie. Wszelka gminna organizacja w rozwoju swoim poszukuje sprzymierzeńców i za takich uchodzili w tej spółce: gajowy Jasiek Skórzak oraz Żyd Szmul, smolarz. Ten ostatni miał szerokie stosunki w świecie, po okolicznych wsiach i miastach; znał stan finansów szlachty i chłopów na wylot; w danym zaś razie umiał człowieka człowiekowi polecać. Oprócz pędzenia smoły Szmul praktykował rozmaite procedery; sprzedawał on potajemnie wódkę, na lichwę wypożyczał skromne sumki, zresztą kupował wszystko, co było do sprzedania. Wrończanie, przez grzeczność, używali dla Szmula tytułu kupiec, mianowicie w oczy. Ale ten kupiec najlepsze interesy robił na kradzieży koni. W owym przedsiębiorstwie Szmul należał do wielkiego stowarzyszenia będącego plagą okolicy. I z tego powodu miał Szmul znowu u ościennych reputację k o r o n n e g o z ł o d z i e j a. Tajemne nici złodziejskiej bandy smolarz miał w ręku i jak biegły wódz kierował operacjami armii. Wiedzieli o tym dobrze koloniści ze wzgórza, ale zachowywali prywatne i publiczne milczenie, za to żaden z nich nie mógł się poskarżyć, aby mu kiedy szpilka z chałupy zginęła. Swoją drogą Szmul dyskretnie milczał o kradzieży dębów i jodeł w lesie. Tak to, milcząc, mogą się jednak ludzie z ludźmi porozumieć czynami.

Gajowy znowu zaszedł w stosunki pobratymskie z kolonią na Wrońcu, do czego dały powód rozmaite ważne rodzinne wydarzenia. Trzymał więc Skórzak do chrztu syna Szymczakowi z Gajdziną, a Gajdzie córkę z Musiałową. Był to zatem kum generalny. Jako ekswojskowy pił znakomicie, a był nader mowny. Tolerancja ze strony takiego człowieka przedstawia się jako nieodzownie potrzebna, zarówno dla kolonistów ze wzgórza, którzy po nocach wywozili z lasu drzewo na sprzedaż do miasta, jako też dla Szmula, który w wykonaniu rozmaitych swych rzemiosł potrzebował wielce dyskretnego świadka.

Czyż potrzebujemy tu jeszcze dowodzić, że tym ludziom, tak wielorako połączonym mnogimi stosunkami, musiało się dziać dobrze? Mróz na jeden raz wszedł wszystkim drogę: ludziom, zwierzętom i żywiołom; więc wszystko razem poczęło go trapić. Ludzie poczuli i zrozumieli, że jest za uczciwy, aby kradł, a tym samym należał do ich związku; wystarczyło to zupełnie do wykluczenia go z solidarnej spółki. Aby popełnić zbiorową nikczemność, ludzie nie potrzebują się naradzać: mimo to, zgodzą się na jedno.

— Panie kupiec! — mówił do smolarza mądry Musiał ogarniając bystro całe położenie. — Wszystko mi się widzi, że ten Mróz u dołu nie zagrzeje miejsca tu między nami.

— Co gadać? Głupi człowiek! — zawołał Szmul z pewnym zadowoleniem w oku. — Pod lasem mieszka, a drzewo na wszystko we dworze kupuje. Czy kto kiedy takie rzeczy widział?

— A bo to ta jaki zagrodnik czy kmieć z niego? — wtrącił Musiał. — Ojciec się między ciarachami po dworach poniewierał, a baba też jego, powiadają, że dwórka. Tacy się niczego nie dorobią między chłopami.

— To mu też ta i nie idzie! — rzekł pogardliwie Szymczak. — Ozimina do krzty wymokła, wymuliło i koniec; woda tydzień bez mała waliła mu się przez zagrodę. Takiemu to prawie beczki pobijać, a nie orać!

— Aj, aj, jaki głupi, jaki głupi człowiek! — zawołał Szmul cmokając.

Taka krótka konferencja była wystarczająca, aby mieszkańcy Wrońca i ich sprzymierzeńcy zdecydowali w swych uczuciach i usposobieniu co do nowego sąsiada.

Równie nieprzyjaznym, jak ludzie, było topograficzne położenie Jantkowej zagrody. Mróz postawił swoją chałupę frontem do drogi, a tyłem do przylegającego lasu. Przejezdny z daleka widział kolonie na wzgórzu odstrychnięte od lasu przez drogę i przez zachodni stok wzgórza. Tymczasem nowa zagroda stała pod samym lasem jakby na pikiecie; drzewa boru cień swój na nią rzucały. O dwieście kroków, ku południowi, las kończył się cyplem, zarosłym przez gąszcze młodej leszczyny, tarniny, głogów i jałowca. Z cypla wysunęła się o dziesięć kroków naprzód rozłożysta, dzika grusza, w pień której nieznacznie wprawiony był obrazek Matki Boskiej, a u dołu widniało przewiązane powrósło ze słomy. Od tej gruszy zaczynała się skąpa niwka, z jakich dwudziestu zagonów, otoczona uwrociami. Było to jeszcze najlepsze pole w Jantkowym gospodarstwie. Za niwą spostrzec się dawało bagnisko, w które dolewał wody strumień, płynący pod mostkiem przez drogę od strony zachodniej. W tym bagnie gnieździły się dzikie kaczki, bąki, łyski, kurki wodne, żółwie i żaby. Pod wieczór rozpoczynał się tu ruch pełen życia, w dzień było pusto i cicho.

Łatwo przewidzieć, że na wypadek lat mokrych gospodarstwo Mroza w części swojej najniższej musiało iść na marne. Reszta już roli leżała powyżej i wsuwała się w las klinami. Było to świeżo wykarczowane nowisko, na którym dały się sadzić kartofle, można było siać proso, grykę i żyto. Nie można powiedzieć, aby zagroda Jantka nie przedstawiała uroczego widoku. Przeciwnie, pełno tu było rozmaitości i zetknięcia z ożywioną przyrodą. To jednak jest małym zyskiem za pracę. To nawet stanowiło jedną z przyczyn niepowodzeń Mroza. Bo w czarnym boru mieszkały liczne dzikie a drapieżne zwierzęta; ze wzgórza, w razie ulewy, pędziła woda na jego zagrodę; a gdy się znowu bagno przepełniło, wtedy powódź zagrażała z drugiej strony. Zresztą i to pewna, że kotlina

owa między górą, lasem a bagnem, mogłaby się zamienić na urodzajny ogród, gdyby Mróz posiadał wykształcenie agronoma i miał odpowiednie kapitały. Jako chłop, musiał zginąć bez ratunku. Energia czasem pomoże, a czasem nie; nie stanie jej, gdy się wyczerpie. Szlachetność znowu wspiera jednostkę w pracy, jeżeli inni są także szlachetni. Uszlachetniajmy się przeto, aby przyszły gmach społeczny mógł się wznieść na lepszych podstawach.

*

Dla moralności człowieka ważną byłaby informacja, kto kogo ma nie zabijać, bo proste przykazanie „nie zabijaj" jest dwuznaczne jak wyrok pytii delfickiej. Historyczna mądrość jest arcypożyteczna, ale zawsze baczyć nie zaszkodzi na to, w którym wieku ona powstała.

W zabijaniu zawsze chodzi wyłącznie o przywłaszczenie sobie cudzych pierwiastków życia. Kto więc żyje na koszt drugiego, zabija go, zabija może powoli, stopniowo, ale zawsze zabija. Nikt zaś nie może żyć, aby kogoś nie zabijał. Nawet spis potraw w taniej kuchni jest najwyraźniejszym świadectwem tego. Bo potok życia na świecie jest jeden, przelewa on się i toczy od stworzenia do stworzenia: jedno ginie, drugie żyje na jego rachunek. Inaczej żaden organizm nie zdołałby wyżyć.

Powiadają ludzie, że zające są trwożliwe, lękliwemu więc człowiekowi wymyśla się od zajęcy, jeżeli już nie od tchórzów. Ale zające boją się tak samo, jak i ludzie, ilekroć jest się czego obawiać. W rozmaitych zdarzeniach oraz przygodach życiowych zające dają dowody rozumu i odwagi zajęczej. Sprytny zając, podobnie jak sprytny człowiek, nie traci głowy, choć mu wielkie niebezpieczeństwo utraty życia siedzi na karku. Zając umie się przyczaić w kotlinie, wyskoczyć z niej w samą porę, wyciąć w górę szczupaka, dać chartom obrót, zmylić tropy, słowem, potrafi wywieść w pole znacznie rozumniejszych od siebie. Nie trzeba mu poczytywać za winę, że ucieka, bo przecież nie wszyscy mogą szczuć i gonić. Gdyby na świecie nie istniał gatunek uciekinierów, skądżeby się wzięli zwycięzcy? Mógłby jeszcze kto robić zarzuty zającowi, że zwierzę to nie prowadzi życia gromadnego i z tego względu jest ssakiem podlejszego rzędu. Atoli czasem wygodniej jest na świecie żyć pojedynczo. Nieraz ocala się wielkie idee i zasady swego gatunku jedynie przez to, że się jest samym jednym. Przecież w razie potrzeby można zawsze stanąć do apelu. Podróżnicy wiarogodni (bo są różni) spotykali już gromady lwów; a do kapusty Mroza schodziły się gromady zajęcy. Szlachetna ta warzywna roślina znajdowała się na samym brzegu lasu, na dwóch długich zagonach; zającom zaś z całego boru wypadał trakt w pole przez znany nam już cypel lasu; owóż, zdążając tutaj, musiały one wszystkie przechodzić przez

Jantkową kapustę. Naturalnie, że to i owo zwierzę zatrzymało się w kapuście, a poznawszy wartość odżywczego pokarmu nie omieszkało nazajutrz znowu przybyć o zmroku. Szarpały więc zające Mrozową kapustę, podczas gdy kapusta sąsiadów ze wzgórza, wolna od podobnej napaści, wzrastała pięknie, na pociechę właścicieli.

Rychło zobaczył Jantek swoje nieszczęście i mocno się markocił w duchu nic o tym atoli nie mówiąc Baśce. Łamał on sobie głowę, co tu począć z zającami. Przychodziło na myśl to i owo. Wreszcie zrobił stracha ze słomy i gałęzi, niby człowieka na wysokich nogach, ubrał go w stare szmaty, włożył na łeb cudaczne czapczysko i oczekiwał, co z tego będzie. Przelękłaby się tego w ciemności niejedna kobieta, cóż dopiero zające. Fortel się zatem udał. Jakoś przez tydzień zające nie robiły szkody, a kapusta podrosła. Zatarł Jantek z radości ręce, że potrafił ocalić od zwierząt swoją własność. Powiedzieliśmy atoli, że zające mają rozum i odwagę. Wkrótce już oswoiły się one ze strachem, zmiarkowały jakoś, że to nie żaden człowiek i znowu zaczęły bobrować po kapuście, której Mróz nawet od kilku dni nie odwiedzał będąc czym innym zajęty.

Trzeba było zdarzenia, że Baśka wypadła na pole i zobaczyła spustoszenie. Z kapusty sterczały tylko tu i ówdzie głąbki. Załamała kobiecina ręce boleśnie, przyleciała do chaty i po raz pierwszy przemówiła się z chłopem.

— Wszystko się zmarnuje! — zawołała Baśka zaperzona. — Na nic skąpiejemy, jak tak będzie! Widziałeś, jaka śliczna kapusta u Szymczaka, u Musiała? A przecie oni strachów nie postawili na polu przeciw zającom. Czy się to strachy stawia na zające?

Jantek należał do rzędu ludzi, o których świat często niesprawiedliwie opiniuje mówiąc o takich męskich naturach, że są „pod pantoflem, chodzą w czepkach" lub „w spódnicy". Zwykle jednak sprawa ma się inaczej. Nic dziwnego, że się Sokrates z Ksantypą nie bija i nie kłóci. Rycerze, którzy staczają walne bitwy na szerokim świecie, nie mogą się ubierać w rynsztunek bojowy, gdy chodzi o szarmycel z językiem kobiety.

Podrapał się więc Mróz tylko w głowę, spojrzał smutno na żonę i wyszedł w pole do kapusty. Zobaczył nagą prawdę; dzieło zniszczenia było aż nadto widoczne; zęby zajęcze dokonały tutaj systematycznego spustoszenia. Jantek przeszedł przez kapuścisko jak wódz przez pole bitwy, na którym stracił swoje zastępy. — Cóż począć? — pomyślał — kapusta już się nie wróci!...

Była to druga z rzędu klęska, którą Mróz poniósł w swojej zagrodzie pod lasem.

*

W małżeństwie tak bywa, że jak raz żona weźmie górę i wyłaje męża, łaje go potem już zawsze i za wszystko; łajanie wchodzi

wówczas w tryb domowego pożycia. Jeżeli mąż jest chory, karci się go za brak zdrowia; jeżeli jest zdrowy, łaje się go, napominając, aby zdrowia nie nadużywał.

Złajała Baśka Jantka najprzód za to, że zające zjadły kapustę i potem robiła mu już wymówki za każde niepowodzenie w gospodarstwie. Każdą klęskę musiał Mróz odcierpieć podwójnie: jako klęskę i jako niezadowolenie żony. Studium nad tymi faktami mogłoby stanowić ciekawy przyczynek do martyrologii małżeństwa; nas atoli w tej chwili zajmują głównie gospodarskie nieszczęścia Mroza.

W sąsiednim parowie leśnym miały lisy jamę bardzo starannie wykopaną; w jamie znajdowały się aż cztery ujścia; jedno uchodziło w bór głęboki; drugie kierowało się ku rzadszemu lasowi, poza którym było bagnisko; trzeci otwór zwrócony był prosto ku koloniom na Wrońcu, a ostatni zmierzał do zagrody Jantkowej.

Lis-matka wychodziła pod wieczór na polowanie zerkając, węsząc i nadsłuchując wszechstronnie, jak to bywa w powszechnym lisim obyczaju. Idea takiej wycieczki niejasno kiełkowała już w jamie, dokąd wiatr, ten konduktor świata zwierzęcego, przynosił słuchowe oraz węchowe wrażenia z zewnątrz. Małe lisiątka, troskliwie wychowywane w norze, wyssały w ciągu dnia pierś macierzyńską, zubożyły przez ten czas organizm swojej rodzicielki, która z rozkoszą wprawdzie spełniała obowiązki matki, ale nareszcie nie mogła też zapomnieć i o obowiązkach względem siebie samej. Opuszczenie kryjówki, a raczej generalnego apartamentu, poświęconego wychowawczym celom lisiego gatunku, nie odbywało się bynajmniej nieświadomie i bez planu. Lisia matka podchodziła najprzód po kolei do każdego z czterech otworów, sprawiających wyborną przewiewność komnaty, i badała stan powietrza oraz kierunek wiatru. Nos i ucho pracowały wtedy mozolnie, zapładniając inteligencję zwierzęcia. Wycieczka ku bagnom mogła obiecywać w rezultacie jakiegoś bekasika, czajkę lub kaczkę podlotka; lecz ciężka to zaprawdę dla lisa praca na wodzie czy bagnie. Tak rozumne stworzenie, jak człowiek, nie zdołałoby bez strzelby nigdy pojmać żadnego ze wspomnianych ptaków; jeżeli zaś lis dokonywa tej sztuki, mamy więc dowód jego sprytu i wysiłków. Można się też było udać za zdobyczą i w głuchy bór; ale tu znowu jarząbki, cietrzewie, głuszce, drozdy i znane z mądrości szpaki znają się wybornie na lisich fortelach, umieją im przeciwstawić różne chytre sztuki. Śpi to wszystko na wysokich drzewach; więc choć nosem zwietrzysz, okiem dojrzysz, nie chwycisz zębami. Milę drogi zejść trzeba, ba i więcej, nim się nawinie jaka głupia zwierzyna: młody zając lub gniazdo z pisklętami. Z takiej wędrówki lis może powrócić dopiero rano i to głodny, bez żadnej zdobyczy. Daleko mu też wygodniej jest

polować na domowe ptactwo pozbawione stanowczo wszelkiej krytyki o niebezpieczeństwach życia na tym padole płaczu. Znana z głupoty gęś oswojona, kura, indyczka lub kaczka stanowią dla lisa łup najłatwiejszy, a w dodatku i najsmaczniejszy kąsek, bo przecież sprzątnięty sprzed nosa człowiekowi, temu panu stworzenia, umiejącemu mądrze przyrządzać sobie frykasy. Nasz lis przeto najczęściej wietrzył w stronę chałup, a los padał zwykle na zagrodę Mroza.

Oboje Mrozowie nie mogli pojąć, jak się to dzieje, że na jedną straconą sztukę drobiu u sąsiadów przypadało najmniej ich trzy sztuki. Dlaczego? Baśka czym prędzej i z wielką pochopnością przypisywała to działaniu potęg nadnaturalnych, mianowicie czarom. Jantek wprawdzie nie potwierdzał tego wyraźnie, ale milczał. Tymczasem wszystko zależało od warunków sytuacji. Sąsiedzi mieli daleko więcej szans bezpieczeństwa od napadów głodnego lisa. Bo najprzód od lasu oddzielała ich droga; a dla lisa przejść przez drogę, po której stąpał zdradliwy człowiek, jest to rzecz bardzo długiego namysłu i ogromne ryzyko. Tylko jedna chałupa Mroza była tuż pod lasem i od lasu nie oddzielona drogą. Znaczenie tego położenia miało wielką doniosłość, ponieważ cały ruch domowy u sąsiadów ze wzgórza zwrócony był w stronę drogi, a więc i ku lasowi, podczas gdy pod chałupą Jantka, obróconą tyłem do lasu, panowała zupełna cisza. Co więcej, w jednej z kolonii na Wrońcu, mianowicie u Musiała, był pies Kruczek, który nie z czujności, ale przez jakiś nałóg czy wskutek temperamentu ciągle poszczekiwał od niechcenia; tymczasem kiedy pies Jantka, Burek, był wprawdzie wielce natarczywy i pełen energii, jednakże zabierał głos wtedy tylko, kiedy zachodziła istotna tego potrzeba. Są to wprawdzie bardzo drobne przyczyny, a przecież były one wystarczające, aby pozbawić zagrodę dwóch kur i koguta, dwóch kaczek z kaczorem i jednej gęsi z gąsiorem.

Z każdą straconą sztuką drobiu wzmagała się zgryźliwość Baśki. Niebawem kobieta owa utraciła wszelki respekt dla męża, kłóciła się z nim regularnie parę razy na tydzień, aż w końcu poczęła i obelgi miotać. Jantek cierpliwie milczał, a kiedy dostrzegł w oku żony błyskawice zapalczywości, uchodził z chałupy w pole. Gdyby nie ta taktyka zdrowej męskiej natury, doszłoby było niezawodnie do gorszych scen małżeńskich: do szturchańców, podbijania sobie oczu itd. Po utracie koguta Jantkowa wpadła w wściekłość, nazwała chłopa swego „pokraką, niezdarą, gamoniem i niedojdą". Terminy te w języku ludowym wyrażają różne stopnie czy odcienie fizycznego i moralnego niedołęstwa. Że zaś Baśka użyła ich po śmierci koguta, przeto sądzić wypada, iż był tu jakiś związek między obelgami a poligamicznym nałogiem kogucim. Mianowicie też, po utracie męża, dwie owdowiałe jarzębate czubatki nie mogły już

nieść jaj ani się zamienić na kwoczki, a Mrozowa baba bardzo lubiła kury macać i na jajach sadzać. Krajało się serce, że wronieckie wzgórze jest zbyt odległe od zagrody, że przeto jej kurki nie mogą sobie pożyczyć męża w sąsiedztwie, co w państwie grzebiących ptaków nie jest żadnym skandalem.

Przez tydzień jakoś lis zawiesił rabunek; po czym w następnym znowu czasie zniknęły bez śladu obie czubatki jedna po drugiej jak kamień w wodzie. Baśka lamentowała okrutnie, a chłopa swego sfukała i zwymyślała od ostatnich, to zaś wywierało na niego takie wrażenie, jak gdyby on sam kury pozjadał.

*

Jantek znowu ze swej strony kochał się od młodych lat w chowie gołębi i dochował się sporego stadka tych miłych ptaków, które sprowadził na nowe gospodarstwo. Ale nad chłopską zagrodą pod lasem wisiał potok niebezpieczeństw; warunki położenia skazały całkowity dobytek Mroza na zagładę. Gruchały na strzesze białe, ceglaste i popielate gołębie, ożywiały ruchem swoim spokojną zagrodę. Wznosiły się niekiedy w górę, bijąc skrzydłami pływały w powietrzu albo znowu krzątały się po podwórku około obórki, lub zasiadały gromadą na polu. Jantek sam nie wiedział, dlaczego lubi te stworzenia, przyglądał im się niejednokrotnie i nawet zamyślił postawić dla nich z czasem gołębnik; los wszakże nie pozwolił mu na ten wybryk.

W pobliżu chaty, na wysokim klonie w boru, założył był sobie siedlisko inny mieszkaniec ziemi, który także lubił gołębie. Był to jastrząb, krwiożerczy wróg wszelkiego pomniejszego ptactwa. Dopóki młode przebywały w gnieździe, potrzeba było dużo żywego mięsa na ich wyżywienie, jako też na zaspokojenie życiowych potrzeb pary dorodnych rodziców. Samiec całymi godzinami przesiadywał na polnej gruszy, znajdującej się między cyplem lasu a bagniskiem; stąd śledził on bystrym okiem po okolicy upatrując zdobyczy odpowiedniej dla swego apetytu. Niejednokrotnie wypadało mu przelatywać już to nad polami, już nad bagniskiem lub nad Jantkowym obejściem.

Gołębie odziedziczyły po przodkach swoich uczucia strachu oraz grozy przed jastrzębiem. Świst skrzydeł tego ptaka, cień, który od niego padał na ziemię, obudzały w gołębiach straszne przerażenie. Porywały się one wtedy i szybowały w górę, ile im tylko sił starczyło, zdążały, jak mogły, najwyżej. Jastrząb podówczas spokojnie miał je na oku i krążył systematycznie poniżej gołębi, łagodnie prując błękitne fale powietrza. Gołębie wzbijały się bardzo wysoko, jastrząb docierał po śrubowej linii. Gdzieś musi być kres

lotu wszelkiego ptaka, więc nareszcie dochodziło do tego, że gołębie nie mogły już wyżej wzlatać. Wtedy to jastrząb, słynny ów myśliwiec, zdwajał swoją energię i usiłował wznieść się ponad grzbiety a karki gołębi. W górnych szlakach, niekiedy tam, dokąd już oko człowieka nie sięga, rozpoczynała się wówczas rozpaczliwa walka. Gołębie zwarte trzymały się stada dopóty, póki jastrząb znajdował się pod nimi, baczyły na każde jego poruszenie i lot swój stosowały do ruchów strasznego nieprzyjaciela. Ale kiedy już wyżej wzlecieć nie było możności, krążyły one w nieładzie i niespokojnie. Wtenczas jastrząb puszczał się pełnym lotem, byleby nieco wyżej wznieść się ponad stado gołębi. Kiedy już wziął górę i miał ofiary pod stopami swymi, wówczas gołębie oddawały się rozpaczy; w tym punkcie kończyła się ich dyplomatyczna polityka, a następowały wysiłki, dyktowane przez trwogę oraz przerażenie. Rozbijało się stadko gołębi w pojedynki, lecąc ku dołowi na łeb, na szyję. Jastrząb dopadał wtenczas pierwszego lepszego, zabijał, dusił, wreszcie pożerał.

W ciągu roku niespełna opustoszała zagroda z gołębi. Pozostał tylko piękny, błękitny samiec, z mieniącym się gardłem, latacz nieustraszony. Mróz powiadał, iż gołąb ten był owocem miłości, jaką zapałał kiedyś dziki gołąb ku oswojonej gołębicy. Jantkowie nazywali gołębia Maćkiem. Sam jeden, pozbawiony rodziny oraz towarzyszy, smutnie wyglądał na strzesze. Nieraz puszczał się w świat, leciał ponad jarami i lasami, lotem strzały przebywał znaczne przestrzenie, wpadał gdzieś do cudzej wioski, zasiadał na obcym gołębniku i rozpoczynał tu swoje gruchanie. Nie bywał całe tygodnie w domu, jednakże zatęsknił nareszcie do Mrozowej zagrody, porzucał przybrane stado gołębi i tą samą znowu drogą powracał do samotnego dymnika. Jeżeli gołąb ma uczucia podobne do ludzkich, to straszne mogło być życie Maćka. Drwił niejako ze śmierci. Stokrotnie mierzył się w obłokach z mordercą swej rodziny i nigdy nie poniósł szwanku. Pędził w powietrzu lekko, ruch jego skrzydeł dojrzeć można było jak ruch wioseł przy łodzi. Wznosił się w błękity powietrzne prując je śmiało, zataczał w górze olbrzymie koła, wodził za sobą jastrzębia godziny całe. Nadchodziła nareszcie chwila starcia, ta chwila stanowcza, kiedy jednostka musi wykazać całą swą wartość i zaświadczyć wobec przyrody, że jej gatunek ma jednak prawo istnienia na świecie. Trudno byłoby dowieść, że istnieje jakiś drugi obowiązek, wyższy od tego.

Ponad borami ciemnymi odbywały się owe heroiczne harce gołębia z jastrzębiem. Już oto wiszą w przestworzu jak dwa punkciki, jeden nad drugim, już za chwilę zleją się ze sobą pewno w jeden punkt większy i ciało mniejsze zostanie przyciągnięte oraz pochłonięte przez masę większą. Nie!... Bo oto Maciek robi jeden z tych zwrotów, jakie wykonywa zając pędzący przed zaciekłą smyczą

chartów, gdy im daje obrót na prawo, w lewo lub susa w górę. Tak i Maciek, gdy mu nad głową wisi zaciekły jastrząb, skręca na dół szybko głową, wywraca w powietrzu zręcznego koziołka i już w mgnieniu oka znajduje się na tyłach swego prześladowcy, który, złudzony oraz stropiony, daremnie przez czas jakiś pędzi przed siebie bez żadnego celu. Maciek zaś tymczasem przebiegł już oto w kierunku przeciwnym znaczną przestrzeń. Innym razem zwrot taki byłby dla gołębia nieużyteczny. Gonitwa odbywa się tuż, tuż ponad połyskującymi od słońca szczytami drzew, zda się, iż to piesze wyścigi ptaków po płaszczyźnie boru; ale słychać szelest ich skrzydeł, podobny do świstu kul na polu bitwy; prawie trącają bystrymi lotkami o iglaste jodły, o liście wyniosłych klonów i dębów. Cała wyższość jastrzębiego lotu daje się widzieć w tej równej pogoni na jednej płaszczyźnie; co chwila więc prześladowca zbliża się do swej ofiary. Gołąb wpada wtedy pomiędzy drzewa, wężykowatym pędem przesuwa się wśród gałęzistych świerków, brzóz i sosen, dolatuje do gąszczu krzewów, pogrąża się w nich; aż wreszcie cicho, swobodnie, dołem wypływa z lasu na pole i, mknąc chyżo tuż ponad ciemnymi, jak on sam, zagonami, dopada Jantkowej zagrody. W tym czasie jastrząb, zawzięty w pogoni i roznamiętniony, rzuca się całą siłą w ten punkt gąszczu, gdzie mu zniknęła zdobycz, pewien, że już ma pod szponami gołębia. Ale zawiedziony, głupowato spogląda dokoła, jakby się wstydził chybionego kroku. Bo jest w naturach dzikich, podstępnych i krwiożerczych jakiś rodzaj wstydu przed sobą samym, jeśli się zamach nie udał. Takim jest położenie kota, kiedy się na mysz rzucił z zasadzki, a mysz mu uszła: to samo ma mieć miejsce z lwem, tygrysem, panterą.

(*Niezdara*)

MARIA KONOPNICKA

NA FUJARCE
(Wybór)

II

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?...
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi?
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi,

Oj, żebym ja poszedł ino
Przez pole
I policzył łzy, co płyną
Na rolę...
Strach by było z tego siewu
Żąć żniwo,
Boby snopy były krwawe,
Na dziwo!

Przyjdzie słonko na niebiosy
Wschodzące
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

VII

A czegóż rżysz po rosie,
Koniku ty mój siwy?
Nie będę ja ci w jedwab
Zaplatał długiej grzywy!
Hej, długiej grzywy!

Nie będę ja cię wodził
Na uździe z karmazynu;
W parciankach będziesz chodził
U pługa, chłopski synu!
Hej, chłopski synu!

Nie będziesz ty się pysznił
Pod siodłem, pod czerwonem;
Łeb jeno zwiesisz smutnie
Nad czarnym tym wygonem...
Hej, nad wygonem!

Zębatą ciągnąc bronę
Spotniejesz białą rosą;
Ani cię wiatry one
W kraj świata nie poniosą!
Hej, nie poniosą!

Ani ja nie dam ciebie
W złociste kuć podkowy,
Cobyś tak stąpał z góry
Jakoby nasz karbowy...

Hej, jak karbowy!

Nie będą drobną sieczką
Karmiły ciebie panny;
Nie padniesz w krwawym polu
Świszczącą kulką ranny...

Hej, kulką ranny!

Na piasku, na ugorze
Gospodarz cię ostawi,
A rosa oczy wyżre,
A słońce kości strawi...

Hej, kości strawi!

Nie będą tobie grały
Muzyki ni trębacze,
Wiatr jeno cię pogrzebie,
A deszczyk cię zapłacze...

Hej, deszcz zapłacze!

X

Wsiałem ci ja w czarną rolę
Na wiosnę
Dwie głowiny chłopiąt moich
Żałosne.
Co daremnie poglądały
Oczyma,
Czy w komorze kęsa chleba
Gdzie nie ma?

A i cóż mam z tego siewu
Za plony?
Jeno krzyżyk na cmentarzu
Zielony...
Jeno gorzkie te piołuny
na grobie...
I tarniny czarnej krzaki
W żałobie!

Oj, ty ziemio, ziemio stara,
Rodzico!
Darmo ty się karmisz naszą
Krwawicą...
Darmo kośćmi naszych dziatek
Nieboże,
Kiedy chleb twój nas wyżywić
Nie może!

XI

Świecą gwiazdy, świecą
Na wysokim niebie...
Jeno nie myśl, chłopie,
Że to i dla ciebie!...

Ta jasna z tysiąca,
Co wschodzi od boru
Jako skrawek słońca —
To pana ze dworu...

A niżej ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga —
Proboszcza naszego...

A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty
Jako srebrną kądziel —
Gwiazda organisty...

Wszystkie przed oczyma
Palą się jak zorze...
Tylko twojej nie ma,
Chłopie ty, niebożę!

Powiadają ludzie,
Że z dawnej dawności
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości...

Ni chłopa, ni pana
Nie było na niebie.
Każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie...

Ale jak się zaczął
Kurczyć lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi...

A te pańskie świecą
Jako talar biały,
A te chłopskie w rolę,
Jak łzy, pospadały!

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

CHAWA RUBIN

Zwracam uwagę szanownych czytelników, że osoby i wypadki, które tu opowiedzieć zamierzam, należą do warstwy społecznej nie wynagradzającej swych rzeczników, że więc ja podjąłem się tego opisu całkiem bezinteresownie. Zastrzeżenie to uważam za konieczne, ażeby trybunał opinii publicznej, wyrokując o pobudkach moich w tym względzie, nie odnalazł między nimi takiej, która by mnie o chęć zasłużenia się współwyznawcom moich bohaterów oskarżała. I dla tego przede wszystkim winienem wytłumaczyć, że nazwisko Rubin oznaczać mogło jedynie, czym Chawa i jej mąż Symcha być chcieli, ale nie czym rzeczywiście byli. Byli bowiem tak biedni, że bez ubliżenia swej zamożności mogliby się przezwać najzwyklejszymi Piaskowcami. Pradziad Symchy, chcąc posiąść bodaj nazwę klejnotu i na swoje rodzeństwo przenieść jego czarodziejskie słowo, nazwał się Rubinem. Nie pomogło to wszakże nic ani jemu, ani potomkom. Symcha był rubinem, oprawnym w najdoskonalszą nędzę. Nie brakło mu rzeczywiście niczego, co tylko do uduszenia biedaka jest potrzebne. Jako „husyt" przesiadywał ciągle w bóżnicy; przekonany, że pochodzi z „bardzo dobrej familii" uznawał się za znakomitość, którą świat wspierać powinien i której umrzeć nie da; wreszcie, od lat kilku chory na piersi, był niezdolny do żadnej ręcznej pracy. Śmierć ojca zgubiła go ostatecznie. Dostał bowiem w spadku ćwierć domu w Kazimierzu nad Wisłą, ćwierć walącej się rudery, której dolna krawędź okien już niżej poziomu błotnej uliczki zapadła i którą nawet kasjer miejski, jako przeznaczoną do rozebrania, od podatku uwolnił. Mimo to Symcha był dumny ze swego dziedzictwa, które go obdarzyło tytułem „gospodarza". Przyjąwszy do swej izby, stanowiącej całą jego własność, dwu lokatorów, odtąd albo się kłócił z nimi, albo obiecywał na „wiosnę" reperację, albo siedział na ławce przed domem i wygrzewał się na słońcu lub rzucał trzem kurom gotowane łupiny

kartofli. Nawet bożnicę zaniedbywał. Choroba, głód, duma rodowa, wszystko to wprawiało biednego Żyda w stan zupełnego bezwładu. Gdy mu próżniactwo dokuczało, wychodził na rynek i rozmawiał z przechodniami o licznych kupcach na jego posiadłość, której nikt nie pożądał. Ponieważ lokatorowie mu się nie wypłacali, więc zapytasz, czytelniku, z czego Symcha z czworgiem dzieci żył?

Dla rozwiązania tej zagadki potrzebna nam jest właśnie Chawa Rubin.

Artysta, umiejący odnawiać uszkodzone obrazy, powiedziałby, że trzydziestoletnia Chawa była kobietą piękną. Rzeczywiście, każdy mógł w niej jeszcze dostrzec regularny kontur twarzy, zgrabny nos, ogniste czarne oko, maleńkie, modelowe ucho, pociągający uśmiech, ale wszystko to oszpecone było tyloma znamionami nędzy, że wolę mówić o pracowitości Chawy niż o jej urodzie. Była ona zaś pracowitą tak, jak tylko musi być Żydówka, utrzymująca męża i czworo dzieci z handlu, w którym trzy ruble jest całą sumą kapitału obrotowego. Gdyby Chawa urodziła się katoliczką, zarabiałaby dziennie kilka złotych i żyła dostatnio; jako Żydówka, znajdująca zbyt wiele rodzajów trefnej pracy, musiała trudnić się wyłącznie pośrednictwem w nabywaniu niezbędnych artykułów życia, co jej dawało w zwykłym biegu rzeczy 20 do 25 groszy dziennie czystego zarobku. I to jedynie przy bardzo wielkich wysiłkach! Trzeba było rano pobiec do kolonii o 3 wiorsty za miastem, odebrać dzierżawione mleko i roznieść po domach; trzeba było oblecieć kilka wsi i kupić parę garnczków masła lub sera dla żon urzędników; trzeba było do sąsiadującego z miastem folwarku dostarczyć nafty — i tak dalej. W małej mieścinie, gdzie każdy ma wszystko w domu albo łatwo nabyć może, pośrednictwo w kupnie musi być bardzo ograniczone i tylko kosztem skromnych wymagań utrzymać się daje. Toteż Chawa od świtu do nocy biegała za 25 groszami. Zaklętym kołem jej ubóstwa był szczupły kapitał zakładowy, który nie pozwalał na szerszy handel. Gdyby miała do rozporządzenia 50 rubli, niezawodnie w ciągu lat trzech nosiłaby w szabas atłasowe suknie i odbierała od kazimierskiej arystokracji grzeczne ukłony. Ale ona posiadała tylko w ruchu trzy ruble. Rozszerzyć pieniężną podstawę swego handlu mogła tylko jednym sposobem: szeregiem śmiałych i szczęśliwych operacji. Nie brakło jej do tego dwu najważniejszych przymiotów: ambicji i odwagi. Ciągle marzyła o zamożności i ryzyku. Raz nawet, przybiegłszy do pewnej wioski, o mało nie zadatkowała dziesięciu garncy miodu, powstrzymała się jednak z obawy stracenia całej swojej gotówki. Gdy jednak dowiedziała się, że jej znajomy kupił ów miód i zarobił na nim cztery ruble, rozpłakała się i postanowiła przy pierwszej sposobności odważyć się na krok stanowczy.

Pewnego dnia pobiegła nad Wisłę kupić kilka węgorzy. Zbliżywszy się do rybaków zauważyła nadzwyczajne między nimi ożywienie. Powodem były cztery świeżo złowione jesiotry. Chawie błysnęła natychmiast szalona myśl: a gdyby kupić? Z drżeniem w głosie spytała o cenę.

— Hurtem po pięć groszy za funt — odrzekł jeden z rybaków. — Będzie funtów sto pięćdziesiąt.

Chawa zaczęła się namiętnie targować.

— Co tam gadać — mówił rybak — już z miesiąc jesiotra nie złapaliśmy. Sprzedacie po złotówce.

Chawa tak była olśniona nadzieją zysku, że zgodziła się na cenę i dała „tymczasem" trzy ruble. Resztę spodziewała się dopłacić z natychmiastowej sprzedaży. Idąc z rybakami do miasta, rozgorączkowana wzruszeniem, które jej twarz rumieniło, przebiegła myślą wszystkie domy, gdzie znaleźć mogła zbyt na swój towar. Podsędek, pisarz, podpisarz, rejent, burmistrz, kasjer, garbarz, piętnaście groszy za funt, dwadzieścia, złoty, może nawet... Na tę myśl oczy Chawy zaiskrzyły się dawno zgasłym blaskiem, koło ust przewinął się rozkoszny uśmiech. Poprawiła czepek, zaczęła biec tak prędko, że obciążeni jesiotrami rybacy ledwo za nią zdążyć mogli. A jeśli nikt nie kupi?

Sto pięćdziesiąt funtów ryb na sam Kazimierz, gdzie w dzień powszedni ledwie trzydzieści osób może sobie pozwolić takiego zbytku... Przystanęła strwożona, tchu jej w piersiach zabrakło, ale wkrótce znowu ożywiona, zsunąwszy chustkę z głowy, pobiegła.

— Idźcie do mojej chałupy — rzekła do rybaków wyrwawszy im jednego jesiotra — i poczekajcie trochę, ja zaraz przylecę, tylko pieniądze rozmienię.

I nie czekając odpowiedzi popędziła ciasną uliczką na inny kraniec miasta. Chawa zbyt była w swym handlu doświadczona, ażeby od razu nie spostrzegła, że jeżeli chce sprzedać tyle funtów ryb, musi z nimi obchodzić możnowładztwo małomiasteczkowe koleją godności. Toteż jakkolwiek mieszkania innych pań miała po drodze, pobiegła w przeciwną stronę miasta do podsędkowej. Rachunek nie zawiódł. Pani podsędkowa, po niedługim [illegible]unkowo targu, kupiła całego jesiotra za trzy ruble, to jest przeszło po jedenaście groszy za funt.

Upojona jeszcze nadzieją wielkiego zarobku, z drugiej strony niespokojna o dalszy ciąg sprzedaży, Chawa w drodze do domu na przemian doznawała uczuć żalu i radości.

— No, co tam — myślała biegnąc zmęczona — taniej raz, drożej drugi raz. Wzięła całego, dała od razu pieniądze, mogłabym oba tamte jesiotry darować i miałabym moje trzy ruble...

— Moje trzy ruble — zawołała głośno, ściskając w kieszeni papierek. — Pięć złotych im się należy, więc dopłacę — dwa jesiotry, pięć złotych niewarte?

Z daleka ujrzała Chawa przed domem męża rozprawiającego z rybakami i szturgającego kijem jesiotry, którym dzieci bojaźliwie się przyglądały.

— Jakie ryby, co mi za ryby — mówił pogardliwie. — Kto to je? — głodny; a kto płaci? — głupi. Oj, oj, specjał! Nie dała zadatku?

— Dała — odparł jeden z rybaków — ale z resztą nie przychodzi.

— Gwałt, nie przychodzi, to ja nie mam kamienicy, ja nie gospodarz, mój majątek niewart pięć złotych?!

Spostrzegłszy nadchodzącą żonę Symcha podniósł nagle o kilka tonów głos swej dumy.

— Na moją hypoteka nie siedzi ani grosz, to dwa jesiotry się zmieszczą. Ja nie takie głupstwa handluję, ja powiedział, ja mam dom, Symcha gospodarz.

Uspokoiwszy męża ostrym napomnieniem Chawa odezwała się do rybaków:

— Trzy złote mam dopłacić...

— Pięć! — zawołali rybacy.

— Jak to? Po rublu i złotówce sztuka.

Rozpoczął się spór. Chawa z nałogu i w nadziei wynagrodzenia sobie taniej, jak mniemała, sprzedaży pierwszego jesiotra, chciała coś wytargować; usiłowania jej wszakże okazały się daremne.

Po odejściu rybaków usiadła na ławce przed domem i zaczęła obcierać fartuchem twarz z potu, nic nie odpowiadając na płaczliwe krzyki dzieci, które ją w cztery strony szarpały. Wreszcie wyjęła z kieszeni dwie gruszki, rozgryzła je na połowy i zatkała nimi czworo rozwartych ust.

— Symcha — zawołała na męża, który z rękami w tył założonymi przypatrywał się omszałym gontom swego domu. — Zanieś ryby do izby.

— Tu im nie zimno — poleżą... — odrzekł flegmatycznie i kaszląc powlókł się ku miastu.

Chawa zatrzęsła się od gniewu, a w oczach jej błysnęły dwie pełne łzy. Nienawidziła ona męża za lenistwo i chorobę, o ile w jarzmie ciężkiej pracy nienawidzieć można. Gdyby Symcha był zdrowym, czułaby do niego pewne przywiązanie; gdyby próżnował tylko z religijnych pobudek, cierpliwie sama znosiłaby całe brzemię utrzymania rodziny. Ale Symcha unikał najdrobniejszego zajęcia przez nałóg chasyda i skutkiem naturalnej w stanie jego zdrowia bezwładności. Pasożyt chory, a rozmnażający się — czy może być coś okropniejszego dla karmiącej całą rodzinę ubogiej żony?

Chawa ciągle milczała, zajęta jesiotrami, których prędko należało się pozbyć, ażeby im skwar lipcowy nie zaszkodził. Głucha na ponowne wrzaski dzieci, powstała szybko i pobiegła do leżącego nie opodal domu, do jednej ze swoich klientek, pani kasjerowej, którą spotkała w ogródku.

— Aj, aj, pani kochana, co ja dla pani mam, nikomu jeszcze nie pisnęłam... Świeżutki, piękny, bardzo piękny jesiotr.

— Jesiotr — rzekła kasjerowa — to nie ryba, to nie ryba. Przeszłego roku zamarynowałam dwadzieścia funtów i połowę wyrzuciłam, bo nawet dzieci jeść nie chciały.

— Co pani mówi, co pani mówi... Nieboszczyk rejent to wolał, niż smażone grzyby... Pani podsędkowa zawsze przypomina: Symchowa, Symchowa, a kiedy dla mnie będzie jesiotr?

— Wreszcie, jeśli tanio...

— No, dla pani po złotówce funt.

— Idźcie dalej, za tę cenę będę miała łososia.

— Mnie samą dwadzieścia pięć groszy kosztuje, muszę coś zarobić.

— Piętnaście groszy dam i wezmę trzydzieści funtów.

— Co ja z resztą zrobię? Ach pani kochana, taka smaczna ryba, aż żal jeść. No, polecę do burmistrzowej, może ona do wspólki weźmie.

Tymczasem pani burmistrzowa dowiedziawszy się, że Chawa — która o przestrzeganiu stopni znaczenia na chwilę zapomniała — zgłosiła się naprzód do kasjerowej, Żydówkę za drzwi wyrzuciła.

— Szelma — krzyczała zatrzaskując drzwi — ona mnie będzie częstować tym, co jakiejś kasjerce od gęby odpadnie. Ja ci to przypomnę!

Chawa nie miała nawet czasu zmartwić się tym przyjęciem i popędziła dalej. Bóg handlu jednak widocznie postanowił ciężkim dopuszczeniem ukarać ją za zuchwałą próbę, bo nigdzie ani całego, ani połowy jesiotra sprzedać nie mogła. W jednym domu nie było państwa, w innym — pieniędzy, tak że Chawa obleciawszy daremnie całe miasto, wróciła zgnębiona do domu.

Co zrobić? Pytanie to jest równie straszną marą przed oczyma kupca, którego naładowany towarami okręt na morzu się przedziurawił, jak i przed oczyma ubogiej handlarki, od której nikt nie chce nabyć dwu jesiotrów. W chwili takich niebezpieczeństw pierwszą myślą jest ratowanie swego kapitału. Po dopłacie rybakom brakowało Chawie do włożonej sumy pięciu złotych. Toteż szybko przecięła siekierą jednego jesiotra i zaniosła połowę do kasjerowej. Jeżeli odbierze całą należność, będzie miała dwa ruble czystego zarobku, chociażby reszta ryb zgniła. O, słodka nadziejo, o rzadki dniu szczęścia! Dwa ruble zarobku, za kilka godzin latania! Zamożniejsi od Chawy pod warunkiem takiego powodzenia handlowaliby rybami.

Dnia tego wszakże omal ziemia pod jej stopami na wodę się nie zmieniła.

Pani kasjerowa oświadczyła naprzód, że po piętnaście groszy za funt nie da, tylko po dziesięć, i że zapłaci dopiero nazajutrz. A więc Chawa swoich trzech rubli w kieszeni nie miała, gotowizną ani grosza przez większą część dnia nie zarobiła! Odurzona tą myślą, z wyrazem dziwnej stanowczości w twarzy, szła zadumana do domu. Była godzina pierwsza po południu. Symcha skubiąc liście buraka rzucał je kurom, które daremnie oszukać próbował. Dzieci, siedząc w kupce pod ścianą, żuły łupiny niedojrzałych strączków grochu, których garść ojciec im z miasta przyniósł. Spostrzegłszy matkę gwałtownie krzyczeć poczęły. Chawa podniosła najmniejsze, pocałowała i weszła do izby.

— Kup im funt chleba — rzekła do komornicy kładąc cztery grosze — bo ja wylecieć muszę.

I nie zważając na krzyk dziecka wybiegła z domu, porwała pod oknem leżącego jesiotra i, zarzuciwszy go na ramię, popędziła ulicą wiodącą za miasto.

— A dokąd to Symchowa? — spytała jakaś staruszka, siedząca na ganku z pończochą w ręku.

— Do Puław, kochana pani — rzekła Chawa zbliżywszy się i ucałowawszy rękę staruszki.

— Niesiesz jesiotra? Dla kogo?

— Albo ja wiem dla kogo? Tu nie mogę sprzedać. Mam jeszcze połowę w domu.

— Ja ją wezmę. Przyjechał do mnie na wakacje wnuczek z dobrym apetytem. Ale czy ty taki ciężar do Puław zadźwigasz?

— Ach, moja pani, ledwie stoję. Jeszcze dziś nic nie jadłam, nie wiem nawet, czy dzieciom zdążę ugotować. Ale cóż robić? Ryby nie mogę długo trzymać. Kupiłam trzy jesiotry, jednego wzięła pani podsędkowa po jedenaście groszy funt, połowę pani kasjerowa po dziesięć, resztę mam i lecę do Puław. Dotąd nic nie zarobiłam, nawet całych trzech rubli nie odebrałam. A jak te pieniądze od pani stracę, to już chyba z dziećmi ziemię gryźć będę musiała.

Staruszka, przed którą Chawa tak szczerze się spowiadała, była wdową po ogrodniku książąt Czartoryskich w Puławach. Straciwszy ukochanych państwa, a potem męża, nie mogąc żyć w miejscu tylu smutnych dla niej pamiątek, przeniosła się do Kazimierza, gdzie ze skromnego fundusiku i wsparcia licznej rodziny utrzymywała się z ułomną niezamężną córką. Ona to przed dwoma laty pożyczyła owe trzy ruble, którym Chawa zawdzięczała wszystkie swoje operacje handlowe i których całości ze szczególnym staraniem strzegła. Najpomyślniejsze zyski w niedalekiej przyszłości nie zdołały jej zabezpieczyć od niepokoju, jaki uczuwała, ile razy czarodziejskie trzy ruble bodaj na chwilę, bodaj częściowo z rąk jej się wy-

sunęły. Wtedy doznawała nieopisanego strachu, widziała się nad przepaścią, w którą wraz z całą rodziną wpadnie. Z tej także bojaźni płynęła jej gwałtowna chęć natychmiastowego sprzedania jesiotrów. Do trzech rubli brakło jej pięciu złotych.

Charakterystycznym znamieniem stosunku Chawy do babci Wołstowickiej była szczerość Żydówki. Ona, która przy sprzedaży okłamywała wszystkie małomiasteczkowe panie, tej jednej mówiła sumienną prawdę.

— Po czemuż kupiłaś jesiotry? — spytała staruszka.

— Po pięć groszy funt — odrzekła Chawa.

— To zarobiłaś.

— U pani podsędkowej, bo kasjerowa nie oddała mi pieniędzy.

— No, idź moja kochana, nie wiem ja, kto tam teraz w Puławach mieszka, ale podobno dużo państwa zjechało.

Chawa ucałowała rękę staruszki i pobiegła. Z Kazimierza do Puław wiorst dziesięć, niełatwe więc było odbycie tej drogi z ciężarem pięćdziesięciu funtów na plecach. Toteż przewieszony przez ramię Żydówki jesiotr zdawał się sceptycznie kiwać głową nad jej śmiałym przedsięwzięciem. Mimo to ona, chociaż głodna i strudzona, szła ostrym krokiem. Na trzeciej wiorście odpoczęła. Jakiś przejeżdżający obywatel spostrzegłszy u jej nóg rybę kazał stanąć.

— A co to macie? — spytał.

— Jesiotra — odrzekła Chawa z bijącym sercem.

— E, jesiotra — bąknął wzgardliwie i pojechał dalej. Może w Puławach każdy tak kiwnie? Chawa porwała się i ruszyła w drogę. Po dwu wiorstach znowu spoczęła. Rozmyślając nad swoim strapieniem, ujrzała nadjeżdżającą w tymże kierunku biedkę, na której obok furmana siedział zabrany po drodze Żyd. Znany w Kazimierzu roznosiciel listów, dymisjonowany żołnierz, wyklęty z ambony i obijany w magistracie pijak, jechał z pocztą i na własny rachunek wziętym pasażerem.

— Franek, Franek! — wołała — poczekaj.

— Czego? — odrzekł furman zatrzymując konia.

— Weź mnie do Puław.

— Chyba doprzężecie swoją rybę, bo moja szkapa nas nie uciągnie.

— Czy to daleko — trzy skoki zająca.

— To skaczcie.

— Nie gadaj, nie gadaj.

— Ale gdzie usiądziecie, Mośkowi na kolanach?

— Znajdzie się i dla mnie miejsce.

Nie czekając pozwolenia zaczęła się wdrapywać.

— Dawać naprzód złotówkę — wołał Franek.

— Głupiś, ja cię nie skrzywdzę. — Pojechali.

— Dlaczego ty dziś z pocztą jedziesz? — spytała.

— Jędrzejowi dziecko umarło — odrzekł Franek — mnie pan wysłał. Czort, nie robota.

— Lepiej z listami miasto obchodzić i na wsie piechotą latać?

— Niby latam! Pies by tam buty zdzierał. Trzeba list do jakiego dworu odnieść, to szukam furmanki. Jest — dobrze, nie — to czekam. Papier nie kwiatek; nie uschnie.

— A jak pilno?

— Mnie nie pilno, chyba karman pusty.

— Dużo miewacie listów na wsie?

— Czort liczył. Toć wszystkich nie odnoszę, tylko te, co napisane, żeby przez posłańca wyprawić i co panowie sobie z poczty każą do domu odstawiać za kwitem, zakaźne, strachowe.

— Dobrze ci za drogę płacą?

— Ot, bzdura. Czasem kopijek dadzą, a czasem kaszy. Ja temu z Uściąża powiedział w tamtą niedzielę, że ja nie wróbel, żeby on mnie kaszę sypał. Z Polanówki dobry szlachcic: wczoraj rubla za list rzucił.

— Rubla! — zawołała wzruszona Chawa. — Toć do Polanówki nie ma mili drogi.

— Sześć wiorst. Łyknął sobie człowiek parę stakanków, poczhalterowi się sprzeciwił, poczhalter w szeję, ja jego wyrugał... Mówił, co mnie odprawi — sobaka. No, już poczta niedaleko. Żydy, wysiadać. — Chawa zeskoczyła.

— Bóg zapłać — rzekła.

— Co psiawiaro, ja do twego boga mam iść po zapłatę? Złotówkę dawaj.

— Franek, ty oszalał. Za kawałeczek drogi złotówkę!

— Jak dziesięciu kopiejek nie położysz, kawał ryby sobie ukroję.

To mówiąc wyjął nóż, gotów do spełnienia groźby.

— Szelma, co robisz! — krzyknęła rozpaczliwie Żydówka — masz, masz, zbóju.

Wyrzuciwszy jesiotra i ściągnąwszy opłatę od Mośka Franek gwiżdżąc pojechał dalej. Chawa ze swym ładunkiem na plecach pośpieszyła tąż samą drogą i zwróciła się w aleję ku Instytutowi Marianskiemu. Tam najpewniej spodziewała się sprzedać. Zaraz na wstępie jednak spotkał ją zawód. Gospodyni bowiem objaśniła ją, że wszystkie artykuły żywności nabywa tylko większymi partiami i że kilkanaście lub kilka jesiotrów chętnie by wzięła, ale jeden nie przedstawia dla niej żadnego użytku.

Opuszczając Instytut Chawa się rozpłakała. — A jeżeli wszędzie odmówią? — pomyślała. Ryba długo czekać nie może. Wlokła się przez ulicę z jesiotrem na plecach, w nadziei, że kto z prze-

chodniów ją zaczepi. Gapiów zgromadziło się dużo, ale nikt nie targował. Wreszcie jakiś niemłody jegomość przystanąwszy zapytał:

— Dla kogo to?

— Na sprzedaż — odrzekła Chawa.

— Świeży?

— Dopiero co złapany. — Obejrzał rybę.

— Ile chcecie za całą sztukę?

— Pięć rubli.

— Cztery weźmiecie?

Chawę opanowało radosne wzruszenie.

— Ach, wielmożny panie — błagała — to za mało. Mnie samą tyle kosztuje.

— Weźmiecie?

— Gdzie zanieść?

— Do tego domu, do doktora Pryskiego. Tam zapłacą. — Napisawszy kilka wyrazów na bilecie wręczył go Żydówce i odszedł.

Gdyby Chawa była żoną Lota, a na Puławy miał spaść deszcz siarczysty, nie załatwiłaby sprzedaży i nie uciekła prędzej. Są istoty, którym kilka rubli zarobku skrzydła do ramion przypina. Chawa biegnąc do domu śmiała się, klaskała w ręce, opowiadała sobie coś przyjemnego i objawiała taką radość, jak gdyby dla uczczenia zyskanych kilku rubli zwariować miała. Ciało jednak, chociaż chwilowe odurzenie potrzeby jego uśmierzy, w końcu upomina się o swoje prawa. Żydówka, prócz kilku suchych z zeszłego dnia pozostałych kartofli, od rana nic w ustach nie miała, a dzień już chylił się ku wieczorowi. Wycieńczona głodem, strudzona całodziennym lataniem, gdy paroksyzm radości przeminął, uczuła gwałtowne w nogach omdlenie. Dowlókłszy się więc do najbliższej wioski weszła do karczmy. Za stołem siedział Franek obok młodego, nieznajomego człowieka, z którym przeglądał pakiet jakiś pocztowy i raczył się wódką. Stojący nie opodal Żyd, karczmarz, przypatrywał się ciekawie tej wesołej biesiadzie.

— Niektóre ludzie w pocztowej służbie — mówił nieco już podchmielony Franek do swego towarzysza — mają takie w palcach czucie, co od razu poznają, czy w liście są pieniądze.

— W tym być muszą — odrzekł towarzysz — grube, tłuściutenkie. Może by wypatroszyć?

— No!

Chawa, zajęta swoimi myślami, nie zauważyła dobrze tej sceny i, kupiwszy dwa placki, wyszła przed karczmę, usiadła na klocku i jeść zaczęła. Przez otwarte okno dolatywały do jej uszu głośne śmiechy, a raz nawet wyraźna, niezrozumiała dla niej groźba Franka:

— Ja by ją naznaczył!

Po chwili Franek wyszedł z karczmy pijany i zatoczył się do swojej biedki, na którą z wielkim trudem usiadł.

— Hej, Żydówka, jedziesz ze mną? — zawołał.

— Nie — odrzekła Chawa.

Franek roześmiał się, ciął ją po plecach biczem, potem uderzył konia i, odjeżdżając, zawołał:

— Ty, wiedźma, myślisz, że ja by się do ciebie zalecał?!

Chawa krzyknęła z bólu, rzuciła kilka przekleństw, chwilę popłakała, wreszcie, straciwszy w żalu apetyt, schowała resztę placka do kieszeni i puściła się w drogę. O czym idąc nie myślała, trudno byłoby powiedzieć. O połowie jesiotra w domu, o dwu sprzedanych, o kosztach podróży, o głodnych dzieciach, o zbytkownej dla nich kolacji, o roznoszeniu listów, o Franku, o jego biczu... Może tylko mąż nie zajmował jej wcale. Z twarzy Chawy widać było, że jej mózg ustawicznie pracuje, z ust zaś wypadały oderwane cyfry groszowego rachunku. My, znający jej tajemnicę handlu jesiotrami, nie będziemy się temu dziwili. Wszakże, nie licząc należności od kasjerowej, Chawa już tego dnia zarobiła przeszło trzy ruble. Trzy ruble czystego zarobku! Trzeba być wilczycą, ażeby zrozumieć radość ze zdobycia wołowego uda dla dzieci.

Już zmierzch zapadał, gdy Chawa doszła do sąsiadującej z Kazimierzem wioski. Idąc nad rowem, usłyszała jakieś głośne chrapanie, a niedaleko spostrzegła konia, włóczącego po błoniu wywróconą biedkę. Domyśliwszy się, że to pewnie pijany Franek przyśpiesza troskliwie listowną wymianę myśli, przypomniawszy sobie skuteczność jego bicza, zaczęła kłusem uciekać.

Myliłbyś się, kochany czytelniku, gdybyś sądził, że Chawa pod wpływem tego spotkania rozpamiętywała może, na jakie kaprysy losu narażona jest u nas korespondencja; bynajmniej, ona po prostu myślała, jaki ten Franek szczęśliwy, że listy roznosi i w Polanówce rubla za drogę dostaje...

Ujrzawszy światełko w oknie swego domu, poczuła przyjemny dreszcz, przebiegający jej ciało. Dawno już nie wracała z tak obfitym zarobkiem, dawno już nie mogła wyprawić tak zbytkownej, jak dziś kolacji. Cieszyło ją nade wszystko to, że dziesięciomiesięczny Icek, którego przez cały dzień uspokajano kartoflami, zje wreszcie jakiś przysmak, odpowiedni jego wiekowi. Ażeby czasu nie tracić, pobiegła naprzód na rynek, kupiła kwartę mąki, za trzy grosze masła, kwaterkę mleka i jedną figę. Już z dala usłyszała w izbie rozpaczliwy płacz dzieci. Innej sfery matka przeraziłaby się niezawodnie, sądząc, że w jej rodzinie stało się jakieś nieszczęście. Chawa wiedziała, że jest to tylko chór czworga głodnych żołądków.

— No, cicho, cicho, moje małe — zawołała wpadając do izby, w której dwu chłopców szlochało po kątach, a dziewczynka starała się uspokoić najgłośniej krzyczącego Icka.

Chawa ucałowawszy go włożyła mu w usta figę, między troje innych rozdzieliła niedojedzony w drodze placek i tym sposobem wkrótce uspokoiła całe gniazdo.

— Gdzie ojciec? — spytała najstarszej córki.

— Poszedł ślub dawać, będzie na weselu.

— Nie ugotował nic?

— Nie jadł. — Jeszcze nie upłynęła godzina, kiedy skrzętna Chawa już zasiadła z dziećmi do spożycia rzadkiej wieczerzy — klusków z kartoflami okraszonych masłem, a dla Icka zaprawionych mlekiem. Kluski były głównym przysmakiem tej uczty, gdyż budżet zwykłych wydatków na życie, ograniczający się do piętnastu groszy dziennie, na zbytki podobne nie pozwalał. Kartofle, ulęgałki, kasza jęczmienna, oto były powszednie artykuły żywności w rodzinie Rubinów.

Jak rozkoszny miała Chawa sen tej nocy, daremnie siliłbym się opisać. Był to sen szczęśliwca, który wygrał na loterii, nędzarza, który znalazł wór złota, albo, jak rzekłem, wilczycy, która koło legowiska zagrzebała ledwie napoczęte udo wołowe.

— Gdzie się włóczysz? — gderał na drugi dzień Symcha — Ty nie masz męża, nie masz dzieci, na spacer sobie chodzisz. Coś zarobiła?

Chawa milczała nie chcąc zdradzić swych kapitałów, ażeby mąż, który już od trzech lat myślał o sprawieniu sobie nowego szlafroka, bez czego obywatelskiej godności przyzwoicie piastować nie mógł i który dom miał odnowić, nie zechciał ich zagarnąć.

— Ty pani — mówił dalej — ty dla siebie kupujesz jesiotry. Co będzie z tą połową, kto weźmie?

— Sprzedam — odrzekła Chawa krótko i wyszła zabrawszy resztę ryby. Dokąd? Prawie wszystkie domy obeszła; przebiegając jednak wspomnieniem wypadki dnia wczorajszego, dzięki zajściu z Frankiem przypomniała sobie pocztę. Wprawdzie pan Chrząstkiewicz żonie pensję kredytem wypłacał i długów nie pokrywał, ale czasem, gdy miał, szczególniej gdy jaka chłopka pieniądze mężowi służącemu w wojsku posyłała, poczhalter na wydatki domowe nie żałował i gotowizną płacił. Obawiała się Chawa z początku awantury z Frankiem, ale wreszcie wytłumaczyła sobie, że wobec pana Chrząstkiewicza nie jest Frankiem w drodze do Puław. Poszła.

Urząd pocztowy mieścił się w Kazimierzu na wysokiej górze, prawdopodobnie dlatego, żeby dwa rumaki pana Chrząstkiewicza, zaprzężone do ekstra pocztowej bryczki, mogły ruszać z miejsca galopem i bodaj na chwilę przekonać pasażera, że one nie są tak flegmatyczne, jak wyglądają. Jeszcze Chawa była u spodu góry, już usłyszała miotający gromy przekleństw głos poczhaltera. W takiej chwili przybyć z jesiotrem nie było bezpiecznie, ale znowu nie dowiedzieć się, o co rzecz idzie — przykro. Toteż Chawa po chwili

namysłu wsunęła się w krzaki i pod ich osłoną zaczęła ostrożnie postępować ku górze. Za każdym krokiem coraz wyraźniej rozpoznawała powody awantury.

— W kajdany cię zakuć każę — krzyczał do kogoś Chrząstkiewicz — gdzie dwa listy podziałeś, zbrodniarzu? Dlaczego ten rozcięty? Gdzieś był do rana? Czy ty myślisz, podły hultaju, że ja za ciebie odpowiadać będę? Zgnijesz w kryminale i świata nie ujrzysz, tak, zgnijesz, psie...

Po tych słowach nastąpiły uderzenia, straszny krzyk, szamotanie się, a wreszcie skok jakiegoś ciała łamiącego krzaki i spadającego na ukrytą w nich Chawę. Był to Franek, uciekający przed pogonią poczhaltera. Żydówka krzyknęła i naturalnym popędem pobiegła naprzeciw goniącego.

— A, złodziej! — wołał Chrząstkiewicz, sapiąc, spostrzegłszy ją i osadziwszy się na miejscu — ja jego jeszcze nastaluję!

— Co on ukradł? — spytała bojaźliwie Chawa.

— Pocztę, listy porozcinał czy poniszczył. O, nie daruję, nie daruję mu tego — krzyczał Chrząstkiewicz uderzając kijem o ziemię. — Jędrzeju! Idź do miasta i przynieś mi librę papieru, zaraz raport spiszę.

Podczas gdy Jędrzej pobiegł po papier, a jego pan zamknął się w kancelarii dla obmyślenia raportu, Chawa weszła do kuchni. Zmartwiona wypadkiem poczhalterowa nie mogła z początku o czym innym mówić, ale zwolna dała się naprowadzić na sprawę jesiotra.

— Kupiłabym — rzekła — gdyby mi Fercio dał pieniędzy. Ale wątpię, ten szelma zrabował pocztę, może tam i dla nas co było, straty dużo...

— On zrabował! — pocieszyła Chawa — on pójdzie do kozy. No, zmartwienie, ale co państwo temu winni?

— Ile funtów w tym kawałku?

— Dwadzieścia pięć albo więcej. Niedrogo sprzedam.

Nagle drzwi się otworzyły i wpadł Chrząstkiewicz.

— Masz ty czas, Symchowa? — spytał.

— Na co?

— Pan Kopf z Uściąża pisał do mnie wczoraj, ażeby mu natychmiast przysłać list, jeśli nadejdzie. Ten łotr dopiero dziś z pocztą wrócił, jego już wypędziłem, czybyś więc nie mogła listu Kopfowi odnieść? On ci wynagrodzi.

— Kiedy pan każe, zaraz pójdę — odrzekła Chawa i porzuciwszy jesiotra w kuchni wybiegła.

Widocznie w księdze jej przeznaczeń los przewrócił nową ich kartę. Wczoraj Chawa marzyła o szczęściu Franka, a dziś już szła z listem do Uściąża. Wprawdzie do tego Uściąża, którym Franek gardził, gdzie za drogę płacono tylko kaszą, ale naprzód kasza nie

była dla Chawy wynagrodzeniem pogardy godnym, a po wtóre, kto mógł zaręczyć, że poczhalter nie pośle jej jutro do Polanówki, gdzie rubla dają? Wszakże Franek przestał być roznosicielem, trzeba więc tylko wkraść się do łask pana Chrząstkiewicza...

W tym punkcie swych dumań Chawa roześmiała się radośnie, jak gdyby jej wielka, oślepiająca myśl zabłysnęła. Co to była za myśl, odgadniemy później, tymczasem winniśmy oddać sprawiedliwość Kopfowi, że za przyniesienie listu wynagrodził Żydówkę poczciwie. Kazał jej dać pół garnca grochu, kwartę mąki, kilkanaście marchwi, a nawet, jako rzeczywisty znawca piękności, z przyjemnością pogłaskał ją pod brodę i rzekł:

— Powiem panu Chrząstkiewiczowi, ażeby mi listy zawsze przez ciebie przysyłał.

Chawa ukłoniła się pokornie i odeszła. I tego dnia przeznaczonym jej było zjeść z dziećmi kolację wystawną.

Już wróciła na pocztę z pokwitowaniem, a Chrząstkiewicz jeszcze raportów nie ukończył. Z doniesieniem władzy, że dwie rekomendowane korespondencje przez pocztyliona w drodze zatracone zostały, załatwił się prędko; ale z raportem do burmistrza, śmiertelnego swego wroga, żądającym przyaresztowania Franka daremnie od godziny się pasował. Zmieniał wyrażenia, kreślił, przepisywał, nareszcie po długich mozołach wypracował akt, który zdaje się odpowiadał w zupełności jego powadze i ważności wypadku.

— Frankowi dałem dymisję — rzekł do Chawy dumnie, otrzepując o stół pióro z atramentu — jeżelibyś służyła dobrze, dałbym ci posadę roznosicielki.

Żydówka ukłoniła się dziękując niemym poruszeniem ust. W tej chwili weszła służąca.

— Czy pan będzie jadł jesiotra na zimno? — spytała.

— Ach, prawda — zawołał Chrząstkiewicz — ileż ci się należy za tego jesiotra?

— Drobna rzecz — odrzekła Chawa.

— No, przyjdź po listy.

Wyszedł. Dnia więc 13 lipca 18... roku Chawa Rubin została formalnie zatwierdzoną w godności roznosicielki listów zwyczajnych i rekomendowanych, po mieście i wsiach, za opłatą, co łaska. Wieść o tym wypadku rozbiegła się szybko po Kazimierzu, a nawet jednocześnie z raportem doszła do magistratu.

— Słyszałeś, słyszałeś — zawołała pani burmistrzowa wpadając do kancelarii męża — Franka Chrząstkiewicz wygnał i tę śledziarkę Symchową na jego miejsce...

— Właśnie tu do mnie złożył raport o popełnionej przez Franka kradzieży żądając, abym go do kozy wsadził.

— Już bym cię miała za gawrona, gdybyś na to przystał. Czy ty nie pamiętasz, jak ci Chrząstkiewicz u rejentów ubliżył? Ty mu wierzysz, że to Franek pocztę okradł? A jeszcze ta podła Żydówka, która mi wczoraj śmiała przynieść resztę jesiotra, co kasjerowej z nosa spadło. Rób zresztą, jak chcesz, a ja Franka na stróża już zgodziłam.

— Ale kiedy on rzeczywiście jest złodziejem — odparł burmistrz.

— U nas nie będzie — a w końcu musimy postawić na swoim.

Jakoż rzeczywiście burmistrz postawił na swoim, bo przy aresztowania Franka odmówił i do służby w magistracie przyjął.

Franek nie należał nigdy do ludzi łatwo innym ustępujących z drogi, a tym mniej dawał się z niej usunąć wtedy, gdy go wspierało tak potężne ramię, jak burmistrza, a raczej burmistrzowej. Znając przy tym wiele drażliwych spraw urzędu pocztowego był pewny, że Chrząstkiewicz winy jego zbyt nie rozmaże i na odwet się nie narazi. Nie tylko więc postanowił burzy śmiało czoło stawić, ale nadto zemścić się na Żydówce, która miejsce jego zajęła i którą o zdradzenie rewizji listów w karczmie podejrzewał.

Sprawiedliwość przyznać każe, iż pobudki, jakimi Franek gniew swój motywował, były bardzo obywatelskie i jak gdyby poczerpnięte z uczonych dzieł, wydawanych w celu wytępienia Żydostwa. Prawdziwe światło przenika czasem promieniami swymi aż do nizin społecznych. Dowodem właśnie Franek, który nigdy żadnej rozprawy przeciw Żydom nie czytał, a jednakże odczuwał w sobie potrzebne do takiej pracy natchnienia.

— Czort weź służbę — mówił do swego kolegi, drugiego stróża w magistracie — człowiek nie dziś upieczony, robotę znajdzie i znalazł. Ale żeby taka podła Żydówka chleb odbierała, to ludziom wstyd i Bogu obraza.

— Albo on ją trzymać będzie?

— Będzie, on za spódnicą w ogień, a za Żydem w wodę. A zresztą myślicie, że jemu się coś z tego nie okroi? Ja do mojej kieszeni tylko sam rękę wkładałem i co zarobiłem, to było moje; ale ona będzie musiała duszą się z nim podzielić. Szczeka, żem mu pocztę okradł, bo chciał mnie się pozbyć, bom był człowiek poczciwy, rzetelny, pilnowałem swego.

— Jużci wiadomo.

— Ach, te Żydy, te Żydy. Urodzi się sobaka, gdzie nie posiejesz, zębami już złapiesz, to jeszcze ci wydrze. Oj, przydałoby się zegnać to plugastwo i w Wiśle potopić.

— Bo prawda.

— Naszemu bratu chleb w kamień się zamienia, im piasek się lepi. Gdzie nie stąpniesz, Żyd ci nogę podetnie.

— Albo raz!

— Ja tej łachmaniarce nie daruję, ja ją z drogi zawrócę!

Niezależnie od tych pogróżek Chawa roznosiła swobodnie listy nie porzucając handlu, co jej razem przynosiło pokaźny, bo czasem do połowy rubla dziennie sięgający dochód. Jakkolwiek do Polanówki, gdzie według Franka rubla dawano, listu jeszcze się nie doczekała, dzięki jednak wyjątkowo obfitej w tej porze korespondencji i miłosierdziu adresatów, których łaski roznosicielka umiała sobie skarbić, kasza, groch, kartofle, mąka, stara odzież obficie ją zasypywały. Najwidoczniejszym tego dowodem były tłustawe twarzyczki jej dzieci, które co dzień dwa razy gotowaną strawę jadały, a nadto maleńki woreczek, który Chawa na piersiach pod kaftanem nosiła. W woreczku tym znajdowało się dziesięć zaoszczędzonych rubli, zadatek przyszłej świątecznej garderoby sześciorga Rubinów. Mówię wyraźnie: sześciorga, gdyż Chawa postanowiła nawet mężowi sprawić nowy szlafrok, co podobno było najwymowniejszym świadectwem jej zamożności.

Równolegle ze wzrostem powodzenia roznosicielki spadało szczęście Franka. Pewnego dnia dostrzeżono w kredensie brak dwu srebrnych łyżek. Burmistrzowa może by w inną stronę zwróciła swe podejrzenia, ale burmistrz, który ciągle czuł do nowego stróża wstręt policyjny, natychmiast go wypędził. Daremnie Franek klął się i zapewniał o swojej uczciwości, surowy zwierzchnik przebłagać się nie dał.

— Ta szelma Żydówka wszystkiemu winna — rzekł były roznosiciel do kolegi opuszczając magistrat. — Dopóki ona się nie wdawała, każdy mnie miał za poczciwego człowieka.

Z tą słuszną skargą poszedł prosto do szynku, gdzie jakoś współcześnie ze zniknięciem łyżek uzyskał znaczny kredyt. Wypiwszy na zatrucie smutku kilka półkwaterków zaczął z serdecznym płaczem użalać się Srulowej na swoją niedolę i jej sprawczynię.

— Co ona winna? — broniła szynkarka. — Czy was podeszła?

— Czemu wsiadła do biedki z jesiotrem, hę? — bełkotał Franek. — Ja się przeżegnał, ona wskoczyła. Zaraz nie koń nas ciągnął, ale kozioł. Ja ją uduszę... Nie uduszę — to ona z głodu zdechnie.

— Nic jej nie będzie — odrzekła surowo Srulowa — teraz może gęsi jadać. Dopiero co tu była, dziś ma list do Polanówki.

— Do Polanówki! — krzyknął, wytrzeszczając oczy, Franek — To mój rubel — ja mojemu panu list odniosę. Do Polanówki!

Jak szalony wybiegł z karczmy i potykając się popędził za miasto.

Rzeczywiście tego dnia Chawa miała odnieść rekomendowany list do Polanówki. Przez szacunek dla dworu, który tak wspaniałomyślnie posłańców wynagradzał, postanowiła przybrać się niezwyczajnie. Właśnie wtedy, gdy Franek wybiegł z karczmy, ona wróciła do domu, ażeby zmienić ubranie. Starannie umyta, w nowej spódnicy i trzewikach, w czystym białym czepku, owinięta nie-

bieską chustką, wyglądała tak pięknie, że w tej chwili można było zapomnieć o jej pracowitości, a pamiętać o urodzie. Zadowolona z siebie, pewna dobrego zarobku, ucałowała dzieci i wyszła.

Drogę do Polanówki obstąpiły z jednej strony wysokie, krzakami obrosłe góry, a z drugiej opasała Wisła. W połowie wszakże droga ta skręca się na wyniosłość i przebiega łożysko małego wąwozu. Chawa wszedłszy w ten wąwóz zauważyła leżącego przy gościńcu człowieka. Stary szynel, zniszczona skórzana czapka, ślady unurzania w błocie, przypomniały jej Franka. Może to on — pomyślała. Przecież w biały dzień nie napadnie. Zbliżywszy się o kilkanaście kroków nie wątpiła, że to był jej poprzednik w roznosicielskim urzędzie. Zmieszana tym spotkaniem, chciała obejść śpiącego, ale on widocznie ją spostrzegł, bo podniósł się i zaczął iść naprzeciw. Chawie strach ścisnął serce, ale postanowiła nie uciekać.

— A gdzie to? — spytał Franek ochrypłym głosem.

— Do Polanówki — odrzekła drżąc Żydówka.

— Po co?

— Z listem.

— Oddawaj go zaraz!

— No, dlaczego — wołała Żydówka — czy to do ciebie?

— Oddawaj — ryknął Franek porywając ją za gardło. Chawa się szarpnęła, on ją ścisnął silniej, wreszcie kilka razy tak wściekle uderzył w skroń, że się natychmiast z nóg zwaliła. Wtedy zaczął jej na piersiach rozdzierać ubranie, poza którym znalazł list i... woreczek.

Że Franek nie godził na życie i pieniądze Chawy, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Ponad zamiar pierwotny, obmyślany, stał się zabójcą i złodziejem, gdyż w uniesieniu wymierzał zbyt silne ciosy i zabrał woreczek. Było to wszakże tylko nasyceniem zemsty. Chwyciwszy bowiem list, zaczął biec w kierunku Polanówki. Dopiero pod samą wsią opamiętał się, że poselstwo jego tym razem nie będzie bezpieczne. Wrócił więc i, zboczywszy od gościńca, na którym jego ofiara pozostała, przepadł w krzakach.

Tymczasem półmartwa, omdlona Chawa długo czekała pomocy. W godzinę dopiero jadący do Kazimierza rzeźnik, spostrzegłszy w niej znaki życia, włożył ją na wóz i do domu odstawił. Nie rozesłano gońców, nie zbiegli się lekarze dla ratowania chorej, tylko czworo dzieci rozpaczliwym krzykiem daremnie usiłowało przyprowadzić do przytomności matkę, a kaszlący mąż — żonę. Wreszcie wieść o wypadku dobiegła do babci Włostowickiej, która natychmiast pośpieszyła na ratunek i wezwała cyrulika. Przystawione do pobitej głowy pijawki sprawiły na pozór ulgę, chora jednak pozostawała ciągle w silnej gorączce, odpychała kogoś, chwytała się za piersi, wołała o woreczek, którego niestety nie było. Zu-

pełny brak pieniędzy uniemożliwiał kurację! Wprawdzie odebrano od kasjerowej należność za połowę jesiotra, ale to zaledwie wystarczyło na kartofle dla dzieci i przedłużenie konania matki.

Po dwudniowych męczarniach Chawa wreszcie umarła nie powiedziawszy nawet przed śmiercią, że Franek jej zabrał dziesięć rubli, a ona babci Włostowickiej trzech nie oddała.

Biedna Chawo, ja ci to, żeś w moim kraju pracować i jego chlebem dzieci swoje żywić chciała — przebaczam.

MICHAŁ BAŁUCKI

PIERWSZE KROKI NA POLITYCZNYM TORZE

Z dziecinnych lat mego bohatera niewiele mam do zanotowania. Urodzeniu jego nie towarzyszyły żadne szczególniejsze zjawiska niebieskie, wyjąwszy tych znaków niebieskich, które się ukazały na twarzy jego rodzica po nocy spędzonej w karczmie, gdzie z kolegami swymi oblewał przyjście na świat pierworodnego syna swego. W parę tygodni potem wpisano małego Mikołaja do ksiąg parafialnych, jako urodzonego l e g i t i m e, skoro z ojca Tomasza Pocięgla, majstra kunsztu szewskiego i Marianny ze Skorupkiewiczów, którzy to Skorupkiewicze trudnili się od dawien dawna wyrabianiem garnków i innych glinianych naczyń. Tak więc, jak widzimy, latorośle dwóch cechów, które przez tyle lat zaciętą ze sobą prowadziły wojnę, splotły się ze sobą węzłem małżeńskim, ażeby wydać na świat tego, który miał być chlubą rodzinnego miasta.

W życiorysach znakomitych ludzi zwykle po dacie urodzenia i niektórych szczególniejszych właściwościach opisywanej osoby następuje wiadomość, że w szkołach już odznaczał się niesłychaną pilnością, zdolnościami itd. O moim bohaterze, niestety, tego powiedzieć nie mogę, bo w szkołach szło mu tak z nauką, jak nie przymierzając Galicji z podniesieniem przemysłu i dobrobytu, tj. że ciągle się do tego zabierał, aby skończyć szkoły i jakoś skończyć ich nie mógł, i już był chłop pod wąsem, zupełnie dojrzały, a nie mógł się jeszcze zdobyć na złożenie egzaminu dojrzałości. Koledzy jego już pozostawali profesorami, doktorami, byli nawet już bezpłatnymi praktykantami w c.k. sądzie, a on jeszcze męczył się nad przygotowaniem do egzaminu, belfrując zarazem prywatnie dla własnego utrzymania, i byłby może zmarniał i nie doszedł na tej drodze do niczego, gdyby na szczęście w rodzinnym jego mieście Pipidówce nie był umarł w tym czasie niejaki Oskuciński, po którym pozostała wdowa wraz ze sklepem i majątkiem odegrała mniej

więcej taką samą rolę w życiu mojego bohatera, jak ongi wdowa Kadzidża w losach proroka Mahometa, tj. że pomogła mu wypłynąć na widownię i stać się głośnym. Śp. bowiem Oskuciński był z zawodu świniobójcą i to świniobójcą pierwszej wody, gdyż jego wyroby miały pokup wielki nie tylko w samej Pipidówce, ale i we Lwowie, i w Krakowie, dopóki miejscowi świniobójcy nie zaćmili tam sławy imienia jego. Wskutek tego nadzwyczajnego powodzenia zostawił on wcale ładny majątteczek, ale zarazem i kłopoty, i interesa, którym jako iż sturbowana wdowa poradzić nie mogła, więc wezwała do pomocy bawiącego wówczas w Pipidówce, a raczej przygotowującego się do matury, młodego Pocięgla, nazywającego się już teraz Pocięglewiczem. Miał on już wtedy lat dwadzieścia pięć i był z niego chłop taki rosły i barczysty, że śp. Oskuciński ani się mógł z nim równać; nic więc dziwnego, że wdowa po bliższym przypatrzeniu się kandydatowi do egzaminu dojrzałości, który jej prowadził rachunki, załatwiał ekspedycje pocztowe, pisywał listy, przekazy etc., uważała za rzecz korzystniejszą nabyć sobie takiego nieocenionego pomocnika na własność i oddała mu wraz z majątkiem, sklepem i kamienicą swoją pulchną i okazałą personę. Była wprawdzie o całe dwadzieścia lat starszą od niego, miała wole na szyi, które starannie zakrywała kilkoma sznurami grubych, prześlicznych korali, miała także i piegi na twarzy, mimo to nie było jednego kawalera w Pipidówce, który by nie zazdrościł Pocięglewiczowi takiego szczęścia i długo nie mogli zapomnieć mu tego, że im sprzątnął spod nosa taką ciepłą wdówkę.

Matka Mikołaja nie doczekała już tej szczęśliwej chwili, bo na kilka lat przed ożenieniem się syna, właśnie kiedy po raz pierwszy zabierał się do matury, przeniosła się do wieczności nie przeczuwając, że jej jedynak na innym wcale polu składać będzie egzamin dojrzałości. Ojciec zaś, ucieszony szczęściem syna, spił się na to konto przy zaręczynach tak, że go już do wesela nigdy trzeźwym nie widziano, a po weselu w tym samym stanie przytomnym poszedł połączyć się ze swoją nieboszczką żoną na łonie Abrahama.

Pan Mikołaj sprawił mu suty pogrzeb, postarał się nawet o mówcę, który na cmentarzu chwalił cnoty i zasługi nieboszczyka, że aż słuchaczy do łez rozczulił, a w parę miesięcy po pogrzebie wystawił obojgu zmarłym taki wspaniały pomnik, że ludzie chodzili umyślnie na cmentarz oglądać to dziwowisko i nachwalić się nie mogli pomnika i syna, który tak czcić umie pamięć życiodawców swoich.

Wdowa była również zadowolona z młodego małżonka, bo załatwiał on wszystkie interesa w sposób przechodzący wszelkie oczekiwania. O ile w szkołach był nieradny i leniwy, o tyle teraz pokazał się energicznym, czynnym, pomysłowym, jak gdyby chciał stwierdzić prawdziwość przysłowia: przybądź szczęście, rozum bę-

dzie. Mikołajek miał teraz taki rozum, że w zdumienie wprawił wszystkich, a majątek śp. Oskucińkiego rozmnażał się i rósł w rękach w rozlicznych spekulacjach.

Zaczął od tego, że mały drewniany domek żony przeistoczył na piękną piętrową kamienicę, którą niebawem zamienił na oberżę, gdy się dowiedział, że oddział techników, mający prowadzić trasę nowej linii kolejowej, obrał sobie Pipidówkę za stały punkt operacyjny. Od razu pourządzał z komfortem gościnne pokoje, założył restaurację, kręgielnię w ogrodzie, sprowadził bilard, parę beczek pilzneńskiego piwa, zaprenumerował dwie gazety polskie i trzy niemieckie, a kiedy inżynierowie zjawili się w miasteczku, miał już wszystko gotowe na ich przyjęcie i oni też u niego założyli biuro i główną kwaterę. Tu zajeżdżała szlachta okoliczna, która z prowadzącymi trasę miała rozliczne umowy, konszachty i interesa; tu schodziły się tłumy robotników po wypłatę, tu zjawiały się od czasu do czasu grube urzędowe figury, a od każdego, czy to pan, czy robotnik, czy służący, zarabiał właściciel oberży i ciągnął niemałe zyski. Jaki taki mieszczanin desperował potem, że on nie wpadł na podobną myśl i nie urządził u siebie takiego zajazdu, ale już było poniewczasie i każdy w duchu przyznać musiał, że pan Mikołaj ma głowę nie od parady i umie dobrze chodzić koło interesów.

Oprócz tego zamienił on dotychczasowy sklepik żony na obszerny sklep, w którym wyroby masarskie podrzędne tylko zajmowały miejsce obok innych towarów. Czego tam nie było teraz w tym sklepie? I korzenne towary, i norymberskie, i galanteryjne, i wiktuały wszelkiego gatunku, i zabawki dziecinne, i wyroby powroźnicze, i szkło, i porcelana, i różne artykuły należące do damskiej toalety, czego kto chciał, co tylko mogły zapotrzebować okoliczne dwory, wszystko można było znaleźć w tym sklepie. A że Pocięglewicz sprowadzał towary z pierwszej ręki, prosto z fabryki, że kontentował się małym zyskiem, więc miał odbyt ogromny, więc w dnie targowe był u niego ścisk jak nigdzie; ludzi tyle, że jedni drugim przez głowy sięgali, a Pocięglewicz z żoną i pomocnikami nastarczyć nie mogli w obsługiwaniu gości. Handel jego w krótkim czasie stał się niebezpiecznym rywalem dla żydowskich, bo je pobijał taniością. Pocięglewicz bowiem trzymał się zasady, że lepiej mieć parę centów zysku na funcie, a sprzedawać towar cetnarami, niż łakomić się na duże zyski, a nie mieć odbytu. Było to bardzo mądre rozumowanie i pokazało się, że Pocięglewicz był na tym punkcie rachmistrz nie lada, choć w szkołach miewał najgorszy stopień z rachunków. Żydzi nadziwić się nie mogli jego zdolnościom spekulacyjnym i utrzymywali, że on musiał pochodzić z Żydów, nie przypuszczając w prawdziwym katoliku tyle sprytu do handlu.

Niemniejsze zdolności okazał w administracji swojego majątku. Pomimo licznych i różnorodnych zajęć w całym gospodarstwie

był porządek wzorowy, wszystko szło jak w zegarku, kierowane energiczną ręką i bacznym okiem pana. Przy stosownym rozkładzie miał czas na wszystko, wszędzie sam zajrzał i przypilnował: i w sklepie, i w ogrodzie, i w restauracji, i poza domem, gdzie miał także różne interesa. A wszystko to robił spokojnie, bez owego gorączkowego rzucania się, latania, krzyku, hałasu, który cechuje zwykle ludzi nieradnych, krzątających się wiele, a robiących mało. Jemu nigdy się nie spieszyło, a wszędzie był na czas i miał czas na wszystko.

Te przymioty coraz więcej jednały mu u ludzi poważanie i respekt, a gdy doszedł do lat przepisanych ustawą, wybrano go ogromną większością głosów na radcę miejskiego. Było to bowiem w tym czasie, kiedy Galicja, a względnie Pipidówka cieszyła się już od lat kilku rządem autonomicznym.

Z początku miała ona niemały kłopot z tą autonomią, jak ów chłop z zegarkiem, z którym nie wiedział, co robić, bo go nakręcać nie umiał. Pipidówka także nie umiała nakręcać się odpowiednio do autonomii ani autonomii nakręcać na własny użytek; czuła się tym niejako zdetonowaną, a w głowach i ustach jej mieszkańców pojęcia autonomii i detonomii mieszały się ciągle ze sobą i jedno brano często za drugie. Przyzwyczajeni od lat wielu do rządów c.k. komisarza powiatowego czcigodni obywatele Pipidówki nie mogli na razie oswoić się z myślą, jak to być może, żeby oni sami mieli myśleć i radzić o swoich potrzebach i poczynać coś bez pozwolenia c.k. urzędu powiatowego. Dziś, gdy już oswoiliśmy się z autonomią i kontuszami i poruszamy się w nich z pewną wprawą, trudno zrozumieć, jakie męki przechodzić musieli szanowni obywatele Pipidówki, kiedy im przyszło stawić pierwsze kroki na politycznym torze. Aktor, grywający lokajów, gdyby mu kazano objąć rolę pierwszego amanta bohaterskiego, nie byłby więcej zakłopotany, jak pierwsi rajcowie Pipidówki. Powiadają, że gdy się z nich który spotkał wtedy przypadkiem z c.k. komisarzem albo nawet wachmistrzem od żandarmów, to miał minę człowieka złapanego na jakim złym uczynku i pokornym wzrokiem zdawał się, jak skruszony grzesznik, prosić ich o przebaczenie, że śmiał wobec rządowej władzy reprezentować inną jeszcze jakąś władzę. Tak nie mogli biedacy zrozumieć racji swego bytu jako radcy.

Trudniej im było jeszcze zrozumieć, jakby to być mogło, żeby oni dobrowolnie spomiędzy siebie obierać mieli jednego, który by nimi rządził. Skąd? Jakim prawem? Z jakiej racji? Bo jeżeli rządził c.k. komisarz, to całkiem inna rzecz, bo on rządził w imię rządu, z jego upoważnienia, a miał na swoje rozkazy i policjantów, i żandarmów, a w ostatecznym razie nawet wojsko z ostrymi ładunkami i nasadzonymi bagnetami, którymi mógł nakazać uszanowanie władzy i nieposłusznych zmusić do posłuszeństwa; ale żeby można słuchać obywatela równego sobie, człowieka całkiem prywatnego,

który nie nosił złotego kołnierza ani nawet chociażby paru gwiazdek na kołnierzu, to się w głowach szanownych pipidówczanów żadną miarą pomieścić nie mogło. Właściciel sklepu bławatnego nie mógł pojąć, z jakiej racji on miałby słuchać lada kupca korzennego, blacharz uważał sobie za ubliżenie wykonywać rozkazy kowala i każdy rozumował sobie, że taki on dobry, jak i drugi. Dlatego postanowiono wysłać deputację do pana komisarza z prośbą, czyby on nie zechciał przyjąć tej godności; byłby to bowiem najłatwiejszy sposób uniknienia wszelkich zawiści i nieporozumień. Ale pan komisarz dziękując delegatom za te lojalne objawy i dowód zaufania oświadczył, że jemu, jako c.k. urzędnikowi, ani godności radcy, ani burmistrza przyjmować nie wolno, że szanowna rada, według paragrafu, jednego spośród siebie wybrać powinna i to najdalej w ciągu dwóch tygodni od chwili ukonstytuowania się.

Ponieważ dwa tygodnie już upłynęły od tego czasu, przeto na rozkaz c.k. komisarza przystąpiono do urny i zgodzono się ostatecznie na p. Pomadkiewicza, aptekarza, raz że to była najpokaźniejsza figura w mieście, co się tyczy powierzchowności, po wtóre, że liczył się do inteligencji, bo drukował był kiedyś w jakimś kalendarzu rozprawę o cebulkach włosowych i był sam wynalazcą pomady na porost włosów, a na koniec, co najważniejsze, że był to jedyny człowiek w mieście, który ze wszystkimi żył w zgodzie i nigdy nikomu się nie narażał. Zawsze świeżutko i czyściutko ubrany, z wypomadowanymi i dołem ufryzowanymi włosami, starannie ułożoną i uczernioną brodą, w rażącej białości gorsie, wykrochmalonym jak pancerz, pan aptekarz był wzorem elegancji i uprzejmości. Gdy przechodził przez miasto lśniący jak nowiutki zawsze jego cylinder, oddawał ciągle ukłony na lewo i prawo, witał wszystkich znajomych bez różnicy stanu, wyznania i wieku i tym jednał sobie wszystkich. Toteż, kiedy trzeba było ostatecznie zdecydować się na wybór prezydenta, głos ogólny powołał na tę godność p. Pomadkiewicza w nadziei, że jarzmo takiego grzecznego człowieka najlżejsze jeszcze będzie do zniesienia. Nowy burmistrz jednak nie mniej jak rajcowie był zakłopotany tą władzą, którą oddano w jego ręce, nie wiedział po prostu, co z tym fantem zrobić.

Pierwsze posiedzenie odbyło się jeszcze jako tako, bo większą część czasu zabrało nabożeństwo solenne, potem odbieranie przysięgi, potem pan prezydent w sali przybranej *ad hoc* wieńcami i kwiatami wynurzał na rozmaite sposoby wdzięczność swoją panującemu monarsze za tę łaskę, że raczył uszczęśliwić nasz kraj autonomią, a Pipidówkę w szczególności radą miejską; w końcu powitał szanownych rajców zachęcając ich do wspólnej pracy dla dobra kraju i miasta — no i jakoś zabito czas na tym pierwszym posiedzeniu.

Ale na drugim nie wiedziano, co robić dalej. Poschodzili się z bardzo poważnymi minami, posiadali w krzesłach z wielką po-

wagą; ale dalej ani rusz. Rajcowie czekali na prezydenta, co im powie; prezydent znowu spodziewał się coś od radców usłyszeć — i tak wzajemnie czekano na siebie, pochrząkając i pokaszlując. Gdyby to było w handelku, przy lampce wina, nie tak trudno byłoby o przedmiot do rozmowy, bo mieszkańcy Pipidówki mieli pociąg do wielkiej polityki i nieraz, jak się im języki rozwiązały, wypowiadali wojny, zawierali traktaty w imieniu mocarstw europejskich, wypowiadali bardzo zbawienne rady panującym, stawiali polityczne horoskopy i wyciągali arcytrafne wnioski z bieżących wypadków; ale gdy przyszło im radzić o takich drobnostkach jak sprawy miejskie i to jeszcze na sucho, żaden ust otworzyć nie umiał — i kto wie, czyby się nie byli porozchodzili do domów bez żadnego rezultatu, gdyby nie był powstał p. Pocięglewicz i nie zażądał głosu.

Mówił przeszło pół godziny, a mówił tak, że wszyscy, nie wyjmując samego pana burmistrza, gęby z podziwu otworzyli, a jeden z rajców podobno z taką otwartą gębą do domu powrócił zapomniawszy ją zamknąć przez drogę z wielkiego podziwu; wszystkim bowiem to się w głowie pomieścić nie mogło, że taki Pocięglewicz, który o wyprawie meksykańskiej albo i sprawie wschodniej trzech słów się nigdy nie odezwał, stał się naraz tak wymownym, gdy przyszło mówić o sprawach miejskich.

Zaczął od tego, że wstrzymuje się jeszcze z wyrażeniem swej radości z powodu zaprowadzenia rządów autonomicznych, bo to dopiero z czasem się pokaże, czy mamy się tak bardzo z czego cieszyć; zależeć to będzie od tego, czyśmy już dorośli do rządzenia, czy będziemy umieli gospodarować na własną rękę.

— Dotąd — mówił — byliśmy niejako w kurateli, rząd za nas myślał o nowych potrzebach, rozrządzał według swojej woli naszymi pieniędzmi. (Tu rajcowie z przestrachem obejrzeli się, czy pan komisarz nie stoi gdzie w pobliżu i nie słyszy tych słów, które można było uważać za krytykę, a nawet obrazę rządu.) Teraz oddano gospodarkę w nasze ręce. Gospodarujmy więc dobrze, żeby się w praktyce nie okazało, że jesteśmy gorszymi gospodarzami, niż nasi dotychczasowi opiekunowie.

— Nie zapominajcie, panowie — mówił dalej — że urzędy autonomiczne: takie rady miejskie, rady powiatowe, wydział krajowy, które będą rządziły krajem nie same, ale w połączeniu z biurokracją, a raczej będą stanowiły obok właściwych urzędów rodzaj honorowej asysty z głosem doradczym, a bez władzy wykonawczej — że te, powiedziałbym, honorowe urzędy narażają nas, dosyć już i tak wyciśniętych podatkami, na nowe wydatki, a tym samym i podatki; baczyć więc pilnie na to należy, aby te wydatki nam się opłaciły, aby obstała skóra za wyprawę i rządy autonomiczne nasze nie były tylko kosztownym zbytkiem. Rząd nam pozwolił wypowiadać głośno nasze potrzeby, krytykować jego czynności, to bardzo ładnie z jego strony, że pozwolił na to, co nam się już dawno

należało; ale idzie teraz o to, aby się tylko na gadaniu nie skończyło, aby ci, których powołano do reprezentowania życzeń kraju, nie tyle dbali o sławę dobrych mówców, ile o praktyczne rezultaty swego gadania. Gadanie jest potrzebne, panowie, dla porozumienia się, bo mamy przykład w biblii, że jak Pan Bóg ludziom pomieszał języki, to porozumiewać się nie mogli i wieży Babel nie skończyli. Ale idzie o to, żeby nie było więcej gadania niż roboty, boć i przekupki mielą językiem na rynku od rana do nocy i to nieraz tak wprawnie, żeby niejednego mówcę zakasowały; a jednak takim gadaniem nic nie zbudują, tyle tylko, że się rozjątrzają wzajem na siebie.

Przechodząc następnie do spraw miejskich oświadczył, że jeżeli gdzie, to w tych sprawach samorząd ma największą rację bytu i że nam się to od dawna należało, boć urzędnicy nasyłani od rządu nie mogą tak dbać o dobro miasta, jak obywatel tu zamieszkały stale i od dawna.

— Co, pytam się — mówił — może obchodzić los Pipidówki takiego na przykład pana komisarza, który dziś jest tu, a jutro może awansować na starostę i być przeniesiony do jakiego większego miasta. Toteż nie można się dziwić, że ci panowie po macoszemu traktowali nasze sprawy miejskie, nasze potrzeby.

Tu rajcowie znowu z przestrachem zaczęli obracać się poza siebie, podziwiać mówcę, że miał odwagę mówić tak śmiało i groźno o panu komisarzu, który nie podobna, żeby się o tym nie dowiedział, a jak się dowie, to może jak nic pana Pocięglewicza zapakować do kozy. Boć jeżeli za obrazę policjanta robiono to nieraz tej lub owej przekupce, to cóż dopiero za obrazę pana komisarza. Takie pojęcia mieli wtedy rajcowie Pipidówki o wolności słowa w państwie konstytucyjnym. Sam mówca jednak musiał mieć inne o tym zdanie i tak mówił dalej:

— Dość spojrzeć na nasze miasteczka, aby się przekonać, że mało dbano o ich podniesienie. Nasza na przykład Pipidówka przedstawia się nie o wiele lepiej od niejednej wioski na Śląsku pruskim. (Pan Pocięglewicz jako handlujący nierogacizną miewał w tych stronach często interesa.) Mamy niby to rynek, a w nim parę murowanych domów i kramów, ale aby się do nich dostać, trzeba brnąć po kolana w błocie, nie mówiąc już o nocy, w której panują u nas egipskie ciemności, dzięki którym niedawno jeden pijak, wracający późno do domu, śmierć znalazł w kałuży i to w samym środku miasta. Mniejsza tam o jednego pijaka, ale to przecież wstyd dla nas mieć takie bagna w mieście, a większy jeszcze wstyd nie mieć latarń nawet, które by pozwoliły orientować się wśród ciemności. I wiele, wiele takich braków dałoby się wyliczyć. Toteż, kiedy szedłem na tę radę, byłem pewny, że nie dostanę się do głosu, tak wielu domagać się go będzie i wyliczać potrzeby naszego miasta i to, co nam dla zaradzenia temu czynić należy.

Pomimo całego podziwu i uwielbienia dla talentu krasnomówczego p. Pocięglewicza, rajcowie czuli się urażeni tym przytykiem, który przetłumaczony na język zwyczajny, używany przez rajców poza murami ratusza, brzmiał mniej więcej tak: „Jesteście wszyscy osły i żaden z was gęby otworzyć nie umie, choć was wybrano rajcami". Toteż pan Wystalski, malarz i lakiernik z powołania, człowiek wielce ambitny, który z powodu swego zawodu więcej się do artystów niż rzemieślników zaliczał, nie wstając ze swego siedzenia, nie prosząc wcale o głos pana burmistrza, bo o tych zwyczajach parlamentarnych nie wiedziano jeszcze w Pipidówce, odezwał się z miejsca głośno, że to nie „wielga" sztuka wyliczać, czego miastu potrzeba, tylko skąd wziąć na te potrzeby.

— A toteż my od tego rajcowie, żeby radzić na to — odciął mu się od razu p. Pocięglewicz. — Musimy sobie sami stworzyć źródła dochodów.

— Niby to tak łatwo — mruknął malarz i lakiernik w jednej osobie i westchnął, bo mu się przypomniało, ile to on starań i zabiegów robił około wytrząśnięcia kilkunastu guldenów na własne potrzeby. Ale p. Pocięglewicz wytłumaczył mu, że co pojedynczy człowiek to nie miasto, że jakkolwiek miasteczko jest bardzo biedne, ma jednak jakie takie dochody z propinacji, z pastwisk, z lasu — a można będzie te dochody znacznie powiększyć, jeżeli się uzyska pozwolenie sejmu na zaprowadzenie rogatek wkoło miasta i pobieranie myta, podatku od psów itd. Objaśnił go także, że z tymi skromnymi funduszami, jakie obecnie znajdują się w kasie miastowej, będzie już można rozpocząć niektóre roboty najpotrzebniejsze, jak np. sprawienie kilku latarń i zrobienie gładkiego chodnika kamiennego, choćby w najpryncypalniejszej części rynku.

Rajcowie po wysłuchaniu tej mowy uważali sobie za obowiązek iść co tchu do pana komisarza dla wybadania go, czy przypadkiem nie będzie im to w oczach rządu za złe uważane, za rodzaj buntu, nielojalności. Nie poszli oni tam razem, jawnie, ale każdy w sekrecie przed drugimi, chcąc się w cztery oczy usprawiedliwić przed władzą, gdyby tego okazała się potrzeba...

Gdy jednak pan komisarz oświadczył im, że rząd nie tylko nic nie ma przeciw takim gadaniom, ale owszem życzy sobie, aby obywatele głośno i otwarcie wypowiadali swoje myśli, wtedy dopiero odetchnęli swobodniej, a w miarę tego rosło ich uwielbienie dla Pocięglewicza, że on tak umiał zwąchać zamiary rządu. Byli jednak tacy, a między nimi Wystalski, którzy utrzymywali, że to odważne wystąpienie w radzie Pocięglewicza nastąpiło po poprzednim porozumieniu się z panem komisarzem i za jego łaskawym pozwoleniem.

(Pan burmistrz z Pipidówki)

VI

BOLESŁAW PRUS

W JAKI SPOSÓB NOWI LUDZIE UKAZUJĄ SIĘ NAD STARYMI HORYZONTAMI

Początek kwietnia, jeden z tych miesięcy, które służą za przejście między zimą a wiosną. Śnieg zniknął, ale nie ukazała się jeszcze zieloność; drzewa są czarne, trawniki szare i niebo szare; wygląda jak marmur poprzecinany srebrnymi i złotawymi nitkami.

Jest około piątej po południu. Panna Izabela siedzi w swoim gabinecie i czyta najnowszą powieść Zoli: *Une page d'amour.* Czyta bez uwagi, co chwilę podnosi oczy, spogląda w okno i półświadomie formułuje sąd, że gałązki drzew są czarne, a niebo szare. Znowu czyta, spogląda po gabinecie i pół świadomie myśli, że jej meble, kryte błękitną materią, i jej niebieski szlafroczek mają jakiś szary odcień i że festony białej firanki są podobne do wielkich sopli śniegu. Potem zapomina, o czym myślała w tej chwili, i pyta się w duchu: o czym ja myślałam?... Ach, prawda, o kweście wielkotygodniowej... I nagle czuje ochotę przejechania się karetą, a jednocześnie czuje żal do nieba, że jest takie szare, że złotawe żyłki na nim są tak wąskie... Dręczy ją jakiś cichy niepokój, jakieś oczekiwanie, ale nie jest pewna, na co czeka: czy na to, ażeby chmury się rozdarły, czy na to, ażeby wszedł lokaj i wręczył jej list zapraszający na wielkotygodniową kwestę? Już taki krótki czas, a jej nie proszą.

Znowu czyta powieść, ten rozdział, kiedy podczas gwiaździstej nocy p. Rambaud naprawiał zepsutą lalkę małej Joasi, Helena tonęła we łzach bezprzedmiotowego żalu, a opat Jouvé radził, ażeby wyszła za mąż. Panna Izabela odczuwa ten żal i kto wie, czy gdyby w tej chwili ukazały się na niebie gwiazdy zamiast chmur, czy nie

rozpłakałaby się, tak jak Helena. Wszak to już ledwo parę dni do kwesty, a jej jeszcze nie proszą. Że zaproszą, o tym wie, ale dlaczego zwłoczą?...

— Te kobiety, które zdają się tak gorąco szukać Boga, bywają niekiedy nieszczęśliwymi istotami, których serce wzburza namiętność. Idą do kościoła, ażeby tam wielbić mężczyznę — mówi opat Jouvé.

— Poczciwy opat, jak on chciał uspokoić tę biedną Helenę! — myśli panna Izabela i nagle odrzuca książkę. Opat Jouvé przypomniał jej, że już od dwu miesięcy haftuje pas do kościelnego dzwonka i że go jeszcze nie skończyła. Podnosi się z fotela i przysuwa do okna stolik z tamburkiem, z pudełkiem różnokolorowych jedwabiów, z kolorowym deseniem; rozwija pas i zaczyna gorliwie wyszywać na nim róże i krzyże. Pod wpływem pracy w sercu budzi się otucha. Kto, tak jak ona, służy kościołowi, nie może być zapomniany przy wielkotygodniowej kweście. Wybiera jedwabie, nawłóczy igły i szyje wciąż. Oko jej przebiega od wzoru do haftu, ręka spada z góry na dół, wznosi się z dołu do góry, ale w myśli zaczyna rodzić się pytanie dotyczące kostiumu na Groby i toalety na Wielkanoc. Pytanie to wkrótce zapełnia jej całą uwagę, zasłania oczy i zatrzymuje rękę. Suknia, kapelusz, okrywka i parasolka, wszystko musi być nowe, a tu tak niewiele czasu i nie tylko nic nie zamówione, ale nawet nie wybrane!...

Tu przypomina sobie, że jej serwis i srebra już znajdują się u jubilera, że już trafia się jakiś nabywca i że dziś lub jutro będą sprzedane. Panna Izabela czuje ściśnienie serca za serwisem i srebrami, lecz doznaje niejakiej ulgi na myśl o kweście i nowej toalecie. Musi mieć bardzo piękną, ale jaką?...

Odsuwa tamburek i ze stolika, na którym leżą Szekspir, Dante, album europejskich znakomitości, tudzież kilka pism, bierze *Le moniteur de la mode* i zaczyna go przeglądać z największą uwagą. Oto jest toaleta obiadowa; oto ubiory wiosenne dla panienek, panien, mężatek, młodych mężatek i ich matek; oto suknie wizytowe, ceremonialne, spacerowe: sześć nowych form kapeluszy, z dziesięć materiałów, kilkadziesiąt barw... Co tu wybrać, o Boże? Nie podobna wybierać bez naradzenia się z panną Florentyną i z magazynierką...

Panna Izabela z niechęcią odrzuca monitora mody i siada na szezlongu w postaci półleżącej. Ręce, splecione jak do modlitwy, opiera na poręczy, głowę na rękach i patrzy w niebo rozmarzonymi oczyma. Kwesta wielkotygodniowa, nowa toaleta, chmury na niebie, wszystko miesza się w jej wyobraźni na tle żalu za serwisem i lekkiego uczucia wstydu, że go sprzedaje.

— Ach, wszystko jedno! — mówi sobie i znowu pragnie, ażeby chmury rozdarły się choć na chwilę. Ale chmury zgęszczają

się, a w jej sercu wzmaga się żal, wstyd i niepokój. Spojrzenie jej pada na stolik, stojący tuż obok szezlonga, i na książkę do nabożeństwa, oprawną w kość słoniową. Panna Izabela bierze do rąk książkę i powoli, kartka za kartką, wyszukuje w niej modlitwę: *Acte de résignation,* a znalazłszy, zaczyna czytać:

„Que votre nom soit béni à jamais, bien que vous avez voulu m'éprouver par cette peine". W miarę jak czyta, szare niebo wyjaśnia się, a przy ostatnich słowach... *et d'attendre en paix votre divin secours...* chmury pękają, ukazuje się kawałek czystego błękitu, gabinet panny Izabeli napełnia się światłem, a jej dusza spokojem. Teraz jest pewna, że modły jej zostały wysłuchane, że będzie miała najpiękniejszą toaletę i najlepszy kościół do kwesty.

W tej chwili delikatnie otwierają się drzwi gabinetu; staje w nich panna Florentyna, wysoka, czarno ubrana, nieśmiała, trzyma w dwu palcach list i mówi cicho:

— Od pani Karolowej.

— Ach, w sprawie kwesty — odpowiedziała panna Izabela z czarującym uśmiechem. — Cały dzień nie zaglądałaś do mnie, Florciu.

— Nie chcę ci przeszkadzać.

— W nudzeniu się?... — pyta panna Izabela. — Kto wie, czy nie byłoby nam weselej nudzić się w jednym pokoju.

— List... — mówi nieśmiała osoba w czarnej sukni, wyciągając rękę do Izabeli.

— Znam jego treść — przerywa panna Izabela. — Posiedź trochę u mnie i, jeżeli nie zrobi ci subiekcji, przeczytaj ten list.

Panna Florentyna siada nieśmiało na fotelu, delikatnie bierze z biurka nożyk i z największą ostrożnością przecina kopertę. Kładzie na biurku nożyk, potem kopertę, rozwija papier i cichym melodyjnym głosem czyta list pisany po francusku: „Droga Belu! wybacz, że odzywam się w sprawie, którą ty i twój ojciec macie prawo rozstrzygać. Wiem, drogie dziecię, że pozbywasz się twego serwisu i sreber, sama mi zresztą o tym mówiłaś. Wiem też, że znalazł się nabywca, który ofiarowuje wam pięć tysięcy rubli, moim zdaniem za mało, choć w tych czasach trudno spodziewać się więcej. Po rozmowie jednak, jaką miałam w tej materii z Krzeszowską, zaczynam lękać się, ażeby piękne te pamiątki nie przeszły w niewłaściwe ręce.

Chciałabym temu zapobiec, proponuję ci więc, jeżeli zgodzisz się, trzy tysiące rubli pożyczki na zastaw wspomnianego serwisu i sreber. Sądzę, że dziś wygodniej im będzie u mnie, gdy ojciec twój znajduje się w takich kłopotach. Odebrać je będziesz mogła, kiedy zechcesz, a, w razie mojej śmierci, nawet bez zwracania pożyczki.

Nie narzucam się, tylko proponuję. Rozważ, jak ci będzie wygodniej, nade wszystko pomyśl o następstwach.

O ile cię znam, byłabyś boleśnie dotknięta usłyszawszy kiedyś, że nasze rodzinne pamiątki zdobią stół jakiego bankiera, czy należą do wyprawy jego córki.

Zasyłam ci tysiące pocałunków.

Joanna.

P. S. Wyobraź sobie, co za szczęście spotkało moją ochronkę. Będąc wczoraj w sklepie tego sławnego Wokulskiego przymówiłam się o mały datek dla sierot. Liczyłam na jakie kilkanaście rubli, a on, czy uwierzysz, ofiarował mi tysiąc, wyraźnie: tysiąc rubli i jeszcze powiedział, że na moje ręce nie śmiałby złożyć mniejszej sumy. Kilku takich Wokulskich, a czuję, że na starość zostałabym demokratką."

Panna Florentyna, skończywszy list, nie śmiała oderwać od niego oczu. Wreszcie odważyła się i spojrzała: panna Izabela siedziała na szezlongu blada, z zaciśniętymi rękami.

— Cóż ty na to, Florciu? — spytała po chwili.

— Myślę — odparła cicho zapytana — że pani Karolowa na początku listu trafnie osądziła swoje stanowisko w tej sprawie.

— Co za upokorzenie! — szepnęła panna Izabela, nerwowo bijąc ręką w szezlong.

— Upokorzeniem jest proponować komuś trzy tysiące rubli na zastaw sreber i to wówczas, gdy obcy ofiarowują pięć tysięcy... Innego nie widzę.

— Jak ona nas traktuje... My chyba naprawdę jesteśmy zrujnowani...

— Ależ, Belciu!... — przerwała ożywiając się panna Florentyna. — Właśnie ten cierpki list dowodzi, że nie jesteście zrujnowani. Ciotka lubi być cierpka, ale umie oszczędzać nieszczęście. Gdyby wam groziła ruina, znaleźlibyście w niej tkliwą i delikatną pocieszycielkę.

— Dziękuję za to.

— I nie potrzebujesz obawiać się tego. Jutro wpłynie nam pięć tysięcy rubli, za które można prowadzić dom przez pół roku... choćby przez kwartał. Za parę miesięcy...

— Zlicytują nam kamienicę...

— Prosta forma i nic więcej. Owszem, możecie zyskać, podczas gdy dzisiaj kamienica jest tylko ciężarem. No, a po ciotce Hortensji dostaniesz ze sto tysięcy rubli. Zresztą — dodała po chwili panna Florentyna podnosząc brwi — ja sama nie jestem pewna, czy i ojciec nie ma jeszcze majątku. Wszyscy są tego zdania...

Panna Izabela wychyliła się z szezlongu i ujęła rękę panny Florentyny.

— Florciu — rzekła zniżając głos — komu ty to mówisz. Więc naprawdę uważasz mnie tylko za pannę na wydaniu, która nic nie widzi i niczego nie pojmuje?... Myślisz, że ja nie wiem — domówiła ciszej — że już miesiąc, jak pieniądze na utrzymanie domu pożyczasz od Mikołaja...

— Może właśnie ojciec chce tego...

— Czy i tego chce, ażebyś mu co rano podkładała kilka rubli?

Panna Florentyna spojrzała jej w oczy i poruszyła głową.

— Za dużo wiesz — odparła — ale nie wszystko. Już od dwu tygodni, może od dziesięciu dni, widzę, że ojciec miewa po kilkanaście rubli...

— Więc zaciąga długi.

— Nie, ojciec nigdy nie zaciąga długów w mieście. Każdy wierzyciel przychodzi z pożyczką do domu i w gabinecie ojca dostaje kwit albo procent. Nie znasz go pod tym względem.

— Więc skądże teraz ma pieniądze?

— Nie wiem. Widzę, że ma, i słyszę, że zawsze je miał...

— Po cóż w takim razie zezwala na sprzedaż sreber? — pytała natarczywie panna Izabela.

— Może chce zirytować rodzinę.

— A kto wykupił jego weksle?

Panna Florentyna zrobiła rękoma ruch oznaczający rezygnację.

— Nie wykupiła ich Krzeszowska — rzekła — to wiem na pewno. Więc albo ciotka Hortensja, albo....

— Albo?...

— Albo sam ojciec. Czy wiesz, ile rzeczy robi ojciec, ażeby zaniepokoić rodzinę, a potem śmiać się...

— Na cóż chciałby mnie, nas, niepokoić?

— Myśli, że ty jesteś spokojna. Córka powinna nieograniczenie ufać ojcu.

— Ach, tak!... — szepnęła panna Izabela zamyślając się.

Czarno ubrana kuzynka zwolna podniosła się z fotelu i cicho wyszła.

Panna Izabela znowu poczęła patrzeć na swój pokój, który wydał jej się popielatym, na czarne gałązki, które chwiały się za oknem, na parę wróbli świergoczących może o budowie gniazda, na niebo, które stało się jednolicie szare, bez żadnej jaśniejszej prążki. W jej pamięci znowu odżyła sprawa kwesty i nowej toalety, ale obie wydały się jej tak małymi, tak prawie śmiesznymi, że myśląc o nich nieznacznie wzruszyła ramionami.

Dręczyły ją inne pytania: czyby nie oddać serwisu hrabinie Karolowej — i — skąd ojciec ma pieniądze? Jeżeli miał je dawniej, dlaczego pozwolił na zaciągnięcie długów u Mikołaja?... A jeżeli nie miał, z jakiego źródła czerpie je dziś?... Jeżeli ona odda serwis i srebra ciotce, może stracić okazję do korzystnego pozbycia

się ich, a jeżeli sprzeda za pięć tysięcy, pamiątki te naprawdę mogą dostać się w niewłaściwe ręce, jak pisała hrabina.

Nagle przerwał się ten bieg myśli: bystre jej ucho usłyszało w dalszych pokojach szmer. Było to męskie stąpanie, miarowe, spokojne. W salonie stłumił je nieco dywan, w pokoju jadalnym wzmocniło się, w jej sypialni ucichło, jakby ktoś szedł na palcach.

— Proszę, papo — odezwała się panna Izabela, usłyszawszy pukanie do swoich drzwi.

Wszedł pan Tomasz. Ona podniosła się z szezlonga, ale ojciec nie pozwolił na to. Objął ją w ramiona, ucałował w głowę i, zanim usiadł przy niej, rzucił okiem na duże lustro na ścianie. Zobaczył tam swoją piękną twarz, siwe wąsy, swój ciemny żakiet bez zarzutu, gładkie spodnie, jakby dopiero co wyszły od krawca, i uznał, że wszystko jest dobrze.

— Słyszę — rzekł do córki uśmiechając się — że panienka odbiera korespondencje, które jej psują humor.

— Ach, papo, gdybyś wiedział, jakim tonem przemawia ciotka...

— Zapewne tonem osoby chorej na nerwy. Za to nie możesz mieć do niej żalu.

— Gdyby tylko żal. Ja boję się, że ona ma rację i że nasze srebra mogą naprawdę znaleźć się na jakim bankierskim stole.

Przytuliła głowę do ramienia ojca. Pan Tomasz spojrzał niechcący w lusterko na stoliku i przyznał w duchu, że oboje w tej chwili tworzą bardzo piękną grupę. Szczególniej dobrze odbijała obawa, rozlana na twarzy córki, od jego spokoju. Uśmiechnął się.

— Bankierskie stoły! — powtórzył. — Srebra naszych przodków bywały już na stołach Tatarów, Kozaków, zbuntowanych chłopów i nie tylko nam to nie uchybiało, ale nawet przynosiło zaszczyt. Kto walczy, naraża się na straty.

— Tracili przez wojnę i na wojnie — wtrąciła panna Izabela.

— A dziś nie ma wojny?... Zmieniła się tylko broń; zamiast kosą albo jataganem walczą rublem. Joasia dobrze to rozumiała, sprzedając nie serwis — ale rodzinny majątek albo rozbierając na wybudowanie spichlerza ruiny zamku.

— Więc, jesteśmy zwyciężeni — szepnęła panna Izabela.

— Nie dziecko — odparł pan Tomasz prostując się. — My dopiero zaczniemy triumfować i bodaj czy nie tego boi się moja siostra i jej koteria. Oni tak głęboko zasnęli, że razi ich każdy objaw żywotności, każdy mój śmielszy krok — dodał jakby do siebie.

— Twój, papo?

— Tak. Myśleli, że poproszę ich o pomoc. Sama Joasia chętnie zrobiłaby mnie swoim plenipotentem. Ja natomiast podziękowałem im za emeryturę i zbliżyłem się do mieszczaństwa. Zyskałem u tych ludzi powagę, która zaczyna trwożyć nasze sfery. Myśleli, że zejdę na drugi plan, a widzą, że mogę wysunąć się na pierwszy.

— Ty, papo?

— Ja. Dotychczas milczałem, nie mając odpowiednich wykonawców. Dziś znalazłem takiego, który zrozumiał moje idee, i zacznę działać.

— Któż to jest? — spytała panna Izabela, ze zdumieniem patrząc na ojca.

— Niejaki Wokulski, kupiec, żelazny człowiek. Przy jego pomocy zorganizuję nasze mieszczaństwo, stworzę towarzystwo do handlu ze Wschodem, tym sposobem dźwignę przemysł...

— Ty, papo?

— I wówczas zobaczymy, kto wysunie się naprzód, choćby przy możliwych wyborach do rady miejskiej...

Panna Izabela słuchała z szeroko otwartymi oczyma.

— Czy ten człowiek — szepnęła — o którym mówisz, papo, nie jest jakim aferzystą, awanturnikiem?...

— Nie znasz go więc? — spytał pan Tomasz. — On jednak jest jednym z naszych dostawców.

— Sklep znam, bardzo ładny — mówiła panna Izabela zamyślając się. — Jest tam stary subiekt, który wygląda trochę na dziwaka, ale nadzwyczajnie uprzejmy... Ach, zdaje mi się, że kilka dni temu poznałam i właściciela... Wygląda na gbura...

— Wokulski gbur?... — zdziwił się pan Tomasz. — Jest on wprawdzie trochę sztywny, ale bardzo grzeczny.

Panna Izabela wstrząsnęła głową.

— Niemiły człowiek — odpowiedziała z ożywieniem. — Teraz przypominam go sobie... Będąc we wtorek w sklepie zapytałam go o cenę wachlarza. Trzeba było widzieć, jak spojrzał na mnie!... Nie odpowiedział nic, tylko wyciągnął swoją ogromną, czerwoną rękę do subiekta (nawet dość eleganckiego chłopca) i mruknął głosem, w którym czuć było gniew: panie Morawski czy Mraczewski (bo nie pamiętam), pani zapytuje o cenę wachlarza. A... nieciekawego znalazł papa wspólnika!... — śmiała się panna Izabela.

— Szalonej energii człowiek, żelazny człowiek — odparł pan Tomasz. — Oni tacy. Poznasz ich, bo myślę urządzić w domu parę zebrań. Wszyscy oryginalni, ale ten oryginalniejszy od innych.

— Papa tych panów chce przyjmować?...

— Muszę naradzić się z niektórymi. A co do naszych — dodał patrząc córce w oczy — zapewniam cię, że gdy usłyszą, kto u mnie bywa, ani jednego nie zabraknie w salonie.

W tej chwili weszła panna Florentyna zapraszając na obiad. Pan Tomasz podał rękę córce i poszli we troje do jadalnego pokoju, gdzie już znajdowała się waza, tudzież Mikołaj odziany we frak i wielki, biały krawat.

— Śmieję się z Belci — rzekł pan Tomasz do kuzynki, która nalewała rosół z wazy. — Wyobraź sobie, Floro, że Wokulski zrobił na niej wrażenie gbura. Czy ty go znasz?

— Któż by dziś nie znał Wokulskiego — odpowiedziała panna Florentyna podając Mikołajowi talerz dla pana. — No, elegancki on nie jest, ale — robi wrażenie...

— Pnia z czerwonymi rękoma — wtrąciła ze śmiechem panna Izabela.

— On mi przypomina Trostiego, pamiętasz, Belu, tego pułkownika strzelców w Paryżu — odpowiedział pan Tomasz.

— A mnie posąg tryumfującego gladiatora — melodyjnym głosem dodała panna Florentyna. — Pamiętasz, Belu, we Florencji, tego z podniesionym mieczem? Twarz surowa, nawet dzika, ale piękna.

— A czerwone ręce?... — zapytała panna Izabela.

— Odmroził je na Syberii — wtrąciła panna Florentyna z akcentem.

— Cóż on tam robił?

— Pokutował za uniesienia młodości — rzekł pan Tomasz. — Można mu to przebaczyć.

— Ach, więc jest i bohaterem!...

— I milionerem — dodała panna Florentyna.

— I milionerem? — powtórzyła panna Izabela. — Zaczynam wierzyć, że papa zrobił dobry wybór przyjmując go za wspólnika. Chociaż...

— Chociaż? — spytał ojciec.

— Co powie świat na tę spółkę?

— Kto ma siłę w rękach, ma świat u nóg.

Właśnie Mikołaj obniósł polędwicę, gdy w przedpokoju zadzwoniono. Stary służący wyszedł i po chwili wrócił z listem, na srebrnej, a może platerowanej tacy.

— Od pani hrabiny — rzekł.

— Do ciebie, Belu — dodał pan Tomasz biorąc list do ręki — Pozwolisz, że cię zastąpię w połknięciu tej nowej pigułki.

Otworzył list, zaczął go czytać i ze śmiechem podał pannie Izabeli.

— Oto — zawołał — cała Joasia jest w tym liście. Nerwy, zawsze nerwy!...

Panna Izabela odsunęła talerz i z niepokojem przebiegła papier oczyma. Lecz stopniowo twarz jej wypogodziła się.

— Słuchaj, Florciu — rzekła — bo to ciekawe.

„Droga Belu! — pisze ciotka. — Zapomnij, aniołku, o moim poprzednim liście. W rezultacie twój serwis nic mnie nie obchodzi i znajdziemy inny, gdy będziesz szła za mąż. Ale chodzi mi, ażebyś koniecznie kwestowała tylko ze mną, i właśnie o tym miałam zamiar pisać poprzednio, nie o serwisie. Biedne moje nerwy! Jeżeli nie chcesz ich do reszty rozstroić, musisz zgodzić się na moją prośbę.

Grób w naszym kościele będzie cudowny. Mój poczciwy Wokulski daje fontannę, sztuczne ptaszki śpiewające, pozytywkę, która będzie grała same poważne kawałki, i mnóstwo dywanów. Hozer dostarcza kwiatów, a amatorowie urządzają koncert na organ, skrzypce, wiolonczelę i głosy. Jestem zachwycona, ale gdyby mi wśród tych cudów zabrakło ciebie, rozchorowałabym się. A więc tak?... Ściskam i całuję po tysiąc razy, kochająca ciotka.

Joanna.

Post scriptum. Jutro jedziemy do magazynu zamówić dla ciebie kostium wiosenny. Umarłabym, gdybyś go nie przyjęła".

Panna Izabela była rozpromieniona. List ten spełniał wszystkie jej nadzieje.

— Wokulski jest nieporównany — rzekł śmiejąc się pan Tomasz. — Szturmem zdobył Joasię, która nie tylko nie będzie mi wymawiała wspólnika, lecz nawet gotowa o niego walczyć ze mną.

Mikołaj podał kurczęta.

— Musi to jednakże być genialny człowiek — zauważyła panna Florentyna.

— Wokulski?... no, nie — mówił pan Tomasz. — Jest to człowiek szalonej energii, ale co się tyczy daru kombinowania, nie powiem, ażeby posiadał go w wysokim stopniu.

— Zdaje mi się, że składa tego dowody.

— Wszystko to są dowody tylko energii — odpowiedział pan Tomasz. — Dar kombinacji, genialny umysł, poznaje się w innych rzeczach, choćby... w grze. Ja z nim dosyć często gram w pikietę, gdzie koniecznie trzeba kombinować. Rezultat jest taki, że przegrałem osiem do dziesięciu rubli, a wygrałem około siedemdziesięciu, chociaż — nie mam pretensji do geniuszu! — dodał skromnie.

Pannie Izabeli wypadł z ręki widelec. Pobladła i chwyciwszy się za czoło szepnęła:

— A!... a!...

Ojciec i panna Florentyna zerwali się z krzeseł.

— Co ci jest, Belu?... — spytał zatrwożony pan Tomasz.

— Nic — odpowiedziała wstając od stołu — migrena. Od godziny czułam, że będę ją mieć... To nic, papo...

Pocałowała ojca w rękę i wyszła do swego pokoju.

— Nagła migrena powinna by przejść zaraz — rzekł pan Tomasz. — Pójdź do niej, Florciu. Ja na chwilę wyjdę do miasta, bo muszę zobaczyć się z kilkoma osobami, ale wcześniej wrócę. Tymczasem czuwaj nad nią, kochana Florciu, proszę cię o to — mówił pan Tomasz, ze spokojną fizjonomią człowieka, bez którego poleceń albo prośby nie może być dobrze na świecie.

— Zaraz do niej pójdę, tylko tu zrobię porządek — odpowiedziała panna Florentyna, dla której ład w domu był sprawą ważniejszą od czyjejkolwiek migreny.

Już mrok ogarnął ziemię... Panna Izabela jest znowu sama w swoim gabinecie; upadła na szezlong i obu rękami zasłoniła oczy. Spod kaskady tkanin, spływających aż na podłogę, wysunął się jej wąski pantofelek i kawałek pończoszki; ale tego nikt nie widzi ani ona o tym nie myśli. W tej chwil jej duszę znowu targa gniew, żal i wstyd. Ciotka ją przeprosiła, ona będzie kwestować przy najładniejszym grobie i będzie miała najpiękniejszy kostium; lecz mimo to — jest nieszczęśliwą... Doznaje takich uczuć, jak gdyby, wszedłszy do pełnego salonu, ujrzała nagle na swym nowym kostiumie ogromną, tłustą plamę obrzydliwej formy i koloru, jakby suknię wytarzano gdzieś na kuchennych schodach. Myśl o tym jest dla niej tak wstrętną, że ślina napływa jej do ust.

Co za straszne położenie!... Już miesiąc zadłużają się u swego lokaja, a od dziesięciu dni jej ojciec na swoje drobne wydatki wygrywa pieniądze w karty... Wygrać można; panowie wygrywają tysiące, ale — nie na opędzenie pierwszych potrzeb i przecież nie od kupców. Ach, gdyby można, upadłaby ojcu do nóg i błagała go, ażeby nie grywał z tymi ludźmi, a przynajmniej nie teraz, kiedy ich stan majątkowy jest tak ciężki. Za kilka dni, gdy odbierze pieniądze za swój serwis, sama wręczy ojcu paręset rubli prosząc, ażeby je przegrał do tego pana Wokulskiego, ażeby wynagrodził go hojniej, niż ona wynagrodzi Mikołaja za zaciągnięte długi.

Ale czyż jej wypada zrobić to, nawet mówić o tym ojcu?...

— Wokulski?... Wokulski?... — szepcze panna Izabela. — Któż to jest ten Wokulski, który dziś tak nagle ukazał się jej od razu z kilku stron, pod rozmaitymi postaciami. Co on ma do czynienia z jej ciotką, z ojcem?...

I otóż zdaje się jej, że już od kilku tygodni słyszała o tym człowieku. Jakiś kupiec niedawno ofiarował parę tysięcy rubli na dobroczynność, ale nie była pewna, czy to był handlujący strojami damskimi, czy futrami. Potem mówiono, że także jakiś kupiec podczas wojny bułgarskiej dorobił się wielkiego majątku, tylko nie uważała, czy dorobił się szewc, u którego ona bierze buciki, czy jej fryzjer? I dopiero teraz przypomina sobie, że ten kupiec, który dał pieniądze na dobroczynność, i ten, który zyskał duży majątek, są jedną osobą, że to właśnie jest ów Wokulski, który do jej ojca przegrywa w karty, a którego jej ciotka, znana z dumy hrabina Karolowa, nazywa „mój poczciwy Wokulski!"...

W tej chwili przypomina sobie nawet fizjonomię tego człowieka, który w sklepie nie chciał z nią mówić, tylko, cofnąwszy się za ogromne japońskie wazony, przypatrywał się jej posępnie. Jak on na nią patrzył.

Jednego dnia weszła z panną Florentyną na czekoladę do cukierni, przez figle. Usiadły przy oknie, za którym zebrało się kilkoro obdartych dzieci. Dzieci spoglądały na nią, na czekoladę i na ciastka, z ciekawością i łakomstwem głodnych zwierzątek, a ten kupiec — tak samo na nią patrzył.

Lekki dreszcz przebiegł pannę Izabelę. I to ma być wspólnik jej ojca?... Do czego ten wspólnik?... Skąd jej ojcu przyszło do głowy zawiązywać jakieś towarzystwo handlowe, tworzyć jakieś rozległe plany, o których nigdy dawniej nie marzył?... Chce, przy pomocy mieszczaństwa, wysunąć się na czoło arystokracji; chce zostać wybranym do rady miejskiej, której nie było i nie ma?..

Ależ ten Wokulski, to naprawdę jakiś aferzysta, może oszust, który potrzebuje głośnego nazwiska na szyld swoich przedsiębiorstw. Bywały takie wypadki. Ileż to pięknych nazwisk szlachty niemieckiej i węgierskiej unurzało się w operacjach handlowych, których ona nawet nie rozumie, a ojciec chyba nie więcej.

Zrobiło się już zupełnie ciemno; na ulicy zapalono latarnie, których blask wpadał do gabinetu panny Izabeli, malując na suficie ramę okna i zwoje firanki. Wyglądało to jak krzyż na tle jasności, którą powoli zasłania gęsty obłok.

— Gdzie to ja widziałam taki krzyż, taką chmurę i jasność?... — zapytała się panna Izabela. Zaczęła przypominać sobie widziane w życiu okolice — i marzyć.

Zdawało się jej, że powozem jedzie przez jakąś znaną miejscowość. Krajobraz jest podobny do olbrzymiego pierścienia, utworzonego z lasów i zielonych gór, a jej powóz znajduje się na krawędzi pierścienia i zjeżdża na dół. Czy on zjeżdża? Bo ani zbliża się do niczego, ani od niczego nie oddala, tak jakby stał w miejscu. Ale zjeżdża: widać to w wizerunku słońca, które odbija się w lakierowanym skrzydle powozu i drgając, zwolna posuwa się w tył. Zresztą słychać turkot... To turkot dorożki na ulicy?... Nie, to turkoczą machiny pracujące gdzieś w głębi owego pierścienia gór i lasów. Widać tam nawet, na dole, jakby jezioro czarnych dymów i białych par, ujęte w ramię zieloności.

Teraz panna Izabela spostrzegła ojca, który siedzi przy niej i z uwagą ogląda sobie paznokcie, od czasu do czasu rzucając okiem na krajobraz. Powóz ciągle stoi na krawędzi pierścienia niby bez ruchu, a tylko wizerunek słońca, odbitego w lakierowanym skrzydle, wolno posuwa się ku tyłowi. Ten pozorny spoczynek, czy też utajony ruch, w wysokim stopniu drażni pannę Izabelę. — Czy my jedziemy, czy stoimy? — pyta ojca. Ale ojciec nie odpowiada nic, jakby jej nie widział: ogląda swoje piękne paznokcie i czasami rzuca okiem na okolicę...

Wtem (powóz ciągle drży i słychać turkot) z głębi jeziora czarnych dymów i białych par wynurza się do pół figury jakiś

człowiek. Ma krótko ostrzyżone włosy, śniadą twarz, która przypomina Trostiego, pułkownika strzelców (a może gladiatora z Florencji?), i ogromne czerwone dłonie. Odziany jest w zasmoloną koszulę, z rękawami zawiniętymi wyżej łokci, a w lewej ręce, tuż przy piersi, trzyma karty ułożone w wachlarz, w prawej, którą podniósł nad głowę, trzyma jedną kartę, widocznie w tym celu, aby ją rzucić na przód siedzenia powozu. Reszty postaci nie widać spośród dymu.

— Co on robi, ojcze? — pyta się zalękniona panna Izabela.

— Gra ze mną w pikietę — odpowiada ojciec, również trzymając w rękach karty.

— Ależ to straszny człowiek, papo!

— Nawet tacy nie robią nic złego kobietom — odpowiada pan Tomasz.

Teraz dopiero panna Izabela spostrzega, że człowiek w koszuli patrzy na nią jakimś szczególnym wzrokiem, ciągle trzymając kartę nad głową. Dym i para, kotłujące w dolinie, chwilami zasłaniają jego rozpiętą koszulę i surowe oblicze; tonie wśród nich — nie ma go. Tylko spoza dymu widać blady połysk jego oczów, a nad dymem obnażoną do łokcia rękę i — kartę.

— Co znaczy ta karta, papo?... — zapytuje ojca.

Ale ojciec spokojnie patrzy we własne karty i nie odpowiada nic, jakby jej nie widział.

— Kiedyż nareszcie wyjedziemy z tego miejsca?...

Ale choć powóz drży i słońce, odbite w skrzydle, posuwa się ku tyłowi, ciągle u stopni widać jezioro dymu, a w nim zanurzonego człowieka, jego rękę nad głową i — kartę.

Pannę Izabelę ogarnia nerwowy niepokój, skupia wszystkie wspomnienia, wszystkie myśli, ażeby odgadnąć: co znaczy karta, którą trzyma ten człowiek?...

Czy to są pieniądze, które przegrał do jej ojca w pikietę? Chyba nie. Może ofiara, jaką złożył Towarzystwu Dobroczynności? I to nie. Może tysiąc rubli, które dał jej ciotce na ochronę, a może to jest kwit na fotannę, ptaszki i dywany do ubrania Grobu Pańskiego?... Także nie; to wszystko nie niepokoiłoby jej.

Stopniowo pannę Izabelę napełnia wielka bojaźń. Może to są weksle jej ojca, które ktoś niedawno wykupił?... W takim razie, wziąwszy pieniądze za srebra i serwis, spłaci ten dług najpierwej i uwolni się od podobnego wierzyciela. Ale człowiek pogrążony w dymie wciąż patrzy jej w oczy i karty nie rzuca. Więc może... Ach!...

Panna Izabela zrywa się z szezlonga, potrąca w ciemności o taburet i drżącymi rękami dzwoni. Dzwoni drugi raz, nie od-

powiada nikt, więc wybiega do przedpokoju i we drzwiach spotyka pannę Florentynę, która chwyta ją za rękę i mówi ze zdziwieniem:

— Co tobie, Belciu?...

Światło w przedpokoju nieco oprzytamnia pannę Izabelę. Uśmiecha się.

— Weź, Florciu, lampę do mego pokoju. Papa jest?

— Przed chwilą wyjechał.

— A Mikołaj?

— Zaraz wróci, poszedł oddać list posłańcowi. Czy gorzej boli cię głowa? — pyta panna Florentyna.

— Nie — śmieje się panna Izabela — tylko zdrzemnęłam się i tak mi się majaczyło.

Panna Florentyna bierze lampę i obie z kuzynką idą do jej gabinetu. Panna Izabela siada na szezlongu, zasłania ręką oczy przed światłem i mówi:

— Wiesz, Florciu, namyśliłam się, nie sprzedam moich sreber obcemu. Mogą naprawdę dostać się, Bóg wie, w jakie ręce. Siądź zaraz, jeżeliś łaskawa, przy moim biurku i napisz do ciotki, że... przyjmuję jej propozycję. Niech nam pożyczy trzy tysiące rubli i niech weźmie serwis i srebra.

Panna Florentyna patrzy na nią z najwyższym zdumieniem, wreszcie odpowiada:

— To jest niemożliwe, Belciu.

— Dlaczego?...

— Przed kwadransem otrzymałam list od pani Meliton, że srebra i serwis już kupione.

— Już?... Kto je kupił? — woła panna Izabela chwytając kuzynkę za rękę.

Panna Florentyna jest zmieszana.

— Podobno jakiś kupiec z Rosji... — mówi, lecz czuć, że mówi nieprawdę.

— Ty coś wiesz, Florciu!... Proszę cię, powiedz!... — błaga ją panna Izabela. Jej oczy napełniają się łzami.

— Zresztą tobie powiem, tylko nie zdradź tajemnicy przed ojcem — prosi kuzynka.

— Więc kto?... No, kto kupił?...

— Wokulski — odpowiada panna Florentyna.

Pannie Izabeli w jednej chwili obeschły oczy nabierając przy tym barwy stalowej. Odpycha z gniewem ręce kuzynki, przechodzi tam i na powrót swój gabinet, wreszcie siada na foteliku naprzeciw panny Florentyny. Nie jest już przestraszoną i zdenerwowaną pięknością, ale wielką damą, która ma zamiar kogoś ze służby osądzić, a może wydalić.

— Powiedz mi, kuzynko — mówi pięknym kontraltowym głosem — co to za śmieszny spisek knujecie przeciwko mnie?...

— Ja?... spisek?... — powtarza panna Florentyna przyciskając rękoma piersi. — Nie rozumiem cię, Belu...

— Tak. Ty, pani Meliton i ten... zabawny bohater... Wokulski...

— Ja i Wokulski?... — powtarza panna Florentyna. Tym razem zdziwienie jej jest tak szczere, że wątpić nie można.

— Przypuśćmy, że nie spiskujesz — ciągnie dalej panna Izabela — ale coś wiesz...

— O Wokulskim wiem to, co wszyscy. Ma sklep, w którym kupujemy, zrobił majątek na wojnie...

— A o tym, że wciąga papę do spółki handlowej, nie słyszałaś?

Wyraziste oczy panny Florentyny zrobiły się bardzo dużymi.

— Ojca twego wciąga do spółki? — rzekła wzruszając ramionami. — Do jakiejże spółki może go wciągnąć?...

I w tej chwili przestrasza się własnych słów...

Panna Izabela nie mogła wątpić o jej niewinności; znowu parę razy przeszła się po gabinecie, z ruchami zamkniętej lwicy, i nagle zapytała:

— Powiedzże mi przynajmniej, co sądzisz o tym człowieku?

— Ja, o Wokulskim?... Nic o nim nie sądzę, wyjąwszy chyba to, że szuka rozgłosu i stosunków.

— Więc dla rozgłosu ofiarował tysiąc rubli na ochronkę?

— Z pewnością. Dał przecie dwa razy tyle na dobroczynność.

— A dlaczego kupił mój serwis i srebra?

— Zapewne dlatego, ażeby je z zyskiem sprzedać — odpowiedziała panna Florentyna. — W Anglii za podobne rzeczy dobrze płacą.

— A dlaczego... wykupił weksle papy?

— Skąd wiesz, że to on? W tym nie miałby żadnego interesu.

— Nic nie wiem — pochwyciła gorączkowo panna Izabela — ale wszystko przeczuwam, wszystko rozumiem... Ten człowiek chce zbliżyć się do nas...

— Już się przecie poznał z ojcem — wtrąciła panna Florentyna.

— Więc do mnie chce się zbliżyć!... — zawołała panna Izabela z wybuchem. — Poznałam to po...

Wstyd jej było powiedzieć: „po jego spojrzeniu".

— Czy nie uprzedzasz się, Belciu?...

— Nie. To, czego doznaję w tej chwili, nie jest uprzedzeniem, ale raczej jasnowidzeniem. Nawet nie domyślasz się, jak ja dawno znam tego człowieka, a raczej — od jak dawna on mnie prześladuje. Teraz dopiero przypominam sobie, że przed rokiem

nie było przedstawienia w teatrze, nie było koncertu, odczytu, na którym bym go nie spotkała, i dopiero dziś ta... bezmyślna figura wydaje mi się straszną...

Panna Florentyna aż cofnęła się z fotelikiem szepcząc:

— Więc przypuszczasz, żeby się ośmielił...

— Zagustować we mnie?... — przerwała ze śmiechem panna Izabela. — Tego nawet nie myślałabym mu bronić. Nie jestem ani tak naiwna, ani tak fałszywie skromna, ażeby nie wiedzieć, że się podobam... mój Boże! nawet służbie... Kiedyś gniewało mnie to jak żebranina, która zastępuje nam drogę na ulicach, dzwoni do mieszkań albo pisuje listy z prośbą o wsparcie. Ale dziś — tylko zrozumiałam lepiej słowa Zbawcy: „komu wiele dano, od tego wiele żądać będą".

— Zresztą — dodała wzruszając ramionami — mężczyźni w tak bezceremonialny sposób zaszczycają nas swoim uwielbieniem, że nie tylko już nie dziwię się ich nadskakiwaniu albo impertynenckim spojrzeniom, ale temu, gdy jest inaczej. Jeżeli w salonie spotkam człowieka, który mi nie mówi o swej sympatii i cierpieniach albo nie milczy posępnie w sposób zdradzający jeszcze większą sympatię i cierpienia, albo nie okazuje mi lodowatej obojętności, co ma być oznaką najwyższej sympatii i cierpień, wtedy — czuję, że mi czegoś brak, jak gdybym zapomniała wachlarza albo chusteczki... O, ja ich znam! tych wszystkich donżuanów, poetów, filozofów, bohaterów, te wszystkie tkliwe, bezinteresowne, złamane, rozmarzone albo silne dusze... Znam całą tę maskaradę i zapewniam cię, że dobrze się nią bawię. Cha! cha! cha!... jacy oni śmieszni...

— Nie rozumiem cię, Belciu... — wtrąciła panna Florentyna rozkładając ręce.

— Nie rozumiesz?... Więc chyba nie jesteś kobietą.

Panna Florentyna zrobiła gest przeczący, a następnie powątpiewający.

— Posłuchaj — przerwała panna Izabela. — Od roku już straciliśmy stanowisko w świecie. Nie zaprzeczaj, bo tak jest, wszyscy o tym wiemy. Dziś jesteśmy zrujnowani...

— Przesadzasz...

— Ach, Floro, nie pocieszaj mnie, nie kłam!... Czyżeś nie słyszała przy obiedzie, że nawet tych kilkanaście rubli, które ma obecnie mój ojciec, są wygrane w karty od...

Panna Izabela mówiąc to drżała na całym ciele. Oczy jej błyszczały, a na twarzy miała wypieki.

— Otóż w takiej chwili przychodzi ten... kupiec, nabywa nasze weksle, nasz serwis, opętuje mego ojca i ciotkę, czyli — ze wszystkich stron otacza mnie sieciami jak myśliwiec zwierzynę. To już nie smutny wielbiciel, to nie konkurent, którego można

odrzucić, to... zdobywca!... On nie wzdycha, ale zakrada się do łask ciotki, ręce i nogi oplątuje ojcu, a mnie chce porwać gwałtem, jeżeli nie zmusić do tego, ażebym mu się sama oddała... Czy rozumiesz tę wyrafinowaną nikczemność?

Panna Florentyna przestraszyła się.

— W takim razie masz bardzo prosty sposób. Powiedz...

— Komu i co?... Czy ciotce, która gotowa popierać tego pana, ażeby mnie zmusić do oddania ręki marszałkowi?... Czy może mam powiedzieć ojcu, przerazić go i przyśpieszyć katastrofę? Jedno tylko zrobię: nie pozwolę ojcu, ażeby zaciągał się do jakichkolwiek spółek, choćbym miała włóczyć mu się u nóg, choćbym miała... zabronić mu tego w imieniu zmarłej matki...

Panna Florentyna patrzy na nią z zachwytem...

— Doprawdy, Belciu — rzekła — przesadzasz. Z twoją energią i taką genialną domyślnością...

— Nie znasz tych ludzi, a ja widziałam ich przy pracy. W ich rękach stalowe szyny zwijają się jak wstążki. To straszni ludzie. Oni dla swoich celów umieją poruszyć wszystkie siły ziemskie, jakich my nawet nie znamy. Oni potrafią łamać, usidlać, płaszczyć się, wszystko ryzykować, nawet cierpliwie czekać...

— Mówisz na podstawie czytanych romansów.

— Mówię na mocy moich przeczuć, które ostrzegają... wołają, że ten człowiek po to jeździł na wojnę, ażeby mnie zdobyć. I ledwie wrócił, już mnie ze wszystkich stron osacza... Ale niech się strzeże!... Chce mnie kupić? dobrze, niech kupuje!... przekona się, że jestem bardzo droga... Chce mnie złapać w sieci?... Dobrze, niech je rozsnuwa... ale ja mu się wymknę, choćby w objęcia marszałka... O, Boże! nawet nie domyślałam się, jak głęboka jest przepaść, w którą spadamy, dopóki nie zobaczyłam takiego dna. Z salonów Kwirynału do sklepu... To już nawet nie upadek, to hańba...

Siadła na szezlongu i utuliwszy głowę rękoma, szlochała.

(Lalka)

MIKOŁAJ RODOĆ

JA MU TAM NIE DAM GŁOSU

— Tak więc jutro sobota,
Wybory: niesie fama,
Że znowu pójdą wota
Na hrabiego Adama.
— Ależ niech Bóg uchowa!
Dość narobił bigosu,
A toż to tępa głowa!
Ja mu tam nie dam głosu!

— Prawda, głowa nietęga,
A warto luminarza;
Może by pan Siermięga?
Jak go sąsiad uważa?
Bo to i pracowity
Człowiek, i wykształcony,
I ze światem obyty,
Dobrze zna nasze strony...

— Tak, nie zaprzeczam wcale,
Siermięga — brylant czysty;
Tylko ma jedno ale,
Że syn oficjalisty.
To jakoś nie uchodzi,
Zawsze lepiej dlatego,
Gdy kto z naszych rej wodzi,
Jużby prędzej Barskiego?

— O, o, o! nie ma zgody!
Nie, sąsiadeczku miły!
Demokrat czystej wody!
Bodaj go kule biły!
Co mi, że znakomity!
U niego herb — to blaga!
Magnaci — pasożyty!
Nie chcę! Lepszy pan Waga.

— Nie, co do pana Wagi,
Nigdy nie będę za tem;
Brak mu wszelkiej odwagi.
Kiedy był deputatem,
Przegrałem o młyn sprawę;
Co mamy go się prosić!
Wolę pana Kurzawę,
Ludzi rozumnych dosyć.

— Zdolny, zdolny, Kurzawa,
I owszem, byłbym gotów;
Tylko dla mnie ta sprawa
Trudna; dość mam kłopotów!
Bo widzi sąsiad drogi,
Jego i moja żona
Są z sobą... tak... na rogi...
Ja bym wolał Ordona.

— Co? Ordona! sąsiedzie!
Chyba sąsiad kochany
Nie był tam na obiedzie!
To skąpiec zawołany!
Nigdy nikogo w świecie
Nie prosi, niby chory,
Jeśli go wybrać chcecie,
Nie jadę na wybory.

— No, no, kłopot nie lada,
Nie ma ludzi, dzicz sama;
Chyba wrócić wypada
Do hrabiego Adama.
— Tak, to człowiek właściwy,
Gościnny oprócz tego,
Ma stosunki, ma wpływy...
Ja głosuję na niego!

(*Satyry obyczajowe*)

BOLESŁAW PRUS

SPÓŁKA HANDLOWA

— Książę!... — zameldował służący.
Wokulskiemu pociemniało w oczach.
— Proś.
Książę wszedł.
— Dzień dobry, panie Wokulski! — zawołał. — Pan gdzieś wyjeżdża? Zapewne do składów albo na kolej. Ale nic z tego. Aresztuję pana i zabieram do siebie. Będę nawet tak niegrzeczny, że zakwateruję się do pańskiego powozu, bo dziś swego nie wziąłem. Jestem jednak pewny, że wszystko to wybaczy mi pan, ze względu na doskonałe wiadomości.
— Raczy książę spocząć...
— Na chwilkę. Niech pan sobie wyobrazi — mówił książę siadając — że dopóty dokuczałem naszym panom bratom... Czy dobrze powiedziałem?... Dopóty ich prześladowałem, aż obiecali przyjść w kilku do mnie i wysłuchać projektu pańskiej spółki. Natychmiast więc pana zabieram, a raczej zabieram się z panem i — jedziemy do mnie.
Wokulski doznał takiego wrażenia, jak człowiek, który spadł z wysokości i uderzył piersiami o ziemię.
Pomieszanie jego nie uszło uwagi księcia, który uśmiechnął się przypisując to radości z jego wizyty i zaprosin. Przez głowę mu nawet nie przeszło, że dla Wokulskiego może być ważniejszym spacer do Łazienek, aniżeli wszyscy książęta i spółki.

— A więc jesteśmy gotowi? — spytał książę powstając z fotelu.

Sekundy brakowało, ażeby Wokulski powiedział, że nie pojedzie i nie chce żadnych spółek. Ale w tym samym momencie przebiegła mu myśl:

— Spacer — to dla mnie, spółka — dla niej.

Wziął kapelusz i pojechał z księciem. Zdawało mu się, że powóz nie jedzie po bruku, ale po jego własnym mózgu.

„Kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą, bodaj pięści..." przypomniał sobie zdanie pani Meliton. Pod wpływem tego aforyzmu chciał porwać księcia za kołnierz i wyrzucić go na ulicę. Ale trwało to tylko chwilę.

Książę przypatrywał mu się spod rzęs, a widząc, że Wokulski to czerwienieje, to blednieje, myślał:

— Nie spodziewałem się, że zrobię aż taką przyjemność temu poczciwemu Wokulskiemu. Tak, trzeba zawsze podawać rękę nowym ludziom...

W swoim towarzystwie książę nosił tytuł zagorzałego patrioty, prawie szowinisty; poza towarzystwem cieszył się opinią jednego z najlepszych obywateli. Bardzo lubił mówić po polsku, a nawet treścią jego francuskich rozmów były interesa publiczne.

Był arystokratą od włosów do nagniotków, duszą, sercem, krwią. Wierzył, że każde społeczeństwo składa się z dwu materiałów: zwyczajnego tłumu i klas wybranych. Zwyczajny tłum był dziełem natury i mógł nawet pochodzić od małpy, jak to, wbrew Pismu Świętemu, utrzymywał Darwin. Lecz klasy wybrane miały jakiś wyższy początek i pochodziły, jeżeli nie od bogów, to przynajmniej od pokrewnych im bohaterów, jak Herkules, Prometeusz, od biedy — Orfeusz.

Książę miał we Francji przyjaciela, hrabiego (w najwyższym stopniu dotkniętego zarazą demokratyczną), który drwił sobie z nadziemskich początków arystokracji.

— Mój kuzynie — mówił — myślę, że nie zdajesz sobie należycie sprawy z kwestii rodów. Cóż to są wielkie rody? Są nimi takie, których przodkowie byli hetmanami, senatorami, wojewodami, czyli po dawniejszemu: marszałkami, członkami izby wyższej lub prefektami departamentów. No — a przecie takich panów znamy: nic w nich nadzwyczajnego... Jedzą, piją, grają w karty, umizgają się do kobiet, zaciągają długi — jak reszta śmiertelników, od których są niekiedy głupsi.

Księciu na twarz występowały chorobliwe rumieńce.

— Czy spotkałeś kiedy, kuzynie — odparł — prefekta lub marszałka, z takim wyrazem majestatu, jaki widujemy na portretach naszych przodków?

— Cóż w tym dziwnego — śmiał się zarażony hrabia. — Malarze nadawali obrazom wyraz, o jakim nie śniło się żadnemu

z oryginałów: tak jak heraldycy i historycy opowiadali o nich bajeczne legendy. To wszystko kłamstwo, mój kuzynie!... To są kulisy i kostiumy, które z jednego Wojtka robią księcia, a z innego parobka. W rzeczywistości jeden i drugi jest tylko lichym aktorem.

— Z szyderstwem, kuzynie, nie ma rozprawy! — wybuchnął książę i uciekał. Biegł do siebie, kładł się na szezlongu z rękoma splecionymi pod głowę i patrząc w sufit widział przesuwające się na nim postacie nadludzkiego wzrostu, siły, odwagi, rozumu, bezinteresowności. To byli — przodkowie jego i hrabiego; tylko że hrabia zapierał się ich. Czyżby istniała w nim jaka przymieszka krwi?...

Tłumem zwyczajnych śmiertelników książę nie tylko nie gardził, ale owszem: miał dla nich życzliwość, a nawet stykał się z nimi i interesował ich potrzebami. Wyobrażał sobie, że jest jednym z Prometeuszów, którzy mają poniekąd honorowy obowiązek sprowadzić tym biednym ludziom ogień z nieba na ziemię. Zresztą religia nakazywała mu sympatię dla maluczkich, i książę rumienił się na samą myśl, że większa część towarzystwa stanie kiedyś przed boskim sądem bez tego rodzaju zasługi.

Więc, aby uniknąć wstydu dla siebie, bywał i nawet zwoływał do swego mieszkania rozmaite sesje, wydawał po dwadzieścia pięć i po sto rubli na akcje rozmaitych przedsiębiorstw publicznych, nade wszystko zaś — ciągle martwił się nieszczęśliwym położeniem kraju, a każdą mowę swoją kończył frazesem:

— Bo, panowie, myślmy najpierw o tym, ażeby podźwignąć nasz nieszczęśliwy kraj.

A gdy to powiedział, czuł, że z serca spada mu jakiś ciężar: tym większy, im więcej było słuchaczów albo im więcej rubli wydał na akcję.

Zwołać sesję, zachęcić do przedsiębiorstwa i cierpieć, wciąż cierpieć nad nieszczęśliwym krajem, oto, jego zdaniem, były obowiązki obywatela. Gdyby go jednak spytano, czy zasadził kiedy drzewo, którego cień ochroniłby ludzi i ziemię od spiekoty? albo czy kiedy usunął z drogi kamień raniący koniom kopyta? — byłby szczerze zdziwiony.

Czuł i myślał, pragnął i cierpiał — za miliony. Tylko — nic nigdy nie zrobił użytecznego. Zdawało mu się, że ciągłe frasowanie się całym krajem ma bez miary wyższą wartość od utarcia nosa zasmolonemu dziecku.

W czerwcu fizjonomia Warszawy uległa widocznej zmianie. Puste przedtem hotele napełniają się i podwyższają ceny, na wielu domach ukazują się ogłoszenia: „apartament z meblami do wynajęcia na kilka tygodni". Wszystkie dorożki są zajęte, wszyscy posłańcy biegają. Na ulicach, w ogrodach, teatrach, w restauracjach, na wystawach, w sklepach i magazynach strojów damskich widać figury niespotykane w zwykłym czasie. Są nimi tędzy i opaleni

mężczyźni w granatowych czapkach z daszkami, w zbyt obszernych butach, w ciasnych rękawiczkach, w garniturach pomysłu prowincjonalnego krawca. Towarzyszą im gromadki dam, nie odznaczających się pięknością ani warszawskim szykiem, tudzież niemniej liczne gromadki niezręcznych dzieci, którym z ust szeroko otwartych wygląda zdrowie.

Jedni z wiejskich gości przyjeżdżają tu z wełną na jarmark, drudzy na wyścigi, inni, ażeby zobaczyć wełnę i wyścigi; ci dla spotkania się z sąsiadami, których na miejscu mają o wiorstę drogi, tamci dla odświeżenia się w stolicy mętnej wody i pyłu, a owi męczą się przez kilkudniową podróż, sami nie wiedząc po co.

Z podobnego zjazdu skorzystał książę, ażeby zbliżyć Wokulskiego z ziemiaństwem.

Książę we własnym pałacu na pierwszym piętrze zajmował ogromne mieszkanie. Część jego, złożona z gabinetu pana, biblioteki i fajczarni, była miejscem męskich zebrań, na których książę przedstawiał swoje lub cudze projekta, dotyczące spraw publicznych. Zdarzało się to po kilka razy w roku. Ostatnia nawet sesja wiosenna była poświęcona kwestii statków śrubowych na Wiśle, przy czym bardzo wyraźnie zarysowały się trzy stronnictwa. Pierwsze, złożone z księcia i jego osobistych przyjaciół, koniecznie domagało się śrubowców, drugie zaś, mieszczańskie, uznając w zasadzie piękność projektu, uważało go jednak za przedwczesny i nie chciało dać na ten cel pieniędzy. Trzecie stronnictwo składało się tylko z dwu osób, pewnego technika, który twierdził, że śrubowce nie mogą pływać po Wiśle, i pewnego głuchego magnata, który na wszystkie odezwy, skierowane do jego kieszeni, stale odpowiadał:

— Proszę trochę głośniej, bo nic nie słychać...

Książę z Wokulskim przyjechali o pierwszej, a w kwadrans po nich zaczęli schodzić się i zjeżdżać inni uczestnicy sesji. Książę witał każdego z uprzejmą poufałością, prezentował Wokulskiego, a następnie podkreślał przybysza na liście zaproszonych bardzo długim i bardzo czerwonym ołówkiem.

Jednym z pierwszych gości był pan Łęcki; wziął Wokulskiego na stronę i jeszcze raz wypytywał go o cel i znaczenie spółki, do której należał już całą duszą, ale nigdy nie mógł dobrze spamiętać, o co chodzi. Tymczasem inni panowie przypatrywali się intruzowi i zniżonym głosem robili o nim uwagi.

— Bycza mina! — szepnął otyły marszałek wskazując okiem na Wokulskiego. — Szczeć na głowie jeży mu się jak dzikowi, pierś — upadam do nóg, oko bystre... Ten by nie ustał na polowaniu.

— I twarz, panie... — dodał baron z fizjonomią Mefistofelesa — Czoło, panie... wąsik, panie... mała hiszpanka, panie... Wcale, panie. Rysy trochę, panie... ale całość, panie...

— Zobaczymy, jaki będzie w interesach — dorzucił nieco przygarbiony hrabia.

— Rzutki, ryzykowny, t e k — odezwał się jakby z piwnicy drugi hrabia, który siedział sztywnie na krześle, nosił bujne faworyty i porcelanowymi oczyma patrzył tylko przed siebie, jak Anglik z *Journal amusant*.

Książę powstał z fotelu i chrząknął; zebrani umilkli, dzięki czemu można było usłyszeć resztę opowiadania marszałka:

— Wszyscy patrzymy na las, a tu coś skwierczy pod kopytami. Wyobraź sobie acan dobrodziej, że chart, idący przy koniach na smyczy, zdusił w bruździe szaraka!...

To powiedziawszy marszałek uderzył olbrzymią dłonią w udo, z którego mógł był wyciąć sobie sekretarza i jego pomocnika.

Książę chrząknął drugi raz, marszałek zmieszał się i niezwykle wielkim fularem otarł spocone czoło.

— Szanowni panowie — odezwał się książę. — Poważyłem się fatygować szanownych panów w pewnym... nader ważnym interesie publicznym, który, jak to wszyscy czujemy, powinien zawsze stać na straży naszych interesów publicznych... Chciałem powiedzieć... naszych idei... to jest...

Książę zdawał się być zakłopotany; wnet jednak ochłonął i mówił dalej:

— Chodzi o inte... to jest o plan, a raczej... o projekt zawiązania spółki do ułatwienia handlu...

— Zbożem — wtrącił ktoś z kąta.

— Właściwie — ciągnął książę — chodzi nie o handel zbożem, ale...

— Okowita — pośpieszył ten sam głos.

— Ależ nie!... O handel, a raczej o ułatwienie handlu między Rosją i zagranicą towarami, no... towarami... Miasto zaś nasze, pożądane jest, ażeby się stało centrum takowego...

— A jakież to towary? — spytał przygarbiony hrabia.

— Stronę fachową kwestii raczy objaśnić nam łaskawie pan Wokulski, człowiek... człowiek fachowy — zakończył książę. — Pamiętajmy jednak, panowie, o obowiązkach, jakie na nas wkłada troska o interesa publiczne i ten nieszczęśliwy kraj...

— Jak Boga kocham, zaraz daję dziesięć tysięcy rubli!... — wrzasnął marszałek.

— Na co? — spytał hrabia udający autentycznego Anglika.

— Wszystko jedno!... — odparł wielkim głosem marszałek. — Powiedziałem: rzucę w Warszawie pięćdziesiąt tysięcy rubli, więc niech dziesięć pójdzie na cele dobroczynne, bo kochany nasz książę mówi cudownie!... Z rozumu i z serca, jak Boga kocham...

— Przepraszam — odezwał się Wokulski — ale nie chodzi tu o spółkę dobroczynną, tylko o spółkę zapewniającą zyski.

— Otóż to! — wtrącił hrabia zgarbiony.

— T e k! — potwierdził Anglik.

— Co mnie za zysk z dziesięciu tysięcy? — zaoponował marszałek. — Z torbami bym poszedł pod Ostrą Bramę przy takich zyskach.

Zgarbiony hrabia wybuchnął:

— Proszę o głos w kwestii: czy należy lekceważyć małe zyski!... To nas gubi!... to, panowie — wołał pukając paznokciem w poręcz fotelu.

— Hrabio — przerwał słodko książę — pan Wokulski ma głos.

— T e k!... — poparł go hrabia Anglik czesząc bujne faworyty.

— Prosimy więc szanownego pana Wokulskiego — odezwał się nowy głos — ażeby ten publiczny interes, który nas zgromadził tu do gościnnych salonów księcia, raczył nam przedstawić z właściwą mu jasnością i zwięzłością.

Wokulski spojrzał na osobę przyznającą mu jasność i zwięzłość. Był to znakomity adwokat, przyjaciel i prawa ręka księcia; lubił mówić kwieciście, wybijając takt ręką i przysłuchując się własnym frazesom, które zawsze znajdował wybornymi.

— Tylko żebyśmy zrozumieli wszyscy — mruknął ktoś w kącie zajętym przez szlachtę, która nienawidziła magnatów.

— Wiadomo panom — zaczął Wokulski — że Warszawa jest handlową stacją między Europą zachodnią i wschodnią. Tu zbiera się i przechodzi przez nasze ręce część towarów francuskich i niemieckich przeznaczonych do Rosji, z czego moglibyśmy mieć pewne zyski, gdyby nasz handel...

— Nie znajdował się w ręku Żydów — wtrącił półgłosem ktoś od stołu, gdzie siedzieli kupcy i przemysłowcy.

— Nie — odparł Wokulski. — Zyski istniałyby wówczas, gdyby nasz handel był prowadzony porządnie.

— Z Żydami nie może być porządny.

— Dziś jednak — przerwał adwokat księcia — szanowny pan Wokulski daje nam możność podstawienia kapitałów chrześcijańskich w miejsce kapitału starozakonnych...

— Pan Wokulski sam wprowadza Żydów do handlu — bryznął oponent ze stanu kupieckiego.

Zrobiło się cicho.

— Ze sposobu prowadzenia moich interesów nie zdaję sprawy przed nikim — ciągnął dalej Wokulski. — Wskazuję panom drogę uporządkowania handlu Warszawy z zagranicą, co stanowi pierwszą połowę mego projektu i jedno źródło zysków dla krajowych kapitałów. Drugim źródłem jest handel z Rosją. Znajdują się tam towary poszukiwane u nas i tanie. Spółka, która zajęłaby się nimi, mogłaby mieć piętnaście do dwudziestu procent rocznie od wyłożonego kapitału. Na pierwszym miejscu stawiam tkaniny...

— To jest podkopywanie naszego przemysłu — odezwał się oponent z grupy kupieckiej.

— Mnie nie obchodzą fabrykanci, tylko konsumenci... — odpowiedział Wokulski.

Kupcy i przemysłowcy poczęli szeptać między sobą w sposób mało życzliwy dla Wokulskiego.

— Otóż i dotarliśmy do interesu publicznego!... — zawołał wzruszonym głosem książę. — Kwestia zarysowuje się tak: czy projekta szanownego pana Wokulskiego są objawem pomyślnym dla kraju?... Panie mecenasie... — zwrócił się książę do adwokata, czując potrzebę wyręczenia się nim w kłopotliwej nieco sytuacji.

— Szanowny pan Wokulski — zabrał głos adwokat — z właściwą mu gruntownością raczy nas objaśnić: czy sprowadzanie owych tkanin aż z tak daleka, nie przyniesie uszczerbku naszym fabrykom?

— Przede wszystkim — rzekł Wokulski — owe nasze fabryki nie są naszymi, lecz niemieckimi...

— Oho!... — zawołał oponent z grupy kupców.

— Jestem gotów — mówił Wokulski — natychmiast wyliczyć fabryki, w których cała administracja i wszyscy lepiej płatni robotnicy są Niemcami, których kapitał jest niemiecki, a rada zarządzająca rezyduje w Niemczech; gdzie nareszcie robotnik nasz nie ma możności ukształcić się wyżej w swoim fachu, ale jest parobkiem źle płatnym, źle traktowanym i na dobitkę germanizowanym.

— To jest ważne!... — wtrącił hrabia zgarbiony.

— T e k... — szepnął Anglik.

— Jak Boga kocham, doświadczam emocji słuchając! — zawołał marszałek. — Nigdym nie myślał, że tak można zabawić się przy podobnej rozmowie... Zaraz wrócę...

I opuścił gabinet, aż uginała się pod jego stopami podłoga.

— Czy mam wyliczać nazwiska? — spytał Wokulski.

Grupa kupców i przemysłowców złożyła w tej chwili dowód rzadkiej powściągliwości, nie domagając się nazwisk. Adwokat szybko podniósł się z fotela i zatrzepotawszy rękoma zawołał:

— Sądzę, że nad kwestią miejscowych fabryk możemy przejść do porządku. Teraz szanowny pan Wokulski raczy nam, z właściwą mu jędrnością, objaśnić: jakie pozytywne korzyści z jego projektu odniesie...

— Nasz nieszczęśliwy kraj — zakończył książę.

— Proszę panów — mówił Wokulski — gdyby łokieć mego perkalu kosztował tylko o dwa grosze taniej niż dziś, wówczas na każdym milionie kupionych tu łokci ogół oszczędziłby dziesięć tysięcy rubli...

— Co to znaczy dziesięć tysięcy rubli? — spytał marszałek, który powrócił do gabinetu, ale jeszcze nie wpadł w tok rozpraw.

— To wiele znaczy... bardzo wiele! — zawołał hrabia zgarbiony.
— Raz nauczmy się szanować zyski groszowe...
— T e k... Pe ıs jest ojcem gwinei... — dodał hrabia ucharakteryzowany na Anglika.
— Dziesięć tysięcy rubli — ciągnął dalej Wokulski — to jest fundament dobrobytu dla dwudziestu rodzin co najmniej...
— Kropla w morzu — mruknął jeden z kupców.
— Ale jest jeszcze inny wzgląd — mówił Wokulski — obchodzący wprawdzie tylko kapitalistów. Mam do dyspozycji towaru za trzy do czterech milionów rubli rocznie...
— Upadam do nóg!... — szepnął marszałek.
— To nie jest mój majątek — wtrącił Wokulski — mój jest znacznie skromniejszy...
— Lubię takich!... — rzekł zgarbiony hrabia.
— T e k... — dodał Anglik.
— Owe trzy miliony rubli stanowią mój osobisty kredyt i przynoszą mi bardzo mały procent jako pośrednikowi — mówił Wokulski. — Oświadczam jednak, że, o ile, w miejsce kredytu, podstawiłoby się gotówkę, zysk z niej wynosiłby piętnaście do dwudziestu procent, a może więcej. Otóż ten punkt sprawy obchodzi panów, którzy składacie pieniądze w bankach na niski procent. Pieniędzmi tymi obracają inni i zyski ciągną dla siebie. Ja zaś ofiaruję panom sposobność użycia ich bezpośredniego i powiększenia własnych dochodów. Skończyłem.
— Pysznie! — zawołał przygarbiony hrabia. — Czy jednak nie można by dowiedzieć się szczegółów bliższych?
— O tych mogę mówić tylko z moimi wspólnikami — odpowiedział Wokulski.
— Jestem — rzekł zgarbiony hrabia i podał mu rękę.
— T e k — dodał pseudo-Anglik wyciągnąwszy do Wokulskiego dwa palce.
— Moi panowie! — odezwał się wygolony mężczyzna z grupy szlachty nienawidzącej magnatów. — Mówicie tu o handlu perkalami, który n a s nic nie obchodzi... Ale panowie! — ciągnął dalej płaczliwym głosem — my mamy za to zboże w śpichrzach, my mamy okowitę w składach, na której wyzyskują nas pośrednicy w sposób — że nie powiem — niegodny...
Obejrzał się po gabinecie. Grupa szlachty, gardzącej magnatami, dała mu brawo.
Promieniejąca dyskretną radością twarz księcia zajaśniała w tej chwili blaskiem prawdziwego natchnienia.
— Ależ, panowie! — zawołał — dziś mówimy o handlu tkaninami, lecz jutro i pojutrze któż zabroni nam naradzić się nad innymi kwestiami?... Proponuję więc...
— Jak Boga kocham, cudnie mówi ten kochany książę! — zawołał marszałek.

— Słuchamy... słuchamy!... — poparł go adwokat silnie, okazując, że stara się pohamować zapał dla księcia.

— A więc panowie — ciągnął wzruszony książe — proponuję jeszcze następujące sesje: jedną w sprawie handlu zbożem, drugą w sprawie handlu okowitą...

— A kredyt dla rolników?... — spytał ktoś z nieprzejednanej szlachty.

— Trzecia w sprawie kredytu dla rolników — mówił książę. — Czwarta...

Tu zaciął się.

— Czwartą i piątą — podchwycił adwokat — poświęcimy rozważaniu ogólnej ekonomicznej sytuacji.

— Naszego nieszczęśliwego kraju — dokończył książę, prawie ze łzami w oczach.

— Panowie!... — wrzasnął adwokat obcierając nos z akcentem rozrzewnienia. — Uczcijmy naszego gospodarza, znakomitego obywatela, najzacniejszego z ludzi...

— Dziesięć tysięcy rubli, jak Bo... — zawołał marszałek.

— Przez powstanie — szybko dokończył adwokat.

— Brawo, niech żyje książę!... — zawołano przy akompaniamencie łoskotu nóg i krzeseł.

Grupa szlachty, gardzącej arystokracją, krzyczała najgłośniej.

Książę zaczął ściskać swoich gości nie panując już nad wzruszeniem; pomagał mu adwokat, wszystkich całował, a sam bez ceremonii płakał. Kilka osób skupiło się przy Wokulskim.

— Przystępuję na początek z pięćdziesięcioma tysiącami rubli — mówił zgarbiony hrabia. — Na rok przyszły zaś... zobaczymy...

— Trzydzieści, panie... trzydzieści tysięcy rubli, panie... Bardzo, panie... bardzo! — dodał baron z fizjonomią Mefistofelesa.

— I ja trzydzieści tysięcy... t e k!... — dorzucił hrabia Anglik kiwając głową.

— A ja dam dwa... trzy razy tyle, co kochany książę. Jak Boga kocham! — rzekł marszałek.

Paru oponentów z grupy kupieckiej również zbliżyło się do Wokulskiego. Milczeli, lecz tkliwe ich spojrzenia stokroć więcej miały wymowy, aniżeli najczulsze słowa.

Z kolei zbliżył się do Wokulskiego człowiek młody, mizerny z rzadkim zarostem na twarzy, ale z niewątpliwymi śladami przedwczesnego zniszczenia w całej postaci. Wokulski spotykał go na rozmaitych widowiskach, wreszcie i na ulicy, jeżdżącego najszybszymi dorożkami.

— Jestem Maruszewicz — rzekł zniszczony młody człowiek, z miłym uśmiechem. — Wybaczy pan, że prezentuję się tak obcesowo i w dodatku przy pierwszej znajomości będę miał prośbę...

— Słucham pana.

Młodzieniec wziął Wokulskiego pod ramię i, zaprowadziwszy go do okna, mówił:

— Kładę od razu karty na stół; z takimi ludźmi jak pan nie można inaczej. Jestem niemajętny, mam dobre instynkta i chciałbym znaleźć zajęcie. Pan tworzy spółkę, czy nie mógłbym pracować pod pańskim kierunkiem?...

Wokulski przypatrzył mu się z uwagą. Propozycja, którą słyszał, jakoś nie pasowała do wyniszczonej figury i niepewnych spojrzeń młodzieńca. Wokulski uczuł niesmak, mimo to spytał:

— Cóż pan umie? jaki pański fach?

— Fachu, uważa pan, jeszcze nie wybrałem, ale mam wielkie zdolności i mogę podjąć się każdego zajęcia.

— A na jaką pan liczy pensję?

— Tysiąc... dwa tysiące rubli... — odparł zakłopotany młodzieniec.

Wokulski mimo woli potrząsnął głową.

— Wątpię — odparł — czy będziemy mieli posady odpowiadające pańskim wymaganiom. Niech pan jednak wstąpi kiedy do mnie...

Na środku gabinetu przygarbiony hrabia zabrał głos.

— A zatem — mówił — szanowni panowie, w zasadzie przystępujemy do spółki proponowanej przez pana Wokulskiego. Interes wydaje się być bardzo dobry, a obecnie chodzi tylko o bliższe szczegóły i spisanie aktu. Zapraszam więc panów, chcących zostać uczestnikami, do mnie, na jutro, o dziewiątej wieczór...

— Będę u ciebie, kochany hrabio, jak Boga kocham — odezwał się otyły marszałek — i może jeszcze przyprowadzę ci z paru Litwinów; no, ale powiedz, dlaczegóż to my mamy zawiązywać spółki kupieckie?... Niechby już sami kupcy...

— Choćby dlatego — odparł hrabia gorąco — ażeby nie mówiono, że nic nie robimy, tylko obcinamy kupony...

Książę prosił o głos.

— Zresztą — rzekł — mamy na widoku jeszcze dwie spółki: do handlu zbożem i — okowitą. Kto nie zechce należeć do jednej, może należeć do drugiej... Nadto zaś prosimy szanownego pana Wokulskiego, ażeby w innych naszych naradach chciał przyjąć udział...

— T e k !... — wtrącił hrabia Anglik.

— I z właściwym mu talentem raczył oświetlać kwestie — dokończył adwokat.

— Wątpię, czy przydam się panom na co — odparł Wokulski. — Miałem wprawdzie do czynienia ze zbożem i okowitą, ale w wyjątkowych warunkach. Chodziło o duże ilości i pośpiech, nie o ceny... Nie znam zresztą tutejszego handlu zbożem...

— Będą specjaliści, szanowny panie Wokulski — przerwał mu adwokat. — Oni nam dostarczą szczegółów, które pan raczysz tylko uporządkować i rozjaśnić z właściwą mu genialnością!...

— Prosimy... bardzo prosimy!... — wołali hrabiowie, a za nimi jeszcze głośniej szlachta, nienawidząca magnatów.

Była blisko piąta po południu i zgromadzeni poczęli się rozchodzić.

(*Lalka*)

MARIA KONOPNICKA

SOBOTNI WIECZÓR

Od zgrzytającej zębami maszyny
Powstał znużony, z osłupiałym okiem,
W którym się palił płomyk jakiś siny,
I przeszedł izbę w milczeniu głębokiem.
O czym miał mówić? — Myśl jego, wtłoczona
Pomiędzy koła i śruby, i piły,
Była tak ciężka, jak jego ramiona,
Co się bezwładnie wzdłuż ciała zwiesiły...
O czym miał mówić? Wszak świata obroty,
Jego pragnienia i walki, i ruchy
Nie dobiegają tam, gdzie ciężkie młoty,
Grzmiąc przez dzień cały, ogłuszają duchy.
Jak senny przeszedł przez puste warsztaty,
Z głową zwieszoną, z obliczem wygasłem,
Aż tam, gdzie kasy okienko zza kraty
Migało wypłat tygodniowych hasłem.
Wokoło gwarnym cisnęli się tłumem
Dnia najemnicy z zamgloną źrenicą;
A zmrok zapadał z głuchym jakimś szumem
Ponad tych istnień smutną tajemnicą...
Zapłatę swoją wziął, w ciżbie ostatni,
I wyszedł czoło ocierając z potu.
Po dniu spędzonym wśród maszyn łoskotu
Chciałby usłyszeć głos ludzki, głos bratni,
Myśl z odrętwienia rozbudzić w gawędzie,
Uścisnąć rękę przyjaźni życzliwą,
Poczuć w swym bycie nie martwe narzędzie,
Lecz jakieś żywe ludzkości ogniwo.
Stanął w ulicy; na rogu jaskrawy
Napis obwieszczał, że tutaj dostanie

Głośnej muzyki i hucznej zabawy,
I zapomnienia o każdej swej ranie...
U wejścia para buchnęła gorąca,
Tłum w drzwi otwarte cisnął się nawałem,
A błędny obłok skrzydłem swojem białem
Chwytał przebłyski gasnącego słońca...
Cofnął się młody robotnik sprzed progu;
Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy
Jakieś pytania o życiu, o świecie
O wiośnie, ciszy, przyrodzie i Bogu...
Jakieś pytania o życiu, o świecie
Zmąconą falą o duszę mu biły...
On czuł się cząstką i ruchu, i siły,
Lecz nieświadomą i bierną jak dziecię...
Powiew żywszego, szerszego już prądu
Pchnął myśli jego na głębię od brzegu...
Lecz brakło steru i w błędnym tym biegu
Nie umiał dostrzec przystani i lądu...
Czuł, że są wyższe i czystsze uciechy
Nad wrzask pijanej ciżby i muzyki,
Nad wyuzdaną swawolę i śmiechy,
Nad brzęk kieliszków i klątwy, i krzyki...
Lecz gdzie je znaleźć? Ach, gdyby w tym tłumie
Usłyszał jakieś dobre, mądre słowo.
Rzeźwiące rosą myśl jego jałową,
Jakżeby słuchał w poważnej zadumie!
Jakżeby chętnie podzielił się biciem
Serca, stwardniałej dłoni swej uściskiem...
Jakżeby chętnie żył, choć chwilę, życiem
Wiedzy i światła, i prac ducha bliskiem...
Stał tak niepewny, a wrzawa kipiała.
Przed nim szli ludzie... Myślące oblicza
Siła sympatii jakiejś tajemnicza
Nieraz ku niemu przyjaźnie zwracała...
Z przechodniów owych niejeden zapewne
Kochał lud, myślał o jego oświacie
I miał dla niego to uczucie rzewne,
Które obcemu nawet mówi: „bracie"...
Lecz gdzież są drogi, na których by duchy
Dwóch sfer odmiennych schodziły się społem?
Czyliż zwyczaje, jak więzów łańcuchy,
Każdej z nich ciasnym nie zamknęły kołem?
Przedmiotem czyjej troski i narady
Jest znikczemnienie w zwierzęcym spoczynku?...
Czyliż więc dziwno, że wyrobnik blady
Postał, podumał i poszedł — do szynku.

*KLEMENS BORUTA
(w skróceniu)

Nadszedł rok 1879. W lipcu obiegła po tarnowickiej kopalni ołowiu smutna wieść, że liczba robotników zostanie zmniejszona. Jakoż pewnego dnia zarząd górniczy ogłosił im ten smutny wyrok. Przeszło 150 wynędzniałych, zasmolonych mężczyzn, kobiet i dzieci otoczyło wejście do szybów wiodąc leniwą, ciągle przerywaną rozmowę.

— Pono do węgla potrzebują — mówił jeden.

— Gdzie? — spytało kilka głosów.

— W Budziszynie.

— Gwałt! — odezwał się stary robotnik. — W Budziszynie niedługo ludzi kopać będą.

— To w Gliwicach!

— Ot, głupie gadanie — rzekła stara kobieta. — Wczoraj Maciej stamtąd przyjechał, powiada, że także rozpuszczą.

— Nie będzie roboty, to pójdę do Obera i...

— Daj pokój z pięścią. Żeby nie ty, może by nas nie wygnał — zawołali dwaj górnicy.

— Żeby nie ja, to byście psom kości wydzierali. Flaki! Oni mi będą teraz przymawiać!

— Bo prawda.

— Jak dam w gębę, to także będzie prawda.

— Daj!

— Masz, kundlu!

Rozpoczęła się bijatyka. Wezbrana siła wzburzenia musiała się wyładować choć w części, jeżeli nie miała doprowadzić do groźnego buntu przeciwko zarządowi.

Prosty robotnik jak para: ujęty w karby, spełnia najuleglej wszelkie posługi, ale gdy je rozerwie, niszczy wszystko, co na drodze swego wybuchu spotka. Wszczęta bójka, która szybko rozszerzyła się na dalsze koła zebranych, odegrała rolę klapy bezpieczeństwa. Zadowolone w niej na chwilę dzikie instynkty osłabły i nie miały mocy do burzliwego ujawnienia się przeciw zarządowi kopalni. Ciągłe wymysły, w których język polski przeplatał się z czeskim i niemieckim, rozdmuchiwały gasnący ogień walki.

Niemym jej świadkiem był czterdziestoletni górnik, który stał na uboczu trzymając za rękaw małą, obdartą dziewczynkę. Twarz jego chuda, pokryta fałdami, w których rysowały się ciemne smugi ołowianej sadzy, wyrażała poważny smutek, ożywiany jedynie lekkimi drganiami ust i zmarszczkami czoła. Ani do bójki, ani nawet do rozmowy się nie mieszał, owszem usuwał się skwapliwie coraz dalej z dzieckiem, ile razy zapaśnicy ku niemu się zbliżyli. Po co

przyszedł? Dość było spojrzeć na jego bose nogi, połatane spodnie, wytarty kaftan, ażeby odgadnąć, że nie ściągnęła go tu chęć sejmikowania. Do izby sama robota nie przyjdzie, więc jak inni wyszedł z domu, tą samą drogą, którą przez dwadzieścia kilka lat co dzień do pracy uczęszczał, wziął z sobą dziecko, bo wiedział, że nazad wróci i słuchał w gromadzie, czy tam gdzie jego grubych rąk nie potrzebują.

Stał tak długo milczący, od pola walki odsunięty, wreszcie pochwycił rozpaczliwie dziewczynkę na ręce i pobiegł do domu. Niedługo ukazał się z nią i z małym pakunkiem na plecach, powiedział słów parę przed progiem do starej kobiety i puścił się drogą, która wiodła do różnych wsi, a także i do Nędzy. Spotkawszy go w tej podróży, po przełamanym chyba nosie czytelnik poznałby w nim Klemensa Borutę.

Przez ćwierć wieku uderzał oskardem w tarnowickiej kopalni ołowiu — oto jego historia. Dodać do niej wypada zaledwie to, że się ożenił i stracił w lat kilka matkę dziewczynki, którą teraz do Nędzy dźwigał.

(Klemens powrócił do wsi rodzinnej, do domu brata stryjecznego, rymarza Boruty).

Ponieważ prosięta, korzystając z pogodnego dnia, wybiegły na podwórze, Brzost więc swobodnie mógł zajmować się pracą w przeznaczonej dla nich izbie. Siedział on pod ścianą, otoczony pękami korzeni i prętów, z których powoli, nieśmiało, plótł mały koszyk. Obok dziesięcioletni Wicek, syn Katarzyny, wpatrywał się w robotę owczarza i zastępując mu brak oczu ostrzegał go co chwila.

— Nie tu, dziadku, nie tu.

Brzost zwykle ustawał, badał ręką plecionkę i mówił:

— Co ty mnie będziesz uczył! Przeplotłem ten patyk, teraz ten.

— Ale ominęliście jeden.

— Utrzyj sobie nos, głupi. Który ominąłem?

— No, ten.

Owczarz zaczął macać palcami i choć przekonał się o słuszności uwagi chłopca gderał:

— Mądry, bo ma oczy. Kiedy ja je miałem, urwisie, to o wiorstę mogłem odróżnić, czy owca leci, czy baran.

— Nie sztuka — rzekł chłopiec — baran ma rogi.

— Osioł jesteś, a mały baranek gdzie ma rogi?

— Na głowie.

— Och, ty capie, tobie one wyrosną.

Podczas gdy Brzost tak się z małym kramarzył, na progu stanął człowiek z dziewczynką, któregośmy widzieli przy tarnowickiej kopalni. Rozejrzał on się po izbie i zatrzymał wzrok na starcu.

— Dziadku — rzekł Wicek — czegoś chcą.
— Kto?
— Nie wiem.
— Co gadasz, ciemięgo?
— Przyszli.
— Kto tam? — zapytał owczarz.
— Klemens Boruta — odpowiedział przybyły.
— Klemens... Boruta — powtórzył Brzost opuszczając plecionkę koszyka — Klemens, biedny mój chłopaku, żyjesz? Gdzie jesteś, nie widzę cię, nie zobaczę, oślepłem, pójdźże, daj rękę Brzostowi...
— To wy, Brzoście? — rzekł Klemens zdziwiony.
— Nie poznałeś mnie, zgrzybiałem — co? Popróchniały już drzewa, które ze mną wyrosły, ani jednego głosu znajomego nie słyszę. I twój się zmienił, ile masz lat?
— Czterdzieści z górą.
— Czterdzieści! Jezu! Gdzież jesteś, jakże ci się wiedzie?
— Źle, dziadku, źle, dwadzieścia lat w kopalni kułem, teraz roboty nie mam.
— O, biedny, daj mi rękę, siądź tu. Wypędzili cię? znowu pobiłeś kogo?
— Rozpuścili nas w Tarnowicach, wziąłem dziewczynę i przywlokłem się tu.
— To i córkę masz, gdzie? chodź tu, no dobrze, a gdzież żona?
— Umarła.
— Biedny robaku. I mnie wygnali, plotę koszyki z Wickiem. To syn Kasi. U nich także bieda. Rymarz lata po wsiach z wywieszonym językiem i zarobić nie może. Zostaniesz tu?
— Muszę, póki coś się nie trafi.
— Trudno, bo trudno. Każdy za kamieniem się ogląda, czy chleba nie minął. O, mój drogi, co za czasy. Zboże podobno przepadło, kartofle gniją, kto nie zdąży umrzeć przed zimą, strasznie żyć będzie.
— Albo to od dziś? I moja nieboszczka nie byłaby zmarła, gdybym miał jej dać co zjeść. Cherlała, cherlała, w domu zimno, w garnku pusto, ledwie dziecko było czym uciszyć. Furda bić łbem o mur, aby go przebić. A tu nic, czasem tylko powietrza chłapniesz i na tym przestać musisz.
— Wicek — rzekł Brzost — pobiegnij na górę i przynieś garnuszek, co tam stoi przy posłaniu liściami nakryty. Zjedzcie kaszy trochę — dodał po odejściu chłopca — dziewczyna pewnie głodna.
Jak przed dwudziestu pięciu laty częstował owczarz Borutę, ale już bez trzmielówki, bez wesołego usposobienia, bez nadziei spokojnego jutra. Gdy dziewczyna pochłaniała kaszę, dwaj przyjaciele opowiadali sobie wzajemnie przygody życia.

— Zdrów jesteś, oczy masz — mówił Brzost — to prędzej gdzie się uczepisz, ale ja... Ot, budują na folwarku stodołę, może tam się robota znajdzie.

— Pójdę, popytam. Ty, Marcysiu, zostań i zamieć izbę, ja zaraz wrócę.

— Tylko mi moich prętów nie ruszaj — rzekł owczarz do dziewczynki — tam, w sieni, jest miotła.

Marcysia zaczęła skrzętnie uprzątać izbę, którą znów prosięta utracić miały. Brzost ciągle z nią rozmawiał, wypytywał się o szczegóły losów ojca, ale ona nie wiele go objaśnić mogła. Było to dziecko miłe, ale fizycznie wątłe i umysłowo nierozwinięte. Ciągłe odżywianie się kartoflami, do których tylko czasem dolewano serwatki lub dokładano kawałek baraniego łoju, nie pozwoliło wzmocnić się wątłemu z natury organizmowi i przytępiło jej władze duchowe. Marcysia miała już lat osiem, a wyglądała na pięć. Chuda, drobna, blada, z niepomiernie wydętym brzuchem, a rzadko porosłymi jasnymi włosami, nosiła na sobie widoczne ślady choroby. Umysł jej obracał się w bardzo ciasnym kółku pojęć i stosunków dość żwawo, ale poza tym kółkiem tracił wszelką siłę. Zapytana, jak się zwie jej ojciec, odpowiadała natychmiast, ale niezdolna była objaśnić, jak ona się nazywa. Liczyła z trudnością do trzech, każdy dzień świąteczny był dla niej niedzielą, a powszedni czwartkiem. Dlaczego czwartkiem — żaden psycholog nie umiałby tego wytłumaczyć. Zabiedzona od dzieciństwa, znosiła głód z nadzwyczajną cierpliwością. Dostawszy nawet jakiś pokarm, jadła go powoli i mało. Wprawiona rozkazem w ruch, uwijała się skrzętnie, ale wypełniwszy polecenie siadała w kącie niema i osłupiała.

I teraz, zamiótłszy izbę, przytuliła się do komina.

— Gdzie mała? — pytał Brzost Wicka — wyszła?

— Jest.

— Czemuż nic nie gada? Nie bój się, Marcysiu, chodź tu, ja cię nauczę pleść koszyki.

Wszedł Boruta.

— No, to i dobrze — rzekł widocznie uradowany.

— Cóż takiego? — zagadnął Brzost.

— Dali mi robotę przy stodole. Marka na dzień, ale i to pieniądz! Dziewczyno, podskocz, będzie kolacja. Masz tu nożyk i obierz te kartofle.

Zaczął wysypywać z zanadrza ziemniaki.

— Garnka dostaniemy, drzewa bodaj z płotu nałamię i będzie bal. Tam w woreczku jest kawałek słoniny i sól. Teraz pójdę słomy kupić.

Znów wyszedł. Dziewczyna zabrała się do roboty, wymyła garnek Brzosta, przyniosła wiórów i nastawiła przy ogniu kolację.

Wieczorem już Boruta był zagospodarowany i poprzyjaźniony z rymarzem oraz jego żoną. Katarzyna nie zapomniała mu, że ją przed dwudziestu kilku laty poczęstował kiełbasą i wywdzięczyła się teraz miseczką gotowanej marchwi. Krótko wszakże trwały przypomnienia dawnych czasów i opowiadania przebytych kolei. W biedzie wysychają uczucia. Myśl zajęta ciągle najprostrzymi potrzebami życia nie ma chęci i czasu kwilić rzewnie. Mieszkańcy więc domu Borutów, zamieniwszy między sobą kilka westchnień i pamiątek, zmierzywszy pobożnie swoją niedolę, legli spać z zamiarem kłopotania się nazajutrz jedynie osobistymi sprawami. Dostrzec można było, że między Brzostem a Borutą splótł się jakiś silniejszy węzeł.

— Pójdę już na górę — rzekł owczarz, gdy noc zapadła.

— Po co — mówił Boruta. — Przyniosę wam posłanie, tu spać możecie. Przecie już prosiąt nie ma. Mnie nie zawadzacie, a i dziewczynie będzie raźniej, gdy ja pójdę do roboty.

Owczarz nie dał się długo namawiać i od tej chwili został lokatorem dawnego swego przyjaciela.

Nazajutrz o świcie Boruta stanął przy pracy. Och, z jakąż skwapliwością do niej przystąpił! Robił wszystko: mieszał wapno, podawał cegły, ociosywał bale, kopał, posłuszny na każde skinienie, jak gdyby się bał, żeby go nie pozbawiono tak szczęśliwie zyskanego zarobku. Gdy raz mularz krzyknął:

— Nie potrzeba cegły!

Boruta omal nie upadł na dół z całym brzemieniem. Zdawało mu się, że w tych słowach usłyszał straszną dla siebie groźbę. Trwożny tak ustawicznie, popełniał ciągle błędy i ściągał napomnienia, ale z drugiej strony dowodami pilności zyskiwał wielkie uznanie.

— Miałby ja takich trzech jak ty — rzekł raz do niego rządca Nędzy — to wybudowałby ja z nimi cała stodoła.

Boruta podrósł z dumy.

Rósł on z dniem każdym, ale równocześnie rosła i stodoła.

Klemens takie miał poczucie wartości swych rąk, że nie przypuszczał nawet, ażeby zachwycony nim p. Dornfisch mógł nie zużytkować tyle użytecznej siły. Płynęły więc dni w dość jasnym zadowoleniu. Brzost siedział w domu i plótł koszyki opowiadając dzieciom o dawnych czasach, w których trzmielówka niepoślednią grała rolę, Marcysia pod jego kierownictwem gotowała obiady i kolacje, a chociaż grosze nie zawsze starczyły, widmo głodu do izby nie zaglądało.

Jednego dnia Boruta wrócił do domu niezwykle wesół.

— Skończyliśmy stodołę — rzekł do Brzosta — jak cacko.

— Cóż teraz będzie? — spytał owczarz lękliwie.

— Co z innymi będzie, nie wiem, ale ja przy dworze zostanę. Dornfisch zawołał mnie do siebie i kazał przyjść jutro. Żeby dał ze 60 talarów i ordynarię! Chyba da.

Nazajutrz Boruta z pewną miną wszedł do rządcy. Dornfisch, ujrzawszy go, wyjął z biurka książkę, popatrzył w nią, odliczył pieniądze i podając je Klemensowi rzekł:

— Dostajecie jeszcze trzy talary. No, ja z wami zadowolony; jak będzie robota, to ja was zawołać. Bądźcie zdrów.

Boruta skamieniał. Wziął pieniądze machinalnie, popatrzył osłupiały na Dornfischa, chciał coś powiedzieć, ale gdy rządca powtórzył: — Bądźcie zdrów, poczciwy Boruta... — nieszczęśliwy człowiek wyszedł.

Pogodne słońce wrześniowe, to samo, które przed dwudziestu pięciu laty tak starało się rozweselić pozbawionego pracy Borutę i teraz zabiegło mu drogę, gdy wracał od rządcy, obrzuciło go swymi ciepłymi promieniami i osuszało łzy, które u spuszczonych powiek robotnika zawisły. Klemens szedł machinalnie, ściskając pieniądze w ręku, zapomniał nawet włożyć kapelusza, utkwił wzrok w ziemię i potykał się co krok na bruzdach i zagonach pola, na które bezwiednie z drogi zboczył. Oddaliwszy się znacznie od wioski, oprzytomniał i stanął. Nogi wszakże chwiały się pod nim, więc usiadł na świeżo zoranej roli. Przez chwilę rozglądał się naokoło błędnym wzrokiem, następnie otworzył rękę i zaczął na niej liczyć odebrane pieniądze. Liczył długo, chociaż wszystkiego miał 9 marek i 4 sr. grosze.

— Nie dołożył, nic nie dołożył — szepnął smutnie. — Żeby grosz, żeby pięć fenigów, żeby jeden.

Zerwał się i podążył ku domowi. Właśnie Marcysia płukała groch przyśpiewując sobie w robocie i wiodąc rozmowę z Brzostem. Zajmowana tak długo przez prosięta izba, dzięki obecnym jej mieszkańcom, dziwnie wypiękniała. Przybyły do niej dwa tapczany, stolik, trochę garnków i misek, a rozstawione na półkach nowe koszyki Brzosta stanowiły nawet pewną ozdobę. Światło jesienne, wlewając się swobodnie przez czyste, chociaż maleńkie szyby okien nadawało tej ubogiej siedzibie wesoły widok. I Brzost, choć ślepy, czuł błogie orzeźwienie w tej jasności, bo nieustannie żartował.

— Wicek, Wicek, nie gap się na dziewczynę, tylko prątki podawaj. Ona nie dla ciebie śpiewa. Ale jak urośniesz i będziesz umiał bez płaczu cebulę rozebrać, to cię z Marcysią ożenię.

— O, ja już dziś umiem — odezwał się chłopiec.

— Patrzcie go, obibok, umie, a ile razy nos przy tym utrzesz, hę? Nie taki jak ty smyk przechwalał się we dworze. Czerwoną sukienkę zdjął, ale jak się do białych koszulek zabrał, beczał też, beczał! O, tak.

— Zjedz teraz zęby — krzyknął wchodząc Boruta — bo już nic innego mieć nie będziesz.

— To ty, Klemensie? — spytał strapiony Brzost.

— A ja i bieda za mną. Nie zgubiłem jej — mówił dziko — nie bójcie się. Wlecze się zmora, wlecze, nie odczepię jej, nie odpędzę, nie uduszę. Ona mnie udusi. Kanarek — szelma. Świergotał, obiecywał i dał — w kark. Jak robota będzie. Cha, cha, cha — będzie bywa długie, bardzo długie. Choćbym te pieniądze tylko lizał, to bym i wreszcie wylizał.

Upadł ciężko na tapczan i westchnął. Izbę zaległa cisza.

— Co się stało? — przerwał nieśmiało Brzost.

— Nic nowego — rzekł szyderczo Boruta — to samo, co od czterdziestu lat ciągle mi się zdarza; skończyłem robotę, odprawili.

— Odprawili — powtórzył stary ze smutkiem.

— Bo i cóż mieli zrobić — odparł gniewnie Boruta — do chlewu mnie wsadzić i na słoninę karmić? Nie wieprz jestem, tylko człowiek, mam ręce i gębę; jak dla rąk zabraknie, gęba pościć musi. Czego się jąć? Gwiazdy na niebie liczyć, czy wodę w rzece mierzyć?

W słowach Boruty widoczna była plątanina starganych nieszczęściem myśli. Rzucał je bez ładu, chciał gniewem kogoś ugodzić i nie widział celu.

— Ty połknij groch — zawołał do Marcysi wysypującej z garnka ugotowany obiad — ja połknę ciebie, Brzost mnie, będziemy syci. Do tego przyjdzie, niedaleko... Rymarz w domu?

— Pojechał — bąknęła dziewczyna.

— Ha! — zawołał zrywając się z tapczana — podpalę kiedy tę chałupę, bo mi już życie obmierzło!

— Klemensie! Klemensie! — uspokajał go Brzost.

— Ja wiem, że mnie tak ochrzcili, nie przypominajcie. Jedz, mała, nie czekaj na mnie. O, żeby nie ty, puściłbym się w świat i nie oparł aż tam, gdzie biedy nie ma.

— Mówią — odezwał się Brzost — że do Polski potrzebują dużo ludzi.

— Plotą, a wy słuchacie i nie rozumiecie. Jak roboty nie ma, każdemu się ona śni, że gdzieś jest. Toć gadają, że i pod Wiedniem do wałów potrzeba. Więc cóż? Czy kareta po mnie zajedzie, czy kolej dowiezie? Do Polski — to raj! Znam takich, co do tego raju w kapocie poszli, a bez kapoty wrócili.

— A ja znam takich, co tam dużo zrobili pieniędzy!

— Może ukradli. Niby to raz kosztowałem Polaków. Wleź do nich wtedy, kiedy masz dwie skóry, bo jedną pewno zedrą.

— Ot! bajesz głupstwa.

— Już ja się waszego rozumu za ogon nie czepię. Co widziałem, to wiem. Albo to Peczkowskiego z Gliwic za Wisłą nie obili?

I za co? Za to, że za kośnika się zgodził. Toteż, gdy jeden wilk do nas się przemknął, porachowaliśmy mu żebra, że aż mu dwóch zabrakło.

— I w jednej wsi zabiją. Ty pluj, gdzie chcesz, a ja byłem pod Sandomierzem...

— To idźcie sobie tam do stu tysięcy diabłów, nikt was tu nie trzyma. Wam będzie wesoło, a drugim lżej.

— A czymże ja ci tak zaciężyłem? — rzekł Brzost boleśnie. — Żałujesz mi tego kąta, którego nie żałowałeś tyle lat prosiętom? Pójdę, pójdę, choć ślepy jestem, jeszcze kawałek dachu ludzie dadzą, a chleba cudzego nie jadłem i jeść nie będę.

Powstał stary, wziął Wicka za rękę i do drzwi zmierzył.

— Tfu! — splunął Boruta. — Tak się dąsacie, jak panna w zalotach. Czyż ja wam ten kąt wymawiam? Gorzkie słowo z ust się wyrwało, bo w nich niesłodko. Ach, dziadku! dziadku! Albo raz człowiek człowieka szturgnie, a jednak go nie przebije. Siadajcie oto i pilnujcie domu.

To rzekłszy wziął z miski garść grochu, wsypał w usta i wyszedł. Nawet surowy pogromca pijaków proboszcz parafii, do której Nędza należała, przebaczyłby widząc go wchodzącego do karczmy. Boruta bowiem nie myślał kieliszkiem rozpraszać smutku, ale chciał po prostu znaleźć kilkoro próżnujących ludzi, którzy by z nim porozmawiali, poradzili. Jakoż istotnie w karczmie obradowało kilku wieśniaków i wieśniaczek, podpitych lub trzeźwych, gotowych wszakże do zajęcia się losem nowego towarzysza. Była to gromada najemników żyjących z dnia na dzień, przepijających właśnie resztki świeżego zarobku.

— Robota jest i będzie — rzekł stary chłop, którego Boruta zaczepił — tylko nas do niej nie stanie. Zje Dornfisch diabła z sosem, aż my mu za dziesięć groszy na dzień do kopania pójdziemy.

— Niechby i tyle — odezwał się Klemens.

— Wy bo pewnie wielki pan, kiedy o grosze nie dbacie, my chudzięta.

— Nie pan, ale potrzebny.

— A my co, z fanaberii? Nie jadamy pieczonych kijów. Wolę tu tydzień daremnie siedzieć, niż za głupią markę się najmować.

— Wolicie za siebie.

— A jużci nie za was — odparł gniewnie chłop — kopcie sobie i nosem nie motyką kartofle, jak się wam podoba.

Gromada się zaśmiała, Boruta poczerwieniał od gniewu i mruknął:

— Swoim nosem jeszcze nie kopałem, ale waszym zaraz mogę.

— Zórz, zórz, to ja tę skibę twymi zębami posieję.

— Cymbał! — rzekł Boruta i wyszedł śród świstów i krzyków.

— Chwat — w nogach!

Wyprawa Boruty do karczmy nie była tak chybiona, jakby się na pozór zdawało. Wprawdzie nie dano mu żadnej rady, nie nastręczono roboty, ale z gróźb nienajmowania się dworowi za tanią cenę błysła mu nadzieja, że ręce jego będą pożądane. Wracał weselszy i słusznie, bo dowiedział się od Brzosta, że Dornfisch przysyłał po niego do młocarni. Odtąd dni wyrobnika różnie się przeplatały: kolejno miewał i nie miewał zajęcia, a ta niestałość nie zubożyła go od razu, ale zsuwała powoli do nędzy! Skazany często na bezczynność, musiał zarobkiem jednego dnia pokrywać potrzeby kilku, a tymczasem nadchodząca śpiesznie zima wydatki ciągle mnożyła. Sam Boruta nie miał ciepłego ubrania, z dziewczyny obleciało wszystko, mrozy szczypały coraz silniej, obok tych kłopotów zarysował się inny, podobno najstraszniejszy, mianowicie zupełny brak roboty. Po obrobieniu pola możność najmu w folwarku ustała. Klemens ze drżeniem oczekiwał jutra, które go ostatecznie chleba pozbawi.

Jak gdyby te warunki nie dopełniły jeszcze miary nieszczęścia biednego człowieka, pewnego rana Brzost z pościeli się nie podniósł. Dopóki plótł, chociaż niedołężnie i powoli swoje koszyki, dopóty zarabiał na garnek ciepłej strawy i nie był dla Boruty ciężarem. Teraz, gdy się rozchorował, wyrobnikowi przybyły trzecie głodne usta do nakarmienia. Czuł to chory starzec i dlatego ciągle powtarzał:

— Dobij mnie, dobij. Za kilka dni życia, co mi tam jeszcze pozostaje, i grzechu mieć nie będziesz.

— Nie kuście — odpowiadał Boruta nie wiedząc, jakim sposobem z przepaści się wydobyć.

Trzy dni upłynęło bez roboty. Przez te trzy dni Klemens prawie nic nie jadł, choremu rymarka dawała po troszę mleka. Marcysia żywiła się obierzynami z kartofli.

Głód — jeden tylko wyraz, a ileż cierpień! Zdaje się, że każda w nim zgłoska jęczy. Jęk ten nie wyrywa się nigdy z jednych ust, ale brzmi chórem. Gdzie morowe widmo powiało swą śmiertelną chustą, tam pada nie jedna ofiara, ale całe gromady. Tak było i w Nędzy. Ten sam dramat, który śledziliśmy w życiu Klemensa Boruty, odgrywał się w życiu wielu mieszkańców tej wioski, a nawet prowincji. Brak pracy, nieurodzaje, wylewy rzek rozpostarły szeroki obraz ubóstwa, w którym losy naszego bohatera tworzyły tylko cząstkowy widok. Nieszczęściem jego nie była bezczynność i niedostatek, ale to, że znalazł się w otoczeniu równie klęską dotkniętym. Dopóki bieda pozwalała się dusić, dopóty jej ofiary cierpiały odosobnione, bez wiedzy o sobie, z przekonaniem, że tylko każdą z nich srogi los pognębił. Gdy nareszcie tłumione cierpienia wybuchły głośną skargą, zlały się w wielki okrzyk trwogi i rozpaczy. Od lata zarówno w Nędzy, jak i w jej okolicach panowała

bieda; ale dopiero w jesieni, gdy nadzieja ratunku zgasła, gdy przyszłość rozwarła się jak noc ciemna i przerażająca, z tysiąców piersi wybiegło straszne hasło głodu. Hasło to złowrogim echem zabrzmiało w całej prowincji, w całym państwie, odbiło się o tron, przeleciało za granicę, zawiadomiło o klęsce świat wszystek. W tym okropnym chórze był i głos Boruty.

Przez trzy dni, jak rzekliśmy, nic on nie jadł, a musiał przy tym patrzeć na karmiące się obierzynami kartofli dziecko i dogorywającego Brzosta. Stary owczarz rozdzierał mu serce nie tylko swym widokiem, ale i swoimi słowami.

— Mój robaku — mówił — nie myśl o mnie, godzina dłużej czy krócej, wszystko jedno. Lepiej nawet, że bieda dodusi. O Marcysi pamiętaj i o sobie. Mnie, żebyś marcypanami karmił, nie uzdrowisz. Już czas ciało zrzucić, ledwie się trzyma. Febra raz trząśnie, to i obleci. Nie dawaj mi mleka, niech mała wypije. Nie widzę was, moi kochani. Ach, żebym chociaż na minutkę przejrzał i pożegnał się z wami. A może i lepiej, żem ślepy. Sprzedałeś, Klemensie, wszystkie koszyki?

— Wszystkie — odrzekł z westchnieniem Boruta.

— Nic już nie ma — ciągnął Brzost słabo — nie ma, a ręce pozamierały. Palcami ruszyć nie mogę... próbowałem zgiąć prątek... gdzie tam! Dusza zewsząd uciekła, tylko jeszcze w piersiach siedzi. Ale niedługo wyskoczy. Na jednym włosie się trzyma. Czuję, że ten włos serce mi opasał i na to umrę. Żeby go można zdjąć, byłbym zdrów, ale to daremny zachód. Napar z wierzbinowego kwiatu pomaga, ale skąd takiego kwiatu wziąć? A do wiosny nie doczekam. Marcysia, jadłaś co dziś?

— Nic, dziadku.

— Idź do dworu, poproś starej Jagny, ona zuchelek chleba dla ciebie wyszuka. Toż tam sześciu psów żywią, i dla ciebie się znajdzie. Pobiegnij, mała, i spytaj jej, czy nie ma kwaśnego jabłka z kapusty, bo mi bardzo sucho w gębie.

Po wyjściu dziewczyny stary zapadł w większą malignę. Narzekał, zdejmował sobie włos z serca, sprzedawał koszyki i częstował Borutę bułkami. Klemens nie mógł znieść tego majaczenia i wysunął się z izby. Przed domem spotkał rymarza, któremu bieda również dokuczać zaczęła.

— No, stuknijmy się łbami i rozbijemy je — rzekł Klemens — bo już nie ma innej rady.

— Ja idę do landrata, mówią że rozdaje zapomogi.

— Skądże?

— Z Berlina przysłali.

— Ha, pójdę i ja.

Poszli. Landrat mieszkał o milę drogi. Przed domem jego stała gromada ludzi, wynędzniałych, obszarpanych, drżących od zimna i chwiejących się od głodu. Szeptali oni coś znaczącego między sobą. W duszę nowoprzybyłych wstąpiła nadzieja.

— Żeby nie miał dać, to by nas nie wołał — mówiła jakaś kobieta.

— Ale gdzież tyle zboża?

— Pewnie w magazynach, tylko kwitki napisze.

Nareszcie wyszedł landrat.

— Moi kochani — rzekł po niemiecku — bądźcie spokojni, wczoraj zdałem raport i wezwałem dla was pomocy.

Gromada zaczęła się rozchodzić.

— A gdyby zajść do księdza — szepnął rymarz.

— Dobrze — odpowiedział z rezygnacją Boruta.

Przybyli na plebanię. Właśnie proboszcz wychodził z domu.

— Czego to chcecie?

— Porady, księże dobrodzieju — mówił rymarz — nie mamy co jeść, dzieci mrą z głodu.

— Cóż ja wam poradzić mogę, moi kochani. Jeśli Bóg się nie zmiłuje, człowiek nie pomoże. Cudu trzeba i cud będzie, boście tego godni. Niebo nie karze ze złości, ale z miłosierdzia. Ono nad wami się zlituje. Bóg was wszystkich policzył, nikomu zginąć nie da, gdy nie zechce. Modlę się za was. — Tyle pocieszyło głodnych to zapewnienie proboszcza, ile obietnica landrata. Obaj zdali raport, jeden do ministerium, drugi zaś do nieba, obaj zapowiadali pomoc, tymczasem...

— Cóż robić teraz? — spytał Boruta po odejściu księdza.

— Tak, chyba łeb o łeb rozbić — mruknął rymarz.

MARIA KONOPNICKA

JAŚ NIE DOCZEKAŁ

W ubogiej izbie gość zjawił się błogi:
Słoneczny promień, wiosenny, majowy!
Wszedł przez okienko z szybami drobnemi
I jasnym snopem rzucił się po ziemi,
Jak złota strzała padł na stół sosnowy,
Na deski starej, spaczonej podłogi,
Na tapczan nędzny, zasłany barłogiem,
Na komin pusty, zimny, bez ogniska,
Na obraz, który jaskrawie wybłyska
Złocistą glorią w poddaszu nędzarza,

Tak, jakby mógł Ten, co biednych jest Bogiem
I miłosierdziem, i smutnych odwagą,
Gromadzić skarby u swego ołtarza
I stać w purpury blaskach i kamieni,
Gdy ludzie głodni, nędzni, opuszczeni,
Korząc się przed nim, biją w pierś swą — nagą!
Był to niedzielny poranek wiośniany.
W izbie wyrobnik siedział z zgasłą twarzą
U pociemniałej i wilgotnej ściany,
Po której zamróz kroplami ociekał...
Aż z dum swych ciepłym zbudzony promieniem
Posłyszał wróble, co na dachu gwarzą;
Spojrzał po izbie okiem smętnem, mgławem
Potem na jasność tę ożywczą słońca
I szepnął z cichym, stłumionym westchnieniem:

„Jaś nie doczekał!"

I otarł grubej koszuli rękawem
Łzę, co po twarzy toczyła się drżąca
I taka mętna, i ciężka, i wielka,
Jakby to wody nie była kropelka,
Lecz kamień, który wyrzucony z duszy,
Padnie w głębiny i ziemię poruszy.

Zima ta ciężka była. Śnieżne duchy
Pomiędzy ziemią latały a niebem,
Białymi skrzydły zakrywszy błękity,
A mroźne wichrów północnych podmuchy
Dreszczem wstrząsały ubogie te ściany,
Wśród których nędzarz tak rzadko jest syty
Twardym i czarnym niedoli swej chlebem;
Tak biedne nosi na grzbiecie łachmany,
Tak ciężko musi pracować na dzieci
Wśród skrzących mrozów i wietrznej zamieci!
Zima ta ciężka była. Na kominie
Ogień nie co dnia rozniecał się lichy,
Nie co dnia ciepłą gotowano strawę.
Ojciec przychodził wieczorem bez siły,
Nie mogąc dźwignąć siekiery ni piły,
I padał spocząć, jak martwy, na ławę...
A Jaś tymczasem, w nędznej koszulinie,
Coraz to bledszy, coraz bardziej cichy,
Na kształt mdlejącej lampy lub pochodni
Zjadał kęs chleba — i siadał na ziemi
Patrząc na ojca oczyma smutnemi
Jak ci, co mówić nie śmią, że są głodni!

Wreszcie z tapczana nie podniósł się wcale
Ojca witając z daleka — uśmiechem...
Przeląkł się nędzarz, chwycił go w ramiona,
W piersiach mu grały i łkanie, i żale...
Noc całą dziecko zagrzewał oddechem,
Bo mu się zdało, że stygnie, że kona...
Modlił się, płakał, o ściany tłukł głowę,
A ściany skrzyły się jak diamentowe...
Bo zima na nie rzuciła płaszcz biały,
Łzy na nich marzły — i jak perły stały.

Rankiem wyrobnik zastawił swą piłę,
Porąbał stołek, rozpalił ognisko,
Przyzwał lekarza. Lekarz, człowiek młody,
Oświadczył, że tu jest powietrze zgniłe,
Że straszna wilgoć ma tutaj siedlisko,
Że dziecku trzeba dać lepsze wygody,
Izbę obszerną, jasną i ogrzaną,
Ciepłe okrycie, a przy tym co rano
Posiłek lekki, pożywny, gorący,
Zapewnił nadto, że jeśli chłopczyna
Wiosny doczeka, to wzmocni go słońce,
Wreszcie oświadczył, że mróz — trzaskający!
I wyszedł. — Ojciec stanął jak zmartwiały,
We drzwi wlepiwszy źrenice błyszczące...
A wiatr tymczasem rozmiatał z komina
Iskry i dymy, i w szyby tak siekał,
Jakby brał szturmem tę izbę ubogą,
Blada twarz chłopca zrobiła się sina...
Do ojca sztywne wyciągnął rączęta,
Rzucił się... wargi drobne mu zadrgały...
A śmierć, srebrzystą szatą owinięta,
Wzięła go z sobą tajemniczą drogą...
Promienia słońca Jaś już nie doczekał!

W mogiłce leży i nigdy mu duszy
Żadne już światło nie zbudzi, nie wzruszy...
Nigdy nie wzniesie pogodnych swych powiek
Na wielkie cuda tworzącej przyrody
I nigdy zapał do wiedzy, swobody
Nie drgnie mu w piersi okrzykiem: „Tyś człowiek"!

Ach, ileż takich mogił jest na ziemi
I jakie smutne są takie mogiły!
Ludzkość żyć winna siłami wszystkiemi,
A nędza co dzień odbiera jej siły...

Ten szereg drobnych grobów wśród cmentarza,
Co myśliciela smętnego przeraża,
To siew bez plonu, rzucony na marno,
Kwiat bez owocu — i stracone ziarno.
Poprzez mogiły, gdzie śpią te dzieciny
W milczeniu śmierci przeraźliwym, głuchym,
Ludzkość, uboższa ramieniem · duchem,
Idzie tak wolno, jakby cel się zwlekał!
O bracia, czy w nas wcale nie ma winy,
Że słonka Jaś nie doczekał?

BOLESŁAW PRUS

SESJA

W parę dni obie panny otrzymały wezwanie, ażeby w sobotę przyszły na tygodniową sesję do domu pani Zetnickiej, właścicielki magazynu ubiorów damskich. W sobotę zaś z rana do Madzi przyszedł list z Iksinowa, dziwnie odpowiadający chwili i sytuacji.

Pisała panna Cecylia, siostra aptekarza, z prośbą, żeby Madzia wyrobiła jej miejsce nauczycielki przy jakiejś pensji klasztornej w Krakowie albo Jazłowcu.

— Wprawdzie brat i bratowa — pisała panna Cecylia — tak są dobrzy i tak ją kochają, że będzie musiała stoczyć z nimi walkę, zanim jej pozwolą opuścić swój dom. Ale ona czuje się już zmęczoną życiem światowym, tęskni do spokoju i do jakiegoś kącika, gdzie mogłaby doczekać starości nie będąc dla nikogo ciężarem.

— Otóż mam temat na dzisiejszą sesję! — pomyślała Madzia, z góry ciesząc się wrażeniem, jakie wywoła w pannie Cecylii, gdy doniesie, że ma dla niej miejsce w klasztornej pensji, a to dzięki protekcji stowarzyszenia kobiet.

Co za tryumf dla towarzystwa i co za ulga dla biednej Cecylii, która zamiast dziękować jakiejś litościwej osobie, będzie korzystała z praw przysługujących każdej kobiecie!...

A jak Madzi będą zazdrościły inne uczestniczki sesji, jak zdziwi się Ada!..

Kiedy około ósmej wieczorem obie panny, skromnie ubrane, wymknęły się ze swych apartamentów, w dziedzińcu zetknął się z nimi Solski.

— A to pięknie! — zawołał. — Wycieczka w niepogodną noc... Dokądże?

— Nic mu nie mów, Madziu!... — odparła Ada. — Dowiesz się jutro.

— Weźcież panie przynajmniej kogo ze służby...

— Jeszcze czego?... Słyszałaś, Madziu: każe nam korzystać z opieki mężczyzny w podobnej chwili!... *Adieu*, mój panie — mówiła śmiejąc się Ada — i wiedz o tym, że masz do czynienia z kobietami samodzielnymi.

Skoczyły w dorożkę i wesołe, choć wzruszone, zajechały na miejsce.

Salonik pani Zetnickiej, duży, jasny, oświetlony przez lampę wiszącą po środku sufitu, był pracownią. Na jednym stole leżała góra tkanin, zakrytych prześcieradłem; w kącie, obok pieca, tulił się druciany manekin do upinania sukien. Ściany były ozdobione sztychami Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, naprzeciw drzwi stało ogromne lustro. Wielka rozmaitość krzeseł wyścielanych i giętych świadczyła, że dom ten nie odznacza się bogactwem umeblowania.

Pań zgromadzonych było ze trzydzieści. W tej liczbie kilka młodych i bardzo wesołych, kilka starszych i jakby rozdrażnionych najpierwej rzucało się w oczy. Ogół wyglądał spokojnie i bezpretensjonalnie jak osoby, które mają dużo kłopotów, nie kryją się z nimi ani też je okazują. Ada spostrzegła, że większość zebranych nie odznacza się wdziękami i — odetchnęła. W towarzystwie pięknych kobiet czuła się skrępowaną.

Prezentacja nowoprzybyłych odbyła się krótko. W zagłębieniu jednego okna Madzia spostrzegła Manię Lewińską, siostrzenicę Mielnickiego, która, pomimo nieukończenia szóstej klasy, wyglądała na kobietę dojrzałą i stroskaną. A że obok niej było parę krzeseł wolnych, więc Madzia pociągnęła tam Adę i wszystkie trzy siedziały razem. Dzięki temu wypadkowi Ada miała sposobność dowiedzieć się niektórych szczegółów o uczestniczkach zebrania.

Sama gospodyni domu, mimo obfitości obstalunków robionych w jej pracowni, nigdy nie posiadała nawet dziesięciu rubli zaoszczędzonego kapitału: przypuściła bowiem swoje współpracowniczki do udziału w zyskach, a obok tego miała dwie wychowanice, zupełne sieroty. Panna Żetowska, introligatorka, ile razy nie miała roboty, chodziła pielęgnować ciężko chorych, za całe wynagrodzenie przyjmując tylko żywność. Panna Ulewska umiała szewstwo, hafciarstwo i malarstwo na porcelanie: pracowała od świtu do północy, miała początki suchot i brata, który na jej koszt chodził do gimnazjum. Natomiast panna Papuzińska grała na fortepianie jak Liszt, śpiewała jak Patti, malowała jak Siemiradzki, pisała powieści jak Wiktor Hugo i — gniewała się na cały świat, który żadnego z jej talentów nie chciał ocenić.

Pani Białecka, wdowa, od kilkunastu lat opiekowała się kobietami wychodzącymi z więzienia, które mieszkały u niej, przez nią dostawały służbę i — niekiedy okradały ją na podziękowanie. Panna Zielińska, nauczycielka, z własnej pracy utrzymywała rodzi-

ców i dwu braci, którzy ciągle szukali dla siebie odpowiedniego zajęcia, a panna Czerwińska, także nauczycielka, biorąca po złotówce za lekcję, odznaczała się niezwykłą zdolnością wyzyskiwania swoich znajomych na rozmaite dobroczynne cele. Jeden z jej pupilów był dyrektorem fabryki, drugi poszukiwanym adwokatem, trzeci ożenił się z majętną panną. Ale ich opiekunka, już zagrożona ślepotą, wciąż brała po złotówce za lekcje i chodziła w podartych trzewikach.

Ukryta za firanką Ada, słuchając tych objaśnień wypowiadanych szeptem przez Manię Lewińską, doznała wstrząsających uczuć. W pierwszej chwili chciała wybiec na środek saloniku, upaść na ziemię i całować nogi tych świętych kobiet, które szły przez życie nikomu nieznane, ciche, proste, niekiedy lekceważone. Potem ogarnęła ją rozpacz: stało się bowiem dla niej jasne, że cały majątek Solskich nie wystarczyłby na zaspokojenie tych potrzeb i niedostatków, których tu zaledwie drobną cząstkę poznała.

Zdumiewało ją, że na te nadzwyczajne kobiety nikt w stowarzyszeniu panny Howard nie zwracał uwagi. One same, nieśmiałe, jakby zawstydzone, kryły się po kątach; mówiła zaś najgłośniej i robiła najwspanialsze wrażenie albo panna Howard, nosząca tytuł członka-założyciela towarzystwa, albo niezadowolona ze świata panna Papuzińska, jej antagonistka, albo antagonistka ich obu, panna czy pani Kanarkiewiczowa, która uczyła się na pamięć encyklopedii większej Orgelbranda.

Około kwadransa panował ruch i gwar. Uczestniczki przechodziły z jednego końca sali na drugi, przesiadały się, naradzały po kątach. Młode panny, rozmawiając głośno, śmiały się, najczęściej bez powodu; starsze i ubogo ubrane szeptały. Ogół nie zwracał uwagi na Madzię i Adę, tylko panna Papuzińska w rozmaity sposób usiłowała okazać, że lekceważy Adę, a pani Kanarkiewiczowa co chwilę zbliżała się do framugi okna, jakby pragnęła bliżej poznać bogatą pannę.

Przez ten czas panna Howard porządkowała papiery na stole, na którym gospodyni domu ustawiła karafkę wody, cukiernicę, parę szklanek i dzwonek ze szklaną rączką.

— Proszę członków o zajęcie miejsc — odezwała się panna Howard — i przypominam, że członek bez upoważnienia zabierający głos płaci złotówkę kary. Raz nareszcie musimy się nauczyć parlamentaryzmu.

Kilka ubogo ubranych pań chrząknęło, jedna westchnęła, jedna z młodych parsknęła śmiechem, lecz w tej chwili zatkała sobie usta chustką, a panna Papuzińska, siadając tyłem do Ady, rzekła:

— Proszę na mnie zapisać złotówkę, a jednocześnie, po raz już nie wiem który, zapytuję pannę Howard: dlaczego ona sama kar nie płaci?

— Bo ja kieruję dyskusją, więc muszę się odzywać.

— Rozumie się — nieustannie. Bardzo wygodny przywilej...

— Członkowi Papuzińskiej odbieram głos — przerwała chłodno panna Howard.

— Nie podzielając przekonań panny Papuzińskiej protestuję przeciw dyktatorskiemu tonowi panny Howard — wtrąciła pani czy panna Kanarkiewicz.

— I płaci pani karę — dodała w dalszym ciągu panna Howard zapisując.

Potem zadzwoniła i w sali zrobiło się cicho.

— Czytam protokół sesji poprzedniej — mówiła panna Howard. — Na ostatniej sesji członek Papuzińska przedstawiła zebraniu wyjątki ze swej pracy: „Czy dla społeczeństw nie byłoby korzystniej zastąpić dzisiejsze małżeństwa wolną miłością"...

Czytanie tych interesujących wyjątków — rzekła w nawiasie panna Howard — zostało przerwane... naturalnie z powodu braku czasu...

— Zbyteczne objaśnienie — syknęła panna Papuzińska.

— W dyskusji powstałej stąd — mówiła panna Howard — członek Kanarkiewiczowa postawiła wniosek (żądając uznania go za niecierpiący zwłoki), ażeby dziewczęta uwiedzione pobierały dożywotnią pensję. Przy głosowaniu wniosek został odrzucony trzydzieści jedną gałkami przeciw jednej...

— A że wszystkich nas było trzydzieści, więc któraś uczestniczka rzuciła dwa głosy zamiast jednego — rzekła blada z gniewu pani Kanarkiewiczowa.

— Członek Czerwińska — czytała panna Howard — postawiła wniosek o otworzeniu domu schronienia dla starych i chorych nauczycielek motywując go, że w tej chwili są trzy nauczycielki, potrzebujące przytułku. Zgromadzone jednocześnie uchwaliły nagłość wniosku, a członek założycielka Howard zaleciła agitację między nauczycielkami w celu zebrania funduszów rachując, że gdyby każda płaciła tylko po rublu miesięcznie, towarzystwo posiadałoby co najmniej sześć tysięcy rubli rocznie.

Członek Papuzińska zaproponowała wysłanie kilku młodych kobiet do uniwersytetów zagranicznych...

W jednym z okien szeptano. Nagle odezwała się Madzia.

— A cóż dzieje się z tymi trzema nauczycielkami?

— Nic — odparła panna Howard. I bystro popatrzywszy na framugę, dodała:

— Członek Brzeska płaci karę.

— Dlaczego nic? — nalegała Madzia. — Więc one są bez opieki...

— Opiekuje się nimi po trochu każda z nas. Ażeby im jednak zapewnić byt nieco pewniejszy, potrzeba z dziewięćset rubli rocznie, a takiej sumy obecnie nie posiadamy...

— Owszem, taka suma będzie — odezwał się głosik zmieniony i drżący.

— Skąd?... Co?... — zaszemrano w sali.

— Jest osoba, która dostarczy dziewięciuset rubli rocznie — już płaczliwym tonem dodał ten sam głosik.

— Panna Solska płaci złoty za karę — odezwała się ze złością panna Papuzińska.

— Członek Solska płaci karę — szybko powtórzyła panna Howard. — My zaś, szanowne uczestniczki, uczcijmy jej szlachetny dar przez powstanie...

Rozległ się hałas rozsuwanych krzeseł i wszystkie panie (z wyjątkiem panny Papuzińskiej i pani Kanarkiewiczowej) powstały kłaniając się i uśmiechając w kierunku okna, gdzie kryła się za firanką panna Solska.

— To nie ja... to mój brat... — protestowała Ada.

— Niech się członek nie zapiera — zgromiła ją panna Howard. — Wreszcie, nasze towarzystwo nie przyjmuje darów od mężczyzn...

— Proszę o głos — nieśmiało odezwano się w sąsiedztwie manekina do upinania sukien.

— Dyskusja zamknięta! — odparła panna Howard nie chcąc powiększać zakłopotania Ady. I czytała dalej:

— Członek Papuzińska zapronowała wysłanie kilku młodych panien do uniwersytetów zagranicznych...

— Tego wymaga honor społeczeństwa! — wykrzyknęła panna Papuzińska. — Bo podczas gdy w Ameryce kobiety są już lekarzami, adwokatami, pastorami, u nas nie ma nawet kobiety — lekarza...

— Ani funduszów na wykształcenie — wtrąciła panna Howard.

— Więc zamknijcie waszą bankrutującą pracownię kaftaników trykotowych — zawołała panna Papuzińska.

— Zapewne!... I wypędźmy na bruk dwadzieścia dziewcząt, które wydarłyśmy rozpuście, ażeby im dać pracę — rzekła panna Howard.

— Kosztują nas trzydzieści rubli tygodniowo...

— Ale mamy już gotowych trzysta pięćdziesiąt kaftaników, co znaczy siedemset rubli kapitału.

— Kaftaników, których nikt nie kupuje...

— Jak to nikt?... — wybuchnęła panna Howard. — Niech powie członek Wyskoczyńska, ile w tym tygodniu sprzedaliśmy kaftaników?...

— Dwa — cicho odezwała się spod ściany osoba w średnim wieku.

Panna Howard zapaliła się.

— Nie sprzedajemy kaftaników, bo w naszych kobietach nie wzbudziło się jeszcze poczucie solidarności ani nawet godności... Bo uczestniczki tego towarzystwa zamiast propagować ideę, szkodzą jej złośliwymi krytykami. Jak to, w kraju, mającym siedem milionów ludności, nie może rozejść się kilkaset kaftaników trykotowych?...

— Proszę o głos — odezwano się znowu spod manekina.

— Czy w tej kwestii?

— Nie.

— No, więc niech członek nie zabiera nam czasu — opryskliwie odpowiedziała panna Howard.

— Ja zawsze twierdzić będę — rzekła panna Papuzińska — że ważniejszym dla sprawy naszej jest wysłanie kilku kobiet do uniwersytetu, aniżeli utrzymywanie jakiejś dobroczynnej pracowni...

Wisząca lampa rzucała na salę krwawe blaski, ale nikt na to nie zważał.

— Protestuję przeciw uniwersytetowi — odparła pani Kanarkiewiczowa — bo każda kobieta sama może kształcić się jak najwyżej...

— Ucząc się na pamięć encyklopedii — wtrąciła panna Papuzińska.

— Lepsze to, aniżeli gra na fortepianie bez taktu albo śpiewanie, kiedy się nie ma głosu — rzekła pani Kanarkiewiczowa. — Ważniejszym od uniwersytetu jest zawiązać stosunki z kobietami wyższej cywilizacji. Dlatego proponuję, ażebyśmy wysłali kilka delegatek do różnych krajów Europy i Ameryki...

— Słyszałyśmy już o tym — sucho przerwała panna Howard. — Członek Brzeska ma nam zakomunikować jakiś projekt praktyczny. Członek Brzeska ma głos.

Kilka ubogich kobiet spod pieca zaczęło szeptać między sobą.

Spoza firanki wysunęła się Madzia, zarumieniona jak wisienka.

— Proszę pań — mówiła jąkając się — znam jedną nauczycielkę w Iksinowie, pannę Cecylię... Panna Cecylia skończyła uniwersytet, nawet dostała cyfrę... Jest bardzo zdolna, ale... jest zniechęcona do świata.

— I ja mam prawo być zniechęcona — rzekła półgłosem panna Papuzińska.

— Więc proszę pań, panna Cecylia chciałaby zostać nauczycielką pensji w Jazłowcu... I dlatego zwracam się do towarzystwa, ażeby towarzystwo przez swoje stosunki wyrobiło miejsce pannie Cecylii (nazwisko powiem kiedy indziej) w Jazłowcu.

— Dzika pretensja! — zawołała panna Papuzińska. — Cóż my, kobiety postępowe, możemy mieć wspólnego z klasztornymi pensjami?...

— Jestem jak najbardziej przeciwna podobnym pensjom — rzekła panna Howard.

— Gdzie hodują się przesądy! — dodała panna Papuzińska.

— Należałoby raz na zawsze usunąć z naszych zebrań wnioski dotyczące metafizycznych hipotez! — dodała pani Kanarkiewiczowa.

Zawstydzona Madzia cofnęła się w głąb framugi.

— Ach, ty niedobra!... — szepnęła do niej Ada. — Dlaczego mnie nic nie powiedziałaś o tej pannie Cecylii.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę — odparła zmartwiona Madzia.

— Wracając do funduszów naszej bankrutującej pracowni kaftaników trykotowych... — mówiła panna Papuzińska.

— Chyba dlatego nazywasz ją pani bankrutującą, że powstała z mojej inicjatywy? — ostro odparła panna Howard.

— Mało zajmują mnie instytucje pani — ciągnęła panna Papuzińska — a nierównie więcej fundusze... Otóż, po raz nie wiem który, radzę podnieść miesięczną składkę członków...

— Nigdy! — zawołała panna Howard. — Złoty na miesiąc może płacić każda kobieta, a przecież jesteśmy towarzystwem demokratycznym...

— I posiadamy około trzydziestu złotych miesięcznie...

— Ale gdyby wszystkie nasze kobiety należały do stowarzyszenia, miałybyśmy trzy miliony pięćset tysięcy złotych miesięcznie, czyli, zaraz... dwa razy trzydzieści pięć jest siedemdziesiąt, tak, miałybyśmy siedemdziesiąt siedem milionów rocznie...

Nastała chwila ciszy.

— Co?... co?... co?... — zawołała pani Kanarkiewiczowa przerabiając cyfry na papierze. — Miałybyśmy zaledwie czterdzieści dwa miliony rocznie...

— Cóż znowu pani pleciesz? Dwa razy trzydzieści pięć jest siedemdziesiąt i dwa razy...

— Ależ, panno Howard, pani nie umiesz mnożyć...

— Ja nie umiem? — zawołała panna Howard zrywając się od stołu.

— Proszę, tu jest rachunek...

— Co mi tam pani rachunek!

— Tak... tak... tylko czterdzieści dwa miliony... — odezwały się głosy z rozmaitych kątów sali.

Panna Howard upadła na krzesło przygryzając wargi.

— Pani chciałabyś narzucić swoją wolę nawet tabliczce mnożenia — wtrąciła panna Papuzińska.

— Proszę o głos! — odezwano się jeszcze raz spod modelu do upinania sukien.

— Członek Siekierzyńska ma głos.

— Lampa strasznie kopci — odparła cicho członek Siekierzyńska.

Istotnie, krwawy płomień wiszącej lampy sięgał do połowy kominka, którego grzbiet ozdobił się aksamitnym grzybem. W całej sali unosiły się płatki sadzy podobne do czarnych muszek.

— Ach, moja nowa suknia!

— Wyglądamy jak kominiarze...

— Pyszna rzecz, te sesje! Właśnie miałam wstąpić na raut.

— Dlaczego pani nie powiedziała o tym wcześniej? — rzekła z gniewem panna Papuzińska do wystraszonego członka Siekierzyńskiej.

— Regulamin zabrania.

— Co mi tam jakiś niedorzeczny regulamin, przez który zniszczyłam nowe rękawiczki.

— Członek Siekierzyńska — wtrąciła z mocą panna Howard — zasługuje na pochwałę, złożyła bowiem dowód, że zaczynamy uczyć się porządku...

Kilka panien roześmiało się, inne uczestniczki zaprotestowały.

— Ależ pani swoim pojęciem o porządku przerobi nas na gromadę pomywaczek!... — zawołała pani Kanarkiewiczowa.

Tymczasem gospodyni przykręciła lampę, ale uczestniczki zaczęły się rozchodzić.

— Za pozwoleniem — odezwała się skromnie panna Czerwińska — jakże będzie z naszymi pracownikami? Bo już na przyszły tydzień nie mamy dla nich ani żywności, ani na dzienną płacę.

— Cóż wielkiego — odparła panna Howard. — Na żywność wychodzi dwa ruble dziennie, a na płacę trzy. Złóżmy zaraz, co która może, a resztę zbierzemy w ciągu tygodnia, u znajomych. Otóż pięć rubli... Przecież kiedyś zaczną kupować kaftaniki.

Panna Howard położyła na stole papierek, inne uczestniczki z rezygnacją zaczęły sięgać do portmonetek albo szeptać gospodyni:

— Ja przyszlę jutro rubla...

— Ja przyniosę pięć złotych we środę...

Niektóre kładły na stole złotówki; było jednak widoczne, że ciężko rozstać się im nawet i z tym małym grosikiem.

Ada nieśmiało zbliżyła się do panny Howard i, zarumieniona, coś szepnęła jej do ucha.

— Niech członek Solska mówi głośno — zawołała panna Howard. — Moje panie, możecie cofnąć składki, ponieważ członek Solska zakupuje wszystkie gotowe kaftaniki. Jest to wysoce pocieszający fakt, który dowodzi, że naszym kobietom nareszcie zaczynają się otwierać oczy...

— Ciekawam, co panna Solska zrobi z trzystu pięćdziesięcioma kaftanikami? — zapytała drwiącym tonem panna Papuzińska.

— Zapłaci siedemset rubli i na pół roku zapewni byt naszym pracownicom — odpowiedziała wyniośle panna Howard.

— A sprzedażą kaftaników zajmie się sama?

— Kaftaniki mogą zostać na składzie — cicho odezwała się Ada.

— Wierzę pani, że wolałabyś dodać jeszcze siedemset rubli, byle cię nie obdarowano tym stosem rupieci, który nas do rozpaczy doprowadza — odparła zgryźliwie panna Papuzińska.

Uczestniczki zaczęły zbierać ze stołu swoje pieniądze. Im zaś która miała mniej do wzięcia, tym większą radość było widać na jej twarzy. Tylko panna Howard nie tknęła swoich pięciu rubli, a gdy jedna z pań podała jej papierek, panna Howard rzekła obojętnie:

— Niech to zostanie w kasie.

(*Emancypantki*)

MARIA KONOPNICKA

MARIANNA W BRAZYLII

Ile razy spojrzę na *Listy Dygasińskiego z Brazylii*, a pomyślę, jaką to on przeszedł biedę, nim się z ludźmi tamtejszymi porozumieć zdołał, tyle razy żałuję, że zamiast udawać się do konsulów, do dziennikarzy, do inspektorów i do hrabiów, nie udał się Dygasiński prosto do Marianny.

Marianna byłaby dla niego nieoszacowanym skarbem. Objaśniłaby go najakuratniej o wszystkim: co? jak? a nadto wyprowadziłaby go z wszelkich językowych trudności.

Trudności te nie sprawiały Mariannie nigdy żadnego kłopotu: po prostu nie istniały dla niej.

Kiedy pani jej, zaraz po przybyciu, posłała ją do wspólnej hotelowej pralni, oddanej do użytku gości, którzy, mając własną służbę, sami chcieli zajmować się praniem swej bielizny, po portugalsku *ropa*, a właścicielka przyszła objaśnić o czasie i kolei prania — Marianna, nieprzywykła, żeby jej kto do balii nos wtykał, pobiegła na górę cała w ogniach:

— A jaki też ten naród tutejszy spierny, proszę pani, to niech ręka boska broni! Ledwo stanęłam u balii, zaraz tam przyleciała jakaś jędza i dalej na mnie: Ty taka! Ty owaka! Ja tu nie myślę robić prania z całej Europy!

— Czyż podobna?

— Przecie wyraźnie słyszałam, jak wykrzykiwała, że nie myśli ludziom z całej Europy prać. Tak ja jej na to: „Moja pani, jeśliś

pani, bo ja tam twego państwa nie widziałam! My ta nie ze żadnej Europy pochodzące, tylko z Dąbrówki, z gubernii smoleńskiej! Papiery na to są! Rozumiesz pani?"

— No, i co?

— A cóż, zara jej buzia zmalała, zabrała się baba i poszła!

Istotnie Marianna była z Dąbrówki.

Nie żadna emigrantka, broń Boże, gdzież tam! Z Dąbrówki wysłała ją starsza pani panience, która była w naukach aże we Francji, w samym Paryżu, i za mąż za pensylwańczyka, prowadzącego interesy wielkiej, paryskiej, firmy, do Brazylii, wyszła.

Wyszła, ale „nie miała wskórania", jak opowiadała Marianna. Słaba była, tęskniła, a nade wszystko rady sobie dać nie mogła z murzyńską, niechlujną służbą.

— Ach, mamo — pisała do Dąbrówki — gdyby tu była Marianna!

— A cóż? Może by i wysłać Mariannę?

Szło o pensylwańczyka, jak ten projekt przyjmie. Był to skrupuł zbyteczny całkiem. Dzielny pensylwańczyk miał sobie za miłe, za najmilsze wszystko, co pochodziło z Dąbrówki, z gubernii smoleńskiej, ba, i ze wszystkich dalszych. Jeszcze jako narzeczony kupił on sobie słownik polsko-niemiecko-francuski i pilnie studiował niektóre drobiazgi polskiej literatury bieżącej. Co większa, nie tylko żądał, aby do niego pisano z Dąbrówki po polsku, ale nawet sam się puszczał na pisanie małych liścików w tymże, upodobanym przez siebie, języku. Z tego to czasu pochodziła owa kartka, będąca rozkoszą narzeczonej bawiącej wtedy u matki, kartka, która po kilkakrotnych darciach i przepisywaniach oraz po mozolnej kwerendzie w słowniku, tak brzmiała:

„U nas lało i wiało nader silnie. Kocham ciebie nader tkliwie".

Otóż, wbrew spodziewaniu, kiedy przyszło radzić się pensylwańczyka co do wyboru służącej, projekt wysłania Marianny o mało że nie upadł całkiem.

— Mieliśmy z niej wielką pomoc — pisała matka z Dąbrówki — sługa z niej dobra, wszystko robi, pierze.

Na nieszczęście... ale były nawet dwa nieszczęścia. Pierwsze, iż przecinek między „robi" a „pierze" przepadł gdzieś bez śladu, czemu się, przy tak długiej, a do tego mozolnej przeprawie, zgoła niesposób dziwić; a drugie — że młodej pani nie było wtedy w mieście, kiedy list ten przyszedł. Zły klimat wypędził ją do Pewopolis w góry. Dzielny pensylwańczyk sam się tedy zabrał do odczytywania listu.

Odczytał i zrozumiał wybornie. Tego tylko nie mógł pojąć, dlaczego mu matka chce przysłać fabrykantkę zamiast sługi? Zajrzał do słownika raz, zajrzał drugi raz; jak wół wyraźnie stoi: pierze — *Federn, plumes*. Z tego nie był kontent. Po licha mu służąca z taką specjalnością?

Odbywszy tedy odpowiednie studia, tak w małej kieszonkowej metodzie, jak i w słowniku, odpisał do Dąbrówki w tych słowach:

„Dziwię się nader silnie, że kochana mama wybrała nam tę służącą. Będzie ona fabrykowała pióra, zamiast pilnować domu. Nader tkliwie całuję ręce mamy".

Upłynęło parę miesięcy, nim się porozumiano i nim się znalazł ów przecinek w drodze zaginiony.

Tymczasem młodsza pani pisała a pisała; list za listem gonił.

„Mamo droga! Bez Marianny rady sobie nie dam. Mamo kochana, proszę o Mariannę, bo się tu zamęczę, zadręczę z tymi Murzynami!"

Co było robić? Nie było co robić! Marianna jechała do Rio.

Podróż ta przedstawiała jej się, tak co do kierunku, jak i co do trwania swego, dość mętnie.

— Jeszcze gdzieś za Częstochową! — odpowiadała organiścinie i ekonomowej, które się o Brazylię pytały.

W dzień wyjazdu ubrała się też tak, jak się zwykle wybierała na wielkie, doroczne odpusty. Wzięła na siebie nową, kamlotową suknię, na to watowaną jupkę, na to dużą swoją paradną chustkę derową; zaczesała siwiejące włosy na wysoki grzebień, przykryła je czarną, kordonkową siatką, na siatkę włożyła aksamitny kapelusz, który ją zaszczytnie wyróżniał już od lat piętnastu spośród gawiedzi wioskowej w każdą niedzielę na sumie; włożyła bawełniane mitynki, jedną rękę okręciła kokosową koronką i wzięła w nią książkę do nabożeństwa, w drugiej rozwiesiła chustkę białą do nosa i stanęła gotowa do drogi — za morze.

Pożegnawszy państwo, dzieci, służbę pokojową, wychodziła już na próg, kiedy zobaczyła ulubioną kokoszkę ze świeżo wylężonym drobiazgiem. Wróciła tedy raz jeszcze, sypnęła jej suto pośladu, Marynie obiecała, że ją za łeb wydrze, jeśli kania choć jedno z małych kacząt chwyci, zajrzała do maciory, porachowała prosięta, uchyliła drzwi od karmnika, gdzie pochrząkiwał podpasany na kiełbasy wieprzak, nawymyślała Zuźce, że nie wygarnia z koryta wczorajszego jadła i, szeleszcząc wykrochmalonymi spódnicami, do krów, do obory poszła.

Dotąd trzymała się mężnie; ale kiedy Krasula zaryczała, a Kwiatucha obejrzała się na nią, opuściła nagle Mariannę moc ducha, a małe, bure jej oczki silnie mrugać zaczęły. Teraz dopiero poznała, co to jest rzucać przyjaciół. Byłaby się nawet rozpłakała może, ale zajeżdżający w tej chwili przed oficynę Wicek zawadził o sernicę, na której ociekał świeżo ogrzany twaróg, i omal nie wywrócił całego kramu.

To ją otrzeźwiło natychmiast. Jak stała, tak nie dbając na swoją toaletę skoczyła, Wicka zwymyślała, prasę z twarogiem naprostowała, psa, który do serwatki milczkiem podchodził, kopnęła,

a tymczasem dziewki rade, że gospodyni w „tylośny świat" rusza i choć ze dwie niedziele pomstować o byle co nie będzie, spiesznie zaczęły węzełki jej wynosić, a w rękę ją całować, a fartuchy do oczu przykładać, jako że niby taka je żałość spiera. Marianna takoż się udobruchała, Zuźkę i Marynę pocałowała w głowę, pogłaskała kota, pogłaskała Rozboja i głośno się przeżegnawszy zapadła w grochowiny zasłane kilimkiem.

Zaraz przecież od krzyża wracać chciała, bo jej się zdawało, że gęsi Maćkowe między dworskie wpadły i że je odżerają na ściernisku; ale się Wicek uparł, koniom po bacie dał i ruszyli naprzód. Kiedy Marianna stanęła w Warszawie, okazało się, że jakoś trudno z nią będzie. Nie tylko bowiem ani słowa po niemiecku nie umie, ale się gniewa jeszcze, kiedy ją o to pytamy.

— Ja? Ja bym zaś po szwabsku miała, z przeproszeniem, szwargotać? Tfu! z przeproszeniem! Czy ja to nie katoliczka? Czy do spowiedzi nie chodzę, czy co?

A tu w Hamburgu, gdzie właśnie szła jej droga, nie znaliśmy żadnego Polaka. Nie było rady, chyba Mariannę opisać i agentowi znanego domu handlowego listem ją polecić, żeby nie przepadła gdzie w mieście i we właściwym czasie na okręt dostać się mogła.

Opisać? hm!... Ale jak ją tu opisać? To, że była niska, krępa, że miała bure, małe oczki, nos kaczkowaty i poczciwą twarz czerwoną a świecącą, zdawało nam się niedostatecznym jakoś. Agent musi być o przybyciu Marianny uprzedzony, musi czekać na nią, poznać ją i zabrać z sobą. Trzeba ją tedy koniecznie czymś wyróżnić. Radzimy o tym, kiedy Marianna spostrzegła wielkiego, papierowego motyla na lampie.

— A to, proszę ja państwa mojego! — wykrzykuje — nie dobre by było?

Pomysł jej wydaje nam się zrazu tak komiczny, że wszyscy wybuchają śmiechem. Ale Marianna bierze to zupełnie serio i gotowa jest paradować w motylu do Hamburga.

Odczepiamy go tedy od lampy i przypinamy Mariannie, która spogląda z zupełnym zadowoleniem na tę nową swoją ozdobę. Wielki, czerwony w złote centki motyl tworzy istotnie jedyną w swoim rodzaju broszę. Marianna rozmawia z nami jeszcze chwilę, ale od czasu do czasu patrzy ukradkiem w lustro; pewne jest prawie, iż żałuje, że jej w tym stroju nie widzi ekonomowa i organiścina. Odprowadzona wreszcie przez bandę chłopaków, którzy myślą, że to „sztuki", siada szczęśliwie do wagonu i jedzie.

Jedzie bez żadnej niepewności, bez żadnego strachu. Dygasiński, wybierający się w tęż stronę z listami polecającymi i w charakterze dziennikarza, nie miał, jak się okazuje z listów jego, tej wybornej równowagi umysłu, w jakiej utrzymuje Mariannę ów czerwony motyl. Okazuje się on skutecznym wszakże pod jednym

tylko względem: agent domu handlowego istotnie czeka na Mariannę poznając ją po tym nieomylnym znaku, który wygląda z dala jak sygnał pożarny, i zabiera ją pod swoją opiekę. Ale trzeba nieszczęścia, że okręt tylko co odpłynął i że dwa tygodnie czekać trzeba na wyruszenie drugiego.

Kiedyśmy otrzymali tę wieść niepomyślną, ogarnął nas żywy niepokój. Co ona tam robić będzie w Hamburgu przez te dwa tygodnie, kiedy nie umie nawet Boga zawezwać w żadnym obcym języku? Oszuka kto, ograbi, a już, że się niewygody nacierpi, to pewna. Ale odpowiedź przychodzi jak najbardziej uspokajająca. Marianna zupełnie się obcym miastem nie czuje zakłopotana; co jej potrzeba, to pokaże na migi, a kiedy kto jej zrozumieć nie chce, czy nie może, natychmiast palcem stuka w swojego motyla, którego ciągle na piersiach nosi.

W porcie — pisze agent — wszyscy już ją znają. Są tacy, którzy usługują jej nawet bardzo pilnie, myśląc, że ten wielki czerwony motyl, to znak jakiegoś stowarzyszenia, na które się ona powołuje z całą powagą. Nareszcie odbieramy wiadomość, że nasza Marianna szczęśliwie morze przepłynęła i jest w Rio.

Zmęczona była, przybladła, mitynki jej się zdarły, kapelusz wykrzywił, gdyż dla odznaczenia się od gawiedzi nie zdejmowała go prawie; chustka derowa zeskorupiała od słonych wyziewów morza, ale strzępy czerwonego motyla jeszcze się na niej trzymały.

Pensylwańczyk był zachwycony. Takiej tęgiej, przysadkowatej baby, jak żyw, nie widział jeszcze.

„Marianna przyjechała! — pisał do Dąbrówki. — Nader silnie tłusta i dobra!"

Istotnie Marianna była wyborną sługą; prała zwłaszcza znakomicie i tylko zbyt wiele zużywała farbki. Instynkty jej kolorystyczne były niepohamowane w tym względzie.

Nigdy też nie można było przewidzieć, czy jej „lazurki", jak nazywała, zbraknie, czy nie zbraknie.

Najczęściej wszakże brakło. Wycierała wtedy ręce w fartuch i, nie pomyślawszy nawet o tym, że słowa po portugalska nie umie, po lazurek biegła.

Po chwili wracała zdyszana.

— Gdzież to Marianna była? — pyta pani.

— A toże po lazurek latała!

— No i cóż?

— A nic! kupiła!

— Jakże? przecież Marianna nie umie się rozmówić?...

— I... co to nie umie! Idę do kramu, powiadam, coby mi lazurku dali. Powytrzeszczali na mnie oczy i nic. Tak ja jeszcze głośniej. A oni do siebie: czego ta głupia baba od nas chce, kiedy my jej nie rozumiemy?

— Jakże Marianna mogła wiedzieć, co oni mówią?

— Albo to co wielkiego? Takiemu ta barabaszowi po oczach dość spojrzeć, to się i wie, co gada.

— No, i cóż się stało?

— A nic! Co ja tu, myślę sobie, będę stała i medytowała, a tam mi woda stygnie. Obejrzę się, spojrzę, leży papier niebieski od cukru. Łap ja za on papier, rękaw od koszuli wyciągam, jedno do drugiego przykładam i mówię: tego do tego!

— No i zrozumieli?

— Co nie mieli zrozumieć! Przecieżem im wyraźnie po polsku mówiła!

Pewnego wszakże razu wraca Marianna rozmarzona jakaś. Małe jej bure oczki mniejsze się jeszcze wydają niż zwykle, usta wdzięcznie zesznurowane, spojrzenie melancholiczne. Jest przy tym małomówna i z partesu stąpa.

— Co to Mariannie? — pyta pani — Czy nie chora przypadkiem?

— I... nie! — odpowiada z pozorną obojętnością cedząc słówka przez zęby. — Tyla, co mi się tam jeden obświadczył.

— Co? Kto? Jak? Gdzie?

Marianna czuje się nieco zdziwieniem tym dotknięta.

— A gdzieżby? Jużci że na półimperiału!

Na wsi jeszcze słyszała o półimperiałach i nazwę tę stosowała do górnych miejsc na tramwaju. Mówi to zresztą takim tonem, jakby imperiał umyślnie był zbudowany dla miłosnych gruchań.

— Jakże to było? — pyta pani mocno rozciekawiona.

— A cóż? Siadam na półimperiale, patrzę, niedługo siada przy mnie jeden czarny. Usunęłam koszyka, coby mi się o niego nie zmurzył, i nic, siedzę. A ten mi się przygląda z jednej strony, z drugiej strony, z trzeciej strony, z czwartej strony... Tak ja do niego: I cóż ślepie wytrzeszczasz, baranie jeden, kiejby ryba w garnku? Zara mu się to spodobało, rozśmiał się i pokazuje na mój pierścionek, niby czy ja żeniata, czy nie? Tak ja rękę na płask i do ziemi, że niby już kaput, żem wdowa. Tak i on pokazuje do ziemi i na swój pierścionek, niby, że to i on wdowiec. Westchli my sobie oba, niby k'woli żałości, a tu słońce tak piecze, że się ślina na języku gotuje. Tak niedługo ów czarny bierze mnie za rękę, na swojej kładzie, chustki dobywa i owija, a w oczy mi patrzy. Niby, coby nas ksiądz stułą powiązał. Ale ja zaraz zaczęła kręcić głową, boć to podobno pogany, choć też i chrzczone; skórę a to mają taką grubaśną, że się tego chrzest święty, jak należy, nie ima, tyle co woda spłynie po tym jak po kaczce, a do tej duszy to się ta nic z tego obmycia z grzechów nie dostanie. Zaraz też zaczęli piszczeć, coby my z półimperiała złazili, więc mi tylko jeszcze koszyk podał i każde my w swoją drogę poszli!

Niemniej chodziła Marianna przez resztę dnia zadumana i nazajutrz także była jakaś nieswoja. Młoda pani myślała, że to żal

mimowolny za porzuconą okazją szczęścia. Ale nie był to żal. Było to preludium do żółtej febry.

Wybuchnęła ona u Marianny z wielką siłą, ale jej nie zgryzła. Zdawało się zrazu, że kobiecina wieczora nie doczeka. Zdawało się wieczorem, że nie dożyje ranka.

Dożyła wszakże i otrząsnęła się z tej śmiertelnej zmory; długo tylko przyjść jakoś nie mogła do siebie.

Wyżółkła, wychudła, osłabła, ręce jej się trzęsły, zamroki za nią szły, robocie żadnej poradzić nie mogła, choć się rwała do niej. Dzielny pensylwańczyk byłby ją i taką cherlającą dla żony w domu trzymał, ale doktor zapewnił go, że Marianna tylko w innym klimacie wyzdrowieć może zupełnie.

Znowu więc nie było rady; Marianna wracała zza morza. Wyszukała gdzieś w głębi kufra resztki czerwonego motyla, przyszpiliła go sobie do chustki i ufna w ten talizman, z mężnym sercem na okręt siadła. Od pierwszej jej podróży upłynęło coś osiem miesięcy.

Zima była; wczesny zmierzch zapadał w pokoju, kiedy nagle stanęła przed nami Marianna.

Wykrzyknęliśmy z zadziwienia i współczucia; twarz jej była zmieniona, małe oczki głęboko zapadły, krępa, przysadkowata postać pochyliła się nieco.

— Marianna! Co? Jak tam? Z takiej drogi! Po takiej chorobie! Z takiego dalekiego kraju!

Myśleliśmy, że nas zasypie skargami na klimat, na ludzi, na żółtą febrę, na podróż.

Ale nie. Zbliżyła się tylko nieco i kiwając głową w swoim aksamitnym kapeluszu, który jej na kark zjeżdżał, a do którego przybyło zielone papuzie skrzydło:

— I!... — rzekła wzgardliwie — cóż tam za kraj taki! Takiego ta kraju, proszę państwa — dodała tajemniczo — i liczyć co nie ma! Jakby nie był! Życia tam nijakiego! Twarożku nie uświadczysz, kaszki krakowskiej nie ujrzysz, śmietany nie uwidzisz!... Jakże tam, proszę ja państwa, dobrze ma być, kiedy koło nabiału chodzić nie umieją? Zrobili ta teraz rewolucję, ale gdzie to ta poradzi, kiej naród strasznie głupi. Prowadzi, a to, taki czarny krowę i dzwoni. Kto mleka chce, wylatuje z garnkiem, doi, co mu potrza, i po kramie.

— No, to dobrze właśnie! Mleko świeże i niefabrykowane.

— Ale! Gdzie ta, proszę państwa, dobrze! Tam krowy takie pouczone, że to od razu mleko z wodą daje! Cóż ta już na to choć i rewolucja poradzi!

— No, ale kraj piękny?

— Phi!... Ja ta tej piękności nie widziała! Juścić mają tam precz i lasy, i Wisłę mają, ale że woda w niej, to się tam inaczej nazywa. Gdzie! Człowiek takich imion i nie pamięta nawet. Okrutnie

głupi naród! Wszystko łet poprzekręcane; na nic tak nie wołają, jak należy, tylko na każdą rzecz to sobie powymyśliwali jakoweś przezwiska!

— I jakże się Marianna z nimi porozumiewała?

— A cóż to, proszę państwa! Czy ja to dziecko, czy co? Nie dał mi to Pan Bóg mowy, jak należy?

— I nie bała się Marianna tamtych ludzi... Murzynów?

— Niby tych czarnych? A czego? Takiego ta kopciucha będę się ta bała! Leciał ta raz jeden za mną na cegielniach pod lasem, obejrzę się, a ten fuzję trzyma i krzyczy. Myślał, że na głupią trafił.

— I cóż Marianna?

— A nic. Idę, a ten precz krzyczy i leci z cną fuzją. Jak mnie też złość weźmie, jak nie zawinę jupki. Strzelaj, durniu! mówię, kiej ci pilno!

Wybuchnęliśmy na to szalonym śmiechem.

— I co? I co dalej?

— A cóż! Zląkł się i poszedł, jak ten pies po mydle.

— Ale choroba! Taka ciężka choroba! — odezwał się ktoś z ubolewaniem.

— I... cóż tam choroba! A to, proszę ja państwa — dodała tajemniczo — jeszcze jakem sobie trzy lata temu karty dała kłaść, to tam choroba już stała. Nic, tylko się trefle kładły... Nic, tylko precz trefle! To już ta sądzone było!

— A pani? A pan?

— Pani zdrowa, Bogu dzięki! Ale pan, co gadali u nas, że czarny je, to nieprawda! Piękny pan, ze wszystkim biały! Tylko powiadają, co jak się dziecko urodzi, to lebo jarzębiate, lebo pasiate!

Takie są „wrażenia z Brazylii" Marianny.

Spisuje swoje Dygasiński, spisuje Hempel, spisuje Siemiradzki, spisuje ks. Chełmicki, dlaczegóżby wrażenia Marianny spisane być nie miały?

MARIA KONOPNICKA

IDZIEM DO CIEBIE...

...Idziem do Ciebie, ziemio, matko miła,
By upaść czołem na twoje zaproże...
Nie jeno liczba my — ale i siła.
Nie jeno pług my, co łany twe orze,
Ale i pieron, co Bóg go posyła,
By walił bory o spróchniałej korze...
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary — dźwignące pół świata!

...Młotami walić będziem w Twojej kuźni,
Sochą w rozświtach krajać Twe zagony,
Aż ci się pęto u szyi rozluźni,
Aż buchnie z Ciebie ogień zatajony...
Niechaj nas nie tknie nikt, niechaj nie bluźni,
Że nie masz synów dla swojej obrony!
Na śmierć, na życie, oto Ci oddana
Podlaska dusza, podlaska sukmana.

Serca się nasze pod stopy Twe ścielą,
Polsko, jaką Cię nie widały duchy!...
Ty wyjdziesz srebrna — słów naszych kąpielą
Wymyta, strojna w zbóż Twoich rańtuchy...
Pola się Twoje wiosną rozweselą
Ludów! Ty cała w słoneczne wybuchy
Wolności pójdziesz, co tleją już w niebie...
...Idziemy, matko! Idziemy do Ciebie!

Idziem do Ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierworodnej zrodziła nas gliny;
Idziem do Ciebie rzesza Twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny...
Niechaj nas dola jak paździerz rozprasza,
Krzykniesz — wnet Twoje zbiegną się drużyny.
Na śmierć, na życie wiecznie Ci oddana
Podlaska dusza, podlaska sukmana.

(*Pan Balcer w Brazylii*)

VII

BOLESŁAW PRUS

MĘDRCY

W miesiącu *Mehir* (listopad, grudzień), Pentuer przybył do świątyni za Memfisem, gdzie Menes prowadził wielkie prace nad niebem i ziemią.

Stary, w myślach pogrążony mędrzec znowu nie poznał Pentuera. Opamiętawszy się jednak, uściskał go i zapytał:

— Cóż, znowu idziesz niepokoić chłopów dla wzmocnienia władzy faraona?...

— Przyszedłem, by zostać z tobą i służyć ci — odpowiedział Pentuer.

— Ho! Ho!... — zawołał Menes przypatrując mu się z uwagą. — Ho! ho!... czy naprawdę masz już dosyć dworskiego życia i dostojeństw?... Błogosławiony to dzień!... Kiedy z wierzchołka mego pylonu zaczniesz oglądać świat, przekonasz się, jakie to małe i brzydkie.

Ponieważ Pentuer nic nie odpowiedział, więc Menes udał się do swych zajęć. Wróciwszy zaś po kilku godzinach, zastał ucznia siedzącego na tym samym miejscu, z okiem utkwionym w punkt, gdzie w oddali majaczył pałac faraonów.

Menes dał mu jęczmienny placek, garnuszek mleka i zostawił go w spokoju.

Trwało tak kilka dni. Pentuer jadał niewiele, mówił jeszcze mniej, niekiedy zrywał się w nocy, a dni przepędzał bez ruchu, patrząc nie wiadomo gdzie.

Ten tryb życia nie podobał się Menesowi. Więc pewnego razu zająwszy na kamieniu miejsce obok Pentuera, rzekł:

— Czyś ty zupełnie oszalał, czy duchy ciemności tylko chwilowo opanowały twoje serce?...

Pentuer zwrócił na niego zamglone oczy.

— Spojrzyj no dokoła siebie — mówił starzec. — Wszakże to najmilsza pora roku. Noce długie i gwiaździste, dni chłodne, ziemia okryta kwiatami i trawą. Woda jest przezroczystsza od kryształu, pustynia leży cicha, ale za to powietrze jest przepełnione śpiewem, piskiem, brzęczeniem...

Jeżeli wiosna takie cuda wywołuje na martwej ziemi, jakże skamieniałą musi być dusza twoja, która nie odczuwa podobnych dziwów?... Mówię ci, ocknij się, bo wyglądasz jak trup w pośrodku żywej natury. Pod tym słońcem jesteś podobny do zeschłej kupy błota i prawie że cuchniesz między narcyzami i fiołkami.

— Mam duszę chorą — odrzekł Pentuer.

— Cóż ci jest?

— Im dłużej rozmyślam, tym większą czuję pewność, że gdybym nie opuścił Ramzesa XIII, gdybym mu oddał moje usługi, żyłby dotychczas ten najszlachetniejszy z faraonów. Otaczały go setki zdrajców; ale ani jeden dobry człowiek nie wskazał mu środków ocalenia!...

— I tobie naprawdę zdaje się, że mogłeś go uratować? — zapytał Menes. — O pycho niedouczonego mędrca!... Wszystkie rozumy nie ocaliłyby sokoła zaplątanego między wrony, a ty, niby jaki bożek, chciałeś odmienić los człowieka?...

— Alboż Ramzes musiał zginąć?...

— Z pewnością, że tak. Przede wszystkim był on faraonem wojennym, a dzisiejszy Egipt brzydzi się wojownikami. Woli złotą bransoletę aniżeli miecz, choćby stalowy, woli dobrego śpiewaka lub tanecznika aniżeli nieustraszonego żołnierza; woli zysk i mądrość niż wojnę.

Gdyby w miesiącu Mehir dojrzała oliwka albo fiołek zakwitł w miesiącu Tot, jedno i drugie musiałoby zginąć, jako płody spóźnione lub przedwczesne. A ty zaś chcesz, ażeby w epoce Amenhotepów i Herhorów utrzymał się faraon należący do epoki Hyksosów. Każda rzecz ma swój czas, w którym dojrzewa i taki — w którym marnieje. Ramzes XIII zdarzył się w epoce niewłaściwej, więc musiał ustąpić.

— I myślisz, że nic by go nie uratowało? — spytał Pentuer.

— Nie widzę takiej potęgi. On nie tylko nie godził się ze swoją epoką i stanowiskiem, lecz jeszcze trafił na czas upadku państwa i był jak młody liść na próchniejącym drzewie.

— Tak spokojnie mówisz o upadku państwa? — zdziwił się Pentuer.

— Widzę go od kilkudziesięciu lat, a już widzieli go moi poprzednicy w tej świątyni... Można się było przyzwyczaić!

— Macie podwójny wzrok?...

— Wcale nie — mówił Menes — ale mamy miarę. Z ruchów chorągiewki poznasz, jaki wiatr wieje, studnia nilowa mówi, czy rzeka wzbiera, czy opada... A nas od wieków o niemocy państwa uczy ten sfinks...

I wskazał ręką w kierunku piramid.

— Nic nie wiem o tym... — szepnął Pentuer.

— Czytaj stare kroniki naszej świątyni, a przekonasz się, że ile razy Egipt kwitnął, jego sfinks był cały i wysoko wznosił się nad pustynią. Lecz gdy państwo chyliło się do upadku, sfinks pękał, kruszył się, a piaski sięgały mu do nóg.

I dziś, od paru wieków sfinks kruszy się. A im wyżej dokoła niego wznosi się piasek, im głębsze bruzdy ukazują się na jego ciele, tym państwo pochyla się bardziej...

— I ginie?

— Bynajmniej — odparł Menes. — Jak po nocy następuje dzień, a po niskich wodach przybór Nilu, tak po okresach upadków przychodzą czasy rozkwitu życia. Odwieczna historia!... Z niektórych drzew opadają liście w miesiącu Mehir, lecz po to tylko, aby na nowo wyrosnąć w miesiącu Pachono...

I naprawdę Egipt jest tysiącletnim drzewem, a dynastie gałęźmi. W naszych oczach wyrasta XXI gałąź, więc z czego się tu smucić?... Z tego, że choć gałęzie upadają, sama roślina żyje?...

Pentuer zamyślił się; ale oczy jego spoglądały przytomniej.

Jeszcze po paru dniach rzekł Menes do Pentuera:

— Ubywa nam żywności. Musimy pójść w stronę Nilu i zaopatrzyć się na jakiś czas.

Wzięli obaj wielkie kosze na plecy i od wczesnego ranka zaczęli obchodzić wsie nadbrzeżne. Zwykle stawali przed chatami chłopów śpiewając nabożne pieśni, po czym Menes pukał do drzwi i mówił:

— Litościwe dusze, prawowierni Egipcjanie, ofiarujcie jałmużnę sługom bogini Mądrości!...

Dawano im (najczęściej baby) tu garstkę pszenicy, ówdzie jęczmienia, tam placek albo suszoną rybkę. Niekiedy jednak wypadały na nich złe psy albo dzieci pogan obrzucały ich kamieniami i błotem.

Szczególny był widok tych pokornych żebraków, z których jeden przez kilka lat wpływał na losy państwa, a drugi znajomością największych tajemnic natury zmienił bieg historii.

W bogatszych wsiach przyjmowano ich lepiej, a w pewnym domu, gdzie odbywało się wesele, dano im jeść, napojono piwem i pozwolono przenocować między gospodarskimi budynkami.

Ani ich ogolone twarze i głowy, ani wyleniała skóra pantera, nie imponowały mieszkańcom. Lud Dolnego Egiptu, pomieszany z różnowiercami, nie odznaczał się nabożeństwem, a już zgoła lekceważył kapłanów bogini Mądrości, o których nie dbało państwo.

Leżąc w szopie na pękach świeżej trzciny Menes i Pentuer przysłuchiwali się weselnej muzyce, pijackim okrzykom, niekiedy kłótniom radujących się gości.

— Okropna rzecz — odezwał się Pentuer. — Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od śmierci pana, który był dobroczyńcą chłopów, a ci już zapomnieli o nim... Zaprawdę niedługo trwa ludzka wdzięczność...

— Cóżeś chciał, ażeby ludzie do końca wieków obsypywali sobie głowy popiołem? — spytał Menes. — Gdy krokodyl schwyta kobietę lub dziecko, czy myślisz, że zaraz przestają płynąć wody Nilu?... One toczą się bez względu na trupy, a nawet bez względu na spadek lub przybór rzeki.

To samo z życiem ludu. Czy kończy się jedna dynastia, a zaczyna druga, czy państwem wstrząsają bunty i wojna, albo czy kwitnie pomyślność, masy ludu muszą jeść, pić, spać, żenić się i pracować, jak drzewo rośnie bez względu na deszcz i posuchę. Pozwól więc im skakać, jeżeli mają zdrowe nogi albo płakać i śpiewać, gdy piersi ich przepełnia uczucie.

— Przyznaj jednak, że ich radość dziwnie wygląda obok tego, co sam mówiłeś o upadku państwa — wtrącił Pentuer.

— Wcale nie dziwnie, gdyż właśnie oni są państwem, a ich życie życiem państwa. Ludzie zawsze smucą się lub cieszą i nie ma takiej godziny, gdzieby ktoś nie śmiał się lub nie wzdychał. Cały zaś bieg historii polega na tym, że — gdy więcej jest radości między ludźmi, mówimy: państwo kwitnie, a gdy częściej bywają łzy, nazywamy to upadkiem. Nie trzeba przywiązywać się do wyrazów, ale patrzeć na ludzi. W tej chacie jest radość, tutaj państwo kwitnie, zatem nie masz prawa wzdychać, że upada. Wolno ci tylko starać się, aby coraz więcej i więcej chat było zadowolonych.

Gdy mędrcy powrócili z żebraniny do świątyni, Menes wprowadził Pentuera na szczyt pylonu. Pokazał mu wielką marmurową kulę, na której za pomocą złotych punktów sam oznaczył położenie kilkuset gwiazd i kazał mu przez połowę nocy śledzić księżyc na niebie.

Pentuer chętnie podjął się pracy i dziś pierwszy raz w życiu sprawdził na własne oczy, że w ciągu kilku godzin sklepienie niebieskie jakby zwróciło się ku zachodowi, ale księżyc przesunął się między gwiazdami ku wschodowi.

Te tak proste zjawiska Pentuer doskonale znał, lecz tylko ze słyszenia. Więc gdy pierwszy raz własnymi oczami zobaczył ruch nieba i cichą wędrówkę księżyca, doznał takiego wzruszenia, że upadł na twarz i zapłakał.

Przed jego duszą odsłonił się nowy świat, którego piękność tym dokładniej ocenił, że już był wielkim mędrcem.

Znowu upłynęło kilka dni, gdy zgłosił się do nich bogaty dzierżawca proponując, aby mędrcy wyznaczyli mu granice i wykopali kanał. W zamian ofiarował im żywność na czas roboty, tudzież kozę z koźlątkiem jako zapłatę.

Ponieważ mleka brakowało w świątyni, Menes zgodził się i poszli obaj z Pentuerem do roboty. Zniwelowali grunt, wykreślili kierunek i kopali.

Przy ciężkim zajęciu Pentuer ożywił się, a nawet gdy był sam z Menesem, rozmawiał. Tylko przy zetknięciu z ludźmi tracił humor, ich śmiechy i śpiewy zdawały się powiększać jego cierpienie.

Menes nie chodził na noc do wsi, ale razem z Pentuerem sypiał w polu, skąd mogli widzieć kwitnące łany i przysłuchiwać się echom ludzkiej radości, nie przyjmując w niej udziału.

Pewnego dnia polne roboty przerwano wcześniej, do wsi bowiem przyszedł po prośbie ubogi kapłan z małym chłopcem. Chodzili od domu do domu błagając o jałmużnę. Chłopak wygrywał na flecie smutną melodię, a w przerwach jej, kapłan śpiewał silnym głosem pieśń na poły świecką, na poły pobożną.

Menes i Pentuer, leżąc na pagórku, przypatrywali się płomiennemu niebu, na którego złotym tle mocno uwydatniały się czarne trójkąty piramid tudzież brunatne pnie i ciemnozielone bukiety drzew palmowych. Tymczasem kapłan wlókł się od chaty do chaty, wyśpiewywał swoją pieśń odpoczywając dłuższy czas po każdej zwrotce:

„Jak spokojny jest ów sprawiedliwy książę! Piękne przeznaczenie spełniło się. Od czasów Re przemijają stare ciała, a na ich miejsce przychodzą młode. Każdego ranka wschodzi słońce i co wieczór kryje się na zachodzie. Mężczyźni płodzą, kobiety poczynają, każda pierś oddycha świeżym powietrzem. Ale wszyscy, którzy urodzili się, wszyscy bez wyjątku, idą na miejsce, jakie człowiekowi przeznaczono".

— I po co to?... — nagle odezwał się Pentuer. — Gdyby choć było prawdą, że życie w tym celu stworzono, aby wzrastała cześć bogów i cnota. Ale tak nie jest. Podstępny okrutnik, matka, która zostaje małżonką mordercy swego syna, kochanka, która w chwili pieszczot myśli o zdradzie, ci rosną w pomyślność i potęgę. A mędrcy usychają w bezczynności, a dzielni i szlachetni giną sami i pamięć ich.

„Spraw sobie wesoły dzień, o książę — śpiewał kapłan — gdyż niewiele ci ich darowano! Postaw maści i kadzideł dla nosa twego, a lotosowe wieńce dla członków, dla ciała siostry, która mieszkając w twym sercu siedzi przy tobie. Niech wam śpiewają i grają. Porzućcie troski i weselcie się, bo wnet zaświta dzień, w którym jedzie się do kraju, kędy panuje milczenie".

— Maści dla nosa, wieńce lotosowe dla członków, a potem milczenie!... — wtrącił Pentuer. — Zaprawdę, błazen udający rycerza ma więcej sensu, aniżeli ten świat, w którym wszyscy coś udajemy, bez żadnego pożytku dla siebie. I żeby ten ziemski sen był jednym ciągiem wesołości?... Ale gdzie tam!... Komu głód nie skręca kiszek, tego serce zatruwa pożądanie lub niepokój. A jeżeli kiedy trafi się chwila ciszy, wówczas z jej głębin wynurza się myśl o kraju wiekuistego milczenia i szarpie ludzką duszę.

„Święć wesoły dzień, o Nefarhtep, mężu z czystymi rękami! Ja wiem wszystko, co się stało przodkom twoim: ich mury rozpadły się, miast już nie ma, a oni sami są, jakby ich nie było nigdy. Nikt nie przychodzi stamtąd, kto by nam powiedział, jak się miewają, i serca nasze ucieszył. I tak będzie, dopóki sami nie zbliżycie się do miejsca, gdzie oni poszli".

— Widziałeś ty kiedy spokojne morze?... — odezwał się Menes do Pentuera. — Prawda, jakie ono nudne, niby obraz snu, w którym się nic nie śni? Dopiero gdy wicher zaorze gładką powierzchnię, gdy jedna fala spada w otchłań, a druga podnosi się, gdy na powierzchni zagrają światła, a z głębi odezwą się groźne lub lękliwe głosy, wówczas morze robi się pięknym.

— Tak samo z rzeką. Dopóki płynie ciągle w jednym kierunku, wygląda martwo; lecz gdy skręca się na lewo i na prawo, nabiera wdzięku. I tak samo z górami: jednostajna wyniosłość jest nudna, ale nierówne szczyty i głębokie wąwozy są piękne...

„Połóż mirrę na głowę twoją, ustrój się w cienkie płótna i namaść się boskimi darami — śpiewał kapłan. — Ubierz się pięknie, jak możesz i nie pozwalaj upadać sercu twemu. Żyj dla rozkoszy, dopóki jesteś na ziemi, i nie zasmucaj serca, zanim przyjdzie dla ciebie dzień żalów"...

— Tak samo z życiem ludzkim — ciągnął Menes. — Rozkosze są niby fale i szczyty gór, cierpienia — niby głębie i wąwozy, i dopiero wszystkie one razem sprawiają, że życie jest piękne, gdyż rzeźbi się jak poszarpany łańcuch gór wschodnich, na które patrzymy z podziwem.

„Ale ten, którego serce już nie bije — śpiewał kapłan — nie słyszy żalów i nie smuci się cudzą żałobą. Więc z rozjaśnionym obliczem święć dni wesołe i pomnażaj ich liczbę"...

— Słyszysz? — zapytał Pentuer wskazując w kierunku wsi. — Ten, którego serce już nie bije, nie tylko nie smuci się cudzą żałobą, ale nawet nie cieszy się własnym życiem, choćby było najpiękniej wyrzeźbione... Na cóż więc te rzeźbienia, za które płaci się bólem i krwawymi łzami?...

Noc zapadała. Menes owinął się w opończę i odparł:

— Ile razy zaczną cię napastować podobne myśli, idź do której z naszych świątyń i przypatrz się jej ścianom, zatłoczonym obrazami ludzi, zwierząt, drzew, rzek, gwiazd — zupełnie jak ten świat, na którym żyjemy. Dla prostaka figury podobne nie mają żadnej wartości i może niejeden zapytywał: na co one?... po co rzeźbią je z tak wielkim nakładem pracy?... Ale mędrzec ze czcią zbliża się do tych figur i ogarnąwszy je spojrzeniem, czyta w nich historię dawnych czasów albo tajemnic mądrości.

(*Faraon*)

MIKOŁAJ RODOĆ

IDYLLA MALEŃKA TAKA

Idylla maleńka taka:
Wróbel połyka robaka,
Wróbla kot dusi niecnota,
Pies chętnie rozdziera kota,
Psa wilk z lubością pożera,
Wilka zadławia pantera,
Panterę lew rwie na ćwierci,
Lwa człowiek; a sam po śmierci,
Staje się łupem robaka,
Idylla maleńka taka.

LUIZA ACKERMANN

tłum. Maria Konopnicka

WOJNA

I

Ognia!... Krwi i żelaza!... To wojna! To ona!...
Stoi wielka w swym gniewie. Prawica wzniesiona
Skinieniem budzi ducha w walecznych szeregu...
Głos jej chłoszcze krew w żyłach do szybkiego biegu,
Wkoło niej się ogniste rozpalają węże...
Kula wylata świszcząc.... Dosięże! Dosięże!

Tłum wozów, jezdnych, koni — zmieszany, ruchomy,
Huczy jak przypływ morza i wyrzuca gromy.
Na jej płomienne hasło wstaje zgroza blada,
A pod żelazną dłonią, co jak piorun spada,
Związana z krwawym mordem straszliwym przymierzem,
Każdy przedmiot jest bronią, każdy mąż żołnierzem.

A kiedy już nasyci i oczy, i uszy
Widokiem przeraźliwym zniszczenia, katuszy,
Gdy naród dogorywa zdeptany w swej trumnie,
Blada pod wawrzynami — uśmiecha się dumnie,
Staje w tryumfie przed swą robotą przeklętą
I śmierć znużoną wita krzycząc: „Dobrze zżęto!"...

O, tak jest! Dobrze zżęto! Bujne było żniwo!
Pokosy trupów leżą gęstwiną straszliwą...
Pięknych, młodych i dzielnych zginęły tysiące...
A ludzkość, jako pole, kędy przejdą kosy,
Z drżeniem i zgrozą patrzy na te blade kłosy,
Na piersiach jej skrwawionych bezładnie leżące.

O, boleści! Niedawno z wiosennym podmuchem
Kołysały się kwitnąc lekkim, barwnym puchem,
I na młodej łodydze bujały z nadzieją,
Że w płodnych żarach słońca na ziarno dojrzeją,
Że plon dadzą swej ziemi pod cichym gdzieś niebem
I nie słomą zdeptaną będą — ale chlebem!

II

Jeśli walka jest życia nieodzownym prawem,
Czemu się ono spełnia zawsze w polu krwawem?
Czyż potęga ludzkości — za mniej straszną cenę,
Niż stos trupów — niezdolna wystąpić w arenę?
Czy brak wroga, co czyha i już, już dopędza?
Zaślepiony! Ty szukasz — a wszakże jest nędza!...

Z nią się zewrzyj ramieniem, a niech twoja ręka
Chwyci ją bez litości i dławi, i nęka,
Niechaj w wyschłe jej łono całą wściekłość miota...
A oto inne wrogi — zbrodnia i ciemnota —
Wsparte jedna o drugą, głucho grożą tobie,
Chwytaj sztandar! Idź walczyć — i zwyciężaj je obie!

Do takich bojów wciągaj ludy i narody,
Niechaj grzmi wyzwolenia hasło i swobody!
Zburzcie nędzne zapory i ciasne granice,
Niech brat ściśnie z miłością braterską prawicę...
Bo do walk tych wspaniałych pod hasłem przyszłości,
Zaprawdę nie jest nadto sił całej ludzkości!

III

Cisza była i spokój. Myśliciel w zachwycie
Śnił w wielkim dniu o pracy społecznej, o świcie,
Który słońcem ozłocić miał człowieka dolę...
Świat odetchnął. Wtem nagle, z płomieniem na czole,
Z trąbą przy wzdętych ustach wszeszłaś, ty, o wojno.
Depcąc ślady postępu stopą swoją zbrojną.

Na wyścig lecą ludy ogarnięte szałem,
Ziemię poić krwią swoją i karmić ją ciałem.
Na śmierć!... Straszliwe hasło bije w każde wrota,
Oto idzie wezwany od pługa, od młota...
To brat! Jemu się uścisk od ciebie należy,
A ty podnosisz rękę do lontów moździerzy?

Wioski i miasta giną w płomiennych wybuchach...
Kamienie nawet cierpią, cóż mówić o duchach?
Oto na trupie ojca leży syn młodzieńczy,
Przy zagasłym ognisku garstka sierot jęczy,
Bo te trupy wyblakłe, te piersi strzaskane,
Miały bijące serca — i były kochane!

Osłabła i zwątlona, zdeptana niegodnie,
Wstań, praco! Ty, geniuszu, rozpal swą pochodnię!
Dzieła wasze rozpierzchłe, jako snop — zszarpany...
Lecz jak to! Wszakże to był skarbiec układany
Całej ludzkiej rodzinie wspólny! O, ślepoto!
Burzyć własne swe mienie jestże ludów cnotą?

O, wojno! Na wspomnienie krzywd twoich bez miary,
Budzi się nienawiści jad w sercach prastary.
Tę ziemię, którą przejdziesz, zasiewa się ziarnem
Kainowego gniewu zatrutem i czarnem,
A zwyciężony życie w jedną żądzę wciela,
Aby z wnętrzności swoich mógł spłodzić mściciela!

Tak naród krwią swą płacąc odwetów dług stary
Jest drzewem, które traci corocznie konary...
O, wiosno! O, ty jasne nowych wieków słońce,
Komu oddasz swe soki i światło żywiące?
Ten pień okaleczony, co się zwie ludzkością,
Nie ma kwiatów ni liści, on nie jest przyszłością!

IV

Nie myśliciel to blady, nie śpiewak surowy
Z ginącej dobrowolnie zerwie laur głowy.
Chlubą jest szukać śmierci z własnego popędu.
Bohaterowie ducha, tępiciele błędu,
Rycerze ideału, co krwią światło płacą,
I bez ciebie — o, wojno! ginąć mają za co.

Ale temu żelazu, co z świstem uderza,
Tym niszczącym, bezpłodnym wysiłkom szermierza,
Wiecznie będę złorzeczyć w imieniu ludzkości!
O serce, pełne woni wiosennej jak kwiaty,
Serce bijące sztuce, sławie i miłości,
Ciebie, ciebie dać śmiano na pastwę armaty!

V

Wolność i sprawiedliwość zatwierdzają — działa.
Dla nędznej szmaty kraju, dla muru kawała,
Narody wytępiają krwawą dziesięciną...
Ależ oni niewinni! — Cóż z tego? Niech giną!
Stój! Życie ludzkie — iskra u Boga poczęta!
Nie waż go się dotykać! Człowiek to rzecz święta!

Kiedy pod wyziewami krwi i prochu bladną
Gwiazdy w łunach ognistych, wśród nieszczęść bez miary,
Stoję z duszą podobną do zatrutej czary
I patrząc pełna zgrozy na klęskę bezładną,
Wobec tej zbrodni ludów — nim zdołam ją zmierzyć —
Chciałabym być piorunem i w ziemię uderzyć!

Przynajmniej krok za krokiem, odziana żałobą,
Depcąc twoje wawrzyny w ślad pójdę za tobą
I aż do ujścia dziejów, złudzonych zwycięstwem,
Ścigać cię będę krzykiem moim i przekleństwem!
O, wojno! wojno krwawa, co płodzisz morderce,
Ja mam usta klątw pełne i pełne łez serce!

* IDEA A ŻYCIE

Wzrost miast jest punktem wyjścia dla całego rozwoju dziejowego doby obecnej.

Swoim pojawieniem się w wieku VIII i następnych miasta zwiastują nowy okres w ustroju sił wytwórczych, prowadzą bowiem do oddzielenia rzemiosła od roli, do specjalizacji i, co za tym idzie, do doskonalenia techniki przetwórczej i do zwiększenia wydajności pracy. Ewolucja odbywa się zwolna, ale w sposób ciągły... Stare, pogańskie grody i gródki, rządzące się zasadami gminnymi, stawały się siedzibą dworów biskupich lub fundacji klasztornych i zamieniały się zwolna w miasta; z obozów i folwarków książąt powstawały osiedla tego samego charakteru; wzrastały w zamożność sioła przy zbiegu dróg naturalnych... Z napływem pierwiastków obcych, obok gminy pierwotnej, rolnej, z biegiem czasu przekształcającej się w organizację zarządu municypalnego, tworzą się nowe więzie, w początku mające charakter prywatny: cechy i gildie.

Na tym szczeblu rozwoju ujawnia się antagonizm pomiędzy rodami dawnych rolników, dzisiaj zaś patrycjatem, który piastuje władzę w mieście na mocy swego pochodzenia, a plebejuszami, tj. rzemieślnikami, którzy wyszli spośród żywiołu napływowego.

Przywileje polityczne rodów starodawnych były w mieście zjawiskiem normalnym dopóty, póki źródłem utrzymania mieszkańców była uprawa gruntów i rolnicy przeważali liczebnie. Ale gdy cechy stały się ogniskiem zamożności, stosunki przybierają inny charakter. Co uchodziło ongi za rzecz naturalną, teraz w oczach rzemieślnika zaczyna zakrawać na krzywdę... Antagonizm potężnieje. Głucha nienawiść zaczyna fermentować wśród plebejuszów, a z biegiem czasu sarkanie przechodzi w sformułowane aspiracje polityczne: równych praw w mieście. W epoce wojen krzyżowych walki między patrycjatem a plebejuszami są w miastach nad Renem zjawiskiem codziennym...

Rozwój rzemiosł i handlu oddziałał nie tylko na to, kto ma wodzić rej w zarządzie i w ogóle w grodzie, ale także na całą atmosferę społeczną, unoszącą się nad miastem. Nasze obecne instytucje i poglądy prawne, nawet niektóre zasady moralne i upodobania artystyczne, zrodziły się w poszczególnych miastach pod wpływem rozwoju nowych sił wytwórczych...

Ustawa gminna nie sprzyjała swobodnej grze potęg wytwórczych, które z biegiem czasu powstają wśród murów miasta. A zatem wzrostowi handlu i przemysłu towarzyszy przewrót w całej prawnej organizacji dawnej marki: ze stowarzyszenia germańskiego, opartego na zasadzie urodzenia, przekształca się w wolną korpo-

rację. Ktoś staje się jej członkiem nie przez posiadanie kawałka gruntu na jej terytorium, ale w następstwie zapisania swojej osoby w urzędzie municypalnym.

I o wolności handlu nie było ongi mowy. Gminy (powolności) rolne ani zamek dostojników feudalnych nie znały jej, tak samo jak nie tolerowały wolności osobistej. Każdy musiał być czyimś lennikiem, jeśli nie chciał mieć wszystkich przeciw sobie.

Targi, powstające w grodach, są retortą, w której tworzą się stosunki, oparte na pojęciu o swobodzie czynów; sprzedawca, względnie nabywca, muszą mieć zupełną niezależność ruchów, o ile rzecz dotyczy towaru...

Kupcy, jako ludzie wolni, podlegali od początku sądom publicznym, cesarskim. Z biegiem czasu z konieczności rozszerzono ów przywilej na całe miasto podczas targów i jarmarków, aż w końcu te sądy stały się instytucją trwałą, powszechną. Gród składał się pierwotnie z przedstawicieli wielu grup, z których każda posiadała odmienną jurysdykcję: wolni członkowie gminy byli pod prawem krajowym, rzemieślnicy pod dworskim, lennicy pod dworskim i służbowym, wszyscy zaś pod marchialnym. Sąd cesarski, stworzony na użytek kupców podczas targów, ruguje powoli współzawodniczące z nim instytucje sądowe i staje się punktem wyjścia dla dalszych zmian, które powstają w miarę potrzeby. Zniesienie władzy pańskiej oraz konieczność utrzymania porządku w mieście dostarczają pobudki do wydawania przepisów karnych i prowadzą do udoskonalenia dochodzenia; dawne sądy boże wychodzą ze zwyczaju, i ukazują się instytucje, będące zarodkiem sądownictwa dzisiejszego.

Swoboda, panująca na rynku, nie mogła rozwijać się, spętana zwyczajami marki i poddaństwa, spólności rodowej i ograniczeń działalności osobistej. Wraz z rozrostem wymiany i rozpowszechnienia się „prawa kupieckiego" nastaje więc uruchomienie gruntów, tym bardziej zaś towarów; ukazuje się wolność osobista, odmienna od arystokratycznej, stanowiącej zasadniczy rys gminowładztwa rodowego; dziewczęta są dopuszczone do udziału w spadkach; zamiast dawnej odrębności zjawia się wspólność majątkowa małżonków... Doskonali się prawo osobiste i nowe rodzinne, rzeczowe i spadkowe...

W gwarze miejskim rodzą się poglądy etyczne.

Rozwój handlu stwarza zasady moralne, których dawny barbarzyniec nie znał — solidarność gminna potępiała nawet umiarkowaną „lichwę" (pożyczkę na procent), kościół zaś ją wprost wyklinał. Pod działaniem nowych stosunków lichwa staje się instytucją powszechną, „moralną". Natomiast rozbój, owo źródło dochodów i honorów podczas barbarzyństwa, zostaje po raz pierwszy

w dziejach napiętnowany, jak na to zasługuje. Żywioły miejskie przeciwstawiają mu dorobek zdobyty własną pracą i oszczędnością. Wraz z tym liczykrupstwo i inne przywary uchodzić zaczynają w grodach za zalety. Kampania w obronie utylitaryzmu indywidualnego, samopomocy, oszczędności, którą prowadzą apostołowie mieszczaństwa dzisiejszego, wzięła swój początek wśród stosunków i widnokręgów zrodzonych w grodzie średniowiecznym.

Nawet upodobania, rozrywki i zapatrywania estetyczne nie wyłamują się spod tej zależności od stosunków rzeczowych. Wstręt względem rozrywek fizycznych, względem zabawy konnej i orężnej, kult kunsztu książkowego są dziełem miasta. Że epoka Odrodzenia przypada na czasy największego rozkwitu rzeczypospolitych włoskich, jest to rzeczą nie przypadku, ale konieczności dziejowej.

Rozpatrując miasto nie uwzględnialiśmy jego stosunków do reszty kraju. Zajmowały nas jedynie przebiegi, odbywające się wewnątrz murów grodzkich, antagonizmy tam powstające i idee, które się były zrodziły w atmosferze życia miejskiego.

Ale miasta były tylko oczkami w sieci powstającego organizmu wymiennego, który rozpościerał się zwolna nad całym krajem... Poskromienie panów feudalnych i ujęcie ich w karby przez władzę monarszą, rozpędzenie zbrojnych orszaków, rezydujących na zamkach prywatnych, zagarnięcie przez państwo obowiązków policji i wymiaru sprawiedliwości: takimi są dążenia, do których sformułowania dochodzi mieszczaństwo średniowieczne pod żywiołowym parciem rozwoju. I grody nie tylko wygłaszają takie idee, lecz nadto stwarzają pierwiastki potrzebne do wcielania w życie tych aspiracji i oddają je na usługi tej potędze społecznej, która, mając takie same zamiary, rozporządza na korzyść swoją kazuistyką prawa feudalnego, to jest działa na podstawie jego zasad. Jest to władza monarsza... Miasta są przodującym posterunkiem wzrostu władzy centralnej — jako ogniska sił wytwórczych, pociągających za sobą zwartość wysiłków na przestrzeni całego kraju, jako źródło środków materialnych, potrzebnych do ukrócenia samowoli feudalnej. Po społu z monarchami spiskują przeciw baronom, dostarczają prawników, którzy swoją kazuistyką usuwają przeszkody, tkwiące w zwyczaju ówczesnym, dostarczają królowi pieniędzy stwarzają nową organizację wojskową — piechotę, przy czym odkrycie prochu podkopuje ostatecznie znaczenie rycerstwa jako potęgi zbrojnej.

Centralizacja nowoczesna i dzisiejsze czynności państwa to tylko ostatnie ogniwo pasma rozwojowego, które poczęło się w wiekach VIII—XII wyodrębnieniem rzemiosła od rolnictwa, ześrodkowaniem rzemiosła w miastach i zadzierzgnięciem wymiany pomiędzy ogniskami takiej produkcji przetwórczej.

Prawidłowa a ożywiona wymiana pomiędzy miastami wymaga dla swego istnienia dróg komunikacyjnych, bezpieczeństwa publicznego (tj. zaprowadzenia sądów państwowych i administracji państwowej), poskromienia panków.

Sieć taka wymienna z biegiem czasu, z nikłej pajęczyny, jaką była początkowo, stała się więzią, co podziałem pracy skuła w jedną całość kraj cały. A kiedy dosięgła takiego poziomu, rozsadzać zaczęła ustrój, który stworzyła była w okresie swoim poprzednim, a więc ów ancien régime z jego ustawą cechową, monopolami handlowymi i państwem absolutnym.

To, co we Francji w wieku XV było urządzeniem natury postępowej, w wieku XVIII odgrywa rolę pęt dalszego rozwoju.

Wszędzie, w miastach i na roli, powstają teraz pod wpływem nowego ukształtowania stosunków wytwórczych nowe hasła, będące w rozdźwięku z ustawą prawno polityczną „starego porządku rzeczy", natomiast w zgodzie z nowymi potrzebami życia.

Są to hasła wolności osobistej i równości wobec prawa, wolnej konkurencji, jednej niepodzielnej Francji, wszechwładztwa ludu.

Zaczynamy od hasła wolnej konkurencji.

Dopóki rynek odbiorczy ograniczał się do paru, kilkunastu tysięcy mieszczan, warsztat z konieczności musiał posiadać nieznaczne rozmiary. Z nastaniem wymiany pomiędzy miastami zjawiła się możliwość połączenia większej liczby wytwórców w tym samym warsztacie. Ustawa cechowa, bardzo skrupulatnie oddzielająca nawzajem fachy (tak, iż powóz np., zanim go wykończono, odbywał wędrówkę od cechu do cechu), ograniczająca liczbę czeladników w pojedynczym zakładzie oraz ilość wykonanego produktu sprawiła, że nowe siły wytwórcze, odpowiadające wymaganiom rozszerzonego rynku, a więc powołujące do istnienia liczniejszy zespół pracowników w tym samym warsztacie i wprowadzające pomiędzy nimi podział pracy, rozwinęły się w takiej Anglii nawet nie w miastach, tylko w ustroniach wiejskich, i że nie rzemieślnik, lecz kupiec był szermierzem i sprawcą postępu wytwórczego. Cechy z organizacji postępowej, jaką były w epoce wieków XII—XVI, są w wieku XVIII tylko źródłem wyzysku z jednej strony siły roboczej uczniów i czeladników, z drugiej zaś spożywców. Ustawa bowiem cechowa przeszkadza wzrostowi podziału pracy w zakładzie oraz, jak każdy monopol, nakłada ceny wygórowane, jakkolwiek istnieje już w kraju możliwość cen innych — niższych, typom ruchliwym, ale biednym zagradza drogę do dobrobytu i samodzielności. Im zaś rozleglejsze wymiana stwarza rynki i tym samym umożliwia wyższe wzory produkcji, tym cechy stają się instytucją coraz bardziej przestarzałą, szukającą ocalenia w skrupulatniejszym przestrzeganiu

prawa wyłącznej produkcji, w troskliwszym ograniczeniu liczby czeladników i majstrów. Rzecznicy nowych sił wytwórczych żądają wolności procederu, tj. zniesienia ograniczeń cechowych. Z tym samym hasłem występują czeladnicy, którym przepisy cechowe zamknęły dostęp do stanowiska majstra i założenia własnego warsztatu, i przybysze majstrowie. Spożywcy, zachęceni możliwością otrzymywania tańszych produktów, w imię własnego interesu domagają się urzeczywistnienia zasad wolnej konkurencji. Na widowni dziejowej rozbrzmiewa więc nowe hasło: *Laissez faire, laissez passer...*

Jednocześnie ukazuje się inne hasło, wolności osobistej i równości wszystkich wobec prawa.

Wzrost bezpieczeństwa publicznego i gęstości zaludnienia, zastąpienie gospodarstwa naturalnego pieniężnym itd. doprowadziły do ukazania się niezadowolenia i w zakresie stosunków wiejskich... We wczesnym średniowieczu poddaństwo było instytucją racjonalną, tj. uchodziło zarówno wśród panów, jak i włościan za rzecz moralną, prawowitą i konieczną, nawet pożyteczną... Włościanin ówczesny uważał stosunek poddańczy za wymianę wzajemną usług pomiędzy sobą a panem: pan bronił jego mienia od sąsiednich panów, opryszków i zwierząt drapieżnych, w ogóle zaś spełniał obowiązki rządu miejscowego, kmieć zaś w zamian za to dawał mu czynsze i naturalia, odrabiał pańszczyznę... Dopiero gdy bezpieczeństwo publiczne powstało pod osłoną wzrastającej władzy państwowej, gdy jako niepotrzebne rozpędzono drużyny zamkowe, spełniające ongi, pomimo wszystko, obowiązki stróżów mienia i życia ludności wieśniaczej, gdy wymiar sprawiedliwości przeszedł w ręce państwa, dopiero wówczas nastają czasy odzierające powagę pana nawet z pozorów racjonalności. W tym okresie przywileje pańskie stają się dla włościanina czymś niezrozumiałym. Może uchodzą jeszcze za nietykalne dzięki powadze religii i zwyczaju, ale bynajmniej nie za pożyteczne. (Pan np. zajmował się ongi tępieniem szkodników: wilków, lisów itd., ku pożytkowi rolnika. Lecz gdy zwierzyny zabrakło, zaczął ją ochraniać i zachowywać na czas obław, chociażby niszczyła zasiewy kmiecia.) Prawo pańskie, z pożytecznego niegdyś dla włościan, dialektyką rozwoju społecznego wyrasta na rzecz szkodliwą, opłacaną sowicie przez ludność włościańską robociznami, czynszami i daninami i wywołującą systematycznie narzekania i sarkania wśród włościan, którzy nadaremnie w otoczeniu swoim poszukują jakiegokolwiek pożytku z istnienia tak drogiej ornamentacji, jaką jest pan. To, co było ongi moralne, staje się krzyczącym bezprawiem, bo z pożytecznej instytucji zamieniło się w źródło tylko wyzysku — nic więcej i zagradza drogę wzrostowi dobrobytu uciemiężonych. Wzrost produkcji rolnej na sprzedaż i w ogóle gospodarstwa pieniężnego jedynie pogarsza te stosunki, bo wzmaga łapczywość pana na krwawicę poddańczą.

„Krzywdy" codzienne — bierzmy ów wyraz w cudzysłowie, ażeby zaakcentować historyczny charakter tej kategorii społecznej — budzą głuche rozdrażnienie. Nienawiść, niejasna z początku, zaczyna podkopywać szacunek tradycyjny względem pana, aż w końcu staje się tonem zasadniczym w duszy poddanego. Dochodzi do wybuchów rozpaczy, bezmyślnych, jak ów instynkt, tajonych, dzikich jak ponurą była nędza i ciemnota. Aż „myśl krytyczna" rozjaśnia te mroki i ujmuje bezwiedne a żywiołowe parcie ludu w hasło członkowane, poczucie krzywdy w jasną ideę — wolności osobistej, własności wytworów swojej pracy, zniesienia przywilejów pańskich.

W końcu tworzy się nowoczesne poczucie solidarności narodowej.

Rozwój bowiem wymiany, w miarę tego, jak ta coraz silniej wiąże różne dzielnice kraju, niesie zagładę zarówno dawnej autonomii miast, jako też i niezależności prowincji. Za gospodarstwa naturalnego, gdy każda wioska i tym bardziej każda okolica pokrywała potrzeby swoje własnymi produktami, panowała na niewielkiej względnie przestrzeni wielka rozmaitość zwyczajów... Każda prowincja, a nawet miasto rządziło się odmiennym prawem, miało inne wagi, miary, zaprowadzało własne myta i cła. Póki wir wymiany był słaby, były to rzeczy obojętne nawet dla tych, którzy znajdowali się w obrębie jego działania, tym bardziej zaś dla pozostałej ludności kraju, żyjącej według zasad gospodarstwa naturalnego. Ale ta puścizna zaczyna krępować rozwój handlu, gdy ten spotężniał. Ilość towaru wzrosła, dobrobyt coraz szerszych warstw narodu zaczął zależeć od łatwości transportów i w ogóle obrotów, a tymczasem niejednostajność zwyczajów i urządzeń pętała wolną grę wyrachowań osobistych. Poszkodowane interesy wyłaniają aspirację odpowiednią — ujednostajnienia kraju. Idea ta, jako samorzutne a masowe parcie społeczne, zjawia się wśród warstw, których dobrobyt najczęściej doznawał uszczerbku skutkiem rozczłonkowania kraju — wśród kupców, przemysłowców oraz przedstawicieli profesji wyzwolonych. Są to odłamy ludności stykające się z różnymi dzielnicami przyszłego narodu, wolne dzięki temu od rysów prowincjonalnych i uczuciowo najbardziej wyrobione dla zrozumienia, przyjęcia i ugruntowania idei jednej, niepodzielnej narodowości, w której obrębie prawa i urządzenia, wagi i monety winny być jednakowo ukształtowane...

Walka dwóch światów — jednego, owianego atmosferą nowych wzorów i nowych idei, i drugiego, w imię swoich interesów zapatrzonego w stary porządek rzeczy, jest koniecznością dziejową. I walka ta będzie się stawała coraz namiętniejszą w miarę tego, im podłoże materialne, z którego wyrosły nowe idee, będzie coraz bardziej potężniało.

I znów jest to koniecznością dziejową, iż podłoże to potężnieje.

Tam bowiem, w głębi życia narodowego, istnieje czynnik przewrotowy, pchający wymianę na coraz szersze tory, choć sam jest jej dziełem. Jest to podział pracy wewnątrz warsztatu... Rękodzielnia oraz zrodzona z niej fabryka jest sprężyną nieustającego przewrotu, który z czasem ma połączyć dalekie lądy sieciami drutów telegraficznych, udoskonalić środki przewozowe, stworzyć wzory olbrzymiej centralizacji przemysłowej na podstawie narodowej i nawet międzynarodowej, ujarzmić przyrodę, nauce oddać ster rządów nad umysłami.

Nowe metody produkcji (i wymiany) powołały do życia warstwę społeczną różną od dotychczas istniejących żywiołów miejskich — burżuazję nowoczesną. Należał do niej przemysłowiec, narzekający na reglamentację cechową, kupiec, który rozwoził po kraju towar rękodzielniczy, rentier, żyjący z procentów i pragnący taniego zaspokojenia swoich potrzeb, przedstawiciel wolnych zawodów, związany z nimi pochodzeniem i żywo odczuwający swoje upośledzone stanowisko. Warstwa ta zogniskowała w swoim ręku bogactwa materialne i wiedzę. Parta poczuciem własnej siły i godności, podniecona interesem codziennym, wrażliwa umysłowo na wszystkie bóle otoczenia swojego, na wszystkie zagadnienia życia, wysnuwa nowe aspiracje dziejowe: wolności osobistej, równości wszystkich wobec prawa, kontroli „ludu" nad rządem, jednej niepodzielnej Francji. A te hasła i idee staną się kiedyś zasadami deklaracji praw człowieka, tj. człowieka oderwanego, ale należącego do określonej epoki i przebywającego w określonym otoczeniu. W jej dążeniach streszczają się aspiracje wszelkich kół narodu, prócz szlachty i cechów. Idea, powstawszy w taki materialny sposób i będąca słowem, które dobrano stosownie do potrzeb życia, krzewi się po kraju, nieci świadomość wśród przedstawicieli upośledzonych interesów i organizuje potężną armię dziejową — stanu trzeciego...

Wszystkie zmiany, nastające w toku dziejów Europy zachodniej w dziedzinie stosunków materialnych, układają się w pasmo postępowe. Wszędzie tam w przejściu od pracy przetwórczej rolnika-barbarzyńcy do wyodrębnionego rzemiosła, od rynku miejscowego do wymiany wzajemnej wytworów pomiędzy dalszymi okolicami, od pracy poddańczej na roli do wolnej, od trybu rzemieślniczego produkcji do podziału pracy wewnątrz warsztatu, od niego zaś do maszyny mamy przed sobą w kolejnym powiązaniu ogniwa wytwórczości coraz doskonalsze, wysnuwające się rodowodowo pod wpływem żywiołowego parcia świadomości, skierowanej wyłącznie na cele prywatne. To doskonalenie polega na tym, iż ten sam wysiłek wynagradza pracę większą ilością produktów lub tą samą, ale wyższej jakości.

Postęp ów odbywał się samorzutnie a żywiołowo i nawet nie mógł odbywać się inaczej. Siły przyrody oraz bogactwa pozostawione przez ubiegłe pokolenia znajdują się w ręku niezależnych nawzajem osób jako własność prywatna i mogą być wprawione w ruch wytwórczy tylko dzięki inicjatywie prywatnej. Doskonalenie metod produkcji i w ogóle zmiany w ukształtowaniu stosunków rzeczowych ukazują się jako wynik usiłowań i zabiegów poszczególnych osób, które usiłują wyzyskać na rzecz własną korzyści swojej inicjatywy. Wewnątrz społeczeństwa tworzy się zwolna nowe jądro stosunków materialnych, wraz z nimi zaś nowe potrzeby i aspiracje, idee i poglądy...

Powtarza się to stale w ciągu wieków. Nowe potęgi wytwórcze powstają zawsze tylko w pewnych punktach terytorium społecznego, ogarniają tylko określoną grupę osób i przekształcają warunki materialne jej bytu, wydzielają ją spośród reszty narodu, narzucają jej nowe potrzeby, później zaś nowe idee, w końcu przeciwstawiają ją istniejącej ustawie prawno-politycznej, która krępuje jej rozwój. Nowa warstwa zwycięża, jeśli jej podłoże rzeczowe dosięgnie mocy należytej, i wciela w życie swoje idee w rozciągłości bezwzględnej lub osłabionej kompromisami, odpowiednio do podścieliska historycznego, na którym rzecz się odbywa.

...Życie w zmiennym potoku przynosi jakby wciąż nowe zadanie społeczne oraz — co jest wypowiedzeniem tego samego faktu innymi słowy — organizuje siły społeczne do podjęcia tych zadań i wyłania środki do ich rozwiązania. Ale nie trzeba posądzać dziejów o fatalizm, innymi słowy o to, że rozwiązanie nastąpić może bez udziału człowieka, który tylko z założonymi rękoma będzie się przypatrywał wypadkom. Istota ludzka bowiem, stworzywszy zadanie w sposób żywiołowy, może je rozwiązać tylko w drodze działalności świadomej. Może się zdarzyć, że mimo istnienia warunków, nie będzie umiała sformułować go należycie lub, skutkiem braku dzielności organizacyjnej i polotu krytycznego, nie będzie miała sił do urzeczywistnienia swoich aspiracji.

Jeszcze jedno.

Nowe idee zjawiają się w społeczeństwie jako owoc zmienności warunków materialnych bytu, w powyższym zaś przebiegu, zaczerpniętym z dziejów Europy zachodniej — postępowego rozwoju sił wytwórczych. Są na widowni dziejowej zjawiskiem wtórnym, tj. pochodnym: stosunki rzeczowe, rozwijające się bez udziału świadomości, skierowanej do celów społecznych, wprzódy muszą ustalić się, zanim ukaże się ich sformułowanie w nowej idei społecznej. „Materia" panuje nad „myślą", jest czynnikiem przewrotowym, ściślej: dającym hasło przewrotom. Naturalnie, zaznaczając taką wtórność idei, bynajmniej nie chcemy wykierować jej na czynnik

dziejowy bez wpływów. Jedynie analizujemy jej rodowody. Owszem, rola jej w życiu społecznym jest olbrzymia: owładnąwszy umysł, stwarza ona armię, która wcieli nowe ideały w życie. Nasze pojmowanie powiada tylko, że idea nie rodzi się, jak Minerwa z głowy Jowisza bez zapłodzenia ze strony życia, że nie jest tworem pozbawionym miąższu historycznego ani sprężyną, która każdego bez wyboru może zrobić swoim szermierzem i wyznawcą. Twierdzi ono, że ukazanie się jakiegoś hasła po raz pierwszy w dziejach, jest zależne od miejsca i czasu, że skład armii, walczącej w imię jego urzeczywistnienia, nie jest dowolny, ale powstał z osób, które w swoim otoczeniu codziennym znalazły pobudkę do zrozumienia idei, w interesie zaś własnym — podnietę do działania; przyznając sformułowanemu słowu wielką doniosłość zaprzeczamy tylko, ażeby stało ponad warunkami historycznymi, i ażeby „bohater", „mąż wielki", „umysł krytyczny" zdołali nadać stosunkom społecznym dowolną formę. Istnieją inicjatorzy i mistrzowie, wodzowie i kierownicy, obecność ich przyspiesza lub opóźnia rozwiązanie wysnutego przez życie zadania, ale nie stwarza go...

Chodziło nam tylko o rodowód idei społecznej, przy tym takiej, która nie przebrzmiała bez śladu, ale wyryła zawartość swoją na przebiegu dziejów...

(Skrót wg Bogdana Suchodolskiego: Ideały kultury a prądy społeczne)

ADAM ASNYK

NAD GŁĘBIAMI

I

Zmiennego bytu falo ty ruchliwa!
Co nas unosisz po wszechświata toni,
Daremnie wzrok nasz za tym wszystkim goni,
Co pod powierzchnią twoją się ukrywa.

Choć nam w błyskawic blasku się odsłoni
Głąb niezmierzona, ciemna i straszliwa,
Trudno nam dotrzeć spojrzeniami do niej
Przez pianę zjawisk, co po wierzchu pływa.

Próżno nad głębią schyleni, jej ciemnic
Obraz chwytamy, gdy ruchliwa fala,
Zamiast odwiecznych istnienia tajemnic,

Własną twarz naszą ukazuje z dala,
I nasz widnokrąg cały się powleka
Rzuconym w wszechświat odbiciem człowieka.

II

Wieczne ciemności! bezdenne otchłanie!
Co otaczacie tajemnicą życie,
Próżno was ciągle pytamy — milczycie
Głuche na nasze skargi i wołanie.

Próżna ciekawość! Próżne serca bicie!
Nikt odpowiedzi od was nie dostanie,
Chyba nam echo odrzuci pytanie,
Przywtórzy myśli, tkwiącej w piersiach skrycie.

I nieraz biedni za prawdę bierzemy
Ten głuchy oddźwięk własnej wyobraźni,
Sądząc, że słyszym tajny głos natury,

Lecz wszechświat stoi, tak jak przedtem niemy,
I otchłań póty milczeniem nas drażni,
Póki nas w mrok swój nie wciągnie ponury.

IV

Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną,
Bez przerwy ciągną w dal przestrzeni siną
I horyzontu granicę widoczną
Raz przekroczywszy gdzieś bez śladu giną,

Tak pokolenia w nieskończoność mroczną
Nieprzerwanymi łańcuchami płyną,
Nie wiedząc nawet skąd wyszły... gdzie spoczną...
Ani nad jaką wznoszą się krainą.

W chmurach i burzy lub w blasku promieni,
Podległe skrytych instynktów wskazówce,
Lecą badając wąski szlak przestrzeni,

Który im znaczą poprzedników hufce,
I tę przelotną grę świateł i cieni,
Jaką w tej krótkiej zobaczą wędrówce.

X

Tylko treść, która z całością się splata,
To, czego żaden trąd nie upośledza,
Czego nie dzieli egoizmu miedza,
Od wszystkich ogniw duchowych wszechświata;

To, co chwilowy zakres swój wyprzedza
I z życiem przyszłych pokoleń się brata;
Tylko ta wspólnych źródeł samowiedza,
Co z gwiazd na gwiazdy wzlatuje skrzydlata

I wszędzie siebie znajduje świadomie,
W minionych zmierzchach, w mgle przyszłych stu[illegible],
W sercach współbraci i światów ogromie,

I w każdym życiem drgającym atomie —
Ta jedna z czasu wyplątana sieci,
Nieśmiertelnością poza grób uleci.

XIII

Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko,
W dawnej postaci, jednak nie umiera:
Odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko
I świeże kształty dla siebie przybiera.

Zmarłych pokoleń idealna sfera
W żywej ludzkości wieczne ma siedlisko,
A grób proroka, mędrca, bohatera
Jasnych żywotów staje się kołyską.

Zawsze z tej samej życiodajnej strugi
Czerpiemy napój, co pragnienie gasi;
Żywi nas zasób pracy plemion długiej,

Ich miłość, sława istnienie nam krasi;
A z naszych czynów i z naszej zasługi
Korzystać będą znów następcy nasi.

XIV

Po wszystkie czasy, przez obszar daleki,
Wiążą się istnień kolejne ogniwa;
Fala pokoleń, wielkie ludów rzeki,
Wszystko w ocean jeden wspólny spływa,

Który zasila coraz dalsze wieki...
Z rzeszą zniknionych ciągnie rzesza żywa,
Jako strumienie mieszają swe ścieki
I jedna drugą ze sobą porywa.

Wszyscy są wspólną związani macierzą:
Umarli, żywi, wielcy czy też mali,
Wrogowie, bracia, dalecy lub bliscy,

Jedni od drugich nawzajem zależą,
Odpowiadając, na wypadków fali,
Każdy za wszystkich, za każdego wszyscy!

XV

Na dzieci spada win ojcowskich brzemię,
Lud pokutuje za grzechy zbrodniarza:
Każde gwałcące sprawiedliwość plemię
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza.

Zło, jak zaraza, w lot obiega ziemię,
A czy na sobie łachman ma nędzarza,
Czy też w książęcym kroczy dyjademie,
Zatrutym tchnieniem cały świat zaraża.

Wobec praw, światem rządzących wszechwładnie,
Nikt ujść nie może złych wpływów przekleństwa;
Każdemu w dziale część winy przypadnie

Nawet za cudze zbrodnie i szaleństwa;
Bo każdy nosi w duszy swojej na dnie
Odpowiedzialność wspólną człowieczeństwa.

XVII

Co złość zniweczy, co występek zburzy,
To miłość z gruzów na powrót postawi.
Upadłą ludzkość z krwi i łez kałuży,
Gdzie ją spychają występni i krwawi,

Czyn poświęcenia podniesie i zbawi.
Myśl, która dobru powszechnemu służy,
Wiedzie za sobą duchów zastęp duży,
Jak łańcuch w niebo lecących żurawi.

Cichych poświęceń nieustanna praca
I serc szlachetnych dobroć promienista
Grzesznej spuścizny przekleństwo odwraca.

I coraz głębiej przenikając, czysta,
Powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
Z którego każdy czerpie i korzysta.

XXII

Naprzód i wyżej! Przez ból i męczarnie,
Przez ciemną otchłań, przez śmierci podwoje,
Przez szereg istnień padających marnie
Lecą bez końca tłoczące się roje.

Senne zarodki, tkwiące w swoim ziarnie,
Głazy zakute w bezwładności zbroje
Czekają tęsknie na zbudzenie swoje,
Gdy je dreszcz życia przejmie i ogarnie.

Naprzód i wyżej! W gwiaździste ogromy
Prąd życia coraz przyspieszonym ruchem
Porywa z głębi bezwiedne atomy...

I w to, co było i martwem, i głuchem,
Rzuca blask myśli, sam siebie świadomy,
Przenika światłem i wypełnia duchem.

XXX

Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły!
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie;
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,
Na którym teraz robactwo się pasie,

Musisz zatracić niejeden rys miły,
I wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie...
Lecz nową postać wziąć i nowe siły,
I nowych wieków oręż mieć w zapasie.

Grób cię nie odda światu widmem bladem,
Z mogilnej pleśni i zgnilizny plamą,
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem...

Lecz przystrojona w królewski dyjadem,
Musisz do życia wkroczyć życia bramą:
Musisz być inną, choć będziesz tą samą!

VIII

BOLESŁAW CZERWIEŃSKI

CZERWONY SZTANDAR

Krew naszą długo leją katy,
Wciąż płyną ludu gorzkie łzy,
Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami będziem wtedy my!
Sędziami będziem wtedy my!

Dalej więc, dalej więc, wznieśmy śpiew,
Nasz sztandar płynie ponad trony,
Niesie on zemsty grom, ludu gniew,
Przyszłości rzucając siew.
A kolor jego jest czerwony,
Bo na nim robotników krew!
Bo na nim robotników krew!

Choć stare łotry, nocy dzieci
Nawiązać chcą starganą nić,
Co złe, to w gruzy się rozleci!
Co dobre, wiecznie będzie żyć!
Co dobre, wiecznie będzie żyć!

Dalej więc, dalej więc itd.

Porządek stary już się wali,
Żywotem dla nas jego zgon,
Będziemy wspólnie pracowali,
I wspólnym będzie pracy plon!
I wspólnym będzie pracy plon!

Dalej więc, dalej więc itd.

Hej, razem, bracia, do szeregu!
Z jednaką myślą, z dłonią w dłoń!
Któż zdoła wstrzymać strumień w biegu,
Czyż jest na świecie taka broń!
Czyż jest na świecie taka broń!

Dalej więc, dalej więc itd.

Precz z tyranami, precz z zdziercami,
Niech zginie stary, podły świat,
My nowe życie stworzym sami
I nowy zaprowadzim ład!
I nowy zaprowadzim ład!

Dalej więc, dalej więc itd.

KAROL MARKS

CO TO JEST PŁACA ROBOCZA?

Gdyby zapytano robotników: „Ile wynosi wasza płaca robocza?", to jeden odpowiedziałby: „Dostaję od swego burżua jedną markę za dzień roboczy" — drugi: „Dostaję dwie marki", itd. Zależnie od różnych gałęzi pracy, w których są oni zatrudnieni, podaliby różne sumy pieniędzy, jakie dostają od swego każdorazowego burżua za określony czas pracy lub za wykonanie określonej pracy, np. za utkanie łokcia płótna lub za złożenie arkusza druku. Mimo różnic w ich odpowiedziach, zgodni oni będą wszyscy w jednym punkcie: płaca robocza jest sumą pieniędzy, którą kapitalista płaci za określony czas pracy lub za wykonanie określonej pracy.

Kapitalista, zdawałoby się, kupuje więc ich pracę za pieniądze. Za pieniądze sprzedają mu oni swą pracę. Jest to jednak tylko pozór. To, co w rzeczywistości sprzedają oni za pieniądze kapitaliście, jest to ich siła robocza. Tę siłę roboczą kupuje kapitalista na przeciąg jednego dnia, tygodnia, miesiąca itd. I po nabyciu jej zużywa ją każąc robotnikom pracować w ciągu umówionego czasu. Za tę samą sumę pieniędzy, za jaką kapitalista kupił ich siłę roboczą, np. za dwie marki, mógłby on kupić 2 funty cukru lub określoną ilość jakiegokolwiek innego towaru. Dwie marki, za które kupił on dwa funty cukru, są ceną dwóch funtów cukru. Dwie marki, za które kupił zużytkowanie siły roboczej w ciągu dwunastu godzin, są ceną dwunastogodzinnej pracy. Siła robocza jest zatem towarem, zupełnie tak, jak cukier. Pierwszy mierzy się za pomocą zegara, drugi za pomocą wagi.

Swój towar, siłę roboczą, robotnicy wymieniają na towar kapitalisty, na pieniądze, przy czym wymiana ta odbywa się w pewnym określonym stosunku. Tyle a tyle pieniędzy za użytkowanie siły roboczej w ciągu takiego a takiego czasu. Za dwunastogodzinne tkanie — dwie marki. A czy dwie marki nie reprezentują wszystkich innych towarów, które mogę kupić za dwie marki? W rzeczywistości więc robotnik zamienił swój towar — siłę roboczą na inne towary wszelkiego rodzaju, przy czym zamienił ją w określonym stosunku. Dając mu dwie marki kapitalista dał mu tyle to mięsa, tyle to odzienia, tyle to drzewa, światła itd. w zamian za jego dzień roboczy. Dwie marki wyrażają zatem stosunek, w jakim siła robocza wymienia się na inne towary, wyrażają wartość wymienną jego siły roboczej. Wartość wymienna towaru, oszacowana w pieniądzu, nazywa się właśnie jego ceną. Płaca robocza jest więc tylko szczególną nazwą ceny siły roboczej, którą zazwyczaj nazywa się ceną pracy, ceną tego osobliwego towaru, który nie może istnieć inaczej, jak w ludzkim ciele i krwi.

Weźmy jakiegokolwiek robotnika, np. tkacza. Kapitalista dostarcza mu warsztatu tkackiego i przędzy. Tkacz siada do pracy i z przędzy powstaje płótno. Kapitalista bierze płótno i sprzedaje je, np. za dwadzieścia marek. Otóż, czy płaca robocza tkacza jest udziałem w płótnie, w dwudziestu markach, w wytworze jego pracy? Bynajmniej. Na długo przed sprzedaniem płótna, a może na długo przed całkowitym utkaniem go, tkacz dostał płacę roboczą. Kapitalista wypłaca więc tę płacę nie z pieniędzy, które uzyskał za płótno, lecz z pieniędzy, które ma w zapasie. Towary, otrzymane przez tkacza w zamian za jego towar, siłę roboczą, tak samo nie są jego produktem, jak nie jest nim warsztat tkacki i przędza, dostarczona mu przez burżua. Możliwe, że burżua nie znalazł w ogóle nabywcy dla swego płótna. Możliwe, że ze sprzedaży płótna nie wróciła mu się nawet płaca robocza. Możliwe, że sprzedał je bardzo korzystnie w porównaniu z płacą za tkanie. Tkacza to wszystko zupełnie nie obchodzi. Kapitalista kupuje za część swego posiadanego majątku, swego kapitału, siłę roboczą tkacza, zupełnie tak samo, jak za drugą część swego majątku zakupił surowiec — przędzę i narzędzie pracy — warsztat tkacki. Poczyniwszy te zakupy — wśród tych zakupów jest również siła robocza, potrzebna do wytworzenia płótna — kapitalista produkuje już tylko za pomocą należących do niego surowców i narzędzi pracy. Do tych ostatnich należy oczywiście nasz poczciwy tkacz, któremu z produktu lub z ceny produktu równie mało przypada w udziale, jak i warsztatowi tkackiemu.

Płaca robocza nie jest więc udziałem robotnika w wytworzonym przezeń towarze. Płaca robocza jest częścią już istniejącego towaru, za którą kapitalista kupuje określoną sumę produkcyjnej siły roboczej.

Siła robocza więc jest towarem, który jego posiadacz, robotnik najemny, sprzedaje kapitałowi. Po co on go sprzedaje? Aby żyć.

Lecz działalność siły roboczej, praca, jest życiową działalnością robotnika, przejawem jego własnego życia. I tę działalność życiową sprzedaje on drugiemu, aby zapewnić sobie potrzebne środki do życia. Jego działalność życiowa jest więc dla niego tylko środkiem, umożliwiającym mu istnienie. Pracuje on, aby żyć. On sam nie zalicza pracy do swego życia, jest ona raczej ofiarą z jego życia, jest ona towarem sprzedanym drugiemu. Dlatego też produkt jego działalności nie stanowi celu jego działalności. Nie wytwarza on dla siebie samego ani jedwabiu, który tka, ani złota, które wydobywa w kopalni, ani pałacu, który buduje. To, co wytwarza on dla siebie samego, jest to płaca robocza; a jedwab, złoto, pałace przemieniają się dla niego w określoną ilość środków do życia, być może w bawełniany kaftan, miedzianą monetę i mieszkanie w suterenie. A robotnik, który w ciągu dwunastu godzin tka, przędzie, wierci, toczy, buduje, kopie, tłucze kamienie, dźwiga itp., czyż może on uważać to dwunastogodzinne tkanie, przędzenie, świdrowanie, toczenie, budowanie, kopanie, tłuczenie kamieni za przejaw swego życia? Za życie? Na odwrót. Życie się zaczyna dla niego tam, gdzie czynność ta ustaje. Za stołem, na ławie szynkowej, w łóżku. Natomiast dwunastogodzinna praca nie ma dla niego sensu jako tkanie, przędzenie, wiercenie itd., lecz jako zarobkowanie, które pozwala mu korzystać ze stołu, ławy szynkowej, łóżka. Gdyby jedwabnik prządł po to, żeby móc spędzać swą egzystencję jako gąsienica, to byłby prawdziwym robotnikiem najemnym. Siła robocza nie zawsze bywa towarem. Praca nie zawsze była pracą najemną, tj. pracą wolną. Niewolnik nie sprzedawał swej siły roboczej posiadaczowi niewolników, tak jak wół nie sprzedaje chłopu swej pracy. Niewolnik wraz ze swą siłą roboczą jest raz na zawsze sprzedany swemu właścicielowi. Jest on towarem, który z rąk jednego właściciela może przejść do rąk drugiego. On sam jest towarem, lecz siła robocza nie jest jego towarem. Chłop pańszczyźniany sprzedaje tylko część swej siły roboczej. Nie on dostaje płacę od właściciela ziemi, lecz raczej właściciel ziemi dostaje od niego daninę.

Chłop pańszczyźniany należy do ziemi i panu tej ziemi przynosi plony. Wolny robotnik natomiast sprzedaje siebie samego, i to po kawałku. Sprzedaje na licytacji 8, 10, 12, 15 godzin swego życia, sprzedaje jeden dzień po drugim temu, kto zapłaci więcej, posiadaczowi surowców, narzędzi pracy i środków do życia, tj. kapitaliście. Robotnik nie należy do właściciela ani do ziemi, ale 8, 10, 12, 15 godzin jego codziennego życia należą do tego, kto je kupi. Robotnik porzuca, kiedy zechce, kapitalistę, któremu się wynajął, a kapitalista odprawia, kiedy mu się podoba, robotnika, skoro nie

ciągnie już z niego żadnej lub też zamierzonej korzyści. Lecz robotnik, którego jedynym źródłem dochodu jest sprzedaż siły roboczej, nie może porzucić całej klasy nabywców, tj. klasy kapitalistów, nie skazując się na głodową śmierć. Nie należy on do tego lub innego kapitalisty, lecz do klasy kapitalistów, przy czym sam musi dbać o to, aby znaleźć nabywcę spośród klasy kapitalistów.

(Praca najemna i kapitał)

STEFAN ŻEROMSKI

DOKTOR PIOTR

W pokoju pana Dominika Cedzyny ciemno i cicho, choć stary jegomość nie śpi. Oparłszy się plecami o poduszki, wpół leżąc na łóżku, zatopiony jest w dziwacznych myślach, do niebywałego ogromu podniesionych przez ciszę nocną. A noc jest cicha śmiertelnie. Światło księżycowe, przestrzeliwszy grubą warstwę szronu, co zabielił szyby niby wapno, stoi na powierzchniach starych gratów, dwu ścian, części sufitu i podłogi, bez ruchu, jakby z zimna skostniało, takie samo zapewne, jakie oświetlać musi tej nocy kłody gnijące na dnie wód, przywalonych lodem. W szparze szerokiego zapiecka odzywa się czasami świerszcz, w kącie pokoju kołacze głucho stary zegar szafkowy, ostatni zabytek świetności minionej. Śpiew świerszcza i tępy szczęk wahadła sprawiają panu Dominikowi niejaką, trudną do określenia ulgę. Gdyby nie te dwa litościwe szmery, rozszarpałyby mu chyba serce tłok i burza uczuć i odebrała rozum nawałnica ponurych myśli. Gdy z mrocznych kątów izby wychylać się poczną zmory bojaźni, gdy w sercu żarzyć się poczyna żal bezsilny i łzy okrutnego bólu palą powieki — świerszcz szepce głośniej, zupełnie jak gdyby wyraźnymi słowami, sylaba za sylabą, mówił: „Wzywaj Go w dzień utrapienia, a wyrwie cię i czcić Go będziesz". To dziwne zdanie, ta rada czy modlitwa utajona w szmerze robaczka nocy, jest jednym i ostatnim punktem podparcia dla wytrąconych ze zwyczajnej kolei myśli samotnika.

Kilkakrotnie zapalał świecę sądząc, że go światło uspokoi. Daremnie. Skoro zapalił zapałkę, rzucał mu się w oczy list syna i przypominał, jakie i gdzie ta męka ma źródło. Teraz ogarnęła go chęć zajrzenia raz jeszcze nieszczęściu w same ślepie, dźwignęła z niemocy ducha biedna odwaga smutnych aż do śmierci: zapuścić

sondę w głąb rany, do cna ją wymacać, przekonać się naocznie i nieomylnie, że jest niewyleczalną — no, i niech tam wszystko jasne pioruny spalą!

Nałożył okulary, odsunął list za płomień i powoli, półgłosem czytać zaczął:

„Mój drogi ojcze! Ze wszystkich moich złotych marzeń diabeł sobie fidybus skręcił i zapalił cygaro. Chełpiłem się niegdyś z moich zdolności do matematyki, oczy mi na wierzch wyłaziły z pychy, gdy koleżkowie kpinkowali, że ja już w łonie matki, w randze sześciomiesięcznego embriona, oczekując chwili wydostania się na ten padół rachunku różniczkowego, rozwiązywałem z nudów algebraiczne zadanie o gończach. Teraz przeklinam i te niby zdolności, i te głupie rachunki. Gdybym był pasał krowy na wygonie albo i same wieprzki... Ale co to pomoże w bawełnę obwijać! Awantura ma taki deseń: Mniej więcej przed trzema tygodniami prosi mnie do siebie profesor i daje do czytania list niejakiego Jonatana Mundsleya, chemika, byłego profesora w jednym z uniwersytetów angielskich. Ten pan, porzuciwszy katedrę, urządził sobie laboratorium prywatne i prosi naszego starego o wskazanie mu najzdolniejszego spomiędzy asystentów naszej politechniki, chce bowiem takiemu facetowi powierzyć kierownictwo owej budy. Obiecuje płacić dwieście franków miesięcznie, dać mieszkanie, wszelkie materiały, jakich chemiczna dusza zapragnie, opał i inne przyjemności — no i prawie zupełną swobodę w pracy. Gdym list przesylabizował, profesor odebrał go z rąk moich, złożył starannie, schował do szuflady, skrzywił się swoim zwyczajem i, podawszy mi flegmatycznie kończynę, usiadł przy biurku i wetknął nos w papiery. Patrzałem z podziwieniem na jego łysy czerep, gdy ten stary niedojda mruknął:

„Tam już napisałem... Należy wziąć ciepłe spodnie i wełniane skarpetki. Wiadoma rzecz... mgły... Miasto Hull nad morzem. Jeżeli brak panu pieniędzy, mogę pożyczyć trzysta franków bez procentu na trzy miesiące. Tak... Tylko na trzy miesiące".

Zrobiło mi się haniebnie głupio. Azaliż ja — myślałem — wziąwszy na się postać najzdolniejszego między chemiki, pojadę w wełnianych skarpetkach nad morze, aż do miasta Hull? Czemu nie kogo innego spotyka takie zaszczytne wyróżnienie, taki los szczęśliwy. Bo to los! W pracowni Mundsleya, bez troski o jutrzejszy obiad i dzisiejsze przyszczypki u butów, można pracować nie tylko nad zdobyciem nowych wiadomości, ale i zaspokajać wydłubane ze swego mózgu hipotezy.

Ta chemia ma swoje psie figle... skoro człowiek raz w to błoto wlezie, jeżeli jeszcze powącha spraw niezbadanych a wiecznie nęcących, porywa go taka przecież szewska pasja odnajdywania

nowych „prądzeń", że gotów i o wełnianych skarpetkach mniej dokładnie pamiętać. A zresztą, mój Tatku, zobaczyć Anglię, jej prawdziwie wielki przemysł, te cuda cywilizacji, te kolosalne skoki ludzkiego geniuszu! Zabrałem się i wyszedłem. Posiedziałem na Stapferwegu, a stamtąd, gnany niepokojem, ruszyłem na miasto. Zamiast wszakże zwołać publikę do Kropfa, gdzie tradycja surowa nakazuje oblewać wyjątkowe zdarzenia, puściłem się nad jezioro. Nie pamiętam, kiedy znalazłem się na drodze prowadzącej do Westmünster. Ciemna mgła kąpała się we wzburzonych falach; rude, obdarte, poszczerbione zbocza i upłazy gór wynurzały się z niej kiedy niekiedy niby fantastyczne wyspy; żałośnie krakały mewy szybując nad samą wodą.

A więc jadę — myślałem — do ziemi Angielczyków ziemnowodnych, jadę nad morze, nad dalekie i nieznane morze... Nadaremnie tak długo łudziłem się nadzieją, że pojadę w inne strony, że po ośmiu latach inny zobaczę krajobraz. Nadaremnie w ciągu ostatnich trzech lat wysłałem tyle strzeliście rekomendowanych afektów do Łodzi, Zgierza i tym podobnych Pabianic, upraszając o posadę z płacą czterdzieści, trzydzieści, niech tam zresztą wszyscy diabli — dwadzieścia pięć rubli miesięcznie. Na próżno wynosiłem pod niebiosa moje talenty chemiczne, cytowałem moje patenty, obiecywałem wynaleźć nowe środki drukowania perkalików. Skompromitowałem się tylko w oczach własnych i świętej nauki. Tam Żydkowie i Niemczykowie wszystko już wynaleźli, zatkali wszystkie miejsca i popychają wielki przemysł. Rozwiały się marzenia o tym, że ci, mój Staruszku, *mit Pompe u Parade* zabiorę do siebie, że posprawiamy sobie nowe przyodziewki (samych butów kozłowych z cholewkami po dwie pary na chłopa), że naznosimy tytoniu, cukru, herbaty, kiełbas — licho wie zresztą czego — że się będziemy wieczorami, jak ostatnie szewcy, zgrywać w domino i świętej pamięci Kozików wspominać.... Kozików!... Czy też ojciec pamięta ten wydmuch piaszczysty za naszym ogrodem, obrośnięty krzywymi sosnami i niską, szorstką trawą. Sam nie wiem, czemu tak lubię myśleć o tej dziurze. Pamiętam raz... Po długich i tęgich mrozach, po ciężkiej zimie, nastał pierwszy dzień ciepły, prawie upalny. Był to jeden z pierwszych dni marca. Około południa obnażył się niespodzianie ze śniegu szczyt owego wzgórza, wylazł ze skorupy i zaczerniał nad białym widnokręgiem jak garb potworny. Stałem wtedy w oknie i wydawałem lekcje korepetytorowi — pamięta go Tatko? Kudłatemu Kawicy. Coś mnie kolnęło. Nie wiem, jakim sposobem wykręciłem się z lekcji, wypadłem na dwór, zwołałem psy folwarczne i — co koń wyskoczy — przez zagony, przez pastwisko, bez czapki!... Do dziś dnia mam w sercu tę chwilę, te uczucia, jakby to było wczoraj. Po igłach, gałęziach, po korze odziemków sosnowych spływały ogromne, brudne krople, ciężko kapały na zaspy i dziurawiły je na

wskroś; każdy skostniały badyl, każdy pniak, kamień, każde drzewo, każdy przedmiot wciągał w siebie, połykał wszystkimi porami promienie słońca i stawał się w mgnieniu oka ogniskiem ciepła. Dokoła drzew, krzaków, suchych łodyg chwastu, dokoła kamieni i kołków, drążyły się w oczach ogromne jamy i ukazywał w nich jasny, wiotki piasek. Każde jego ziarenko nasycone ciepłem, zdawało się żarzyć i płonąć, szerzyło na zmarzniętych towarzyszów radosny ogień. Ziarnka piasku parzyły śnieg ze spodu, drzewa i krzaki chlustały nań ciepłymi kroplami, przekopy i zagony zdawały się dźwigać zdławione grzbiety. Z dalekich pól szedł gęsty opar niby dym ciepły, zmagał się i przewalał nad równinami, a trząsł i połyskiwał nad wzgórzem.

Stado wróbli wygrzewało się na gałęziach suchej wierzby i ćwierkało jak na trwogę. Rozpuszczone, jak u indyków, ich skrzydła strzepywały z gałązek lód i osiędzielizną, dzioby kuły niecierpliwie w próchno obwieszone soplami. Zdawało mi się wtedy, że całe to stado śpiewa jedną pieśń dziwną i nigdy nie słyszaną, przejmującą do szpiku kości. I popłynęły nareszcie pierwsze wody wiosenne, bujne, nagłe, gwałtowne jak łzy niespodziewanego szczęścia. Sączyły się bruzdami, żłobiły sobie głębokie łożyska w posiniałych kolejach, wyrzniętych przez sanice, lały się po wierzchu śniegowej skorupy, z cicha, radośnie szemrząc. W naszym strumieniu woda wezbrała, powstały wiry huczące, odsłaniały się brzegi i spływała po nich, jak ropa, żółta, rzadka, rozmoczona glina. Pnie brzóz nadwodnych zanurzyły się w rzekę i ssały korzeniami tę wodę żywą...

Wpadłem w szał: spuszczałem strumyki, ułatwiałem spadek wodospadom, kopałem kanały, stawiałem tamy... Cieszyłem się z głębi serca, że skostniałym badylom ciepło, że już żaden wróbel nie zmarznie i wyciągałem po raz pierwszy w życiu dziecięce ramiona do tej wielkiej niewiadomej...

Czy też to miejsce jest tam jeszcze? Pytanie godne głowy i pióra doktora Piotra Cedzyny — nieprawdaż? Ach, tak!... Człowiek, któremu odejmą strzaskaną rękę, czuje ciągły ból w próżni równającej się długości ręki. Często budzę się po twardym śnie z tym nieujętym bólem w próżni. Oto przyjdzie nowa wiosna... Zobaczę ją we mgłach, przydymionych sadzą fabryczną — a zarówno tam, jak tutaj, będę niósł w sobie kły upiora, głęboko zapuszczone w duszę. I tak zawsze, bez końca...

Zapomniałem, o czym właściwie chciałem ci pisać, mój Stary, mój Drogi Stary... Jestem sam na świecie i ciebie mam tylko, jak drugą połowę siebie, jak oddartą i niezmiernie daleko uwięzioną połowę duszy. Nie gniewaj się, że piszę rzeczy nieciekawe — piszę, jakby do siebie... Gdym tedy stał nad brzegiem jeziora, było mi strasznie podle. Wielkie, przezroczyste, jasnozielone fale biegły z jakiegoś nieznanego miejsca, schowanego we mgle, trzepały się

u brzegu, pękały, rozpłatane przez ostrza kamieni, a każda, ześlizgując się w głębinę, zdało się, wzdychała: — Jesteś jak mrówka wychowana w lesie, gdy ją na środek stawu wiatr zaniesie..."

Pan Dominik odrzuca list ze złością i podparłszy brodę pięściami siedzi nasrożony jak kania. Nie męczą go już teraz fantastyczne, bezprzedmiotowe rojenia, ale za to skupiają się i kojarzą logiczne, niemniej przeto bolesne myśli. Czemu taki koniec wzięło życie? Gdzie przyczyna tych wszystkich wypadków? Dlaczego jedyny syn nie słucha ani próśb, ani zaklęć, ani przedstawień, ani rozkazów i zamiast się uniewinniać, pisze rzeczy sentymentalne i niezrozumiałe? Dlaczego nie powraca? Gdyby się tylko zjawił, przy protekcji, podeptawszy nieco, znalazłoby się dla niego doskonałe miejsce, posażną pannę... Dlaczego? — To rzecz jasna. Człowiek nie może żyć i pracować — odpowiada sobie pan Cedzyna — jeśli ktoś nie żył przed nim i nie pracował dla niego. Ten ktoś — któż to jest? — Ojciec. Przez urodzenie ojciec nie daje jeszcze synowi życia — daje tylko obietnicę życia, wychowanie poczyna je, a dziedzictwo dopiero zapewnia i uzupełnia. Tu jest źródło konieczności dziedziczenia w rodzie ludzkim. Ono jest węzłem, co spaja pokolenia umierające z rodzącymi się, wypływa z tego, co jest niezbędne we względzie potrzeby ciała, tworzy i uwiecznia rodzinę. Rodzina bez dziedzictwa jest stosunkiem niedorzecznym, bolesnym, jest męczarnią narzuconą człowiekowi przez Opatrzność... Taką klątwę my na sobie dźwigamy z Piotrusiem! Dziedzictwo dopiero jest znamieniem człowieczeństwa; przez nie, razem z owocami pracy, pozostawia synowi ojciec owoce swych wrażeń, pojęć, rozwagi, odkryć i domysłów, wszystkiego słowem, co mógł nabyć długoletnim doświadczeniem. Syn od punktu, w którym się ojciec zatrzymał, postępuje i sięga dalej na drodze bogactwa oraz inteligencji — a tym porządkiem praca przechodzi z rąk do rąk, gromadzi się, rozwija, opiera jedna na drugiej i formuje piedestał, na którym wznosi się coraz wyżej... cywilizacja. W rosnącym postępie społeczeństwa, jeżeli kto raz utraci wątek, już go nie podobna pochwycić — i jeżeli ojciec był niedołężnym w pracy, syn cierpi za winy niepopełnione, a nieszczęście z krwią się przekazuje. Dziedzictwo trzyma dzieci w obrębie progów domowych i zaspokaja ostatnią, i dlatego może tak wielką i gwałtowną, namiętność starości, namiętność obcowania z potomkami...

— Ja to wszystko straciłem — szepce pan Dominik ściskając sobie skronie — i straciłem na zawsze! Głos starości woła na mnie o ducha i krew, a ja jestem jak rzeźbiarz, od którego żądają w terminie skończonego posągu, podczas gdy on, prócz idealnego w duszy obrazu, nie ma ani garści gliny. Osiemnastoletniego wyrostka puściłem bez grosza, samopas za granicę... cóż dziwnego, że wyrósł na obcego mym wyobrażeniom, na nowożytnego człowieka. Czym-

że ja go przyciągnę? Miłością, śmiertelną tęsknotą? Co nas łączy? Nazwisko chyba, które on po nowomodnemu lekceważy sobie. To nowoczesny człowiek: uczyni ze sobą, co chce i jak chce. Za moich czasów syn był w ręku ojca, słuchał go i czcił, nie miał prawa opuścić pod groźbą surowego wyroku naszych ludzi, nie zasmucił ojca, bo wisiało nad nim twarde i mocne, niepisane prawo. Teraz ono rozwiązane leży, odkąd zniknął nasz obyczaj szlachecki. Synowie nasi odeszli w świat... Szukają nowej prawdy. Spieszą po twardym gościńcu, w skwarze i znużeniu — zdaje im się bowiem, że na najbliższym wzgórzu tej drogi leży nie tylko ten skarb, ale i szczęście ducha. Nas wstrzymywała w biegu mądrość rodzicielska pokazując, że ta nadzieja czczym jest mamidłem. Ich nic nie wstrzyma, toteż w duszach ich nie ma „miękkich włókien" czułości. Słabych i nikczemnych mieli ojców! Ach wielka nasza wina!... ale czyż nasza tylko? My, członkowie szeroko rozpostartej rodziny szlacheckiej, stanowiliśmy odrębną społeczność, byliśmy cennym zbożem, rosnącym na pocie tłumu jak na nawozie. Czy nie tworzyliśmy postępu, nie piastowali cywilizacji, nie rozwijali prawidłowo naszej myśli? Duch czasu wsiał nas w gminy, jakby ktoś ćwierć dorodnego żyta wsiał w pole nędznej wyki. Rozbiliśmy się na jednostki, zwyrodnieli i zgoła znikli. Cóż z tego, że ja przystosowałem się, że poszedłem na służbę do pierwszego lepszego bękarta losu, do syna jakiegoś przekupnia, do parweniusza, który rozmaitymi protekcjami, stypendiami z lewej ręki, pokornym całowaniem mankietów doszedł do dyplomu inżyniera i możności zgarniania pieniędzy na torach kolejowych. Co z tego, że wyłamałem ze stawów moje harde myślenie z takim trudem, jakbym wyłamywał kości — że nauczyłem się zginać kark i pracować jak ostatni z moich niegdyś parobków. Co z tego, że zdławiwszy w sobie obrzydzenie, wsiadłem na karuzelę pojęć nowoczesnych? Nie przestałem być sobą i nie zostałem mieszczuchem. Co stokroć gorsza, nie rozumiem mego syna, nigdy nie będę jego przyjacielem, nigdy nie będę godnym jego współczucia, jego, co jest jedyną na całym szerokim świecie istotą z mojej krwi. I nic się już nie zdarzy w tym plugawym życiu, oprócz jednego wypadku godnego uwagi, oprócz śmierci. Piotruś pojedzie do Anglii. To znaczy, że gdy ja będę umierał, gdy ktoś litościwy wezwie go telegraficznie, on, przy największym pośpiechu, może przyjechać nazajutrz po moim pogrzebie. Po mojej nędznej śmierci... Nigdy już nie pomacam rękami jego włosów ani nie usłyszę głosu. Zapomniałem, jak on mówi, i nie mogę sobie przypomnieć tego dźwięku. Ciągle się w czyjejś mowie odzywa, krąży mi koło uszu i ciągle zwodzi. Nigdy nie obejmę oczami jego postaci, jego męskich, szerokich ramion. Taki był wtedy chuderlawy, mizerny tego wieczora, kiedym go odprowadzał nie przeczuwając, że na zawsze. Do końca będę nasłuchiwał, wyczekiwał jak głupi, do ostatniej minuty życia — nadaremnie!...

W tej chwili stary szlachcic czuje znowu w sobie mroźne powiewy obawy.

— On zupełnie o mnie zapomni — szepce zbielałymi wargami. — Ani razu o mnie nie pomyśli... Ale co... nie pomyśli! On dobrowolnie, umyślnie zerwie, przestanie pisywać, zaprze się. Ogarną mu umysł jakieś wyobrażenia. — Co to jest ojcostwo? — zada sobie pytanie jakiś filozof nowoczesny. Nagromadzi dowodów i wykaże z oczywistością nieodpartą, że ojcostwo to złudzenie uczuć, to pewien nawyk moralny, który dla takich przyczyn wytrzebić by z dusz warto. Może nawet... o, rozpaczy!... będzie miał słuszność! Nie będzie wcale podły ani głupi, tylko wykształcony. Nikt go za to nie skarze, nikt nawet nie obwini. Jakież jest to prawo?

— Trzeba się ratować — mówi starzec załamując ręce.

Zimny pot spływa mu z czoła, serce uderza twardym, głośnym, powolnym tętnem. Za pomocą siły ducha, mocnej a cienkiej, jakiejś jaźni nagle skupionej i wyłamanej z głębi istoty moralnej stara się zbadać swój rozum, podniecić go, wyćwiczyć i wyostrzyć do walki z sofizmatami syna.

— Ja cię nauczę, błaźnie, ja ci wytłumaczę, ja cię przekonam, że łżesz — mówi głuchym i twardym głosem.

Bolesny, natężony, bezowocny paroksyzm poznania podpowiada mu zdania cudaczne i plugawe. Starzec chwyta je i pomija, szuka innych i znowu tropi coraz nikczemniejsze myśli synowskie, zupełnie tak, jak ogar tropi ślady podczas zamieci zimowej, gdy wicher je zwiewa.

— Chemia ma swoje psie figle... Dlatego leci na koniec świata. Cóż znaczy stary jakiś dziad, któremu los odbierał po kolei wszystko, aż do ostatniej szmaty odzieży i ostatniego złudzenia!

Wszystkimi potęgami ojcowskiego serca klnie tę naukę. Jakaś umiejętność, coś, czego nie można ani zniweczyć, ani nawet nienawidzieć — porwało chłopca jak śmierć.

— Oddaj mi go! — skamle — wypożycz na jeden dzień cały. Więcej nie chcę.

Gdzieś nieskończenie daleko, w zaspach śniegu rozlega się świst przelatującego pociągu, nagły, przeszywający jak wołanie na pomoc. Potem nastaje znowu cisza głęboka. Blask księżycowego światła zwolna się posuwa do łóżka starca, który zwinąwszy się w kłębek miota się, płacze w tym ciemnym kącie i mruczy monotonną, żałosną swoją skargę.

*

Pan Teodor Bijakowski (vel Bijak) ukończył Instytut Komunikacji w tym właśnie okresie, kiedy nieuniknione warunki ekonomiczne roztworzyły pugilares szepcąc: zagrabiaj, o piękny posągu!...

Nie tylko tendencja pisarstwa śpiewała kantatę na cześć inżyniera i oświetlała jego postać ogniami bengalskimi, ale jeszcze, na domiar szczęścia, panny mądre, które, jak wiadomo, najsprytniej umieją zwąchać ducha czasu, zapaliły znienacka lampy swe, odsłoniły łona łabędzie i, czuwając, oczekiwały na kołatanie pozytywnego oblubieńca. Pan Teodor zrozumiał jeszcze dokładniej, niż panny, ducha czasu i postanowił ożenić się odpowiednio. Bywał tedy w domu bogatego, warszawskiego powroźnika, urocza córka którego pielęgnowała w pamięci swej kilka pierwszych stronic z dzieła Buckle'a.

Pan Teodor urodził się w mieście Warszawie, bodaj że na Krochmalnej ulicy, gdzie ojciec jego skromny, ubogi, ale chędogi szynczek narożny utrzymywał. W latach pacholęcych bawił się mały Teoś wraz z czeredą młodszego i starszego rodzeństwa, że tak powiem, w rynsztoku, wybijał szyby sąsiadom starozakonnym i byłby był pozostał na zawsze w stanie barbarzyństwa, gdyby nie jedna szczęśliwa okoliczność. Oto właścicielka domostwa, gdzie mieścił się instytut starego Bijaka, dama draśnięta zębem czasu i przedziwnie uczuciowa, dostała pewnego pięknego poranka celny strzał z procy, naciągniętej ręką małego urwipołcia. Kamień utkwił w samym koku i przyprawił podstarzałą pannę o kilka dni płaczu i cierpień moralnych.

Rozkazała przywołać do siebie Teosia, patrzała nań długo, a wreszcie rzekła:

— Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę.

Chłopiec był nadspodziewanie zdolny, w lot naukę w sztubie pochłonął i w sekrecie nawet przed zapijającym wszelkie sprawy Bijakiem - seniorem, zdał do gimnazjum. I tam szedł z nagrodami z klasy do klasy, cicho a skromnie. Opiekunce na imieniny pisał laurki, całował kolana i ręce, a po jej śmierci, musiał, sierotka, wiele nacałować mankietów, nim wreszcie zdał do Szkoły Głównej, ukończył wydział matematyczny i przy pomocy tych i tamtych dostał się do Instytutu.

Wszystko to gładko mu poszło. Nie będę opiewał wszystkich jego promocji, przygód, zachodów, zmian sposobu myślenia i miejsc pobytu — dość będzie, gdy powiem, że budował wiele pięknych mostów, dużych dworców, wielką ilość dystansów — i że, nim upłynęło lat dziesięć od ukończenia studiów, posąg nasz miał już kilkadziesiąt tysięcy rubli, ulokowanych bezpiecznie i świetnie. Do posad przy eksploatacji nie kwapił się, wolał zawsze trzymać z grubymi rybami i asystować przy budowie dróg nowych. Pieniądze płynęły do jego kieszeni szerokim łożyskiem: drobna niejednokrotnie usługa, słówko zgrabnie pochlebne, dzielna, niewinna na pozór operacyjka, co więcej szczęśliwy dowcip warszawski —

napełniały na nowo pugilares, po jakiejś inżynierskiej bachanalijce chwilowo opróżniony. Nie mówię o rezultatach głęboko i systematycznie obmyślanych planów działania.

...Wśród uśmiechów losu, inżynier nasz, wyznać trzeba, nie zapomniał o ubogiej familii z Krochmalnej ulicy. Prowadzał za sobą kohortę nie tylko braci, ale bliższych i dalszych kuzynów, z których każdy już po tygodniu operowania pod okiem dobroczyńcy, chadzał przy zegarku i rujnował się na modne haweloki. Na południowym wybrzeżu Krymu pan Teodor posiadał wytworną willę, gdzie królowała pięknie rozkwitła małżonka jego, czytelniczka niegdyś Buckle'ów i Millów. Cudownie tam było: w oddali falowało morze, dokoła rozścielał się las podzwrotnikowych krzewów. Zdawało się, że pan Teodor do końca życia będzie sobie w wolnych chwilach odczytywał to tę, to inną stronicę Dekamerona (mądre bowiem księgi rozdał na pamiątkę niewyspanym telegrafistom), gdy oto niespodziewanie zjawił się demon niepokoju...

...Wówczas właśnie poczęto w kraju budować drogę żelazną — pan Teodor zjawił się i wziął nowy dystans.

Zaraz po objęciu robót przyplątał się do niego zrujnowany do szczętu obywatel ziemski Dominik Cedzyna. Początkowo pełnił na budującym się plancie obowiązki zwyczajnego dozorcy, poganiacza ludzkiego stada, później zaskarbił sobie względy naszego przedsiębiorcy i do innych celów użytym został. Dziwnie wyglądał ten elegancki, wyprostowany starzec z miną pana, zawsze wytwornie i czysto ubrany, gładko uczesany i wygolony starannie, kiedy stał w pobliżu drzwi wobec Bijakowskiego, rozwalonego niedbale na krześle. Inżynier doświadczał demokratycznej rozkoszy trzymając przy drzwiach byłego panka i mówiąc do niego: „pójdziesz mi, mój panie Cedzyna" albo: „tyle już razy mówiłem panu Cedzynie"... albo: „trzeba być mazgajem, panie ten... panie Cedzyna".

Twarz starego szlachcica nie zdradzała nigdy ani śladu gniewu, ani cienia obrazy, ani pozoru zdziwienia. Czasami tylko po zaciętych jego wargach przemykał się tęskny, dziecięcy niemal uśmiech, czasami wypłowiałe oczy zachodziły mgłą jeszcze bardziej i zdawały się nic nie widzieć. Nigdy wszakże żrące go upokorzenie nie wynurzało się na zewnątrz w dźwięku mowy lub treści słów.

— To także honor, to punkt honoru — myślał. — Ja i tak pan, a tyś i tak cham!...

Miał ten człowiek jedną tylko pociechę i nadzieję. Skoro nadchodził wieczór, gdy robotnicy, zlani do suchej nitki potem, rzucali łopaty i, zjadłszy strawę, padali w sen kamienny, gdy panowie inżynierowie zasiadali do winta — Cedzyna szedł wzdłuż plantu do sąsiedniego miasteczka.

Głowa jego podnosiła się wtedy dumnie, oczy nabierały blasku, usta szeptały: „Piotruś... och, Piotruś!"

Pukał do okna poczmistrza i ugrzecznionym, bojaźliwym głosem pytał, czy nie ma listu do Dominika Cedzyny. Jeżeli ten list upragniony otrzymał, oddalał się szybko, pieszcząc kopertę palcami i do warg ją przytulając. Potem w swej nędznej izdebce stawiał świecę przy łóżku i zaczynał czytać. Czytał powoli, w sposób dziwaczny: nie przebiegał oczyma od razu całego listu, lecz wykradał jedno, dwa zdania, kilka słów — i składał pismo. Czasami koniec listu odczytywał dopiero trzeciego dnia po otrzymaniu. Gdy mu dokuczono, gdy go obrażono, gdy czuł, że mu klatkę piersiową coś gnieść zaczyna, niby obręcz żelazna, i krew uderza do głowy — macał boczną kieszeń surduta, gdzie nosił paczkę listów od syna — i odzyskiwał spokój. W każdej chwili wytchnienia, podczas obiadu czy chwilowej przerwy w robocie, wydobywał arkusik i wmyślał się w jakieś zwyczajne zdanie. Wtedy uśmiech łagodny jak promyk słońca wypogadzał jego twarz drewnianą i skrzepłą na niej troskę niweczył.

W odległości wiorsty od dźwigającego się nasypu, stanowiącego część dystansu pana Teodora, sterczało pośród pól wyniosłe wzgórze, porośnięte jałowcem i uwieńczone szarym, zębatym grzbietem skał wapiennych. Góra należała do folwarku Zapłocie, a folwark do niejakiego pana Juliusza Polichnowicza. Inżynier zwrócił uwagę na owo wzgórze zaraz po rozpoczęciu robót, zbadał skały, znalazł w nich obfitość węglanu wapnia i niewielką ilość obcych przymieszek, dostrzegł, że zbocza i osypiska wykazują piękne pokłady wyborowej gliny — toteż w kilka dni po przyjeździe zabrał ze sobą pana Cedzynę i pojechał do folwarku Polichnowicza. Zmierzch zapadał, kiedy furmanka zbliżała się do Zapłocia. Folwark stał u samego podnóża góry. Zabudowania otaczał czworobok usychających topól. Budynki były w stanie opłakanym; waliła się w gruzy stara gorzelnia i wyciągała ku niebu obdarte z poszycia krokwie jak kościotrupie piszczele, nachylały się ku ziemi dachy stodół; tu i ówdzie sterczały żerdzie rozwalonych płotów. Kamienista i urozmaicona zatrważającymi wyrwami droga mijała pewien rodzaj bramy i prowadziła przed dwór. Ogromny, czarny dach domostwa zjeżdżał ze ścian w tył i jednym swoim krańcem dosięgał prawie ziemi.

Kiedy wasąg naszych przedsiębiorców zatrzymał się przed gankiem, w dwu oknach błyszczało światło. Jakaś figura zjawiła się we drzwiach.

— Czy to ty, Szulim? — zapytał głośno stojący na progu.

— Nie, to nie Szulim — odpowiedział Bijakowski. — Czy dziedzic jest w domu?

— Któż tam, u diabła?

— Czy dziedzic tutejszy jest w domu?

— Dziedzic?

— Można się z nim widzieć?

Osoba znikła i jednocześnie prawie światło w oknach zgasło. Wędrowcy nasi wstąpili na ganek, lecz znaleźli drzwi zamknięte. Bijakowski zastukał.

Żadnej odpowiedzi.

— Dziwna rzecz — zauważył pan Dominik.

Inżynier zeszedł z ganku i zajrzał za węgieł dworu szukając innego wejścia. Musiały tam być jakieś drzwi, biegano bowiem tamtędy, białe postacie wsunęły się do dworu i wymykały do ogrodu dźwigając jakieś ciężkie przedmioty, coś w rodzaju szaf, luster, kanap, stołów, łóżek, obrazów.

— Nadzwyczajny dom — mówił do siebie zaciekawiony do żywego *bourgeois*. — Ten obywatel wyprowadza się widocznie, czy co u licha?... o tej porze... panie Cedzyna...

Pan Dominik pokiwał melancholijnie głową i cicho westchnął.

Spomiędzy pokrzywy i kęp bzu wysunęła się wreszcie jakaś babina, podeszła do Bijakowskiego i bezczelnie zaglądała mu w oczy.

— Coście to za jedni, ludzie? Skądeście?

— Jesteśmy z kolei, chcemy rozmówić się z tutejszym panem — mówił do niej pan Cedzyna. — Mamy do pana interes. Chcemy od niego kupić kamień... Słyszysz? Jest ten wasz pan? można go widzieć?

— Pana niby — namyślała się baba.

— Naturalnie, że nie ciebie.

W tej chwili wynurzył się z mroku cień inny.

— Panowie kolejarze... aha... Proszę, bardzo proszę... Maryna, rypaj zapalić lampę. Każ wnosić na powrót. Proszę panów... Jestem Poliichnowicz.

Drzwi, prowadzące z ganku do sieni, otwarły się znowu i przybysze wprowadzeni zostali do obszernego pokoju, o bardzo niskiej powale. Stało tam mnóstwo mebli i sprzętów w szczególniejszym ugrupowaniu: komoda wysunięta była na środek pokoju, na niej leżało kilka obrazów w grubych, złoconych ramach i lustro, stół zarzucony był stosem rzemieni, uzd, batów, szpicrut, poprzęgów, torb myśliwskich z przyborami do polowania; roztwarty kufer odsłaniał wnętrze pełne brudnej bielizny i zniszczonej odzieży. Na łóżku, okrytym podartą kołdrą, spoczywało olbrzymie psisko z familii dogów, a na wygniecionej kanapie spał maleńki, kudłaty piesek. Gospodarz usiłował, za pomocą forsownego wykręcania knota, wydobyć z zakopconej lampki większy płomień. Był to młody człowiek, lat około trzydziestu, nieco przygarbiony, o twarzy wywiędłej i zużytej.

— Siadajcie panowie — mówił rzucając z krzesełka na ziemię porozmiatane części męskiego odzienia i przysuwając kulawe krzesła gościom. — U mnie tu cokolwiek po kawalersku, ale bo to z tymi sekwestratorami... Fintik! won, podlecu!...

Kudłaty piesek podniósł łeb niechętnie i, machając ogonem, zsunął się na podłogę.

— Proszę pana — zaczął Bijakowski — taki jest nasz interes. Do pana należy góra, w pobliżu której prowadzimy plant kolejowy?

— Góra? „Świńska Krzywda", no, do mnie należy... i cóż z tego?

— Pan z niej żadnego zysku nie ciągnie?

— Jakiż ja zysk mogę ciągnąć z takiej góry? Kpisz pan, czy co?

— Pastwisko pewnie — wtrącił pan Cedzyna nieśmiało.

— Jakie pastwisko! — oburzył się Polichnowicz. — Kamień na kamieniu i trochę jałowca. Miejsce ustępowe dla trznadli... chciałeś pan powiedzieć. Ale co panom znowu do tej góry? Fintik! won, podlecu!...

Piesek zeskoczył znowu z kanapy, na którą się był wdrapał.

— Krótko mówiąc — ciągnął inżynier — ja bym kupił od pana kamień z tej góry i prawo wybierania gliny. Czy zgadza się pan?

— Kamień? A prawda... Owszem, panie dobrodzieju, z największą przyjemnością.

— I co by też pan żądał?

Polichnowicz zaczął kręcić w palcach papierosa, założywszy nogę na nogę w taki sposób, że końcem spiczastego buta dotykał prawie swego nosa. Milczał. Dopiero gdy załatwił proces umieszczania papierosa w cygarnicy i otoczył się kłębami dymu, wypalił śmiało:

— Odstąpię panu za osiemset rubli.

Bijakowski zaczął się śmiać krzykliwie:

— Siedemset rubli!... Bagatela! I to za miejsce ustępowe dla trznadli... Cha!... cha!... wie pan, co...

— Nie siedemset, lecz osiemset rubli! Mów, pan, co dajesz. Nie lubię, gdy mi się kto w nos śmieje! Fintik! wyrzucę cię za drzwi, kpie jeden, i tyle u mnie zarobisz...

Piesek znowu zlazł z kanapy. Bijakowski spoważniał i nadął się.

— Pan sądzisz, że masz z frajerem do czynienia — mówił młody obywatel przymrużając lewe oko. — Ja, panie, jestem dublańczyk i wiem, co jest warta taka glinka, zmieszana z pewną ilością piasku, bynajmniej nie tłusta... Znajdź pan tu w okolicy taką glinę i taki kamień.

— Kto wie?... może i znajdę — powiedział inżynier wstając i zabierając się do wyjścia.

— No, cóż pan dajesz? niech słyszę.

— W każdym razie nie więcej nad sto rubli.

Pan Polichnowicz wpadł w głęboką zadumę.

— Dawaj pan na rękę dwieście rubli... i niech tam diabli...

— Nie, panie — rzekł zimno Bijakowski.

— No, to trudno... Dajesz pan sto pięćdziesiąt?

Inżynier śmiał się pod wąsem ironicznie.

— Spiszemy kontrakcik... co tam!... Może herbaty?

— Ajno, herbaty! — odezwał się niespodziewanie głos z sąsiedniego pokoju. — Pan będzie częstował, a ja nie wiem, skąd panu wezmę tej herbaty... Widzicie!

— Milczeć, małpo jedna! — rzekł Polichnowicz wcale nie odwracając głowy. — Może panowie kwaśnego mleka z kartoflami?

— Nie, dziękujemy. Sto rubelków płacę, piszemy umowę na dwie ręce... jest świadek, pan Cedzyna...

— Pan Cedzyna! — zawołał młody człowiek obrzucając gościa ognistym spojrzeniem — pan Cedzyna z Kozikowa?

— Tak, niegdyś...

— Cóż znowu? Już pana wyleli. Cha... cha... To dopiero pogrom na ziemiaństwo! Koleje pan dobrodziej teraz budujesz?

— Pracuję — odpowiedział skromnie pan Dominik.

— Phy!... A no, cóż robić! Piszmy ten kontrakt. Będzie przynajmniej co wsadzić jutro w zęby panom starozakonnym.

Spisano kontrakt — i późno w noc przedsiębiorcy opuścili folwark.

Po upływie kilkunastu dni u podnóża góry funkcjonowała maszyna do wyrabiania cegły, a na skałach roiły się ludzkie postacie. Inżynier zjawiał się na szczycie góry i rozciągający się u stóp jej obszar ciekawym i zamyślonym obejmował okiem.

Był koniec sierpnia, czas orki. Na polach Polichnowicza panował zupełny spokój. Bijakowski nie znał się na gospodarce rolnej, z mozołem odróżniał pszenicę od jęczmienia w kłosie, zastanawiała go wszakże szczególna predylekcja dziedzica Zapłocia do ugorów. Te długie szare smugi gruntu, pokarbowanego niegdyś przez równe zagony, sprawiały wrażenie jak cmentarz smutne. Gdzieniegdzie jednostajną barwę odłogu przerywało pólko ścierniska albo kartofli — za nimi ukazywał się on znowu i ginął aż w oddali, jednocząc się z nieużytkami i pastwiskiem.

Młody dziedzic przychodził codziennie na górę, siadał na kamieniu, ćmił papierosa za papierosem i gawędził.

— Pański folwark — mówił do niego Bijakowski pewnego razu — widziany z tej góry podobny jest do trupa.

— Dobrze, dobrze... Do trupa! Wziąłem po ojcu folwark źle prowadzony, musiałem zaprowadzić płodozmian umiejętny...

— Płodozmian? Gdzież tu i jakie płody pan zmieniasz? Tu żadnych płodów wcale nie ma.

— Jakto nie ma?

— Nie znam się na tym, ale nie widzę ani żyta...

— A bobik?

— Co za bobik?

— No i bierzesz się pan do krytykowania! Widzisz pan ten pas zielony?

— Cóż panu przyjdzie z pasa zielonego? Albo i z samego tam bobiku? Żyta nie widzę.

— A tamto ściernisko to po czymże?... po kapuście z baraniną?

— Ależ to chłop przecie dwa razy więcej żyta wysiewa!

— Bo chłop niszczy glebę, sieje żyto po życie... Chłopu pan pozwól tylko, to panu na placu Teatralnym „zimioków" nasadzi, ale wcale z tego nie wynika, abyśmy mieli, idąc za jego przykładem, wyniszczać grunta. Tu rzeczywiście trzeba trochę mieć kapitału...

Nie pamiętam dokładnie, jak się to stało, dość, że nadeszła ta chwila. Gdy pierwsze lokomotywy świstać poczęły na nowej drodze żelaznej, Juliś Polichnowicz wyjeżdżał z Zapłocia unosząc w podróżnym saku kilka setek rubli. Folwark z ugorami, pustymi stodołami i litanią długów stał się własnością inżyniera Bijakowskiego. Nowy dziedzic przez czas pewien spoglądał z rozkoszą na pochylone pola, zapadający się w ziemię dwór staroszlachecki i wysokie topole z uschniętymi szczytami. Własny majątek! Stare domostwo — marzył — przeznaczy się dla rządcy; na wzgórzu, frontem do plantu, wzniesie skromny, ale stylowy pałacyk. Zbyt długo wszakże inżynier nasz był człowiekiem praktycznym, aby idealne marzenie o pałacyku usunąć mogło na plan drugi myśl o ugorach.

— Co począć z tymi ugorami? Czyliż doprawdy osiąść w takim Zapłociu i zacząć uzbierane pieniądze „wkładać" w bruzdy, stodoły, owczarnie? Jeździć co niedziela z rodziną do wiejskiego kościółka, zasługiwać się Panu Bogu, aby żyta gradem nie wybijał i strzegł od podpalacza?

Przyjechać na lato do siedziby wiejskiej, obserwować z małżonką zachody słońca, uganiać się (wraz z tąż małżonką) po pachnących łąkach za różnobarwnymi motylami, czytać Giovanni Boccacia w cieniu lip odwiecznych, nawet kiełbie łowić na wędkę w strumieniu — słodkie to są przyjemności, ani słowa; ale siedzieć tu zimą i łypać oczami na przebiegające pociągi — to co najmniej nierozsądek.

Zupełnie inne uczucia miotały duszą pana Dominika Cedzyny. Nabycie przez inżyniera folwarku dało mu nadzieję otrzymania posady rządcy, powrotu na wieś, do roli, rozporządzania się jak tego dusza pragnie, mieszkania pod strzechą starego dworu. Toteż zasługiwanie się jego Bijakowskiemu, posłuszeństwo i niemiłosierna pilność przechodziły wszelkie granice.

— Ten pan inżynier wie dobrze — myślał stary szlachcic — co wart jest pan Cedzyna. Wie, że to nie dorobkiewicz, goniący za zyskiem; wie, że taki Cedzyna zdechnie z głodu, a nie ruszy

tego, co należy do dziedzica, że wypruje ze siebie żyły dla tego, komu służy, bo to jest człowiek posiadający nieznany dzisiejszym ludziom przymiot, śmieszny, maleńki przymiot staroszlachecki — honor.

Nie spełniły się nadzieje pana Dominika.

Zjawili się „indywidualiści" i zaproponowali inżynierowi rozparcelowanie folwarku. Po głębokim namyśle, po spłaceniu długów — Bijakowski rozsprzedał ugory, pozostawiając sobie zabudowania, skalistą górę i mały skraweczek ornego gruntu poza ogrodem.

Do niepoznania zmieniła się postać tego kawałka ziemi. Kudłaci indywidualiści zwlekli się wkrótce na pola folwarku wraz z żonami, dziećmi, sprzężajem i dobytkiem. Chude szkapy osadników ciągnęły z lasu belki i gonty, koła wozów żłobiły nowe drogi wzdłuż dzikich miedz, wybierano studnie, grodzono płoty i na gwałt wznoszono domostwa. Po całych dniach słychać było łoskot siekier. Kwaśne pastwiska, porośnięte nędzną, kędzierzawą trawką, które, historycznie rzecz biorąc, od czasów kołodzieja Piasta aż do dublańczyka Polichnowicza, służyły tylko za miejsce igrzysk i spacerów dla bystronogich zajęcy, pustki podleśne i obumarłe ugory nabrały teraz tak wielkiej wartości, że się stały częścią składową wielu istnień ludzkich. Liczne oczy wpatrywały się w te kawałki ziemi z niepokojem i serca osnuwały na nich nadzieje.

Gdy nadeszła wiosna, wyszły na ugory pługi i odwróciły skiby przerośnięte murawą.

Gdy nadeszła wiosna, u podnoża góry, noszącej w mowie gminu nazwę „Świńskiej Krzywdy", buchały wielkie kłęby dymu. Przyparty do zbocza góry olbrzymi cylinder szachtowego wapiennika wyrzucał w mokre mgły snopy iskier. Długa, nad przepaścią zawieszona ława łączyła okopcony szczyt komina z podnóżem białych turniczek. O kilkaset kroków dalej, bliżej dworu wznosił się wysmukły, czerwony komin cegielni.

Smugi dymu, płynące po przestworzu niebieskim, wywabiły z dalekich wiosek, w lasach ukrytych, gromady bezspodniowców z zapadniętymi brzuchami i wydłużonym przewodem pokarmowym wskutek bezwstydnego przeładowywania go samymi kartoflami. Przyszli i stanęli przed obliczem twórcy cywilizacji. Inżynier wejrzał okiem mędrca na ich wywiędłe kadłuby, na brudem obrosłe ich dzieci, na znikome resztki spódnic ich żon, córek, kochanek — i miłosiernie wyznaczył im miejsce w postępie ludzkości.

Ze zrzynów od belek pobudowano lokale mieszkalne w miejscach przez inżyniera wskazanych i poumieszczano tam przybyłych. Zwierzchnictwo nad całą produkcją objął pan Dominik Cedzyna, osadzony w dwu mieszkalnych izbach dworu. Inżynier opuścił dziedzictwo i udał się tam, dokąd powoływały go nieuniknione warunki ekonomiczne. Przed wyjazdem nauczył starego szlachcica,

jak się ma zapatrywać na sprawy społeczne, gdzie zakładać kopalnie gliny, jak zsypywać do pieca bryły kamienia i formować z nich sklepienia, jak poznawać po mocnym świetle wapna, że kwas węglowy wypędzony z tych brył został, jak unikać tworzenia się wilków, jak normować płomienie, wchodzące do pieca z oddzielnych ognisk — itd.

I popłynęły jednostajne, równe i bardzo długie dni rzetelnej pracy. Nadzorca wstawał o świcie, budził i prowadził do roboty czeladkę, a późna noc przypędzała go dopiero do starej rudery.

Odwieczne kamienie jęczały pod młotami, waliły się całe urwiska, niestrudzonymi uderzeniami podkopywane, zlatywały ze szczytów i kruszyły się na drobne cząstki ogromne bryły, podważone wysiłkiem ramion. Głębokie miejsca wszczepiania i oparcia żelaznych drągów, żłoby i garby, wykute dziobem ciężkiego kilofa, pozostały na zawsze, świadcząc, ile tam człowiek włożył siły mięśniowej. Za pomocą dwu dźwigni — drąga i oskarda — zepchnięto z posad całe skały, zdruzgotano kolosalne formacje. Braki narzędzia zastąpił prostacki „sposób" na przyrodę, wymysł nie mózgu, ale raczej mięśni. Codziennie o świcie zaczynało się to spotkanie siepaczy z kamiennymi masami, które, nim uległy zuchwałej napaści człowieka, mściły się na nim, czyhały na każdą chwilę jego nieuwagi, na każdy moment omdlenia. Nawisłe złomy, gdy rozpętano nieopatrznie ich utajoną energię, zlatywały niespodziewanie jak uderzenie pioruna, zabijając i kalecząc; każdy głaz, zanim wtrącony został w czeluść pieca, do ostatka ranił, gniótł, karał ciężarem, twardością, ostrą powierzchnią, parzył ogniem i dusił dymem, jak wróg śmiertelny wyżerając życie.

Bezkształtne obnażenia warstw głębokich i ułamane wierzchołki stoją na tym pobojowisku jak płyty grobowe i jak sarkofagi. Szarugi jesienne i wichry zimowe wyżłabiają na ich powierzchniach tajemnicze znaki — może imiona „rycerzy kultury", co tam polegli w boju z przyrodą.

*

Pan Dominik zasnął dopiero nad ranem. Nie był to posilny odpoczynek, lecz starcze półczuwanie. Zjadliwa, błędna boleść nie usunęła się, nie ukoiła, lecz jak topór kata, ciężka i nieujęta, wisiała w postaci snu nad znękaną jego duszą. Śniło mu się, że stoi na rozmiękłej grobli, u brzegu zamarzniętego stawu. Lód na nim był siny, kruchy i nasiąkły wodą. Nagle zobaczył idącą ku niemu z przeciwnego końca stawu postać omgloną. Widmo szło lekko się kołysząc, zgrabne zataczało koła, ledwo-ledwo dotykając stopami gładkiej powierzchni. I oto — w mgnieniu oka — zobaczył już przy brzegu, prawie u stóp swoich, falę zwijającą się ogromnym

kłębem, lód popękany na drobną krę, a na wodzie rozmoczone, jasne jak len włosy. Cudne kędziory młodzieńcze to rozbiegały się na wodzie, tworząc jakoby koronę, to lgnęły kosmykami do czoła, do jasnego czoła Piotrusia. Starzec usiłuje krzyczeć, ale gardło ma ściśnięte i zatkane jakby skrzepami zsiadłej krwi; chce rzucić się w wodę, lecz, nie wiedzieć czemu, nie może jej dosięgnąć. Zanurza wreszcie ręce po łokcie i czuje zimno, ścinające, okropne, śmiertelne zimno w żyłach, w piersiach i w sercu. Gdyby mógł wydać jęk, jeden tylko jęk, jeden okrzyk... gdyby chociaż mógł westchnąć...

Brzask zimowego świtu ubielił zamarznięte szyby. Dał się słyszeć łoskot drzwi roztwieranych w czworakach, odgłos skrzypiącego stąpania po zamarzniętym śniegu i rozmów ludzkich. Pan Cedzyna się ocknął i ciężkim wzrokiem powiódł po swej izbie. Maleńka miara pociechy spłynęła do jego duszy, gdy sobie uświadomił, że to, co widział przed chwilą, snem tylko było. Niestety! to, co czuł przed chwilą, ciągle trwało... Przedsenne zgryzoty rzuciły się nań znowu i jak mściwe, rozzłoszczone pszczoły ciąć poczęły jego serce. Obejmowała go złowieszcza niechęć do tej izby, do nadchodzącego dnia, może do siebie wreszcie.

Na pół rozebrany usiadł na łóżku i tępym, bezsilnym wzrokiem patrzał w kąt pokoju. Niedosłyszalnie dla samego siebie, zaledwie ruchem warg — wymówił:

— Żeby to już raz, do cholery... umrzeć...

Rozległo się stukanie w szybę, jakim jeden z robotników, pełniący obowiązki stróża, dawał znać nadzorcy, że idzie z naręczem drzew palić w piecu. Pan Dominik nie poruszył się. Dziki wstręt i bezmyślna nienawiść zaciskały jego pięści. Wszystka jego inteligencja osiadła na jednej trzeźwej myśli:

— Żeby to już raz...

Stukanie w szybę powtórzyło się i nieznany głos zawołał:

— Czy pan Dominik Cedzyna jest w domu?

Stary zerwał się na równe nogi. Wszystko jedno, kto to stuka — byleby ktoś obcy, jakiś człowiek nieznany, byleby nie ten parobek w cuchnącym kożuchu.

— Panie Cedzyna — zawołał ktoś zza okna.

Wszystka krew spłynęła nagle do serca starowiny. Pośpiesznie wciągnął długie buty, zarzucił na ramiona lisiurę i, pobiegłszy na palcach do okna, zaczął chuchać na szybę i wycierać w szronie okrągły otwór. Naraz przerwał tę czynność i raptownie odwrócił się do ściany. Zgiął się w pałąk, oczy mu zaszły bielmem, twarz skurczyła się boleśnie, ręce zacisnęły spazmatycznie — mówił, nie wiedząc do kogo, cichym, równym głosem:

— Jeżeli tam, za oknem jest Piotruś, to ja oddam... ty wiesz, że ja nie skłamię... ja ci oddam... — Raz jeszcze mocno, mocno ścisnął sobie ręce i spokojnie poszedł ku drzwiom. Odrzucił haczyk

i wyszedł do sieni, szeroko otworzył drzwi na ganek i stanął w progu. Na ścieżce stał młody człowiek w krótkim paltocie, z walizką podróżną w ręku. W niebieskim mroku przedświtu stary nie mógł rozpoznać rysów jego twarzy, ale tamten posunął się o krok naprzód i wymówił cicho, z niewypowiedzianą słodyczą:

— To ojciec.

Stary Cedzyna, głucho szlochając, wyciągnął ramiona i ogarnął przychodnia długą, czułą i nienasyconą pieszczotą ojcowską.

Potem zaczął go forsownie ciągnąć do pokoju bełkocząc pojedyncze sylaby wyrazów urwanych i połkniętych razem ze łzami. Wydarł mu z rąk walizkę, rozpiął palto, wystawił ze szafy na stół wszystkie butelki z octem, z naftą, z terpentyną i gorzałką, szukał kieliszka w stosie rzemieni i żelastwa, leżącym w kącie izby, i ciągle dygocącymi usty mruczał:

— Pisał... do Anglii... do miasta...

Doktor Piotr wodził za starcem załzawionymi oczyma i nie mógł przyjść do słowa. Nareszcie pan Dominik oprzytomniał.

— Zziąbłeś... co? — zapytał nakrywając oczy dłonią, jakby patrzał pod słońce.

— Nie...

— Ale! gadanie! Zaraz ja w piecu napalę.

Skoczył ku zapieckowi i począł wyrzucać suche drwa na środek pokoju. Zaczerwieniony i zziajany kładł je później do pieca.

— Niech ojciec da pokój — przerwał mu młody doktor — tu ciepło. Ja bym się, szczerze mówiąc, przespał trochę.

— Święta prawda! Niespodziewany cymbał ze mnie starego. Malec jechał tyli świat. Chodź, przyniesiemy sofę... mam jeszcze naszą zieloną sofę... wiesz... zieloną...

Weszli do sąsiedniej, zimnej izby, zawalonej przeróżnymi statkami i rupieciami, i przydźwigali do pierwszej starożytną, familijną sofę z wierzchem ruchomym.

Pan Dominik rozpostarł na niej swoją pościel i ułożył syna do snu. Sam, zabawnie wykręcając nogi, aby stąpać na palcach, wyniósł się z mieszkania. Zaledwie doktor Piotr przyłożył głowę do poduszki, zapadł w senne marzenie, jakie jest skutkiem zmęczenia się długotrwałą jazdą w wagonie. Powieki mu się kleiły, ale nie dawał mu zasnąć mocno jakby nieustający trzask dzwonków elektrycznych, utajony w nerwach. Na niezliczonej ilości stacji kolejowych dzwoneczki te biły za szybami wagonu głosem cichym, przeszywającym, natarczywym i okrutnym, aż zaczęły dzwonić w uchu bez przerwy. Zdawało mu się, że wciąż trwa jeszcze ostatnia, a trzecia z rzędu noc, spędzona w wagonie. Drzemie nie pod strzechą ojcowską, lecz w wąskim przedziale, z głową opartą o drżącą, drewnianą ścianę. Słyszy jeszcze łoskot kół bijących w końce szyn, skróconych od mrozu, gdy pociąg gnał na północ od Oderberga — i to ponure dudnienie skostniałej ziemi, co głucho stęka pod szynami: —

to ja, to ja, to ja .. — Widzi do tej chwili pod przymkniętymi powiekami nagi, rozłożysty, nieobeszły krajobraz, jak go zobaczył wtedy, przycisnąwszy twarz do szyby — tę pustynię, przywaloną zaspami. Daleko, w wielkim świetle księżyca, słabo czernieją chłopskie chałupy. Długim szeregiem stoją na widnokręgu — het — het... W piersi wędrowca bije nie jego własne męskie serce, co już złudzeń przebolało tyle, ale serce dziecka, dostępne dla dawno minionych trwóg i boleści. Jak kolka tarniny przebija je dziecięcy żal, czy wielka skrucha, i wylękłe usta szepczą:

— Panie, nie jestem godzien...

Pan Dominik powrócił na paluszkach niosąc wiązkę suchych szczap, i począł palić w piecu. Doktor, jak przez mgłę, widział jego zgarbione plecy i siwą, krótko przystrzyżoną czuprynę. Chwilami wydawało mu się, że ta droga głowa usuwa się i niknie pozostawiając po sobie tylko duży cień, przełamany na ścianie i suficie. Morzył go przerywający się, płochliwy sen... Kiedy się na pół przebudził, przed piecem siedział, jak poprzednio, starzec, twarzą zwrócony do ognia. W pobliżu drzwiczek tliła się już zaledwie kupka węgli. Wiotka, jasnofioletowa perzyna powlekła ją zwolna, a po niej migały raz za razem różowe, pełzające iskierki. Pan Dominik przypatrywał się iskrom i ruszał wąsami, jakby tym błędnym światełkom opowiadał tajemnicze historie. Co pewien czas wyciągał rękę i odgarniał kożuch śmietanki w garnuszku, przystawionym do węgli.

U wezgłowia doktorowego posłania stał stary zegar. Wahadło kołysało się nad samą jego głową. Kiedy pomykało na lewo, w cień, na upstrzonej przez muchy jego powierzchni błyskał klinik światła. Wydawało się, że stary perpendykuł rozdziawia usta i pęka z radosnego śmiechu. Wewnątrz pudła, przysypanego wieloletnim kurzem, stuka nieustający chrzęst trybów, niby bicie serca zestarzałego gruchota. Melodia jego szeptu unosi się nad rozmarzoną głową śpiącego jak śpiew znajomy, rozkochany, tęskny i niewysłowienie słodki.

— Ty nie wiesz — śpiewa — ty nie wiesz, dziecko, co to jest tęsknota... Spojrzyj tylko raz, spojrzyj tylko, śpiochu, dźwignij powiekę. Widzisz tę łzę, co wytoczywszy się z oka starszego pana Cedzyny, jak łódź na końcu katapulty, zawisła na końcu najdłuższego włosa w jego lewym wąsie. Co to za ciężar, co to za ogromna łza, jaka monstrualnie wielka łza! Pac! — zleciała z łoskotem na przyszwę lewego buta. Co to? co to? — Wysuwa się druga, jeszcze ogromniejsza, jeszcze cięższa... Kap! — już wisi na wąsie. Starowina boi się bardzo, aby nie upadła na pogrzebacz i głośnym upadkiem snu twojego nie spłoszyła. Patrz, jak ją paradnie, jak śmiesznie i niezgrabnie zdejmuje z wąsa dwoma palcami... Te łzy... — gada

stary zegar — były cieńszymi, niż nitka pajęcza włókienkami w sercu, w tym miejscu, gdzie jest nigdy nieschnąca ranka tęsknoty. Było ich mnóstwo, a każda miała brzeżki ostre jak żądło komara. Siedziały jedna obok drugiej komunikiem i nosiły szumny tytuł laseczników tęsknoty. Niejednemu te figlarne istoty wyssały duszę, niejednemu odgryzały rozum... tak, tak, czcigodny organizmie... A ty, mocarzu, zadałeś im truciznę jednym jedynym synowskim uściskiem.

Każda skonała i rozpłynęła się w wielką łzę szczęścia. Ach, tylko pomyśl... gdyby choć jedna z tych łez upadła na twoją duszę!.... Ach, tylko pomyśl — wszak ona strąciłaby cię z oblicza ziemi — ach, tylko pomyśl...

W pochodzie kółek i walców gadatliwego klekota nastąpił raptem jakiś kataklizm, jakby stary zegar przeciął sobie język własnymi zębami. Rozległ się tępy szczęk, zamieszanie, łoskot — i powoli, z majestatem niedołężnie naśladującym głos kukułki, wybiła dziesiąta. Młody człowiek oczami na wpół rozwartymi wpatrywał się w okno, odtajałe w promieniach wesołego słońca. Widział skrawek równiny, iskrzącej się od kryształów śniegu, smugę oddalonego lasu i kawałek przeczystego, bladego nieba. Ogarnęła go jakaś boska fantazja. Czuł wyraźnie, że ta chwila, co przemija, ten ułamek czasu, co trwa między jednym a drugim poruszeniem wahadła — to najwyższy i najszczytniejszy, kulminacyjny moment, że to jedyny na całe życie zenit młodości! Cóż mogło być przedtem i co może być potem? Jakież uczucie można przyrównać do tego ostrego widzenia całej drogi życia, do tej twardej pewności: — to, co w tej chwili postanowię, będzie nie tylko mądre i godziwe, ale i dobre?...

— Nie, nie pojadę do żadnej Anglii — myślał pan Piotr. — Nie nas brać na kawał! Odeślę belfrowi trzysta franków... przecie zarobię, choćbym miał gnój wyrzucać...

*

Po upływie kilku dni i nocy siarczyście mroźnych nastała odwilż. Znikła cudna przejrzystość przestrzeni; opadły delikatne pyłki mrozu kołysząc się nad twardymi jak kamień pokładami śniegu; zginął szron, różowy w promieniach słońca, co stroił suche szkielety topól, cienkie pręty porzeczek i obumarłe badyle, wystające spod śniegu. Od rana kapały z dachów wielkie, brudne krople; w powietrzu zawisły bałwany szarożółtej pary przytłaczając sobą dym tułający się po dachach. Na krańcach widnokręgu uwaliły się mgły nieprzejrzane na podobieństwo niezmiernych ciężarów, co zdołały wgnieść w ziemię i wzgórza, i lasy, i wsie odległe.

O godzinie pierwszej z południa pan Dominik powracał z powiatowego miasteczka wynajętą furmanką.

Chude, chłopskie szkapięta brnęły w roztajałym śniegu; bose sanice docierały do gruntu i sunęły po grudzie jak po maglownicy albo zataczały się w wyboje i zatoki. Stary jegomość otulał się zrudziałymi szopami, nasuwał kaszkiet na oczy, i ćmiąc niekosztowne cygaro — myślał sobie. Jeździł niegdyś czwórką wałachów i wspaniałymi saniami, z furmanem w złotawej liberii, otulał się niegdyś kiereją, srogimi niedźwiedziami podbitą... Boże drogi — ziemia drżała, janczary słychać było o pół mili, konie parskały, chłopy i Żydy stały bez czapek... Phi... czy tam teraz jest gorzej — któż to wie? Nigdy przecie jazda saniami przez puste pola nie sprawiała mu takiej przyjemności, jak dziś, kiedy jedzie chłopskim wasągiem... W domu czeka pan doktor Piotr Cedzyna! Cha, cha! Nuże, szkapy! bierzcie się w kupę! Jeszcze tylko jeden lasek, tylko mały wąwozik pod Zapłociem...

— Ciekawa historia — myśli pan Dominik — czy Piotrek zrobił i przepisał rachunki. Myślał huncwot, że mu dam łazić całymi dniami po chałupach (pewno dziewuchy niemieckiego uczy...) i bąki zbijać. Aha... posiedź no waćpan, mości chemiku, nad prowentowym kałkułem, pododawaj cyferki, napisz ładnym charakterem wykazy dla pana inżyniera, wyręcz starego ojca. Za darmo ci będę zwoził tytoń i tracił fortunę na sardynki?

Konie wbiegły na podwórze i zatrzymały się przed gankiem dworu. Pan Cedzyna wylazł ze sanek i wszedł do sieni, z hałasem otrzepując buty ze śniegu. We drzwiach pokoju stał doktor Piotr.

— Co to? ciebie, widzę, głowa boli! — zakrzyknął pan Dominik.

— Ale gdzie tam! — odpowiedział syn z przymusem.

— A cóżeś taki blady i skrzywiony!

Młody człowiek miał w rzeczy samej minę niewesołą.

Spojrzenie oczu jego dziwnie wyziębło i przyćmiło się smutkiem. Chodził z kąta w kąt, nerwowo paląc papierosa.

— Każę ja Jagnie podać barszczu, to ty mi zaraz nabierzesz rezonu. Bez barszczu, mówię ci, człowiek zawsze kiepsko się czuje.

— Ja nie będę mógł jeść, a zresztą ... mało mam czasu.

— Mało masz czasu?

— Tak — powiedział doktor Piotr szorstko — ja... widzi ojciec... ja muszę jechać. Trudna rada... muszę jechać dla objęcia tego miejsca w Hull.

Pan Dominik nic nie rzekł. Nie zdejmując futra ani czapki usiadł na stołku i zwiesił głowę. Nie zważał na to, co syn robi — nic nie widział. Czuł tylko, że mu duszno, ciasno we własnych piersiach. Rad by był wyjść na świeże powietrze, ochłonąć i zebrać myśli, ale nie mógł jakoś dźwignąć się z miejsca. Młody człowiek porządkował papiery i książki rachunkowe, rozrzucone na stole. Wziął w rękę niewielki, stary, zatłuszczony notes, obwiązany brudną tasiemką, i przewracał w nim kartkę za kartką.

— Proszę ojca — rzekł z żalem i smutkiem w głosie — w tym notesie wyczytałem, że ciąży na mnie dług, który muszę zapłacić bez zwłoki.

— Daj ty mi spokój, daj mi spokój! — odpowiedział stary Cedzyna opierając głowę na ręce.

— Zanim wyjadę, muszę ojcu wytłumaczyć, dlaczego powziąłem decyzję wyjazdu.

— Co ty wytłumaczysz, głuptasie, co? — porwał się starzec. — Jedź, jeśli taka twoja wola. Tylko mi już, przez litość, nie każ podziwiać twojej mądrości!

— Chcę pomówić szczerze i otwarcie o interesie doniosłego dla mnie znaczenia. Przed czterema laty przysyłał mi tatko ratami dwieście rubli. W roku następnym dwieście rubli. Potem dwieście pięćdziesiąt rubli i zeszłego roku znowu dwieście. Razem osiemset pięćdziesiąt. Pensja, jaką ojciec pobiera, wynosi trzysta rubli na rok. Skądże...

— Synku kochany... nie chciej mnie aby robić złodziejem. Jeżeli uważnie przejrzałeś rachunki, to musiałeś dostrzec, że nie przywłaszczyłem sobie ani kopiejki Bijakowskiego. Wszystko jest w wykazach. Że nie sprzedawałem potajemnie ani wapna, ani cegły, możesz także przekonać się z rachunków. Daję ci zresztą słowo honoru... nie mam na sumieniu ani jednej kopiejki Bijakowskiego! Tak mi Boże dopomóż!

— Tak, to zupełna prawda.

— Skoro występujesz w roli oskarżyciela, to powinieneś znać się trochę na interesach. Cały sekret polega na tym, że Bijakowski dał mi upoważnienie do pobierania oryginalnej wprawdzie tantiemy. Od sprzedaży nigdy mi jej przyznać nie chciał, a natarczywe moje żądania zbywał zawsze jedną śpiewką: „Produkuj pan taniej... a co na tym osiągniesz, to twoje". Obiecał ludziom początkowo po trzydzieści kopiejek. Ja im dałem później po dwadzieścia, no i, rozumie się, przystali, bo nigdzie więcej nie zarobią, a tu mają zarobek pewny. Tym sposobem uzbierało się trochę grosza dla ciebie.

— Tak, to właśnie dostrzegłem w rachunkach...

— I to jest cały sekret, oskarżycielu! Złodziejem nie byłem, i da Bóg, nie będę!

— I ja nim być nie chcę, mój ojcze. Toteż osiemset pięćdziesiąt rubli muszę zwrócić...

— Komu masz zwracać? Ja tych pieniędzy nie przyjmę... wiedz o tym... nie przyjmę! Nie mogłem ci dawać na utrzymanie i edukację więcej, Bóg widzi... ale co mogłem... Starałem się choć trochę wywiązać z powinności ojcowskiej.

— To nie ojciec dawał mi na edukację i nie ojcu mam zwrócić ten dług gorzki i straszny.

Dominik Cedzyna wysokc podniósł brwi i ze zdumieniem patrzył na syna.

— Ty chyba masz bzika, mój Piotrusiu. Cóż ty pleciesz?

Doktor Piotr usiadł przy stoliku, przysunął arkusz czystego papieru i zaczął mówić powoli:

— Wartość każdego towaru po ukończeniu produkcji składa się z kapitału stałego (oznaczmy go literą c), z kapitału zmiennego, czyli płacy najemników (dajmy na to v), i z tak zwanej wartości dodatkowej, czyli zysku, co oznaczam literą p. Stosunek wartości dodatkowej do kapitału zmiennego, czyli zysku do płacy najemnika, p : v, pokazuje stopę wartości dodatkowej, czyli normę wyzysku. Obliczmy, proszę ojca, skrupulatnie przychód i rozchód...

Nad wieczorem dopiero skończył się zajadły spór między ojcem i synem. Obydwaj zamilkli pod wpływem tej zaciętości, co zdaje się zamykać serce tak szczelnie, jak się zamyka wieko trumny nad drogimi zwłokami.

Stary obojętnie i z pogardą patrzał na krzątanie się doktora Piotra dokoła walizki. Od czasu do czasu szyderczy uśmiech przemykał po jego wargach i oczy błyskały gniewem. Po długim milczeniu wyniośle i obojętnie rzekł:

— Czy tutaj nie mógłbyś stanowczo zarobić, aby uczynić zadość głupim sentymentom?

— Nie mógłbym, proszę ojca, tak prędko, jak tego pragnę. Tam mam miejsce i płacę stosunkowo niezłą.

— Można by i tu znaleźć posadę. Bijakowski...

— Ja nigdy i nic wspólnego mieć nie będę z panami Bijakowskimi. Nikt mię nigdy nie protegował, oprócz moich wiadomości i pracy.

— Pisałeś mi, że cię protegował jakiś profesor — rzekł stary oschle. — Jesteś w niezgodzie z samym sobą, znakomity filozofie.

— Nie. Profesor podał moje nazwisko, ponieważ stosownie do żądania, miał wskazać czyjekolwiek nazwisko. Wskazał moje, bo uważał to za słuszne ze względu na moją porządną pracę i usposobienie do samodzielnych doświadczeń.

— Rzeczywiście, racja fizyka! Bijakowski również uważałby za słuszne ze względu... i tak dalej...

— Nikt dobrowolnie nie zaraża się parchami... Toteż i mnie dobrze, pókim czysty...

Stary roześmiał się. Znowu nastało milczenie aż do chwili, kiedy młody człowiek zdjął palto z kółka i począł leniwie naciągać je na ramiona.

— Czyż ty naprawdę? — zapytał pan Dominik.

— Tak, ojcze.

— Oby cię Bóg nie skarał ciężko, moje dziecko!

— Pierwszą ratę mam nadzieję przysłać w maju. W tym notesie wyliczyłem należność każdego za cztery lata. Niechże ojciec raczy sumiennie...

— Precz, durniu! — krzyknął grubiańsko pan Dominik w przystępie wściekłego gniewu.

Ręce mu się trzęsły, w oczach migotał zły ogień.

Doktor Piotr, blady jak papier, zbliżył się do niego ze łzami w oczach i schylił mu się do nóg. Starzec odepchnął go, usunął się w kąt pokoju i odwrócił plecami. Słyszał, jak drzwi z cicha skrzypnęły i zawarły się za wychodzącym, słyszał suchy trzask klamki, ale nie odwrócił głowy. Zapadał powoli w stan gnuśnego spokoju, obojętności tak zupełnej, że graniczyła prawie z zadowoleniem.

— Dobrze, że powiedziałem „durniu" — pomyślał — to mu pójdzie w pięty...

Po upływie kilkunastu minut wyjrzał przez okno. Na podwórzu nie było nikogo. Pod zachód słońca widać było przedmioty wyraźnie. Na każdej szybie rysowały się i rosły w oczach, idąc z dołu do góry, fantastyczne gałązki mrozu. Starzec przypatrywał im się z zajęciem i myślał o czymś dawnym, ogromnie dawnym. Doznawał przez chwilę uczuć małego chłopca, który w pięknym dworze siedział obok matki, pięknej, dobrej, kochanej matki i patrzył na gałązeczki przymrozka... Nudzi mu się, płakałby i kaprysił, gdyby nie to, że pełzające odnóżki, pręty i zębate liście tak go zaciekawiają, tak bawią...

Z zadumy obudził go dopiero daleki świst lokomotywy. Ten dźwięk sprawił mu taki ból, jak uderzenie młotkiem w czaszkę. Wziął czapkę i wyszedł z pokoju.

Ku stacji kolejowej zwolna zbliżał się pociąg kopiąc się i nurzając w zaspach, jakby je żelaznym kadłubem roztrącał i przewiercał. Pan Dominik począł iść ku dworcowi wielkimi krokami. Zmrok padał żywo i w miarę zwiększania się ciemności coraz wyraźniej błyskały latarnie na linii drogi żelaznej, niby duchy dobroczynne, dające znać o wielkim niebezpieczeństwie. Gdy pan Cedzyna był na połowie drogi, ujrzał z daleka sylwetkę człowieka idącego od stacji. Odetchnął głęboko w nadziei, że doktor Piotr wraca. Wkrótce zrównał się z tym człowiekiem: był to strycharz z cegielni, młody i wesoły parobczak.

— Ty gdzieś chodził? — zapytał go rządca ponuro.
— Na stację.
— Po co?
— Zaniosłem zawiniątko za młodym panem...
— Za jakim młodym panem?
— Ady za panem Pietrem.

— Pojechał? — zapytał starzec obojętnie.
— Pojechał, proszę łaski pana.
— Widziałeś?
— A no i nie widziałbym. Jeszczem mu tobół zaniósł do maszyny.
— Mówił co do ciebie?
— E... mówić to ta nie mówił dużo.
— Wracaj do domu!

Chłopak oddalił się szybko brzegiem drogi. Potem przeskoczył przez rów i poszedł ku górze na przełaj przez pole.

Pan Dominik patrzył za nim ciągle, wtedy nawet, kiedy tamten skrył się w ciężkim cieniu góry. Twarz starca stuliła się i zmalała, nos się wygiął i wyciągnął ku brodzie, oczy nakryły dolnymi powiekami. Stał na miejscu i sięgał co chwila ręką, jakby z zamiarem przywołania strycharza. Następnie poszedł wolno, nie mając żadnego już zamiaru ani wiadomości o kierunku, w jakim postępuje. Schylał się ku ziemi i przy świetle ostatniego brzasku zorzy wieczornej rozpoznawał głębokie ślady stóp syna, wyciśnięte w miękkim śniegu, które teraz mróz miłosierny utrwalał dla niego na tej okrutnej drodze. Nad każdym z tych śladów zatrzymywał się, macał go laską... Nad każdym z piersi jego wydzierał się cichy, nieprzerwany jęk, podobny do żałosnego skomlenia wiatru nad mogiłami cmentarza.

LUDWIK KRZYWICKI

SOCJALIZM I WŁOŚCIAŃSTWO

Wzrost socjalizmu jest już dziś rzeczą nie potrzebującą żadnych dowodów. Wszędzie, gdzie tylko są robotnicy miejscy, to socjalizm ma, jak to mówią, prawo obywatelstwa. Ale nie wszystkie kraje są przemysłowe: są takie państwa, w których przemysł jest bardzo słabo rozwinięty, a wszystka ludność pracująca zajmuje się rolnictwem. Otóż w tych krajach to socjalizm nie jest jeszcze tak potężnym, jak tam, gdzie się już przemysł rozwinął; panowie też nie boją się tej „hydry", jak socjalizm nazywają, wszystkiego sobie pozwalają, przekonani, że nikt im nie zakłóci wesela. Źle to bardzo dla sprawy ludu, ani słowa, ale nie powinniśmy rozpaczać. To, co dziś źle się przedstawia, to się jutro znów zmieni na lepsze. A nawet i dziś już powoli się to zmienia, i to tu, to tam słychać, że włościanie zaczynają się łączyć i rozumieć, co ich ocalić może.

Tonący jednak brzytwy się chwyta zapominając, że się jej utrzymać niesposób. Tak samo rząd i panowie łapią chłopa za poły, za jego się plecy chowają i myślą, że tym się zbawią i ocalą od

sprawiedliwości ludowej. A ponieważ chłop łatwo daje się oszukiwać i nie od razu na tych ichmościów za cepy bierze, więc radują się panowie i pod niebiosa wynoszą włościaństwo dlatego, że nie garnie się ono do socjalizmu, jak robotnik miejski. Robotnicy, mówią wtedy panowie, to hulaszczy naród, bezbożny i zepsuty, co to usiedzieć spokojnie nie może. Co innego włościanin. Ten nie jest pochopny do nowinek (oni socjalizm nowinkami nazywają), do politycznych agitacyj — a to dlatego, że poważniejszy, rozsądniejszy i tak dalej.

Wolno panom na nas robotników wymyślać — zjeść nas tym nie zjedzą. Prędzej trzeba im kieszenie zaszyć, by tam nie szły pieniądze robotnicze i ręce im ukrócić, by nam owoców naszej pracy nie zagarniały. Że wymyślają na nas, kiedy o swoje prawa zaczynamy się upominać, to nie dziw. Niechby tylko gderali — to by jeszcze nic złego nie było. Ale nie ograniczają się tym oni i zaraz uciekają się do policji, sądów i przemocy, chcą zdusić naród, gdy ten o swej niedoli rozmyśla.

Panowie, choć na nas wymyślają — w gruncie rzeczy wiedzą jednak dobrze, że robotnik nie głupszy, nie gorszy od włościanina. Co miejskiego człowieka różni od mieszkańca wsi to to, że mieszczanin ma, jak to mówią, więcej otwartą głowę. Robotnik w mieście otarł się już dobrze o świat boży i tu się czegoś dowiedział, tam własnymi napatrzył oczyma, gdzie indziej coś posłyszał, a niejeden to i o tym, i o owym poczytał. Umie on i sam zagadać, a i w tym, co słyszy, odróżnić bajkę od prawdy. Przy tym nie jest on tak zahukany i w kaszę sobie dmuchać nie pozwoli, i majstrowi odpowie, a i pana fabrykanta zetnie, jak to mówią, porządnie. Jest on poradniejszy, ma więcej fantazji, więcej dumy; nabrał on już przekonania, że i on jest człowiekiem, i każe drugim jego godność ludzką uszanować. Dlatego to robotnik miejski prędzej krzywdę wyrządzoną mu uczuje, jest więcej rewolucyjny i prędzej pojmie potrzebę rewolucji socjalnej.

Oprócz tego sam sposób pracy ułatwia fabrycznemu robotnikowi należyte pojmowanie swego położenia. Pracuje on nie sam, ale kupą, całą hurmą. Są fabrykanci, co po kilka, czasami dziesięć i więcej tysięcy robotników zatrudniają. W kopalniach np. i po trzydzieści tysięcy robotników się zbiera. Mieszkają w jednym mieście, są razem, więc czują swoją siłę. Dzisiejszy porządek jest dla biednego człowieka jak dla podróżnego duży las. Jeżeli kto sam jeden po dużym lesie chodzi, to i rady sobie dać nie może. Jeżeli zaś ten sam człowiek pójdzie w towarzystwie, to i drogę mu należytą łatwiej znaleźć i zaraz nabiera innego ducha. Cóż więc dziwnego, że robotnik miejski, który tysiące a tysiące swych braci około siebie widzi, odważniejszy jest i więcej przedsiębiorczy. Właśnie dlatego czuje robotnik miejski swą siłę i ma odwagę upomnieć się

o swe prawa, bo widzi naokoło siebie tysiące a tysiące swych braci, którzy tak samo, jak on, cierpią i którzy, jak i on, chcieliby się z niewoli wyzwolić.

Co innego na wsi. Już to duża jest wieś, jeśli ma z tysiąc dusz. Odlicz teraz kobiety i dzieci. A następnie, nie każdy, co w siermiędze chodzi, to już razem z ludem trzyma. Są tacy włościanie, którzy się czegoś dorobili i nie lepsi są od panów, tak samo, jak w mieście są tacy majstrowie, którzy się pracującemu ludowi dobrze we znaki dają. Przy tym włościanin zwykle oprócz swej wsi i kilku okolicznych, a i jednego lub kilku miasteczek z pobliska niczego nie zna i niczego nie widział. W dodatku, jeśli zna innych ludzi, to tylko też z pozoru, jak to mówią. Bo albo służąc w wojsku przez okna koszar na świat patrzał, albo kiedy do miasta jeździł, to widział przechodzących i przejeżdżających, ale nie wie on, jak ci ludzie żyją, skąd biorą pieniądze i jak je wydają. Nie może on też dobrze zrozumieć całej machinacji dzisiejszego ustroju, jak robotnik miejski. Toteż często wierzy urzędnikowi carskiemu, że przyczyną wszystkiego złego to szlachcic polski, wierzy znowu, kiedy mu szlachcic prawi, że wszystko złe, to pochodzi od rządu, a niech no by tylko polski rząd nastał, to by zaraz raj na ziemi nastąpił. Nie może zrozumieć, że raju dopóty nie będzie, dopóki ci, co pracują, nie wypędzą wszystkich darmozjadów: i panów, i fabrykantów, i cesarza z jego urzędnikami, policją, żandarmami etc.

Teraz zważcie no jeszcze, jak włościanin pracuje. Chodzi on na orkę albo na inną robotę i tylko huknąć może na swego towarzysza, bo daleko on; ani pogadać z drugim nie może, ani pomyśleć mu porządnie niesposób. Dlatego też możemy zauważyć, że włościanin, czegoś zawsze przygnębiony, zahukany, wysłowić się dobrze nie może i nie ma tej pewności, tej fantazji, którą robotnik fabryczny posiada. Toteż choć i zrozumie, że jest i co złego, to nie wierzy, żeby to zmienić można było, nawet nie próbuje tego czynić.

I zdarza się, że z tego powodu nieraz mieszczanin kpi i żartuje sobie z włościanina, i o jego głupocie przesadne opowiada wieści, i dochodzi do tego, że robotnik traktuje chłopa jak nierównego sobie. Czy słusznie to robi i dlaczego to robi, zaraz wam odpowiem. Niesłusznie to robi, bo włościanin i ciężko pracuje, i mniejsze ma za to wynagrodzenie, ba, nawet urządzenia ludzkie za jego ciężką pracę nie dają mu tej buty i fantazji, tego poznania swej siły, swej godności, jaką ma robotnik miejski. I to, że robotnik nie jest w biedzie tak samotny, jak włościanin, zawdzięcza on urządzeniom ludzkim, zarówno jak i to, że ma głowę więcej otwartą. Weźmy na przykład, że robotnika fabrykant bardzo krzywdzi; to nie on sam wszak, nie kilku tylko lub kilkunastu, ale kilkudziesięciu, kil-

kuset i więcej robotników znosić tę krzywdę muszą, więc łatwo im się zmówić ze sobą i zrobić bezrobocie albo też w inny sposób biedzie zaradzić. A weźmy teraz parobka: sam on jeden jak palec i co ma on biedny począć, kiedy go krzywdzą nad miarę i biją nawet, jakby duszy ludzkiej nie miał. Nie może on biedaczyna porzucić służby, bo jeść potrzebuje — i oto cierpi on jak męczennik jakiś i tak go powoli los zahuczy, że nie łatwo mu głowę swą podnieść.

Taki to już ten dzisiejszy porządek, że najlepiej się dzieje tym, co nic nie robią, a tylko z cudzej pracy żyją, a najgorzej tym, co najwięcej i najciężej pracują. Obowiązkiem więc robotnika socjalisty jest przekonywać i nauczać włościanina, że może mu być lepiej, jeśli sam się o swe prawa upomni, jeśli przestanie pracować na pana i jeśli wszystka ziemia będzie do pracujących należeć.

A zwracać się należy nie tylko do parobków, ale i do gospodarzy wiejskich, którzy zaledwo szmat ziemi posiadają, a nawet i do zamożniejszych włościan, którzy rozumieją dobrze, co to jest gospodarstwo, którzy swym dzieciom chcieliby zapewnić coś — do tych wszystkich trzeba się zwracać z propagandą socjalistyczną i wykazać im, że ich własny interes wymaga, aby zostali socjalistami, aby razem z robotnikami pracowali nad wyzwoleniem ludu spod przemocy rządu i kapitalistów czy to fabrycznych, czy ziemskich.

Panowie nam ciągle mówią, że włościanin, który ziemi kawał posiada, nigdy nie zostanie socjalistą, dlatego, że nigdy nie zgodzi się on na wspólną własność ziemi.

Ale gadanie takie wcale mądrym nie jest. Socjalizm to nie jest żadna zabawka, żadna pańska agitacja polityczna, która nie wiadomo po co i na co istnieje i dlatego też nie wiadomo czy Paweł się zgodzi, a Gaweł nie. Jak pyzaty Cegielski z Niegolewskim koty drą, to rzeczywiście nie wiadomo naprzód, po której stronie ten lub ów stanie.

Zależeć to będzie od upodobania; rozum tu nie może rozstrzygać. Rozum mówi, że wart Pac pałaca, a pałac Paca, i że robotnicy powinni obu tym ichmościom dać odprawę, a wybierać robotnika tylko, swego człowieka. Zupełnie co innego jest socjalizm.

Socjalizm podaje sposób rozumnego i sprawiedliwego urządzenia społeczeństwa. Więc każdy, w interesie którego leży, aby urządzenia ludzkie rozumnie i sprawiedliwie były prowadzone, musi zostać socjalistą.

Teraz zobaczymy, czy włościanina interes ciągnie do socjalizmu.

Że ten, kto nic nie ma, musi zostać socjalistą, to widoczna. Każdy więc robotnik wiejski, nie posiadający własnej roli, mimo

woli przejść musi na naszą stronę. Ale nawet gospodarze powinni zrozumieć, że tylko od socjalizmu mogą się czegoś dobrego spodziewać.

Dziś we wszystkich krajach narzekają drobni właściciele ziemscy. Nie możemy gospodarować, powiadają oni. Nie mamy gotówki — musimy pożyczać na prowadzenie gospodarstwa. Pożyczonym zasiewamy, a jak plon zbierzemy, to wszystko idzie na procenty i na raty, które trzeba oddawać, i diabli wiedzą, na kogo cały rok pracowaliśmy. I takie życie prowadzimy, jak jest dobry rok — a jak zły, to subhastacja i kij żebraczy nas czeka. Tak się skarżą włościanie. Ale nie to tylko ich dręczy: a podatki, a drożyzna, a spory sąsiedzkie, a drogi. Wszystko jakby się zmówiło, by włościanina dręczyć. I jakie to życie jego — od świtu pracuje, żadnej rozkoszy nie dozna. W niedzielę lub święto, jak odpoczywa, to mu cały tygodniowy frasunek, co przecierpiał i co go czeka, do głowy przychodzi i nawet wtedy czoło mu się marszczy i humor kwasi, bo wesela nigdy żadnego nie dozna.

Ale i to weźmy zamożnego włościanina. Wszystko u niego dobrze idzie i długów nie ma, i w spichlerzu coś znajdziesz — a jednak on pochmurny. I jego jakiś robak gryzie. — Czego tak nachmurzyłeś się, sąsiedzie? Już to wam skarżyć się nie ma co? — Tak mu powiesz. Ale on smutnymi popatrzy na ciebie oczyma i odpowie: — Dobrze mi dziś — to prawda, ale co to jutro będzie! Jak człeka w mogiłę złożą, to i tam nie będzie miał spokoju. Jeden to jeszcze wytrzyma na mej roli — ale ja mam czworo dzieci. Co z nimi będzie, co to ich czeka!

I ma rację frasować się nasz gospodarz. Widzimy codziennie, jak to chudoba włościańska niknie i marnieje. W biblii jest bajeczka o tym, że siedem chudych krów zjadło siedem tłustych. Ale na naszym świecie to na odwrót się dzieje. Tłuste krowy chude zjadają, wielka własność połyka drobną.

I nie dziw: wielka własność może maszyny zakupić i gospodarkę porządną prowadzić. Ma ona i kapitał, i wszystko ją taniej kosztuje. Potrzeba na meliorację pieniędzy — to wielkiej własności się wszystko opłaci, bo dochody duże i wszystko na wielką idzie skalę. I bydło, i owce, i konie ma — nic więc dziwnego, że jak dobry gospodarz, to wielki majątek wygląda jak malowany obrazek. Prawda, że nasi panowie nieraz bankrutują i gorzej nieraz gospodarują jak nieuczony chłopek. Ale na głupotę lekarstwa nie masz — toć to nie ziemia temu winna, nie wielkie gospodarstwo, jeno gospodarz. Ale idźmy choć w Krotoszyńskie — tam majątki chłopskie jak wosk topnieją i przelewają się ze wszystkim do wielkich majątków.

I cóż w tym dziwnego. Ot, prosty rachunek. W Galicji mają Polacy najwięcej swobód; tam ani Niemcy, ani Moskale do gospodarki się nie mieszają. Otóż w tej Galicji cały lud (a jest jego kilka milionów) ma pięć milionów morgów pola, licząc już i gromadzką ziemię, a dwory (ludność których wynosi kilkadziesiąt tysięcy) mają siedem milionów morgów pola, tymczasem gminy płacą prawie sześć milionów złotych reńskich podatku, a dwory tylko półtrzecia miliona. Znaczy się, że chłopska morga płaci więcej niż guldena podatku, a dworska trochę więcej niż trzecią część guldena, czyli, że chłopska morga płaci trzy razy więcej podatku, niż szlachecka. Najlepiej to widać na podatkach drogowych. W Galicji dają chłopi robociznę, a pan dostarcza materiał. Otóż robocizna chłopska, skąpo licząc, wynosi milion dwakroć sto tysięcy złotych reńskich, a materiał, znaczy się to, co dwory dają, wynosi zaledwie czterykroć sto tysięcy złotych reńskich, czyli trzy razy mniej. Rachunek ten robili sami panowie. A że sobie panowie słono liczą, to i dziecko wie. Przy tym jak tylko można, to przeprowadzają drogi przez chłopską własność. Niedawno we wsi Kopyczyńskich tak zrobili; o czym pisaliśmy w przeszłym numerze *Przedświtu*.

Przy takich porządkach włościanin musi bankrutować, a komu się jako tako dzieje, niech wie, że dzieci jego już nędza czeka i wyzucie z ojcowizny.

Na to ostatnie nieszczęście, powiadają, jest rada, mianowicie, tylko jednemu dziecku cały majątek zapisać. Tak radzą wam panowie. Dobra to jednak rada i bardzo korzystna, ale dla samych panów. Bo jak jeden dostanie ziemię, to reszta rodzeństwa pójdzie za lichą zapłatą do pana wynająć się i na niego pracować lub musi do miasta na zarobek, a w dodatku nie pana i fabrykanta będzie uważała za sprawcę nieszczęść wszystkich, jeno starszego brata, co sam jeden ziemię zabrał po ojcu. Tym sposobem włościańskie dzieci zamiast razem pójść na panów, same pomiędzy sobą będą się kłócić. Taka to już podła polityka panów, takie to oni zawsze wam rady dają.

Widzimy, że dziś źle, bardzo źle z włościaństwem się dzieje — widzimy, że interes włościański wymaga, aby zaprowadzić gruntowne zmiany w dzisiejszej gospodarce społecznej, w dzisiejszych urządzeniach, aby zło z korzeniem wyrwać.

Jedna jest na to tylko rada — mianowicie Socjalizm.

Dziś pokazaliśmy, że nasze porządki są jak najgorsze, że trzeba je koniecznie zmienić. W przyszłości opiszemy, jak socjaliści chcą urządzić gospodarstwo rolne i jaka stąd korzyść może wyniknąć dla wszystkich.

(Przedświt, 1884)

MAZUR KAJDANIARSKI

Do mazura stań wesoło,
Buntownicza wiaro!
Suń wesoło, dalej w koło,
Warszawo i Karo!

Wróg ma dla nas kajdan dużo,
Ma też dużo turem,
My weseli, bo kajdany
Dzwonią nam mazurem!

Nam pałacem — turma, Kara,
Dla nas strój balowy:
Katorżnicza kurtka szara
I znaczek pąsowy!

W tych pałacach i w tych strojach
Hulamy ochoczo,
Bo nam myśli i sumienia
Zgryzoty nie mroczą.

Uczuć naszych mur nie studzi,
Płoną one żarem,
I w tym piekle żyjem młodzi
Całym życia czarem!

Dziewcząt naszych ocząt blaski
Nie mglą łzy zwątpienia,
Bohaterskich ich serduszek
Nie łamią cierpienia.

I wesołych piosnek dźwięki
Z ust ich płyną mile,
Że nie zgadniesz, jak bolesne
Przeżywały chwile.

Gdy którego stryczek zdusi,
I to bagatela,
Bo człek każdy umrzeć musi.
Gwałt rodzi mściciela.

Nasi pomszczą, jak należy,
Śmierć zmarłego brata,
I na grób mu, zamiast wieńca,
Rzucą głowę kata.

A gdy tańca czas nadejdzie,
Nasze kazamaty
Nam wybiją takt mazura
Łańcuchem o kraty.

Taki będzie silny, dziarski,
Że pękną ogniwa,
A nasz mazur kajdaniarski
Pół Polski zaśpiewa.

I po kraju dźwięk przeleci
Jako marsz parady,
W takt mazurka pójdzie raźno
Lud na barykady.

Gdy na skoczne te akordy
Wstanie lud nasz cały,
To najśmielsi poprowadzą
Raźny mazur biały.

Po nim słonko mrok rozproszy
I znikną, jak mara,
Turmy, kraty i kajdany
Z gospodarką cara.

Pod dach własny każdy wróci
Zdrów, wesół i dziarski
I dzieciakom swym zanuci
Mazur kajdaniarski.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

CZEGO CHCĄ ONI?

Czego chcą oni? — I gawiedź szumi,
Szyderstwem wita, obelgą plwa.
Czegoż chcą oni? — któż ich zrozumie!
Chleba? Swobody?... Kto o to dba!
My złota chcemy. Za złota blaski
Ja mógłbym życie z rozkoszy spleść,

Za złoto kupię tłumów oklaski
I honor mężów, i niewiast cześć.
Złoto — to siła! Dukat dukata
Spłodzi od czarnej roboczej dłoni —
Więc dalej, żwawo, użyjmy świata,
Bo życie taje — śmierć goni.
Że tam ktoś głodny, że tam ktoś płacze —
Głupstwa! On słaby. W walce o byt
Mogą się ostać tylko siłacze
Jak my — a płakać czyż nam nie wstyd!
My złota chcemy! Niech dla rozkoszy
Gotuje kupny uścisk dziewczyna!
Niech pieśń wesoła smutek rozproszy
Hej, służba! Dolać mi wina!

Wina wam trzeba? Pieszczot dziewczyny?
Złota? Rozkoszy? Więc jak dzień długi
Dzwonią kowadła, huczą maszyny
I koła warczą, i orzą pługi,
I grzbiet się ludu gnie roboczego!
Wam wina trzeba! Gdy on mrze z głodu.
Gdy mu się chata nad głową wali —
Dla was frykasy i szampan z lodu,
I przepych, zbytek złoconych sali?!
Lecz hola, możne świata władyki!
Podnieście z łona nałożnic głowy
I tam spojrzyjcie, skąd gwar i krzyki
Przynosi wiatru podmuch surowy —
Tam, gdzie kamienne gmachów filary
Podmywa ludu wzburzona fala:
Cisza. Umilkły hałas i gwary —
Tylko głos jeden dobiega z dala,
Dźwięczny, donośny. Łamię się echem,
Srebrną kaskadą spada na lud
I pod gorącym słowa oddechem
Lud drga i szumi jak fala wód.
— Hura! Swobody! Fabryk i ziemi! —
I wionął w górę czerwony znak.
W słońcu barwami błysnął złotemi
I na ludzkości dziejowy szlak
Wpłynął — przez nasze dźwignięty dłonie
Może zbyt wcześnie? Lecz cóż my winni,
Że podsłuchując w ludzkości łonie
Słyszymy lepiej, lepiej, niż inni,
To, co tam w głębi zrywa się, waży,
Że myśli chyżej puściwszy wodze

Biegniem od waszych złotych ołtarzy
W przyszłość! A jeśli niejeden w drodze
Padnie złamany przez los surowy —
Na swoją dolę nikt nie zapłacze
I nie pochyli pokornie głowy.
O, tak. My teraz biedni tułacze,
Ale zjawieniem swym jak jaskółki
Zwiastujem gromy. Słyszycie wrzawę?
To ciągną liczne robocze pułki,
A górą znamię powiewa krwawe.
Znaku nasz, znaku! My pośród boju
Piersiami ciebie wkoło otoczym,
Osmolim prochem, wykąpiem w znoju
I krwią serdeczną ubroczym.
A kule, gdy się przez pierś przebiją
Rwąc twego płótna barwioną nić,
Jasno, wyraźnie na nim wyszyją:
— Legli, bo ludźmi pragnęli być.

WACŁAW ŚWIĘCICKI

WARSZAWIANKA

Śmiało podnieśmy sztandar nasz w górę!
Choć burza wrogich żywiołów wyje,
Choć nas dziś gnębią siły ponure,
Chociaż niepewne jutro niczyje...
O... bo to sztandar całej ludzkości,
To hasło święte, pieśń zmartwychwstania,
To tryumf pracy — sprawiedliwości,
To zorza wszystkich ludów zbratania!

Naprzód, Warszawo!
Na walkę krwawą,
Świętą a prawą,
Marsz, marsz, Warszawo!...

Dziś, gdy roboczy lud ginie z głodu,
Zbrodnią w rozkoszy tonąć jak w błocie,
I hańba temu, kto z nas za młodu
Lęka się stanąć dziś na szafocie!
Nikt za ideę nie ginie marnie,
Z czasem zwycięży Chrystus Judasza!
Niech święty ogień młodość ogarnie,
Choć wielu padnie — lecz przyszłość nasza!...

Naprzód, Warszawo itd.

Hura!... Zerwijmy z carów korony,
Gdy ludy, dotąd chodzą w cierniowej,
I w krwi zatopmy nadgniłe trony,
Spurpurowione we krwi ludowej!...
Ha!... zemsta straszna dzisiejszym katom,
Co wysysają życie z milionów!...
Ha!... zemsta carom i plutokratom!...
A przyjdzie żniwo przyszłości plonów!

Naprzód, Warszawo itd.

LUDWIK KRZYWICKI

PIERWSZE UTWORY KASPROWICZA

...W czasie pobytu mojego w Lipsku, już po przekładzie Shelleya, Kasprowicz zaszedł jednego ranka do mnie: W tym czasie otrzymałem był nowy zeszyt *Wiestnika Narodnoj Woli*... Opowiadałem J. Kasprowiczowi, między innymi, o wydrukowanym tam utworze Lizoguba, pisanym w przededniu szubienicy. Przypomnę, iż Lizogub był młodym, bardzo zamożnym obywatelem w strefie czarnoziemnej Rosji, który oddał swe dochody i zamierzał oddać cały majątek na potrzeby *Narodnoj Woli*. Wydany przez swego rządcę, któremu zupełnie ufał, i skazany na śmierć, został powieszony w Odessie 22 sierpnia 1879 r. Właśnie w ostatnich chwilach przed śmiercią napisał niewielki utwór poetycki zwracający się z pożegnaniem do ludu rosyjskiego. Utwór wzruszył mnie głęboko. Przetłumaczyłem ten niewielki testament poetycki Lizoguba Kasprowiczowi; na razie nic nie odpowiedział, prosił jedynie o powtórne ustne przetłumaczenie mu utworu. A na drugi dzień, wczesnym rankiem, bardzo wczesnym jak na Kasprowicza, przyniósł mi rzecz gotową. Przekład ten w parę tygodni później wypadło mi zawieźć osobiście do Genewy. Zresztą zawiozłem nie tylko ten utwór: Kasprowicz, który wiedział o moim zamiarze posłania utworu Lizoguba Mendelsonowi do druku, wcisnął mi do ręki drugą rzecz, gdy odprowadzał mnie w towarzystwie kolegów na pociąg. Było to naśladowanie Shelleya, znamienne w ogóle dla ówczesnych nastrojów J. Kasprowicza.

PIEŚŃ DYMITRA LIZOGUBA

Żegnaj mi, ludu. Ostatnie już słowo
Dziś wam posyłam, drodzy towarzysze,
Kat mię już czeka. Ponad moją głową
Już się śmiertelna pętlica kołysze...

Nie drżę przed stryczkiem, umieram spokojnie,
Bo w moim sercu tkwi wiara gorąca,
Że po tych trudach, po tej krwawej wojnie
Zobaczą ludy blask złotego słońca.
Przebacz mi, ludu, jeśli moje czyny
Nierówną korzyść niosły ci w ofierze,
Przebacz i nie chciej szukać we mnie winy;
Ja cię kochałem gorąco i szczerze.
Przebacz! Już gardło pętlica mi ciśnie,
W oczach mi ciemno, krew już krzepnie młoda —
Hurra... niedługo nowy świat zabłyśnie —
Niech żyje rozum, miłość i swoboda!...

NAŚLADOWANIE Z SHELLEYA

Długoż wy jeszcze będziecie tak
Ciemiężcom pszenny uprawiać szlak
I prząść purpury błyszczący szmat,
By nią się zdobił wasz własny kat?

Długoż to jeszcze szerszeni ród
Będzie swój żywot bezczelny wiódł
I krew pił waszą, i chleb wasz jadł,
I wam na barki swe jarzmo kładł?

Robocze pszczoły! o długoż wy
Będziecie kuli ku hańbie swej
I podawali w szerszeni dłoń
Żelazny łańcuch, żelazną broń?

Czyż wy bez chleba, czyż wy bez strzech
Znaliście kiedy miłości śmiech?
O mówcież, mówcie, za jaką z cen
Dajecie krew i pot swój ten?

Siejecie ziarno, by inny żył,
Innym szukacie złocistych brył,
Innym przędziecie kosztowny strój,
A miecz wasz dzierży wasz własny zbój.

Nie miło dziś wam zasiewać łan
I zbierać złoto, by gnuśniał pan,
Sobie to, sobie prząść, zbierać, siać,
I kule dla swej obrony lać!

Wy spoczywacie wśród sklepów, jam,
Innym wspaniały budując chram!
Precz wyrzucicie przekleństwa głaz?
Wszak to stal wasza dziś godzi w was.

Kądzielą, rydlem i pługiem, och!
Grzebiecie sobie grobowy loch,
Przędziecie sobie śmiertelny błam,
Ta własna ziemia cmentarzem wam!

Oba te utwory były podpisane literą J i drukowane w numerze listopadowym *Przedświtu* w roku 1884. Pożegnanie Lizoguba było niezależnie od tego raz jeszcze drukowane w *Walce Klas*, w nrze 6 październikowym. O ile się nie mylę, są to pierwsze utwory Kasprowicza drukiem ogłoszone. Zdaje się, że nie weszły do późniejszych wydań zbiorowych Kasprowicza. A bodaj sam nawet o nich zapomniał. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie, kiedy jeszcze raz wypadło mi widzieć go w moim mieszkaniu w Warszawie, w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej, którą był w stopniu najwyższym zainteresowany.

Gdy wróciłem do Warszawy, przesłał mi jeden utwór do umieszczenia. Zaniosłem go do *Prawdy* — nie został zamieszczony, ponieważ „nie był poezją"...

(*Wspomnienia*)

LUDWIK WARYŃSKI

MOWA W SĄDZIE

Prawnikiem nie jestem i nie będę poruszał prawnej strony sprawy: została ona już dostatecznie rozpatrzona w świetnej przemowie p. Spasowicza. Zwracam uwagę waszą tylko na jeden fakt, uderzający w historii naszego oskarżenia. Po zaaresztowaniu ja wraz z niektórymi towarzyszami zostaliśmy oskarżeni według 318 art. Przeszedł rok i nam ogłoszonym zostało, że podciągnięto nas pod 250 art., na koniec po więcej niż dwuletnim więzieniu dowiedzieliśmy się z aktu oskarżenia, że oddano nas pod sąd na mocy 249 art. Osobiście ja nie mam zamiaru siebie bronić. Zapytany, czy poczuwam się do winy, ja już oświadczyłem, że o winie mojej i nas wszystkich nie może być mowy. Myśmy walczyli za swoje przekonania, my usprawiedliwieni jesteśmy przed własnym sumieniem i przed ludem, sprawie którego służyliśmy. Obojętnymi są dla mnie szczegóły ciążących na mnie oskarżeń i ja nie będę tracił czasu na ich zbijanie. Zadanie moje polega na tym, żeby odtworzyć obraz prawdziwy naszych dążeń i działalności, które proku-

ratura w fałszywym świetle wystawia. My nie sekciarze ani też nie oderwani od rzeczywistego życia marzyciele, za których nas uważa oskarżenie, a nawet i obrona. Socjalistyczna teoria otrzymała prawo obywatelstwa w nauce i na jej korzyść nieustannie świadczą fakty realne współczesnego życia. Od poważnych myślicieli wyszła druzgocąca krytyka istniejącego dziś społecznego systemu; oni też wskazują na zarodki lepszego ustroju, które szybko rozwijają się na gruncie dzisiejszych warunków. Parlamenty, a nawet rządy despotyczne przeprowadzają drogą prawodawczą reformy, znajdujące się w zupełnej sprzeczności z panującymi pojęciami o własności. Koncentracja ziem państwowych, która odbywa się w wielu krajach Europy, przejście gospodarki kolejowej w ręce państwa, powszechne wprowadzenie prawodawstwa fabrycznego — wszystko to głęboko znamionuje czas nasz i zbliża chwilę tryumfu dla nowego ustroju społecznego. My nie ignorujemy tych faktów, my jasno widzimy znaczenie i pożytek naszej sprawy. Ale wraz z tym przekonani jesteśmy, że uwolnienie klasy robotniczej od ciążącego nad nią ucisku powinno być dziełem samych robotników. Nawet te paliatywne środki, którymi rządy współczesne starają się zażegnać społeczne klęski — i nie mogą, są wywoływane przez parcie ruchu robotniczego. Pod tym względem pozwolę sobie powołać się na prof. Wagnera, doradcę Bismarcka, autorytet którego, mam nadzieję, nie wyda się podejrzanym dla pana prokuratora. W jednym z dzieł swoich mówi Wagner o znaczeniu współczesnego ruchu socjalistycznego i wskazuje na to, że nacisk jego zmusił rządy do wejścia na drogę do reform społecznych. Nie ma takiego rządu, który by znajdował się w zupełnej niezależności od wchodzących w skład danego państwa klas społecznych. Wpływ ich na ustrój państwowy znajduje się w prostym stosunku do stopnia ich rozwoju politycznego i organizacji. Dotąd przewaga pod tym względem znajdowała się po stronie klas uprzywilejowanych — burżuazji i szlachectwa. Występując na polityczną arenę klasa robotnicza powinna organizację wystawić przeciw organizacji i w imię określonych ideałów prowadzić walkę z istniejącym ustrojem społecznym. Takie jest zdanie partii robotniczej walczącej pod sztandarem socjalizmu. Ona tworzy przeciwwagę innym klasom społecznym i kładzie tamę reakcyjnym dążnościom. Dążąc do radykalnej zmiany społecznego ustroju partia robotnicza w czasie teraźniejszym prowadzi robotę przygotowawczą do tego. Zadanie jej polega na tym, żeby pobudzić robotników do świadomego odnoszenia się do swych interesów i powołać ich do wytrwałej obrony praw swoich. Partia robotnicza dyscyplinuje i organizuje klasę robotniczą i prowadzi ją do walki z rządem i uprzywilejowanymi klasami. My dążyliśmy do wywołania ruchu robotniczego i do zorganizowania partii robotniczej w Polsce. Na ile usiłowania nasze były uwieńczone powodzeniem, wy, panowie, osądzić możecie na podstawie danych, które śledztwo

sądowe wyjaśniło. Przed wami defilował długi szereg świadków ze stanu robotniczego. Pamiętacie, sędziowie, w jaki sposób badała ich prokuratura, jak domagała się pożądanych dla niej zeznań. Wy pamiętacie także, co odpowiadali ci świadkowie na zadane im pytania: co oni wiedzą o dążeniach partii „Proletariat"? Odpowiedzi ich dają się podciągnąć pod jedną ogólną formułę: partia dążyła do polepszenia bytu robotników i wskazywała środki osiągnięcia tego. Sympatie robotników po naszej znajdują się stronie. Dumni jesteśmy świadomością, że rzucone przez nas ziarno głęboko zapadło i puściło korzenie. Wśród robotników wielu było słabych, którzy uchylili czoło przed siłą i zdradzili swą sprawę; lecz bądźcie przekonani, sędziowie, że w chwili stanowczej, nawet ci słabi i zahukani ludzie staną po naszej stronie!

My — wrogowie rządu, ale nie jesteśmy patriotami w politycznym znaczeniu tego słowa i nie podnosimy kwestii narodowej. My — wrogowie klas majętnych i uprzywilejowanych, które w kraju naszym dzięki swemu rozwinięciu i tradycjom politycznym są silnym i niebezpiecznym przeciwnikiem. W działalności naszej my przede wszystkim propagowaliśmy zasady socjalistyczne wskazując robotnikom ideał przyszłego ustroju, do którego oni dążyć powinni. Prowadziliśmy także agitację w imię codziennych interesów klasy robotniczej, dowodząc robotnikom, jak za swoimi sprawami obstawać mają i czego się dobijać w danym wypadku. Że agitacja nasza nie była bezowocną, dowodem służy cofnięcie rozporządzenia warszawskiego oberpolicmajstra o rewizjach sanitarnych u kobiet pracujących w fabrykach.

Pan prokurator zarzuca „Proletariatowi" jego terrorystyczny kierunek i nalicza cztery kategorie terroru, przez partię dokonywanego, a mianowicie: terroryzm proklamacyjny, zasadniczy, dzielący się na polityczny i ekonomiczny, wewnętrzny i zewnętrzny. Nie podobna przy tym nie zauważyć, że pan prokurator posługuje się nieco przestarzałą logiką niemieckich metafizyków, u których kilka nierealnych pojęć dowodziło egzystencji jednego realnego. Wyrażenia „terror proklamacyjny" jest oczywiście niczym więcej, jak zbyt śmiałą grą słów. Pod terrorem rozumieją się takiego rodzaju czyny gwałtowne, które skierowane są przeciwko osobom reprezentującym pewien system polityczny. Rzecz prosta, że do tego, co panu prokuratorowi podoba się nazywać terrorem wewnętrznym i zewnętrznym, tj. zabójstwa zdrajców i szpiegów, nazwa terroryzmu nawet nie może być zastosowaną. Z istnieniem tajemnej organizacji jest związaną konieczność przedsiębrania pewnych środków dla ochronienia swego bezpieczeństwa. Jest to do tego stopnia naturalnym, że w statutach sławnego stowarzyszenia tajemnego Illuminatów, do którego należały koronowane osoby i nawet papieże, znajdował się paragraf karzący śmiercią za zdradę.

W końcu pan prokurator mówi o terrorze zasadniczym, dzielącym się na polityczny i ekonomiczny. Ale żaden z czynów partii istotnie dokonanych nie podpada pod tę kategorię. Gdzież ten szereg zabójstw i zamachów na prywatne i urzędowe osoby, o którym tak patetycznie mówi oskarżenie.

Wypada mi rozjaśnić błędne i zaplątane pojęcia pana prokuratora o terroryzmie politycznym i ekonomicznym.

Terroryzm polityczny jest jednym ze środków politycznej agitacji. Wymierzony on zostaje, jeśli się można tak wyrazić, przeciwko pewnym posterunkom rządowym (*prawitielstwiennyje posty*) i dąży do podkopania i zburzenia danego systemu politycznego.

Terroryzm ekonomiczny uderza w ludzi, którzy zajmowanego przez siebie stanowiska używają ze szkodą robotników, ciemiężą ich, naigrawają się nad ich godnością człowieka. Oczywiście więc terroryzm ekonomiczny ma do czynienia nie z systemem, a z pojedynczymi jednostkami.

Niedorzecznością jest przypisywanie nam zamiaru wprowadzenia nowego ustroju społecznego za pomocą zabójstwa. Dla nas zabójstwo jest wstrętne; czymże wytłumaczyć, że ludzie obdarzeni najbardziej altruistycznymi skłonnościami, łagodnego charakteru i niezdolni do przyprawiania bliźniego swego o najmniejszą szkodę, wstępują w nasze szeregi i często winnymi się okazują krwawych zbrodni?

Działanie za pomocą środków gwałtownych jest smutnym, ale nieuniknionym następstwem wadliwości dzisiejszego ustroju. Terroryzm ekonomiczny nie jest bynajmniej środkiem dopięcia naszych społecznych zadań; ale przy pewnych warunkach jest on jedynym środkiem walki ze złem, wkorzenionym we współczesnym systemie społecznym.

Nie mogę dać lepszego określenia ekonomicznego terroru, jak powoławszy się na słowa mojego towarzysza i współoskarżonego Mańkowskiego, które z tego powodu na sądzie przez niego wypowiedzianymi zostały. Gdy robotnik wyjęty jest spod opieki prawa, gdy prawodawstwo nie reguluje zachodzących pomiędzy nim a pracodawcą stosunków, gwałt z jego strony jest często jedynym środkiem obrony własnej; to co jest skutkiem wtedy tylko zniknie, gdy usunięta zostanie wywołująca go przyczyna.

Objaśnię to przykładem. W końcu przeszłego i na początku teraźniejszego stulecia klasa robotnicza w Anglii była zupełnie wykluczona z życia politycznego i niczym nie zabezpieczona przeciwko samowoli fabrykantów; wtedy terroryzm ekonomiczny był powszechnym objawem w tym kraju i angielskie związki robotnicze (*trades unions*) dopuszczały się go systematycznie. Kiedy zaś w na-

szych czasach wprowadzone zostało prawodawstwo fabryczne i wolność polityczną rozszerzono na robotników, wtedy terroryzm ekonomiczny ustał sam przez się i związki robotnicze w Anglii w czasie teraźniejszym znajdują się pod opieką prawa.

Nie pomogą sztuczne środki, terroryzmowi ekonomicznemu jedynie zapobiec może usunięcie warunków, które go wywołują. Podjąwszy się sprawy bronienia robotników od ich ciemiężycieli partia socjalistyczna zmuszona jest pogodzić się z koniecznością; ale jej staraniem być powinno, żeby trzymać na wodzy naturalne uczucie rozbudzonej mściwości robotników, zastąpić je względami sprawiedliwości, i w ten sposób zmniejszyć ilość ofiar ekonomicznego terroryzmu. Prokuratura wskazuje na straszliwą szkodę i przelew krwi, które mogą mieć miejsce na skutek działalności partii w tym kierunku. Ale szkoda ta jest niczym w porównaniu ze zgubnymi następstwami dzisiejszego ustroju społecznego. Na podstawie zebranych przez Pogożewa danych statystycznych okazuje się, że rokrocznie w Rosji 20 procent ludności robotniczej ulega chorobom traumatycznym, skutkiem pokaleczenia od maszyn i innych narzędzi. Tymczasem, ilość rannych żołnierzy podczas rosyjsko-tureckiej wojny 1887 r. nie przenosiła 7 procent ich ogólnej cyfry. W ten sposób wojna pociąga za sobą mniejsze ofiary, niż te nienormalne warunki, w których obecnie znajduje się ludzka praca.

My organizowaliśmy klasę robotniczą do walki z teraźniejszym ustrojem. My nie organizowaliśmy przewrotu, lecz organizowaliśmy dla przewrotu. My wiemy, że wzrastające antagonizmy społeczne i nabrzmiewające na ciele społecznym rany nieuniknienie do wybuchu doprowadzą. Wiemy także, jak straszne następuje spustoszenie, gdy nędza doprowadza masy ludowe do ostatecznych granic rozpaczy i rozhukane żywioły z szaloną siłą rzucają się na istniejący porządek rzeczy. Właśnie dlatego zadaniem naszym jest przygotować klasę robotniczą do rewolucji, ruch jej uczynić świadomym i ująć w karby organizacyjnej dyscypliny, wystawić określony program celów i środków. Czy można działalność naszą nazywać „spiskiem uknutym w celu gwałtownego wywrotu istniejącego porządku państwowego, ekonomicznego i społecznego"?

Odpowiem porównaniem. Przedstawcie sobie, sędziowie, potok górski, który z alpejskich gór spływa w sąsiednie jezioro; prąd tego potoku unosi z sobą i ziarnka piasku, i leżące na dnie kamienie. Kiedyś żwir ten pokryje dno jeziora, i stanie się ono płytkie. W szklance wody tego potoku znajduje się bezgranicznie mała cząstka tego piasku, który jezioro zapełnił. Nie podobna jednej szklance wody, będącej bezgranicznie małą częścią tej siły, która działała w przeciągu olbrzymiego periodu czasu, przypisywać skutku, który jest wypływem objawu w jego całości.

My nie stoimy ponad historią, my ulegamy jej prawom. Na przewrót, do którego dążymy, my patrzymy jak na rezultat rozwoju historycznego i społecznych warunków. My przewidujemy go i staramy się, żeby nie zastał nas nieprzygotowanymi.

Skończyłem, sędziowie. Jedno mam tylko jeszcze do powiedzenia. Jakikolwiek bądź wyrok nad nami zawiesicie, proszę was, nie oddzielajcie losu mojego od losu moich towarzyszy. Ja zostałem aresztowany wcześniej od wszystkich towarzyszy. Ale co przez nich dokonanym zostało, ja sam uczyniłbym, jeślibym był na ich miejscu. Uczciwie służyłem swej sprawie i gotów jestem za nią życie położyć.

(Mowa Waryńskiego była ilustrowana wielką ilością danych statystycznych i historycznych przykładów, które tutaj zostały opuszczone.)

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

ELEGIA O ŚMIERCI LUDWIKA WARYŃSKIEGO

Jeżeli nie lękasz się pieśni
stłumionej, złowrogiej i głuchej,
gdy serce masz męża i jeśli
pieśń kochasz swobodną — posłuchaj.

Szeroka, szeroka jest ziemia,
gdy myślą ogarnąć ją lotną,
szeroko po ziemi więzienia,
głęboka w więzieniu samotność.

Już dziąsła przeżarte szkorbutem,
już nogi spuchnięte i martwe,
już koniec, już płuca wyplute,
lecz palą się oczy otwarte.

Poranek marcowy. Jak cicho.
Jak dziwna się jasność otwiera.
I tylko tak ciężko oddychać,
i tylko tak trudno umierać,

Posępny jak mur Schlisselburga,
głęboki jak dno owej ciszy,
zza krat, z więziennego podwórka
dobiega go śpiew towarzyszy.

I słucha Waryński, lecz nie wie,
że cienie się w celi zbierają,
powtarza jak niegdyś w Genewie:
— Kochani... ja muszę do kraju...

Do Łodzi, Zagłębia, Warszawy
powrócę zawzięty, uparty...
ja muszę... do kraju, do sprawy,
do mas, do roboty, do partii...

Ja muszę... — I śpiew się urywa,
i myśli urywa się pasmo.
Ta twarz już woskowa, nieżywa,
lecz oczy otwarte nie gasną.

Gdzieś w górze krzykliwy i czarny
rój ptactwa rozsypał się w szereg,
jak czcionki w podziemnej drukarni,
gdy nocą składali we czterech...

Fabryka Lilpopa... róg Złotej...
Żurawia... adresy się mylą...
robota... tak, wiele roboty...
i jeszcze — dziesiąty pawilon...

Ach, płuca wyplute nie bolą,
śmierć w szparę „judasza" zaziera,
z ogromną tęsknotą i wolą
tak trudno lat siedem umierać.

Wypalą się oczy do końca,
a kiedy zabraknie płomienia,
niech myśl, ta pochodnia płonąca,
podpali kamienie więzienia!

Raz jeszcze się dźwignął na boku:
— Ja muszę... tam na mnie czekają... —
i upadł w ostatnim krwotoku,
i skonał, I wrócił do kraju.

W SZPONACH TĘSKNOTY

Śnieżyste zamiecie coraz grubszą warstwą przysypywały jurtę Pawła i tylko wijący się dym nad kominem zdradzał obecność w niej ludzkiej istoty. Otaczała ją niczym niezmącona, bezdźwięczna cisza, którą tylko niekiedy przerywały szmery, zwykłe w tych śnieżnych pustyniach. Czasem zając, biegając po lesie, wskakiwał na ten biały pagórek i zdziwiony grającymi w jego wnętrzu dźwiękami, pochodzącymi od lekkiego brzęku naczyń, stłumionego śpiewu lub odgłosu kroków ludzkich, stawał słupkiem, nastroszywszy długie uszy, cały biały i puszysty jak śnieg; lub lis w biegu, zatrzymując się nagle z łapką wzniesioną do góry, z ostrą mordeczką wytkniętą naprzód i kitą wleczoną po ziemi, zdawał się nasłuchiwać, sam kolorowy, czarny lub czerwony jak osmolony pień modrzewiowy albo też popielaty jak cień, rzucony na słońcu przez gałązki obciążone śniegiem. Tych gości swoich spotykał Paweł wychodząc po drzewo lub na przechadzkę; wówczas starał się jak najdłużej ich nie płoszyć, gdyż przyjemnie mu było widzieć je migocące wśród obumarłej przyrody, niby ostatnie życia iskierki. Zwierzęta przerażały się jego widokiem i znikały w mgnieniu oka lub zatrzymywały na chwilę przypatrując się, a zadowoliwszy ciekawość uchodziły bez pośpiechu, kryjąc się pod koronkowe, białe od szronu arkady zarośli. Mógłby był widywać je częściej, gdyby nie zaniechał wędrówek swoich po lesie; przychodziło opłacać je tylu przykrościami, że przechadzka traciła swój powab. Przeciwko zimnu, śnieżnej zawierusze trzeba było otulać się w ciężką odzież zimową; tamowała swobodę ruchów, a szalik lub maska futrzana na twarzy, niezbędne dla zabezpieczenia nosa od odmrożenia, utrudniały oddech. Co za cel przy tym brodzić po tych martwych, białych cmentarzach, gdzie choć ujrzał zająca lub stado kuropatw, strzelać do nich nie mógł, gdyż w dni jasne i mroźne licha, zardzewiała jego rusznica groziła pęknięciem za każdym wystrzałem, a kiedy było pochmurno i cieplej, nie radzono mu i sam nie śmiał oddalać się bardzo, gdyż w każdej chwili zerwać się mogła zamieć i powrót do domu uczynić niemożliwym. Chodził tylko niekiedy ludzi odwiedzić, gdy była tego konieczna potrzeba lub tęsknota za ludzką twarzą wygnała go z domu, letnik jego bowiem stał na uboczu i drogi zimowe do niego nie docierały, ale musiał wracać prędko, by nie dać zupełnie przemarznąć jego pustej i tak już zimnej, bo dla jednego człowieka za obszernej jurcie. Sąsiedzi pojawiali się u niego bardzo rzadko, także zapewnie dla wyżej wymienionych przyczyn, a może i dlatego, że nie umiał ich pociągnąć, zaciekawić; po całych więc tygodniach nie widział ludzkiej twarzy, żył jak więzień mając zawsze przed oczyma też

same okopcone pochyłe ściany, te same przedmioty i książki, wokoło siebie ciszę, lody, śniegi, a za jedynego towarzysza wesoły, różowy ogień na kominie wciąż coś szepczący, wyśpiewujący.

Myśl człowieka w takich warunkach przestaje być pokorną jego sługą, staje się ruchliwą i samowolną zmuszając twórcę swego uważać ją za coś odrębnego, za przyjaciela, natręta, wroga, za coś, do czego można uśmiechać się, z czym można rozmawiać, sprzeczać się, czego można lękać się, a nawet nienawidzieć.

Paweł nieraz łapał się na tym, jak dowodził głośno lub zrywając się trząsł ręką i szeptał... Wtedy ogarniało go przerażenie. Książki przestały być dla niego zbiorem cudzych myśli, on je chwalił głośno lub ganił, jak życiem i świadomością obdarzone istoty; niekiedy z gniewem i klątwą rzucał na ziemię, a choć zawstydzony natychmiast podnosił, zdawało mu się zawsze po takim wybuchu, że się ocknął nad brzegiem jakiejś otchłani, której głębia pociąga go i pochłonięciem grozi. Wszelkimi siłami bronił się przeciwko temu uczuciu, uważał na siebie, starał się prowadzić regularne życie, drwa rąbał, na niedalekie przechadzki chodził i poczty z utęsknieniem wyglądał. Ale dni mijały jeden za drugim, nic się nie zmieniało, a poczucie przygnębienia i nieokreślonej trwogi wciąż rosło.

W chwilach trudniejszej, ciężkiej walki uciekał do sąsiadów.

— A!... ruski! — witali go. — Rozpowiadaj! Co porabiasz?

— Poczta nie przyszła?

— Nie... albo co? Hej, kobiety! rzućcie drew na ogień! niech się cudzoziemiec rozgrzeje. Biedaczysko, jeszcze brody swej z lodu nie oskubał, a już o pocztę pyta! Cóż słychać u ciebie, w twej chacie? Gadaj! Co nowego?

— Nowego? ja właśnie przyszedłem do was się dowiedzieć.

— Co u nas być może? taż bieda, taż ryba, taż ciemność i zima!

— I u mnie toż samo!

Siadał za stołem, pił herbatę i w jednej chwili dowiadywał się nowin z całego tygodnia: u Filipa oszczeniła się suka pociągowa, przodownica; szczenięta są przepyszne, wszyscy o nie proszą, ale stary nie daje. „Długi" upuścił w przerębel żelazny drąg, dostać go nie mogli; znowu w tym jeziorze ryby łapać nie będzie można; z tym nicponiem zawsze bieda, tylko mu figle w głowie. „Kozakowi" lisy czy też wilki zjadły lisa, ubitego samostrzałem, zostawiwszy ogon tylko. Nie wiedzie się człowiekowi, och! nie wiedzie!

W miarę jednak, jak wszystko dokoła stygło i zasypiało, ubożały i te nowiny, tak pod względem treści, jak liczby. Często, wysłuchawszy ich, wracał do domu bardziej jeszcze smutny, stęskniony, niż wyszedł. O poczcie nie było słuchu, widocznie w mieście nie śpieszyło się nikomu, a wysłany przez gminę Jakut obiecywał wrócić dopiero około Bożego Narodzenia.

Minął wrzesień, ubiegła połowa października; burze i zamiecie ustąpiły miejsca pogodnym, mroźnym dniom, coraz krótszym oraz nocom ciemnym i coraz dłuższym; skróciły się przechadzki Pawła, a dalsze wycieczki zupełnie ustały. W chacie starej, zbudowanej dla letniego użytku, było coraz niewygodniej. Pomimo iż Paweł, drew nie żałując, suty podtrzymywał ogień, szalone zimno ze dwora czyniło tu powolne, ale nieustanne podboje. Przede wszystkim zawładnął mróz drzwiami i sąsiednimi im kątami, następnie przeniknął w zasunięte w cień lub daleko od komina leżące tajniki; stamtąd już, korzystając z każdego roweczka, z każdego załamu, wysyłał na wszystkie strony forpoczty białej, lśniącej pleśni. Forpoczty te rosły, płatały się jak żyłki, wypełniały ciałem, aż zdobywały pozycję, z której, jak z twierdzy obronnej, dalej prowadziły zabory. Paweł nie mógł znosić widoku tych białych plam, coraz szerzej rozlewających się po ścianach. Gdy poruszony, z sercem niespokojnie, choć bez przyczyny, bijącym, przechadzał się ze spuszczoną głową lub siadał zadumany, a oczy jego mimo woli na nie padały, tracił wówczas panowanie nad sobą; zdawało mu się, że nie jest sam, że ta pleśń lodowa, to setki wybladłych źrenic jakiegoś potwora czyhającego na jego życie, bez zmrużenia powiek przypatrują się mu z ciemności. Wprędce przed zimnem musiał uciekać ze stołem i książkami na środek izby, bliżej komina. Przestrzeń z każdym dniem malała, a Paweł, którego walka ta poczynała dziwnie drażnić i roznamiętniać, wciąż się krzepił licząc dni do przybycia poczty. Przypomniał sobie, że niedaleką była pora jednej z urzędowych, cztery razy do roku do Dżurdżuja wysyłanych poczt, pocieszał się, że na nią to pewnie czekają, aby od razu wysłać mu wszystko: i to, co przyszło, i to co przyjść miało. Posłaniec gminy powinien był wrócić też niezadługo.

Tymczasem zabrakło mu światła, wyczerpał się zapas świec i w tym białym grobowcu jeden tylko pozostał mu sprzymierzeniec: ogień, który w ostatnich czasach niezmiernie polubił, czcił i za żywą nieledwie uważał istotę. Dni były tak ciemne, tak krótkie, że czytywał wyłącznie przy jego blasku, co było powodem silnych bólów głowy oraz ciągłego łzawienia oczu. Taki stan rzeczy nie mógł trwać długo. Konieczność zamieszkania gdzie indziej stawała się co dzień oczywistszą, bez względu na to, jak długo miał tu jeszcze pozostać i czy to będzie dla innych dogodnym. Wreszcie, pewnego poranku, wyłatawszy podarte obuwie, odzież, związawszy naczynia i pościel, a książki ułożywszy do pudła, rozpalił ostatni, pożegnalny ogień, poczekał, póki się nie wypalił, i wyszedł, by więcej nie wrócić. Poszedł do Ujbanczyka na drugi koniec doliny.

Stary Mateusz i jego żona przyjęli Pawła uprzejmie, chłopak nawet się ucieszył.

— Przyszedłeś nareszcie! A ja myślałem, że się gniewasz albo o nas zapomniał. Słyszymy, chodzisz do Filipa, do Foki, do Kozaka, a do nas i do Andrzeja nosa nie pokazujesz.

— Do was daleko — z uśmiechem odrzekł Paweł — a Andrzej za wielki pan, żeby do niego tak często zachodzić. Ale dlaczegoś ty do mnie nie przyszedł?

— Ja nie miałem czasu nosa utrzeć. Siano musiałem wozić, drwa rąbać, sieci pilnować, reny zbierać, wszystko na dwa domy: na naszą i na Andrzeja! Dżjanha dopiero niedawno wrócił.

— Więc Dżjanha wrócił?

— A jakże! u Andrzeja... odrabia!

Ojciec i syn roześmieli się.

— A wiecie? — niespodziewanie odezwał się Paweł — ja do was ze wszystkim się wybrałem.

— Ze wszystkim — powtórzyli zdumieni. — A dom twój? A gromada?

Powiedział im, jak się rzeczy miały.

— My z całej duszy radzi ci jesteśmy, ale nie możemy tak wbrew wszystkim. Gromada może się rozgniewać i odmówić ci zapasów, my ludzie ubodzy, sobie zaledwie wystarczamy... Głównie tu Andrzej, on mąci! Od czasu, jakeś go sponiewierał, odmówił z nim mieszkać, nie dopuści, abyś spokojnie u kogo wysiedział.

Długo naradzali się we troje, gdyż nawet stara Mateuszowa wzięła udział w ogadaniu tak ważnej sprawy. Paweł tylko sam milczał.

— Więc niech mię wiozą do miasta! — wyrzekł nareszcie chłodno.

— Do miasta to cię pewno bez pozwolenia nie powiozą, ale w domu na wskroś zastygłym też siedzieć nie możesz... Nie ustawa! — oburzył się wreszcie Mateusz. — Zostań u nas do czasu. Jutro pójdę do Filipa, bo on teraz książę w zastępstwie Andrzeja, objaśnię mu, jak i co, a tymczasem może wróci i tamten, to zbierzemy wiec. Zgoda?

— Czyż Andrzeja nie ma?

— Pojechał, a jakże! Dżjanhę zabrał, Morę zabrał. Nad morze pojechali z całym obozem.

— A ospa?

— Coś nie słychać, ucichło. A może i nigdy nie było. U nas, u Jakutów, puszczają niekiedy baśnie, ot, tak sobie, bez żadnej potrzeby. A stamtąd, z tundry nikt przecie nie przychodził, nikt nie wie. Gadali, gadali, a później przestali. Andrzej nie może na taką gadaninę zważać, jechać musi, gdyż inaczej od razu zbankrutuje. Z tego on się przecie głównie bogaci — poważnie objaśniał Mateusz, a Ujbanczyk słowo w słowo mowę ojca tłumaczył.

Nazajutrz czarownik udał się, jak był obiecał, do Filipa, a syn jego, nie czekając rezolucji, pożyczył psów u Andrzejowej i przywiózł rzeczy Pawła.

— Niech sobie co chcą gadają, już ja ojca uproszę, żebyś u nas pozostał. Da Bóg, nie zubożejemy, nawet jeśli odmówią pomocy. Niepotrzebnieś tylko dał kwity. Ja ci mówiłem: zawsze proś, a nic nie dawaj! U nas to we zwyczaju, że każdy ciągnie wiele może, a inni mu nie dają. Ty zaś na wszystko się zgadzasz. Ot i źle... nie wychodzi!

Było w tym dużo słuszności, Paweł jednak wątpił, żeby się kiedykolwiek nauczył z pleców innych na swoje barki coś ciągnąć.

— Mój drogi chłopcze, już ja urodziłem się taki krzywy — odrzekł z uśmiechem.

Jakut spojrzał nań gapiowato i uśmiechnął się także.

Wieczorem powrócił Mateusz z oznajmieniem, że zebrali małą naradę i ta orzekła: „niech mieszka, gdzie chce, ale do miasta jechać zakazano, nie powiozą go prędzej, aż przyjdzie na to pozwolenie".

— A jeżeli zupełnie nie przyjdzie? — zawołał. — Wtedy pójdę piechotą!

— Piechotą! Bój się Boga! W taki mróz! Toż my, Jakuci, boimy się chodzić daleko, a cóż dopiero ty! Drogi nie znasz, gdzie ludzie mieszkają, nie wiesz... Nie ustawa! oj, nie ustawa! Nie puści cię gromada, nie puści; jej, myślę, także nie pochwalą, jeśli zmarzniesz.

Paweł więcej już tej kwestii nie poruszał, a choć nie porzucił myśli pieszej wędrówki, czekał cierpliwie, póki sił stało, na inne rozwiązanie sprawy.

Teraz, zająwszy suchy, ciepły, choć niezbyt czysty kącik w jurcie Mateusza, wśród przyjaznych dla siebie ludzi, poweselał trochę i odżył.

— A cóż? widzisz, zawsze ci tu weselej. Drzewo tuli się do drzewa, zwierz do zwierza, a człowiek do człowieka. Taka to już im wszystkim z góry nadana ustawa — prawił poczciwy Mateusz, a Ujbanczyk dorzucił z uśmiechem:

— I lepiej tu panu będzie choć trochę, myślę. A to w pańskiej jurcie biało, jak solą posypał. Wszyscy się dziwią, żeś mógł tam wytrzymać.

— Dziwią się? — powtórzył Paweł z uśmiechem — mówisz, że się dziwią. Niedawno przecie nie dziwili się wcale.

Ale życie zbyt słabo pulsowało w jurcie czarownika, aby na długo podtrzymać chwilowe podniecenie gasnących sił cudzoziemca. Tu spano długo, jedzono nędznie a często, do gawędy też niemałą objawiano ochotę — tylko tłumacz nie zawsze był obecny.

Ujbanczyk prawie ciągle był poza domem; to oglądał w lesie swoje samotrzaski i pułapki, to u Andrzejowej koło domu porządki robił lub u którego z sąsiadów pracował jak każdy z młodych ludzi w ogóle. Wracając do domu tak był zmęczony i śpiący, iż trzeba było nie mieć sumienia, żeby go jeszcze męczyć tłumaczeniami.

O nauce nie wspominał też jakoś, ale nie dla braku czasu i światła, jak to Paweł z początku myślał. Ujbanczyk wolał spać lub siedząc przed ogniem wygrzewać plecy, wówczas nawet, gdy udało się u sąsiadów wyprosić rybiego tłuszczu do kaganka. Tajga tak skamieniała, że nic z niej nie było można „dobyć", mógł więc chłopak w domu siedzieć. Gawędy jego z Pawłem, po dawnemu szczere i przyjacielskie, utraciły jednak namiętny swój, barwny charakter; stały się krótsze i powszednie. Przestał się pytać o to, jak żyją na południu i zachodzie, o czym tam myślą i do czego dążą. Jeśli zaś napadło go „uczone", jak nazywał, usposobienie, brał ewangelię i, schylony przed ogniem, bąkał jej pełne znaczenia, a po jakucku dziwnie jakoś brzmiące słowa. Nie dbał jednak widocznie o znaczenie tego, co czytał, i zaczynał zawsze z największą fantazją znany prawie na pamięć rozdział o tym, że „Abraham zrodził Izaaka, Izaak Jakuba, a Jakub Judę". Ciekawość jego przybrała także dawny kierunek i rozpoczęły się znowu pytania:

— Z czego się robią filiżanki?

— Z czego papier?

— Żelazo?

— A proch?

— A perkale?

A każdej odpowiedzi towarzyszyły wykrzykniki:

— Tak! tak! A jakże! Patrzcie państwo!

— Ty, Ujbanczyk, zbyt łatwo się zniechęcasz. Jedna próba z jęczmienia — próbował serio pogadać z nim Paweł.

— Kiedy bo nie to! — przerwał mu chłopak z nietajoną przykrością. — Co tam jęczmień. Ale widzi pan, każdemu coś przeznaczone, ja o tym myślałem: myśmy Jakuci!...

— Cóż z tego, żeście Jakuci? Z czasem wszystko odmienić się może i my...

— Wtedy nas nie będzie. Cóż nam z tego? Nie, już my Jakuci! — upierał się chłopak.

Paweł w sporach z nim nie mógł używać tych argumentów, jakimi zwykle walczył z własnym fatalizmem; dał mu więc pokój i by go boleśnie nie ranić, unikał w rozmowie potrąceń o ponętne obrazy lepszego życia.

W nim samym jednak obrazy te nie umierały ani na chwilę; im noce były dłuższe, zimno dotkliwsze, im otoczenie stawało się bardziej bezbarwnym, czczym, tym jaskrawiej i natrętniej występowały one przed oczyma jego wyobraźni prześladując go we śnie i na jawie.

Dziwny zaiste widok musiał przedstawiać dla krajowców ten białolicy, niską temperaturą, brakiem światła i wrażeń przygnębiony człowiek, gdy w aresztanckim kożuchu, w futrzanej czapce na głowie, we włochatych „torbasach" na nogach, wychudły, blady, odrapany i brudny przechadzał się niepewnym krokiem po jurcie, oświetlonej zaledwie tlejącym ogniem. Cierpiący, zdenerwowany, nie zadowalał się on już pewnością, że przyjdzie czas, gdy „na ziemi zakwitnie pokój, a w sercach ludzkich życzliwość", że wieki wieków przeżyje szczęśliwie owo stugłowe bóstwo, któremu oddał się w ofierze. On już chciał więcej, już przemyśliwał o sposobach odmienienia tak zwanego naturalnego biegu rzeczy, o ujęciu wrogich sił w karby, przeciągnięciu w wieczność bytowania ducha, zrobienia człowieka osią świata i jego ogniskiem.

Jakuci chrapali, ogień gasł, a on błądził w ciemnościach i mruczał pod nosem:

— Cóż!... Gdy ustanie wewnętrzna walka społeczeństw, gdy wszystko się ułoży, wyjaśni, współczuciem spoi, jedną myślą przewodnią poświęci, to oswobodzi się taka olbrzymia masa woli i rozumu, używana obecnie na walkę o kęs chleba, że my pojęcia o tym nie mamy. Ona będzie w stanie przedsięwziąć i przeprowadzić, co zechce! Dość, by ludzie zdołali jeden maluchny etap kosmiczny na swoją korzyść wyzyskać, byle było o co ręce zaczepić... Jakieś nowe drżenie eteru zamienić w ruch... Wszechświat wtedy wezmą za łeb i wpływ swój na gwiazdy rozszerzą... Nawet teraz... prawdopodobieństwo owego zwycięstwa nie mniejszym jest dla nas, niż przebicie góry Cenis dla ludzi kamiennego okresu, a przecież... — dużo jeszcze zostało...

I rósł, spodziewał się, wątpił, ale częściej wprost wierzył, że tak się stać musi; świetlane perspektywy nieśmiertelności, wszechmocy, doskonałości odsłaniały się przed fosforycznie błyszczącymi oczyma. Jakuci jednak nie wiedzieli, co on tak szepcze, dlaczego nie śpi, więc kiedy targany złowrogimi przeczuciami, wyciągnął ręce do jakichś wymarzonych współbraci i w uniesieniu wołał: „O, kochajcie się! kochajcie! gdyż to jedno zbawić was może, gdyż nie ma dla was wyboru i musicie zwyciężyć lub umrzeć" — stary Mateusz, słysząc bardziej gromkie słowa, szturchnął w bok śpiącą obok niego Mateuszową, a ta wysuwając się pośpiesznie spod zasłony, rozniecała niezwykle suty ogień (choć skąpiła opału żałując pracy syna) i siedząc przed kominkiem na wpół odziana, ostrożnie, długo śledziła za krokami cudzoziemca.

— Czego wy się mnie boicie? — uspokajał ich Paweł zauważywszy te manewry. — Nie bójcie się, ja wam nic nie zrobię. Ja z nudów, ot tak gadam sobie, piosneczkę nucę. Nikomu, myślę, to nie szkodzi...

— Ależ nie! Co za grzech! Wcale się nie boimy, a tylko zimno coś się zrobiło w jurcie — uniewinniali się starzy.

— Wybacz im, pan, oni tak... od swojej głupoty! — za rodzicami wstawiał się Ujbanczyk, zgromiwszy ich zresztą porządnie, tak, że nie śmieli więcej zdradzać przestrachu.

Paweł słyszał jednak, że jak tylko chodzić zacznie, westchnie lub poruszy się głośniej, to gospodarstwo na ławie budzą się natychmiast i choć ogień się nie pali, nie śpią i bacznie za nim śledzą. Ognia wciąż palić nie było podobna dla braku drew; rybiego tłuszczu niewiele zbierali z powierzchni chudych zup, łuczywa nie mieli, gdyż przyrządzać go tu nie umieją; musiał więc Paweł po większej części żyć w ciemnościach, by zaś starszych nie męczyć i nie przestraszać, nie chodził, tylko leżał i milczał. Długie godziny spędzał nieraz sztywny, wyprostowany, bezsenny, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w wiszący nad nim mrok, z rękoma zarzuconymi pod głową, śledząc za sobą z niepokojem i czując, że coś zeń w przestrzeń uchodzi, chyżo, bezpowrotnie jak krew z otwartych żył ciała...

— Cóż ty, cudzoziemcze, nic nie jesz? — łagodnie strofował go Mateusz widząc go niezwykle markotnym. — Nie może przecież człowiek wciąż myśleć i myśleć. Nie ustawa! Trzeba niekiedy i uśmiechnąć się, i podjeść. Ot tak! — pochwalał, jeśli Paweł próbował się uśmiechnąć lub brał za łyżkę.

— Co mu jest? czego mu potrzeba? Nie ostatni przecież jesteśmy ludzie — niespokojnie pytał syna widząc, że jedzenie jakoś nie szło Pawłowi, a uśmiech przemknął tylko po jego twarzy.

— Albo ja wiem. Wszystko to pewnie od poczty. Jeszcze się tu u nas rozchoruje. Kiedyż bo ona przyjdzie, przeklęta! — krzyczał rozgniewany Ujbanczyk. — A i nasz człowiek guzdrze się także. Siedzi w mieście bez żadnej potrzeby; pewnie gra w karty za gromadzkie pieniądze.

— To prawda — potakiwał Mateusz — żadnego wyrozumienia nie mają, żeby tak męczyć dziecko. Oczy, wyglądając, wypatrzył!

— Ach nie! Nikt tu pewnie nie winien. Nie przysyłają, bo może nie ma co. Pieniądze otrzymał posłaniec gromadzki, więcej może nic nie ma. Towarzysze mają dość kłopotów, zapomnieli, a rodzice moi starzy jak wy. Czasu upłynęło dużo, kto wie, co się tam stało! — tłumaczył im Paweł, a jednocześnie czuł, jak spazmatycznie ściskało mu się serce.

Czas, pomimo iż dłużył się nieskończenie, uciekał szybko; zima zapadała głucha, mroźna, skrzepła; słońce nie ukazywało się już na horyzoncie, brzask różowy, który dotychczas oddzielał dobę od doby, zmalał do wąskiego, krwawego paska, na krótko ukazującego się na południowej stronie nieba. Nareszcie zniknął i ów pasek, i noc ametystowa, jednolita, nieprzerwana, milionami gwiazd połyskująca zaległa widnokrąg od końca do końca.

— Długo to tak potrwa? — zapytał Paweł.

— Czterdzieści dni.

— Do miasta! do miasta! Jeśli mnie nie zawieziecie, pójdę piechotą. Ja nie mogę, ja nie chcę. Powiecie, że was groźbami i siłą zmusiłem. Niech mię ukarzą, wyślą w gorsze strony, ale teraz niech będzie temu koniec, niech będzie koniec!

Koniec istotnie zbliżał się, ale zupełnie inny.

Jakuci, zebrawszy „małą radę", przekonani dowodzeniami Pawła, a bardziej jeszcze widokiem jego podniecenia i zdenerwowania, wysłuchawszy opowiadania Mateusza o tym, jak codziennie nie śpi, nie je, po nocach się włóczy, wściekać się zaczyna, postanowili odwieźć go do miasta nie czekając pozwolenia. Tłumaczyli się tylko, że natychmiast uczynić tego nie mogą, gdyż reny gromadzkie zabrał Andrzej i nie mieli też... podróżnej odzieży!

— Czekałeś tyle, poczekaj jeszcze dni parę. Andrzeja tylko patrzeć. On przywiezie jedno i drugie.

Musiał się Paweł zgodzić, i oczekiwanie poczty zamieniło się w oczekiwanie przybycia bogacza, bliższe, pewniejsze, a więc bardziej trawiące. Zgorączkowany, bezsenny, wstrząsał się boleśnie na każdy dźwięk niespodziany, na każdy głos lub szelest dolatujący go z zewnątrz.

— Jadą! słyszycie?

Nikt nic nie słyszał, ale on im nie wierzył. Nadziewał czapkę, kożuch, rękawice i szedł wartować na płaskim dachu jurty. Wokoło jednak cicho było, głucho, ciemno, tylko gdzieś w dali jęczała ziemia w uściskach mrozu lub gwiazda nisko w tumanach kołysała się drżąca.

(*Na kresach lasów*)

ADAM SZYMAŃSKI

* STOLARZ KOWALSKI

Zaznajomił mnie z nim przypadek; ściślej jednak rzeczy biorąc przypadek ów mógł się zdarzyć jedynie dzięki wiośnie jakuckiej, a więc tej wiośnie, o której wy, szanowni czytelnicy, macie zapewne bardzo niedokładne pojęcie.

Już od połowy kwietnia słońce w Jakucku zaczyna nieźle przygrzewać, w maju zaś, znikając z horyzontu na kilka godzin za-

ledwie, przypieka nawet wcale dobrze; dopóki jednak wielka Lena nie uwolni się ze swego okucia zimowego, dopóki nie stopnieją śniegi na tajgach dziewiczych leżące, wiosny tu nie ma jeszcze. Śniegi, nie podgrzewane ciepłem wewnętrznym ziemi na kilkaset stóp przemarzłej, lód grubości sążniowej uporczywie walczą z potęgą promieni życiodajnych i po długiej dopiero, nie słabnącej pracy, słońce powołuje do życia i najgłębsze wnętrza tajgi zapadłej, i królową wód tutejszych, babcię Lenę, jak ją zowią Jakuci.

W ostatnich dniach maja, ku końcowi walki ciepła dobroczynnego z resztkami zimy surowej, człowiek, po raz pierwszy będący w Jakucku, zauważy tu dość ciekawe, w Europie zapewne nigdzie nie obserwowane zjawisko: każdy odległy, niewyraźnie rozlegający się huk jakoś dziwnie działa na ludzi i mężczyźni zatrzymują się wtedy raptownie i zwracając się ku wschodowi w stronę rzeki, z szyjami wyciągniętymi, w skupieniu głębokim przysłuchują się czemuś chwilę.

Jeżeli słyszane odgłosy milkną lub okazują się fałszywymi, ludzie nasłuchujący rozchodzą się spokojnie, ale jeżeli huk pierwotny nie słabnie, lecz powtarzać się zaczyna i wzmaga się, i rośnie napełniając powietrze grzmotem jakby wystrzałów armatnich lub odległych piorunów, którym wtóruje szum podziemny, do ryku zbliżającej się burzy podobny, wtedy ludzie ci, przed chwilą tak spokojni, ożywiają się niezwykle; krzyki radosne: „lód pęka, rzeka ruszyła! czy słyszycie?“ rozlegają się zewsząd hałaśliwie, pośpiesznie, wszystko to rozbiega się w różne strony, aby co prędzej ludziom, w domach pozostałym, zwiastować nowinę pożądaną. Ale i do znajomych, a nawet do mało znajomych, każdy taki człowiek, co tchu zdążający ku swoim, obowiązkowo jednak zastuka rzucając wszędzie dwa słowa magiczne: „Lena ruszyła!“ Po chwili słowa owe, powtarzane i modulowane najrozmaiciej, brzmią po najdalszych domach, jurtach i podwórzach jakuckich i kto tylko chodzić i wychodzić może, ubiera się i pędzi na brzeg rzeki.

A na brzegu już tłum cały stoi i w zachwycie prawdziwym przygląda się jednemu z najwspanialszych tutaj zjawisk przyrody.

Potężne kry, parte siłą wody, płynące w siedmiowiorstowym korycie, piętrzą się w domy, góry całe, łamią się, trzeszczą, huczą i, obsypując się tysiącami, milionami igieł lodowych, grają na słońcu cudownymi blaski.

Ale dłużej trochę być tu trzeba, przynajmniej jedną zimę przemieszkać należy, aby zrozumieć, co pcha owe tłumy na brzeg rzeki.

Nie wspaniałe zjawisko je zwabia.

To ludzie, którzy w walce z zimnem długotrwałym i mrozami nieludzkimi wyczerpali już swe siły, którzy z utęsknieniem

i niecierpliwością od dawna już oczekują ciepła błogiego, biegną tu teraz, aby ujrzeć ostateczny tryumf słońca, ostateczną zagładę zimna nieznośnego.

I radość serdeczna, radość dziecinna błyszczy na żółtych twarzach jakuckich, usta szerokie, śmiejąc się dobrodusznie, jeszcze szerszymi się wydają, oczki czarne świecą jak węgle. Tłum cały jak pijany zatacza się z radości: „Chwała Bogu, chwała Bogu!" krzyczą ludzie do siebie i zwracając się ku ogromnym górom lodu, rozbijanym siłą żywiołu przyjaznego, rozkoszują się, napawają klęską wroga nieubłaganego, który teraz, naciskany falami rozhukanymi, kruszy się, miażdży i ginie.

Po ruszeniu i przejściu lodów na Lenie ziemia już prędko odmarza i jakkolwiek odmarza na dwie stopy zaledwie, przyroda śpiesznie korzysta z trzechmiesięcznego ciepła; w bardzo krótkim stosunkowo czasie rozwija się i rozkwita tu wszystko.

Wielka dolina, w której leży Jakuck, wygląda czarująco: żyzna, gdzieniegdzie już uprawna, gajami brzozowymi, mnóstwem jezior, zarośli i łąk bujnych na przemian pokryta, z okalających ją wzgórzy stromych i dość wysokich przedstawia się jak olbrzymi park, srebrną wstęgą szerokiej Leny przewinięty. A piękność naturalną doliny, jej powaby przyrodzone zwiększa jeszcze tajga ponura, zewsząd ją otaczająca: wśród ogromnych obszarów kraju dzikiego, niedostępnego, dolina ta podobną jest do oazy, wśród pustyni rzuconej.

Ale i plemię jakuckie, spomiędzy wielu innych plemion syberyjskich pod wszelkimi względami dzielniejsze, umie cenić dary słońca życiodajnego i pełną piersią z nich korzysta; wypuszczone z ciasnych i smrodliwych jurt zimowych, napełnia ono swą ziemię surową ruchem i życiem, które bije tętnem zdwojonym, pulsuje głośno i silnie. Po święcie ogólnym *ysechu* wiosennym, świąteczny i radosny nastrój ludności nie zmniejsza się wcale. Trawa rośnie jak na drożdżach, krowy i kobyły dają mleka coraz więcej i ambrozja bogów jakuckich, „kumys mocodajny", nie wysycha w *czaronach*.

Toteż sądzę, że i widok pięknej doliny, i oglądanie na każdym kroku ludzi, używających rozkoszy lata, działały na mnie podniecająco i doczekawszy się pierwszej wiosny w Jakucku używałem także jej darów całym swym jestestwem: codziennie, wychodząc za miasto, rozkoszowałem się pięknościami ożywionej przyrody, codziennie sprawiałem sobie kąpiel słoneczną.

*

W przechadzkach swych prawie zawsze odwiedziłem jaką jurtę jakucką. Jurty te, zwykle rozrzucone pojedyńczo i jakkolwiek dość daleko jedna od drugiej, spotykają się jednak w każdej stronie

i nadają okolicy, przez ludność jakucką nasiadłej, pozór więcej zaludnionej, niż to jest rzeczywiście, więcej, niż gdyby ludność ta we wsie się grupowała. W każdej jurcie zawsze można dostać zimnego mleka i kumysu. Prawda, że nigdy i jedno, i drugie nie są pozbawione odrażającego zapachu, o którym ludność tutejsza, niejakucka, wyraża się „że Jakutem trąci", ale w ciągu długiej zimy, w której o mleko niejakuckie dość trudno zwykle bywa, przyzwyczaiłem się do owego specyficznego zapachu na tyle, że i mleko, i kumys pić mogłem i pijałem teraz bez żadnej odrazy w ilości znakomitej.

Spomiędzy wielu jurt, które już zwiedziłem, najbardziej spodobała mi się jurta w ślicznym ustroniu, w lesie, na dość wysokim brzegu długiego jeziora leżąca.

Jurta ta była własnością Jakuta tak starego, że każdy na pierwszy rzut oka bez omyłki mógł go nazwać *ohontorem*.

Ohontor mieszkał tu z żoną staruszką i chłopcem wyrostkiem, dalekim swym krewnym, a dwie krowy z jałoszką, para kobył i źrebię składały cały majątek małżonków.

Wszyscy Jakuci są bardzo ciekawi i gadatliwi. Szanowny *ohontor* przymioty owe posiadał w stopniu najwyższym, a ponieważ, chociaż kiepsko, mówił jednak po rosyjsku, więc w wycieczkach swych najczęściej ku jego jurcie nawracałem.

Naturalnie *ohontor* przede wszystkim dowiedział się, kto, skąd i kim obecnie jestem. Względem Rosjanina czy to tutejszego, czy też przyjezdnego, Jakut zawsze zachowuje się podejrzliwie i jest zbyt uniżony, Rosjanin chociażby oberwany, zawsze jest dlań *tojonem*. Stosunek do Polaków bywa nierównie lepszy. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek Jakut jaki przyjął obojętnie wiadomość o tym, że jestem nie *Niucza* lecz *Bilak*.

— *Bilak, Bilak? Yczczygej dohór* — wołał zwykle najwstrzemięźliwszy. Od razu tedy stanąłem z *ohontorem* na stopie przyjaznej, a gdy jeszcze dowiedział się on, że jestem *surukśut*, że mógłbym być w razie potrzeby *surukśutem naszeżnym*, a nawet *ułusnym*, że umiem napisać prośbę do samego *goułochan tojona* — zyskałem w jego oczach wiele unikając zbytniej poufałości. Dzięki temu i mleko, i kumys dostawałem zawsze wyśmienite, a staruszka, zdejmując *czaron* dla mnie, starannie go przecierała palcami, zlizując podejrzane ślady językiem.

Otóż raz, gdym, wracając z codziennej swej przechadzki, wstąpił do nich na zwykłą porcję kumysu, znalazłem *ohontora* w stanie dość niezwykłym: był on nie tylko mowny jak zawsze, ale i wesół jak nigdy, język jego plątał się wprawdzie, ale też za to nie czuł wcale zmęczenia. Okazało się, że starzec czcigodny tylko co wrócił z miasta i widocznie *argy* ognista rozgrzała i ożywiła drętwiejące członki.

— *Bilaki* dobrzy ludzie, wszyscy dobrzy — bełkotał niewyraźnie i prędko staruszek starannie nakładając swą fajeczkę moim tytoniem — każdy *Bilak*, jeżeli nie *surukśut*, to doktor, jeżeli nie doktor, to kowal, jakiego pomiędzy Jakutami nie znajdzie. I ty widać jesteś człowiek dobry, i *surukśut* musisz być dobry, toteż wszyscy my lubimy *Bilaków* i *Sacha* zawsze pamięta, że *Bilak* brat jego... Ale nie uwierzysz chyba, mój bracie, gdy ci powiem, że to od niedawna się stało i ja ot, choć już więcej niż siedemdziesiąt traw zjadły cielęta w moich oczach, przed piętnastu jeszcze laty bałem się *Bilaków*, jak złych duchów się boję. Zobaczyłem *Bilaka*, tom umykał z drogi jak zając, co tchu starczyło, w las, w krzaki, byle dalej. I nie tylko ja, wszyscy bali się *Bilaków*, bo źle, widzisz, wtedy mówili o nich: mówili, że rogi mają, że ludzi biją i inne różności...

A gdym, dowiedziawszy się, że wieści te z miasta przynoszone były, zaczął wyrzucać staruszkowi łatwowierność zbyteczną w przyjmowaniu baśni bezzasadnych, niesprawiedliwych, *ohonior* oburzył się na mnie prawdziwie.

— Bój się Boga, czyż moglibyśmy tak na słowo puste uwierzyć temu wszystkiemu, co wtedy gadali? Jak tak już inni gdzie indziej, tego nie wiem, ale i ja, i ci, którzy tu w okolicy mieszkali, wierzyliśmy, bo od ojców słyszeliśmy, że *Bilak* każdy — człowiek straszny i niebezpieczny. A było to ot z czego.

Starzec popił z *czaronu*, pyknął z fajki kilkakrotnie i tak ciągnął dalej:

— Ojca mego jeszcze na świecie nie było i dziadek mój był chłopcem młodym, bo dopiero *kałym* dla niego zbierać zaczęto, gdy tu zjawił się *Bilak* z lodowatymi oczami, brodą dużą i wąsami ogromnymi i zamieszkał stąd niezbyt daleko, tylko nie tu w dolinie, ale tam wysoko, na górze. A była tam wtedy tajga do dzisiejszej niepodobna, zwarta, gęsta, toporem jeszcze nigdzie nietknięta. W tajdze tej jurta stała jeszcze opuszczona i jurtę tę zajął ów *Bilak*. Ale jak tylko on tam osiadł, taiga wokół na *kiesę* dobrą stała się dla ludzi niedostępna. *Bilak* po tajdze ze strzelbą chodzi i jak tylko człowieka zobaczy, choćby to i Kozak był nawet, bierze na cel i jeżeli ten nie ucieka, strzela nie na żarty, ale prawdziwie. Z czego i jak on żył? Duchy to wiedzą leśne, bo co z ludzi, to nikt tego nie wiedział. Uciekali od niego wszyscy jak od *prokazy*. Ci tylko, co go widywali, jak chodził po tajdze, do złego podobny, powiadali, że chodził z początku w ubraniu, podobnym do ubrania *tojonów* i *surukśutów* ruskich, ale później to już chodził w skórach, które widać sam sobie zeszywał. I powiadali ci ludzie także, iż coraz straszliwszy, coraz dzikszy się stawał; broda do pasa mu rosła, twarz jeszcze bielsza się robiła, a oczy to płomieniem gorzały. Tak upłynęło lat kilka. Ale w środku zimy

jakoś, w czasie mrozów największych, zdarzyło się, że *chijus* rozsrożył się zabójczy i w ciągu dni kilku nikt go nie widział; a że zwykle co dzień pokazywał się komuś z daleka, więc dano znać do miasta, aby dowiedzieli się, czy co złego z nim się nie zrobiło. Przyjechali, wchodzą ostrożnie — a *Biłak* leży na łóżku w swych skórach, cały szronem śnieżnym okryty i tylko w ręku krzyżyk mały ściska. *Biłak* był nieżywy. Może z głodu umarł, może zmarzł, a może i tak wziął go szatan do siebie? Osądźże sam teraz, czy po tym wszystkim słusznie, czy nie, baliśmy się *Biłaków*? Przed tamtym, przed jednym wszyscy uciekali, a tu od razu tak dużo ich najechało! He, he, he! Chociaż *surukśut*, ale młody jesteś, mój bracie, więc myślałeś, że ludzie bez przyczyny co robią? Wiedzże o tym, żeś się omylił; nie taki *Sacha* głupi, jak ci się wydało!

Podanie o *Biłaku*, który nie znosił nawet widoku człowieka, podanie następnie jeszcze w Jakucku z kilku ust powtórzone, wywarło wtedy na mnie silne wrażenie. Więc tu może po tych gajach, po których dziś chodzę, biegał kiedyś z bólu nadmiernego oszalały i zdziczały człowiek? Czy cierpienia jego były tak wielkie, czy dusza jego na złość i nędzę ludzką tak czułą i wrażliwą? Czy może rozłąka ze swą ziemią, z ludźmi sercu drogimi, tak złamała nieszczęśliwego?

Opanowany myślami podobnymi wracałem do miasta, nie patrząc już na nic; szedłem prędko, biegiem prawie, i biegłem tak, dopókim nie usłyszał krzyku przeciągłego i niezbyt oddalonego:

— *Kaál arè kaál!*

Z początku jak krzyku samego, tak i tego skąd on pochodzi nie rozumiałem; gdy jednak coraz wyraźniej powtarzać się zaczęło owo: *Kaál arè, kaál, dahór*, zrozumiałem, zza gaju, a raczej niewielkich krzaków przede mną leżących, wołał ktoś po jakucku: „Chodź tu, chodź, bracie".

Idąc przez zarośla domyślałem się nawet, kto to krzyczy. Ani Jakut, ani Rosjanin czy to tutejszy, czy przyjezdny, nikt tak nie przekręci słów, które czysto po jakucku wymówione brzmieć powinny: *Kel ere, dohor.*

Taką samowolą względem mowy jakuckiej odznaczają się tylko nasze Mazury. Przez cały czas mego pobytu w Jakucku nie spotkałem chłopa Mazura, który by słów powyższych nie przekręcił, nie przerobił z mazowiecka; jakby za zmową wymawiali: *„Kaál arè"*.

Rzeczywiście, już za krzakami, za mostem, przerzuconym przez wąskie jezioro czy też zamuloną odnogę Leny, w lewo od drogi zwrócony, wykrzykiwał uparcie swoje: *„Kaál arè, kaál dahor"*.

Wykrzykiwał zaś tak do Jakuta, widniejącego na skraju zarośli, po drugiej stronie wody leżących, wołał jednak na próżno, bo podejrzliwy Jakut ani myślał podchodzić.

Przekonał się widać o tym dostatecznie i ów wołający, bo gdym już był około samego mostu, krzyknąwszy mu jeszcze raz: „*Kaal arè*, psiakrew!“ przestał wołać, klnąc go tylko półgłosem: „A żebyś pęk, psia wiaro! A żebyś spuch, psi synu!“.

Zobaczywszy mnie umilkł, ale gdym zrównał się z nim i przywitał go „pochwalonym“, chłop aż przysiadł ze zdziwienia:

— O Jezusie! a z kiela ze pon bandzie?

Zaznajomiliśmy się prędko. Chłop mieszkał gdzieś w ułusie jakuckim i przyszedł do miasta, aby się nająć na robotę do kopalni złota; najął się i iść tam miał wkrótce, jako poganiacz partii bydła. Bydło to pasł on tu obecnie, a ponieważ rozbiegło się mu w różne strony i sam jeden w żaden sposób nie mógł wegnać na most rozbrykanego stada, czekał więc czy nie nadejdzie kto i nie pomoże mu trochę; w tym to celu wołał on właśnie Jakuta. Naturalnie chętnie pomogłem mu i, gdy stado, przepędzone przez most, już spokojnie szło dalej, idąc razem gawędziliśmy sobie po drodze.

Z rozmowy jakoś wypadło, żem zapytał go, u kogo zatrzymał się po przyjściu do miasta.

— Ano u Kowalskiego.

Znałem w Jakucku wszystkich Polaków, o żadnym jednak Kowalskim nie słyszałem.

— Ano u tygo stolarza Kowalskiego!

Ale i o stolarzu nie słyszałem. — Z kimże on tu zna się, do kogo chodzi? — pytać zacząłem.

— A dyć to cudok taki, to wszyscy go tu znajom, no a co som, to do nikogój nie chodzi.

— Jak to do nikogo?

— A jakże ma chodzić, kiedy ma nogi „jak stępory cyste“, bez paliców wcale, do idnego pooblatały. No to jeszcze, jak mu się nie rani, pół biedy, ale jak mu te rany pootwierają się, to już po izbie łazić nie może.

— Z czegóż on się utrzymuje?

— Ze stolarki po trochu; warsztat ma piękny i naczynia różnego dość takoż, tylo, że powiadam, jak ustać na nogach nie może, no to już i stolarka nie idzie. Wtedy to lubi bardzo, jak kto przyjdzie i ściotkę obstaluje, tyż, piękne ściotki robi i do pokojów, i do ubrania choćby, tyle, że tu pokojów takich niewiele, co ściotkami zamiatać, a i wedle ubranio tyż rzadko kto cyszczone nosi. Teraz widzę znowu zaniemógł.

— A nie wiecie, skąd on jest, czy dawno już tu?

— Dawno toć dawno, bo jeszcze ponoć i naszych tu tak dużo nie było, a on już był tutaj, ale co do tego, skąd on, kto on taki, no to prawdziwi widno, pan go nie zna, bo żeby go pan znał, to by nie dopytywał mnie o to. Widzi pan, nie tyle mnie, ale choćby

i z panów komu, choćby i księdzu, co z Irkucka przyjeżdża, jeśli go o to pytajom, zawdy on jedno powiada: „Mój bracie — mówi — sam Bóg wie dobrze, skąd ja i kto jestem, a sensu z tego nie ma nijakiego, nie będzie tyż z tego niczegój, kiedy i ty się o tym dowiesz". Ot, ma pan! więcej nikt się od niego nigdy nie dopytał.

Mimo to dokładnie dowiedziałem się od pastucha, gdzie mieszka Kowalski. Chociaż bowiem nie zdawałem sobie z tego sprawy dokładniej, dlaczego wówczas tak myślałem, opowieść o *Bilaku*, uciekającym od ludzi, i wiadomość o stolarzu kalece, także kryjącym się przed nimi, od razu związały się w mym umyśle w jedną całość. Czułem, że pomiędzy nimi zachodzi tajemniczy związek, że wszystkie rzeczy na świecie, powtarzając się czasów koleją, są zawsze do oglądania na ziemi, że więc, być może i cierpienie wielkie, o którym myślałem przed chwilą, iż skończyło się wraz ze śmiercią *Bilaka*, znajduje się tuż obok mnie od dawna, zmienione tylko może, ale nie mniejsze, również wielkie i ciężkie, również bolesne dla dotkniętego.

. . . . . .

Odtąd co tydzień prawie skierowywałem swe kroki ku jurcie, w której mieszkał Kowalski. Strużki stare, leżące około drzwi i okienek niewielkich, zawsze wystawionych ze strony słonecznej, nie odświeżały się nowymi. Czerniały one z dniem każdym, schły coraz więcej, jak czerniał i sechł może i ten, kto zastrugał je kiedyś.

I brakło mi odwagi wejść do stolarza, i znowu z niecierpliwością czekałem dnia następnego, czy nie zobaczę strużek świeżych, ale ani strużek, ani stuku roboty z wewnątrz nie było słychać...

Postanowiłem nareszcie nie zwlekać dłużej. Z zamiarem tym wyszedłem z domu i dochodziłem już do węgła jurty, gdy z wewnątrz tejże rozległ się drżący i słaby, ale dźwięczny i sympatyczny śpiew...

Usiadłem na przyzbie koło jurty i przez okna wystawione słyszeć mogłem każde słowo pieśni sentymentalnej trochę, ale smętnej i rzewnej, dość rozpowszechnionej u nas w piątym dziesiątku bieżącego stulecia:

Gdy się pola zazielenią
I wiosna wszystko ożywi... itd.

Jeszcze smętniej brzmiała druga strofka:

Lecz kto cierpi w głębi duszy,
Komu płynie łza żałosna,
Tego słowik nie poruszy,
Temu życia nie da wiosna —
Ten spokojnej chwili nie ma,
Rok mu się w porę nie zmienia,
Nie masz wiosny, gdzie cierpienia,
W tęsknym sercu ciągła zima.

Po krótkiej przerwie zaczęła się i trzecia strofka:

Kto najdroższą matkę straci,
A z nią wszystkie swe nadzieje,
Kto patrzy na łzy współbraci...

Ale tu śpiew urwał się nagle i głos surowy: „Piesiu" zawołał, „piesiu, idź, nawymyślaj Panu Bogu, nawymyślaj mu dobrze!"

Z początku nie zrozumiałem tego dziwnego rozkazu, ale gdym po chwili usłyszał na dworze cienkie ujadanie psa, ponieważ brama z ulicy na podwórze wiodąca była otwarta, wstałem więc i przechodząc koło niej, przystanąłem na chwilę.

Przed drzwiami jurty, otwartymi na oścież, piesek mały, czarny i lekki, stając co chwila na zadnie łapki, skacząc i kręcąc się, zapalczywie szczekał i skomlał ku górze, ku pięknemu, pogodnemu niebu. Naturalnie, przeszedłem dalej znowu odkładając zaznajomienie się z Kowalskim do chwili stosowniejszej.

. . . . . .

Zobaczyłem go nareszcie. Wzrostu trochę więcej niż średniego, siwy już był zupełnie i nędzny bardzo. Cera ziemista, którą odznacza się większość deportowanych w Syberii, rozwinęła się u Kowalskiego do najwyższego stopnia i aż przykro było patrzeć na tę twarz żółtą i czarną zarazem.

Gdyby nie to, że mówił on i ruszał się, trudno byłoby, szczególniej z daleka poznać, że to człowiek żywy jeszcze. A jednak pomimo tego z oczu wielkich, szerokimi, czarnymi kręgami okolonych, wylatywały czasami blaski silne, znamionujące, że wewnątrz ów trup chodzący nie obumarł zupełnie, że żyje i czuje on jeszcze.

Gdy siedział, można nawet było po pewnym czasie przyzwyczaić się do tej twarzy cierpiącej, ale ile razy wstał, odwracać się musiałem: te nogi, do „stęporów" podobne, zdawało się, przy każdym stąpnięciu sprawiają mu ból wielki.

Kowalski mówił po polsku czysto i poprawnie. W rozmowach swych starannie unikał wszystkiego, co mogłoby choć z daleka, choć pośrednio dotyczyć jego przeszłości; również starannie unikał wszelkich pytań o kraju.

Zajęty był wyłącznie teraźniejszością i psem, z którym ciągle rozmawiał. W czasie tych kilku tygodni, w ciągu których odwiedzałem go, raz tylko, gdym wspomniał coś o Płockiem, oczy jego błysnęły życiem wewnętrznym i Kowalski żywiej zapytał: „To pan zna Płockie?"

A gdym odpowiedział, że bawiłem tam rok cały, mówił ni to do siebie, ni to do mnie:

— Wszystko tam zmienić się musiało, bo to przecie czasu już tyle upłynęło! Zapewne pana jeszcze na świecie nie było, kiedy ja już do Syberii się dostałem. A w których stronach Płockiego był pan?

— Około Raciąża.

Usta otworzył, ale czy to sam spostrzegł się, że za dużo mówić zaczyna, czy może zauważył, że ja zbyt pilnie słuchać zacząłem, dość, że usta już otwarte złożył w „taak" długie i ciche i zamilkł.

Była to jedyna wskazówka, którą mi dał o sobie. Pytać chciałem i pytałbym jednak dalej, ale i od tego uchronił się delikatnie: psa zawołał i głaszcząc go pieszczotliwie, wyrzekł doń po cichu: „Idź, nawymyślaj Panu Bogu!" I długo pies posłusznie szczekał ku niebu, a jeżeli Kowalski wydawał podobne zlecenie, znak to był niechybny, że o sobie słowa już z ust nie wypuści. Tylko o psie swym w takich razach zwykł był mówić i wiele, i chętnie.

Pies ten jakkolwiek niczym szczególnym nie odznaczał się wcale, wyróżniał się jednak z gromady swych współbraci jakuckich pod wielu względami. Wyróżniało go spomiędzy nich przede wszystkim to, że chociaż był psem kochanym, miał dom i pana, nie nosił nazwiska, zwał się bowiem psem lub piesiem zwykle.

— Dlaczegoż mu pan nazwiska nie dał? — zapytałem jakoś Kowalskiego.

— A na cóż mu nazwisko? Gdyby ludzie nazwisk różnych nie powymyślali sobie, ale ludźmi zwali po prostu, może lepiej by, o tym pamiętali, że ludźmi i w życiu być powinni.

Był więc pies bez nazwiska. Nadzwyczaj lekki, zwinny i wątły, do krępych, mocnych, gęstym i długim włosem obrosłych psów miejscowych zupełnie niepodobny; sierść jego była krótka, miękka i jak jedwab lśniąca. Toteż wskutek tej swej odrębności zewnętrznej wiódł on tu życie samotne i opuszczone. Kilkakrotne próby wzięcia żywszego udziału w psim życiu tutejszym skończyły się zupełnym fiaskiem. Piesio wracał zawsze z prób tych tak pokąsany i zbiedzony, że po kilku niepomyślnych usiłowaniach skwitował ze swych instynktów towarzyskich i nie opuszczał już nigdy własnego podwórza.

Był on za to nad swój wątły organizm poważny i powaga ta nie licowała zupełnie z jego cienką i ruchliwą figurką; nie była ona spokojną, podobną do powagi psa sensata, krótkiego lub długiego, ale grubego i mocnego. W oczach piesia widniała gorycz i nienawiść ku wielkim i mocnym stworzeniom, nie umiejącym uszanować praw słabszych. Okrom też panu, ogon jego nikomu nie okazywał swej przychylności, łask postronnych nie rozumiał, nie wierzył w nie może i odpowiadał na nie głuchym warczeniem.

*

Kilka tygodni upłynęło od czasu zaznajomienia się z Kowalskim i w zdrowiu jego nie zaszła żadna zmiana na lepsze; przeciwnie, słabł on z dniem każdym i wszyscy my, cośmy odwiedzali go teraz, przekonaliśmy się, że choroba ta jest już ostatnim aktem jego życia na ziemi.

Czy Kowalski wiedział już o tym, Bóg to wie, ale wiedział zapewne, przeczuwał może koniec bliski, bo mówić prawie zupełnie przestał.

Po kilku dniach, w ciągu których chory uporczywie toczył ostatnią walkę z pochłaniającą go niemocą i jeszcze chodził po swej jurcie, a nawet dłubał coś koło paru szczotek niedawno zaczętych, ustąpił nareszcie i położył się do łóżka. Nie pamiętam już dziś dobrze kiedy, ale wkrótce jakoś potem, rano tylko com usiadł do herbaty, gdy podszedł do mego okna ślusarz, Władysław Piotrowski, najbliższy w Jakucku znajomy Kowalskiego i zapytał, czy nie mogę teraz pójść z nim do chorego, który dziś ma się źle bardzo.

— Może umrze spokojniej, gdy widzieć będzie, że nie jest zupełnie opuszczony — objaśniał mnie poczciwiec — a może też pan weźmie i książkę jaką? — dodał jeszcze na końcu.

Książki stosownej nie miałem, wziąłem więc z sobą Nowy Testament i wyszedłem natychmiast.

— Czy już tak źle z nim? — zapytałem po drodze.

— Myślę, że źle, bo sczerniał zupełnie, a sam mówił, że dziś już umrze na pewno.

Jurta Kowalskiego była niedaleko ode mnie i po chwili stanęliśmy na miejscu. W jurcie nie czuło się zwykłego przy ciężko chorym zapachu lekarstw, bo Kowalski ani doktora, ani lekarstw żadnych przyjąć nie chciał. Smutno tu było tylko jak w pustkowiu jakim: piesio skulony leżał pod łóżkiem, a koło łóżka samego, pomimo okienek wystawionych i drzwi otwartych, przykry odór ciężko chorego człowieka przypominał, że człowiek na nim leżący nie wstanie już więcej.

I człowiek ten rzeczywiście był już tak niepodobny do żywego, że gdyśmy weszli, a zobaczyli jego oczy zamknięte, sądziliśmy, że umarł już być może. Władysław podszedł do łóżka i wsunąwszy rękę pod kołdrę dotknął nóg jego. Nogi zimne były zupełnie; ale zaledwie ślusarz ruszył z powątpiewaniem ramionami, „żyję, żyję, żyję jeszcze" — odezwał się Kowalski tak głośno i dobitnie, jak nigdy jeszcze dotąd nie słyszałem — „żyję", zaczął znowu, „i dobrze, żeście przyszli, chcę pomówić z wami przed śmiercią".

Żywość i gorączkowość, z jaką Kowalski to wypowiedział, jeszcze bardziej utwierdziły nas w przekonaniu, że przyszliśmy w czasie właściwym; spojrzeliśmy więc po sobie, ale chory dostrzegł to spojrzenie i zrozumiał je.

— Wiem i ja — odezwał się zaraz — że umrę prędko, nie skryjecie więc przede mną tego, co jest mi otwartym; powiedziałem wam, że chcę mówić z wami, wiem więc, że umrę niedługo, inaczej nie mówiłbym bowiem. Bałem się, że nikt nie przyjdzie,,, bałem

się, że nikt mnie już nie usłyszy... i że Ten, co go Bogiem nazywacie miłosiernym, zdąży odjąć mi mowę... Dziękuję więc wam za opiekę, obyście i wy, gdy konać będziecie, życiem nieszczęśliwym, jak ja, zgnębieni, nie konali opuszczeni...

Kowalski umilkł i tylko czoło, sfałdowane w zmarszczki podłużne, to skupiające się bliżej i głębsze, to zmniejszające się znowu, wskazywało, że umierający wysiłkiem ostatnim chwyta myśl ulatującą, wolą silną zatrzymuje wybiegające zeń życie.

Rano jeszcze było i słońce przez okna, wychodzące ku wschodowi na brzeg rzeki, rzucało na ścianę, obok której stało łóżko chorego, dwa ogromne snopy swych promieni złocistych. Z łąk rozległych, z całego archipelagu wysp, bujną roślinnością okrytych, zewsząd życie tryskało i odgłosy tego życia, echa tego ruchu żywego, wywołanego światłem potężnym, dźwięcząc pieśnią melodyjną, składając się w cały hymn dziękczynny, docierały aż tu do łoża konającego, tworząc z tym, co się w jurcie znajdowało, kontrast rażący.

Ironią gorzką, urągowiskiem świętokradzkim wydawały się owe promienie słoneczne, owo życie pieśnią radosną rozbrzmiewające, wobec łoża tego nędzarza, tego trupa żywego.

— ...Dawno już bardzo, lat pewno ze czterdzieści temu — zaczął tymczasem Kowalski — dostałem się do stepów orenburskich; młody wtedy byłem i silny; ufałem Bogu, ufałem ludziom i sobie. Słusznie czy nie, dość, że sądziłem, iż nie mam prawa pozostawiać swych sił na łasce losu, lecz winienem znaleźć sobie pole do działania szersze, niż to, które tam znaleźć się mogło. Tęsknota za krajem popychała także i po dwuletnim pobycie uciekłem stamtąd...

Dostałem się za to dalej — do tomskiej guberni, ale nie upadłem na duchu. Zabrałem się do roboty z energią, chleb i woda bywały pokarmem moim; uciułałem nareszcie grosza, ile potrzeba było i znowu wyruszyłem w drogę...

Za tę powtórną ucieczkę, jako recedywista uparty, odpokutowałem dłużej i dopiero po latach kilku ruszyłem odwrotnie, ale teraz jeszcze dalej.

Zima była niezwykle surowa, byłem bez grosza, bez odzieży, odmroziłem wtedy nogi i wszystkie palce straciłem. Prawdziwa to klęska dla mnie tym bardziej, że wypadło mi mieszkać aż za Jenisiejskiem.

Ciężej mi teraz było, miejscowość głucha i bezludna i o zarobki jakiekolwiek dość trudno także; chociaż jednak okaleczony utratą palców, wyuczyłem się rzemiosł kilku i jeżeli nie z jednego, to z drugiego dochód miałem, wprawdzie niewielki, lecz stały.

Sześć lat przygotowywałem się teraz i, nie bacząc na swe nogi, po raz trzeci wyruszyłem w drogę.

Widzicie, w siły swe już nie wierzyłem, chory byłem i złamany, więc ciągnęło mnie na zachód już nie to, co poprzednio. Umrzeć tam chciałem... Umrzeć tam chciałem, a już jak o szczęściu, marzyłem o śmierci na grobie matki.

Życie moje takim było, że nikogo oprócz tej matki nie miałem na tej ziemi, nie miałem kochanki, nie miałem żony, nie miałem dzieci. Od nikogo więcej, od niej jednej tylko doznałem łaski na świecie.

Toteż, gdym uczuł się opuszczonym, bezsilnym, zatęskniłem do grobu tej jedynej kochającej mnie istoty...

Wśród nocy bezsennej czułem jej rękę, obejmującą mą głowę, jej pocałunki i jej łzy gorące, którymi raz ostatni mnie żegnała, przeczuwając może wieczną rozłąkę. Dziś nie wiem, do kraju czy do niej więcej tęskniłem.

Ale ciężka to już droga była dla mnie; iść prędko nie mogłem, rany w nogach otwierały się ciągle. Jak zwierz dziki tygodnie całe w tajdze kryć się musiałem. Nieraz w puszczy zanadłej sępy i kruki, czując żer pewny, zwiastowały mi śmierć bliską; nieraz, głodem wycieńczony, padałem bez sił zupełnie i... niebaczny... zawsze wzywałem ku niebu, błagałem Boga Wszechmogącego, Boga miłosiernego, Boga sprawiedliwego, Boga nędzarzy, Boga opuszczonych: ratuj! zlituj się nade mną! Ojcze miłosierny! daj śmierć, o nic więcej, o śmierć tę jak o łaskę proszę, sam ją zadam sobie, ale daj tam...

Dwa lata minęły, zanim doszedłem do permskiej guberni. Tak daleko przedtem nigdy nie zachodziłem. Już serce biło mi radośnie, myśl jak u szalonego kołowała w głowie... myśl jedna: ujrzę ją, zobaczę ziemię rodzoną i umrę na grobie ukochanej. I gdym przyszedł na tamtą stronę Uralu, uwierzyłem w zbawienie swoje, padłem na ziemię, i nieprzytomny długo, długo szlochałem, dziękując Bogu za łaskę, za miłosierdzie Jego. A on, miłosierny, gotował mi cios ostatni i tegoż samego dnia...

Dostałem się do Jakucka.

Dlaczegom tu żył w nędzy aż dotąd, dlaczegom tu czekał na koniec taki?

Dlatego, że wiedzieć chciałem, co Bóg ten ze mną zrobi.

Z człowiekiem, który mu wierzył z ufnością dziecięcia, który nigdy nie zaznał szczęścia na ziemi i szczęścia tego nie pragnął, który nie zaznał łaski ludzkiej oprócz łaski matki, który okaleczony pracował do końca życia swego, który nigdy ręki nie wyciągnął, nie kradł, nie pożądał, nie zabijał, mając dwa — oba oddawał — widzicie, co zrobił...

Więc nienawidzę Go... nie wierzę Mu... nie wierzę świętym Jego, nie wierzę w sąd Jego, nie wierzę w sprawiedliwość Jego i, słuchajcie mnie, bracia! za świadki was biorę w śmierci godzinie, abyście i tu wiedzieli, i tam, gdy wrócicie, świadczyć mogli...

I podniósłszy się gwałtownie, i ręce ku słońcu wyciągając, zawołał głosem wielkim:

— Ja, nędzarz konający, rzucam Ci w oczy, żeś Ty Bóg sytych, żeś Ty Bóg podłych, żeś Ty Bóg plugawych, żeś krzywdził mnie niewinnie!...

*

I w oświetleniu słońca jasnego, co wzniósłszy się wyżej złociło teraz płomieniami swymi owo łoże łazarzowe, okropnie wyglądał ten kościotrup żywy, skórą obwisłą powleczony...

A gdy upadł wycieńczony, przerażeni sądziliśmy, że umrze on natychmiast, a my niczym mu pomóc, niczym ulżyć nie mogliśmy.

— Módlmy się za niego — wyszeptał ślusarz nareszcie.

Uklękliśmy; drżącą ręką wyjąłem przyniesioną książkę i otworzyłem ją; i otworzyła się książka w miejscu kiedyś założonym, na Ewangelii św. Jana, rozdziale XV.

— Jam jest winna macica prawdziwa, a Ojciec mój jest winogradnikiem — głośno czytać zacząłem.

Pierś konającego wzniosła się gwałtownie, oczy zamknięte były.

A słońce zalewało go całego światłem swoim i jak gdyby chcąc mu wynagrodzić w ostatniej chwili życie ciężkie, tuląc się doń miłośnie, ogrzewając ciało, zdawało się, uspakaja go i całuje promieniami złocistymi, jak matka całuje dziecię zasypiające i kapryśne i uspokaja je swym ciepłem, swą obecnością.

Konający żył jeszcze.

I gdym czytał dalej pełne siły, wiary i ufności głębokiej słowa Chrystusowe:

— Jeśliż was świat nienawidzi: wiedzcież, iż Mnie pierwej niż was znienawidził — i natchnione słowa nauczyciela cierpiących i pieszczota światła ożywczego ukoiły konającego; oczy jego otworzyły się i z oczu tych wypłynęły dwie łzy wielkie, dwie łzy ostatnie, co się w tym człowieku ostały.

I słońce promieniami swymi dotknęło łez tych, na twarzy sczerniałej stojących, i oświecając je światłem niebieskim, zda się pokazywało Bogu owe wewnętrzne, barwami czystymi iskrzące, a we łzach tych ostatnich skupione ognie, co życie to spaliły...

A gdym przeczytał jeszcze:

— Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż wy będziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił; a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci...

Konający spróbował podnieść ręce, ale gdy opadły one bezwładnie, cicho i wyraźnie wymówił:

— Przez mękę Twoją, daruj mi, Panie!

Czytać dalej nie mogłem...

Klęczeliśmy w milczeniu, a piesio zdziwiony stał pomiędzy nami panu się swemu przyglądając.

I gdy zwróciło się ku nam oko konającego, usta jego jeszcze raz otworzyły się i usłyszeliśmy jeszcze wolniej, jeszcze ciszej wypowiedziane słowa:

— Piesiu, nie wymyślaj Panu Bogu.

Zwierzę poczciwe, skowycząc żałośnie, skoczyło ku zwisłej ręce pana swego, ale ręka ta była już bezwładną.

Oczy jego zamknęły się; z ust wydobyło się rzężenie krótkie i stłumione; pierś opadła; ciało wyprężyło się z lekka i człowiek, który wiele wycierpiał — przestał cierpieć.

*

I dopiero wtedy, gdyśmy oprzytomnieli, usłyszeliśmy zapamiętałe szczekanie piesia przede drzwiami. No próżno staraliśmy się go uspokoić; nie odbierając nigdy rozkazów podobnych do ostatniego, piesio nie zrozumiał pana swego i spełniał teraz sumiennie to, co tak długo było jego obowiązkiem. Szczekał, ujadał i przybiegał do łóżka, do ręki sztywnej, oczekując zwykłej pochwały.

Milczał jednak pan jego, nieruchomo leżała ręka zimna i piesio zmęczony, zziajany i ochrypły biegł znowu przede drzwi.

Wyszedłszy, ale daleko już będąc od jurty, dokładnie jeszcze słyszeliśmy urywane ujadanie nierozumnego piesia.

(Szkice)

IX

BOLESŁAW PRUS

ON

Kilka lat temu, około południa, przez jedną z mniej ruchliwych ulic Berlina szli zwolna dwaj ludzie: wojskowy i cywilny.

Wojskowy szedł, a raczej wlókł się naprzód, cywilny o parę kroków za nim. Cywilny był odziany w eleganckie, bobrowe futro i błyszczący cylinder, a stąpał — jak generał na paradzie. Miał jasne rękawiczki, szare, latające oczy i minę człowieka który pozwala światu nie padać przed sobą na kolana. Na jego ruchliwej twarzy malowała się duma i niestrudzona czujność, której przedmiotem był wojskowy towarzysz. Chwilami zdawało się, że człowiek w bobrowym futrze posiada nieoceniony dar strzyżenia uszami, dzięki czemu słyszy nie tylko każde chrząknięcie wojskowego, ale nawet tajemniczy szelest jego myśli, które wzbierały i opadały jak fale Bałtyckiego Morza.

Czujność ta jednak nie przeszkadzała cywilnemu krzywić się, jeżeli ktoś minął go nie otworzywszy ust ze zdziwienia albo uśmiechać się do żołnierzy, którzy przed jego towarzyszem stawali wyprężeni jak struny, z ręką przy skroni i osłupiałymi oczyma.

Wlokący się naprzód wojskowy był człowiekiem olbrzymiego wzrostu. Miał długi płaszcz z peleryną i furażerkę z daszkiem. Twarzy jego trudno było przypatrzeć się, zasłaniał ją bowiem daszek i podniesiony kołnierz. Tylko, jeżeli niekiedy kołnierz odchylił się, widać było wypukłe oczy z obwisłymi powiekami, siwiejące wąsy blond, także obwisłe, i policzki poorane zmarszczkami jakby wykute z piaskowca.

O ile towarzysz w cylindrze zdawał się być bardzo zainteresowany tym, ażeby go cały Berlin widział i podziwiał, o tyle wojskowy był zupełnie obojętny. Stąpał ciężko, brzęcząc wielkimi ostro-

gami. Nie odpowiadał na ukłony, a nawet nie zwrócił uwagi na maszerujący oddział piechoty, który, mijając go, uderzył w bębny i sprezentował sztandar, co jego towarzysza napełniło taką dumą, że musiał użyć wszystkich sił, ażeby na nim nie pękło bobrowe futro.

Zwykli przechodnie, zajęci świątecznymi sprawunkami, mijali ich obojętnie. Zdarzało się jednak, że któryś uważniejszy spostrzegł olbrzyma w płaszczu i ustępował mu z drogi zdejmując czapkę. Jeden nawet zdawał się być tak zdziwiony, że zamiast ustąpić, otworzył tylko usta i patrzył na wojskowego jak na widziadło. Para zaś starych berlińczyków, widocznie mąż i żona, bo mieli jednakowe zajęcze kołnierze i jednakowe bawełniane rękawiczki, zobaczywszy olbrzyma trącili się jednocześnie w ręce:

— Patrz, to On!... — szepnął mąż.

— Patrz, Fryc, to On!... — rzekła żona.

Na ten widok cywilny w bobrach począł jeszcze piękniej uśmiechać się, kiwać głową i strzyc uszami, jakby cieszył się z ich domyślności i chciał powiedzieć:

— Tak, to on... a to — ja!...

Ale staruszkowie w zajęczych kołnierzach nie spostrzegli tych przyjacielskich sygnałów. Ich oczy były przykute do wspaniałej figury wojskowego. Gdy zaś znikł na rogu ulicy, przypatrywali się ze czcią kamieniom, których dotknęły jego olbrzymie stopy.

Na zakręcie chodnika człowiek w bobrach jeszcze raz odwrócił się do staruszków i z wielką życzliwością kiwnął im głową, niby potwierdzając:

— Tak — to ja!...

Wojskowy wlókł się ciężko, jak człowiek, który na swoich niezmiernie szerokich barkach dźwiga losy czterdziestu pięciu milionów. Lecz, choć oddychał z trudnością, zmęczony długim spacerem, mimo to zdawało się, że gdy zechce, jego płaszcz zamieni się w olbrzymie skrzydła, które porwą go i uniosą tam, skąd narody wyglądają jak mrowiska.

Na tej ulicy panował ruch większy. Było dużo sklepów i tłumy przechodniów. Wojskowy ocknął się i wypukłe oczy, które dotychczas patrzyły nie wiadomo gdzie, skierował na ruch uliczny. Jednym spojrzeniem ogarnął tysiące ludzi. Tu spostrzegł gromadę kobiet targujących się z przekupką o tłustą gęś — tam kilku robotników fabrycznych, bladych, uczernionych i spacerujących jak żołnierze. Widział żonę, która na próżno wyciągała męża z szynkowni, a dalej — kilka osób, które szły z węzełkami środkiem ulicy. Ktoś w tej gromadzie płakał, reszta zaś mówiła między sobą, że trzeba iść prędko, bo spóźnią się na pociąg do Hamburga i okręt bez nich pojedzie do Ameryki...

Olbrzym zmarszczył krzaczaste brwi i odwrócił się w inną stronę. Wnet przecie kamienna twarz jego rozjaśniła się: zobaczył bowiem trzech bardzo małych chłopców, z których jeden miał pałasz, drugi dziecinny karabin, a trzeci tornister i papierową pikielhaubę. Błysnęła mu niewyraźnie myśl, że choć kilku desperatów wyjedzie do Ameryki, to jednak na ich miejsce z tych oto dzieci wyrosną nowi zdobywcy.

Nagle cywilny w bobrach skoczył naprzód z taką gwałtownością, że zachwiał mu się cylinder. Zdarzyła się rzecz niesłychana. On, sekretarz, powiernik i biograf wielkiego człowieka nie spostrzegł, że jego pan zatrzymał się na ulicy...

Stanął, stał i patrzył — a sekretarz nie mógł nawet odgadnąć, na co patrzy? Jest tu wprawdzie sklepik z kolonialnymi towarami, ale czyliż On nie zna cynamonu, muszkatołowej gałki, a choćby i kokosowych orzechów?... Na cóż więc patrzy?...

W tej chwili olbrzym z cicha westchnął. Nieba!... On westchnął?... Sekretarz nie wierzy własnym uszom. Obchodzi pana z boku i na jego twarzy widzi nieomylne znaki wzruszenia... Czyżby go wzruszył cynamon?...

— Ach!... — o mało nie krzyknął biograf zobaczywszy w głębi sklepu małą choinkę, obwieszoną kilkoma piernikami. J e g o tak rozmarzył widok choinki ubogich... Cóż to za poetyczna dusza!... Byle tylko nie wymyślił nowego podatku na ubogie dzieci!...

Nareszcie olbrzym odszedł od sklepu z takim ruchem, jakby mu było trudno oderwać się od — choinki.

— Teraz już wrócimy do domu — pomyślał sekretarz ciesząc się w duchu, że biografii przybywa jeden z najbardziej interesujących rozdziałów. — O n rozmarzył się wobec choinki!... Czy nie piękny temat?... Wspomnienia z lat dziecinnych, unoszące się nad krwawym szlakiem od Saarbrücken do Paryża... Nie ma wydawcy, który by tego rozdziału nie kupił na wagę stumarkowych banknotów!...

Sekretarz, przywykły do trafnego odgadywania publicznych i prywatnych projektów pana, miał już cały pomysł w głowie. Oto O n, zmęczony nocną pracą, wyszedł około południa na spacer. Był nieco zdenerwowany, a więc przystępniejszy dla ludzkich uczuć. Widok przedświątecznego ruchu usposobił go jeszcze lepiej, a choinka — rozmarzyła do reszty.

— Jestem pewny — myślał sekretarz — że ta choinka stanie się źródłem mnóstwa nowych projektów dla klas pracujących, a może i... gratyfikacji?...

— Oj! ci wielcy ludzie... — szepnął sekretarz. — Ani wiedzą, jak łatwo przychodzi odgadywać ich zamiary tym, którzy dokładniej zbadali mechanizm geniuszu!...

W tym miejscu sekretarz nie mógł powstrzymać się od złożenia hołdu swojej przenikliwości. Jednocześnie obrzucił okiem Berlin i spostrzegł, że mu się jego pan znowu wymknął. Wprawdzie tylko o kilka kroków, gdyż od swego sekretarza i biografa człowiek dalej uciec nie może.

Tym razem wojskowy stał przed straganem z zabawkami, gdzie chudy i zmarznięty kupiec gromadce ciekawych zachwalał swoje towary.

— Oto jest pociąg kolei żelaznej, który sam jeździ — cztery marki!... Oto jest słoń, który sam chodzi i ryczy — dwie marki!... Nakręca się ogonem... Oto jest pajac za dwadzieścia fenigów!

Kolej i słonia mogli widzieć tylko ludzie dorośli, bo zabawki te biegały po stole. Ale pajac wisiał w górze. Miał odzienie złożone z płatów niebieskich, pąsowych i żółtych, spiczastą czapkę, a w rękach dwie blachy. Gdy kramarz pociągnął za sznurek, pajac rozrzucał nogi, uderzał w blachy, przewracał oczyma i pokazywał język.

— Ach! jaki on śliczny! — odezwał się w tej chwili dziecięcy głosik.

Wojskowy spojrzał w tę stronę i zobaczył jasnowłosego chłopczyka, który, zadarłszy głowę i złożywszy ręce, patrzył na pajaca jak na cud. Ile zaś razy pajac mocniej wyrzucił nogą albo lepiej wysadził język, chłopiec śmiał się na cały głos, uderzał w ręce i wołał:

— Ach, Boże! Boże! jaki on śliczny...

Radość dziecka była tak wielka i szczera, że udzieliła się całej gromadce widzów. Nawet wojskowy olbrzym uśmiechnął się pod wąsem i — wydobył z kieszeni sakiewkę.

— Kupi chłopcu pajaca! — pomyślał sekretarz w bobrach, nie mogąc w dalszym ciągu powstrzymać się od kilku słów uznania dla swoich niepospolitych zdolności, które pozwalały mu odgadywać najdrobniejsze zamiary sfinksa XIX wieku.

W tej samej jednak chwili twarz wojskowego zachmurzyła się znowu. Prędko schował sakiewkę do kieszeni i odszedł od kramu.

Pajac tymczasem wciąż skakał i wywracał oczy, mały chłopiec śmiał się, a sekretarz myślał:

— Chciał kupić malcowi pajaca na choinkę, ale spostrzegł, że go poznali i dał pokój... Oj! ta popularność...

— Ja jednak — ciągnął w duchu sekretarz — mam prawo napisać, że pajac został kupiony i darowany dziecku ze słowami: „Masz, mój mały, to dają ci Niemcy na gwiazdkę!"... Ale ogłoszę to dopiero po śmierci...

W pół godziny później wojskowy pan i sekretarz byli już w gabinecie... Sekretarz stał przy biurku, a wojskowy siedział w wysokim fotelu i palił fajkę.

Była to chwila, w której biografom wolno zadawać niedyskretne pytania. Sekretarz skorzystał z niej i rzekł:

— Dzień dzisiejszy będzie dla mnie pamiętny. Dawno już nie widziałem waszej książęcej mości w takim świątecznym nastroju ducha.

— Tak! — odparł powoli wojskowy — ten spacer przypomniał mi o kilku sprawach. Zaczynam już spotykać emigrantów do Ameryki nie tylko w raportach, ale — i na ulicach...

— Gadaj innym o emigrantach! — pomyślał sekretarz. — Przede mną nie ukryjesz swych uczuć!...

A potem dodał głośno:

— Jestem pewny, że widok tej choinki obudził w księciu jakieś miłe wspomnienia z lat dziecinnych...

Książę podniósł głowę.

— Jakiej choinki?...

— Tej... w sklepie kolonialnym — odparł domyślnie biograf dyskretnie patrząc w ziemię.

Książę puścił ogromny kłąb dymu i niespokojnie poruszył się w fotelu.

— Ach, tak!... — westchnął — ten sklep i nasi emigranci, wyjeżdżający z domu na Boże Narodzenie, to ciekawa ilustracja niemieckich stosunków. Każdy taki sklep jest kasą, w której Holandia pobiera od nas haracz... Śmieszna historia, żeby Niemcy nie mogły mieć u siebie nawet laski cynamonu, na której nie położyłaby pieczęci Anglia albo Holandia... Holandia! mniejsza od Brandenburgii, której jednak podoba się mieć kolonie prawie cztery razy rozleglejsze od całych Niemiec!... No — i posiada je, a my pewnego poranku musielibyśmy pić na śniadanie cykorię zamiast kawy, gdyby tak się podobało Holandii...

— Więc jego nie choinka wzruszyła, tylko... holenderskie kolonie? — pomyślał markotny sekretarz.

Wzburzony olbrzym pociągnął kilka razy dym z giętkiego cybucha; powoli jednak nabrzmiałe na czole żyły pobladły mu i — uspokoił się.

— Uważałem — rzekł sekretarz — że księciu podobał się ten mały chłopiec przed pajacem?...

— A, tak! to był tęgo zbudowany malec! — odparł książę z uśmiechem znawcy mięsa dla armat.

— Zdawało mi się nawet, że książę miał zamiar ofiarować mu pajaca?

— No, alem przecież tego nie zrobił — odpowiedział olbrzym.

— Czy książę sądzi, że świąteczne podarunki nie są stosowne dla niemieckich dzieci?

— Przeciwnie... Zresztą dałem mu najlepszy podarunek, jaki mógł dostać.

Sekretarz spojrzał ciekawie.

— Dałem mu — niezaspokojone pragnienie — odparł książę, a potem dodał:

— Im więcej będzie takich pragnień, tym dla nas lepiej!

— Przed jedenastu laty jednak, w Wersalu, byłeś książę łaskawszy dla małej Francuzki, która dostała od was lalkę?

— Bo widzisz, im więcej — t a m będzie zaspokojonych pragnień, tym znowu dla nas lepiej!

To powiedziawszy książę odwrócił się i utopił wzrok w wiszącej mapie holenderskich kolonii. Sekretarz posmutniał może słusznie domyślając się, że w tym kraju, gdzie mały chłopiec na próżno tęskni do pajaca, a wielki kanclerz do holenderskich kolonii, sekretarze, zamiast gratyfikacji, mogą otrzymać na gwiazdkę podarunek — z niezaspokojonych pragnień...

MARIA KONOPNICKA

DO GRANICY

(w skróceniu)

Zaparli chałupę
I „befel" gwoździem do wrótni przybili.
Więc dzieciąteczka zgarnęłam na kupę,
A to najmłodsze, co płacze i kwili,
Jak ten wróbelek, dźwignęłam na ręce
I tak powiodłam to stadko jagnięce
W świat, gdzie poniosą oczy...

Patrzę — z dachu
Jaskółka drobna za nami wyleci,
A że nie miała od ludzi przestrachu,
Więc się z szczebiotem poniesie na dzieci,
Jakby żegnając właśnie... A był ranek
Zimny i wiatr nam zawiewał do kości,
A słońce tlało jak lichy kaganek,
Tak już sam Pan Bóg uskąpił jasności
Na oną drogę smętną...

Szłyśmy razem,
Kobiety z dziećmi żałosną gromadą;
Za nami, pobok, strażnicy precz jadą
I klną, i dziatwę drobną biją płazem
Nagląc do drogi...

Byłaż to godzina!...
Rodząca bólów swoich zapomina,
Ale mnie owej nie zapomnieć chwili,
Kiedy nas żywym murem otoczyli
I z trzech stron świata — zamknęli nas ścianą
Łbów końskich, białą parsakjących pianą...
Za nami wioski nasze i sadyby,
Pola, ogrody, pasieki i łąki —
A my tu gnani, jako te skowronki
Z gniazd wyrzucone albo z wody ryby...
Jezu, Ty Chryste...

Odwrócę ja głowę,
Żeby raz jeszcze popatrzeć na oną
Chatę, obórkę, na sady wiszniowe,
Na wdowią rolę, trójpotem zroszoną...
A ta mi strzecha stanęła jak złota
W oczach, a na niej dwa gołębie siwe
Jakby ze srebra... A wszystko, od płota
Aż do żurawia, co moknie w studzience,
Wydało mi się, jakby było żywe
I jakby do mnie wyciągało ręce...
Patrzę ja pilnie, aż moja Bielicha,
Moja krowina, com ją zaprzedała,
Stoi a ryczy... A choć w trawie stała,
Nie posięgnęła się przecież do jadła,
Tylko za nami patrzy się a wzdycha,
Właśnie jak człowiek...

Dziw, żem tam nie padła,
Taka mnie żałość zdjęła!... Wszystko moje
Tam się zostało, a ja tu przed siebie,
Jako gąseczki, dzieciątek tych troje
Zaganiająca, o głodnym szłam chlebie
Między tych matek żałosnym narodem...
A one, liche sieroty, nie wiedzą,
Że już ostatni to kąseczek chleba,
Co go z zagona osiadłego jedzą,
Z własnego ziarna, spod własnego nieba...
Tylko najstarszy, co w kupce szedł przodem
I niósł na kiju ojcowską sukmanę,
Miał liczko jakby czegoś zadumane,
I oczy jakby we łzach pływające,
Ile się razy obrócił na słońce...

A bliżej koło mnie
Szła gadająca z sobą nieprzytomnie
Staruszka, jako ta turkawka siwa,
Trzęsąca głową, ślepa, ledwo żywa
I drogi sobie kijem szukająca,
I jak osiki listek cała drżąca...
Więc, że jej stare nie służyły nogi
I zostawała w tyle za innymi,
Popchnął ją żołnierz... Upadła wśród drogi.
A gdy ją ludzie podnieśli, na ziemi
Tak odcisnęło się jej wyschłe ciało,
Jak w Weroniki chuście, i zostało
Jak pieczęć krzywdy naszej przyłożona —
Pod okiem Boga — do ziemi tej łona.
Jak kamień ciężkie, jak węgiel gorące
Było dzieciątko na rękach mych śpiące.
A tu ni stanąć, ni siąść, choć pod miedzą,
Choć na kamieniu, jako pliszki siedzą
Albo jak kawki w polu...

Dalej! Dalej!...
Aż nas na rozstaj pod wieczór przygnali.
A na rozstaju był krzyż. Więc się one
Niewiasty z płaczem do niego rzuciły...
A gwiazdy wzeszły na niebo czerwone
Jak krwawe Boże łzy — i tak świeciły.

...O, Utajony na krzyżu, o, Chryste!
Najlichszej muszce naznaczysz uchronę
I ptaki wracasz na drzewo ojczyste,
A nasze gniazda zburzone?...
O, Utajony na krzyżu, o, Panie!
Mróweczkę strzeżesz w mrówczanym jej gmachu
I liszce w norze obierasz mieszkanie,
A nasze głowy bez dachu?
O, Utajony na niebie i ziemi!
Ty wiosną domki budujesz ślimacze...
Myż tylko sami, pomiędzy wszystkiemi,
Mamy być wieczni tułacze?...

. . . . . .

Ustał płacz niewiast i tylko się z cicha
Tu, owdzie łkanie stłumione zaniesie,
A las w oddali to szumi, to wzdycha,
A wicher jęczy i wyje po lesie...

W mchu utuliłam zziębnięte dzieciny,
W nieboszczykową odziawszy sukmanę.
Ale najmłodszy nie spał, a był siny,
Oczy otwarte miał i jakby szklane,
I po powietrzu rączkami się chwytał,
Do domu wołał i o coś się pytał...
A już od rana plątało się przy mnie
Drżące w chustczynie nędznej na tym zimnie
Dziewczątko drobne, może siedmiolatka.
Więc rzeknę do niej: — A gdzież twoja matka?
— Pomarli matuś! — odrzecze mi na to.
— A ojciec? — Tato? Pomarli i tato!...
— Cóż ty tu robisz? — A mnie wypędzili,
Przecz mi kazali bieżeć za innemi...
I jak to kurczę głowinę pochyli
Na bok, i do snu skuli się na ziemi...
Więc ją fartuchem okryłam i wstałam
I patrząc na to sieroctwo — nie spałam.

*

Trzy dni my takie i trzy mieli noce.
Gwiazdy nas kładły i gwiazdy budziły...
A ze mnie wyszły ostatnie już moce
I duch, i wszystkie ze mnie wyszły siły,
Com je dobyła z siebie niosąc dzieci,
Jedno po drugim przez dwa dni i trzeci...
A było ich już, jako w koniczynie
Onych listeczków — trojgo... A ten czwarty
Zastygł mi w ręku i poszedł w olszynie
Cudzej pod krzyżem odprawować warty
I czekać, aż mu pióreczka odrosną,
Żeby do domu zaś odlecieć wiosną,
Jako ten gołąb, co nie chce od strzechy
Odstać, a indziej zażywać pociechy...
W białym on piasku bez trumienki leży,
Na cudzej miedzy i leśnej rubieży
I tylko po nim rozchodnik ten pnie się,
I ta kukułka mu kuka po lesie...

*

Krwawymi łuny wschodziło nam rano
U tej granicy, do której nas gnano,
A choć nas rosy przejadły ziębiące,
Nikt się nie cieszył, że wschodzi to słońce,
Które nam obce i zimne się zdało,
Gdy tak na nędzę naszą patrząc — wstało.

Pokulbaczyły swoje konie straże
I znów nas innym strażnikom oddały.
A teraz wrócą tam, gdzie są cmentarze
Zamiast tych wiosek naszych, co się śmiały
Białością domostw i sadów zielenią...
A dziś sczernieją od łez i tak zmienią.
Tę jasność swoją od klątw, co tam lecą,
Że nie rozśmieją się już, nie rozkwiecą
I będą stały przed Bogiem — jak groby,
Pełne tej krzywdy naszej i żałoby...

A teraz, chociaż jest mi w oczach ciemno,
I nie wiem sama, czy ten świat przede mną
Będzie mi kiedy ojczyzną i domem...
A jestem dzisiaj porażona gromem
I oderwana od piersi tej ziemi,
Co mnie zbożami karmiła swojemi
I słońcem swoim cieszyła mi duszę...
Ach, to wiem, że tu żyć i cierpieć muszę...

O SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ

Korespondencja Orzeszkowej i Konopnickiej

I

ORZESZKOWA DO KONOPNICKIEJ

5. III. 1890, Grodno

Moja droga Mario, przede wszystkim przychodzę do Ciebie z długim, mocnym, serdecznym uściskiem, z którego poznaj, że więcej niż kiedy kocham Cię i goręcej z Tobą czuję.

A teraz sprawa, z którą mię do Ciebie ludzie posyłają, poselstwa zaś tego podjęłam się z wielką ochotą, bo daje mi to sposobność odezwania się do Ciebie i połączenia się z Tobą w jednej robocie, jeżeli tego zechcesz.

Jakkolwiek oddaloną od Warszawy, dojść Cię musiały odgłosy świeżego tam wybuchu antysemityzmu i wszystkich tych gorzkich, gryzących rozterek, które on sprowadził. Naturalnie, stamtąd trucizna rozlewa się po całym kraju i nie Tobie, droga Mario, tłumaczyć trzeba, jakie zepsucie sumienia publicznego i jakie na przyszłość groźne siejby z sobą roznosi.

Otóż kółko ludzi energicznie przeciwnych temu moralnemu obłędowi i tej fatalnej polityce umyśliło rzucić w prasę garść małych prac wszelkiego rodzaju, dążnością swoją, o ile można, najjawniej im przeciwnych. Ma to być protest i zarazem tama, przypuszczać bowiem można, że ilość i powaga imion we wręcz przeciwnym kierunku oświadczających się, onieśmieli nieco literackich szubrawców, awanturników i spekulantów i jeżeli nie powściągnie ich zupełnie, to przynajmniej zapędy ich przykróci i przed ogółem je zdyskredytuje. Prostszą i łatwiejszą nierównie byłoby rzeczą zbiorowa, jasna deklaracja zasad, ale, jak wiesz, z powodu cenzury marzyć o niej nawet nie możemy. Musimy więc działać niby pojedynczo i po osobno, rozłamać się na okruchy, z których by jednak powstała mniej więcej pokaźna całość.

Całego procederu tej roboty opisywać ani imion wymieniać tu nie podobna, zrozumiesz dlaczego, więc tylko Ci powiem, że mnie oprócz współudziału, mającego wyrazić się w druku, przypadło w udziale zniesienie się w tym przedmiocie z paru odległe przebywającymi kolegami po piórze i z Tobą, droga Mario. Ujmij w natchnione dłonie cudną swoją lirę i uderz w struny wszechludzkiej miłości, harmonii i naszej osobnikowej, tej świętej, tej upragnionej, tej lepszej przyszłości, którą szaleńcy lub samoluby tak strasznie na szwank narażają. Mamyż w milczeniu pozwalać na to, aby nasze prace, męki, całopalenia, które z całych istnień naszych składamy, oni, przekupnie albo wściekłe osły, w marny proch ścierali? Czy prozą, czy wierszem, napisz jedną lub dziesięć kartek, słowo Twoje wiele zaważy, u wielu wiarę znajdzie, wiele dobrych uczuć zbudzi, złych uśpi... Uczyń to, połącz się ze swymi jednomyślnymi w pracy i w prawdzie.

Odpowiedzi Twojej czekam i raz jeszcze długo do serca Cię przyciskam.

El. Orzeszkowa.

II

KONOPNICKA DO ORZESZKOWEJ

Kraków, 17. III. 1890

Droga Elizo.

Tak. Zaradzić coś trzeba. Mówiłam o tym z Asnykiem, który też słuszność kroku tego uznaje, a tylko o skuteczność jego się lęka.

Ja napiszę co chętnie. Wielką zwolenniczką Żydów nie jestem, ale nienawidzę ucisku i niesprawiedliwości. Chwalić ich — gdyby byli spokojni i szczęśliwi — może bym nie potrafiła, ale kiedy są

prześladowani — po ich stronie staję. Za wszelką krzywdą gotowam przemówić zawsze. Dziękuję Ci za Twoje wezwanie. Sprawiedliwy duch Twój jest jak gdyby regulatorem społecznej szali. Jedna szalka poszła w górę i „znaleziona jest lekka" — a ty szukasz wagi, którą by tam przypuścić trzeba. Rozumiem Ciebie.

I za serdeczne Twoje słowa dziękuję Tobie. Wiem, że poza słowem jest u Ciebie rzeczywistość współczucia.

Jutro wyjeżdżam z Krakowa; jest mi tu za ludno, za głośno. Jestem tu traktowana jak gość, wkoło którego ciągle skupia się jakieś usiłowanie, mające na celu zabawić go — i to mnie męczy. Poszukam gdzie cichego kątka i tam napiszę co i poślę Gebethnerowi, jeśli nie odbiorę od Ciebie innej pod tym względem wskazówki. Gdybyś mi ją dać chciała, pisz do Krakowa, a list mi odeślą, gdzie będę.

Żegnam Cię, droga. Niesłychany urok wywierasz na moją duszę. To jest prawda.

Maria Konopnicka.

HENRYK SIENKIEWICZ

SACHEM

W mieście Antylopie, położonym nad rzeką tegoż nazwiska, w stanie Teksas, śpieszył kto żyw na przedstawienie cyrkowe. Zajęcie mieszkańców było tym większe, że od czasu założenia miasta pierwszy raz zjechał do niego cyrk tancerek, minstreli i linochodów. Miasto było niedawne. Piętnaście lat temu nie tylko nie stał tu ani jeden dom, ale w całej bliższej okolicy nie było białych. Natomiast w widłach rzeki, na tym samym miejscu, na którym stoi Antylopa, wznosiła się osada indyjska, zwana Chiavatta. Była to stolica Czarnych Wężów, którzy w swoim czasie dali się tak we znaki granicznym osadom niemieckim: Berlinowi, Gründenau i Harmonii, że osadnicy dłużej nie mogli wytrzymać. Indianie bronili wprawdzie tylko swego „terytorium", które rząd stanowy Teksasu przyznał im na wieczne czasy najuroczystszymi traktatami; ale cóż to mogło obchodzić kolonistów z Berlina, Gründenau i Harmonii? Pewnym jest, że odbierali oni Czarnym Wężom ziemię, wodę i powietrze, ale natomiast wnosili cywilizację; czerwonoskórzy zaś okazywali im wdzięczność na swój sposób, to jest zdzierając im skalpy z głów. Taki stan rzeczy nie mógł trwać. Osadnicy więc z Berlina, Gründenau i Harmonii zebrali się pewnej nocy księżycowej w liczbie czterechset i, wezwawszy na pomoc Meksykanów z La Ora, napadli na uśpioną Chiavattę. Tryumf dobrej sprawy był zupełny. Chiavatta została spaloną, a mieszkańcy bez różnicy wieku i płci w pień wycięci. Ocalały tylko małe oddziałki

wojowników, które w tym czasie wyszły na łowy. Z samego miasta nie ocalił się nikt, głównie dlatego, że miasto leżało w widłach rzeki, która, jak zwykle na wiosnę, rozlawszy otoczyła osadę nieprzebytą tonią wód. Ale to samo widlaste położenie, które zgubiło Indian, podobało się Niemcom. Z wideł źle uciekać, ale dobrze się w nich bronić. Dzięki tej myśli zaraz z Berlina, Gründenau i Harmonii rozpoczęła się emigracja do wideł, w których też w mgnieniu oka, na miejscu dzikiej Chiavatty, powstała ucywilizowana Antylopa. W pięć lat liczyła ona dwa tysiące mieszkańców.

Szóstego roku znaleziono z drugiej strony wideł kopalnię żywego srebra, którego eksploatacja podwoiła liczbę mieszkańców. W siódmym roku, z mocy prawa Lynch, powieszono na placu miejskim dziewiętnastu ostatnich wojowników z pokolenia Czarnych Wężów, schwytanych w pobliskim Lesie Umarłych — i odtąd nic nie stało na zawadzie rozwojowi Antylopy. W mieście wychodziły dwa *Tagblatty* i jedna *Montagsrevue*. Kolej żelazna łączyła je z Rio del Norte i San Antonio; na Opuncia Gasse wznosiły się trzy szkoły, z tych jedna wyższa. Na placu, na którym powieszono ostatnich Czarnych Wężów, zbudowano zakład filantropijny; pastorowie w kościołach uczyli co niedziela miłości bliźniego, poszanowania cudzej własności i innych cnót, potrzebnych ucywilizowanemu społeczeństwu; pewien przejezdny prelegent miał nawet raz na Kapitolu odczyt „O prawach narodów".

Bogatsi mieszkańcy przebąkiwali o potrzebie założenia uniwersytetu, do czego i rząd stanowy musiałby się przyczynić. Mieszkańcom dobrze się działo. Handel żywym srebrem, pomarańczami, jęczmieniem i winem przynosił im znakomite zyski. Byli uczciwi, rządni, pracowici, systematyczni, otyli. Kto by w późniejszych czasach odwiedził już kilkunastotysięczną Antylopę, ten by w bogatych kupcach miejscowych nie poznał tych niemiłosiernych wojowników, którzy piętnaście lat temu spalili Chiavattę. Dzień schodził im po sklepach, warsztatach, biurach: wieczory spędzali w piwiarni „Pod Złotym Słońcem" przy ulicy Grzechotników. Słuchając tych głosów trochę powolnych i gardłowych, tych: *Mahlzeit! Mahlzeit!* tych flegmatycznych: *Nun ja wissen Sie, Herr Müller, ist das aber möglich?* tych dźwięków kufli, szumu piwa, tych plusków przelanej piany na podłogę, widząc ten spokój, powolność, patrząc na te filisterskie, zalane tłuszczem twarze, na te rybie oczy, można by mniemać, iż się jest w jakiej piwiarni w Berlinie lub Monachium, nie zaś na zgliszczach Chiavatty. Ale wszystko w mieście już było *ganz gemütlich* i o zgliszczach nikt nie myślał. Tego wieczoru ludność spieszyła oto do cyrku, raz dlatego, że po twardej pracy rozrywka jest rzeczą równie godziwą, jak przyjemną, po wtóre, że mieszkańcy dumni byli z jego przyjazdu. Wiadomo, że cyrki nie zjeżdżają do lada mieściny, przybycie więc trupy hon.

M. Dean'a stwierdzało poniekąd wielkość i znaczenie Antylopy. Była jednak i trzecia, a może najważniejsza przyczyna ogólnej ciekawości.

Oto nr 2 programu mówił, co następuje: „Spacer na drucie, zawieszonym na piętnaście stóp nad ziemią (z towarzyszeniem muzyki) wykona słynny gimnastyk Czerwony Sęp, *sachem* (wódz) Czarnych Wężów, ostatni potomek królów pokolenia i ostatni z pokolenia: 1) Spacer. 2) Skoki Antylopy. 3) Taniec i pieśń śmierci". Jeżeli gdzie, to w Antylopie ten *sachem* mógł obudzać najwyższe napięcie. Hon. M. Dean opowiadał „Pod Złotym Słońcem", iż przed piętnastu laty, w przejeździe do Santa Fe, znalazł na Planos de Tornado umierającego starego Indianina z dziesięcioletnim chłopakiem. Stary umarł istotnie z ran i wycieńczenia, przed śmiercią jednak opowiedział, iż młody chłopiec był synem zabitego *sachema* Czarnych Wężów i następcą jego godności.

Trupa przygarnęła sierotę, który z czasem stał się pierwszym jej akrobatą. Zresztą hon. M. Dean dopiero pod „Złotym Słońcem" dowiedział się, że Antylopa była niegdyś Chiavattą — i że słynny linochód będzie się popisywał na grobach ojców. Wiadomość ta wprowadziła dyrektora w doskonały humor, mógł bowiem teraz na pewno liczyć na *great attriaction*, byle umiał tylko dobrze efekt wyzyskać. Rozumie się, że filistry z Antylopy cisnęli się do cyrku, aby importowanym z Niemiec żonom i synom, którzy ani razu w życiu nie widzieli Indianina, pokazać ostatniego z Czarnych Wężów i powiedzieć: „Patrzcie, oto takich w pień wyrżnęliśmy przed laty piętnastu". Ach, *Herr Je!* — Miło jest usłyszeć taki wykrzyk podziwu zarówno z ust Amalchen, jak i małego Fryca. W całym też mieście powtarzano bez ustanku: *Sachem, sachem!*

Dzieci od rana zaglądały przez szpary w deskach, z twarzami rozciekawionymi i przerażonymi zarazem, starsi zaś chłopcy, ożywieni już bardziej wojowniczym duchem, wracając ze szkoły, maszerowali groźnie, sami nie wiedząc dlaczego to robią. Godzina ósma wieczór. Noc cudna, pogodna, gwiaździsta. Powiew zza miasta przynosi zapachy gajów pomarańczowych, które w mieście mieszają się z zapachem słodu. W cyrku bije łuna światła. Ogromne, smolne pochodnie, zatknięte przed główną bramą, palą się i kopcą. Powiew chwieje pióropuszami dymu i jaskrawego płomienia, który oświeca ciemne kontury budowli. Jest to świeżo wzniesiona szopa drewniana, okrągła, ze spiczastym dachem i z gwiaździstą amerykańską chorągwią na szczycie. Przed bramą tłumy, które nie mogły się dostać lub nie miały za co kupić biletów, przypatrują się wozom trupy, a głównie płóciennej zasłonie wielkich drzwi wchodowych, na której wymalowana jest bitwa białych z czerwonoskórymi. W chwilach, w których zasłona się uchyla, widać oświecone wnętrze bufetu z setkami kufli szklanych na stole. Ale oto ścią-

gają zasłonę na dobre i tłum wchodzi. Puste przejścia między ławkami poczynają tętnić krokami ludzkimi i wkrótce ciemna, ruchliwa masa pokrywa wszystkie przejścia od góry do dołu. W cyrku widno jak w dzień, bo chociaż nie zdołano przeprowadzić do niego rur gazowych, natomiast olbrzymi żyrandol, złożony z pięćdziesięciu lamp naftowych, oblewa arenę i widzów potokami światła. W tych blaskach widać ospałe, przechylone w tył dla fołgi podbródkom głowy piwoszów, młode twarze kobiece i śliczne, zdziwione buzie dziecinne, których oczy omal nie wychodzą na wierzch z ciekawości. Zresztą wszyscy widzowie mają miny ciekawe, zadowolone i głupie, jak zwykle publiczność cyrkowa. Wśród szmeru rozmów, przerywanych okrzykami: *Frisch Wasser! Frisch Bier!* — wszyscy z niecierpliwością oczekują zaczęcia. Na koniec dzwonek się odzywa, ukazuje się sześciu masztelarzy w palonych butach i staje w dwóch szeregach przy wejściu z areny do stajen. Przez te szeregi wpada rozhukany koń bez uzdy i siodła, a na nim jakby obłok muślinu, wstążek i tiulu. Jest to tancerka Lina. Rozpoczynają się harce przy odgłosie muzyki. Lina jest tak piękna, że młoda Mathilde, córka piwowara z Opuncia Gasse, zaniepokojona jej widokiem, pochyla się do ucha młodego grocernika Flossa z tejże ulicy i pyta z cicha: czy ją kocha jeszcze? Tymczasem koń galopuje i oddycha jak lokomotywa, bicze klaskają, błazny, których kilku wpadło za tancerką, wrzeszczą i biją się po twarzach, tancerka miga jak błyskawica: brawa się sypią. Co za przepyszne przedstawienie! Ale nr 1 mija prędko. Nadchodzi nr 2. Wyraz: *sachem! sachem!* przebiega z ust do ust między widzami. Na błaznów, bijących się ciągle po twarzach, nikt już nie zważa. Wśród ich małpich ruchów masztalerze wnoszą wysokie na kilkanaście stóp drewniane kozły i stawiają po dwóch stronach areny. Muzyka przestaje grać Yankee Doodle, a gra posępną arię Komandora z Don Juana, zaciągają drut między kozłami. Nagle snop czerwonego, bengalskiego światła pada od strony wejścia i oblewa krwawym blaskiem całą arenę. W tym to blasku ukaże się straszliwy *sachem*, ostatni z Czarnych Wężów. Ale cóż to?... Wchodzi nie *sachem* jeno sam dyrektor trupy, hon. M. Dean. Kłania się publiczności i zabiera głos. Ma on zaszczyt prosić „łaskawych i szanownych gentelmanów oraz piękne i niemniej szanowne *ladies* o nadzwyczaj spokojne zachowanie się, nie dawanie brawa i zupełną ciszę, albowiem wódz jest nadzwyczaj rozdrażniony i dzikszy niż zwykle". Słowa te sprawiają niemiłe wrażenie — i dziwna rzecz, ci sami *honoratiores* Antylopy, którzy przed piętnastu laty wycięli Chiavattę, doznają teraz jakiegoś nader niemiłego uczucia. Przed chwilą, gdy piękna Lina wykonywała swe skoki na koniu, cieszyli się, że siedzą tak blisko, tuż koło parapetu, skąd tak dobrze można wszystko widzieć, a teraz spoglądają z pewnym utęsknieniem na górne sfery cyrkowe i wbrew prawom fizyki znajdują, że im niżej, tym duszniej.

Ale ten *sachem* czyżby jeszcze pamiętał? Przecież wychował się od młodych lat w trupie hon. M. Dean'a, złożonej przeważnie z Niemców. Czyżby jeszcze nie zapomniał? Wydawało się to nieprawdopodobnym. Otoczenie i piętnaście lat zawodu cyrkowego, pokazywania sztuk, zbierania oklasków musiały wywrzeć swój wpływ.

Chiavatta, Chiavatta! A toż oni, Niemcy, także są nie na swojej ziemi, daleko od ojczyzny i nie myślą o niej więcej niż na to *business* pozwala. Przede wszystkim trzeba jeść i pić. O tej prawdzie musi pamiętać zarówno każdy filister, jak i ostatni z Czarnych Wężów.

Rozmyślania te przerywa nagle jakiś dziki świst w stajniach —i na arenie ukazuje się oczekiwany niespokojnie *sachem*. Słychać krótki pomruk ciżby: „To on! to on!" — i potem cisza. Syczy tylko bengalski ogień, który przy wejściu palą ciągle. Wszystkie spojrzenia kierują się na postać wodza, który oto ma wystąpić w cyrku na grobach ojców. Indianin zasługuje rzeczywiście, by nań patrzono. Wydaje się dumny jak król. Płaszcz z białych gronostajów — oznaka wodza — pokrywa jego wyniosłą postać i tak dziką, że przypomina źle oswojonego jaguara. Twarz ma jakby wykutą z miedzi, podobną do głowy orła, a w tej twarzy świecą zimnym blaskiem oczy. prawdziwie indyjskie, spokojne, niby obojętne a złowrogie. Wodzi on nimi po zgromadzeniu, jakby chciał sobie upatrzeć ofiarę. Bo zresztą uzbrojony jest od stóp do głów. Na głowie jego chwieją się pióra, za pasem ma topór i nóż do skalpowania, w ręku tylko zamiast łuku trzyma długi drąg, który służy do chwytania równowagi podczas chodzenia po drucie. Zatrzymawszy się na środku sceny, nagle wydaje okrzyk wojenny. *Herr Gott!* to okrzyk Czarnych Wężów. Ci, którzy wycinali Chiavattę, pamiętają dobrze to straszne wycie — i co dziwniejsza, ci, którzy przed piętnastu laty nie ulękli się tysiąca tak wyjących wojowników, pocą się teraz przed jednym. Ale oto dyrektor zbliża się do wodza i mówi do niego, jakby chciał go ułagodzić i uspokoić. Dziki zwierz uczuł munsztuk — namowa skutkuje, bo po chwili *sachem* kołysze się już na drucie. Zapatrzony w żyrandol naftowy, postępuje naprzód. Drut ugina się silnie; chwilami nie widać go wcale, a wtedy Indianin zdaje się wisieć w powietrzu. Idzie jakby pod górę; jeszcze postępuje naprzód, cofa się i znów idzie chwytając równowagę. Wyciągnięte jego ręce, pokryte płaszczem, wyglądają jak olbrzymie skrzydła. Chwieje się!... pada! — nie! Krótkie, urwane brawo zrywa się jak wicher i milknie. Twarz wodza staje się coraz groźniejsza. W jego wzroku, utkwionym w lampy naftowe, błyszczy jakieś straszne światło. W cyrku niepokój, ale ciszy nikt nie przerywa. Tymczasem *sachem* zbliża się do drugiego końca drutu — staje — i niespodziewanie z ust jego wyrywa się pieśń wojenna.

Szczególna rzecz! Wódz śpiewa po niemiecku. Ale łatwo to zrozumieć. Pewno zapomniał języka Czarnych Wężów. Zresztą nikt na to nie zważa. Wszyscy słuchają pieśni, która wzmaga się i potężnieje. Jest to pół śpiew, pół jakieś wołanie niezmiernie żałobne, dzikie i chrapliwe, pełne drapieżnych akcentów.

Słychać słowa następujące: „Po wielkich deszczach, co rok pięciuset wojowników wychodziło z Chiavatty na ścieżki wojny lub na wielkie łowy wiosenne. Gdy wracali z wojny, zdobiły ich skalpy; gdy wracali z łowów, przywozili mięso i skóry bawole, a żony witały ich z radością i tańczyły na cześć Wielkiego Ducha.

Chiavatta była szczęśliwa! Niewiasty pracowały w wigwamach, dzieci wzrastały na piękne dziewczęta i dzielnych wojowników. Wojownicy umierali na polu sławy i szli polować z duchami ojców do srebrnych gór. Topory ich nie broczyły się nigdy w krwi niewiast i dzieci, bo wojownicy Chiavatta byli szlachetnymi mężami. Chiavatta była potężną. Aż przyszły blade twarze zza mórz dalekich i wrzuciły ogień do Chiavatty. Bladzi wojownicy nie pokonali Czarnych Wężów w boju, ale zakradli się nocą jak szakale i noże ich zbroczyły się w piersiach uśpionych mężów, niewiast i dzieci.

I oto nie ma Chiavatty, bo na jej miejsce biali wznieśli swoje kamienne wigwamy. Wymordowane pokolenie i zniszczona Chiavatta wołają o zemstę".

Głos wodza stał się chrapliwy. Teraz, kołysząc się na tym drucie, wydawał się, jak jakiś czerwony archanioł zemsty unoszący się nad głowami ciżby ludzkiej. Sam dyrektor widocznie był zaniepokojony. W cyrku zrobiła się śmiertelna cisza. Wódz wył dalej:

„Z całego pokolenia zostało jedno dziecko. Było ono małe i słabe, ale przysięgło duchowi ziemi, że się zemści. Że ujrzy trupy białych mężów, niewiast, dzieci — pożogę, krew!..." Ostatnie słowa zmieniły się w ryk wściekłości. Po cyrku poczęły się zrywać szmery, podobne do nagłych powiewów wichru. Tysiące pytań bez odpowiedzi cisnęły się do głów: Co zrobi ten wściekły tygrys? co zapowiada? jak dokona zemsty? — on? — sam jeden? — zostać czy uciekać? Czy się bronić — i jak? — *Was ist das?* — rozległy się wystraszone głosy kobiece.

Nagle nieludzkie wycie wyrwało się z piersi wodza, zakołysał się silniej, wskoczył na drewniany kozieł, stojący pod żyrandolem i wzniósł drąg. Straszna myśl przeleciała jak błyskawica przez głowy: rozbije świecznik i zaleje cyrk potokami płonącej nafty. Z piersi widzów wyrwał się jeden okrzyk. Ale cóż to? Z areny wołają: stój! stój!... Wodza nie ma! zeskoczył, znikł w wyjściu. Nie spalił cyrku? Gdzież się podział? Oto wychodzi, wychodzi znowu, zziajany, zmęczony, straszny. W ręku niesie blaszaną miskę i wyciągając ją ku widzom, mówi błagalnym głosem: *Was gefällig für*

den letzten der Schwarzen Schlangen!.. Kamień spada z piersi widzów. Więc to wszystko było w programie, więc to była sztuka dyrektora, efekt? Sypią się półdolary i dolary. Jakże odmówić ostatniemu z Czarnych Wężów — w Antylopie, na zgliszczach Chiavatty! Ludzie mają serce.

Po przedstawieniu *sachem* pił piwo i jadł knedle „Pod Złotym Słońcem". Otoczenie wpływ widocznie wywarło. Zyskał wielką popularność w Antylopie, zwłaszcza u kobiet. Robiono nawet plotki...

HARRIET BEECHER STOWE

tłum. * * *

NA NOWYM MIEJSCU

Któryś z angielskich poetów powiedział, że ludzie okrutni chętnie zamieszkują mroczne ustronie. Stosowało się to w zupełności do Legry'ego.

Od przystani do jego plantacji ciągnęła się długa, uciążliwa droga, którą niewolnicy odbyli pieszo, podczas gdy Legry jechał bryczką. Po drodze nie przepuszczał okazji, aby ich dręczyć, zabronił im śpiewać hymnów, zachęcał natomiast do wesołych, bezmyślnych piosenek.

Ich przymusowo wesołe głosy, jakże straszliwie kłóciły się ze znękanymi twarzami. Wieczór już zapadał, a do plantacji było jeszcze daleko.

Ściemniło się, gdy ukazała się posiadłość Legry'ego. Niegdyś należała do bogatego Francuza, który, nie szczędząc kosztów, wzniósł wspaniały pałacyk. Ale w końcu zrujnował się, stracił wszystko i wkrótce umarł ze zgryzot. Legry był zbyt skąpy, aby utrzymywać w porządku kupiony na licytacji majątek. Toteż tylko ślady zostały po dawnej wspaniałości. Aleje, wysadzone specjalnym gatunkiem drzew chińskich, zarosły trawą, a dom był zaniedbany i groził runięciem.

Na spotkanie przybyszów wybiegły trzy ogromne i dziko wyglądające brytany. Oberwani niewolnicy, którzy zbiegli się ze wszystkich stron, ledwo uratowali Toma i jego towarzyszów od kłów wściekłych zwierząt.

— Oto, moi drodzy — odezwał się Legry ze śmiechem — widzicie, jakich tu mam dozorców. Uprzedzam, że przy najmniejszej próbie ucieczki rozszarpią was na strzępy. No, jakże tam, Sambo — zwrócił się do krzątającego się wysokiego Murzyna o ogromnej głowie — jakżeście tu żyli beze mnie? Wszystko w porządku?

— Nudno było, panie. Ale wszystko jest w porządku — odpowiedział Sambo uwijając się jak węgorz.

— Tym lepiej dla was... A ty, Quimbo — rzekł do drugiego, który starał się ściągnąć na siebie uwagę pańską — zrobiłeś to, co ci kazałem przed wyjazdem?

— Niech pan będzie spokojny, wszystko zrobione. Czyżbym mógł zapomnieć.

Sambo i Quimbo cieszyli się jego względami. Sprawowali dozór nad resztą robotników. Systematycznie przyzwyczajani do okrucieństwa, stali się gorsi i okrutniejsi od samego Legry'ego.

— No, Sambo — ciągnął dalej plantator — rozmieść tę hołotkę, którą przyprowadziłem ze sobą; a tę pięknotkę bierz sobie, będzie twoją żoną. Widzisz, nie zapominam swych przyrzeczeń...

Co rzekłszy pchnął starą Mulatkę ku Sambo. Biedna kobieta cofnęła się ze strachem i krzyknęła:

— O panie, ja mam męża w Nowym Orleanie!

— Co z tego? Tam był jeden, tu będzie drugi. U mnie nie ma sprzeciwów. Zrozumiano? Jeśli nie zrozumiałaś, to masz oto nauczyciela.

I trzasnął ją biczem.

— A ty, ślicznotko — zwrócił się do Emmeliny — chodź ze mną.

W tej chwili, w jednym z okien na chwilę ukazała się żółta twarz kobieca o dużych, czarnych oczach. Gdy Legry wszedł z Emmeliną do budynku, krzyknęła coś, lecz Tom nie rozróżnił słów. Legry krzyknął w odpowiedzi:

— Milczże! Tu ja jestem gospodarzem!

Więcej Tom nie słyszał, ponieważ Sambo zaprowadził jego i towarzyszów do szeregu nędznych lepianek, w których na podłodze pokrytej zgniłą słomą poniewierali się liczni Murzyni.

Wkrótce zaczęły wracać z robót polnych tłumy mężczyzn i kobiet, brudnych i oberwanych, o zmęczonych i posępnych obliczach. Od razu widać było, że niechętnie odnoszą się do przybyszów. Zamorzeni głodem, zadręczeni usilną pracą, nieustannie batożeni, nieufnie odnosili się do wszelkich zmian w swym pełnym udręki życiu.

Dorywano się do ręcznych młynków, aby wymleć skąpą porcję stęchłego, zleżałego *maisu*, który dawano im na wieczerzę.

— Jak się nazywasz? — zwrócił się Sambo do swej nowej „żony".

— Lucy.

— Doskonale, postaram się zapamiętać. Przygotuj mi kolację, ale uwijaj się żywiej. Jesteś teraz moją żoną i powinnaś mi dogadzać.

— Nie, nie jestem twoją żoną i nigdy nie będę nią! — z męstwem desperacji zawołała Lucy. — Odczep się ode mnie!

— Uważaj, bo cię zbiję na kwaśne jabłko! — zawołał Sambo zamierzając się na nią pięścią.

— Możesz mnie zabić, jeśli chcesz i czym prędzej, tym lepiej, a żoną twą nie będę.

Murzyn rzucił się na nią i uderzył ją w twarz.

Tom umierał ze zmęczenia i głodu. Jakkolwiek wydano mu porcję *maisu*, przez długi czas nie miał dostępu do młynów. Kiedy wreszcie nastąpiła jego kolej, ustąpił miejsca dwom słabym kobietom. Wzruszone niezwykłą uprzejmością odwzajemniły się proponując upiec mu z mąki ciasto. Tom przysiadł się do ogniska, wyjął z kieszeni ewangelię i zaczął czytać.

Niebawem zaczął świecić srebrzysty księżyc. Ogień dogasał. Tom pocałował drogocenną księgę, włożył ją z powrotem do kieszeni i spojrzał na chłodny miesiąc, obojętnie patrzący z wyżyn na nędzną osadę, gdzie wśród mąk straszliwych upływało życie uniżonych i zamęczonych ciałem i duszą ludzi.

Wreszcie podniósł się i poszedł do wskazanej mu lepianki. Była przepełniona śpiącymi. Powietrze było tu tak gęste i zepsute, że Tom mimo woli się cofnął. Przezwyciężając wstręt odszukał w jednym z kątów pęk świeżej słomy, pokryty podartym i brudnym prześcieradłem, położył się i zasnął.

*

Tom wkrótce oswoił się z nowymi warunkami życia, mimo ich okropności. Pracował rzetelnie i ciężko, jak u dawnych właścicieli. Legry ocenił jego zdolności, ale czuł doń wyraźną antypatię. Nie podobał mu się altruizm Toma i jego pobożność. Rozumiał, że Tom w głębi duszy potępia swego pana, aczkolwiek nie daje temu wyrazu.

Kupił Toma z zamiarem uczynienia go swym głównym pomocnikiem i w tym celu zamierzał zahartować jego zbyt czułe serce.

Pewnego razu, przy rannym apelu Tom zauważył w rzędzie nową niewolnicę. Była to kobieta trzydziestopięcioletnia, wysoka, zgrabna, bardzo ładna, o małych, delikatnych rękach; ubrana była czysto i przyzwoicie. Na twarzy można było wyczytać długą opowieść o zawiedzionych nadziejach, przebytych cierpieniach i troskach. Zaliczała się do owych fizjonomii, które wystarczy raz zobaczyć, aby nie zapomnieć nigdy.

Tom patrzył na nią jak oczarowany. Nie mógł zrozumieć, jak kobieta o tak dumnej prezencji mogła się dostać do szeregów niewolników. Towarzysze Toma znali ją zapewne, gdyż oprowadzali tryumfującymi i złośliwymi spojrzeniami. Niektórzy szydzili z niej i robili sprośne uwagi. Wszakże nieznajoma ledwo raczyła na nich spojrzeć, uśmiechając się lekceważąco i dumnie.

Tom był zdumiony. Przy pracy ukradkiem spoglądał na nią. Zręczna i bardzo zwinna radziła sobie łatwiej z robotą od wielu starych robotników.

Z drugiej strony obok Toma pracowała Lucy. Była tak zmęczona, że ledwo trzymała się na nogach. Tom po kryjomu wsuwał jej do koszyka własny plon, aby ułatwić jej pracę.

— Nie rób tego, drogi mój — rzekła Lucy podnosząc nań pełne łez oczy — pobiją cię za to.

— To nic — odparł Tom. — Gotów jestem znosić wszystko.

W tej chwili przybiegł Sambo wywijając biczem i kopnąwszy biedną kobietę w brzuch smagnął Toma po głowie.

Tom, nic nie mówiąc, przesunął ręką po twarzy i pracował dalej. Natomiast Lucy przewróciła się na ziemię tracąc przytomność.

— Poczekaj, parszywa babo, ja cię zaraz postawię na nogi! — krzyknął z wściekłością Sambo, wyjął z kieszeni ogromną szpilkę i wetknął ją w pierś nieszczęsnej kobiety.

Lucy przeraźliwie krzyknęła, zerwała się na równe nogi i, wytężając resztki sił, z gorączkowym pośpiechem zaczęła pracować.

Sambo odszedł do innej grupy.

Mimo ryzyka Tom wsunął znowu do kosza swej sąsiadki dwie pełne garście bawełny.

Nieznajoma naraz badawczo zmierzyła go od stóp do głów, po czym bez słowa wsypała do jego kosza taką samą ilość bawełny, jaką oddał był biednej Lucy.

— Widać, że jesteś nowicjuszem — rzekła. — Gdybyś znał tutejsze porządki, nie robiłbyś tego.

Sambo podbiegł do niej i zamierzając się biczem krzyknął:

— Będziesz mi się tu kręcić? Chodź za mną, nauczę cię brać zły przykład z kogo innego... Nie guzdraj się, bo gorzej z tobą będzie! Teraz ja jestem twoim panem, zrobię z tobą, co zechcę.

Czarne oczy nieznajomej błysnęły złowieszczym blaskiem. Blada, z drżącymi nozdrzami i wargami spojrzała pogardliwie na Sambo i wycedziła wyraźnie:

— Ach, ty gadzie ohydny! Ty będziesz mi rozkazywać? Waż mnie się tylko dotknąć, pokażę ci, że jeszcze mam tu tyle władzy, że potrafię cię spalić żywcem, poćwiartować i naszczuć na ciebie psy! Precz stąd, bydlę!

— Więc po jakiego licha znalazła się pani tutaj? — wymamrotał Sambo, momentalnie ustępując. — Od razu się pani na mnie obraziła, miss Cassy, chciałem tylko pożartować.

— Nie radzę ci nadal tak żartować ze mną... w ogóle, nie waż się do mnie wtrącać.

Sambo z miną pobitego psa wycofał się na drugi koniec plantacji, Cassy zaś wzięła się znów do pracy, która naprawdę paliła się jej w ręku.

Wieczorem wrócili z pól niewolnicy unosząc na głowach ciężkie kosze. Pod przewodem Sambo skierowywali się ku przestronnemu spichlerzowi, gdzie w obecności właściciela ważyli zebrane plony.

Tego wieczoru Sambo odezwał się do gospodarza, który stał przed spichlerzem.

— Panie, ten wielce chwalony Tom jest zwyczajnym wyrodkiem. Przez cały czas podsuwał tej szubrawej Lucy pęczki i skamlał coś o Bogu.

— Ach, czarny diabeł! Zbuntować mi chce niewolników. Ja go nauczę! Najlepiej będzie zmusić tego zbyt słodkiego Murzyna do karania swych towarzyszów; wówczas prędko zapomni o tych wszystkich czułościach.

— Nie łatwo będzie go zmusić. Otóż i ona, ta oszustka Lucy. Nic prawie nie robiła, gdyby nie Tom, wróciłaby z pustym koszem.

— Tak? No, dobrze, za to Tom ją wybatoży.

— A jak pracowała miss Cassy? — rzekł wchodząc do spichlerzy.

— Uwijała się tak zręcznie, jakby sam diasek jej pomagał.

Tymczasem zmęczeni i wygłodzeni Murzyni dochodzili po kolei do wagi, aby zważyć zebrany plon.

— Tomie — rzekł w końcu Legry. — Jeszcze tu jesteś? Doskonale! Wiesz, że kupiłem cię nie do czarnej roboty. Zamierzam uczynić cię głównym dozorcą. Chcę, abyś już teraz przystąpił do wykonywania nowych obowiązków. Bierz tę leniwą Lucy i wybatoż ją jak się patrzy.

— Wybaczy pan — odpowiedział półgłosem Tom — ale ja nie mogę wykonać tego rozkazu i mam nadzieję, że nie będzie mnie pan zmuszał...

— Wszystko możesz, skoro każe ci twój pan! — krzyknął wściekle Legry i kilkakrotnie uderzył go po twarzy szpicrutą.

— Nie, panie — kontynuował Tom ocierając rękawem ciekącą krew — co jest niemożliwe, to będzie do końca niemożliwe. Gotów jestem harować w dzień i w nocy, póki się na nogach utrzymam, lecz nie będę nigdy znęcał się nad bliźnimi! Nigdy nie robię tego, co jest niesprawiedliwe. I pan mnie do tego nie zmusi.

Tom mówił łagodnie i z respektem, Legry zaś był przeświadczony, że zdoła przełamać jego opór.

— Ach, ty świnio czarna! — krzyknął z pianą na ustach. — Ty śmiesz potępiać to, co ja ci rozkazuję! Będziesz mi tu sędzią?! Zakatuję cię na śmierć, ty łotrze wstrętny.

— Może mnie pan zabić, ale ręki na bliźniego swego nie podniosę.

Legry zrozumiał, że nie są to próżne słowa.

— Czyż nie jestem twoim panem, ty czarna małpo! Co? Czy nie należysz do mnie cały ze swymi nędznymi flakami? Odpowiadaj, brudna bestio!

Zbity, pokrwawiony i poniżony Tom poczuł w duszy przypływ nieziemskiej radości, jaką odczuwali zapewne pierwsi męczennicy. Prostując się wzniósł do góry twarz opromienioną wewnętrznym światłem i zawołał głosem zwycięskim:

— Nie, panie! Nie kupił mnie pan całego, mojej duszy pan nie kupił i zresztą nie mogła być kupiona. Należy do Boga i tylko Najwyższy może mi ją zabrać... Nie, panie, chociaż pan drogo za mnie zapłacił, lecz nie cały jestem pańską własnością, lepsza moja cząstka jest w innej władzy.

— Zobaczymy, co się stanie z tą lepszą cząstką! — zawołał dzikim głosem Legry. — Hej, Sambo, Quimbo! Skrójcie temu kaznodziei taką kurtę, aby nosił ją cały miesiąc!

Siłacze rzucili się na Toma ze złośliwym krzykiem i pociągnęli go za sobą.

(Chata Wuja Toma)

CYPRIAN KAMIL NORWID

* JOHN BROWN

1

Jak orły, w klatce zamknięte drucianej,
Siadują przez dzień niewoli pamiętne,
Lecz z świtem oczy przetwierając smętne
Do lotu skrzydłem biją w twarde ściany,
Aż, uderzywszy tak, co świt, o kraty,
Pierze im z ramion obite wiatr niesie
I każdy pierzom owym dziwuje się,
Na skrzydłach krwawe oglądając łaty,
I wraca głowę, ze skroń mi płaskiemi,
Odpoznawając się w klatce, na ziemi.

2

Takwy, szlachetni, różnego narodu,
Wolności świtów zamknięci orłowie,
Przed czasem zgaśli konspiratorowie,
Młodzieńcy w grobach lub starcy za młodu,
Zdawałoby się, że czasów zakony

Własnymi łamiąc muskuły i nerwy,
Co potem w dziejach, to czynicie pierwej
Na samych sobie jak święty szalony,
Wracając co wiek z oczyma błędnemi
Do odpoznania się — w klatce — na ziemi!

3

Lecz oto właśnie tam, gdzie wolność sama
Całą się stawa tradycją narodu,
Na wskroś otwartą, z wschodu do zachodu —
Gdzie dzieje nie są jak gmach, lecz jak brama —
Właśnie że owdzie, w Ameryce młodej,
Starzec, wiekowi swoim równy wiekiem,
Iż człowieczeństwem dzielił się z człowiekiem,
Krętszy mającym włos, czarne jagody,
Starzec szlachetny i Mojżesz Murzynów,
Głowę swą idzie nieść z głowami synów!

4

O, ten, na trumnie mu przygotowanej
Siadłszy, z więziennym gdy rozmawia sługą,
Słuchajcie, ludy, bo ubiegnie długo,
Nim się buntownik tak umiarkowany
Narodzi światu — nim wódz tak ogromny
I szubienicznik tak arcyszlachetny,
Tak dzielny starzec, ojciec tak bezdzietny —
Aż się narodzi taki bezpotomny,
Że wasze wszystkie wystawy arcydzieł
Niewarte jego szubienicy i dzieł!

5

Wkrótce już sędzie sami sobie skłamią,
By gwiazd dwanaście Ameryki zbladło;
Sprawiedliwości przepiękne zwierciadło —
Na czoło starca kapelusz załamią,
Deskę usuną spod stopy zdradzonej —
On rzeknie: „Amen" i nogi skinieniem,
Jak jeździec konia swego ze strzemieniem,
Odepchnie cały świat zezwierzęcony!
I będzie plamą na słońcu czerwonym,
I plamą będzie na oku strwożonym.

6

Ach, Waszyngtonów i Kościuszków cienie
Mężów, co z kończyn obcego narodu
Niańczyć cię przyszli, Ameryko, z młodu,
By nie zwać cudzym cudze wyzwolenie,
Czy, patrząc z szczytów, gdzie jest źródło wzroku,
Cienie te z czasem nie zmylą się raczej
I wołającym o pomoc, w rozpaczy,
Czarny pokażą sztandar na obłoku —
A ludzie bladzi, stłumieni i cisi,
Rzekną, iż w Brownie Ameryka wisi.

OBJAŚNIENIA

opracowała mgr Janina Kremky

LEGENDA ŻEGLARSKA (str. 3)

Lewiatan — biblijny potwór morski.

rafa — skała podwodna.

ZAGADKA DO NAGRODY (str. 7)

fakir — (arab. „biedny") pierwotnie — mnich mahometański, dziś najczęściej — fanatyczny pokutnik i cudotwórca hinduski.

kaszmirski las — Kaszmir, kraina w Hindostanie północnym u stóp Himalajów.

deputacja — (z franc.) grono osób wysłanych dla wykonania jakiejś czynności, delegacja, poselstwo; deputat — członek delegacji.

kosmopolita — (z greck.) człowiek uważający cały świat za swoją ojczyznę, nie uznający wyłączności narodowej.

Brahma — najwyższe bóstwo u Hindusów.

PRZEMIANY (str. 13)

klan — (szkoc.) w Szkocji: pokolenie, ród, wsie i miasta danego rodu; klanowy ustrój społeczny — ustrój polegający na podziale społeczeństwa na „klany" rządzone przez swego naczelnika, a zarazem wodza wojowników „klanu".

nowicjuszka — osoba przebywająca czas próbny w zakonie; tu: osoba początkująca.

tajga — rozległe, bagniste lasy na Syberii.

mason — członek masonerii, czyli wolnomularstwa, organizacji tajnej, która za cel miała walkę z wpływami politycznymi organizacji religijnych, zwłaszcza kościoła katolickiego.

senior rodu — (z łac.) najstarszy członek rodu.

weba — (z niem.) cienkie, delikatne płótno używane na bieliznę.

ZEFIREK (str. 17)

asamble — (z franc.) przyjęcia, zebrania towarzyskie.

ange consolatrice — (franc.) anioł pocieszyciel.

profitka — (z niem.) krążek płaski albo lekko wklęsły, z otworem w środku, wkładany na świecę w lichtarzu, aby zatrzymać kapiący wosk lub stearynę.

kalumnia — (z franc.) oszczerstwo, potwarz.

salopa — (z franc.) długie, obszerne, watowane okrycie kobiece.

oblig — (z łac.) rewers pisemny, dowód zaciągniętego długu, zobowiązanie pisemne.

walor — (z łac.) wartość.

wygarnirowany — przyozdobiony.

liberka — libra, 24 arkusze małego formatu.

wicehrabia — zastępca i następca głowy rodu hrabiowskiego.

artretyzm — gościec, choroba stawów.

apatyczny — zobojętniały, nieczuły.

nioby — tak nazywano loki u fryzury.

sylfida — w mitologii rzymskiej nimfa leśna, przenośnie: kobieta smukła, zgrabna, pełna wdzięku i lekkości.

STARA BAJKA (str. 35)

meches — (hebr.) Żyd przechrzczony, przechrzta, określenie pogardliwe.

subhastować — (z łac.) publicznie, przymusowo sprzedawać majątek nieruchomy na podstawie sądowego wyroku.

pisarz prowentowy — pisarz dworski, utrzymujący kontrolę dochodów gospodarstwa wiejskiego.

wasąg — wóz wygodny z półkoszykami.

sławucka burka — burka z sukna wyrabianego w Sławucie, miasteczku nad Horyniem na Wołyniu, słynnym z wyrobu sukna.

abricotin — (z franc.) likier brzoskwiniowy.

suplikant — (z łac.) wnoszący prośbę.

curriculum vitae — (łac.) życiorys.

oficjalista — (z łac.) urzędnik w zarządzie dóbr ziemskich, np. rządca, ekonom, pisarz itp.

DZIEŃ WCZORAJSZY (str. 49)

intryga — chytre knowanie, sztuczka podstępna, zawikłanie umyślne celem zrobienia komuś nieprzyjemności.

wolni mularze — członkowie tajnego stowarzyszenia międzynarodowego tzw. masonerii, posiadającego własne, tajemnicą okryte zasady i rytuały (obrządki), wywierającego wpływ na życie polityczne, gospodarcze i społeczne w wieku XIX, walczącego z wpływami politycznymi organizacji religijnych, zwłaszcza kościoła katolickiego.

cynizm — pogląd filozoficzny, tu w znaczeniu: brak szacunku dla osób, rzeczy lub pojęć, które w oczach innych ludzi uchodzą za ważne, szczytne, święte.

hydra — mityczny potwór o wielu głowach, które po ścięciu odrastały; przenośnie: zło ciągle szerzące się, trudne do wykorzenienia.

KOMUNA PARYSKA (str. 51)

Komuną Paryską nazywano rząd rewolucyjny Paryża po klęsce roku 1871, który prowadził walkę z wojskami rządu zorganizowanego przez Thiersa w Wersalu. Rząd Thiersa podpisał kapitulację wobec Prus.

Thiers Adolf — (1797—1877) historyk i mąż stanu, autor historii rewolucji francuskiej i historii konsulatu i cesarstwa; w r. 1870/71, po upadku Napoleona III szef reakcyjnego rządu francuskiego, później prezydent francuski do r. 1873.

Montmartre — dzielnica w północnej części Paryża, w której na wzgórzu skoncentrowali komunardzi silną artylerię (około 150 dział); utrzymali ją w swych rękach pomimo licznych ataków wojsk rządowych do 25 maja 1871 r.

Wersal — miejscowość pod Paryżem, gdzie znajduje się pałac królewski.

Thomas Clement, Lecomte Claude — generałowie francuscy na usługach reakcyjnego rządu wersalskiego, straceni 18 marca 1871 r.

kepi — płaska czapka żołnierska, używana w armii francuskiej.

cmentarz Père Lachaise — cmentarz we wschodniej części Paryża, w dzielnicy robotniczej Ménilmontant, która najdłużej wytrwała w obronie przeciw wersalczykom.

Galliffet Gaston August — (1830—1909) generał francuski, uczestnik bitwy pod Sedanem, dowódca wojsk wersalskich w r. 1871, odpowiedzialny za krwawe egzekucje na komunardach w dzielnicy Ménilmontant.

Rigault Raul Jerzy Adolf — (1846—1871) dziennikarz francuski, szef policji politycznej, po wybuchu powstania członek Komuny i prefekt policji. Wydał rozkaz rozstrzelania zakładników, w odwet za rozstrzeliwania masowe komunardów przez wersalczyków. Po upadku Paryża został rozstrzelany na bulwarze St. Michel.

Dąbrowski Jarosław — (1836—1871) rewolucjonista polski, wyższe wykształcenie otrzymał w Akademii Sztabu generalnego w Petersburgu. W r. 1862 w randze kapitana przybył do Warszawy i w ruchu podziemnym stanął na czele młodzieży radykalnej jako członek Centralnego Komitetu Narodowego. 14 sierpnia 1862 roku aresztowany, po dwóch latach więzienia skazany został na śmierć. Ułaskawiony uciekł w czasie zsyłki na Sybir i zamieszkał początkowo w Moskwie, potem w Petersburgu biorąc żywy udział w pracach rosyjsko-polskich kół rewolucyjnych. Po półrocznym pobycie w Rosji przeniósł się do Paryża, gdzie reprezentował wśród emigracji polskiej zasady socjalistyczne. W wojnie francusko-pruskiej r. 1870 wziął czynny udział. W Komunie Paryskiej po porażce komunardów w Neuilly dnia 7 kwiet-

nia 1871 r. mianowany został Komendantem Paryża, a 26 kwietnia 1871 r. wodzem naczelnym; wsławił się jako jeden z najdzielniejszych i najgorętszych jej bohaterów. Po zrzeczeniu się dowództwa zginął na barykadzie 23 maja 1871 r., pochowany na cmentarzu Père Lachaise.

Delescluze Karol — (1809—1871) dziennikarz i polityk rewolucyjny francuski, w Komunie delegat do spraw wojny, wydał dnia 22 maja 1871 r. rozkaz rozpoczęcia walki na barykadach. Zginął na barykadzie dnia 25 maja 1871 r.

elle ne se rend pas la Commune de Paris — (franc.) Komuna Paryska się nie podaje.

Millière — jeden z wybitnych członków Komuny.

KOMUNARDZI (str. 56)

skrofuliczny — skrofuły — choroba gruczołów limfatycznych, objawiająca się w ostrym stanie otwartymi, nie gojącymi się ranami.

cynizm — tu w znaczeniu: brak szacunku dla osób, rzeczy lub pojęć, które w oczach innych ludzi uchodzą za ważne, szczytne, święte.

Thiers Adolf — (1797—1877) historyk i mąż stanu, autor historii rewolucji francuskiej i historii konsulatu i cesarstwa; w r. 1870/71, po upadku Napoleona III, szef reakcyjnego rządu francuskiego, później prezydent francuski do r. 1873.

Bismarck Otto — (1815—1898) pruski mąż stanu, „żelazny kanclerz", twórca jedności niemieckiej pod hegemonią Prus.

sutener-alfons — człowiek wyzyskujący w sposób niegodny miłość kobiety.

wersalczycy — zwolennicy rządu Thiersa, rezydującego w Wersalu.

Blanqui Ludwik — (1805—1881) socjalista, rewolucjonista francuski.

Vive la Commune! — (franc.) Niech żyje Komuna!

elle ne se rend pas la Commune de Paris — (franc.) Komuna Paryska się nie poddaje.

le prince Calmuc — (franc.) książę Kałmuk.

wersalskaja swołocz — (ros.) bydło wersalskie.

CO WYBRAĆ (str. 60)

parweniusz — (z łac.) wzbogacony prostak, dorobkiewicz.

indywiduum — jednostka, osoba w znaczeniu ujemnym, człowiek zły, niewiele wart.

garçon — (franc.) chłopiec posługujący gościom w cukierniach i restauracjach, pomocnik kelnera.

GROCH NA ŚCIANĘ (str. 64)

Pegaz — w mitologii greckiej skrzydlaty rumak.

Parnas — nazwa gór w Grecji środkowej, siedziby Apollina i muz; przenośnie: krainą natchnienia poetyckiego, dziedziną poezji i poetów.

ambrozja — w mitologii greckiej — napój bogów.

plejada — (z greck.) tu: grono wybitnych pisarzy.

Apollo — w mitologii greckiej bóg słońca, przewodnik muz, opiekun sztuk pięknych.

dysekcja — (z łac.) tu: rozbiór krytyczny jakiegoś utworu.

Nodier Karol — (1780—1844) literat francuski.

dantejska wędrówka — poeta włoski Dante Alighieri (1265—1321) napisał epos pt.: *Boska Komedia*, w którym przedstawia wędrówkę swoją po zaświatach: piekle, czyśćcu i niebie.

pseudonim — (z greck.) przybrane imię lub nazwisko zmyślone.

kariatyda — (z greck.) postać ludzka rzeźbiona z kamienia, służąca w budynkach jako podpora zamiast kolumn.

utogowany — przybrany w togę, powłóczystą szatę rzymską.

facecja — (z łac.) żart, dowcip, koncept.

subiekt — (z łac.) tu: podmiot.

obiekt — (z łac.) przedmiot.

predykat — (z łac.) orzeczenie.

fantasmagoria — (z greck.) złudzenie optyczne, urojenie, mamidło.

spektator — (z łac.) widz.

mammalia — (łac.) ssaki.

amphibia — (łac.) płazy.

insekta — (z łac.) owady.

Cuvier Jerzy — (1773—1838) słynny przyrodnik francuski, twórca anatomii porównawczej i paleontologii.

bezik — gra w karty.

trubadur — (z franc.) średniowieczny rycerz, śpiewak i poeta; śpiewak miłości.

loiczny — logiczny.

emblematyczny — (z greck.) symboliczny, przedstawiający jakiś znak, godło.

Zoilos — (III w. przed Chr.) autor zjadliwej krytyki dzieł Homera, stąd zoil zawistny, niesprawiedliwy krytyk.

koryfeusz — (z greck.) przewodnik chóru, osobistość przodująca w jakiejś dziedzinie.

konwencjonalizm — (z łac.) konwencjonalny — umowny, sztuczny, nienaturalny.

Ramajana — tytuł indyjskiej epopei narodowej z III—IV w. przed Chrystusem, napisanej jakoby przez wieszcza Valmiki.

aberacja — (z łac.) tu: zboczenie umysłowe.

elukubracja — (z łac.) rzecz z trudem, ale bez talentu wypracowana, słaby utwór literacki.

PUBLICZNOŚĆ DO POETÓW (str. 74)

Tantal — według mitologii greckiej król Lidii, skazany przez bogów za obrazę na wieczną mękę pragnienia i łaknienia.

Heine Henryk — (1797–1856) znakomity poeta liryczny niemiecki.

szarlataństwo — wyzyskiwanie cudzej łatwowierności, szalbierstwo, oszustwo.

derwisz — mahometański zakonnik, fanatyczny asceta muzułmański.

narkotyczny — odurzający.

Marsjasz — według mitologii fletnista ukarany przez Apollina za pychę, gdyż głosił, że dorównywa bogu talentem. Został przez Apollina powieszony i żywcem obdarty ze skóry.

NA PRZEŁOMIE (str. 78)

panorama — (z greck.) tu: rozległy piękny widok.

utylitaryzm — w życiu codziennym: dążenie do osiągnięcia celów natury materialnej.

WSPOMNIENIA MŁODOŚCI (str. 84)

„Klub Pickwicka" — tytuł słynnej, pełnej pogody i humoru powieści pisarza angielskiego Karola Dickensa (1812–1870).

epigram — (z greck.) krótki, dowcipny wiersz, fraszka.

aspirant — (z łac.) ubiegający się, starający się o coś.

W PRACOWNI UCZONEGO (str. 87)

manometr — przyrząd do mierzenia ciśnienia, prężności gazu.

atmosfera — tu: jednostka ciśnienia równa ciśnieniu słupa rtęci wysokości 760 mm na 1 cm^2.

literalnie — dosłownie, dokładnie.

amulet — według pospolitych przesądów przedmiot zabezpieczający od nieszczęścia.

OBRAZEK Z LAT GŁODOWYCH (str. 96)

surma — długa drewniana trąba (trombita).

messieurs, parlons d'autre chose — (franc.) panowie, mówmy o czym innym.

cela fait mal aux nerfs — (franc.) to działa źle na nerwy

POJEDYNEK (str. 106)

recepcja — (z łac.) przyjęcie.

magnetyzer — inaczej hipnotyzer, człowiek wprowadzający drugą osobę w sztuczny sen.

fizjognomia — (z grec.) wygląd, wyraz twarzy, rysy.

tiurniura — według mody w. XIX, poduszeczka pod spódniczkę kładziona z tyłu, aby suknia lepiej leżała.

folblut — wyścigowy koń angielski czystej rasy.

faworyty à l'anglaise — (z franc.) bokobrody noszone według mody angielskiej.

vous savez, madame... — (franc.) pani wie...

monsieur le Malgrétou — (franc.) znaczy dosłownie: pan Mimowszystko.

dewiza — (z franc.) zasada, godło, hasło.

kosmopolityzm — pogląd, według którego człowiek powinien się czuć obywatelem całego świata, a lekceważyć wszelkie odrębności narodowe.

malgré tout — (franc.) mimo wszystko.

dyplomacja — tu: umiejętne, zręczne postępowanie.

mais c'est affreux — (franc.) ależ to jest okropne.

migrena — przewlekłe bóle głowy.

wizykatoria — (z łac.) plaster drażniący skórę sporządzony z much hiszpańskich, powodujących nakrwienie, a przez to łagodzący nerwobóle.

burżuazja — (z franc.) mieszczaństwo; pogardliwa nazwa ludzi żyjących z kapitału, z przemysłu i handlu, w przeciwieństwie z jednej strony do arystokracji, a z drugiej do proletariatu.

mauvais genre — (franc.) zły rodzaj.

deklaracja — (z łac.) tu: oświadczenie, wyjawienie.

giezłeczko — koszulka.

tiens! — wykrzyknik francuski, coś w rodzaju: ba!

szarawary — (z tureck.) szerokie spodnie.

honeste —(łac.) suto, gościnnie, okazale.

sangwiniczny —(z łac.) krewki, porywczy, żywy.

baliwerna — (z franc.) żart, dowcip, głupstwo.

imaginez-vous — (franc.) wyobraźcie sobie.

kinkiet — (z franc.) lampa przy ścianie.

cicerone — (włosk.) przewodnik.

POZYTYWIŚCI (str. 122)

ekonomiczny — gospodarczy.

farniente — (włosk.) bezczynność.

audytorium — (z łac.) grono słuchaczów.

Struve Henryk — (1840—1912) filozof polski, przeciwnik pozytywizmu.

Moleschott Jakub — (1822—1893) przyrodnik holenderski.

Vogt Karol — (1817—1898) przyrodnik niemiecki, obrońca teorii transformistycznej, według której postacie zwierzęce i roślinne ulegają przekształceniom dając początek postaciom nowym.

Büchner Ludwik — (1824—1899) lekarz i filozof niemiecki, zwolennik skrajnego materializmu; autor głośnego dzieła pt. *Siła i materia.*

historiozoficzny — poszukujący praw rządzących rozwojem dziejowym.

inaugurowany — (z łac.) zapoczątkowany.

Plebański Jan Kazimierz — (1831—1897) historyk, profesor Szkoły Głównej w Warszawie.

Buckle Henryk Tomasz —(1821—1862) historyk angielski, autor słynnego dzieła *Historia cywilizacji w Anglii*, napisanego w duchu filozofii materialistycznej.

Darwin Karol Robert — (1809—1882) przyrodnik i fizjolog angielski, twórca teorii rozwoju gatunków.

Comte August — (1798—1857) filozof francuski, twórca kierunku zwanego pozytywizmem; pozytywizm odrzuca metafizykę, a za podstawę prawdziwie naukowego badania uznaje tylko fakty konkretne.

Mill John Stuart — (1806—1873) filozof angielski, przedstawiciel pozytywizmu angielskiego, zajmujący się logiką; w etyce jeden z twórców utylitaryzmu, tj. teorii uznającej pożytek społeczny za sprawdzian postępowania ludzkiego.

Littré Emil — (1801—1881) lekarz i filozof francuski, popularyzator i komentator pozytywizmu Comte'a.

Taine Hipolit — (1828—1893) filozof pozytywistyczny i krytyk francuski, stosujący zasady przyrodnicze do nauk humanistycznych.

Renan Ernest — (1828—1892) historyk francuski, autor dzieła *Pochodzenie chrystianizmu*, w którym reprezentował skrajnie racjonalistyczne stanowisko.

obskurantyzm — (z łac.) zacofanie, nieuctwo.

tolerancja — (z łac.) wyrozumiałość, pobłażliwość, zwłaszcza w zakresie różnicy zapatrywań religijnych itp.

dogmatyzm — (z greck.) usposobienie umysłu nie dopuszczające krytyki twierdzeń uznanych za prawdę.

doktryna — (z łac.) całość poglądów szkoły filozoficznej lub jednostki.

en masse — (franc.) ogółem, w masie.

propagator — (z łac.) szerzyciel jakichś zasad lub poglądów.

alegoryczny — (z łac.) wyrażający myśli w sposób obrazowy.

eksperyment — (z łac.) doświadczenie, zjawisko wywołane sztucznie celem dokonania na nim obserwacji.

rutynowany — (z franc.) zgodny z rutyną, z nawykiem uzyskanym przez wielokrotne powtórzenie czynności bez teoretycznego pogłębienia.

NAPAD NA PARNAS (str. 130)

Parnas — pasmo górskie w środkowej Grecji, według mitologii siedziba Apollina i muz; przenośnie: dziedzina natchnienia poetyckiego.

Feb — Apollo.

kastylski zdrój — źródło u stóp Parnasu poświęcone muzom.

lotny rumak — Pegaz.

Haeckel Ernest — (1834—1919) biolog niemiecki, zaciekły obrońca teorii Darwina.

Darwin Karol Robert — (1809 1882) przyrodnik i fizjolog angielski, twórca teorii rozwoju gatunków.

hipoteza — (z greck.) przypuszczenie, domysł, twierdzenie oparte na prawdopodobieństwie.

indukcyjna metoda — wł. indukcyjna metoda — droga rozumowania wychodzącego od stwierdzeń szczegółowych do uogólnień.

ewolucja — (z łac.) naturalny i stopniowy rozwój sił i możliwości, tkwiących w osobie, gatunku, rasie.

trubadur — (z franc.) średniowieczny prowansalski rycerz, śpiewak i poeta; śpiewak miłości.

minstrel — (z ang.) średniowieczny wędrowny pieśniarz, poeta.

bard — (z celtyck.) pieśniarz ludowy starożytnych Celtów; przenośnie: poeta piszący pieśni o przeszłości narodu.

doktryna — (z łac.) całość poglądów szkoły filozoficznej albo jednostki.

protoplazma — (z greck.) drobnoziarnista, białkowata, półpłynna substancja, podstawowa materia życiowa wszystkich tworów organicznych.

NIEDOBITEK (str. 135)

algierka — futro wcięte zapinane na pętle.

usque ad finem — (łac.) aż do końca, do samego końca.

eh, bien... — (franc.) doskonale.

konwojujący — strzegący, dozorujący przewozu.

stoicyzm — teoria filozoficzna zalecająca obojętność na własne cierpienia i niepowodzenia, spokój duszy w nieszczęściu, stałość, moc charakteru, niezłomność, nieugiętość, panowanie nad sobą.

zaintonować — (z łac.) rozpocząć śpiew, trafnie wziąć właściwy ton.

jodoform — środek lekarski dezynfekujący o ostrej woni.

frapować — (z franc.) pociągnąć, zainteresować.

kierat — zębate koło poziome z wałem ciągnionym przez konie, służy do wprawiania w ruch lżejszych maszyn rolniczych.

tytaniczny — olbrzymi, silny, wielki.

falset — (włosk.) wysoki głos męski.

dżentelmen — (z ang.) człowiek wytwornych form towarzyskich; człowiek nieskazitelny, honorowy.

szarlatan — (z franc.) człowiek wyzyskujący łatwowierność ludzką, oszust, szalbierz, kuglarz.

hołobla — (ukr.) podwójny dyszel.

Meran — miejscowość kuracyjna w Tyrolu.

harpia — mitologii greckiej potwór o postaci drapieżnego ptaka z głową kobiety, nienasycony, wiecznie łaknący.

dygitalis — środek leczniczy na serce sporządzany z rośliny digitalis, naparstnicy.

balast — rzeczy ciężkie, zabierane w celu obciążenia okrętu, balonu (worki z piaskiem), przenośnie: ciężar zbyteczny.

halucynacja — (z łac.) chorobliwe złudzenie zmysłów polegające na widzeniu różnych przedmiotów i słyszeniu dźwięków nieistniejących; przywidzenia, widziadła.

kolektor — (z łac.) zbieracz.

migrena — uporczywy, długotrwały ból głowy.

WŚRÓD STAŃCZYKÓW (str. 145)

Apuchtin — Aleksander Apuchtin kurator warszawskiego okręgu szkolnego (1879—1897), rusyfikator i gnębiciel szkolnictwa polskiego.

wirtuoz — (z włosk.) mistrz w opanowaniu techniki artystycznej.

luminarz — człowiek wybitny, zasłużony.

pamflet — pismo ulotne treści złośliwej, obelżywej lub potwarczej.

antagonizm — (z greck.) przeciwieństwo, współzawodnictwo, zawistna chęć zakasowania przeciwnika.

kaduceus — (z łac.) laska Merkurego z wężami i skrzydłami, symbol handlu i pokoju.

DUCH MARLEYA (str. 152)

bysnesmen — (z ang.) człowiek zajmujący się interesami, umiejący robić interesy.

pudding — (z ang.) potrawa zapiekana w wielu odmianach, rozpowszechniona w Anglii (budyń).

wibracja — (z łac.) drganie dźwięków.

harcap — (z niem.) warkocz peruk noszonych dawniej przez mężczyzn.

ŚMIERĆ DELFINA (str. 169)

majordom — (z łac.) marszałek dworu.

toga — (łac.) długa wierzchnia szata używana przez starożytnych Rzymian, uroczysty strój profesorów, sędziów, adwokatów.

konsylium — (z łac.) narada lekarzy w sprawie leczenia chorego.

masztalerz — (z niem.) mający nadzór nad końmi, stajenny.

drabant — (z niem.) żołnierz straży przybocznej, uzbrojony w halabardę.

rohatyna — (z czesk.) włócznia, ostry grot na długim drzewcu.

MIETTA (str 171)

diatryba — (z greck.) pouczająca rozmowa, rozprawa.

uzurpator — (z łac.) — przywłaszczyciel władzy, prawa itp.

pikieta — (z franc.) mały oddział żołnierzy na czatach, posterunek, placówka.

OPERACJA (str. 186)

encefalon — (z greck.) mózg.

tenotomia — (z greck.) operacja przecięcia ścięgna.

chloroform — mieszanina chlorku wapnia, alkoholu i wody, bezbarwny, lotny płyn usypiający i znieczulający.

fanfaron — (z franc.) samochwał, chełpliwiec, pyszałek.

szarlatan — (z franc.) przekupień jakoby niezawodnych środków leczniczych; przenośnie: człowiek wyzyskujący łatwowierność ludzką.

kabriolet — (z franc.) lekki jednokonny powozik.

jucht — (z niem.) skóra wołowa grubo wyprawna, nieprzemakalna.

BURMISTRZ (str. 194)

mon cher, il faut prendre cela en considération — (franc.) mój drogi, nad tym trzeba się zastanowić.

reputacja — (z łac.) opinia, dobre imię, poważanie.

Epikur — (341—270 przed Chr.) filozof grecki uczący, że przyjemność powinna być głównym celem działania człowieka.

mais c'est impayable — (franc.) to nie do opłacenia.

mais comment donc? — (franc.) ale jakże to?

szarawary — (z tureck.) szerokie spodnie.

pardon, mon cher — (franc.) przepraszam, mój drogi.

voilà, mon cher, les désagréments de la campagne — (franc.) oto, mój drogi, przykrości wsi.

c'est arrangé — (franc.) to ułożone.

c'est leur affaire — (franc.) to ich sprawa.

une forte tête — (franc.) tęga głowa.

n'est ce pas, què c'est touchant? — (franc.) czy to nie jest wzruszające?

quel gaillard — (franc.) jaki zuch.

je vous demande pardon, mon cher — (franc.) proszę o przebaczenie, mój drogi.

c'est le mauvais côté de la médaille — (franc.) to zła strona medalu.

JULIUSZOWI MIEN (str. 205)

Juliusz Mien — Francuz, mieszkający w Krakowie w drugiej połowie w. XIX, tłumacz poezji Słowackiego, Asnyka itd.

KTO WINIEN? (str. 206)

salopka — (z franc.) watowane wierzchnie okrycie kobiece.

dżet — (z ang.) błyszczące szklane koraliki czarne, naszywane dla przyozdobienia sukni.

turkus — niebieski kamień szlachetny.

wojaż — (z franc.) podróż.

WOLNY NAJMITA (str. 216)

mszary — obszar wilgotny, pokryty mchami.

JAMIOŁ (str. 218)

cyborium — (z łac.) szafka na ołtarzu, gdzie przechowywany jest kielich z Hostią św.

stalle — (z włosk.) ławki ozdobne ustawione w presbiterium pod ścianami z obu stron wielkiego ołtarza.

propinacja — (z łac.) sklep z prawem wyszynku napojów spirytusowych.

złódź — szron.

KOLONIA POD LASEM (str. 226)

przycieś — ściany z belek przyciosanych.

finanse — (z franc.) dochody, skarbowość, w ogóle stan majątkowy.

proceder — (z łac.) postępowanie, zajęcie, rzemiosło, fach.

reputacja — (z łac.) opinia, dobre lub złe „imię".

ciarach — pogardliwe: pan, szlachcic, inteligent.

topograficzny — (z greck.) zgodny z topografią, czyli opisem terenu miejscowości, kraju itp.

pikieta — (z franc.) mały oddział żołnierzy na czatach, posterunek, placówka.

uwroć — (gwar.) skraj pola ornego nad spadzistym brzegiem.

pytia delficka — wieszczka w Świątyni Apollina w Delfach starożytnych.

Sokrates — słynny filozof grecki (468—400 przed Chr.), którego poglądy znamy z pism jego uczniów, przede wszystkim Platona; w pożyciu małżeńskim terroryzowała go żona Ksantypa.

szarmycel — (z niem.) potyczka, bitwa.

martyrologia — historia męczeńskiego życia.

poligamia — (z greck.) wielożeństwo.

heroiczny — (z greck.) bohaterski.

CHAWA RUBIN (str. 239)

husyt — (hebr.) lub chasyd, członek sekty religijnej ortodoksyjnych Żydów.

trefny — (hebr.) nieczysty, według rytuału religijnego zakazany.

biedka — wózek na dwóch kółkach.

karman — (ros.) kieszeń.

stakan — (ros.) szklanka.

poczhalter — (z niem.) kierownik poczty.

w szeję — (z ros.) w kark.

paroksyzm — (z greck.) nagły napad choroby, nagły gwałtowny wstrząs.

rekomendowany — (z łac.) polecony.

PIERWSZE KROKI NA POLITYCZNYM TORZE (str. 255)

legitime — (z łac.) prawnie, legalnie.

c. k. — cesarsko-królewski — tytuł ten nosiły państwowe instytucje w monarchii austro-węgierskiej.

wole — znaczne rozszerzenie szyi spowodowane przerostem tarczycy.

komfort — (z ang.) wygoda, wytworne i dostatnie urządzenie i wykwint.

konszachty — (z niem.) tajne porozumienie się, układy, stosunki podejrzane.

norymberskie towary — norymberszczyzna, drobne przedmioty domowego użytku: igły, naparstki, guziki, galanteria.

autonomia — (z greck.) samorząd.

zdetonowany — tu: zaskoczony, zakłopotany.

detonomia — wyraz utworzony przez autora od detonować.

ad hoc — (łac.) do tego, w tym celu.

wyprawa meksykańska — w r. 1867 wyprawa wojsk formowanych w Austrii na obronę brata cesarza, Maksymiliana, panującego w Meksyku.

kuratela — (łac.) opieka, nadzór, dozór.

propinacja — (z łac.) sklep z prawem wyszynku napojów spirytusowych.

W JAKI SPOSÓB NOWI LUDZIE UKAZUJĄ SIĘ NAD STARYMI HORYZONTAMI (str. 263)

une page d'amour — (franc.) kartka miłości.

tamborek — (z franc.) szeroka obręcz drewniana, na którą naciąga się materiał przeznaczony do wyhaftowania.

Le Moniteur de la Mode — (franc.) *Doradca mody* (tytuł gazety).

szezląg — (z franc.) sofa wyścielana, z jednym bocznym i tylnym oparciem.

acte de résignation — (franc.) akt rezygnacji.

que votre nom soit béni à jamais, bien que vous avez voulu m'éprouver par cette peine — (franc.) niech imię Twoje będzie pochwalone na zawsze, chociaż dotknąłeś mnie tym cierpieniem.

et d'attendre en paix votre divin secours — (franc.) i oczekiwać w pokoju Twojej Boskiej pomocy.

jatagan — (z tureck.) krzywa szabla turecka obosieczna.

SPÓŁKA HANDLOWA (str. 280)

szowinista — (z franc.) przesadnie gorliwy patriota uwielbiający swój naród, a przekonany o niższości każdego innego narodu.

heraldyk — (z łac.) uczony zajmujący się herbami szlacheckimi.

Journal Amusant — nazwa gazety, dosłownie: *Dziennik Rozrywkowy*

KLEMENS BORUTA (str. 292)

oskard — (presłow.) kilof, drąg żelazny o jednym końcu płaskim, a drugim stożkowatym.

ordynaria — (z łac.) wynagrodzenie w naturze, w płodach rolnych.

fanaberia — (z żarg. niem.) wydziwianie, grymasy, kaprysy.

zuchelek — (z niem.) kawałek.

landrat — (niem.) urzędnik w administracji pruskiej.

SESJA (str. 305)

apartament — (z franc.) okazałe mieszkanie.

manekin — (z flamandz.) lalka drewniana do użytku malarzy, rzeźbiarzy, krawcowych.

sztych — (z niem.) odbitka z obrazka wyrytego na płycie metalowej.

Liszt Franciszek — (1811—1886) węgierski pianista, wirtuoz, kompozytor.

Patti Adelina — słynna śpiewaczka włoska w. XIX występująca w operze paryskiej.

Siemiradzki Henryk — (1843—1902) głośny malarz polski czerpiący tematy do swych obrazów głównie ze świata starożytnego.

Hugo Wiktor — (1802—1885) słynny poeta i powieściopisarz francuski, przywódca szkoły romantycznej we Francji.

antagonistka — (z greck.) przeciwniczka.

hipoteza — (z greck.) twierdzenie, przypuszczenie, domysł.

metafizyczna hipoteza — przypuszczenie dotyczące zagadnień pozazmysłowych, związanych z bytem, jego przyczyną, istotą i prawami.

MARIANNA W BRAZYLII (str. 313)

kwerenda — (z łac.) poszukiwanie.

kamlot — (z arabsk.) cienka, szorstka tkanina wełniana.

mitynki — (z franc.) rękawiczki trykotowe bez palców.

agent — (z łac.) przedstawiciel, pośrednik, załatwiający powierzone mu sprawy firmy.

z partesu — (z łac.) uroczyście, dumnie, z przesadną powagą.

preludium — (z łac.) przygrywka przed rozpoczęciem utworu muzycznego, także krótki utwór muzyczny.

talizman — (z arabsk.) przedmiot posiadający jakoby tajemniczą moc przynoszenia szczęścia, chronienia od złego.

Siemiradzki Józef — (ur. 1858) geolog i podróżnik. W r. 1891 zwiedził Amerykę Południową, głównie w celu zbadania warunków bytu wychodźców polskich.

IDZIEM DO CIEBIE... (str 320)

rańtuch — rodzaj długiej płachty, której używają kobiety wiejskie jako wierzchniego nakrycia.

paździerz — odpadki przy międleniu lnu lub konopi.

MĘDRCY (str. 322)

pylon — (z greck.) potężna, czworoboczna, tępo ścięta wieża ozdabiająca główne wejście do świątyni egipskiej.

IDEA A ŻYCIE (str. 332)

municypalny — (z łac.) miejski.

gildia — (z niem.) organizacja średniowieczna oparta na swobodnej decyzji ludzi zrzeszających się w różnych celach, tu: związek kupiecki.

antagonizm — (z greck.) przeciwdziałanie, przeciwieństwo, współubieganie się, zawiść.

marka — (marchia) margrabstwo, posiadłość zarządzana przez margrabiego.

korporacja — stowarzyszenie, zgromadzenie cechowe.

jurysdykcja — (z łac.) sądownictwo; zakres działania władz sądowych co do obszaru i jakości sprawy.

sądy boże — opierały się na przekonaniu, iż Bóg rozstrzyga o tym, kto jest winny, w tym celu oskarżony bądź pojedynkował się z oskarżycielem, bądź poddany był próbom (np. ognia, wody itp.) — jeśli uległ, było to znakiem, że zawinił.

liczykrupstwo — skąpstwo.

utylitaryzm — pogląd filozoficzny stawiający pożytek społeczny jako główny cel ludzkiego postępowania; utylitaryzm indywidualny — działanie biorące pod uwagę pożytek osobisty.

kazuistyka — rozważania etyczne poświęcone rozstrzyganiu wątpliwych wypadków szczegółowych, dotyczących sumienia i prawa, także krętactwo moralne w sprawach sumienia.

ancien régime — (franc.) dawny ustrój, dawny porządek rzeczy.

wolność procederu — wolność wykonywania zajęcia, rzemiosła, fachu.

laissez faire, laissez passer — (franc.) pozwólcie czynić, pozwólcie poruszać się — motto liberalizmu gospodarczego, który domagał się nie wtrącania się władz politycznych w życie gospodarcze.

hasło członkowane — dające się rozbić na części (członki) powiązane logicznie.

ornamentacja — (z łac.) zdobnictwo.

reglamentacja — (z łac.) urządzenie, normowanie według reguł, przepisów.

CO TO JEST PŁACA ROBOCZA, (str. 346)

burżua — (z franc.) pierwotnie mieszczanin; u Marksa: nazwa dawana członkom klasy społecznej władającej produkcją w ustroju kapitalistycznym.

fidybus — (z niem.) zwitek papierowy do zapalania fajki.

embrion — (z greck.) zarodek.

rachunek różniczkowy — dział matematyki wyższej, stosowanej w naukach praktycznych.

Hull — port na wschodnim wybrzeżu Anglii.

Stapferweg — ulica w Zurychu.

Westmünster — miejscowość na brzegu Jeziora Zurychskiego.

upłaz — mniej pochyła część stoku górskiego.

rekomendowany — (z łac.) polecony.

afekt — (z łac.) silne uczucie, wzruszenie.

mit Pompe und Parade — (niem.) z pompą i paradą.

parweniusz — (z franc.) dorobkiewicz, nowobogacki.

sofizmat — (z greck.) wniosek pozornie prawdziwy, oparty na błędnej zasadzie lub błędnym zrozumieniu, wniosek wykrętny.

paroksyzm — (z greck.) atak, nagłe gwałtowne wstrząśnięcie umysłu.

tendencja — (z łac.) skłonność, dążność do wzbudzenia pewnych uczuć, wpojenia pewnych przekonań.

kantata — (z łac.) utwór muzyczny o nastroju poważnym, przeznaczony do śpiewu chóralnego.

Buckle Tomasz Henryk — (1821—1862) angielski historyk kultury, jego dzieło *Historia cywilizacji w Anglii* wywarło wpływ na pozytywistów polskich drugiej połowy XIX w.

senior — (łac.) starszy.

Szkoła Główna — wyższa szkoła w Warszawie w latach 1862—1869 z polskim językiem nauczania.

bachanalijka — (z łac.) wesoła hulanka.

kohorta — oddział wojska w starożytnym Rzymie.

hawelok — (z ang.) noszony dawniej ciepły płaszcz męski z krótką peleryną.

Mill John Stuart — (1806—1873) filozof i ekonomista angielski; wywarł wpływ na umysłowość polską.

Dekameron — zbiór opowiadań, napisanych przez włoskiego poetę Giovanni Boccacio (1313—1375).

plant — (z franc.) wierzchnia część nasypu kolejowego, na której układa się szyny.

wasąg — wóz wiejski z wiklinowych półkoszków.

bourgeois — (franc.) mieszczanin, tu w znaczeniu dorobkiewicz.

dublańczyk — wychowanek szkoły rolniczej w Dublanach pod Lwowem.

predylekcja — (z łac.) szczególne upodobanie do czegoś.

sak — (z niem.) torba podróżna.

„indywidualiści" — tu: koloniści samodzielni, wykupujący ziemię z parcelacji.

wilki — w hutnictwie: nazwa nieprzetopionej bryły surowca.

Oderberg — niemiecka nazwa Bogumina na Zaolziu.

perpendykuł — (z łac.) wahadło u zegara.

katapulta — (z greck.) machina wojenna służąca do wyrzucania pocisków.

komunik — (z łac.) oddział jazdy odciążonej, bez taborów, szybko posuwającej się.

kataklizm — (z greck.) gwałtowny przewrót, klęska, wielkie nieszczęście.

szopy — tu: futro ze skór szopów, zwierząt północno amerykańskich.

kaszkiet — (z franc.) sztywna czapka z daszkiem.

kiereja — (ukr.) wielka szuba futrzana, nakładana na inne okrycie.

janczary — (z tur.). dzwonki umieszczone przy uprzęży końskiej do sanek.

prowentowy kałkuł — żartobliwie: księga rachunków w majątku ziemskim.

tantiema — (z franc.) umówiony procent od dochodu.

strycharz — (z niem.) robotnik cegielni.

SOCJALIZM i WŁOŚCIAŃSTWO (str. 373)

hydra — mitologiczny potwór wielogłowy, którego głowy po obcięciu odrastały na nowo; przenośnie: zło trudne do wykorzenienia, do zwalczenia.

agitacja — (z łac.) zjednywanie stronników, podburzanie.

rewolucja socjalna — rewolucja społeczna.

machinacja — (z łac.) podstępne zabiegi w złych zamiarach, knowanie, matactwo.

Cegielski z Niegolewskim — Cegielski to fabrykant, Niegolewski właściciel ziemski, obaj starali się zostać posłami z Poznania do parlamentu niemieckiego.

subhastacja — (z łac.) publiczna sprzedaż przymusowa majątku nieruchomego na podstawie wyroku sądowego.

melioracja — tu: przyprowadzenie do lepszego stanu, ulepszenie, poprawienie, podniesienie.

gulden — moneta obiegowa austriacka.

złoty reński — moneta obiegowa austriacka.

MAZUR KAJDANIARSKI (str. 379)

Kara — tak nazywano w gwarze więziennej więzienie warszawskie.

turma — (ros.) więzienie.

katorżnicza kurtka — kurtka noszona przez skazanych na ciężkie roboty w kopalniach.

kazamata — (z włosk.) silnie sklepiona piwnica pod wałami twierdzy, używana na składy amunicji lub na więzienie.

WARSZAWIANKA (str. 382)

plutokrata — (z greck.) członek plutokracji, najbogatszej warstwy ludności, dzięki bogactwu mającej wpływ na rządy krajem.

PIERWSZE UTWORY KASPROWICZA (str. 383)

chram — (starosłow.) świątynia.

błam — (z niem.) płat, kawał materii.

MOWA W SĄDZIE (str. 385)

Spasowicz Włodzimierz — (1829—1906) sławny adwokat petersburski, krytyk literacki, publicysta i postępowy działacz polityczny reprezentujący ideę współpracy społeczeństwa polskiego ze społeczeństwem rosyjskim (a nie z rządem carskim). Występował jako obrońca w procesie „Proletariatu".

Wagner Adolf — (1835—1917) profesor w Dorpacie, Fryburgu i Berlinie, pruski mąż stanu.

Bismarck Otto — (1815—1898) pruski mąż stanu, „żelazny kanclerz", twórca jedności niemieckiej pod hegemonią Prus.

Oberpolicmajster — (z niem.) naczelnik policji w guberniach rosyjskich.

Towarzystwo Illuminatów — tajny związek założony w Ingolstacie w 1776 roku przez Adama Wiesshaupta według zasad wolnomularskich. Celem T-wa było ukształtować ludzkość według praw rozumu. Należały do niego wybitne osobistości. Rozwiązane w roku 1785.

antagonizm — (z greck.) przeciwdziałanie, przeciwieństwo, współubieganie się, zawiść.

ELEGIA O ŚMIERCI LUDWIKA WARYŃSKIEGO (str. 390)

szkorbut — choroba jamy ustnej powstająca wskutek wycieńczenia i braku witamin.

Schlüsselburg — twierdza i więzienie w Rosji pod Petersburgiem.

judasz — otwór w drzwiach celi więziennej służący do obserwowania zachowania się więźniów.

W SZPONACH TĘSKNOTY (str 392)

jurta — (z tatarsk.) chata, zimowe mieszkanie Jakutów.

łyże — narty.

tundra — północny obszar trzęsawisk pokrytych mchem, przez większą część roku zamarzniętych.

tajga — las iglasty rosnący na bagnistych gruntach Syberii.

STOLARZ KOWALSKI (str. 400)

Jakuck — miasto na Syberii.

Lena — rzeka na Syberii.

modulowane — urabiane, ukształtowane.
tajga — gęsty las iglasty rosnący na bagnistych gruntach Syberii.
sążeń — dawna miara długości = 225 cm.
jurta — (z tatarsk.) chata, zimowe mieszkanie Jakutów.
ysech — (jakuck.) święto wiosenne plemion syberyjskich.
ambrozja — (z greck.) według wierzeń starożytnych, napój bogów.
czaron — (jakuck.) kubek drewniany.
kumys — (tatarsk.) napój musujący, wyrabiany z fermentującego mleka klaczy.
ohonior — (jakuck.) zaszczytna nazwa starca, zasługującego na szacunek.
tojon — (jakuck.) pan.
Niucza — (jakuck.) Rosjanin.
Bilak — (jakuck.) Polak.
Bilak, Bilak,? Yszczygej dohor — (jakuck.) Polak? Polak? Doskonale, bracie.
suruksut — (jakuck.) piśmienny, pisarz.
nasleżny — (jakuck.) wiejski.
goułochan tojon — (jakuck.) wielki pan tj. gubernator.
argy — (jakuck.) wódka.
Sacha — (jakuck.) Jakut.
kałym — (jakuck.) opłata za żonę, przygotowuje się ją zwykle dla syna.
kiesa — (jakuck.) miara długości (około 10 km).
prokaza — (jakuck.) trąd północny, choroba bardzo zaraźliwa.
chijus — (jakuck.) ostry zimny wiatr.
posieleniec — (z ros.) zesłaniec.
ułus — (jakuck.) obozowisko koczowniczych plemion.
stępór — słupek do ubijania.
Irkuck — miasto na Syberii.
fiasco — (włosk.) zupełne nieudanie się czegoś, niepowodzenie, bankructwo.
sensat — (z łac.) przesadnie poważny człowiek, unikający rozrywek.
recydywista — (z łac.) przestępca powtórnie popełniający występek, za który poniósł karę, nałogowy przestępca.
winna macica — szczep winogradu, winna latorośl.
winogradnik — uprawiający winnicę.

ON (str. 415)

On („Książę") — pod tymi nazwami ukrył autor postać Bismarcka.
pikielhauba — (z niem.) kask noszony przez wojsko pruskie, zakończony na szczycie ostrym grotem.

desperat — (z łac.) człowiek zrozpaczony, który utracił wszelką nadzieję.

biograf — (z greck.) autor życiorysu.

biografia — (z greck.) życiorys.

Saarbrücken — miasto w Zagłębiu Saary.

gratyfikacja — (z łac.) oddzielne, dodatkowe wynagrodzenie.

haracz — (z tureck.) danina pieniężna, wykup, opłacenie się komuś.

DO GRANICY (str. 420)

befel — (niem.) tu: rozkaz banicji, wysiedlenia, dotyczy tu wysiedleń przymusowych pruskich w r. 1885, kiedy tysiące Polaków wydalono z granic państwa pruskiego jako „niewygodnych „cudzoziemców".

sadyba — (z ukr.) chata, obejście.

Weroniki chusta — relikwia pokazywana w Rzymie w kościele św. Piotra w Watykanie. Według legendy św. Weronika obtarła Jezusowi, dźwigającemu krzyż, twarz chustką, na której pozostało odbicie oblicza Chrystusowego.

rubież — miejsce odosobnienia, pustać.

O SPRAWIE ŻYDOWSKIEJ (str. 424)

zdyskredytować — zepsuć wziętość, reputację, opinię; zniesławić.

deklaracja (z łac.) oświadczenie, oznajmienie, publiczne zeznanie.

proceder — (z łac.) sposób postępowania, zajęcie, rzemiosło, fach.

SACHEM (str. 426)

minstrel — (ang.) średniowieczny wędrowny pieśniarz, poeta.

p elegent — (z łac.) wygłaszający odczyt, wykład.

Tagblatt — (niem.) dziennik.

Montagsrevue — (niem.) *Przegląd Poniedziałkowy.*

Gasse — (niem.) ulica.

Mahlzeit — (niem.) jedzenie, obiad.

Nun ja wissen Sie Herr Müller, ist das aber möglich? — (niem.). Ale wie pan, panie M. czy to jest możliwe?

filister — (z niem.) człowiek o ciasnym, małostkowym sposobie myślenia.

ganz gemütlich — (niem.) całkiem przyjemnie.

great atraction — (ang.) wielka atrakcja.

Ach, Herr Jez — (niem.) Ach, Panie Jezu.

frisch Wasser, frisch Bier: — (niem.) świeża woda, świeże piwo.

masztalerz — (z niem.) mający nadzór nad końmi.

grocernik — (z niem.) mający sklep spożywczy.

honoratiores — (z łac.) dostojnicy.

business — (ang.) interes.

munsztuk — (z niem.) rodzaj wędzidła do kiełznania koni.

wigwam — chata Indian.

was ist das? — (niem.) co to jest?

was gefällig für den letzten der Schwarzen Schlangen — (niem.) co łaska, dla ostatniego z Czarnych Wężów.

NA NOWYM MIEJSCU (str. (432)

mais — (franc.) kukurydza.

altruizm — (z łac.) miłość bliźniego.

fizjonomia — (z greck.) wyraz twarzy.

nowicjusz — (z łac.) 'n: początkujący, nieobeznany z warunkami.

JOHN BROWN (str. 437)

John Brown — (1800 1859) obywatel USA został powieszony w Charlestonie 2 grudnia 1859 r. za spisek mający na celu zniesienie przemocą niewolnictwa.

SPIS RZECZY

(Utwory opatrzone gwiazdką stanowią lekturę uzupełniającą)

I str.

Sienkiewicz Henryk: *Legenda żeglarska* 3
Krytyka powstań:
I. Tarnowski Stanisław: *Rok 1863* 3
II. Szczepanowski Stanisław: *Błąd* 6
*Prus Bolesław: *Zagadka do nagrody* 7
Dąbrowska Maria: *Przemiany* 13
Orzeszkowa Eliza: *Zefirek* 17
Rodoć Mikołaj: *Boże, jak Ty rządzisz światem* 34
*Prus Bolesław: *Stara bajka* 35
Asnyk Adam: *Dzień wczorajszy* 49

II

Broniewski Władysław: *Komuna Paryska* 51
*Brzozowski Stanisław: *Komunardzi* 56

III

Prus Bolesław: *Co wybrać?* 60
Wiślicki Adam: *Groch na ścianę* 64
*Asnyk Adam: *Publiczność do poetów* 74
Orzeszkowa Eliza: *Na przełomie* 78
Świdziński Karol: *Naprzód pracą* 81
Prus Bolesław: *Wspomnienia młodości* 84
Asnyk Adam: *Do młodych* 86
Prus Bolesław: *W pracowni uczonego* 87
Konopnicka Maria: *Do młodej braci* 94
*Orzeszkowa Eliza: *Obrazek z lat głodowych* 96

str.
Sienkiewicz Henryk: *Pojedynek* 106
*Chmielowski Piotr: *Pozytywiści* 122
*Asnyk Adam: *Napad na Parnas* (w skróceniu) 130
Żeromski Stefan: *Niedobitek* 135
Asnyk Adam: *Daremne żale* 144
Boy-Żeleński Tadeusz: *Wśród Stańczyków* 145

IV

Dickens Karol: *Duch Marleya* (tłum. * * *) 152
Daudet Alfons: *Śmierć Delfina* (tłum. H. Sienkiewicz) . 169
*Zola Emil: *Mietta* (w skróceniu, tłum. * * *) 171
*de Maupassant Guy: *Przyjaciele* (tłum. * * *) 181
*Flaubert Gustaw: *Operacja* (tłum. * * *) 186
*Turgieniew Iwan: *Burmistrz* (tłum. K. Junosza) 194

V

*Asnyk Adam: *Juliuszowi Mien* 205
*Orzeszkowa Eliza: *Kto winien?* 206
Konopnicka Maria: *Wolny najmita* 216
Sienkiewicz Henryk: *Jamioł* 218
Konopnicka Maria: *Z szopką* 224
Dygasiński Adolf: *Kolonia pod lasem* 226
Konopnicka Maria: *Na fujarce* (wybór) 235
Świętochowski Aleksander: *Chawa Rubin* 239
*Bałucki Michał: *Pierwsze kroki na politycznym torze* . 255

VI

Prus Bolesław: *W jaki sposób nowi ludzie ukazują się nad starymi horyzontami* 263
Rodoć Mikołaj: *Ja mu tam nie dam głosu* 278
Prus Bolesław: *Spółka handlowa* 280
Konopnicka Maria: *Sobotni wieczór* 290
*Świętochowski Aleksander: *Klemens Boruta* (w skróc.) 292
Konopnicka Maria: *Jaś nie doczekał* 302
Prus Bolesław: *Sesja* 305
Konopnicka Maria: *Marianna w Brazylii* 313
Konopnicka Maria: *Idziem do Ciebie* 320

str.

*Prus Bolesław: *Mędrcy* 322
Rodoć Mikołaj: *Idylla maleńka taka* 328
Ackermann Luiza: *Wojna* (tłum. M. Konopnicka) . . . 328
*Krzywicki Ludwik: *Idea a życie* (skrót wg B. Suchodolskiego) 332
*Asnyk Adam: *Nad głębiami* (wybór) 340

VIII

Czerwieński Bolesław: *Czerwony sztandar* 345
*Marks Karol: *Co to jest płaca robocza?* 346
Żeromski Stefan: *Doktór Piotr* 349
*Krzywicki Ludwik: *Socjalizm i włościaństwo* 373
Waryński Ludwik: *Mazur kajdaniarski* 379
Sieroszewski Wacław: *Czego chcą oni?* 380
Święcicki Wacław: *Warszawianka* 382
Krzywicki Ludwik: *Pierwsze utwory Kasprowicza* . . . 383
Waryński Ludwik: *Mowa w sądzie* 385
Broniewski Władysław: *Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego* 390
*Sieroszewski Wacław: *W szponach tęsknoty* 392
*Szymański Adam: *Stolarz Kowalski* 400

IX

Prus Bolesław: *On* 415
Konopnicka Maria: *Do granicy* (w skróceniu) 420
O sprawie żydowskiej. Korespondencja Orzeszkowej i Konopnickiej
I. *Orzeszkowa do Konopnickiej* 424
II. *Konopnicka do Orzeszkowej* 425
*Sienkiewicz Henryk: *Sachem* 426
Beecher Stove Harriet: *Na nowym miejscu* (tłum. * * *) . 432
*Norwid Cyprian Kamil: *John Brown* 437

Objaśnienia 441

Spis rzeczy 462

Pomorska Biblioteka Pedagogiczna
w Gdańsku
219632
010000219632
NIE WYPOŻYCZA SIĘ

INSTYTUT WYDAW
„NASZA KSIĘ
Warszawa, ul. Smulik
Tel. 8-83-40

KSIĘGARNIA I DZIAŁ
Warszawa, ul. Sienkiewicza 8
Tel. 8-75-65

Konta: PKO I-128, Bank Gosp. Spółdz. 85

WYDAJE CZASOPISMO pt.

„PŁOMIEŃ"

DWUTYGODNIK DLA MŁODZIEŻY SZKÓŁ ŚREDNICH

„PŁOMIEŃ" jest łącznikiem młodzieży szkół średnich na terenie Polski. Informuje o życiu młodzieży w kraju i najpoważniejszych przejawach tego życia za granicą

„PŁOMIEŃ" stara się być pomocą przy kształtowaniu przez młodzież swego charakteru i wyrabianiu poglądu na świat

„PŁOMIEŃ" pomaga młodzieży do głębszego poznania i zrozumienia kultury polskiej i ogólnoludzkiej

Redakcja „PŁOMIENIA" pragnie, aby podtrzymywanie jego światła (myśli) i ciepła (uczucia) było troską nie tylko redakcji, ale i czytelników, a to przez sygnalizowanie potrzeb i zainteresowań, dostarczanie materiałów z życia szkolnego, obchodzących szersze koła młodzieży, nadsyłanie uwag o wydanych numerach.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela „Nasza Księgarnia"
Warszawa, Smulikowskiego 4